

# PROXIMA

Krzysztof Boruń  
i Andrzej Trepka





**BORUN KRZYSZTOF**

**TREPKA ANDRZEJ**

**Trylogia kosmiczna #2 Proxima**

# KRZYSZTOF BORUŃ I ANDRZEJ TREPKA

## ISKRY WARSZAWA 1987

*Utrzymywanie, że tylko Ziemia jest piastunką życia, jest równie bezsensowne jak twierdzenie, że na dużym obsianym polu mógł wyrósć tylko jeden jedyny kłos pszenicy.*

*Metrodor z Chios*

### PROLOG

Pierwszy włączył się, jak zwykle, geofizyk z Mombasy, zajmując sektor naprzeciw przewodniczącego. Po nim przybywali inni członkowie kolegium.

Przewodniczący raz po raz podnosił wzrok znad notesu, kiwnięciem głowy witając kolegów zjawiających się na falach eteru z różnych punktów Układu Ziemia-Księżyc. Ściany gabinetu zdawały się rozstępować, w miarę jak przestrzeń sali wypełniały coraz to nowe plastyczne obrazy ludzi, oddalonych od siebie w rzeczywistości nierzadko o dziesiątki, a nawet setki tysięcy kilometrów.

Przewodniczący spojrział na umieszczony w pulpicie zegarek.

–Już sześć minut po trzynastej. Rem spóźnia się, lecz otrzymałem wiadomość, iż przed godziną odebrano drugi przekaz i z pewnością chce nas zapoznać z jego treścią – rzekł, spoglądając ku ciemnej plamie, która niczym prostokątny otwór przecinała jasny pierścień obrazów telewizyjnych wypełniających jego gabinet.

–Czy rzeczywiście na jednej z planet Proximy odkryto ślady życia? – spytał. z niedowierzaniem sędziwy biolog z Limy. – To wydaje się nieprawdopodobne...

–A jednak... I to bynajmniej nie ślady, lecz życie w rozwiniętej postaci.

–Trudno uwierzyć...

–No, już jest Rem!

Luka w przestrzennej wizji zmętniała. Uczestnicy narady ujrzeni, jak w nie zajęтым dotąd wycinku barwnego pierścienia obrazów telewizyjnych wyrósł nieduży stolik fotolektora z pochyloną nad nim miedzianowłosą czupryną młodej uczonej.

–Przepraszam was, że się spóźniłam... I że będę referować trochę chaotycznie – podjęła unosząc głowę znad notatek. – Ale jestem pod wrażeniem ostatnich

wiadomości. Są równie rewelacyjne co niepokojące...

–Cóż się stało? Zapanowała pełna oczekiwania cisza.

–Pozwólcie – podjęła Rem – że najpierw przypomnę treść poprzednich meldunków. Trudno bez tego rozpatrywać istotę problemu. A jest on, moim zdaniem, najwyższej wagi... Najpierw jednak kilka uwag ogólnych. Jak z pewnością wszyscy z was wiedzą, przed trzema tygodniami odebraliśmy pierwsze sygnały z okolic Proximy. Wyprawa Astrobolidu po 131 latach podróży osiągnęła pierwszy cel: układ planetarny gwiazdy Proxima Centauri. Biorąc pod uwagę, że fale elektromagnetyczne biegną do nas z Proximy 4,3 roku, do obecnej chwili ekspedycja powinna opuścić już układ tej gwiazdy i przystąpić do badania Alfa Centauri A i B. Odpowiada to planowi prac przewidujacemu na Proximę dwa do czterech lat. Planowany pobyt w Układzie Alfa Centauri A i B ma trwać 4 do 8 lat. Nasze komunikaty, nadawane obecnie, będą więc odebrane przez załogę Astrobolidu, w najlepszym razie, pod sam koniec prac badawczych, a najprawdopodobniej – w czasie drogi powrotnej. Wspominam o tym, abyśmy zdawali sobie sprawę, że możemy być tylko biernymi obserwatorami losów ekspedycji. Nie mamy możliwości wpłynąć na bieg wydarzeń, a więc udzielić pomocy, gdyby taka pomoc była wskazana. Są zdani wyłącznie na własne siły.

–To zrozumiałe – wtrącił ktoś z odcieniem zniecierpliwienia. – Przejdźmy do rzeczy! Co było w drugim sprawozdaniu?

–Pozwolicie, że najpierw zreferuję treść pierwszego przekazu, który, jak wiadomo, odebraliśmy przed trzema tygodniami. Ze sprawozdania wynika, iż pierwsze zadanie: przebycie przestrzeni międzygwiazdnej na szlaku Słońce-Proxima Centauri, wykonane zostało zgodnie z programem. Niemal wszyscy uczestnicy ekspedycji pozostawali w stanie anabiozy hipotermicznej przez ponad sto lat i wszyscy wrócili do życia bez większych trudności. Nie stwierdzono żadnych zmian patologicznych czy degeneratywnych w organizmach na skutek długotrwałej hipotermii.

W chwili startu Astrobolidu – ciągnęła dalej uczona – sto trzydzieści siedem lat temu, załogę statku tworzyło siedemnastu naukowców i technologów, z których każdy miał co najmniej dwie specjalności: naukowo-badawczą i kosmonautyczną. Zabrano również ze sobą czworo dzieci, dalszych dwoje urodziło się już po starcie. Ponadto w skład załogi weszło dwoje młodych ludzi ze sztucznej wyspy kosmicznej Celestia. Tak więc do Układu Proximy przybyło dwudziestu pięciu ludzi, z których dwudziestu urodziło się na Ziemi, pięcioro zaś w przestrzeni kosmicznej.

–Komu potrzebna ta cała statystyka? – przerwał niezbyt uprzejmie geofizyk z Mombasy.

Rem spojrzała na niego przeciągle.

**–A jednak proszę o cierpliwość... – podjęła wsuwając plik kartek do radiopowielacza. – Dla pełnej orientacji przesyłam tabele z danymi personalnymi poszczególnych członków załogi. Proszę zwrócić szczególną uwagę na karty oznaczone czerwonymi punktami: Daisy Brown, Dean Roche, Zoe**

**Karlson, Allan Feldman i Zina Makarowa. To właśnie ci urodzeni w kosmosie! Proszę nie wrzucać tych kart do utylizatora. Będą nam jeszcze potrzebne przy rozpatrywaniu treści drugiego przekazu. Pierwszy, jak wiadomo, zawiera sprawozdanie z prac prowadzonych do chwili -rozpoczęcia emisji przez nadajnik maserowy wielkiej mocy, zainstalowany na księżycu planety II, nazwanej Urpą, gdzie założono bazę wyprawy. W sprawozdaniu tym znajduje się właśnie wiadomość, którą już z pewnością słyszeliście, o odkryciu życia w Układzie Proximy. Rozwinęło się ono na planecie I, krążącej najbliżej tej gwiazdy, w warunkach, jak się wydaje, zupełnie nie sprzyjających. Co dziwniejsze, orbita tej planety, nazwanej Temą, jest bardzo wydłużona i wątpliwe, aby była stabilna. Stwierdzono również występowanie na Urpie, w warunkach termicznych naszego Neptuna czy Plutona, znaczną zawartość wolnego tlenu w oceanach skroplonej atmosfery. Poza sprawozdaniami naukowymi przekaz ten zawiera także fragmenty wspomnień kilku członków załogi Astrobolidu.**

**–Mówiłaś o jakichś niepokojących wiadomościach... – wtrącił przewodniczący.**

**–Właśnie o tym chcę powiedzieć. Chodzi o drugi przekaz. Jest on niejednolity. Składa się z dwóch części o zupełnie odmiennej formie. Pierwsza część zawiera opis przygotowań do badań Temy, którymi ma kierować biolog Renę Petiot, a także wyniki wstępnych badań przeprowadzonych na planecie VII, zwanej Noktą, przez sześcioosobową ekipę pod kierownictwem ge-ologa-planetologa Mary Sheeldhorn. Druga część nie jest w istocie sprawozdaniem, lecz chaotyczną, utrzymaną w deklaracyjnym tonie relacją z jakiejś polemiki czy sporu, toczącego się wśród członków ekspedycji. W tekście tym są wzmianki o nieszczęśliwym wypadku, którego ofiarą stała się Zoe Karlson, i jakimś rewelacyjnym odkryciu. Jak można się domyślać, chodzi tu chyba o ślad pobytu istot inteligentnych na Nokcie. Niestety, brak zupełnie bliższych danych czy wyjaśnień, co właściwie odkryto.**

**–Może w sprawozdaniu istnieje luka?**

**–I ja tak początkowo myślałam. Ale druga część sprawozdania nadana została natychmiast po pierwszej. Prawdopodobniejsze wydaje się, iż owa druga część została przekazana albo przez pomyłkę, zamiast właściwego sprawozdania, albo ktoś umyślnie zamienił inforgramy.**

**–Jeśli zaszła pomyłka, to chyba się zorientują i właściwe sprawozdanie otrzymamy lada godzina – zauważył biolog z Limy.**

**–Być może... Nie zmienia to jednak faktu, że w łonie ekspedycji doszło do**

**niepokojącego kryzysu. Zresztą osądźcie sami... Oto jak brzmi ten dziwny tekst:**

**„Dziś, na godzinę przed naradą kierunkową, Andrzej zwołał "kolegium szefów". Rezygnacja Mary została przyjęta. Program nie będzie zmieniony. Sondáže i destrukcje nadal mają być przeprowadzane, a jak wynika z planu – będą dokonywane na wszystkich planetach kolejno, i to na coraz większą skalę.**

**A więc postawili na swoim. Nie dostrzegają, czy nie chcą dostrzec, zmiany sytuacji. Apel Kory, żeby każdy starał się działać tak, jak byśmy sobie życzyli,**

**aby w stosunku do nas postępowano, nie ma żadnego znaczenia. W istocie wszystko pozostaje po starym, a obecna struktura organizacyjna sprzyja pogoni za sukcesami bez względu na cenę. Zoe jest tego ofiarą, ale poza Mary nikt z »szefów« nie zamierza z tego wyciągnąć właściwych wniosków.**

**Doszukiwanie się irracjonalnych źródeł tego, co zrobiła Zoe, jest bardzo wygodne, lecz niczego nie wyjaśnia. Decyzja jej może wydawać się szaleństwem, ale przecież gdyby nie owo szaleństwo – czy odnaleźlibyśmy ten niezbity dowód, może jedyny, że nie jesteśmy samotną cywilizacją w tej części kosmosu? I czy uświadomilibyśmy sobie tak jasno granicę, której przekroczyć nam nie wolno?... Jeśli nawet tliło się gdzieś w nas pięciorgu – może sześciorgu, jeśli liczyć Mary – przekonanie, że to wszystko nie tak, że trzeba inaczej, dopiero dziś, po tym, co się na Nokcie wydarzyło: szaleńczego, tragicznego i wspaniałego zarazem, wiemy na pewno, że nie oni, lecz my mamy rację!**

**Nie jesteśmy chorzy psychicznie. To co twierdzi moja matka – to absurd. Dobrze chociaż, że nie wszyscy zgadzają się z jej diagnozą. Ale też nie jesteśmy naiwnymi dziećmi, jak wyśmiewa nas Wład – sam zresztą niewiele starszy ode mnie, jeśli liczyć lata fizjologiczne. A już aluzje Nyma na temat pochodzenia Daisy i Deana są wręcz nieuczciwe. Jak można się dziwić Alowi, że nie wytrzymał i powiedział, co o tym myśli. Może zbyt ostro, ale czasem tak trzeba. A jeśli chodzi o „pierścień Nibelungów[1]”, [to cała ta starogermańska mitologia pachnie z daleka próbą zamknięcia nam ust](#)”.**

**Rem skończyła czytać i przebiegła wzrokiem po zebranych.**

**–To wszystko? – zapytał przewodniczący.**

**–Wszystko. I co o tym sądzicie?**

**–Czy można zidentyfikować autora?**

**–Chyba tak. Z treści zdaje się wynikać, że ową matką jest lekarka, a jest ich w ekspedycji tylko dwie: Kora Heto i Zoja Makarowa. Heto nie ma dzieci. Makarowa ma córkę Zinę. I to chyba właśnie ona nadała ten dziwny tekst. Można więc**

**zidentyfikować całą pięcioosobową grupę. Są to: Zoe Karlson, Zina Makarowa, Allan Feldman, Daisy Brown i Dean Roche. To właśnie te karty, które oznaczałam czerwonymi punktami...**

**–Daj kartę Mary Sheeldhorn – przerwała chwilową ciszę historyczka z Krakowa,**

**Rem pochyliła się nad pulpitem.**

**–Niestety, dane o Mary Sheeldhorn nie odpowiadają tej regule – powiedziała jakby z żalem, wsuwając do radiopowielacza żadaną kartę. – Mary jest jednak matką Allana, może więc uległa wpływom syna.**

**–Czy wszyscy sześcioro pracowali razem na Nokcie?**

**–Otóż nie. W skład zespołu kierowanego przez Mary Sheeldhorn wchodził jej mąż i ojciec Allana, geofizyk-planetolog Hans Feldman, fizyk Wład Kalina, wszyscy troje urodzeni na Ziemi, oraz troje z owej grupy „kosmitów”:**

**Zoe Karlson, Dean Roche i Daisy Brown. Dean i Daisy to jeszcze jeden problem. Byli wychowani w bardzo specyficznych warunkach izolacji, na wyspie kosmicznej Celestia, będącej przez długi czas reliktem innej epoki[2]. Jak wynika z relacji tych, którzy ich znali przed 130 laty, trudno sobie wyobrazić, aby Daisy i Dean mogli przejawiać jakieś buntownicze tendencje. Przeciwnie – środowisko uczonych, w którym się znaleźli, bardzo im imponowało, byli więc pod urokiem takich ludzi, jak Kora Heto czy Andrzej Krawczyk. Dziwne, iż znaleźli się bądź co bądź w „młodzieżowej” grupie Zoe. Mówię o „grupie Zoe”, z uwagi na rolę, jaką ta dziewczyna odegrała w wydarzeniach na Nokcie. Kto jest przywódcą, trudno stwierdzić na podstawie tak skąpych informacji. Jeśli słuszne są podejrzenia, iż chodzi tu o jakieś zaburzenia psychiczne – może w ogóle grupa nie ma formy zorganizowanej.**

**Historyczka z Krakowa, zajęta jakimiś manipulacjami przy swym pulpicie, uniosła głowę.**

**–Gdzie przebywali w czasie badań planety Nokty pozostali członkowie grupy?**

**–Prawdopodobnie w bazie na Sel. Allan, jako biolog, miał wejść w skład zespołu Renćgo Petiot na Temie. Funkcja Ziny jest niejasna. Jako łącznościowiec – być może – ona właśnie obsługiwała nadajnik do porozumiewania się z Ziemią.**

**–Czy w pierwszej części drugiego sprawozdania nie ma niczego, co by mogło zapowiadać zbliżający się konflikt? Choćby wzmianki o jakichś sporach czy dyskusjach?**

**–Jest informacja o pewnych kwestiach spornych. Ale chodzi tli o problemy czysto**

naukowe, o interpretację wyników badań i obliczeń.

–Czego dotyczyły te dyskusje?

–Przedmiotem sporów jest hipoteza, iż Układ Proximy przeżył jakiś zagadkowy kataklizm. Jak wspomniałam, na Urpie występuje wolny tlen. Istnieją uzasadnione podejrzenia, iż powstał on w procesach przemiany materii żywych ustrojów typu naszej rodzimej przyrody. Organizmy oparte na białku zanurzonym w wodzie mogą się wprawdzie rozwijać w temperaturze, powiedzmy, minus 20°C – ale dopiero na szczyblu zwierząt stałocieplnych. Powstanie takiego życia i jego wczesne stadia są niemożliwe w warunkach permanentnego mrozu i zlodowaceń. A jeśli przyjąć, iż Urpa miała kiedyś klimat dostatecznie łagodny, aby mogło tam narodzić się i rozwinąć życie, Proxima musiała świecić wówczas co najmniej 400 razy jaśniej niż obecnie. Proporcjonalnie – temperatura na Temie byłaby tak wysoka, że w tych warunkach nie ma mowy nie tylko o powstaniu życia, ale nawet o utrzymaniu atmosfery przez siły grawitacyjne tej planety.

–Czy znaczy to – podjął przewodniczący – że Tema musiała kiedyś krążyć w odległości większej niż dziś?

–Nie tylko. Przygaśnięcie gwiazdy takiego typu jak Proxima następuje dość raptownie, zapewne w ciągu niewielu tysięcy lat. Rzadkość i kształt śladów uszkodzenia powierzchni Urpy przez meteoryty świadczy, że zlodowacenie nastąpiło tam niedawno, może zaledwie parę tysięcy lat temu. Jest więc całkowicie wykluczone, aby dopiero po przygaśnięciu Proximy powstała atmosfera na Temie i zrodziło się tam życie. Ze wstępnych obserwacji wynika, że liczy ono co najmniej dwa miliardy lat, nie licząc wcześniejszego okresu ewolucji prebiologicznej.

–A więc coś tu nie pasuje...

–Właśnie! Czy można przyjąć, że Tema zbliżyła się do Proximy właśnie wtedy, gdy ta przygasła?

–Może jednak tlen na Urpie nie ma pochodzenia organicznego? Rem wzruszyła ramionami.

–Może... Ale to nie zmienia faktu, że zlodowacenie jest stosunkowo świeże.

–A czy na Nokcie stwierdzono różnicę jakichś anomalii?

–Chyba nie. Są tylko wzmianki o śladach działania wysokiej temperatury. Ale może chodzi o działalność wulkaniczną?

Zapanowało milczenie. Dopiero po dłuższej chwili przerwał je geofizyk z Mombasy.

**–Pozwólcie, że wrócę do sprawy tej tzw. grupy Zoe. Jeśli część jej członków przebywała na Nokcie, inni zaś na Sel, a jednak zajmowali podobne stanowiska, musieli być chyba w radiowym kontakcie?**

**–Niekoniecznie. Cała sprawa wybuchła dopiero po owym tajemniczym odkryciu, o którym zresztą nic konkretnego nie wiemy, podobnie jak o wypadku Zoe. Wzmianka o „kolegium szefów” i rezygnacji Sheeldhorn pozwala przypuszczać, że ekipa z Nokty wróciła do bazy i tam dopiero doszło do otwartego konfliktu. Dlaczego jednak Mary zrezygnowała ze stanowiska, nie wiadomo. Może jako odpowiedzialna za wypadek Zoe?**

**–A więc twoim zdaniem... – rozpoczęła krakowska historyczka i urwała. Znów pochyliła się nad swym pulpitem, potem nagle wstała z fotela i patrząc jakoś dziwnie na Rem powiedziała: – Mówisz, że Mary Sheeldhorn nie pasuje do grupy Zoe. Otóż mylisz się! W czasie, gdyśmy słuchali twego sprawozdania, na moje polecenie ABI dostarczył mi danych dotyczących rodziców Mary. Rzeczywiście urodziła się ona na Ziemi, ale... w cztery miesiące po powrocie jej rodziców z bazy naukowej na Arielu, księżycu Urana, gdzie przebywali blisko dwa lata.**

# Cześć I

## Skok przez czas i przestrzeń

### CO TO BYŁO?

#### (Ze wspomnień Nyma Engelsterna)

Układ Słoneczny, 20 stycznia 2404 r.

Dobrze zapamiętałem ten dzień. Od siedemnastu godzin tkwiłem labdżetem w przerwie Cassiniego, niedaleko zewnętrznej krawędzi pierścienia B[3]. Wokół – niby iskry o różnej barwie i mocy, rozniecone pośród czarnej, nigdzie nie kończącej się przestrzeni – świeciły równym blaskiem roje gwiazd.

Pośród tych gwiazdnych ogników biegła perłowa obręcz pierścieni Saturna, spięta żółtawą tarczą tej planety. Dążąc na spotkanie planetarnemu olbrzymowi, obręcz pozornie rosła, potem, zakrywszy szerokim pasem jego równik, znów zwężała się do cienkiej kreski, rozcinając niebo na dwie półkule.

Poza przezroczystą ścianą labdżeta rozciągał się ogromny, jasny pierścień, złożony przeważnie z brył lodowych. Kryształy lodu skrzyły się i migotały, rzucając postrzępione cienie na sąsiednie bloki.

Słońce świeciło po przeciwnej stronie, ukośnie do wąskiej, jasnej pręgi pierścienia zewnętrznego. Jego tarcza o średnicy prawie dziesięciokrotnie mniejszej niż oglądana z Ziemi, kłuła w oczy jaskrawym żółtym blaskiem.,

Przysłoniłem dłonią czoło. Na prawo od Słońca, tuż przy pierścieniu zewnętrznym, lśniła seledynowa obręczka atmosfery Tytana. Na lewo, obok Ja-petusa, świecącego właśnie lustrzanym odbiciem Słońca, rysowała się w dali pasem setek brył rozrzuconych po niebie krawędź pierścienia B.

Moje palce przebiegły po przyciskach. Począłem obracać powoli dużą czarną gałkę synchronizatora.

W tej samej chwili, wśród bladych brył pierścienia, błyskającym odbitym światłem słonecznym na tle czarnego nieba, rozpalila się jaskrawym pomarańczowym blaskiem gwiazda. Za każdym ruchem mojej ręki stawała się coraz jaśniejsza, coraz bardziej żółta, to znów, gdy obracałem pokrętko w przeciwnym kierunku, bladła i czerwieniała.

To była moja gwiazda, której żaden astronom nie potrafiłby nazwać ani imieniem, ani numerem katalogowym. Zawsze, gdy ją „zapalałem”, przypominała mi się stara, zasłyszana kiedyś bajka: Istota półboska – Anioł – zapala gwiazdy na niebie. Jedną po drugiej. Każde rozbłyśnięcie na firmamencie niebieskim zwiastuje narodziny człowieka na Ziemi, wraz z nadzieją, a może i obietnicą lepszych losów. Ale zawsze, nieuchronnie przychodzi taki czas, że Anioł gasi te gwiazdy dmuchnięciem. Kolejno, jedną po drugiej. Skoro zaś gaśnie gwiazda – gaśnie również życie człowieka, który do niej należał, a wraz z nim gasną również wszystkie gwiazdne obietnice...

Oderwałem wzrok od mojej „gwiazdy”, aby rozejrzeć się dokoła. Znałem ten obraz dobrze, a mimo to chłonałem chciwie niezwykle widoki. Tak patrzy człowiek na miejsca, z którymi związał cząstkę swojego serca – wtedy, gdy je opuszcza na długo, może na zawsze...

Byłem rzeczywiście w podobnej sytuacji. Przed kilku laty opracowaliśmy wspólnie – ja i trzech kolegów fizyków – nową metodę sterowania emisją jądrową ciał klasy H, opartą na rezonansie rotacyjnym Perkona. Prace zespołu miały doniosłe znaczenie praktyczne, gdyż wiązały się z problemem przekazywania energii z jednych ciał niebieskich na inne.

Teoretyczne wyliczenia<sup>1</sup> doświadczenia laboratoryjne wymagały sprawdzenia w skali kosmicznej. Jako teren najbardziej odpowiedni do tego wybraliśmy pierścienie Saturna. Tu można było eksperymentować na bryłach gęsto skupionych, o niejednakowym składzie chemicznym i różnej wielkości.

Przeprowadziliśmy szereg udanych doświadczeń, ale do zakończenia prac było jeszcze daleko. Tymczasem moje osobiste plany skomplikowały się bardzo. Miałem wejść w skład załogi pionierskiej wyprawy międzygwiazdnej i nie dopuszczałem nawet myśli o zrezygowaniu z tego zaszczytnego wyróżnienia. Tę serię doświadczeń chciałem jednak zakończyć osobiście i przekazać kolegom wyniki już względnie zamkniętego etapu badań. Postanowiłem więc pozostać w układzie księżyców Saturna tak długo, jak to będzie możliwe, i dołączyć do wyprawy już po starcie Astrobolidu, w okresie wstępnego sprawdzania wszystkich urządzeń statku międzygwiazdowego.

Teraz ten okres intensywnego wysiłku, a nawet – można rzec – wyścigu z czasem, miałem już poza sobą. Właśnie kazałem zawiadomić Astrobolid, że pojutrze, gdy tylko RD-18 przyleci na Tetydę [\[4\], wyruszę w pościg za statkiem. Według ostatniego komunikatu znajdował się on już w odległości ponad pięciu miliardów kilometrów od Słońca, oddalając się od niego lotem beznapędowym z prędkością 2000 km/s.](#)

Właściwie mogłem już wrócić na Tetydę i trochę odpocząć przed podróżą, ale ciągle zwlekałem. Pragnąłem jeszcze choć raz ujrzeć moją „gwiazdę”. Znów sięgnąłem do tablicy rozdzielczej. Począłem ostrożnie manipulować gałką i guzikami, śledząc każdą

zmianę na licznikach i ekranach.

Założywszy okulary ochronne, spojrzałem raz i drugi na swoją „gwiazdę” i zdumiałem się. Czyżby szkła okularów lub szyby rakiety pokryła rosa? To było niemożliwe.

A jednak... Wyraźnie rzucał się w oczy mglisty, przezroczysty pierścień, przypominający z przyrody Ziemi zjawisko halo – barwny krąg świetlny, czasami otaczający Księżyc.

Uświadomiłem sobie naraz zadziwiający fakt, że ów tajemniczy pierścień nie otaczał „gwiazdy”, ale błyszczał z boku, oświetlony jej promieniami.

Zjawisko nie pozostawało w bezruchu. Wydawało mi się, że pulsuje ono szybko, zmieniając rozmiary. Nagle pierścień wykonał obrót o 180 stopni i przerodził się w tarczę złożoną z kół współśrodkowych. Coś zapamiętałe błyskało w jej centrum.

Jednocześnie poczułem lekki zawrót głowy.

Nieprzyjemne uczucie potęgowało się. Gwiazdziste niebo parokrotnie przekościłkowało przed moimi oczami. Nigdy w życiu nie przeżywałem takiego stanu. Czyżby przemęczenie? Chyba nie. Ostatnio, mimo intensywnej pracy, czułem się doskonale.

Usiłowałem za wszelką cenę zachować spokój, lecz przychodziło mi to z trudnością. Tępy ból pod czaszką zwiększał nastrój zdenerwowania. Czułem się coraz bardziej nieswojo.

Z wysiłkiem skupiłem myśli i zacząłem powoli, równomiernie zwiększać tempo rozpadu jądrowego eksperymentalnej bryły. Jasność „gwiazdy” rosła, a wraz z nią stawał się coraz wyraźniejszy ów owalny, zagadkowy twór. Starłem się oświetlić go jeszcze silniej. Naraz uczułem lodowaty dreszcz. Ujrzałem wyraźnie, jak wółprzezroczysta tarcza, złożona z ruchliwych kręgów, faluje, kurczy się, to znów olbrzymieje, aż wreszcie poczyną pędzić wprost na mnie. Wewnątrz jasnego pierścienia ujrzałem gigantycznych rozmiarów rakiety – swojego labdżeta – jakby odbitą w powiększającym lustrze. Zjawisko przybliżało się w zawrotnym tempie; miałem uczucie, że jeszcze parę sekund, a nieuchronnie nastąpi zderzenie. Zderzenie z niewiadomym...

Uczułem nowy, jeszcze gwałtowniejszy zawrót głowy... Byłem bliski omdlenia. Ostatnim przebłyskiem przytomności zerwałem plombę bezpieczeństwa. Odruchowo zamknąłem oczy.

Poprzez szkła ochronne i zaciśnięte powieki przedarł się wszechpotężny błysk. Jakby sto słońc zapłonęło na niebie.

Odczułem wyraźną ulgę. Wydało mi się, że zdjęto ciężar przygniatający moją głowę. Wtedy uświadomiłem sobie, że spowodowałem eksplozję jądrową, nie oddalivszy się na bezpieczną odległość. Zdjąłem okulary ochronne i spojrzałem na tablicę kontrolną. Istotnie, otrzymałem zbyt dużą dawkę promieniowania i trzeba było zażyć odpowiedni preparat.

Czym jednak było to, co widziałem? Ogarnęły mnie wątpliwości. Czy zagadkowe zjawisko nie było halucynacją? Niestety, jako jedyny ślad niedawnego wydarzenia pozostała tylko rozległa wyrwa w pierścieniu Saturna, przecinana raz po raz przez bryły lodowe, wytracone eksplozją ze swych orbit.

Może zapis coś wyjaśni – pomyślałem, przystępując natychmiast do badania taśmy. Niestety, kamera była nastawiona wyłącznie na „gwiazdę”.

Zważywszy, że za dwa dni wyruszę w drogę poza Układ Słoneczny i że nie będzie mnie tu przez blisko trzysta lat – wiedziałem już, że nie mam żadnych możliwości rozwiązania zagadki.

–Nym! Przybądź do centrali dalekiego zasięgu natychmiast po wylądowaniu!

Na ekranie widniała znajoma twarz dyżurnego łączności.

–Co się stało? Czy jakaś wiadomość o RD-18?

–Nie. Z Astrobolidu. Sprawa bardzo pilna! – Wyraz twarzy i głos dyżurnego wyrażały najwyższe zdenerwowanie...

Moja rakietka znajdowała się już nad kosmodromem. Przez przednią szybę było widać jasno oświetlony pas lądowiska.

Automaty włączyły hamowanie. Z przedniej dyszy labdżeta wystrzelił snop gazów. Po chwili, sunąc lekko na wysuniętych gąsienicach, rakietka wjechała do hangaru.

Niemal biegiem wpadłem do centrali.

–Co się stało?

Dyżurny łączności bez słowa podał mi kartkę papieru.

Przeczytałem tekst depezy raz i drugi:

Dziwią nas nieporządki w centrali na Tetydzie. Donosicie, że Nym Engelstern odlatuje z Tetydy jutro, gdy w rzeczywistości godzinę temu przybył na Astro-bolid i już śpi w swoim pokoju. Przed chwilą włączyliśmy silnik celem zwiększenia prędkości statku do 10 ODO km/s.

**Treść depeszy była tak absurdalna, że nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż po prostu koledzy splatali mi figla.**

**–Ależ to naprawdę wiadomość z Astrobolidu – upewniał mnie dyżurny. – O, patrz: tu jest oryginalna taśma. Możesz sprawdzić.**

**–Wobec tego nic nie rozumiem – powiedziałem w osłupieniu. Nie miałem wątpliwości: depesza była istotnie nadana na Astrobolidzie.**

**–Czy wysłałeś wyjaśnienia?**

**–Oczywiście. Natychmiast po otrzymaniu depeszy. Ale...**

**–Co ale?**

**–Sygnał przecież leci blisko sześć godzin w jedną stronę. Rozumiesz więc...**

**–Gdyby RD-18 była już tu...**

**–Niestety. Przyleci dopiero jutro – westchnął dyżurny. Chwyciłem go kurczowo za ramię.**

**–Czy Bili jest jeszcze na Tetydzie?**

**Dyżurny przytaknął.**

**–Połącz mnie z nim natychmiast. Polecę jego rakieta! Zaraz. Za godzinę!**

**–Ależ to maszyna nie przystosowana do tak długich lotów!**

**–Nieważne! Dam sobie radę. Połącz mnie natychmiast z Billem. Natychmiast!**

# SZALONY CHŁOPAK

## (Ze wspomnień Mary Sheeldhorn)

Astrobolid, pierwszy rok podróży

Sita 3722, mała skalna wysepka kosmiczna, od milionów wieków obiegała Słońce i oprócz nielicznych, z czasem coraz rzadszych zderzeń z podobnymi do niej twardymi bryłami materii nic nie mąciło jej kamiennego, zda się wiecznego spokoju. Aż nadszedł dzień, gdy na jej niegościnniej powierzchni osiadł wie-loramienny potwór. Wpił się potężnymi pazurami w skaliste ciało planetoidy, a jego ogniste paszcze zaczęły pożerać coraz to nowe tony jej twardego mięszu. Zaledwie po raz wtóry bład punkcik Merkurego [\[5\] zdążył skryć się wśród blasków korony słonecznej, a już we wnętrzu metalowego potwora, krążące dotąd beużytecznie w przestrzeni, twarde, kamienne bloki planetki zmieniły się w cudo techniki XXV stulecia – okręt międzygwiazdny.](#)

Gdy po raz pierwszy ujrzałam ów błyszczący, kulisty twór, mający służyć nam na długie dziesięciolecia za jedyny dom i wszechstronne laboratorium, pośród słoneczno-gwiazdzistego nieba świecił Mars, tak -bliski, że gołym okiem można było rozróżnić jego sierp i dwa księżyce, niby robaczki świętojańskie okrążające planetę: jeden wolno, drugi bardzo szybko.

Ale myśli nasze były wtedy skierowane gdzie indziej. Oczy wracały uparcie tam, gdzie opodal Słońca, blisko siebie, świeciły dwa błyszczące punkty:

Wenus i Ziemia. Łapczywie łowiliśmy każdy promień słonecznego światła odbity od naszej ojczyzny, patrząc w jej niebieskawe oblicze jak w twarz ukochanego przed długim rozstaniem.

Oto wkrótce, zrodzony w tyglu nowoczesnego alchemika, bajkowy statek zabierze nas – dzieci Ziemi – daleko, w nieznaną świat, którym włada promienny Toliman [\[6\], tam gdzie Słońce jest tylko najjaśniejszą z gwiazd Kasjopei.](#)

Na Sitę 3722 przyleciałam z Astrid w ostatniej grupie, na dwa dni przed startem Astrobolidu. Tym samym „pasażerem” przybyli: nasza główna anabiotyczka – fizjolog i lekarz Kora Heto, przyszły szef łączności – Rita Croce, cybernetyczka Mei-Lin Tai z dwojgiem dzieci oraz geolog-planetolog Igor Kondratiew z żoną, lekarką Zoją Makarową, i dwuletnią córeczką Ziną. Kondra-":iewa znałam dotąd wyłącznie z licznych prac naukowych. Niemniej jego pociecha uznała mnie od pierwszej chwili za ciocię, wiążąc z tym nieco uciążliwy przywilej odpowiadania na jej nieustanne pytania.

**Jej ojciec – przyznaję to dziś szczerze – wydał mi się nieznośnym milczkiem,:: którym sam na sam nie wytrzymałabym ani miesiąca, a cóż dopiero 260 lat. Jednak pozory mylą, Igor potrafi mówić, i to jeszcze jak. Ale tylko wtedy, gdy zechce. Niestety, nieczęsto chce.**

**Na polowym kosmodromie Sity czekał już na nas Hans, za którym Astrid bardzo się stęskniła. Poza Hansem było już w bazie ośmiu członków załogi Astrobolidu. Brakowało tylko astrofizyka Nyma Engelsterna, który nie zdążył ukończyć w terminie swych prac i postanowił dogonić nas dopiero po starcie.**

**Choć nazwiska niemal wszystkich przyszłych współtowarzyszy podróży nie były mi obce, jednak osobiście, i to bardzo blisko, znałam tylko Renego Petiot. Studiowaliśmy razem paleontologię na uniwersytecie w Santiago de Chile dwa lata mieszkaliśmy w sąsiadujących z sobą pokojach. Petiot wyróżniał się;pośród kolegów dość wszechstronną wiedzą oraz dużą systematycznością '...-/ pracy. Nie znosił jednak egzaminów, które z reguły zdawał poniżej swych stotnych możliwości, cierpiąc na chroniczne ataki tremy. Nierzadko ci, 'tórym pomagał w studiach, osiągali lepsze noty. Jego istotne walory jako wybitnego naukowca wyszły na jaw dopiero później, gdy ogłosił drukiem -swą pierwszą rewelacyjną pracę z dziedziny psychologii małp człekokształtnych. Ja w tym okresie przerwiałam się na geologię do Los Angeles i straciłam Renego z oczu.**

**W czasach studenckich my, bliżsi przyjaciele Renego, wiedzieliśmy jeszcze o jednej jego umiejętności, która zresztą dość często dawała się nam we znaki. Większość kolegów nie podejrzewała ani na moment, że w bardziej zażyłym gronie ten nieśmiały chłopak błyskał raz po raz ciętym dowcipem i żywym humorem.**

**Nie widziałam go blisko dziesięć lat. Spowaźniał nieco i schudł, wydając "się w swej czarnej bluzie wyższy, niż był naprawdę. Przywitał się ze mną bardzo serdecznie już w przedsiönku, a potem, zapraszając ruchem ręki podchodzącą do nas młodą kobietę o gładko zaczesanych blond włosach, zawołał:**

**–Poznajcie się: Mary Sheeldhorn, o której ci już mówiłem, Ingrid Karlson, planetograf światowej sławy i moja narzeczona.**

**–Nie pleć. Renę – Karlson spłonęła rumieńcem.**

**–Czyżbyś chciała dać mi kosza? – przymrużył filuternie oko. – Na dwie godziny przed ślubem?**

**–Ależ nie o tym mówię... – zaprzeczyła żywo, lecz Renę nie pozwolił jej dokończyć.**

**–Otóż wiedz, że Ingrid i ja odłożyliśmy naszą uroczystość weselną na dzień startu Astrobolidu. W ten sposób pobijemy rekord.**

**–Jaki rekord?**

**–Odbędziemy najdłuższą w historii świata podróż poślubną.**

**–Widzę, Renę, że nie zmieniłeś się zbyt – odparłam. I przypominając mu studenckie czasy zapytałam: – O kawałach też pewno nie zapominasz?**

**–Postanowiłem ostatecznie z nimi skończyć od chwili, gdy ta podła istota – wskazał na narzeczoną – spletała mi wczoraj psotę, którą będę pamiętał dosłownie na wieki.**

**–Jaką psotę?**

**–Dzięki niej przy podziale funkcji zostałem generalnym kucharzem Astro-bolidu!**

**–Nie kucharzem, tylko inżynierem gospodarczym – sprostowała Ingrid.**

**–W praktyce to niewielka różnica – rzekł ponuro. – Przecież w porównaniu z obsługą uniwersumproduktora żywnościowego inne funkcje to drobiazg.**

**–Zawsze miałeś słabość do spraw kulinarnych – usiłowałam go pocieszyć.**

**–Teraz na pewno znienawidzę wszystko, co ma jakiś związek z produkcją syntetycznej żywności. Przecież nasza załoga składa się z Amerykanów, Chińczyków, Rosjan, Angielki, Australijczyka, Białorusina, Słowaka, Niemca, Polaka, Południowo-Afrykanki i Francuza, a nawet córki Japończyka i amerykańskiej Murzynki. Czy ja potrafię im wszystkim dogodzić? A zresztą – machnął ręką – nie martwię się. Niech się oni martwią, że mnie wybrali...**

**Na godzinę przed startem spotkaliśmy się wszyscy w ogrodowej sali Astrobolidu. Zebranie prowadził Andrzej Krawczyk, długoletni wiceprezes Międzynarodowej Akademii Nauk, człowiek, którego nazwisko było od kilku lat na ustach całego świata w związku z przygotowaniem do naszej wyprawy. Zawsze spokojny i zrównoważony, a nawet czasem nieco sztywny i pryncypialny, teraz z trudem ukrywał wzruszenie. Wszak za kilkadziesiąt minut miało zrealizować się przedsięwzięcie, którego był duszą i mózgiem.**

**Najpierw zabrali głos konstruktorzy naszego statku. Siwy jak gołąb inżynier Carmora życzył nam wielu niespodzianek żałując, iż nie może wziąć udziału w wyprawie z powodu podeszłego wieku (liczył sobie już 162 lata). Potem zwięźle sprawozdanie złożył młody konstruktor rakiet i nasz przyszły główny pilot – Wiktor Sokolski. Po nim z humorem opowiadał o perypetiach pierwszego okresu budowy wiecznie uśmiechnięty i ruchliwy Jarosław Brabec. Wreszcie Heng Suń, słynny chemik, podał pokrótce ważniejsze szczegóły dotyczące bilansu surowcowego i energetycznego naszego statku.**

**Spodziewałam się, że przewodniczącym rady Astrobolidu zostanie Krawczyk, jednak myliłam się. Nasz główny lekarz, William Summerbrock, uzasadnił rzeczowo i przekonująco kandydaturę Kory Heto:**

**–Dziewięćdziesiąt pięć procent czasu podróży wypełni nam sztuczny ana-biotyczny sen. A więc najważniejszą funkcję w tym okresie pełnić będzie Kora. Ona przecież udoskonaliła metodę endogennej hipotermii submole-kularnej Atkinsa-Kawatake. Mamy do niej pełne zaufanie. Jej wiedza, zdolności organizacyjne i wysokie poczucie odpowiedzialności za losy ekspedycji nie wymagają komentarzy. Dlatego sądzę, że przynajmniej do chwili wejścia w Układ Proximy właśnie Kora powinna pełnić funkcję przewodniczącej.**

**Afrykańska uczona siedziała w swym fotelu z opuszczoną głową. Czuła się onieśmielona i wzruszona. Nie podniosła też oczu, gdy jej kandydatura przyjęta została jednogłośnie. Tylko kąciki wydatnych ust drgały nerwowo i długie palce przemierzały raz po raz krawędź stołu.**

**Krawczyk oddał jej przewodnictwo zebrania. Podniosła się z fotela. Głosem miękkim i ciepłym zaczęła mówić o celu ekspedycji, bez patosu i naukowej frazeologii, kończąc słowami jakiegoś starożytnego myśliciela o człowieku – wiecznym poszukiwaczu prawdy.**

**Potem znów mówił Krawczyk. Jako główny koordynator badań referował szczegóły planu pierwszych dwóch etapów wyprawy. Najbliższym zadaniem miało być wyjaśnienie losów starego sztucznego księżycy CM-2, który opuścił Układ Słoneczny w końcu XX wieku. Osobiście nie wierzyłam, abyśmy mogli znaleźć tam jeszcze jakieś żywe istoty. Rzeczywistość pokazała, jak bardzo się myliłam..Drugi etap obejmował kilkuletnie prace badawcze w układzie planetarnym gwiazdy Proxima Centauri[7].**

**Plany te znaliśmy od dawna i byłam nawet zdziwiona, że włączono ten punkt do porządku dziennego. Gdy podzieliłam się tą uwagą z siedzącym obok mnie Hansem, zdradził mi, że był to pomysł sekcji popularyzatorskiej MAŃ, mający nadać transmisji z odlotu Asfrobolidu „więcej cech autentyzmu”.**

**Wreszcie Krawczyk skończył i usiadł w swym fotelu.**

**Zebranie dobiegało końca. Zamknęła je krótka uroczystość zaślubin Ingrid i Renego, którym Kora życzyła z humorem wydatnego udziału w pomnażaniu załogi naszego statku międzygwiazdowego.**

**Potem żegnaliśmy wszyscy długo i serdecznie inżyniera Carmorę oraz jego dwóch młodych pomocników – ostatnich mieszkańców Ziemi, których widzieliśmy twarzą w twarz. Ale nie zazdrościliśmy im, że wracają do ojczyzny. Raczej oni zazdrościli nam**

dalekiej drogi, pełnej z pewnością bajkowych wrażeń i przygód.

Start nastąpił punktualnie o godzinie osiemnastej czasu uniwersalnego. Początkowo, oddalając się od planetki, statek nabierał prędkości bardzo wolno. Obok nas płynęła w przestrzeni rakieta transportowa, pchając przed sobą wielki uniwerproduktor – kolebkę Astrobolidu.

Wreszcie w bezpiecznej odległości od Sity 3722 ruszyliśmy pełną mocą silnika. Jasny strumień materii odrzutowej, spływający ze świecącej kuli statku, wykonał szybki, płynny obrót, przybierając ukośne położenie do płaszczyzny Układu Słonecznego. Wchodziliśmy na właściwy szlak.

Snop materii odrzutowej o prędkości 6200 km/s uderzył niespodziewanie o powierzchnię planetoidy. Cios był tak potężny, że miejsce uderzenia zmieniło się błyskawicznie w parę. Po chwili z wielkiej iglicy zostały tylko porzrucane na wszystkie strony bloki, nierzadko nadtopione muśnięciem strumienia jonów.

Podążający dotychczas wraz z nami „uniwer” Carmory szybko kurczył się na niebie, przybierając rozmiary talerzyka, monety, później ziarnka grochu, aż znikł zupełnie z pola widzenia.

Silnik pracował przeszło dwie doby, rozpędzając Astrobolid do prędkości 2000 km/s. Potem snop srebrzystych jonów zgasł. Chodziło o to, żeby Nym Engelstern mógł nas dogonić długodystansową rakieta RD-18, która nie rozwijała prędkości większej nad 3000 km/s.

Z dnia na dzień malało Słońce. Coraz słabiej świeciła ojczysta Ziemia. Już wkrótce przestała być widoczna gołym okiem.

W dwudziestym dziewiątym dniu lotu automaty zasygnalizowały zbliżanie się niewielkiej rakiety. Właśnie graliśmy w piłkę wodną, gdy nad basen przybiegła Suzy wołając, iż nadlatuje Engelstern.

Ach, prawda! Nie przedstawiłam tej pupilki naszego zespołu naukowego. W chwili startu liczyła nie więcej niż osiemnaście lat. Córka wybitnego ekonomisty japońskiego odziedziczyła po ojcu trzeźwy analityczny umysł i skośne, jakby wiecznie zamyślane oczy. Po matce, słynnej pianistce murzyńskiej, miała nie tylko nazwisko [\[8\]](#), [lecz ciemną skórę i subtelność uczuć.](#)

Była jedynym członkiem naszego-zespołu badawczego, który ukończyć miał studia już w czasie drogi Astrobolidu do Alfa Centauri. Kandydatura jej została wysunięta przez Międzynarodowy Kongres Studentów. Dotychczasowe samodzielne, choć skromne jeszcze prace Suzy z dziedziny fizyki wróżyły dziewczynie przyszłość wybitnego naukowca.

**Polubiliśmy ją wszyscy od pierwszego dnia podróży. Teraz stała nad brzegiem basenu i gestykulując żywo przynaglała nas:**

**–Chodźcie do centrali! Nareszcie znalazł się Engelstern. Spieszcie się!**

**Nie potrzeba było nas zachęcać. Po miesiącu oczekiwanie na przybycie Engelsterna zaczęło się dłużyć nawet najcierpliwszym. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy wreszcie włączone będą ponownie silniki dla zwiększenia prędkości do 10000 km/s.**

**Narzuciwszy płaszcz kąpielowy na wilgotne jeszcze ciało, wkrótce znalazłam się w centrali radiowej wraz z Ingrid i Jaro (tak nazywaliśmy od pierwszego dnia podróży Jarosława Brabca). Był tam już Andrzej, Wiktor, Kora i oczywiście Suzy, która ruchem ręki nakazała nam milczenie.**

**Rita manipulowała licznymi urządzeniami centrali, próbując nawiązać łączność z rakieta Engelsterna, potem odwróciła głowę i objęła wzrokiem naszą grupkę stojącą za jej fotelem.**

**–Na razie nic – objaśniła zgadując myśli wszystkich. – Wciąż jeszcze nie mogę się z nim połączyć.**

**–Sądysz, że to nadlatuje Engelstern? – zapytał Sokolski.**

**–A któż by inny? Co prawda", jesteśmy jeszcze w obrębie Układu Słonecznego, jednak w sąsiedztwie nie ma już żadnej bazy kosmicznej. Tor, po którym porusza się nasz statek, jest nachylony blisko 55 stopni do płaszczyzny orbity ziemskiej, nie spotkamy więc po drodze żadnej planety. Najbliżej znajduje się obecnie Uran, bo w odległości 4,5 miliarda kilometrów, ale wątpię, aby ktoś stamtąd wyruszył w pogoń za nami. W jakim celu? To może być tylko Nym Engelstern.**

**–Tak! To musi być on! – podchwyciła Suzy.**

**–Kierunek ruchu wskazuje, że leci z Ziemi – podjął Sokolski, patrząc na ekran.**

**–A wiesz, że to zastanawiające – przyznała Rita.**

**–Dlaczego się nie zgłasza? Przecież jasne, że leci do nas.**

**–Już hamuje. Zaraz powinien tu być!**

**Spojrzeliśmy na ekran radarowy. Wychylenie świecącego ząbka wskazywało na silne przyspieszenie ujemne. Rita nacisnęła guzik. Zapłonęła niewielka skala – rakieta dzieliło od Astrobolidu tylko 6800 kilometrów.**

**Krawczyk zmarszczył brwi.**

–Ta rakietą zaczyna mi się nie podobać. Hamuje tak gwałtownie, jak gdyby leciała bez człowieka.

Nachylił się i dotknął palcami dwu guzików pod ekranem radarowym. Wynik był niepokojący: przyśpieszenie wahało się od 4 do 8 G, chwilami skacząc nawet na 9 G[9].

–Chodźmy do obserwatorium – powiedział astronom, pociągając za sobą Korę. Po chwili w drzwiach ukazała się głowa Renego.

–No i co? Jest Nym? – zapytał,

–Nie wiem – odparła niepewnie Rita.– – Chyba tak. Niepokoi nas jednak to nadmierne hamowanie – wskazała na licznik.

–Co? 9 G? – Renę gwizdnął przez zęby.

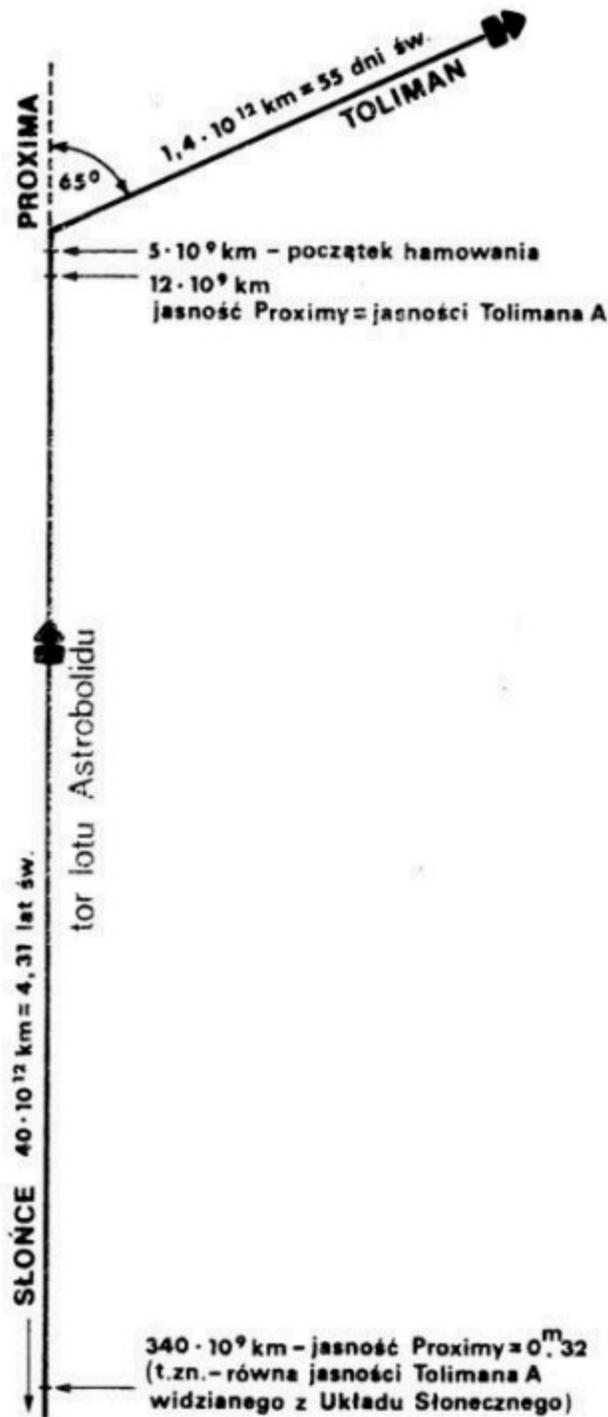
–A może ten pojazd jest tylko automatem? – wtrąciła Ingrid.

–Prawdopodobnie tak – odparł Renę. – Wyobraź sobie: 9 G przyśpieszenia! Jak byś się czuła pod taką prasą? Co?

Wiktor pokręcił przecząco głową. Znał te zagadnienia lepiej od zoologa.

–To nie przesądza sprawy – zauważył. – W maszynach wyczynowych, mających urządzenia pozwalające pilotowi znieść duże przyśpieszenie, wartość 9 G jest daleka od rekordu. Nie może jednak utrzymywać się zbyt długo.

I. Ostatnia faza lotu Astrobolidu do Układu Proximy (odległość od gwiazdy Proxima Centauri w kilometrach)



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 1. Ostatnia faza lotu Astrobolidu do układu Proximy (odległość od gwiazdy Proxima Centauri w kilometrach)

Rita chciała o coś zapytać, ale w tym momencie ekran wideofoniczny zamigotał raz i drugi. Pojawiła się twarz pilota.

Z ekranu patrzyły z wyrazem jakby obawy czy niemej prośby duże, niebieskie oczy. Był to młody mężczyzna, ubrany w kombinezon regulujący przepływ krwi przy dużych przyspieszeniach.

Suzy, która wyszła na chwilę z centrali i powróciła niemal równocześnie z pojawieniem się obrazu, zawołała radośnie:

–Witamy cię, Nym! No, wreszcie załoga jest w komplecie. Rita odwróciła głowę.

**–Znasz go?**

**–Widziałam jego zdjęcie w jakimś czasopiśmie... Zaraz, zaraz, gdzie to było?**

**–Nieważne – przeciął Renę. – Wiadomo, że to Nym Engelstern. Znam jego ojca. Bardzo podobny.**

**Rita też widziała raz zdjęcie Engelsterna w „Przeglądzie Astrofizycznym”. Wydał się jej wtedy nieco starszy, ale dyskusję na ten temat uznała za bezprzedmiotową.**

**Twarz nowego członka załogi zdradzała ogromne wyczerpanie. Parę razy poruszył wargami, ale nie można było zrozumieć, co mówi. Tymczasem Rita nakazała mu przełączyć autopilota na sterowanie zdalne. Rakieta była tuż-tuż.**

**Obraz przybysza rozpląnął się w czerni. Równocześnie Rita włączyła ekran prowadzący i po chwili objęła pilotowanie zbliżającej się rakiety, by ją wprowadzić do wnętrza Astrobolidu.**

**Zostawiliśmy ją samą i przeszliśmy do obserwatorium astronomicznego. Zastaliśmy tam prawie połowę astronautów skupioną wokół pantoskopu.**

**Na ekranie widoczny był mały jednoosobowy pojazd kosmiczny typu sportowo-wyczynowego. Sokolski objaśnił ponadto, że rakieta ta należy do serii eksperymentalnej, której pierwsze próby sprawności miały miejsce zaledwie przed dwoma miesiącami.**

**Po chwili stateczek kierowany na odległość przez Ritę wykonał zwrot, zataczając pętlę wokół Astrobolidu. Oczom naszym ukazał się spód pojazdu oraz jarzące się fosforycznym światłem nowiutkie litery i cyfry: KRS 1207e KS-53 ŚWIATOWID.**

**Napis wskazywał, iż bazą macierzystą rakiety jest polski sztuczny księżyc.**

**–W jakim celu Engelstern poleciał na Światowida? – zdziwiła się Kora.**

**–.Niemożliwe, by stamtąd przybywał – odparł Renę. – Raczej podejrzewam, że raketę tę odstąpił Nymowi jakiś polski pilot w drodze z Saturna.**

**Gdy pojazd został wprowadzony do śluzy, na spotkanie pilota wyruszyła niemal cała załoga. Jednak na.razie jakakolwiek rozmowa z przybyłym okazała się niemożliwa.**

**Młody człowiek wprawdzie otworzył naciśnięciem guzika właz, ale nie był w stanie o własnych siłach opuścić kabiny. Tylko raz po raz jego półprzytomne spojrzenie ślizgało się po naszych twarzach.**

**–Pokój dla Nyma jest przygotowany – oświadczyła Kora. – Trzeba go jak najszybciej**

tam przenieść.

–Zaraz się nim zajmę – dorzucił Will.

Renę szybko wsunął się do środka pojazdu i odpiął pasy fotela. Potem wziął pilota na ręce i wyniósł z rakiety. Młody człowiek, skłoniwszy bezwładnie głowę na ramię zoologa, natychmiast zasnął. Wkrótce znalazł się w wygodnym łóżku. Zbadawszy dokładnie chorego Will Summerbrock oświadczył, że Nym jest w najwyższym stopniu wyczerpany długotrwałym działaniem przyśpieszenia rakiety, niemniej życiu jego nie grozi niebezpieczeństwo. Po zastosowaniu środków wzmacniających lekarz zalecił, aby zapewnić śpiącemu idealny spokój.

Tymczasem Renę udał się do śluzy. W milczeniu dokładnie obejrzał maszynę, nie włączając się do ożywionej rozmowy.

Suzy, Wiktor i Andrzej rozprawiali na temat oznaczeń rakiety oraz jej typowo wyczynowej konstrukcji. Dlaczego Nym przyleciał polską raketą z układu Ziemi oraz dlaczego musiał używać tak dużych przyśpieszeń, znając prędkość Astrobolidu i jego apeks? Tę zagadkę mógł wyjaśnić tylko on sam.

Należało jednak, zdaniem Summerbrocka, odczekać co najmniej pół doby, zanim Nym wróci do normy i będzie mógł bez szkody dla zdrowia opowiedzieć swe przygody.

Na mnie nowy towarzysz wywarł przyjemne wrażenie, chociaż wyobrażałam sobie Engelsterna trochę inaczej. Znałam go z paru prac o doniosłym znaczeniu naukowym, wśród których czołowe miejsce zajmowały eksperymenty w pierścieniu Saturna.

Prace Engelsterna sugerowały, iż jest to dojrzały naukowiec, o głębokiej wiedzy. Natomiast przybyły, wyglądający wyjątkowo młodo, sprawiał wrażenie raczej sportowca niż wybitnego uczonego.

Obejrząwszy ze wszystkich stron raketę, Renę wyskoczył ze śluzy i trochę śmiesznym, kołyszącym się krokiem – który dowodził u niego podniecenia lub zdenerwowania – podążył przez korytarz, znikając za zakrętem.

Zaintrygowana poszłam za nim i o mało nie parsknęłam śmiechem, gdy spostrzegłam, jak stał z uchem przyłożonym do drzwi pokoju Nyma. Zauważył mnie również i coś chciał powiedzieć, ale w tej chwili rozległ się sygnał, zapowiadający włączenie silnika, i straciłam Renego z oczu.

W pięć minut później nastąpiła zmiana kierunku przyśpieszania. Astrobolid mógł wreszcie nabrać przewidzianej prędkości podróżnej.

**W pół godziny później nadeszła z Tetydy dziwaczna depesza: *Wylatuję rakieta RD-18 dnia 23 bm. o godz. 14 czasu uniwersalnego – Engelstern.***

**Właściwie nie było nad czym debatować. Wobec "faktu, że Nym śpi w swoim pokoju, nie do przyjęcia była wiadomość, iż dopiero jutro wyruszy w drogę z układu Saturna. Po rozważeniu sprawy uznaliśmy depeszę za wynik nieporządków w centrali radiowej na Tetydzie. Depesza była najwidoczniej spóźniona o cztery tygodnie.**

**Biorąc pod uwagę, że sprawna łączność radiowa jest dla komunikacji kosmicznej zagadnieniem najwyższej wagi, Rita zreagowała utrzymaną w dość ostrym tonie replikę i niezwłocznie ją nadała.**

**Ale jakież było nasze zdumienie, gdy w niespełna dwanaście godzin później, jak grom z jasnego nieba, spadła w odpowiedzi wiadomość: dyżurny łączności na Tetydzie oświadczał kategorycznie, że Nym Engelstern znajduje się jeszcze w układzie Saturna, a więc nie może „spać w swoim pokoju na Astroboli-dzie”.**

**Było nas wtedy pięcioro w centrali radiowej: Rita, Andrzej, Jaro, Renę i ja, czekaliśmy na odbiór biuletynów z Ziemi.**

**Wiadomość zdezorientowała nas zupełnie. Gdy głowiliśmy się, szukając jakiegoś logicznego rozwiązania zagadki, w piętnaście minut po pierwszej depeszy nadeszła druga, w której już sam Engelstern donosił, że nie wnikając w przyczyny nieporozumienia, wyrusza małą rakieta typu wyczynowego w pogoń za Astrobolidem. Prosił ponadto o zatrzymanie silnika natychmiast po otrzymaniu wiadomości. Data, miejsce wysłania i treść depeszy dowodziły, że dzieliła go od nas odległość 6 miliardów kilometrów.**

**Ale w takim razie kto spał w pokoju Nyma?**

**Najbardziej przejęty był Renę. Z początku przechadzał się nerwowo po centrali, wreszcie przystanął i rzekł z westchnieniem:**

**–W tym wypadku chyba żałuję, że nie urodziłem się tysiąc lat wcześniej. Wierzyłbym w nadprzyrodzone zjawiska, kłaniając się czołobitnie przed cudem obecności Nyma Engelsterna równocześnie w Astrobolidzie i na Tetydzie. A tak...**

**–Tyś jednak coś podejrzewał, Renę? – przypomniały mi się dziwne spacery zoologa w ostatnich godzinach. Spojrzał na mnie niechętnie.**

**–Może... Ale nie miałem podstaw do robienia alarmu. Tym bardziej że chłopak naprawdę jest podobny do starego Engelsterna. Krawczyk przeciął dyskusję:**

**–Chodźmy już do tego „Engelsterna numer 2”. Chyba zdążył wypocząć. Wiktor niech zaraz wyłączy silnik.**

Zjechaliśmy windą na trzeci pokład, do apartamentów mieszkalnych. Panowało tu zwiększone ciśnienie, wywołane przyspieszoną rotacją statku w czasie pracy silnika i mające na celu zapobieżenie wędrowce przedmiotów. Posuwaliśmy się więc dość wolno korytarzem, gdy zza zakrętu, gdzie znajdował się pokój Nyma, dobiegł nas głos tajemniczego gościa:

–Czy to silnik pracuje?

Renę, który szedł pierwszy, zatrzymał nas ruchem ręki. Byliśmy już przy samym zakręcie i poza gęstymi gałęziami krzewów bzu ujrzeliśmy w głębi korytarza rzekomego Engelsterna w towarzystwie Suzy. Gość ubrany był w piżamę, a ruchy jego wyrażały zdenerwowanie.

–Powiedz, czy to silnik pracuje? – powtórzył pytanie.

–Tak – skinęła głową Suzy. – Włączyliśmy go zaraz po twoim przylocie. Rozpędzamy teraz Astrobolid do prędkości 10000 km/s.

–To okropne! – zawołał przybyły. – Wyłącz natychmiast silnik! – oczy gościa wyrażały przestach.

–Dlaczego? – zdziwiła się dziewczyna.

–Bo... bo... – wykrztusił młody człowiek. – Nym nie dogoni Astro-bolidu!

Suzy nie wiedziała o ostatnich depezach z Tetydy i widocznie pomyślała, że przybyły jeszcze gorączkuje.

–Musisz wypocząć. Chodź, mogę posiedzieć przy tobie. Poproszę doktora.

Nie było sensu przedłużać nieporozumienia. Wyszliśmy zza zakrętu. Krawczyk obrzucił przybysza przenikliwym spojrzeniem i zapytał krótko:

–Skąd się tu wzięłeś, młodzieńcze?

–Ależ, Ań, co ty chcesz od Nyma? – wmieszała się Suzy. – On musi odpocząć po tak wyczerpującym locie. Krawczyk powstrzymał ją ruchem dłoni:

–Odpocząć musi, oczywiście. Ale po co nas okłamał? W tej chwili dostaliśmy depeszę od Nyma Engelsterna. Wysłał ją z Tetydy.

Młody człowiek opuścił głowę. Miał teraz minę skarconego dziecka.

Suzy patrzyła bezmiernie zdziwiona.

I naraz, kładąc rękę na ramieniu zalęknionego chłopaka, powiedziała do Krawczyka:

**–Nie masz racji! On nie chciał nas okłamać.**

**–Nazywam się Władysław Kalina. Urodziłem się w roku 2384 w Warszawie. Ściślej mówiąc, na jej przedmieściu, w Sochaczewie. Jestem studentem fizyki na Uniwersytecie im. Kopernika w Toruniu – rozpoczął swą opowieść „szalony chłopak”, jak go trafnie nazwał później Renę.**

**Mówił głosem drżącym, krótkimi, urywanymi zdaniami. Niełatwa może być taka spowiedź, gdy piętnaście par oczu wpatruje się uporczywie w twarz.**

**–Nie chcę owijać w bawełnę. Moje noty egzaminacyjne nie należały do najlepszych. Powiem szczerze: jestem ostatni na tabeli wyników ogólnych... Urwał nie podnosząc wzroku utkwionego w podłozę.**

**–Zwłaszcza w tym roku – podjął po chwili. – Za to w innej tabeli zajmuję jedno z pierwszych miejsc. – Choć silił się na ironię, jednak w głosie jego przebijała duma. – W sporcie raketowym. Po prostu straciłem głowę dla rekordów i, jak to się mówi, nauka poszła w ką.**

**–Czy ty byłeś tym studentem, który pół roku temu pobił rekord długości wielkiego przyspieszenia? – wtrąciła Suzy. – Potem rekord ten został unieważniony.**

**–Tak. To ja.**

**–Teraz rozumiem, dlaczego pomyliłam ciebie z Engelsternem. Widziałam twoją fotografię w „Biuletynie Studenckim”. A że w tym czasie biuletyn pisał również o eksperymentach Engelsterna, więc...**

**–Wiecie chyba, co to jest sport raketowy? Jak to człowieka wciąga – mówił dalej Kalina. – Ta gonitwa za mocnymi wrażeniami... W czasie jednego z lotów długodystansowych celowo wyłączyłem automat bezpieczeństwa. Wbrew instrukcjom. Dźwignia przyspieszeń nie cofała się automatycznie. Siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście G... Mgła siada na oczach. Potworna siła gniece wnętrzości. Zresztą, sami rozumiecie, co to znaczy 12 G. Doprowadziłem do tego, że zemdlałem, podczas gdy motor pracował w dalszym ciągu z jednostajną mocą.**

**Umilkł spoglądając po naszych twarzach.**

**–Ocalałem tylko dzięki przypadkowi – podjął dalej opowieść. – Załoga dużego transportowca kosmicznego, podążającego z układu Jowisza, dostrzegła na ekranie radarowym obraz zwariowanej rakiety. Sygnałami radiowymi zmusiła automatycznego pilota do wygaszenia silnika.**

**–Szalony chłopak – westchnął Renę.**

–Trzej członkowie załogi transportowca – ciągnął Kalina – udali się w pogoń za moją rakieta i przyholowali ją na statek. Tylko im zawdzięczam życie. Byłem już w stanie śmierci klinicznej. Po przywróceniu do życia znalazłem się w szpitalu, zresztą niedługo chorowałem...

Zamyślił się.

–W tydzień później oznajmiono mi, że pobiłem światowy rekord. Byłem oszołomiony i zachwycony. Toteż oburzyłem się niesłychanie na wiadomość, że Światowa Rada Sportu odmówiła wpisania mego rekordu do tabeli motywując, że warunkiem zaliczenia wyczynu raketowego jest osobiste kierowanie pojazdem aż do ukończenia lotu. Tak samo jak szybkiebiegacz musi o własnych siłach minąć metę. Ale to nie należy do sprawy...

Zastanawiał się przez chwilę nie wiedząc, od czego zacząć.

–Właściwie... to dość stara historia. Jeszcze jako uczeń szkoły podstawowej dowiedziałem się o przygotowaniach do wyprawy międzygwiazdnej. Sądziłem wtedy, że start nastąpi za kilkanaście lat. Tak myślała zresztą większość ludzi. Ale postęp techniki okazał się szybszy, niż przypuszczało wielu z nas, najmłodszych entuzjastów lotów do gwiazd. W dziecięcych marzeniach liczyłem na to, że skończę studia i wsławię się jakimś wielkim odkryciem. Droga do ich spełnienia wydawała mi się dziecinnie prosta...

Podniósł wzrok i urwał spostrzegając uśmiechy na naszych twarzach.

–Śmiejecie się – rzekł cicho, spuszczać znów oczy. – Dziwacznie brzmią te wyznania... Jeszcze przed miesiącem nie potrafiłbym w ten sposób mówić o sobie. Te trzy tygodnie... Trzy długie tygodnie pogoni za waszym statkiem... Nie wiem, czy mnie zrozumiecie. Trzy tygodnie samotnie wśród pustki... Sam na sam ze swymi myślami...

Wypieki wystąpiły mu na twarz.

–Czy rozumiecie?

–Mów dalej – powiedziała ciepło Kora.

–Jeszcze przed rokiem inaczej patrzyłem na świat – ciągnął nieco spokojniejszym głosem. – Gdy dowiedziałem się, że plan wyprawy międzygwiazdnej wkroczył w stadium realizacji, że już typowane są nazwiska przyszłych członków załogi – ogarnęła mnie jakby gorączka. Zdawałem sobie sprawę, że zaszczyt udziału w tej wyprawie przypadnie wybitnym uczonemu. Ale potem ogłoszono, że w skład załogi wejdzie Suzy Brown – studentka fizyki, i to młodsza ode mnie. Z rozmowy, jaką przeprowadziła z nią rozgłośnia studencka w Nagasaki, dowiedziałem się, że na

wybór jej wpłynęły jakieś udane prace z fizyki niskich temperatur.

Spojrzał na dziewczynę, która uśmiechała się do niego serdecznie.

–O, jak ja ci wtedy zazdrościłem! Jak nawet nienawidziłem cię za to, że nie ja, lecz ty polecisz do Alfa Centauri. Zrodziło się we mnie jakieś uparte postanowienie, że jednak muszę znaleźć się wśród was – wybrańców Ziemi. Nie mając czasu do stracenia chwyciłem się niedorzecznego środka. Pewnego dnia siadłszy przy biurku otworzyłem zeszyt i bez głębszego zastanowienia skreśliłem kolejno siedem teorii dotyczących różnych zagadnień z zakresu fizyki, astronomii i nauk technicznych. Każdą z kartek włożyłem do innej koperty, zaadresowałem do najślynniejszych uczelni świata i wysłałem. W ciągu tygodnia zebrałem plon – uśmiechnął się gorzko. – Sześć listów zawierało wyjaśnienia błędności założeń bądź wniosków. Natomiast ostatnia odpowiedź dawała mi pewne szansę. Tokijski instytut geofizyki zapraszał mnie na sympozjum, na którym mógłbym przedyskutować poruszony temat – nową metodę budowania siłowni geotermicznych pod dnem morskim.

Zamilkł spuszczać głowę.

–No i co? – spytała z ciekawością Suzy.

–Nic. Nie poleciałem do Tokio. Po prostu zniechęciłem się. Zwątpiłem, abym mógł na tej drodze osiągnąć swój cel. Wydało mi się wówczas, że może sukcesami w sporcie rakietowym zwrócę na siebie uwagę. Rozpocząłem gonitwę za rekordami. Myślałem, że...

Westchnął i zamyślił się.

–Twoje nazwisko brzmi Kalina? – przerwał mu dłuższe milczenie Krawczyk.

–Tak – skinął głową „szalony chłopak”.

–Zetknąłem się kiedyś z tym nazwiskiem, ale nie w związku z rekordami sportowymi – uśmiechnął się astronom. – Czy ty nie masz brata lub jakiegoś młodego krewnego zajmującego się amatorsko astronomią?

–Nie. Jestem jedynakiem. A z kuzynów nikogo sobie nie przypominam, kto by zajmował się specjalnie astronomią. Ale dlaczego pytasz o to?

–Nic szczególnego. Przypomniało mi się zdarzenie sprzed dwóch lat. Pewien student o tym samym nazwisku narobił wtedy szumu w Polskim Towarzystwie Astronomicznym w związku z rzekomym odkryciem...

–Meteoru węglowego?! – przerwał gwałtownie Kalina. Na twarzy jego malowało się najwyższe podniecenie.

–Tak. Chodziło mu o rzekomy meteor węglowy – potwierdził astronom spokojnie. – Znałeś tego niefortunnego odkrywcę?

–To byłem ja – odparł cicho chłopak, wpatrując się w twarz Krawczyka. – Ale ja naprawdę widziałem meteor węglowy! – dorzucił z rozpaczą w głosie.

–Może -uśmiechnął się astronom.

–Nie wierzysz mi. Ja wiem, że mi nie wierzysz. Nikt wówczas nie uwierzył! A ja jednak wiem. Jestem pewien... Krawczyk znów się uśmiechnął.

–Mylisz się sądząc, że zlekceważono nadesłany przez ciebie meldunek. Ja osobiście należałem do tych, którzy potraktowali sprawę poważnie. Powiedziałem zresztą przed chwilą, że narobiłeś szumu w PTA. Nie my, lecz ty sam zlekceważyłeś swe odkrycie, które, jeśli było prawdziwe, wymagało udokumentowania, obrony. A ty co? Po krytycznym artykule Wareckiego powiedziałeś sekretarzowi Towarzystwa, że zbierzesz materiały, że najdalej za miesiąc dostarczysz niezbitych dowodów... I na tym się skończyło.

Kalina ponuro patrzył w podłogę.

–Dlaczego to zaniedbałeś? – spytała Suzy z wyrzutem. Od pierwszej chwili zjawienia się Kaliny nie ukrywała sympatii do niego. Teraz odczuła nie tylko współczucie, ale i gniew na „szalonego chłopaka”. Kalina jakby się wahał, wreszcie odrzekł przybitym głosem:

–To długa historia. Miałem wówczas osiemnaście lat i rok studiów poza sobą. Czytałem dużo. Fizyka, astronomia... Nie ograniczałem się zresztą do materiałów obowiązkowych. W okresie letniej przerwy w wykładach odbywałem praktykę w Polskim Centrum Astronomicznym, założonym jeszcze pod koniec XX wieku. Przez miesiąc miałem zajmować się badaniami astrofizycznymi. Poza godzinami obowiązkowych zajęć lubiłem nieraz do późnej nocy obserwować ciekawsze obiekty kosmiczne. Korzystałem przy tym nieraz z teleskopu dość prymitywnego typu, o zwierciadle dwumetrowej średnicy. Mieścił się w najstarszym gmachu, traktowanym w pewnym sensie jako muzeum. Przyrząd liczył chyba cztery stulecia. Polubiłem go może właśnie przez tę starożytność. W 2402 roku odwiedziła przysłoneczne okolice naszego układu planetarnego kometa Mallina. W czerwcu przeszła przez perihelium[10]. Wspaniała żółtawa poświata trwająca wiele godzin. W tym czasie nie byłem w stanie spać. W jedną z takich nocy, z 27 na 28 czerwca, kiedy kometa Mallina wchodziła już na niebo, poszedłem jak zwykle do obserwatorium. Jakoś odruchowo, nie wiem dlaczego, spojrziałem w okular przed ustawieniem lunety. Skierowana była ku jednej z ciemniejszych przerw w Drodze Mlecznej. Jak rozsypane iskierki jarzyły się gwiazdy. Nagle drgnąłem ze zdumienia. W środku zaśniła bardzo jasna, żółta gwiazda. Wydawało mi się, że śnię. Prawie machinalnie położyłem rękę

na przycisku spektrografu. Wszystko to trwało może sekundę. Nagle gwiazda trysnęła snopem najprawdziwszych iskier. Rakieta – przemknęło mi przez głowę. Albo... meteor. – Pstryknięcie aparatu i zgaśnięcie iskier -nastąpiło niemal równocześnie. Zdjęcie wydało mi się nieudane. Trochę żałowałem straconej okazji utrwalenia widma bolidu o jasności około  $-5^m$ [11], bo na następny podobny mogłem czekać rok i dłużej. Nie badając zdjęcia schowałem je do kieszeni. Kometa Mallina była wówczas dla mnie ciekawszym obiektem.

O meteorze chwilowo zapomniałem – podjął Kalina po krótkim milczeniu. – Zająłem się nim dopiero w parę tygodni później, po wyjeździe z obserwatorium. W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że kamera nie uchwyciła już świecących resztek meteoru, które musiały wcześniej zgasnąć. Uparłem się jednak zbadać to dokładnie i odgrzebując w pamięci miejsce wśród gwiazd, gdzie zjawisko dogasało ostatnimi iskrami, porównałem pasemka widm gwiazdowych na kliszy z dokładną mapą tych okolic nieba. Sięgając do  $7^m$ , dość szybko zidentyfikowałem jeden ślad nie posiadający odpowiednika na mapie. Zresztą widać było od razu jego wyraźną odrębność od widm gwiazd jakiegokolwiek typu. I właśnie wtedy ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że nie przypomina on również w niczym widm meteorytów kamiennych, żelaznych bądź grupy pośredniej. Bez głębszej analizy mogłem stwierdzić, że mam przed sobą dwutlenek węgla. Najdziwniejsze jednak było to, że pominąwszy składniki atmosfery, nie zauważyłem innych pierwiastków typowych dla meteorów. A więc nie meteor? Pewnie rakieta... Ale rakieta nie może chyba składać się z samego węgla? Pasjonująca zagadka tak mnie pochłonęła, że następnego dnia zajmowałem się tylko badaniem kliszy. Oprócz najjaśniejszej z iskierek zdjęcie rejestrowało trzy zupełnie podobne, ale słabsze, które nie należały do gwiazd. Pod mikroskopem zidentyfikowałem jeszcze cztery bardzo nikle. Razem osiem pasemek widm, będących niewątpliwie rozszczepionym obrazem światła pochodzącego od spalającego się gwałtownie węgla. Znajomy chemik po dokładnym zbadaniu zdjęcia twierdził nawet, że był to antracyt[12]. Opisałem zjawisko szczegółowo i wraz z powiększonym zdjęciem widma posłałem do redakcji organu stowarzyszenia fizyków. Nie przyjęto. Nie dopuszczono hipotezy, że mógł to być meteor. „Czym zaręczysz, że nie sfotografowałeś zwykłego sztucznego ognia, których tyle puszcza młodzież w letnie noce?” – odpowiedziano mi w redakcji. Wysunięto zresztą poważne argumenty. Iskry pochodzą od żarzącej się mieszaniny różnych palnych materiałów, w których węgiel ma jednak znaczną przewagę. A ponieważ spala się stosunkowo najwolniej, iskry w fazie poprzedzającej zgaśnięcie mogły składać się prawie wyłącznie z tego pierwiastka. Przeciw mnie przemawiało wreszcie to, że nie zgłosiłem zdjęcia nazajutrz po obserwacji. Wtedy można byłoby ewentualnie sprawdzić, czy ktoś puszczał rakiety w ramtych okolicach.

–I wówczas zwróciłeś się do Towarzystwa Astronomicznego? – zapytał Krawczyk.

–Tak. Uparłem się. Postanowiłem dowieść, że był to meteor. W PTA również, jak już

wiecie, spotkałem się z pełnym powątpiewaniem stosunkiem do sprawy, ale poradzono mi, abym poczekał dwa miesiące, do ukazania się biuletynu Naukowej Służby Kosmicznej. Należało odczekać, aż spostrzeżone przeze mnie ciało, o ile istotnie było meteorem, ukaże się w spisie bolidów z tego okresu, z podaniem współrzędnych jego pojawienia się i zgaśnięcia dla konkretnego punktu obserwacji. Jednak o ile poprzednio zwlekałem, teraz niecierpliwość gnała mnie, by jak najszybciej udowodnić, że mam rację. Oświadczyłem w Towarzystwie, że dostarczę dowodów najdalej za miesiąc, i otrzy-mawszy z mego klubu sportowego rakieta, obleciałem wszystkie kosmiczne stacje astronomiczne, które tamtej nocy obejmowały swym zasięgiem Polskę. – - No i?

–Niestety. Nie potrafiłem podać dokładnego czasu zaobserwowanego zjawiska. Wprawdzie jeden z uchwyconych meteorów zdawał się odpowiadać mojej obserwacji, ale mogłem się mylić. Na nieszczęście to właśnie obserwatorium nie prowadziło archiwum zdjęć spektroskopowych. Nie było więc mowy o zidentyfikowaniu bolidu.

–Pechowy z ciebie młodzieniec – rzekł z westchnieniem Renę. – Ot, i koniec historii.

–Nie. Jeszcze nie koniec. Wiedziałem, że nie znajdę argumentów, aby udowodnić, iż nie padłem ofiarą pomyłki. Ale już w drodze na Ziemię zrodził się w mej głowie nowy pomysł. Zwróciłem się do Międzynarodowej Centrali Astronomicznej z prośbą o udostępnienie mi zdjęć jaśniejszych bolidów, zarejestrowanych w ostatnich latach przez zautomatyzowane przyrządy. Ale gdy zapytano mnie o cel tej prośby – nie odpowiedziałem. Bałem się, że mnie wyśmieją. Ze odpiszą: szukasz kwiatu paproci...

–Chcieli po prostu ułatwić ci pracę, przeprowadzając wstępną komputerową selekcję.

–Może... Ale ja już straciłem cierpliwość. Później nadeszły kolokwia. Wreszcie porwała mnie sprawa rychłego terminu ekspedycji międzygwiazdnej. Meteor węglowy zszedł na drugi plan. A jednak... A jednak ja do dziś wierzę, iż to nie była rakietka... A jeśli to nie była rakietka, powinien się znaleźć wśród starych zdjęć jeszcze niejeden podobny antracytowy meteor...

Zapanowało milczenie.

–No, ale opowiadaj dalej – rzekł astronom. – Niech się dowiemy, skąd się wzięłeś wśród nas.

Kalina jednak nie był w stanie wrócić od razu do toku opowiadania. Widać było, że z trudem opanowuje nerwowe drżenie, jakie ogarnęło jego ciało. Po raz pierwszy w życiu zdobył się na tak otwarte, szczere wyznanie. I to wobec ludzi, których dotąd zupełnie nie znał.

–Cóż – odezwał się wreszcie – niewiele już zostało do opowiadania. Przez^ pół roku

myślałem tylko o was. Marzenie, by polecieć z wami, przysłoniło mi wszystko. Coraz bardziej zaniedbywałem studia, z maniackim uporem poszukując środka, który umożliwiłby mi wzięcie udziału w wyprawie. Wreszcie Astrobolid wyruszył w drogę, a ja chodziłem jak w gorączce, zrozpaczony, że nie lecę razem z wami...

Urwał opowiadanie. Dopiero po długiej przerwie zaczął wolno, jakby zbierając myśli:

–Tego samego dnia... poleciałem na Światowida. Przyrządy optyczne tamtejszego obserwatorium astronomicznego pozwoliły mi śledzić wasz statek przesuwany się wolno na tle gwiazd. I wówczas... Tak, wówczas postanowiłem polecieć do was... za wami...'. Tej nocy nie spałem, szukając pretekstu; który pozwoliłby mi lecieć za Astrobolidem. Ale dopiero w tydzień później nadarzyła się okazja. Klub nasz otrzymał do wypróbowania nowy model rakiety wyczynowej. Udało mi się przekonać zarząd klubu, aby mnie powierzył oblatywanie tej rakiety. Przed trzema tygodniami wystartowałem ze Światowida.

–I koledzy pewno cię szukają? – Krawczyk z oburzeniem patrzył na „szalonego chłopaka”.

–Powiedziałem w sekrecie prezesowi, iż mam zamiar odprowadzić Astrobolid do granic Układu Słonecznego. Wiem, że mi nie uwierzycie, ale ja... ja nie myślałem o tym, aby... Gdzieżbym śmiał prosić was o zabranie mnie z sobą. Nie jestem znów aż tak szalony, abym sądził, że zgodzicie się na to.

–Więc dlaczego poleciałeś?

–Dlaczego? Chciałem choć na krótko, choć parę dni być przy was. Lecieć tym samym szlakiem... Przyznam się: chciałem ujrzeć wasze twarze na ekranie mego aparatu. Powiedzieć wam... – urwał. – To już teraz nieważne – westchnął. – I tak wiecie o mnie wszystko. Chociaż nie. Muszę wam jeszcze powiedzieć, że w czasie tego długiego lotu nieraz ogarniały mnie dziwne, złe myśli: aby się wedrzeć między was podstępem... Ale, wierzcie mi, wtedy gdy ujrzałem twoją twarz na ekranie – zwrócił się do Rity – już dawno odegnałem je od siebie. Wiedziałem, że nie zasłużyłem na to, aby lecieć razem z wami do Alfa Centauri. Sama myśl, że mogłem choć przez chwilę inaczej sądzić, napełniała mnie zgrozą. I dlatego... dlatego musiałem wam to wszystko powiedzieć... Inaczej nie miałbym nigdy spokoju... –

Długo panowało milczenie. Myśleliśmy wszyscy o jednym, ale nie czas było wypowiadać to głośno.

–No, zdaje się, że dość wymęczyliśmy tego młodzieńca – odezwał się Summerbrock rozładowując atmosferę.

–Czy mogę odlecieć jeszcze dziś? – zapytał Kalina już spokojnie.

–Sądzę, że nie masz się do czego śpieszyć – odparła Kora. – Wykłady na uniwersytetach rozpoczynają się za miesiąc. Musisz odpocząć. Przecież szaleństwem byłby lot teraz, po takim wyczerpaniu. Nie wątpię też, że chętnie zwiedzisz Astrobolid. Szybkości i tak nie możemy zwiększać, dopóki nie przybędzie Engelstern. Możesz więc parę dni pozostać wśród nas.

–Więc nie gniewacie się?

Twarz „szalonego chłopaka” wyrażała taką radość, że uśmiechnęliśmy się wszyscy.

–Gniewać się nie mamy o co – orzekła Kora i zwracając się do Suzy dodała: – Może zajmiesz się nowym gościem. Bo zdaje się, że poza lekami Willa nie miał od wczoraj nic w ustach.

–No cóż – rozpoczęła Kora, gdy młodzi zniknęli za drzwiami dźwigu. – Podoba mi się ten chłopak. Wyznania jego były szczerze. Oczywiście, miał on cichą nadzieję, że tą szczerością zyska sympatię, a może i przyzwolenie pozostania wśród nas, ale nie jest to znów tak wielkie przestępstwo. W żadnym wypadku nie nazwałabym tego wyrachowaniem. Po prostu rwie się do udziału w ekspedycji.

–Będą z niego ludzie – dorzucił Andrzej. – Jeśli znajdzie się pod opieką doświadczonych kolegów, w zwartym zespole...

–Na przykład w naszym – wypalił niespodziewanie Renę, stawiając sprawę otwarcie.

–Tak – potwierdziła Kora. – Trzeba się zastanowić, czy nie zostawić go wśród nas.

–Poza tym, kto weźmie na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo „szalonego chłopaka”, gdyby miał znów lecieć ku Ziemi miliardy kilometrów w tej łupinie – dorzuciłam swoje trzy grosze. – Zresztą z każdą sekundą oddalamy się od Słońca niemal o 3000 kilometrów. Wkrótce będzie musiał startować spoza Układu Słonecznego.

–Moim zdaniem, udział w wyprawie wpłynąłby na niego korzystnie – stwierdził Summerbrock. – A że będzie z niego wartościowy pracownik naukowy – nie ma wątpliwości.

–Proponuję, abyśmy się jeszcze nad tym dobrze zastanowili – stwierdził Andrzej. – Zbyt mało go znamy. W czasie pięciu czy dziesięciu dni, jakie pozostały do przylotu Engelsterna, zorientujemy się, czy jego słowa znajdą potwierdzenie.

Dyskusja zakończyła się bez podjęcia decyzji. Sprawę przyszłości Kaliny miały rozstrzygnąć najbliższe dni. Chłopak oczywiście niczego się nie spodziewał i w miarę jak zbliżał się ustalony termin odlotu, smutniał coraz bardziej.

**Chociaż szansę jego rosy, utrzymywaliśmy go w przeświadczeniu, że musi odlecieć. Dopiero pod koniec tygodnia zapadła decyzja. W tym samym dniu nadeszła wiadomość od Nyma Engelsterna, o którego już nie na żarty zaczęliśmy się niepokoić. Okazało się, że jego krótkodystansowa rakietka nie miała urządzeń do łączności na tak dużą odległość i musiał korzystać z pośrednictwa stacji ziemskich.**

**Idę waszym szlakiem z prędkością 4800 km/s względem Słońca. Czy wyjaśniono nieporozumienie z moim sobowtórem? – brzmiały słowa depezy. Dalej następowały dane cyfrowe dotyczące położenia.**

**Nadaliśmy natychmiast odpowiedź:**

**Czekamy na ciebie z niecierpliwością. Pokój twój wolny. Sprawa sobowótora wyjaśniona. Przybył nam jeszcze jeden członek ekspedycji.**

# NA PROGU ŚWIATA TRZECH SŁOŃC

## (Ze wspomnień Daisy Brown)

*Proxima Centowi – sto trzy fiesty pierwszy rok wyprawy Astrobolidu*

Nigdy nie chodziłam po Ziemi, a jednak' tęsknię za nią. Wiem, że jest bardzo piękna... Od kiedy poznałam prawdę o niej – obraz ojczyzny moich przodków nie opuszcza mnie ani na chwilę.

Jestem córką wielkich i pustych przestrzeni. Urodziłam się w Celestii i w jej almeralitowych ścianach spędziłam pierwsze dwadzieścia pięć lat mego życia.

Spośród ludzi, z którymi się stykałam w tamtych odległych czasach, niewielu pozostało dotąd przy życiu.

Dawno już temu, może przed półwiekiem, umarł wielki obywatel Celestii – William Horsedealer. Przed kilkunastu laty rozstali się ze światem moi najbliżsi przyjaciele, Stella Summerson i Bernard Kruk, których – jak to w roku przebudowy Celestii przepowiedziała Kora Heto – Ziemia znów zbliżyła do siebie. Gdy o tym myślę, tak mi żal, że się już nie zobaczymy. Jakże dawno temu, pod koniec dziesięcioletniego dyżuru, wysłałam ostatni list telewizyjny do Stelli... Teraz pozostały tylko ich dzieci. Ale czy spotkam się kiedyś z nimi twarzą w twarz?... Chyba nie doczekają mego powrotu na Ziemię.

Żyje jeszcze Tom Mallet, lecz jako członek Najwyższego Kongresu Federacji Amerykańskiej pochłonięty bez reszty sprawami międzynarodowymi, rzadko daje znać o sobie.

Już blisko sto dwadzieścia osiem lat minęło od dnia, w którym opuściłam Celestię, aby polecieć wraz z Deanem w daleką drogę do Alfa Centauri.

Wiem dobrze, że niezadługo jedynymi dziećmi Celestii będziemy my dwoje. Gdy o tym myślę, ogarnia mnie uczucie żalu za tym, co odeszło w przeszłość:

za Celestią, rodzicami, którzy umarli, gdy miałam osiemnaście lat, za serdecznym uśmiechem Bernarda Kruka i ogniem oczu Williama Horsedealera...

Czy jest to tęsknota za tamtymi dniami młodości, wypełnionej marzeniami, a pełnej gorzkich rozczarowań?... Chyba nie. O ile pełniejsze i bogatsze od wszystkiego, co wówczas mogła wytworzyć egzaltowana wyobraźnia, jest nasze obecne życie.

Był okres, kiedy często zadawałam sobie pytania: dlaczego jestem właśnie tu? Dlaczego nie poleciałam na Ziemię? Dlaczego dowiedziawszy się wszystkiego o Ziemi

**nie wybrałam tej najwspanialszej z perspektyw? Jakże poszukiwać nie odkrytych światów, nie znając kolebki człowieka?**

**Gdyby nie Dean, z jego zamiłowaniem astronomicznymi i pragnieniem dokonania wielkich odkryć – wiem, że poleciałabym w Celestii na spotkanie Ziemi.**

**Teraz już nie żałuję swego kroku. Miałam chyba słuszność popierając entuzjastyczny zryw Deana.**

**Gwiazda Dobrej Nadziei... Ile marzeń z nią splecionych próbowało rozjaśnić szarość codziennych upokorzeń, złagodzić ból krzywdy i nędzę życia w almeralitowej puszcze.**

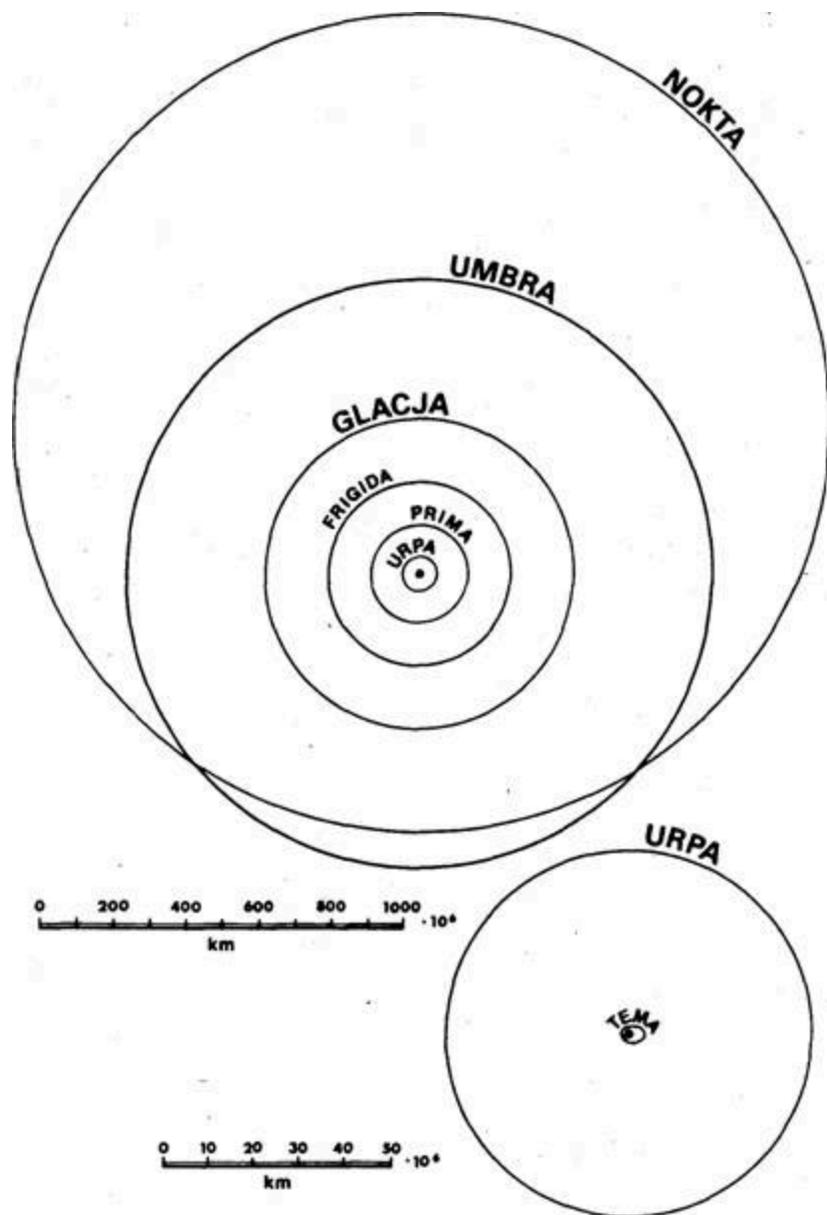
**I oto doznaję dziwnego uczucia: Dean i ja jesteśmy jedynymi spośród tysięcy Celestian, w których życiu ziści się tamta kusząca legenda. Ale jakże inaczej – wolna od tragicznej nierealności, odkłamana ze złudnej bajki. Polecimy nawet na Juwentę – tak bowiem nazwaliśmy jedną z planet krążących wokół Tolimana A, wyraźnie widoczną na ekranie pantoskopu.**

**Co znajdziemy na tej dalekiej bryle materii, o której już dziś – z odległości dwóch miesięcy biegu światła – wiemy, że pozostaje we władaniu bujnego życia?**

**Mam obecnie sto pięćdziesiąt cztery lata, lecz oczywiście wcale tego nie czuję. Jak to się u nas mówi – biologicznie jestem kobietą czterdziestoletnią. Kora twierdzi, że w czasie stu osiemnastu lat anabiotycznego „snu” mój organizm niewiele się zmienił i według wskaźników ustrojowych przybyło mi 2-3 lata, co wiąże się zresztą z pewną szkodliwością samego zabiegu dezaktywacji hipotermicznej.**

**Dlatego właśnie staraliśmy się unikać wielokrotnego usypiania i budzenia. Zgodnie z programem w czasie lotu do Układu Proximy (po rozstaniu się z Ce-lestią) każdy członek załogi miał pełnić tylko jeden dziesięcioletni dyżur. Są jednak odstępstwa od tej zasady. Kora aż sześciokrotnie była usypiana i budzona, aby osobiście sprawdzać, czy anabioza przebiega prawidłowo u wszystkich śpiących, Andrzej – trzykrotnie, gdyż nie chciał zrezygnować z osobistego udziału w badaniach materii międzygwiazdnej w odległości roku i dwóch lat świetlnych od Słońca. Łącznie jednak, zarówno Kora jak i Andrzej, przekroczyli dziesięcioletnią normę tylko o trzy lata. Hans i Renę dyżurowali dwukrotnie po pięć lat.**

**Najdłużej czuwała Mary – ponad osiemnaście lat – nie chcąc zrezygnować ze swych obowiązków macierzyńskich i wychowawczych. Astrid miała trzy lata, gdy Astrobold wyruszał z Układu Słonecznego w drogę, pod koniec zaś pierwszego roku podróży urodził się Allan. Mary postanowiła pozostać z nimi, aż osiągną pełnoletność i poddani będą anabiozie. Jednocześnie, po uśpieniu Mei-Lin i Zoi, opiekowała się ich dziećmi: Szu, Czin i Ziną.**



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 2. Układ planetarny gwiazdy Proxima Centauri

Również Ingrid po urodzeniu Zoe przedłużyła swój dyżur o blisko cztery lata i gdyby nie kategoryczne polecenie Kory „czuwałaby” przez następne pięć lat.

Być może jest w tym trochę egoizmu, ale zdecydowaliśmy z Deanem, że w czasie lotu do Alfa Centauri nie będziemy mieli dzieci. Nie chodzi nam zresztą tylko o anabiozę oraz konieczność doganiania w studiach kolegów z Ziemi. Jest też nieco irracjonalny powód: chcemy, aby nasze bliźniaki (zaplanowaliśmy bowiem dziewczynkę i chłopca) urodziły się na Juvencie. W ten sposób – co prawda w innych zupełnie warunkach – spełni się nasze marzenie młodości.

Chciałabym, aby moje przyszłe dzieci były podobne do Allana i Zoe. Niewykluczone, że gdyby mój i Deana dyżur przypadł już po urodzeniu Zoe, nie odkładalibyśmy naszych zamiarów powiększenia rodziny. Moje obowiązki czuwającej pełniłam jednak we wczesnym okresie podróży – w latach 2422-32 (Dean w latach 2427-37), Zoe zaś urodziła się w 2515 roku.

**W czasie dyżuru żyliśmy zresztą oboje, pod oszałamiającym wrażeniem zaskakującego zwrotu w naszych losach i dążeniach. Moje dziesięć i pół roku „czuwania” było też okresem nauki – próbą pokonania dystansu w zasobach wiedzy, dzielącego ludzkość ziemską od nas, Celestian. Moimi nauczycielami byli:**

**najpierw przez blisko rok Mary, potem Kora przez dwa lata, komputery uczące – przez ponad sześć lat, wreszcie Andrzej przez półtora roku. Oczywiście przez pięć lat wspólnego dyżuru uczył mnie astronomii Dean, który nadal studiował – z pomocą komputerów, a potem Andrzeja. Jestem teraz średniej klasy fachowcem w trzech dziedzinach: łączności, planetologii z mineralogiczną specjalizacją oraz nawigacji kosmicznej, a także dość marnym lekarzem pierwszej pomocy i anabiotykiem.**

**To ostatnie nie jest oczywiście winą Kory. Nigdy nie miałam pociągu do medycyny, widok zaś zamrożonego człowieka budzi we mnie jakiś atawistyczny opór. Brałam co prawda udział w sześciu usypianiach i trzech budzeniach, ale kierowałam zabiegiem tylko w dwóch przypadkach – usypiania Kory i budzenia Andrzeja – kiedy dyżurowałam tylko z Deanem, który jest chyba gorszym anabiotykiem ode mnie. W pozostałych siedmiu przypadkach pełniłam tylko funkcję asystentki, co bardziej odpowiada moim kwalifikacjom. Pocieszam się tym, że nie jestem jedynym członkiem naszej załogi pełniącym niechętnie te funkcje. Również Mary, Hans, Ast, Jaro i Zina nie przejawiają zbyt dużych zainteresowań medycyną i anabiozą.**

**Ciekawe, że Allan ma zupełnie odmienne zainteresowania od swych rodziców i siostry. Może to wpływ Kory i Renego, bo jego pasją, i to od najmłodszych lat, jest biologia. Już jako ośmioletni dzieciak asystował Korze przy budzeniu swego ojca, a potem przy usypianiu Zoi i Mei, pół roku później zaś pomagał matce w anabiozie Kory. Po pięciu latach już samodzielnie obudził Renego, a wprowadził w stan anabiozy Hansa, po następnych pięciu – uspił Renego, Szu, Czin, Zinę, Ast i swoją matkę, obudził zaś mnie. Co prawda wszystkie zabiegi są sterowane i kontrolowane przez automaty, niemniej zasada bezpieczeństwa głosi, że tam, gdzie chodzi o życie ludzkie, nie wolno pozostawiać bez nadzoru nawet najsprawniejszych maszyn. A to wymaga dobrej znajomości zarówno fizjologii jak i zasad działania całej aparatury anabiotycznej. Allan tę wiedzę i umiejętności posiadał nad podziw szybko i nie ma chyba przesady w opinii Kory i Renego, iż był pod tym względem „cudownym dzieckiem”.**

**Fizjologia człowieka nie jest zresztą jedynym ani nawet głównym obszarem jego zainteresowań biologicznych. Najbardziej bowiem pasjonuje go botanika, o której bardzo gruntowną wiedzę zdobył niemal wyłącznie z pomocą komputerów.**

**Allana poznałam jako paroletniego brzdąca w pierwszym roku mego pobytu w Astrobolidzie, później zobaczyłam go ponownie – po pierwszym moim „śnie w lodówce” trwającym piętnaście lat – już jako dorastającego młodzieńca o zadziwiająco bogatej wiedzy przyrodniczej, wreszcie teraz, po mojej ponad stuletniej**

anabiozie i jego siedmioletnim dyżurze – jako młodego naukowca. Gdy z nim rozmawiam, mam jednak takie wrażenie, jakbym była gdzieś blisko niego przez całe dwadzieścia siedem lat jego aktywnego życia. Nie tylko dlatego, że widziałam sporo zapisów wideo z różnych tego życia okresów. Bierze się to raczej stąd, że ma on nadal w sobie coś z dziecka i kilkunastoletniego chłopca, a kontakt z nim jest niezwykle łatwy i naturalny. Wszyscy go lubią i nawet trochę psują okazywanymi względami. Na szczęście ma konkurentkę w zaskarbianiu sobie sympatii – naszą najmłodszą latorośl – Zoe. Liczy ona dopiero dziewiętnaście lat i nigdy jeszcze nie poddawana była anabiozie.

Ta urocza pierworodna córka Ingrid i Renego wnosi nowe, a właściwie stare, ziemskie życie w nasz „zaspany” mały świat. Interesuje się wszystkim. Studiuje z zapałem medycynę, planetografię i historię sztuki. Śpiewa, tańczy i gra na flecie. Wszędzie jej pełno. Podobno miewa również szalone pomysły. Słowem – Renę w nieznacznie zmienionym i poszerzonym, a przede wszystkim młodszym wydaniu. Jeśli w jednym określeniu zawrzeć podstawową cechę osobowości Zoe – jest to chyba „radość życia”.

Oczywiście wcale to nie znaczy, że Zoe nie ma osobistych zmartwień. Należą do nich również, 'a może przede wszystkim „kłopoty sercowe”. Swym pierwszym dziewczęcym uczuciem obdarzyła ona Włada, a pojawiło się ono bardzo wcześnie. Tak się złożyło, iż przez dziesięć lat, między piątym a piętnastym rokiem życia Zoe Kalina był jej nauczycielem i namiastką ojca. Renę bowiem musiał zakończyć swój dyżur w 2517 roku, gdy Zoe miała dwa lata.

Co prawda Wład przez ostatnie pięć lat był również w stanie anabiozy, dyżurował zaś Szu, który rozbudził w Zoe zainteresowanie historią sztuki. Ale nie potrafił on przyćmić wyidealizowanego obrazu Kaliny. Zoe tęskniła i czekała, nie zdając sobie sprawy, że nie może spodziewać się wzajemności. Teraz zaczyna to sobie uświadamiać, choć nadal jeszcze nie umie wyzbyć się nadziei. Sporo w tym winy Włada, który nie jest konsekwentny w swym stosunku do Zoe. Będę musiała z nim poważnie porozmawiać, zwłaszcza że chwilami mam wrażenie, iż zawraca głowę Zoe, aby wzbudzić zazdrość w Suzy.

Jeśli mam być szczerą, to muszę się przyznać, że najbardziej żał mi Allana.

Obudzony pół roku temu, bardzo zaprzyjaźnił się z Zoe, która nie ma rodzeństwa i traktuje go jak starszego brata. W jego zaś stosunku do niej nietrudno dostrzec coś więcej niż braterskie uczucie. Widać też, że ciężko przeżywa sercowe rozterki Zoe. Jest jednak bardzo delikatny, kryje swe uczucia, a nawet zdobył się na szlachetny odruch podjęcia się misji pogodzenia Włada z Zoe, gdy doszło między nimi do konfliktu. Myślę, że przestał się już łudzić, iż zyska jej wzajemność.

Jak potoczą się dalej sprawy sercowe Zoe, Allana, Włada i Suzy – trudno

przewidzieć. Dotyczy to zresztą nie tylko tej czwórki. Ostatnio coś zdaje się kleić między Ast i Szu, a także Nymem i Ziną, ale za wcześnie na prognozy. Jedyna już pewna para to Rita i Wiktor, którzy po dziesięciu latach wspólnego dyżuru uznali się sami za „nieformalnych małżonków”. Ostatnio też zwierzyła mi się Czin, że Jaro próbuje wybadać okreśną drogą, jak przyjęłaby jego oświadczenia. Jest chyba szansa, że coś z tego będzie, chociaż występuje między nimi dość duża różnica wieku, również pod względem biologicznym (około trzydziestu lat).

Ale już dość się naplotkowałam i czas przejść do konkretnych obowiązków kronikarskich. Muszę jednak przyznać, że stare nawyki dziennikarskie dają mi raz po raz znać o sobie. Wolę słuchać plotek i przekazywać je dalej, niż składać rzetelne, obiektywne relacje. Od tego jest zresztą Zina, która awansowała na szefa kronikarzy wyprawy, czego jej wcale nie zazdroszczę. Umówiłam się z Ziną, że będę pisała tylko to, co uznam za godne uwagi, a i forma może być dowolna i dość swobodna. Kryje się za tym, rzecz jasna, niebezpieczeństwo nazbyt subiektywnego i wycinkowego podejścia, ale Zina twierdzi, że właśnie tego jej brakuje.

Takie pierwsze na progu nowego świata zdarzenie, które postanowiłam opisać na gorąco, nastąpiło w kilka dni po reanimacji trzech ostatnich śpiących – Andrzeja, Nyma i Renego. Proxima świeciła już wówczas blaskiem równym Tolimanowi A i wkrótce miała stać się najjaśniejszą gwiazdą naszego nieba. Dean tkwił godzinami samotnie przy pantoskopie, gdyż Nym i Andrzej przechodzili jeszcze okres rekonwalescencji. Wcale zresztą z tego powodu nie narzekał licząc po cichu, że uda mu się samodzielnie przeprowadzić pierwszą obserwację gwałtownej zmiany jasności Proximy[13] z tak niedużej odległości. Szczęście jednak jakoś mu nie dopisywało – niewielkie i stosunkowo powolne wahania w natężeniu promieniowania z pewnością nie stwarzały podstaw do wpisania nazwiska obserwatora do rejestru osiągnięć astronomicznych.

W nocy z 12 na 13 listopada spaliśmy wszyscy. Nawet Dean dał się namówić, aby, zamiast drzemać w fotelu obok przyrządów, położył się do łóżka. Nie dosypiał już od wielu dni i Will kilkakrotnie zwrócił mu uwagę, że powinien prowadzić bardziej racjonalną gospodarkę siłami, zwłaszcza z uwagi na zbliżający się okres intensywnych badań. Zasnął też od razu i, jak później mi opowiadał, przyśniła mu się olśniewająca światłość, która rozlała się po niebie. Potem wydawało mu się, że słyszy, terkotliwe dzwonięcie w mózgu, coraz wyraźniej dochodzące z zewnątrz, aż sen pierzchnął.

Dzwonek sprzężony przez niego z pantoskopem sygnalizował gwałtowną zmianę natężenia blasku Proximy.

Zanim zdążyliśmy się ubrać, do drzwi zapukał Hans:

–Dean! Zdaje się, że masz swój oczekiwany superrozblask! Pędź do obserwatorium!

**–A ty? – spytałam otwierając drzwi.**

**–Wyjdę na pomost. Chcę zobaczyć, jak to wygląda w warunkach naturalnych. Obserwacje pantoskopowe obejrzę później z taśmy.**

**Pobiegł ku windzie, zanim zdążyłam go spytać, skąd dowiedział się o rozbłysku. Później, gdy analizowaliśmy wszystkie okoliczności zdarzenia, wyjaśnił, że obudził się około pierwszej (co mu się niemal nigdy nie zdarzało) i nie mogąc zasnąć, postanowił trochę się przejść. Dlaczego zajrzał do obserwatorium – tego nie był w stanie z całą pewnością stwierdzić. Prawdopodobnie chciał po prostu popatrzeć na Proximę...**

**Po rozstaniu się z Hansem poszliśmy z Deanem do obserwatorium. Nikogo tam nie zastaliśmy, włączony był jednak nie tylko pantoskop, ale także aparatura teleprojekcyjna, umożliwiająca Nymowi i Andrzejowi, którzy nie byli jeszcze w stanie chodzić, obserwowanie zjawiska ze swoich pokoi.**

**Blask Proximy wzrósł bardzo wyraźnie w porównaniu z widzianym wczoraj wieczorem. Fotometr wskazywał, że dochodzi już do minus ósmej wielkości gwiazdowej, gdy wczoraj nie osiągał minus siódmej.**

**Widok był zachwycający. Za każdym ruchem palców Deana usiana plamami tarcza zmieniała barwę: chwilami stawała się czerwonokrwista, potem pomarańczowa, żółta, wreszcie przechodziła niemal w seledyn. Korona i protuberancje również zmieniały barwę, a jednocześnie jakby trochę pojaśniały, w porównaniu z tarczą, zwłaszcza z tej strony, gdzie błyszcząca wspaniała erupcja.**

**Właśnie ona nadawała uroku zmieniającemu się w oczach kolorystowi gwiazdy.**

**Na małym pomocniczym ekranie widniał czarny krążek otoczony jasną aureolą blasku. Umożliwiał on obserwację korony gwiazdy przy normalnej jasności. Ta zachwycająco piękna korona była nieczuła na potok zmian barw i jasności zalewający główny ekran...**

**Tymczasem widoczna na głównym ekranie erupcja rozprzestrzeniła się z olbrzymią prędkością, osiągając z jednej strony brzeg widocznej tarczy. Teraz z wolna wysunęła się również zza czarnego krążka na ekranie pomocniczym.**

**–Minęło maksimum – przerwał ciszę wzruszony głos Deana. Spojrzałam na fotometr. Wskaźnik, nieznacznie przekraczający -8,4, poczynał się wolno cofać. Na ekranie pantoskopu spadek blasku był jednak jeszcze niedostrzegalny, przynajmniej dla mnie. Zmniejszający jasność i zmieniający barwę pantoskop uniemożliwiał laikowi właściwą ocenę zjawiska. Teraz zrozumiałam, dlaczego Hans wolał wyjść na zewnątrz.**

**Postanowiłam pójść w jego ślady. Po kilkunastu sekundach byłam w służbie. Nałożenie skafandra trwało nie dłużej niż minutę. Zresztą Proxima widniała w otworze prowadzącym na zewnątrz i nie traciłam jej z oczu.**

**Zmiana blasku powinna być stąd łatwo dostrzegalna. Jednak zjawisko prawdopodobnie dobiegało końca, gdyż nie dane mi było podziwiać dużych różnic.**

**Podeszłam pod samą krawędź wjazdu i rozejrzałam się po niebie. Chodziło mi o łatwiejszą ocenę jasności w porównaniu z innymi znanymi obiektami. Poza tym ciekawiło mnie, czy wzrost jasności ma wpływ na widoczność innych ciał Układu Proximy. Myślałam przede wszystkim o kometach.**

**Ale w czerni gwiazdnych pól nic nowego nie dawało znać o sobie sygnałem światła.**

**W nieruchomym spokoju jarzyły się gwiazdozbiory, tak samo jak wczoraj płonęły żółto i pomarańczowo dwie najjaśniejsze, ale już teraz po Proximie, gwiazdy nieba – słońca A i B układu Alfa Centauri. W ciągu naszej podróży – od czasu, gdy oglądałam je na niebie Celestii – nie tylko ponad osiemset razy zwiększył się ich blask, ale przewędrowały one sześćdziesiąt parę stopni na północo-zachód z gwiazdozbioru Centaura do Węża.**

**Teraz dopiero przypomniałam sobie, że w pobliżu znajduje się Hans. Spojrzałam ku długiemu, podobnemu do skoczni pływackiej pomostowi, wysuniętemu z otworu wjazdu tuż nad moją głową.**

**Z końca pomostu „zwiślał” na tle gwiazd nieruchomy cień.**

**–Hans! Jak tam? Ciekawe? – zawołałam do niego.**

**Nie było odpowiedzi. Czyżby Hans aż tak był zajęty obserwacją, że nie mógł nawet mruknąć pod nosem?...**

**Ciążenie jest tu w osi znikome i obawiałam się, abym nie pofrunęła przypadkowo w przestrzeń, włączywszy więc magnesy butów, ruszyłam po ścianie w górę. Za chwilę znalazłam się na pomoście.**

**Zastałam Hansa w dziwacznej pozycji. Właściwie leżał na wznak, ale nogi zgięte w kolanach opierały się magnetycznymi podszewkami o metalową powierzchnię pomostu.**

**–Co ci jest?**

**Nie odezwał się.**

**Parę metrów dzielące mnie od Hansa przebiegłam tak szybko, jak tylko pozwalały mi**

**magnetyczne buty.**

**Twarz geofizyka była blada, oczy zamknięte, oddychał przez usta. W pierwszej chwili myślałam, że śpi.**

**–Co ty? Zasnąłeś?! – potrząsnęłam go za ramię.**

**Nie obudził się. To nie był sen, lecz omdlenie. Wzięłam go na ręce i przeniosłam do śluzy. Zaalarmowany Will już czekał w przedsionku.**

**Dopiero po przeniesieniu do ambulatorium, po dłuższych zabiegach Hans odzyskał przytomność. Nie był jednak w stanie dokładnie określić, kiedy ją stracił. Pamiętał tylko, że odczuł jak gdyby ucisk w mózgu i wrażenie zmiennego blasku, przybierające chwilami kształt współśrodkowych kół. Potem wszystko zamazało się w czerni.**

**Gdy ochłonęliśmy z pierwszego wrażenia uspokojeni, że Hansowi nic nie grozi, przyszła kolej na zastanowienie się, co było przyczyną tak nagłego załabnięcia kolegi.**

**Will zapytany, czy wyczerpanie po długoletnim sztucznym śnie mogło spowodować podobną reakcję, powątpiewająco pokręcił głową. Hans przebył bowiem prawidłowo okres rekonwalescencji. Ostatnie badanie przed omdleniem wykazało zadowalający stan sprawności fizycznej organizmu. A później ten niespodziewany wypadek...**

**Snuliśmy różne domysły, które nie znajdowały jednak dostatecznego potwierdzenia w faktach. Jedyne logiczne wytłumaczenie dawała hipoteza Deana.**

**Przypuszczał on, że chodzi tu o jakiś specjalny, szkodliwy dla ludzkiego organizmu rodzaj promieniowania wysyłanego przez Proximę podczas gwałtownego wzrostu jasności. Chodziłoby, rzecz jasna, o promieniowanie elektromagnetyczne, a nie korpuskularne, które porusza się setki, nawet tysiące razy wolniej niż światło. Sprawdzenie tej hipotezy wymagało jednak szczegółowych badań i doświadczeń. A na to musieliśmy czekać, gdyż Proxima nie wybucha na żądanie.**

**Ciekawe, że Nym swego czasu doznał bardzo podobnych przeżyć w pierścieniach Saturna. Jeśli w wypadku Hansa zawiniła nie znana dotąd składowa promieniowania Proximy, należy sądzić, że Nym, prowadząc badania w pierścieniu Saturna, wytworzył sztucznie promieniowanie tego samego rodzaju.**

**Hamowanie rozpoczęło się w odległości pięciu miliardów kilometrów od Proximy. Bazę postanowiliśmy założyć na księżycu planety II. Pozostało nam więc jeszcze ponad jedenaście dni lotu. Dni coraz bogatszych w niezwykle wrażenia, dni odkryć i niecodziennych obserwacji, narastających w zawrotnym tempie.**

**Wkroczyliśmy w układ planetarny Proximy Centauri. Pierwszy pozasłoneczny układ planetarny, do którego dotarł człowiek.**

**Ale chyba żaden z członków naszej ekspedycji nie myślał w tych dniach, że otwierają one nową epokę w dziejach świata. Po prostu nie miał czasu.**

**Największy nawał pracy spadł na astronomów i planetologów oraz konstruktorów przygotowujących plany budowy centralnej bazy. Ale i biolodzy mieli sporo roboty. Okazało się bowiem, że planeta I (krążąca najbliżej Proximy) jest w niektórych punktach swej powierzchni pokryta roślinnością.**

**O tym, że nie tylko wokół Tolimana A, ale również Proximy krążą planety, wiedzano na Ziemi od kilku wieków. Z uwagi jednak na stosunkowo małą jasność i niedużą masę Proximy, praktycznie nie brano pod uwagę możliwości spotkania tam życia. Ekosfera jej jest bardzo wąska i położona tak blisko gwiazdy, że nie ma mowy o stabilności orbit planet ekosferycznych. I oto ku zaskoczeniu naszych astronomów i biologów faktem jest, że w owej jakże ciasnej ekosferze powstało i rozwinęło się życie. I to jeszcze w jak trudnych warunkach! Planeta owa, niewiele mniejsza od Ziemi, zbliża się do fotosfery Proximy na odległość 400 tysięcy kilometrów, to znów oddala na niemal dwa miliony. Teoretycznie średnia temperatura powierzchni powinna sięgać minus 60° C, gdyż otrzymuje ona znacznie mniej ciepła niż Mars od Słońca. Tymczasem, co prawda niewielkie obszarem, lecz bogate we florę oazy, rozrzucone wśród pustyń i lodowców, zdają się wskazywać, że są tam warunki zbliżone do ziemskich. Nad obszarami roślinności występują silne prądy termiczne, których przyczyny nie są jeszcze wyjaśnione. Hans podejrzewa, że mogą to być gejzery.**

**Zaraz po rozpoczęciu hamowania odbyliśmy ogólną naradę roboczą. Na wstępie dokonaliśmy wyboru nowego przewodniczącego, którym został Andrzej Krawczyk. Było dla wszystkich -oczywiste, że w układzie planetarnym kierownictwo prac musi pozostawać w ręku uczonego o wszechstronnej wiedzy planetologicznej. Przewodniczący poszczególnych zespołów mieli być powoływani w miarę potrzeb.**

**Na razie ustaliliśmy, że wprowadzamy Asirobolid na orbitę satelitarną wokół planety II. Będzie to wyjątkowo dogodny punkt do obserwacji zarówno samej gwiazdy, jak i najciekawszych planet układu. Prawdopodobnie też na księżycu tej planety założymy stałą bazę badawczą i wytwórczą.**

**Następnie Nym i Dean zreferowali dotychczasowe wyniki obserwacji siedmiu planet Proximy. Posługiwali się przy tym numerami, co nie sprzyjało szybkiej orientacji. Renę wysunął więc projekt, by nadać planetom nazwy, jak to jest w ziemskim zwyczaju.**

**Największa, planeta III, odkryta pierwsza jeszcze w XX wieku, nosiła od tamtych**

**czasów nazwę Prima i oczywiście należało ją zachować.**

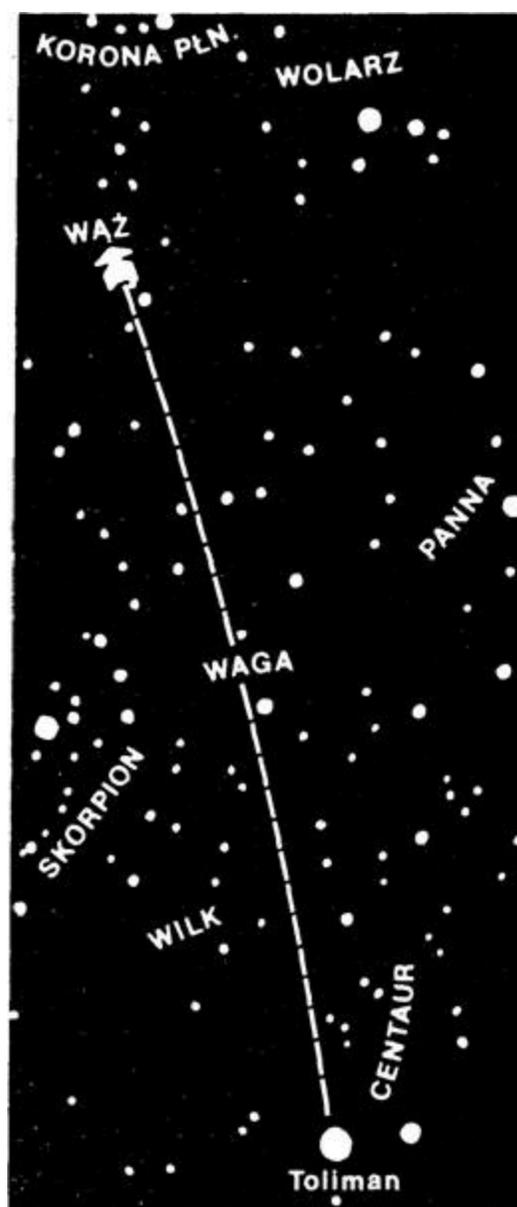
**Postanowiliśmy przeszczepić na nasz nowy teren działania nieco zmienione nazwy planet Układu Słonecznego z tym, że kierowaliśmy się głównie cechami fizycznymi, a zwłaszcza ilością ciepła, jaką otrzymują planety. Założyliśmy przy tym, że analogicznie do nazwy Prima, warto zachować końcówkę „a” dla wszystkich planet. Na przykład dla planety II zaproponowano nazwę wskazującą na to, iż wobec nieco wydłużonej orbity temperatura na jej powierzchni waha się od warunków Plutona do Urana. A więc Urpa: Uran-Pluton.**

**Nie wszyscy byliśmy zachwyceni brzmieniem tego słowa, ale nie potrafiliśmy nic lepszego wymyślić.**

**Zoe zaproponowała nazwę Sel (od Selene – imienia bogini Księżycy) dla maleńkiego satelity Urpy, na którym mieliśmy założyć centralną bazę.**

**–Wobec tego dla planety I proponuję nazwę Tema, od Terra i Mars – podsunął Allan.**

**Przystąpiliśmy do projektowania dalszych imion planet. Niestety, słoneczny arsenał nazw został wyczerpany. Temperatura na planecie IV była już niższa nawet od ostatniej pozaplutonowej planety słonecznej. Zaczęliśmy tworzyć dość sztuczne konstrukcje, gdy -wreszcie Kora wystąpiła z bardzo prostą i logiczną propozycją, aby nazwy planet od IV do VII nawiązywały do warunków tam panujących, wyrażonych w języku łacińskim. Nie było sprzeciwu i tak: „zimną” planetę IV nazwaliśmy Frigidą, pokrytą lodem planetę V – Glacją, ciemną, bogatą w kratery planetę VI – Umbrą, pogrążoną zaś w mrokach wiecznej nocy planetę VII – Noktą.**



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 3 Przemieszczanie się Tolimana na tle gwiazdozbiorów: Centaur, Waga zbliżania się Astrobolidu do Proximy

2 stycznia 2535 roku statek nasz wylądował na księżycu Urpy. W tym samym dniu po raz pierwszy w życiu poczułam pod stopami twardy grunt planety. Prawdziwej planety! Dla mnie, urodzonej na sztucznej wyspie kosmicznej – Celestii, było to głębokie przeżycie.

Siedzieliśmy w klubie, przypięci do foteli, a na ekranie telewizyjnego okna rosła w oczach powierzchnia globu.

–Uwaga! Zaraz oś zetknie się ze skałą – usłyszeliśmy głos Wiktora czuwającego w centrali automatycznego pilota. – Uwaga! Skała się topi! Już iglica zagłębiła się na pół metra. Metr.'... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć metrów! Uwaga! Zaraz silnik przestanie pracować.

Odczuliśmy łagodny wstrząs.

To kula Astrobolidu, podobna teraz do gigantycznego bąka, oparła się na „nodze”

wtopionej w skałę planetki.

Dean podniósł się z fotela nie ukrywając podniecenia.

–Jeszcze kilkanaście minut – zwrócił się do niego Wik przez telepro-jektor. – Niech skała dobrze zakrzepnie.

Dean krążył nerwowo po klubie.

Mnie również te ostatnie minuty oczekiwania dłużyły się ogromnie. Gdy Wiktor oświadczył wreszcie, że można opuścić statek, byłam jedną z pierwszych w służbie.

I oto znalazłam się twarzą w twarz z przyrodą tego małego świata, który nie jest dziełem człowieka jak Celestia i Astrobolid. Zdawało mi się, że śnię. Spłynął na mnie jakiś nieznan, dziwny czar, a jednocześnie doznałam niejasnego uczucia zawodu, że pustynny karajobraz Sel odbiega daleko od bajkowej wizji planety Juventy, o której jako mała dziewczynka słuchałam opowiadań i marzyłam, by zaznać na niej niezwykłych przygód. Potem oświadczył mi, że niepokój. Ale trwał krótko. Przewyciężyła go nieprzewartana ciekawość i żądza poznania tego tajemniczego, obcego świata. Trudno zresztą wyrazić słowami wszystko, co wówczas przeżyłam.

Jedno mogę powiedzieć: odczułam tę chwilę jakoś inaczej, niż się spodziewałam. To samo mówił później Dean.

Marzenia młodości pozostawiają głęboki ślad na całe życie... Potwierdza to zresztą przykład Allana i Zoe. Oni, podobnie jak my dwoje, nigdy nie byli na Ziemi, a jednak stwierdzili, że rzeczywistość zgodna była w ogólnym zarysie z obrazem Sel, jaki powstał przedtem w ich wyobraźni. Ale oni wychowali się na Astrobolidzie, wśród ludzi, którzy znali prawdę o wszechświecie, jeszcze daleką od doskonałości, ale zawsze prawdę...

# ZAGADKA ROZBITEJ PLANETY

## (Ze wspomnień Daisy Brown)

*Sel, luty 2535*

W miejscu, gdzie miesiąc temu wśród nagich skał u podnóża stromego wzniesienia widniała tylko świecąca żółto kula Astrobolidu – w ciągu niewielu dni wyrosły dwie długie, ruchome hale. W nich rozpoczęły pracę przywiezione w Astrobolidzie podstawowe zespoły uniwerproduktorów. Kierowane przez Jaro, Zinę, Wika, Suzy i Czin, rozbudowują one teraz w szybkim tempie naszą centralną bazę wytwórczą, laboratoryjną i mieszkaniową.

Otoczenie wzgórza ulega z godziny na godzinę gruntownym zmianom. Rodzą się coraz to nowe pawilony, podobne do wrośniętych w skały odwróconych czasz. Jedynie Astrobolid, wirujący na wtopionej w skałę długiej „nodze”, pozwala odnaleźć miejsce naszego lądowania. Sypiamy i jadamy jeszcze w statku, ale głównie dlatego, aby nie przyzwyczajać zbyttnio mięśni do niewielkiego ciężenia, panującego tu, na Sel.

Przedwczoraj ruszył wielki zespół surowcowy uniwerproduktorów, podobny zewnątrznie do dzwonu. W dzwonie tym zachodzi przemiana pierwiastków, z których składają się skały planety, na żądane metale, stopy i masy plastyczne. Przyćmiewa on białym żarem topionych minerałów blask Proximy i ogromnej, niemal nieruchomo zawieszanej nad naszymi głowami tarczy planety Urpa.

Sel obiega Urpę w czasie równym swemu obrotowi wokół osi i stąd, podobnie jak ziemski Księżyc, odwraca się do niej tylko jedną stroną. Ponieważ właśnie po tej stronie założyliśmy bazę, Urpa świeci tu nam stale niemal w zenicie, zmieniając tylko fazy. Jest ona tak blisko, że bez trudu gołym okiem można podziwiać olbrzymie płyty lodowców, morza, a nawet większe jeziora ciekłych gazów – tlenu i azotu.

Obserwuję też często maleńki cień Sel, jak wędruje po powierzchni planety.

Znacznie bardziej od lodowatej Urpy interesuje mnie jednak Tema, gdzie stwierdziliśmy niezbitcie istnienie oaz roślinności, i to bogatej. Niestety, na razie możemy podziwiać Temę z daleka, jako jasną wieczorną lub poranną gwiazdę.

Moja praca ogranicza się do sporządzania dokładnych map naszego księżyca. Średnica Sel jest nieduża – wynosi około 200 kilometrów. Powierzchnia wykazuje na każdym kroku ślady gwałtownego krzepnięcia oraz uderzeń meteorytów. Temperatura waha się tu od minus 180°C do minus 250 °C. W okolicach bazy jest jednak cieplej na skutek pracy naszych przetwórci, a zwłaszcza zespołu

**surowcowego.**

**W drugim tygodniu pobytu na Sel zakończyłam sporządzanie map. Teraz przede wszystkim uczę się. Wszyscy zresztą poświęcamy niemal cały wolny czas na pogłębianie naszych wiadomości.**

W ciągu stu trzydziestu lat naszej podróży nauka, technika i kultura na Ziemi zrobiły kolosalny skok naprzód. Kiedyś poziom Astrobolidu wydawał się dla Celestian nieosiągalną wyżyną wiedzy ludzkiej. Dziś nasz Astrobolid jest w oczach ludzi zamieszkujących Ziemię zabytkiem muzealnym.

Weźmy jako przykład choćby uniwerproduktory. Nawet Brabec i Sokolski tylko ogólnie orientują się w konstrukcji tych nowych automatów produkcyjnych. Otrzymaliśmy z Ziemi całkowicie opracowane plany (a ściślej – instrukcje) dla naszych starych „uniwerów” i budowa nowych odbyła się niemal zupełnie bez udziału konstruktorów. Zadania ich ograniczyły się wyłącznie do wyznaczenia miejsca bazy i przekazywania ogólnych instrukcji. Nawet dostosowania urządzeń do warunków terenowych dokonały automaty.

–Musimy się teraz wiele uczyć od naszych maszyn – śmiał się Wiktor, gdy pytałam go, jak sobie da radę z nową techniką. – Gdyby nie nasz niski poziom fachowy, moglibyśmy ruszyć na podbój Układu Proximy przynajmniej o miesiąc wcześniej.

Nie mniej od działania nowych automatów zadziwia mnie ogromne tempo odrabiania zapóźnień naukowo-technicznych przez mych towarzyszy. Nie mówię już o Andrzeju, Mary lub Igorze, ale weźmy taką Suzy czy Zinę. Chwilami ogarnia mnie strach, że chyba nigdy nie potrafię ich dogonić. A przecież i moja wiedza rozszerza się z każdym dniem niepomierne. Może przyczyną jest to, że, jak dotąd, nie potrafię zdecydować się w wyborze specjalności naukowej.

Na naszą przymusową jednostronność narzekają często Mary i Igor, gdy po kolacji dyskutujemy nad najnowszymi osiągnięciami nauki i kultury XXVI wieku. Twierdzą, że nawet jeśli w ciągu kilku najbliższych lat zdołamy uzupełnić wiedzę fachową i ogólną, wątpliwe jest, czy potrafimy wczuć się w pełni w atmosferę epoki, i dopiero po powrocie na Ziemię będziemy musieli uczyć się tam żyć.

To mówią oni, dzieci Ziemi, ludzie XXV wieku, a cóż dopiero myśleć o mnie i Deanie – Celestianach.

*Sel, marzec – maj 2535*

Na skalistym wzgórzu, otoczonym ze wszystkich stron zabudowaniami centralnej bazy, wznosi się w niebo wysmukła, metalowa wieża, zakończona przezroczystą kulą. W kuli tej, podobnej z daleka do bańki mydlanej lub choinkowego cacka, spędzają codziennie długie godziny astrofizycy i planetolodzy wyprawy. Toczą się tam też nieustannie dyskusje i spory wokół coraz bardziej zaskakujących wyników obserwacji i obliczeń dotyczących ruchu planet i planetoid tworzących Układ Proximy. Rzuciły już one nie tylko nowe światło na pochodzenie planetoid, ale także

postawiły szereg niepokojących znaków zapytania nad przyszłością układu planetarnego.

W Układzie Proximy krąży bardzo wiele planetoid. Orbity wykazują duży rozrzut. Z analizy ruchu kilkuset większych planetoid zdaje się wynikać, iż około 1980 lat temu doszło do rozpadu globu, którego szczątki krążą teraz wokół Proximy. Ale obliczenia wskazują nie na jedno, lecz na trzy miejsca katastrofy i to właśnie jest przedmiotem sporu. Jedno z tych miejsc zlokalizowano w pobliżu orbity Nokty, drugie w okolicach orbity Urpy, trzecie – w bardzo małej odległości od orbity Primy. Sprawa jest wyjątkowo tajemnicza.

Co więcej, nie brak dowodów, że Układ Proximy jest niestabilny. Nie chodzi tylko o oddziaływanie grawitacyjne Primy (blisko dwa razy masywniejszej od Jowisza) na Urpę i Frigidę. Nokta w swej wędrówce przecina orbitę Umbry, i to prawie w tej samej płaszczyźnie. Możliwe jest zderzenie tych dwóch planet po 164 obiegach Umbry, to znaczy – za około 8155 lat obie planety znajdą się w niebezpiecznej odległości od siebie. Te wyniki obliczeń są bezsporne.

Wyliczono również wstecz moment, kiedy planety te znajdowały się w pozycji grożącej zderzeniem, bądź poważną perturbacją. Chodzi o granicę czasu, w ciągu którego Nokta i Umbra krążą po swych obecnych orbitach. Okazało się;

że około 4040 lat temu był taki moment. Istnieje jednak i drugi, bardziej dyskusyjny dowód braku stabilności Układu Proximy. Tema w punkcie podgwiezd-nym dochodzi niemal do granicy Roche'a[14] i muszą tam działać ogromne siły przyływowe. Trudno sobie wyobrazić, aby Tema krążyła po takiej orbicie przez miliony lat. Powinna się albo oddalić od Proximy, albo ulec katastrofie Andrzej wysunął obiekcję, czy można w tych warunkach lądować na Temie. Ostateczna decyzja ma zapaść po przeprowadzeniu dokładniejszych obliczeń.

Te pasjonujące wszystkich zagadnienia sprawiały, że obserwatorium stało się w tym czasie pracownią najczęściej odwiedzaną przez członków innych zespołów badawczych. Stałym gościem była tam także Zoe. Magnes stanowiło nie tylko zainteresowanie toczonymi tam dyskusjami, lecz również chęć pogłębienia wiadomości z dziedziny astronomii, niezbędnych z praktycznych względów każdemu uczestnikowi ekspedycji.

Ostatnio niemal codziennie zaglądał do obserwatorium Kalina. Nym śmiał się, że Wład bywa tam głównie po to, aby przeszkadzać Zoe w nauce. W rzeczywistości ciągnęło go do wieży coś znacznie poważniejszego niż chęć spotkania? dziewczyny. W drugim miesiącu po wylądowaniu Astrobolidu na powierzchni Sel Nym dokonał odkrycia, które na długie tygodnie wprowadziło Włada w stan podniecenia.

Tego pamiętnego wieczoru, gdy zasiedliśmy jak zwykle wszyscy razem do kolacji,

**Wład zjawiał się ostatni. Zdarzało mu się to zresztą dość często – kiedy przejął się jakąś pracą, zapominał o całym świecie. Wszedłszy do jadalni, nie zwrócił w pierwszej chwili uwagi, iż zebrani spoglądają na niego jakoś zagadkowo. Usiadł, sięgnął po napój i naraz ręka jego zatrzymała się w pół drogi,**

**Przed nim, oparta o szklankę, stała fotografia przedstawiająca w powiększeniu barwny obraz widma jakiejś smugi gazu. Władowi krew napłynęła do twarzy.**

**–Co to? – zapytał zmienionym głosem.**

**–Meteor węglowy – odrzekł Nym z błyskiem w oczach. Kalina pochwycił łąpczywie zdjęcie, zerwał się z krzesła i podbiegł do astrofizyka.**

**–Skąd? Gdzie?**

**–Przed dwiema godzinami automat, badając skład chemiczny meteorów wpadających w atmosferę Urpy, dokonał tego zdjęcia.**

**–I to naprawdę węgiel? – Wład zdawał się nie dowierzać szczęściu. Czyżby tu miał znaleźć potwierdzenie swego odkrycia z roku 2402?**

**–Tak, nie ulega wątpliwości, że był to meteor węglowy – potwierdził Nym. – Co prawda nie antracytowy. Zbyt duży procent wodoru. Zresztą zapytajmy Henga.**

**Wład pośpiesznie podał zdjęcie.**

**–Zupełnie zgadzam się z tobą – rzekł krótko chemik, przyglądając się fotografii.**

**–A więc miałem rację, że mogą istnieć meteory węglowe! Naprawdę wtedy widziałem antracytowy meteor. Naprawdę! – powtarzał patrząc na kolegów roziskrzonym wzrokiem.**

**Andrzej uśmiechnął się i zrobił niezdecydowany ruch głową.**

**–Powiedzmy...**

**–Czyżbyś jeszcze wątpił? Przecież Heng... Andrzej znów się uśmiechnął.**

**–Nie o to chodzi. Nigdy też nie wątpilem, że gdzieś we wszechświecie mogą istnieć tego rodzaju meteory. Mogło przecież gdzieś nastąpić rozbitcie globu, na którym istniało życie i gromadziły się pokłady węgla. Przyczyny mogły być różne, na przykład zderzenie się z inną planetą. Wydaje się to oczywiście nieprawdopodobne w warunkach ustabilizowanego układu planetarnego, ale właśnie Układ Proximy wykazuje cechy nieustabilizowania. Może nawet jakiś kataklizm nastąpił tu stosunkowo niedawno. W każdym razie pojawienie się meteoru węglowego sugeruje,**

że rozbiciu uległa planeta, na której istniało kiedyś życie.

–To chyba jest pewne – zaperzył się Wład.

–Źle się wyraziłem. Oczywiście, jest prawie pewne, że meteor ten zawierał węgiel organicznego pochodzenia. Ale katastrofa niekoniecznie musiała nastąpić w Układzie Proximy.

–Gdybyśmy znali prędkość tego meteoru, można by określić, czy należał do układu, czy też był pochodzenia międzygwiazdowego – zapalił się Kalina.

–Tak, ale tych danych nie mamy. Podobnie, gdybyś wówczas na Ziemi udowodnił nawet, iż sfotografowałeś meteor węglowy, nie oznaczałoby to bynajmniej, że owa planeta pokryta roślinnością należała do Układu Słonecz

nego. Wydaje się to bardzo mało prawdopodobne. Ta grudka węgla przywędrowała raczej z zewnątrz.

–Może właśnie stąd? – wtrąciła cicho Suzy.

–Może... – skinął głową Andrzej. – To oznaczałoby, że katastrofa nastąpiła co najmniej trzydzieści do dwudziestu tysięcy lat temu. W przeciwnym wypadku, przyjmując średnią prędkość meteoru 40-60km/s, nie zdążyłby on dolecieć do Słońca.

–Jeśli zdołamy określić, kiedy nastąpił kataklizm, to w pewnym stopniu znajdziemy odpowiedź na to pytanie. Ale na razie nie wiemy nawet, czy zmiana orbit Nokty i Temy zbiega się w czasie z katastrofą owej tajemniczej planety.

–Ach, gdyby tak udało się złapać jakąś większą bryłę węgla albo odłamek innej skały pochodzenia organicznego! – wtrąciła Zoe entuzjastycznie.

–Tak! – podchwycił Kalina. – Musimy złowić taki meteor! Zastanawiał się chwilę i naraz oczy mu zabłyśły.

–Już wiem... Tak. To musi się udać. Pomożesz mi, Jaro? – zwrócił się do Brabca.

–Oczywiście – uśmiechnął się życzliwie konstruktor.

–Musi się udać – powtórzył Wład. – To, zdaje się, będzie nawet prosta sprawa...

Złowienie meteorytu węglowego nie było tak łatwe, jak sądził w pierwszej chwili Kalina. Istota trudności tkwiła jednak w rzadkości zjawiska, a nie w problemach technicznych. Zarówno postęp w budowie automatów, jak i najnowsze metody analizy chemicznej na odległość zapewniały niezawodność urządzenia,

skonstruowanego według projektu Kaliny przez Jara i Zinę. Urządzenie było w stanie wykryć pojawienie się bryłki materii, o średnicy nawet mniejszej niż 1 mm, w odległości kilkudziesięciu kilometrów. W zasadzie jednak został nastawiony na nieco większe bolidy, przelatujące w odległości kilkunastu tysięcy kilometrów, i to tylko takie, które nie spadały na powierzchnię Sel, lecz przebiegały obok. Nim meteor zdążył uciec z pola widzenia, automat stwierdzał jego skład chemiczny. Jeśli był to bolid o znacznym procencie węgla lub węglanu wapnia, samoczynne urządzenie włączało następny z kolei zespół automatów, przekazując mu równocześnie dane dotyczące położenia, kierunku i prędkości lotu meteoru.

Wszystko to odbywało się w drobnym ułamku sekundy, tak iż niemal natychmiast po ukazaniu się meteoru – z punktu startowego łazików, oddalonego o sto metrów od wieży obserwacyjnej, specjalna wyrzutnia wypuszczała w przestrzeń raketę-robotą, nazwanego przez Zinę „Sokołem”. Ruszał on w pogoń za meteorem, nabierając w ciągu niewielu sekund odpowiedniej prędkości.

Minęły jednak dwa miesiące, a całe to skomplikowane urządzenie trwało w pozornej bezczynności. Wład coraz bardziej tracił nadzieję, że uda mu się schwytać upragniony skarb przed opuszczeniem Sel. Wszedł on bowiem w skład kierowanego przez Mary zespołu badawczego, który pierwszy podejmował bezpośrednią penetrację planet Proximy. Członkami tego zespołu byli: Hans – jako geofizyk-planetolog, Dean – jako astronom, Wład – jako fizyk, nawigator i inżynier operacyjny, Suzy – jako geofizyk i petrograf oraz ja – jako planetograf, mineralog i łącznościowiec. Przedmiotem zaś naszych badań miały być najdalsze planety Czerwonego Słońca.

Budowa statku-bazy. Bolidu, dobiegała końca i już za dziesięć dni mieliśmy zgodnie z planem wyruszyć w drogę. Prace zaś na peryferiach Układu Proximy miały zająć 8-12 miesięcy. Nic więc dziwnego, że Wład niecierpliwił się.

W porównaniu z kwestią meteoru węglowego i ekspedycją Bolidu zainteresowanie się córką Renego było w życiu Kaliny sprawą drugorzędną. Właściwie sam nie potrafił powiedzieć, dlaczego dziewczynie zawraca głowę. Znacznie poważniejszy problem stanowiła dla niego Suzy. Początkowo młodsza od Włada (teraz po blisko stu dwudziestu latach anabiozy trudno mówić o różnicy wieku), przewyższała go wiedzą i rozsądkiem. Ukończyła studia nieco wcześniej od niego, w drugim roku lotu do Alfa Centauri. Oboje byli młodzi i pełni entuzjazmu. Pracując razem w zespole fizyków, szybko zbliżyli się do siebie. Z czasem Wład spostrzegł, że Suzy go kocha. Odkładając własne prace badawcze, poświęcała wiele czasu na porządkowanie materiałów zaniedbanych przez niego. Coraz częściej broniła go przed zarzutami kolegów, przeważnie zresztą słusznymi.

Początkowo zachowanie się Suzy wprawiało Włada w zakłopotanie. Szybko jednak sytuacja zaczęła go bawić. Próbował igrzać z jej uczuciem, adorując Zoe, Ast lub Czini.

**Nie słuchał jej rad i uwag. Spierał się i kłócił o każdy drobiazg.**

**Dość często dochodziło między nimi do ostrej wymiany zdań. Suzy nie należała do kobiet uległych i poddających się wpływowi mężczyzny. Kochała Kalinę po swojemu. Jednak miała zbyt mało doświadczenia życiowego i nie zawsze potrafiła zachować spokój, gdy w grę wchodziło uczucie. Oboje byli dumni i żadne nie chciało znaleźć się w pozycji pokonanego.**

**Koleżeńskie próby godzenia ich, może podejmowane niezbyt zręcznie, odnosiły odwrotny skutek. Wład zaczął publicznie manifestować swą obojętność dla Suzy i coraz częściej spotykano go w towarzystwie Zoe. Ta od lat podko-chiwała się we Władku i widać było, że względy, jakimi darzy ją fizyk, czynią na niej duże wrażenie. Przesadą jednak były zarzuty, iż Kalina przeszkadza Zoe w nauce. Przeciwnie – korzystała poważnie z jego pomocy, zwłaszcza w matematyce i fizyce.**

**Suzy nie zdradzała się ze swymi uczuciami. Była jak przedtem czynna i pozornie wesoła. W dalszym ciągu żywo dyskutowała z Władem nad problemami badawczymi. Niestety, dyskusje te często – najczęściej z jego winy – przeradzały się w kłótnie, które już niewiele miały wspólnego ze sporami naukowymi.**

**Kiedyś, wyskakując po takiej „wymianie zdań” z laboratorium, wpadł na mnie.**

**–Znów posprzeczałeś się z Suzy? – zapytałam z dezaprobatą. Wład skinął głową nie patrząc mi w oczy.**

**–O co wam poszło?**

**–Ach... ciągle ma jakieś pretensje...**

**–Nie wiem, o co Suzy chodziło – uśmiechnęłam się. – Ale przypuszczam, że miała rację.**

**Nie zareagował na zaczepkę.**

**–Dlaczego dawniej chętnie przyjmowałeś uwagi Suzy, a dziś?... – podjęłam po chwili.**

**–Zrobiła się nieznośna.**

**–To ci się tylko zdaje. A poza tym, jeśli będziesz dalej tak z nią postępował, to doprowadzisz do tego, że się ostatecznie na ciebie pogniewa i...**

**–Nic mnie ona nie obchodzi! – przerwał opryskliwie Wład.**

**–Chciałam ci jeszcze powiedzieć – zmieniłam pozornie temat – że Andrzej namawia**

**Suzy, aby poleciała w zespole Argo badać giganty. I nie tylko giganty. Igor wystąpił z projektem powołania oddzielnego zespołu do zajęcia się planetoidami. Chce, aby Suzy z nim poleciała.**

**–No i? – poruszył się niespokojnie.**

**–Decyzja zależy od samej Suzy... Wydał lekceważąco wargi:**

**–Nic mnie to nie obchodzi. A zresztą, dokąd ja polecę, tam na pewno polecą i Suzy. Już ja...**

**Urwał nagle widząc, że daje mu dyskretne znaki, aby zamilkł. Odwrócił głowę i w uchylonych drzwiach laboratorium dostrzegł Suzy. Nie wiem, czy usłyszała jego głupią, bezsensowną przechwałkę. Twarz jej wydawała się obojętna-i spokojna.**

**W ciągu następnych dni rozmowy między Suzy i Władem ograniczały się tylko do koniecznej wymiany uwag w pracy zawodowej. Zauważyłam jednak, że Wład rzadziej zachodzi do obserwatorium i jakby unika Zoe.**

**Trzy dni przed startem Bolidu Mary zwołała całodzienną naradę zespołu. Uczestniczyli w niej również Andrzej, Igor i Nym.**

**Zgodnie z ustalonym harmonogramem prace badawcze mieliśmy rozpocząć od Nokty – najdalszej planety Układu Proximy. Glob ten, przypominający nieco ziemski Księżyc, o masie sto razy mniejszej od masy Ziemi, obiega Proximę w ciągu blisko 83 lat po dość wydłużonej orbicie. Nokta nie jest, w przeciwieństwie do innych planet, pokryta lodem, co znacznie ułatwia przeprowadzanie badań. /**

**Nim jednak przystąpiliśmy do szczegółowego omawiania programu, Andrzej wprowadził dodatkowy punkt obrad: zmiany w składzie ekip.**

**Spojrzałam na W<sup>^</sup>ada. Patrzył z niepokojem na Suzy, która siedziała naprzeciw niego. Andrzej referował wniosek podjęty już poprzednio na zebraniu kierowników zespołów.**

**–Tak więc Igor postanowił zająć się przez najbliższe cztery miesiące badaniem planetoid. Ponieważ w ten sposób powołujemy jeszcze jeden zespół, zwróciliśmy się do Suzy, by zrezygnowała z udziału w wyprawie Bolidu i poleciała z Igorem i Czin, tworząc we troje dodatkową grupę badawczą zespołu Argo. Udział Suzy byłby wskazany, gdyż w grupie tej brakuje fizyka specjalisty. Otóż Suzy wyraziła zgodę na tę zmianę.**

**–Ale przecież oznacza to zdekompletowanie naszej ekipy – nie wytrzymał Wład. – Miały być trzy podzespoły dwuosobowe, a tak... Krawczyk uniósł rękę.**

–Jeszcze nie skończyłem. Otóż Suzy wystąpiła ze słuszną uwagą, że w zespole Bolidu brak lekarza. Zoe już trzeci rok studiuje medycynę i w ograniczonym zakresie może pełnić tę funkcję. Ponadto uzupełni swą wiedzę astronomiczną pod kierunkiem Deana. Dziś rano rozmawiałem z Zoe. Bardzo chętnie weźmie udział w wyprawie Bolidu. Nie ma więc w zasadzie żadnych przeszkód. Nie było sprzeciwu i Andrzej poprosił Zoe na salę obrad. Widocznie dziewczyna oczekiwała niecierpliwie na wezwanie, bo zjawiła się natychmiast, witana serdecznymi spojrzeniami. Twarz jej płonęła radością.

–Nie wiecie, jak bardzo się cieszę, że mogę lecieć z wami – mówiła z przejęciem, sadowiąc się obok mnie. – Co prawda żał mi Temy, ale przecież zdążę jeszcze i tam polecieć. Tylko jedna prośba: pozwólcie mi zabrać Ro!

–Pozwalamy – uśmiechnęła się Mary.

Radość dziewczyny wniosła jakiś świeży, ciepły powiew w nieco napiętą atmosferę narady. Nawet Suzy, którą chyba wiele kosztowała powzięta ostatnio decyzja, uśmiechnęła się na widok egzaltacji Zoe.

Tylko Kalina siedział ponury i milczący. Wreszcie podniósł się z fotela i podszedł do Mary, która spojrzała na jego przybladłą twarz i spytała:

–Co ci jest, Wład?

–Nic. Chciałem cię tylko zapytać, kiedy podjęliście decyzję w sprawie zmian w ekipach.

–Trzy dni temu.

–Taak? I Suzy zgodziła się od razu?

–Oczywiście. Pytaliśmy ją zresztą już wcześniej, na dwa dni przed podjęciem decyzji.

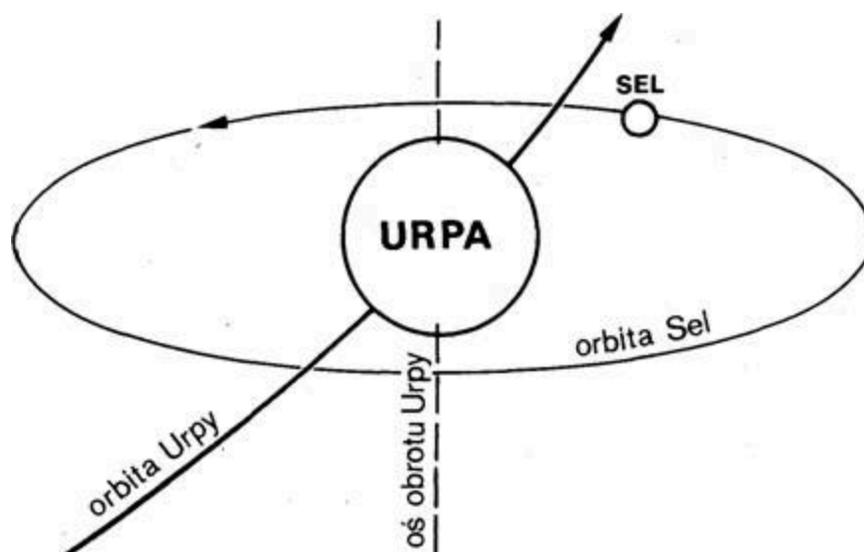
–Czy... Czy Suzy zgodziła się chętnie?

Kalina zapytał tak cicho, że Mary z trudem dosłyszała. Podniosła na niego swe szafirowe oczy.

–Oj, Wład, Wład... – powiedziała z westchnieniem.

W przededniu naszego odlotu zorganizowaliśmy wieczór pożegnalny. Zabawa odbywała się w jednym z pawilonów, mającym w przyszłości stanowić składnicę materiałów zabieranych na Ziemię. Dzięki teleekranom skonstruowanym przez Zinę kulista czasza sufitu przeobraziła się w gwiaździste niebo:

najprawdziwsze niebo – takie właśnie, jakie z okolic bazy przedstawia się oczom na wolnej przestrzeni.



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 4. Orbity Urpy i Sel

Wysoko pośród niejednolicie czarnego tła sufitu wisiał nieruchomo ogromny sierp Urpy. Chylący się ku zachodowi duży, czerwony krąg, w który trudno patrzeć – to Proxima. Na północo-wschodzie jaśniały dwie gwiazdy Toli-mana.

–Szkoda, że nie widać Słońca •- powiedział do mnie Dean. – Tak lubię patrzeć w jego złotożółty punkcik.

–Aż trudno uwierzyć, że oglądane z Ziemi jest półtora raza większe od naszej Proximy – zwróciłam się do siedzącego przy naszym stoliku Włada. – Podobno świeci tak jaskrawo w pogodny dzień, że w ogóle nie można na nie spojrzeć. Czy to prawda?

–Tak – skinął głową, nie patrząc na mnie. Błądził niespokojnym wzrokiem po sali, gdzie tańczyło kilka par, to znów po usianym gwiazdami suficie.

Nastrój Włada udzielił się także i mnie. Chwilami wydawało mi się, że Kalina na kogoś czeka, to znów, że czegoś nasłuchuje. Wówczas i ja odruchowo wytężyłam słuch. Lecz na razie tylko z niedużego instrumentu zwanego synorpanem Allan wydobywał dźwięki jakiejś starej, ale pięknej melodii.

Opustoszałe miejsce przy synorpanie zajęła Mary. Popłynęły dźwięki walca. Przedemną stanął Dean. Ujął mnie za ręce i powiodł na środek sali. Przyzwyczajeni do niewielkiego ciężenia na górnych poziomach Celestii dawaliśmy sobie nieźle radę z wirową formą tańca, niełatwą na tak małym globie jak Sel. Nasz taniec bardziej zresztą przypominał płąsy płetwonurków w wielkim basenie niż piruety w sali balowej.

Umilkły ostatnie takty walca. Mary podjęła nowy temat. Usiedliśmy. Kalina trwał w

**zamyśleniu, jak gdyby nie zauważając otoczenia.**

**Zoe występowała na zakończenie wieczoru z solowym popisem. Miała niezwykle proporcjonalną budowę ciała i zachwycała płynnością ruchów. Oświetlona blaskiem reflektorów jej postać mieniła się teraz barwami tęczy, wznosząc się w tańcu aż pod gwiazdzisty sufit.**

**Dean podniósł do oka małą lunetkę. Miał ją zawsze w kieszeni. Uśmiechałam się, ilekroć kierował ją na obiekty nieastronomiczne. To go bynajmniej nie peszyło. Żartował, że przecież nie może zawsze patrzeć tylko na swoją gwiazdę imieniem Daisy, bo to szkodzi na oczy.**

**Przy drugim stoliku siedzieli rodzice Zoe. Ingrid i Renę, wpatrzeni z zachwytem w swoją jedynaczkę, zdawali się nie widzieć niczego innego poza nią. Po raz pierwszy w życiu rozstawali się z córką, i to na wiele miesięcy.**

**Ruchy Zoe stawały się teraz wolniejsze. Jakby unoszona melodią płynęła lekko wokół sali.**

**I wtedy rozległ się przeciągły, przeraźliwy gwizd, głuszac muzykę i niweczac nastrój zabawy.**

**Dźwięk sygnału raptownie ucichł. Umilkła także muzyka, a Zoe zastygła w malowniczej pozie tanecznej, z oczami rozszerzonymi zdziwieniem i jakby rozczarowaniem.**

**Trwało to krótką chwilę. Ujrzałam o krok przed sobą wyprostowaną postać Włada. Nerwowo szukał czegoś w kieszeni. Później mignęła mi przed oczami jego ręka, sięgająca po lunetę Deana. Z pomrukiem prośby czy przeproszenia chwycił ją szybciej, niżby Dean mógł mu podać lub coś powiedzieć.**

**Przyłożył lunetę do oka. Chwilę wodził nerwowo po suficie, lecz nie znalazłszy, czego szukał, puścił się pędem ku windzie.**

**–Czy jest? – zapytałam wchodząc do obserwatorium.**

**Andrzej obrzucił mój strój przelotnym spojrzeniem i uśmiechnął się:**

**–Już włożyłaś skafander? Ho, ho, teraz wiemy, kto najbardziej wyczekiwał na ten kawał węgla.**

**–Gdzie Wład?**

**Wskazał ręką kabinę kierowniczą Sokoła. Zrobiłam ruch w kierunku drzwiczek, lecz Andrzej powstrzymał mnie gestem.**

–Lepiej mu nie przeszkadzać. Sama wiesz, jak bardzo czekał tej chwili. W ostatnich dniach po prostu był nieprzytomny z powodu swojego meteoru. Renę podkpiwał z niego, ale Wład znosił to po bohatersku. No i poszczyściło mu się nadzwyczajnie, trzeba przyznać. Gotów byłem założyć się, że na meteor węglowy można czekać sto albo tysiąc lat. A tymczasem...

W tej chwili na ścianie ukazała się twarz Włada rzucona przez teleprojektor.

–Jest! Mam go! Wspaniała bryła! Zaraz skieruję Sokoła do bazy!

–Pędzę do windy!

Po minucie byłam na zewnątrz. Proxima świeciła oślepiającym blaskiem, chowając się powoli za dalekimi górami. Stałam do niej plecami i wpatrzyłam się w usiane gwiazdami niebo tuż na prawo od jasných ogni Tolimana A i B. Wiedziałam, że stąd powinien przybyć Sokół.

Niebawem go dostrzegłam. Leciał już dość nisko, zataczając duży łuk. Ukośna smuga materii odrzutowej wskazywała, że rozpoczął hamowanie.

Zbliżał się szybko. Mijając konstelację za konstelacją, gwałtownym wytryskiem fioletowej strugi wytracił całkowicie prędkość i stanął nieruchomo, niemal wprost przede mną.

Odblask Proximy na metalowym pancerzu raził wzrok, uniemożliwiając ocenę rzeczywistej odległości.

Przysłoniłam rękawicą szybę hełmu. Sokół mijał właśnie dwie najjaśniejsze gwiazdy nieba, położone tak blisko siebie, że zdawały się niemal złączone, gdy naraz...

Nie wiem, czy to było złudzenie optyczne, miraż lub po prostu powidok [\[15\]](#) wywołany przez świetliste strumienie materii odrzutowej. Tam; gdzie przed chwilą widziałam Sokoła, pojawił się na tle czarnego nieba jakiś geometryczny kształt. Dziwna mgła – nie mgła, przez którą przeświecały gwiazdy, gęstniejąc szybko, przybrała formę srebrzystego prostokąta, a potem kuli ze skierowanymi w dół jasnymi smugami.

Spojrzałam odruchowo na Sokoła, lądującego w odległości niespełna stu metrów ode mnie, i ponownie spojrzałam w górę: twór powstały z mgły przybrał znajomy kształt. Nie ulegało wątpliwości – to było lustrzane odbicie, nie! – to nie było odbicie, raczej sobowtór-fantom Sokoła. Rzeczywisty, materialny Sokół stał już na płycie lądowiska, trzymając w chwytniach ciemną bryłę. Jego sobowtór na niebie, chociaż zewnętrznie identyczny, nie niósł meteorytu, a jego chwytnie odnóża zwisały beczynnje.

Nie wiem dlaczego, ale w tamtej chwili byłam pewna, że to, co widzę, nie jest złudzeniem, że pojawiło się przede mną coś rzeczywiście materialnego, ukształtowanego na podobieństwo naszego robota. To wrażenie było zupełnie nie umotywowane rozumowo i później – gdy dłużej nad tym się zastanawiałam – nie miałam już wątpliwości, że uległam halucynacji. Niestety, zbyt późno przypomniałam sobie o kamerze hełmowej i włączyłam ją, gdy twór już się rozplątał we mgle, przez którą zaczynały ponownie przeświecać gwiazdy. Udało mi się utrwalić tylko słaby zarys białawej tarczy, przypominającej raczej zjawisko halo lub wirujące pyły, niż zmaterializowaną kopię Sokoła. Nym zresztą jest zdania, że mogły to być rzeczywiście tumany pyłu, wzniesione uderzeniem strumienia cząstek wyrzucanych przez silnik raketowy naszego robota pościgowca. Co prawda Nym przed laty, jeszcze w Układzie Słonecznym, przeżył podobną dziwną przygodę – ujrzał obraz własnego labdżeta pędzącego wprost na niego – ale to, jak twierdzi, skłania go do wniosku, że w warunkach kosmicznych niektórym zupełnie naturalnym zjawiskom mogą towarzyszyć przedziwne halucynacje.

Podobnego zdania są Kora, Will i Zoja. Zoja zresztą specjalizowała się w psychiatrii i psychologii kosmicznej.

–Nie masz się czym przejmować – powiedziała mi po przeprowadzeniu badań psychometrycznych. – Nic ci nie jest. Po prostu: zaburzenia postrzegania spowodowane gwałtownymi zmianami wektora przyspieszenia. W warunkach ciążenia sto razy mniejszego od ziemskiego błędnik reaguje z opóźnieniem. Przy szybkich ruchach mogą więc wystąpić zaburzenia orientacji przestrzennej, co sprzyja halucynacjom. Nie trzeba za dużo tańczyć, skakać i biegać, zmieniając kierunek.

To wyjaśnienie nie bardzo trafia mi do przekonania. Dlaczego nie miałam żadnych halucynacji w czasie tańca, a pojawiły się dopiero w czasie lądowania Sokoła? Dlaczego Dean, który wybiegł na zewnątrz kilka minut po mnie, i wraz ze mną przeniósł meteoryt do śluzy, nie doznał zaburzeń postrzegania? Dean również tańczył, tańczyła także Zoe – i czuli się zupełnie normalnie. Zoja twierdzi, co prawda, że to sprawa indywidualnej podatności, lecz ja nigdy nie miewałam zwidów.

Moje halucynacje wzrokowe są jednak tylko marginesową kwestią w zestawieniu z wynikami kosmicznych łowów. Schwytnie tej 39-kilowej bryły węgla jest nie tylko ogromnym sukcesem Włada, ale także konstruktorów całego „sokolego” systemu – Jara i Ziny. Przede wszystkim jednak, już na podstawie badań meteorytu, można uznać to osiągnięcie za punkt zwrotny w naszych poglądach na przeszłość Układu Proximy.

Struktura meteorytu wskazuje niezbicie na pochodzenie organiczne, lecz różne od ziemskiego. Jego wiek ocenił Heng na ponad 700 milionów lat. Być może uda się też określić, kiedy nastąpiła katastrofa planety, z której pochodził meteoryt.

**Jak wykazują prześwietlenia i wewnętrzne zdjęcia warstwowe, blok ten nie jest jakimś jednorodnym kawałkiem skamieniałego pnia, ale zawiera mnóstwo drobnych elementów, należących do najrozmaitszych paleobotanicznych gatunków. Siadów fauny na razie w nim nie znaleziono. Natomiast odkryto ponad sto trzydzieści rodzajów- pyłków kwiatowych. Żaden, mimo zewnętrznych podobieństw, nie pokrywa się z gatunkami roślin istniejących w Układzie Słonecznym dziś lub w przeszłości.**

**Poza tym, już w pierwszej fazie badań. Mary dokonała szczególnie intrygującego odkrycia. Oto na powierzchni bocznej meteorytu zauważyła foremną, pięciokątną skamieniałość o doskonale zachowanych szczegółach budowy. Twór ten, większy od paznokcia, o krawędziach wydłużonych ku górze, sprawiał wrażenie nasienia. Allan po bardziej szczegółowych badaniach oświadczył, że jego zdaniem może to być narząd spełniający funkcję zaczepną, po prostu mogący atakować zwierzęta wielkości małych owadów. Krawędzie opatrzone były ostrą, ząbkowaną listewką, jakby przeznaczoną do rozkrawanra.**

**Oczywiście, konieczne są dalsze badania, i to nie tylko schwytanego meteorytu, ale również planetoid, które prawdopodobnie są szczątkami rozbitej planety. Chwilami zaczynam żałować, iż nie jestem członkiem zespołu Igora. Umówiłam się z Suzy, że będzie przekazywać mi swe notatki na Noktę.**

**Ciągle myślę o tym, co widziałam. To nie mogło być tylko przywidzenie. Być może Proxima co pewien czas emituje jakieś promieniowanie sprzyjające zaburzeniom świadomości, o czym zdaje się świadczyć omdlenie Hansa. Zbieżność w czasie ze schwyтaniem meteorytu węglowego może być zupełnie przypadkowa.**

**Muszę się przyznać, że jakkolwiek dałam się przekonać, iż to, co widziałam, było halucynacją (choćby wywołaną przez Proximę), po cichu marzę, aby znalazł się jakiś dowód realności tego zjawiska czy choćby przekonujący argument. Niestety, tylko jedna Zoe odważyła się wystąpić z taką hipotezą twierdząc, że nie można wykluczyć manifestowania się w ten sposób obcej cywilizacji władającej Układem Proximy. Ale Zoe, jak wszyscy dobrze wiedzą, ma głowę wypełnioną fantastycznymi pomysłami, i nikt jej poglądów „naukowych” poważnie nie traktuje.**

# DWA TYSIĄCE LAT...

## (Ze wspomnień Daisy Brown)

*Nokta, sierpień 2535*

Od chwili kiedy – jako pierwsi uczestnicy międzygwiazdnej wyprawy – wylądowaliśmy na planecie Nokta, minęło sześć tygodni, wypełnionych niemal bez reszty wytężoną, mrówczą pracą.

Stosunkowo najszybciej posuwa się w swych badaniach Dean. Pomiary wielkości, kształtu i masy planety, jak również szybkość jej ruchu wokół osi, są właściwie tylko sprawdzeniem pomiarów dokonanych z Bolidu, krążącego wokół Nokty. W tym statku, będącym kosmiczną bazą naszej ekipy, pracują obecnie Władek i Zoe. Dean i ja „biegamy” po powierzchni globu, mierząc rozkład ciężenia i pola magnetycznego oraz natężenie promieniowania kosmicznego. Przenosząc się z miejsca na miejsce za pomocą plecowych aparatów raketowych, w szybkim tempie wypełniamy rojem cyfr karty fotomap.

Jest to zresztą tylko część naszych zadań. W przyszłym tygodniu mamy rozpocząć sejsmiczne badania wnętrza planety i należy w różnych punktach globu rozrzucić przyrządy pomiarowe. Obowiązkiem naszym jest również pobieranie próbek skał oraz zestalonych, płynnych i gazowych resztek atmosfery Nokty występujących zwłaszcza na dnie kraterów i szczelin.

W przeciwieństwie do naszego ruchliwego i urozmaiconego trybu życia – Mary i Hans prowadzą drobiazgowo badania geologiczne, geofizyczne i chemiczne. Na podstawie map geologicznych, sporządzonych z Bolidu przed lądowaniem, wyznaczyli szereg punktów wymagających szczegółowych badań. Lecz właśnie z pozornie nudnych i jednostajnych pomiarów oraz analiz chemicznych, z prześwietleń i sondowań rodzi się to, co stanowi główny cel wyprawy: odsłania się przeszłość układu planetarnego Proximy.

Aby zilustrować to konkretnym przykładem, a jednocześnie oddać możliwie wiernie nie tylko temat, ale i atmosferę naszych rozmów, przytoczę tu zapis dyskusji, jaką toczyli Hans, Mary i Dean przed paru dniami w bazie planetarnej na Nokcie:

**HANS (do Deana):** Jak tam pomiary grawimetryczne w okolicach krateru G-347? Chcę tam przenieść swe stanowisko.

**DEAN:** Nic szczególnego. Chyba tylko to, że można podejrzewać obecność większych złóż metali ciężkich. Taśmy zostawiłem na dole. Możesz przejrzeć. Poza tym liczniki sygnalizują dość intensywne promieniowanie.

**HANS: Kosmiczne?**

**DEAN: Nie. Różne pierwiastki promieniotwórcze. Pewno dość płytko położone. (do Mary) A jak twoje sondowanie? Śladów życia nie znalazłaś?**

**MARY: Nie. Żadnych śladów. Nawet bakterii. To zrozumiałe.**

**DEAN: Tak, to zrozumiałe. Nokta nie mogła otrzymywać nigdy więcej ciepła niż Jowisz.**

**MARY: Jest tu jedno „ale”. Zmiana formy kryształów. Niektóre minerały zewnętrznej powierzchni skał noszą ślady działania dość wysokiej temperatury.**

**DEAN: Trzeba przyjąć hipotezę, że Nokta poruszała się kiedyś bardzo blisko swego słońca.**

**MARY: Nie.**

**DEAN: Co chcesz przez to powiedzieć?**

**MARY: Zestawiając zwożone przez ciebie i Daisy odłamki skał z miejscem ich znalezienia, Zoe wykreśliła mapę według przeobrażeń formy kryształów.**

**DEAN: Co tam Zoe... Ona musi się jeszcze uczyć.**

**HANS: Właśnie w ten sposób się uczy na praktycznych przykładach. Zoe otrzymała to zadanie od Mary. Myślę też, że przynajmniej przez parę dni mogłaby latać z tobą. Ma dopiero dziewiętnaście lat. W tym wieku człowiek aż się rwie do trudniejszych zadań.**

**DEAN: Zaraz po zakończeniu badań sejsmicznych Daisy poleci na Bolid. Na dwa dni. No i co z tą mapą?**

**MARY: Bardzo ciekawe wnioski. Pas, w którym powierzchnia skał uległa najsilniej działaniu dość wysokiej temperatury z zewnątrz, biegnie nie wzdłuż równika planety, lecz nieco dalej na północ, między równikiem a zwrotnikiem. Co ciekawsze – nieco ukośnie. Najważniejsze zaś jest to, że samo centrum pasa wykazuje różnice w wysokości temperatury. Rośnie ona, a potem spada.**

**DEAN: A długość pasa nie jest równa równikowi?**

**MARY: Nie.**

**DEAN: A więc wzrost temperatury był krótkotrwały. Można zresztą w przybliżeniu obliczyć czas trwania zjawiska. Gdzie jest ta mapa?**

**MARY:** Już obliczałam. Mniej niż jedna setna czasu obiegu planety wokół

**Próximy. A może nawet tylko kilka dni. Potwierdza to zresztą głębokość występowania zmian w strukturze krystalicznej.**

**HANS:** To nie jest jedyny problem Nokty. Są ślady wskazujące na działanie lodu. Obok bardzo licznych oznak działalności wulkanicznej i ruchów tektonicznych w dalekiej przeszłości – występują pęknięcia przypominające rozsadzanie skały przez zamarzającą wodę.

**DEAN:** A więc sądzicie, że Nokta otoczona była dość gęstą, częściowo skroploną i zestaloną atmosferą? Czy tak?

**HANS:** Powiedzmy...

**DEAN:** Przed kilkuset milionami lat nastąpiła, katastrofa... Na skutek zachwiania równowagi przemian jądrowych Proxima rozrosła się do ogromnych rozmiarów. Temperatura jej podniosła się tak, iż rozgrzane silnie gazy i pary atmosfery Nokty zaczęły z gwałtowną prędkością ją opuszczać. Wobec niedużej siły ciężenia atmosfera uciekła niemal całkowicie, zanim temperatura opadła, i znów zapanował kosmiczny mróz. Od chwili katastrofy nie następowały na powierzchni planety żadne zmiany, poza uderzeniami meteorytów, zresztą kiedyś znacznie liczniejszymi niż dziś. Wiecie, że zaczynam się do tej hipotezy przekonywać.

**HANS:** Za wcześnie. Istnieje „ale”, które ją burzy.

**DEAN:** Jakie „ale”?

**HANS:** Najpierw pewne sprostowanie: Wzrost temperatury nastąpił, jak wynika z ostatnich dokładniejszych obliczeń, nie przed kilkuset milionami; lecz zaledwie przed dwoma tysiącami lat.

**DEAN:** Ciekawe... Występuje więc zbieżność w czasie dwóch faktów: wzrostu temperatury i zmiany orbit planet Temy i Nokty.

**HANS:** Tak, ale to nie usuwa innych obiekcji. Po pierwsze trudno przypuścić, że Proxima jest Nową[16]. Przeżyła ona wstrząs tylko jeden raz. A przecież gwiazdy Nowe rozbłyskują cyklicznie. Natomiast nigdzie na tej planecie nie stwierdziliśmy wcześniejszego działania wyższych temperatur. Ponadto Proxima jest czerwonym, a nie białym karłem.

**DEAN:** A może jednak istnieją gwiazdy tego typu? Mogą być różne drogi ewolucji. Tak samo nie u wszystkich zaobserwowanych Nowych stwierdzono ponowną eksplozję. Co prawda cykle mogą być bardzo długie. Ale któż zaręczy, że przed dwoma tysiącami lat nie nastąpił pierwszy lub przynajmniej najsilniejszy wzrost

**jasności Proximy?**

**MARY: Niestety...**

**HANS: Istnieje kolejne „ale”, które wyklucza, że był to wstrząs zbliżony chociaż do typu Nowej.**

**DEAN: Jakież znów „ale”?**

**HANS: Na wszystkich planetach Układu Proximy pozostała powłoka gazowa lub lodowa. Znikła tylko na... ostatniej, najdalszej.**

**DEAN: Rzeczywiście. Ale ze mnie... Chociaż... Może jednak zdecydował tu fakt, że jest to planeta o masie sto razy mniejszej od Ziemi. Siła ciężenia była tu zbyt słaba, aby utrzymać rozpaloną atmosferę. Jak oceniacie maksymalną temperaturę w punkcie podświetlonym w tym okresie?**

**MARY: Do 450 stopni.**

**DEAN: Na Primie byłoby więc ponad dwa i pół tysiąca stopni. Prima ma ogromną masę, ale wykluczone, aby Tema i Urpa utrzymały atmosferę. One krążą przecież jeszcze bliżej.**

**HANS: Fakty jednak pozostają faktami. Nokta przeżyła dwa tysiące lat temu gwałtowny przyływ temperatury z zewnątrz. Mówią o tym ślady.**

**DEAN: A przecież przyczyną tego mogła być tylko Proxima. Nie widzę innego źródła ciepła...**

**MARY: Musimy więc odwrócić zagadnienie: Dlaczego na innych planetach jest lód? Więcej – przecież na niektórych obszarach Temy obecnie istnieje roślinność.**

**DEAN: Jeśli Proxima zwiększyłaby swój promień czterdziestokrotnie, Tema znalazłaby się całkowicie w jej wnętrzu. Nic się nie zgadza.**

**HANS: Przesada. Po prostu brak nam jeszcze elementów do zbudowania właściwej hipotezy.**

**DEAN: A gdyby przyjąć, że przyczyna zmiany orbity Nokty i wzrostu temperatury była jedna?**

**HANS: To znaczy?**

**DEAN: Załóżmy, że Nokta przeszła dwa tysiące lat temu obok Proximy. Mogła po drodze wpłynąć na zmianę orbity Temy... Nie! Masa jej jest chyba za mała, aby nastąpiło tak duże zniekształcenie orbity Temy. Gdyby nie ta mała masa, nic nie**

stałoby na przeszkodzie, aby później, pod wpływem przyciągania Umbry, nastąpiło przekształcenie wydłużonej orbity Nokty w obecną orbitę. Można to zresztą sprawdzić matematycznie.

**HANS:** A jak wytłumaczysz rozbitcie planety X?

**DEAN:** Niestety... Masz rację. Hipoteza ta w ogóle nie ma sensu.

**HANS:** Tego bym nie powiedział. Nasunęła mi się w tej chwili nowa myśl, tylko nie wiem, czy słuszna. Może właśnie dzięki planecie X twoja hipoteza nabierze cech prawdopodobieństwa.

**DEAN:** Dzięki planecie X?

**HANS:** Załóżmy, że Nokta pierwotnie nie była planetą, lecz księżycem planety X.

**DEAN:** Świetny pomysł! Ta właśnie planeta X, przechodząc wraz z Nokta blisko Proximy, spowodowała zmianę orbity Temy! Potem planeta X uległa zagładzie, a Nokta pod wpływem Umbry...

**MARY:** Za bardzo się śpieszycie. Po pierwsze hipoteza Hansa musi upaść, i to bezapelacyjnie. Po prostu Nokta nie utrzymałaby atmosfery w temperaturze koniecznej do istnienia życia. Ma za małą masę, podobnie jak ziemski Księżyc. A przecież zarówno meteoryt Włada, jak i odkrycia ekipy Igora wskazują na istnienie kiedyś życia na planecie X. Niemożliwe więc, aby na księżycu tej planety panowały w tym czasie warunki odpowiadające Neptunowi czy Plutonowi, czyli temperatura poniżej 200°C.

**HANS:** Masz słuszność. Zupełnie o tym zapomniałem. Powiedziałaś jednak „po pierwsze”. A co „po drugie”?

**MARY:** Po drugie trzeba najpierw spróbować wytłumaczyć przyczyny katastrofy planety X i „zwichrowania”, jak mówi Renę, Układu Proximy. Nie czytaliście najnowszego biuletynu. Otóż Andrzej poddaje krytyce szereg własnych i cudzych hipotez.

**DEAN:** Nic nie wiedziałem o biuletynie.

**MARY:** Przyszedł po waszym odlocie. Dziś rano. Są też notatki Suzy dla Daisy.

# MAKROCHONDRY

## (Fragmenty notatek Suzy dla Daisy)

*II księżyc Primy, 7 czerwca 2535*

Choć już trzeci tydzień krążymy wśród rodziny księżyców Primy, dopiero dziś przystąpiłam do sporządzania dzienniczka, o który mnie prosiłaś.

W poniedziałek opuściliśmy statek Argo, lądując labdżetem na najbliższym księżycu tego kolosa planetarnego. Księżyc nazwaliśmy Liliputem.

Miniaturowy glob, na którym się znajdujemy, ma 80 km średnicy i jest niemal zupełnie okrągły. Brak poważniejszych wzniesień i w ogóle jakiegokolwiek ciekawszej rzeźby terenu nasuwa porównanie z kulą bilardową, oczywiście w odpowiednim powiększeniu.

Sam widok olbrzymiej Primy, zwanej również Proximą B, już się nam, nieastronomom, nieco znudził. Zastłania sobą niemal pół nieba, co sprawia przytłaczające wrażenie. Patrząc w jej tarczę, chwilami, zwłaszcza w czasie pełni, można ulec złudzeniu, że gigantyczny krąg planety olbrzymieje w oczach i że zaraz wpadniemy w kipiela jej mroźnego kociołka. Prima jest kulą zbudowaną niemal w całości z wodoru, który w jej wnętrzu pod wpływem kolosalnego ciśnienia przeszedł w fazę metaliczną. Dopiero wokół tego stałego jądra rozciąga się ocean ciekłych gazów. Zewnętrzna atmosfera to głównie amoniak i metan. Zresztą wyraźną granicę między stanem ciekłym a gazowym trudno tu ustalić.

*Argo, 10 czerwca*

Dziś wyruszyliśmy w drogę ku dalszym regionom układu księżyców Primy.

Co prawda trudno ten orszak nazwać rodziną, księżyce różnią się bowiem pochodzeniem. Liliput jest autentycznym księżycem i okrąża planetę prawie od początku jej istnienia. To samo można powiedzieć o sześciu innych satelitach Primy, z których dwa są większe od Marsa.

Reszta – to prawdopodobnie schwytane planetoidy. Co do kilku mamy zupełną pewność ze względu na wydłużone orbity oraz nieregularne kształty tych ciał kosmicznych.

*Labdżet A-2, 11 czerwca*

Po paru minutach pracy silnika – cisza. Mam spokój na dwie godziny, więc piszę. Lecimy w składzie: Igor, Czin i ja. Za doraźny cel obraliśmy jeden z księżyców,

**niewątpliwie planetoidalnego pochodzenia. Właściwie trudno określić – jeden czy dwa. Badania pantoskopowe z odległości kilku milionów kilometrów każą przypuszczać, że są to dwie oddzielne bryły „przylepione” do siebie siłami wzajemnego przyciągania, bardzo zresztą nikłymi, zważywszy drobne ich rozmiary. Planetoida obraca się wolno wokół osi. Gdyby obrót był szybki, nie utrzymałaby się w tej postaci.**

**Piszesz o Waszych badaniach Nokty, o pracach Mary, Hansa, Deana i Zoe, a nie wspominasz ani słowem, co robi Wład. Jeśli milczysz na ten temat dlatego, aby mnie nie denerwować, to się mylisz. Jestem twarda jak skała i zimna jak Urpa.**

***XXIV księżyc Primy, 12 czerwca***

**Nazwaliśmy ten księżyc Zroślakiem. Na Ziemi istnieje pewna odmiana jabłoni o takiej nazwie. Bardzo często bowiem rodzi owoce przyrośnięte do siebie parami, boczną stroną. Takie jabłonie, o gałązkach rozciągniętych po drutach poziomych, tworzyły czworokątny żywopłot okalający ogród moich rodziców pod Yamagata. Utkwiły mi w pamięci jeszcze z dziecinnych lat...**

**Otóż Zroślak, na którym przysiedliśmy przypomina kształtem tamte jabłka. Składa się on istotnie z dwóch oddzielnych brył wspartych o siebie nierównymi ścianami. Jedna z brył jest nieco większa od drugiej, poza tym są prawie bliźniaczo podobne do siebie. Mała powierzchnia styku sprawia dziwaczne wrażenie. Miejscami dość grube, zamarznęte nacieki wodne wskazują, że bryły te (a przynajmniej jedna z nich) pochodzą z zewnętrznych warstw rozerwanej ongiś planety. Ta okoliczność pozwala się spodziewać doniosłych odkryć.**

**Najpoważniejszy kłopot mam z chodzeniem. W warunkach tak małego przyciągania zwykle umiejętności chodzenia zawodzą i trzeba się uczyć tej sztuki na nowo. Właściwie cofamy się do sposobów wypróbowanych przez niemowlęta – tylko raczkowaniem można tu osiągnąć dobre rezultaty, stosując je w połączeniu z „lotem ślizgowym”. Co prawda te ostatnie wyczyny nie mają nic wspólnego z lataniem w powietrzu i, w rzeczywistości są to po prostu poziome skoki. Nie ma tu przecież ani odrobiny atmosfery. Za to przyciąganie Zroślaka jest tak słabe, że odbiwszy się nogami w kierunku prawie poziomym, można przelecieć kilkanaście metrów tuż nad powierzchnią księżyca i opaść tak delikatnie, jak w warunkach ziemskich liść strącony z drzewa. Nasz glob mierzy bowiem zaledwie 13 kilometrów. Widnokraj jest tu bardzo dziwaczny, a pojęcie linii horyzontalnej zakreślającej koło traci sens. Na razie kończę te notatki, bo wkrótce przystąpimy z Igorem do zapuszczania sond geologicznych. Korzystamy z dogodności, jaką stwarzają małe rozmiary księżyca: sondami będziemy przeszywać ten glob na wylot.**

***XXIV księżyc Primy, 15 czerwca***

Już w dniu wylądowania na Zroślaku, w czasie pobieżnych jego oględzin, Igor sygnalizował nam o pierwszym ciekawym odkryciu.

Natknął się na rozległe złoża białych, jednorodnych skał. Przypominają one ziemię krzemkową, miejscami nasyconą jakimiś skroplonymi lub skrzeplonymi gazami. Natychmiast rozpoczęliśmy badania tej formacji, jednocześnie przesyłając kilka próbek Hengowi na Argo do szczegółowej analizy chemicznej.

Odnalezione złoża można uważać istotnie za coś w rodzaju ziemi krzemkowej. Składem chemicznym nie różni się zbyt wiele od eksploatowanej na Ziemi. Pochodzenie ma takie samo: składa się ze szkielecików mikroskopijnych roślinek przypominających glony krzemki żyjące w ziemskich oceanach. Tylko że budowa pancerzy-pudełeczek jest tu inna. Poza tym są znacznie większe.

Grubość pokładu osiąga w jednym miejscu cztery metry. Dowodzi to, że na planecie istniały morza, w których życie rozwijało się co najmniej setki milionów lat.

*XXIII księżyc Primy, 8 lipca*

Znajdujemy się tu od wczoraj. Nasz obecny świątek jest kanciastą bryłą o najdłuższej średnicy sięgającej 70 kilometrów. Z większej odległości przypomina masywny siup czy raczej cokół. Na marginesie dodam, że podobny kształt spotyka się u planetoid dość często. Księżyc, z którego piszę te słowa, jest ponad wszelką wątpliwość jedną z planetoid zmuszonych przez Primę do powiększenia jej orszaku.

Do obrania obecnej planetoidy jako kolejnego terenu badań przyczynił się Andrzej. Udało mu się przez pantoskop Argo zaobserwować w obrazie XXIII księżyca Primy interesujące szczegóły powierzchni. Oprócz normalnych wybrzuszeń skalnych dostrzegł jakieś niezwykle, okrągłe twory, które sprawiały wrażenie brunatnych ziarn wciśniętych w plastelinę. Przekazany obraz do złudzenia przypominał przełamaną powierzchnię chondrytu[17]. [Brunatne ziarnka okazały się w rzeczywistości bryłami meteorytowymi o rozmiarach od paru milimetrów \(te najmniejsze oczywiście nie uwidaczniały się w obrazie teleskopowym\) do szesnastu metrów średnicy.](#)

Najbardziej logiczne wydaje się następujące wyjaśnienie tego zjawiska:

wkrótce po katastrofie planety, kiedy obecny XXIII księżyc Primy był jeszcze gorącym jej odłamkiem z głębokich warstw, zasypał go gęsty deszcz meteorytów pochodzących z jakiejś wtórnej eksplozji. Meteoryty ugrzęzły w tej części planeto'dy, która nie zdążyła jeszcze zakrzepnąć i zbliżała się konsystencją do półpłynnej magmy.

Już przy pierwszym zetknięciu z „makrochondrami” (tak nazwaliśmy meteoryty wtłoczone w masę księżyca) urządzenia ostrzegawcze w naszych skafandrach zaalarmowały o bardzo silnym promieniowaniu alfa, beta i gamma. Wszystkie

**badania musimy przeprowadzać na odległość. Tyle na razse,**

*Argo, 11 lipca*

**Zacznę od końca:**

**Wystąpiłam z hipotezą, że zniszczenie planety X zostało wywołane działalnością istot cywilizowanych, które osiągnęły wysoki stopień rozwoju techniki jądrowej. Wychodząc z założenia, że przypadkowe samounicestwienie się istot rozumnych jest wysoce nieprawdopodobne, należy przypuszczać, że katastrofa musiała nastąpić w trakcie prowadzenia morderczej wojny. Nie tylko przyniosła ona momentalną zagładę tamtejszego życia, ale zniszczyła planetę jako jednolite ciało astronomiczne. Czy ta tragiczna, potwornie silna eksplozja była skutkiem nieostrożnej obsługi śmiertelnych urządzeń, czy też świadomym aktem jednostki albo grupy istot, która w obliczu przegranej uchwyciła się tak szaleńczego środka – można różnie sądzić. Prawdy przypuszczalnie nigdy się nie dowiemy.**

**A teraz uzasadnienie;**

**Badania makrochondry z XXIII księżycy Primy już na wstępie dostarczyły nam dodatkowej sensacji. Pisałam ci o silnym promieniowaniu. Otóż źródłem jego jest szereg izotopów radioaktywnych pierwiastków o liczbie atomowej wyższej od stu. Zdaniem Henga, który jako chemik ma tu głos rozstrzygający, pierwiastki te są produktem wytworzonym przez istoty rozumne, stojące pod względem znajomości struktury materii nie niżej od nas.**

**Jeden z izotopów, o szczególnie intensywnym promieniowaniu, nie został jeszcze na Ziemi wytworzony. Wszystkie ujawnione dane dotyczące jego właściwości przekazaliśmy komputerom do rozpracowania metod jego produkcji. Będzie to miało poważne znaczenie techniczne. Cała ta historia ma bardzo doniosły aspekt: jest pierwszym aktem wymiany osiągnięć istot cywilizowanych o zgoła różnym pochodzeniu, które w dwu oddalonych o lata świetlne obszarach wycisnęły pieczęć świadomego tworzenia na odmiennych układach planetarnych.**

**Właściwie źle się wyraziłam, bo to nie wymiana.**

**Brak drugiej strony – twórców tego izotopu. Przy spotkaniu z wytworem ich działalności po prostu miesza się wątek myśli. Jeśli oni zginęli tak okrutnie, tak niepotrzebnie...**

**Myśląc o tym, chce się zawołać: „Obym była fałszywym prorokiem!” Oby... Ale niestety dowody mówią raczej, że ICH żywych nie zobaczymy. I jeszcze jedno: makrochondry pozwoliły nam na dokładne określenie czasu katastrofy. A właściwie czasu wyprodukowania tych pierwiastków[\[18\]. Działo się to 2106 lat temu.](#)**

## Część II

### Pierścień Nibeungów

#### ZOE

Duży plastyczny globus planety Nokty migotał rojem zielonkawych punkcików. Kalina przez chwilę śledził wzrokiem grę światła, – po czym włączył ekran obserwacyjny.

W ścianie jakby otworzyło się okno. Widać było przez nie znaczny wycinek gwiazdzistego nieba z wielką rdzaw.} kulą planety pośrodku.

Kalina spojrzął na globus. Zielonkawe światełka rozbłyskiwały coraz rzadziej i słabiej. Przesuwały się teraz nieregularnymi pasami z północy ku południowemu biegunowi planety. Tylko czasami przez granicę jaśniejszych światła przeskakiwał pojedynczy blady punkcik i migocąc chwilę gasł.

Minuty wlokły się wolno. Kalina ziewnął i spojrzął na zegarek. Dochodziła ósma według czasu uniwersalnego.

Zoe z pewnością jeszcze śpi aibu po wczorajszym incydencie c/nie się obrażona. Inaczej już by tu była i zawracała głowę swymi niedorzecznymi pomysłami. Po wczorajszych całodziennych sporach i utarczkach czuł, iż nieobecność dziewczyny przyjmuje z wyraźną ulgą. Może istotnie obraziła się i będzie miał choć trochę spokoju. Niech zresztą leci sobie na Noktę, jeśli tylko Daisy się zgodzi...

A przecież jeszcze przed Tygodniem wydawało mu się, że Zoe to świetny kompan, który przez lata może się znudzić. Jej osobisty urok, pogodne usposobienie, przedsiębiorczość i różnorodne zainteresowania sprawiały, że od czasu „wielkiego budzenia” była ulubienicą starej gwardii i najbardziej niespokojnym duchem wśród młodzieży. Właściwie niemal wszystkie te cechy jej osobowości pozostały i dziś, lecz – w jego odczuciach – jakby w wyolbrzymionej, skarykaturowanej postaci. Może zresztą Saka ocena była trochę krzywdząca dla Zoe, lecz coraz bardziej kłopotliwe, przejawy jej inicjatywy i upór, z jakim broni swych przywidzeń – wydały mu się chyba równie niedorzeczne co męczące.

Kiedy dzielono ekipę na dwie grupy: dwuosobową – dyżurującą w statku wyprawowym krążącym wokół Nokty i czteroosobową – prowadzącą pracę na powierzchni planety, było jasne, że Kalina jako fizyk, nawigator i najlepszy bombardier w ekipie musi pozostać na orbicie. Był też bardzo zadowolony, że Zoe wyraziła niemal bez wahania gotowość towarzyszenia jemu właśnie. Zapal, z jakim

uczestniczyła w sporządzaniu mapy globu i przygotowywaniu programu „bombardowania” przez pierwsze tygodnie wspólnej pracy, nie zapowiadał w niczym możliwości konfliktu. Wszystko układało się jak najlepiej i dopiero pięć dni temu z rana, po zakończeniu zdjęć na najniższym pułapie, tuż przed wprowadzeniem statku na orbitę stacjonarną, jakby ją coś opętało...

Czy dlatego, że jej się coś przywidziało, miał łamać harmonogram? Początkowo zresztą potraktował jej relację poważnie. Oboje dokładnie przejrzeni zdjęcia i zapisy. Ale przecież już sam fakt, że nie ma na nich żadnych śladów, nawet nieznacznego wzrostu jasności, powinien ją od razu przekonać, że uległa złudzeniu. Po prostu musiał to być zwykły refleks – odbicie światła Proximy od jakiegoś przedmiotu poruszającego się wraz ze statkiem czy odbłask na szybie. Znajdowali się przecież w tym momencie po oświetlonej stronie planety.

Mógł jeszcze od biedy zrozumieć wybuch rozgoryczenia dziewczyny, spowodowany zawodem, że jej odkrycie okazało się złudzeniem. Ale upieranie się, że musi sama bezpośrednio zbadać teren tego płaskowyzu, na którym ponoć coś jej dwa razy błysnęło – to dziecinada. A już żądanie, aby w ogóle zaniechać obstrzału rezygnując z badań sejsmicznych i analiz spektralnych, świadczy o zupełnym zatraceniu poczucia rzeczywistości. I jeszcze do tego miałby to sugerować Mary?

A może przyczyną tych wyskoków jest zawiedziona dziewczęca miłość? Tuż przed odlotem z Sel postanowił sobie, że będzie unikał wszelkich dwuznacznych sytuacji, stwarzających niepotrzebne złudzenia Zoe, iż może spodziewać się z jego strony wzajemności. W czasie wspólnej pracy na orbicie starał się zachować czysto koleżeńską atmosferę i dystans, co mogło być dla niej zaskoczeniem. U dziewcząt w jej wieku łatwo w tych warunkach o nieobliczalne reakcje.

Mógł o tym świadczyć przebieg wczorajszej kłótni. Niektóre słowa Zoe można interpretować jako celowe manifestowanie obojętności, Choćby to oświadczenie, że musi się ostatecznie rozmówić z Deanem, gdyż ma już dość siedzenia na Bolidzie.

–Jeśli tak bardzo ci się śpieszy, to poproś, może jeszcze dziś przyślą po ciebie raketę. Ja cię nie zatrzymuję – odburknął wówczas szorstko.

Wyszła bez słowa z pokoju. Nie była również na kolacji. Niewątpliwie sprawa dojrzała do rozstrzygnięcia. Z niepokojem myślał jednak o czekającej go rozmowie. Powinien postawić sprawę otwarcie i powiedzieć jej o Suzy, ale nie mógł się jakoś na to zdecydować.

Globus przygasł niemal zupełnie, gdy na bocznym ekranie teleprojekcyjnym ukazała się twarz Hansa.

–Halo! Wład! Zmiana! – wyrwał Kalinę z zamyślenia głos geofizyka. –

**W następnej serii drugi pocisk nieco dalej na południo-zachód: sektor R 48/11. Pierwszy, trzeci i czwarty bez zmian. Odstęp cztery sekundy.**

**–Tak jest! – Kalina poderwał się z miejsca. Podeszedł do niedużej tablicy rozdzielczej i nacisnął szereg guzików. Zapłonęła czerwona lampka.**

**Znów podeszedł do „okna”. Lampka zamigotała i zgasła raptownie. Niemal jednocześnie, gdzieś z boku za „oknem” wyskoczyła niewielka rakieta w kształcie długiego walca, spadając ukośnie ku planecie. Potem druga, trzecia, czwarta i piąta. Wysłane przez automatyczną wyrzutnię, ginęły z oczu niemal natychmiast i tylko smugi świecących cząstek materii odrzutowej znaczyły kierunek lotu. Po chwili i one stały się niewidoczne.**

**Trzeba było poczekać blisko pół godziny na rezultat. Usiadł w głębokim fotelu i sięgnąwszy do podręcznego stolika zaczął przeglądać kartki fotopisu z nadesłanymi przed godziną notatkami Hansa.**

**Drzwi rozsunęły się cicho. Przez próg przeskoczył mały, kudłaty piesek, a za nim Zoe.**

**Pies wskoczył Kalinie na kolana i przejechał ciepłym jęzorkiem po policzku.**

**–Jak się masz, Ro?! – pogładził psa po szorstkiej sierści. Jednocześnie spojrzął z ukosa na dziewczynę, która zatrzymała się niezdecydowanie tuż za progiem pracowni.**

**–Wład? – posłyszał wypowiedziane niemal szeptem swe imię. Wiedział już, że nie potrafi udawać obrażonego.**

**–Tak. Tu Wład! – odrzekł naśladowując sposób nawiązywnia łączności radiowej.**

**Zaśmiała się cichutko z żartu, potem raptownie spoważniała.**

**–Chciałam cię przeprosić... – powiedziała niepewnie.**

**–Za co?**

**–Za wczorajsze. Wiem, że byłam nieznośna...**

**–Zgadza się, ale spuśćmy na to zasłonę zapomnienia.**

**–Przyznaj jednak, że i ty...**

**–Przyznaję, ale z zastrzeżeniem. Zostałem nieciekawie sprowokowany.**

**–Niech ci będzie... – potwierdziła pojednawczo, siadając naprzeciw Kaliny. Pies**

zeskoczył z jego kolan, przesiadając się na kolana swej pani.

–Mam do ciebie prośbę – podjęła Zoe po chwili z pewnym wahaniem.

–Czyżby podróż do Canossy za interesem? – mrugnął do niej porozumiewawczo.

–Okropny jesteś! – oburzyła się raczej dla zasady.

–Co to za prośba?

–Chodzi o to, że jeśli nie chcesz mi pomóc, to chociaż nie przeszkadzaj...

–Cóż to znowu?! – zjeżył się wietrząc nowy atak.

–Skorzystałam z twojej rady i rozmawiałam wczoraj z Mary.

–No i...?

–Nietrudno było się zorientować, iż zdążyłeś ją uprzedzić, aby nie traktowała całej sprawy poważnie. Jesteś perfidny!

–Zbyt mocne słowa. Nie podejmowałem" się roli adwokata. A zresztą nie jest prawdą, iż cokolwiek sugerowałem Mary. Przeciwnie, starałem się jak najobiektywniej przedstawić twoje racje i postulaty.

–Wyobrażam sobie twój obiektywizm – wtrąciła z przekąsem, jednak dość spokojnie.

–Nie jest też prawdą, iż nakłaniałem cię do rozmowy z Mary na temat twoich przywidzeń...

–Nie wmówicie mi, że to złudzenie! – wybuchnęła nagle. – Dwukrotny, bardzo jasny, wręcz oślepiający rozbłysk z tego samego miejsca!... Nie ma mowy o refleksie na szybie! To bzdura!!

–Wrażenie błysku mogło być wywołane promieniowaniem kosmicznym. W siatkówce lub w mózgu, w ośrodku wzrokowym... – próbował jeszcze argumentować.

–Nie przekonasz mnie! To było z jednego punktu' W pobliżu długiej S7.czeliny, przecinającej centralną część płaskowyżu w sektorze K-14. W tym miejscu orbita Bolidu przebiegała w odległości niespełna i.rzech kilometrów od powierzchni. Zmiany w położeniu obiektów w polu. widzenia następowały bardzo szybko. A mówię przecież, że widziałam dwa błyki, w odstępie chyba nie mniejszym niż półtorej sekundy.

–W otwartej przestrzeni ulega się różnym złudzeniom. Daj sobie to powiedzieć!

**Rzeczywiste błyski byłyby zarejestrowane przez kamery!**

**–Wiem! Znam na pamięć twoje argumenty. A ja jednak chcę tam polecieć i zbadać bezpośrednio teren. I powiem ci, że mimo twoich sugestii. Mary dała się przekonać!  
...**

**–To znaczy? – zapytał zdziwiony.**

**–Powiedziała, że nie widzi przeszkód, aby zmienić nieco program...**

**–Tak powiedziała?!**

**Zoe poruszyła się niespokojnie.**

**–Powiedziała, że zostawia nam... to znaczy tobie... wolną rękę. Westchnął ciężko.**

**–Zrozum, dziewczyno – podjął siląc się na spokój. – Nie mamy czasu na przebudowę programu.**

**–Opracowałam korektę. Wystarczy, abyś przejrzał... – wyjęła z kieszonki w kombinezonie kasetkę z kryształem.**

**–Chcesz, abym dla twoich przywidzeń zmieniał cały program?!**

**–Nie cały, tylko niewielki fragment! Wystarczy przesunąć kolejność terenów eksplozji.**

**–Nie rozumiesz, że to wymaga korekty programu badań sejsmicznych, harmonogramów lotów Deana... zmiany numeracji zasobników...**

**–Staralam się uwzględnić wszystkie konieczne zmiany. Bo z tymi zasobnikami to przesadzasz. Wystarczy, abyś sprawdził to, co zrobiłam.**

**–Dean...**

**–...zgodzi się na pewno! – nie pozwoliła mu dojść do słowa. – Chyba że mu powiedziałaś, aby się nie godził! – spojrzała na niego podejrzliwie.**

**–Jeśli miałbym sprawdzać, to wolałbym już opracować sam korektę.**

**–Nie masz do mnie zaufania?**

**–Będę szczery: jest to zadanie za trudne dla ciebie. Musisz się jeszcze sporo nauczyć.**

**Gwałtownym ruchem spędziła psa z kolan. Wydawało się przez chwilę, że**

wybuchnie gniewem lub płaczem, ale opanowała się nadspodziewanie szybko.

–Bardzo cię proszę, Wład – powiedziała niemal bez urazy. – Zrób to dla mnie.

Jasny blask bijący od ekranu oświetlił wnętrze pracowni.

Zoe zerwała się i podbiegła do „okna”.

W tej samej chwili nowy oślepiający błysk przeciął ciemność nocy tuż przy długim paśmie górskim biegnącym w okolicach równika planety. Nad miejscem eksplozji wykwitł żółto świecący grzyb chmury radioaktywnej, błyskawicznie rozplywając się w przestrzeni.

Trzecia rakietka eksplodowała bardziej na zachód, w odległości kilkuset kilometrów od równika. Czwarta i piąta na drugiej półkuli, tak iż błyski nie były widoczne.^ Za to powierzchnia globusa-modelu jaśniała teraz błyskami zielonych lampek. Światelka rozbiegały się powoli z punktów eksplozji, w miarę jak do poszczególnych sejsmografów, rozstawionych na całej powierzchni planety, docierały fale sztucznie wywołanych wstrząsów.

Zoe patrzyła na globus szeroko otwartymi oczami, jakby po raz pierwszy była świadkiem badań sejsmicznych. Nagle odwróciła twarz w stronę Kaliny, a oczy jej nabrały innego wyrazu. Był w nich lęk.

–Więc znowu... znowu... Te pociski...

Patrzył na nią w milczeniu.

Dziewczyna stanęła teraz wprost przed nim.

–Trzeba przerwać te badania! – powiedziała jakimś nienaturalnym, twardym tonem. Ro kręcący się u jej nóg przywarował.

–Znów zaczynasz? – uniósł nieco głowę.

–Więc nie chcesz przerwać...

–Zwariowałaś... Dlatego, że ty...

–Dobrze! – nie pozwoliła mu dokończyć zdania. – A jednak... Jednak przerwiesz!!!

Odwróciła się gwałtownie i wyszła z pracowni nie spojrzawszy nawet na Kalinę.

Ro zerwał się z podłogi, lecz drzwi zasunęły mu się tuż przed nosem. Skomlać

**podbiegł do Włada.**

**–Zostawiła cię twoja pani... – pogładził psa po kudłatym łbie.**

**Wstał z fotela i poszedł otworzyć psu drzwi.**

**Globus błyskał dziesiątkami światełek. Kalina spojrział na zegarek. Miał przed sobą ponad trzy godziny do wysłania nowej serii pocisków.**

**Pies znikł w głębi korytarza.**

**Wład usiadł znów w fotelu i sięgnął po sprawozdanie Hansa. Ale nie umiał się skupić. Raz po raz wracał pamięcią do ostatniego spięcia z Zoe, nie mogąc ochłonąć ze zdenerwowania.**

**Miał przed sobą trzy godziny, ale wiedział, że nie będzie mógł spokojnie pracować. W tej sytuacji najrozsądniej byłoby się przespać, zwłaszcza że czekało go kilkanaście godzin bardzo intensywnych zajęć. Włączył więc usypiacz, nastawiając budzik na godzinę dwunastą. Oparł głowę na»poduszce fotela we wgłębieniu między elektrodami i przymknął powieki. Przez chwilę-czuł jeszcze, jak fotel powoli zmienia kształt, a umysł ogarnia przyjemne wrażenie leniwej bez troski. Zapadł w głęboki, spokojny sen.**

# BEZ ŚLADU

Kalina ocknął się raptownie. Oświetlenie pracowni pulsowało, a ciche brzęczenie dobiegało od pulpitu dyspozytorskiego. Ktoś dzwonił z bazy na Nokcie.

Spojrzał na zegarek: od włączenia usypiacza upłynęło niespełna osiemdziesiąt minut. Wstał z fotela i podszedł do pulpitu. Z okienka wideofonu, spod rozwichrzonej czupryny patrzyły na niego jasne oczy Deana Roche'a.

–Witaj, stary! Cóż za sprawy wielkiej wagi kazały ci mnie budzić? Właśnie mi się śniłeś... Daisy próbowała cię ostrzec, a ty...

–Godzinę temu rozmawiała ze mną Zoe – przerwał astronom nie reagując na żart. – Chciała, abym przysłał po nią prom.

–I wysłałeś?

–Próbowałem jej wytłumaczyć, że to niemożliwe, że nie zapełniliśmy jeszcze nawet połowy pojemników, że pierwszy transport próbek wyślemy nie wcześniej, niż za dwa dni, że trudno przyspieszyć tempo ich zbierania i klasyfikacji... Ale z nią w ogóle nie można się dogadać. Ciągłe wraca do tych swoich błysków.

–Wiem coś o tym... Już od dwóch dni mnie męczy. Chce, abym zmienił program ostrzału, tak aby mogła satna spenetrować sektor K-14.

–Mówiła mi, że nie chcesz się zgodzić...

–A myślisz, że powinienem? Podobno Mary dała się przekonać i uzależnia decyzję od mojej zgody.

–Rozmawiałem z Mary przed chwilą. Sprawa wygląda nieco inaczej. Mary przypuszcza, że Zoe nudzi się w Bolidzie, a może przy okazji chce ci zrobić na złość i dlatego chciałaby przylecieć do nas na Noktę, możliwie jak najprędzej. Te błyski to po prostu pretekst.

–Nie sądzę, aby nas okłamywała.

–Tego nie powiedziałem. Coś tam musiała widzieć.

–Refleks na szybie.

–Niekoniecznie. Mógł to być jakiś przedmiot krążący wraz z Bolidem wokół Nokty, i to w pobliżu statku. To tłujnaczyłoby, dlaczego nie znalazł się w polu widzenia kamer. Poruszając się nieco wolniej od Bolidu, mógł pozornie nie zmieniać położenia na tle powierzchni Nokty. Dwukrotny błysk to odbicie światła Proximy na nierównej

powierzchni wirującego obiektu. Potem, gdy się dalej przesunął, mógł wejść chwilowo w cień statku i po prostu Zoe go zgubiła.

–Czy powiedziałaś jej to wszystko?

–Oczywiście, ale jej to nie trafia do przekonania. Co gorsza, posądza mnie, że nie chcę wysłać promu, gdyż zależy mi na tym, aby Daisy pozostała ze mną na Nokcie.

–Chyba jest w tym trochę prawdy...

–Nic nie rozumiesz! – zdenerwował się astronom. – To nie o to chodzi.

–Przyznaj się, jednak wolisz pracować z żoną. A może boisz się, że Daisy będzie zazdrosna?

–Pleciesz głupstwa! Przecież i tak w drugiej fazie badań Daisy ma się zamienić z Zoe. Chodzi o to, że ona nie zdaje sobie sprawy, że nawet gdyby przez rok latała nad tym płaskowyżem, niczego nie odkryje poza tym, co jest na zdjęciach. Byliśmy zresztą tam z Daisy, zbierając próbki na samym początku badań, zaraz po założeniu bazy. Niczego nadzwyczajnego tam nie ma. Równiny poprzecinane szczelinami, kilka obszarów pokrytych dość głęboką warstwą pyłu i to wszystko. Zoe to dobrze wie, ale twierdzi, że to nieważne i trzeba dokładniej zbadać teren. Nie zdaje sobie sprawy, jak to wygląda z bliska. To ogromny teren...

–Mówiłeś jednak, że Mary...

–Otóż to. Znasz Mary, ma słabość do Zoe.

–Więc przysyłacie prom?

–Za mniej więcej dwa dni. Jak zbierzemy więcej minerałów.

–Każecie mi zmieniać program?

–Mary się waha. Powiedziała, abys sam się zastanowił...

–To nonsens.

–I ja tak myślę. Zapanowało milczenie.

–Dobrze, pomyślę o tym – powiedział Kalina niechętnie.

–Zadzwoń do Mary, jak się zastanowisz.

Ekran zgasł. Wład stał chwilę przy pulpicie. Pomyślał, że w istocie korekta programu nie jest zajęciem tak pracochłonnym, jak próbował sugerować Zoe. Niech

się zresztą dziewczyna sama przekona, że nie miała racji. Siłą nie będzie jej zatrzymywał w Bolidzie.

Spojrzał na zegarek. Do startu kolejnej serii rakiet detonacyjnych pozostało około 90 minut. Aż nadto na dokonanie przeliczeń.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Tuż obok, w niewielkiej kabinie zainstalowany był centromat. Kalina usiadł przy ekranie zwrotnym i sięgnął po pisak. Na stoliku leżało kilka kartek pokrytych odręcznymi rysunkami i wykresami oraz taśma z rezultatami obliczeń maszynowych. Wziął jedną z kartek do ręki. Nakreślona elipsa, łącząca duże koło z punktem oznaczonym literą B, oraz kilka liczb wskazywały, że jest to wykres drogi pocisku raketowego z Bolidu na Noktę. Widocznie Zoe próbowała opracować nowy, własny wariant ostrzelania okolic płaskowyżu w sektorze K-14. Nietrudno było jednak stwierdzić, iż ujęcie jest prymitywne i niedokładne.

Znów odezwał się w nim mentor. Jednak miał rację: Zoe musi się jeszcze sporo nauczyć.

Włączył ekran zwrotny i zaczął przekazywać maszynie rozkazy. Jarzącą się płytę wypełniały szeregi liczb i znaków przeobrażających się szybko, zgodnie z poleceniami.

W pół godziny później był już z powrotem w pracowni, trzymając w dłoni niewielki kryształ z zapisanym w jego strukturze zmodyfikowanym programem badań.

Wymieniwszy kryształy połączył się z bazą na Nokcie i przekazał sygnał wywoławczy Mary.

–No i cóż postanowiłeś? – powitała go pytaniem.

–Skorygowałem program, ale...

Zawahał się. W jej spojrzeniu wyczuł jakby niepokój.

–Ale co?

–Nie wiem, czy słusznie postępujemy...

–Domyślam się, o co ci chodzi. Ale nie sądzę, abyś potrafił dać sobie z nią radę i lepiej będzie, jeśli przyślesz ją tu do nas. Od jakiego momentu zaplanowałeś zmianę w programie? – dała do zrozumienia, iż uważa dyskusję za zamkniętą.

–Pierwsze dwie serie według starego programu, następnie sektor S-41, zamiast K-14, dalej znów według starego. Szczegółowe dane wraz z nowym harmonogramem

**badan otrzymacie za chwile.**

**–Dziękuję!**

**Twarz Mary zniknęła z ekranu. Kalina wstał z fotela i podszedł do drzwi. W progu zawahał się. Czy musi koniecznie od razu zawiadamiac Zoe, że jej ządania zostały spełnione? Za karę niech chociaż przez kilka godzin pozostanie w niepewności.**

**Wrócił do pracowni i już miał usiąść w fotelu, aby przejrzeć wreszcie raporty, gdy zauważył na podłodze mały srebrzysty przedmiot. Był to kryształ porzucony przez Zoe – skorygowany przez nią program.**

**Nachylił się i podniósł błyszczący sześcian, chwile podrzucał go w dłoni, potem poszedł do kabiny centromatu.**

**Mimo skrupulatnego sprawdzania zapisu, w programie nie odnalazł błędów. Skorygowane fragmenty nie pokrywały się, co prawda, w pełni z jego własną wersją, ale i taki wariant był do przyjęcia. Pozostawione na stoliku szkice i obliczenia stanowiły tylko jakieś ćwiczenia z mechaniki nieba i nie miały nic wspólnego z opracowanym programem.**

**Wracając do pracowni czuł, jak wzrasta w nim rozdrażnienie. Wiedział, że w tej sytuacji powinien porozmawiać z Zoe natychmiast, a jednak nadal szukał pretekstu, aby grać na zwłokę. Najpierw czekał, aż wystartują wszystkie rakiety detonacyjne, potem długo przyglądał się smugom gazów rozpraszających się w pustce kosmicznej. Wreszcie zadzwonił przez interkom do kabiny Zoe, aby ją wezwać do pracowni. Lecz gdy przez chwile nic było odpowiedzi, wyłączył aparat, uznawszy, że prawdopodobnie dziewczyna śpi i nie ma sensu ją budzić.**

**Miał przed sobą dwie godziny do następnej serii pocisków. Pomyślał, że jeśli Zoe śpi, to i on ma prawo wypocząć. Gdy kładł głowę na poduszce usypiacza, nie był jednak pewien słuszności swej decyzji.**

**Obudził się wypoczęty. Obawy przed rozmową z Zoe ustąpiły miejsca pragnieniu, aby wyjaśnić sytuację i pogodzić się z dziewczyną.**

**Wszedł na korytarz. Tuż przy zakręcie znajdowały się drzwi do kabiny Zoe. Odruchowo ściszył kroki nasłuchując, czy dziewczyna się nie krząta.**

**Zatrzymał się przy drzwiach. Przytłumione skomlenie przykuło jego uwagę. Dlaczego Ro piszczy? Czyżby Zoe wyszła gdzieś zamknawszy psa w kabinie?**

**Po chwili wahania nacisnął guzik i drzwi otwarły się bezszelestnie. Wskoczył zza nich Ro i niespokojnie zaczął biegać po korytarzu, węsząc na wszystkie strony.**

**Nie zwracając uwagi na psa, wszedł do sypialni. Zoe nie było. Na biurku przy Tapczanie leżały rozrzucone bezładnie kartki z obliczeniami, podobne do tych, jakie znalazł w kabinie centromatu. C/eirii mogły służyć te ćwiczenia?**

**Gwałtowne szarpanie za but przerwało rozmyślania Włada. Ro kręcił się pod nogami, usiłując zwrócić na siebie uwagę.**

**–Czego chcesz, Ro? Co ty wyprawiasz?**

**Pies przysiadł na tylnych łapach i, cicho skomląc, patrzył z wyczekiwaniem w twarz fizyka.**

**–Co ci się stało, Ro? – jakiś niejasny niepokój ogarnął Kaiinę. – No, co? Chcesz iść do Zoe? Gdzie jest Zoe?**

**Na dźwięk imienia swej pani pies podskoczył w górę, zamachał ogonem i pobiegł do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymał się jednak, patrząc wyczekująco na Włada.**

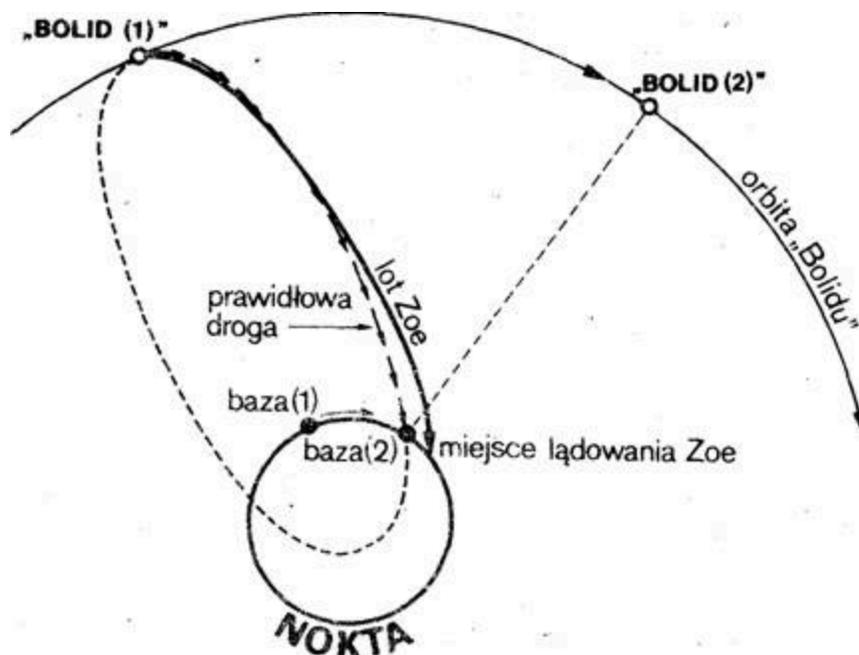
**Wyszli na korytarz. Pies pobiegł ku windzie, oglądając się co chwila, czy człowiek idzie za nim.**

**Czyżby Zoe nie było w Bolidzie? Przecież to niemożliwe! Wyszła na zewnątrz? Bez porozumienia się? I to teraz, "w czasie ostrzeliwania Nokty?**

**Za chwilę byli już w centralnych pomieszczeniach i weszli do przedsiionka służby. Skafander Zoe znikł. Nie ulegało już wątpliwości, że dziewczyna wyszła na zewnątrz.**

**A jeśli jej się coś stało? Jeśli znalazła się w zasięgu materii odrzutowej którejś z rakiet?**

**Nie chciał dopuszczać tej myśli do świadomości. Włożył pośpiesznie kombinezon i przesunął się ku ustawionym w kącie silnikom odrzutowym, zakładanym na plecy do poruszania się w próżni.**



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 5. Lot Zoe z Bolidu aa powierzchnię Nckty

Z trzech dużych silników plecowych, służących do krótkodystansowych lotów w przestrzeni kosmicznej, pozostał tylko jeden. To, o czym pomy<sup>^</sup>isi, wydało mu się absurdalne.

Pies pcz.zekiwał niespokojnie, tkwiąc!""?.ruchomo przy niewidzialnej ścianie poia hermetyzującego.

–Ro! Czekaj tu! – rozkazał i zamknąwszy hełm ruszył do wyjścia.

W chwilę później skoczył w czarną otchłań.

Zaczął wzywać dziewczynę przez radio. Ale odpowiadała mu tylko cisza. Nie było rady. Należało wrócić na statek i rozpocząć poszukiwania radarem. Pies siedział jak poprzednio, tuż przy śluzie. Zdawał się nie dostrzegać Kaliny, tylko wpatrywał się x oczekiwaniem w głąb tunelu, gdzie na czarnym niebie świeciły spokojnym blaskiem roje gwiazd.

–Ro, idziemy – rzekł cicho fizyk zdejmując kombinezon. Pies patrzył na niego jakby z wyrzutem. Naraz podniósł łeb w górę i zawył długo, przejmująco.

Poszukiwania radarem nie dały wyników. Po dziewczynie zaginął wszelki ślad.

Wiadomość o zniknięciu Zoe spadła jak grom na ekipę pracującą na Nokcie.

Wszyscy czworo stali teraz przed ekranem, patrząc z przestrawieniem w pobladałą twarz Kaliny.

–Jest niemal pewne – mówił fizyk usiłując stłumić drżenie głosu – że Zoe poleciała na Noktę zaopatrzona tylko w dwa krótkodystansowe aparaty rakietowe. Kartki z

obliczeniami i wykresy pozostawione przez nią w centromacie i sypialni dotyczą prawdopodobnie planu lotu z Bolidu na planetę. Rozumiecie sami, co to oznacza. Z silnikami przeznaczonymi tylko do lotów krótko-dystansowych na orbicie lub na powierzchni planety. Niemal bez żadnych przyrządów nawigacyjnych!...

–Może jednak wystarczyło jej masy odrzutowej... – wyszeptała Daisy. Hans nerwowo zaciskał palce.

–Chyba tylko przy bardzo umiejętnym kierowaniu aparatem zapas substancji wyrzucanej przez silnik mógłby wystarczyć dla pokonania przyciągania Nokty – powiedział niepewnie.

Mary spojrzała na Włada pytająco.

–Czy z obliczeń i wykresów można wywnioskować, gdzie jej szukać? Chyba chodzi tu o sektor K-14?

–Raczej nie... Chociaż miała taki zamiar!

–Nie bardzo rozumiem...

–Szkice sytuacyjne i przeliczenia wskazują, iż rozważała dwa warianty lotu: jeden kończy się lądowaniem na płaskowyżu w sektorze K-14, tam gdzie rzekomo widziała błyski, drugi – lądowaniem u was w bazie. Ten drugi wariant jest prawdopodobnie późniejszy, można powiedzieć – zastępczy. Lot do sektora K-14 wymaga nie tylko hamowania, ale i zmiany płaszczyzny orbity. Ten płaskowyż leży bowiem 800 km na północ od równika, w którego płaszczyźnie porusza się Bolid. Zoe dokonując obliczeń musiała się zorientować, że na ten lot nie starczy materii odrzutowej nawet z dwóch aparatów plecowych. Stąd drugi wariant, wymagający znacznie mniejszego zapasu materii odrzutowej.

–Myślisz, że wylądowała tu gdzieś w pobliżu? – zapytała z nadzieją Mary. Wład pokręcił przecząco głową.

–Nie... Chyba nie – poprawił się natychmiast. – Gdy radar nie dał wskazań, a radio milczało, postanowiłem szukać na powierzchni Nokty... Program analizy porównawczej... Rozumiecie? Mamy przecież zdjęcia topograficzne sprzed tygodnia! W promieniowaniu widzialnym i podczerwieni. Każda zmiana w obrazie to sygnał powodujący wtórną analizę pod kątem poszukiwania konkretnych obiektów. Oczywiście, trzeba było zastosować duże powiększenia... Niestety, żadnego śladu!

–Jaki obszar przebadałeś?

–Na razie w promieniu 100 km od bazy.

**–Mogło ją znieść dalej – podsunęła nieśmiało Daisy.**

**–I ja tak sędzę. W tej chwili automaty wykonują program analizy porównawczej całego pasa równikowego o szerokości około 500 km. Trzeba było zmienić zadanie dla automatycznych obserwatoriów towarzyszących Bolidowi. Powinienem właściwie otrzymać na to twoją zgodę. Me, ale czasu jest tak niewiele...**

**–W porządku. Kiedy wyniki?**

**–To duża robota. Realizacja całego planu zajmie automatom około 40 minut. Ale jeśli odkryją jakiś podejrzany ślad, natychmiast przekażą sygnał alarmowy.**

**–Dobrze. Przekaż nam kopię obliczeń pozostawionych przez Zoe. Może to ułatwi poszukiwania. Pośpiesz się.**

**Twarz fizyka znikła z ekranu...Hans począł przemierzać krokami salę.**

**–Dlaczego ona to zrobiła? Co za szalony pomysł!**

**–Wydaje mi się, że ją rozumiem... – rozpoczęła Daisy i urwała spojrzawszy na męża, który stojąc oparty o ścianę patrzył ponuro w martwy ekran.**

**–Hans! – zawołała Mary. – Przygotuj maszynę. Lada chwila może być wiadomość i trzeba będzie startować.**

**Geofizyk skinął głową twieidząco i wyszedł z pokoju.**

**–Zdaje się, że są już notatki! – zawołała Daisy.**

**Dean jakby się przebudził. Pobiegł do szafki teleprzesyłacza, na szczycie której migotało czerwone światło.**

**W szufladce leżały świeże kopie kartek i wykresów Zoe. Astronom chwilę uważnie studiował przekazane przez Kalinę dokumenty, stanowiące jedyny ślad eskapady dziewczyny. Podszedł wreszcie do elektronowego rachmistrza i pogrążył się w obliczeniach. Mary stanęła obok niego i z napięciem śledziła przebieg obliczeń.**

**Po chwili Dean wstał z fotela.**

**–Obliczenia są w zasadzie prawidłowe. Powinna była dysponować rezerwą około 10 kg masy odrzutowej wobec małej wagi jej ciała. Tylko że... Urwał na chwilę.**

**–Tylko że bez przyrządów nawigacyjnych to bardzo trudna sprawa. Wiadomo, jak łatwo pomylić się w ocenie odległości. Zwłaszcza przy lądowaniu.**

**–A więc pozostaje tylko czekać... – Daisy czuła, jak lzy cisną się jej pod powieki.**

**Mary patrzyła ponuro w podłogę.**

**Dean dokonywał jakichś obliczeń i milczał również.**

**Tak upłynęło dziesięć, potem piętnaście minut, gdy znów połączył się z nimi Kalina.**

**Niestety, nie przynosił pomyślnych wiadomości. Żadnego przedmiotu wysyłającego promieniowanie cieplne i zbliżonego kształtem do ciała ludzkiego ubranego w skafander, dotąd nie wykryto. Analizatory zaobserwowały, co prawda, kilkadziesiąt słabszych lub silniejszych źródeł promieniowania, ale wiązały się one z pozostałościami po niedawnych eksplozjach lub też płytko położonymi złożami pierwiastków radioaktywnych.**

**–Proponuję – zaczął Wład – aby po zakończeniu tej serii analiz, jeśli nie odnajdziemy żadnych śladów, przejść na orbitę biegunową i przebadać całą powierzchnię planety. Jeśli tak, chcę zaraz przygotować program...**

**–Ile zajmie to czasu? – zapytała Mary.**

**–Niezbędne manewry i pełny program analiz porównawczych: chyba około sześciu godzin.**

**–Niedobrze. A jeśli metoda jest niewłaściwa? •**

**–Jeśli wpadła w jakąś szczelinę lub leży zagrzebana w pokładach pyłu, nadzieja na odnalezienie byłaby bardzo nikła.**

**–Może jej skafander nie wysyła promieniowania cieplnego? Może urządzenia termiczne przestały działać? – wyszeptała Daisy. – Mogły ulec uszkodzeniu przy upadku.**

**–Nie kracz! – zgromił ją Dean. – Jeszcze nic nie wiadomo. Wsunął do kieszeni notkomputer i podszedł do Mary.**

**–Istnieje jeszcze jeden sposób. Materia odrzutowa w czasie lądowania uderza w powierzchnię planety i odbite cząsteczki gazu rozbiegają się, unosząc dość wysoko pyły. Uplywa zwykle wiele godzin, zanim opadną one z powrotem. Ponadto nad terenem lądowania można zaobserwować okresowy wzrost ciśnienia, a ściślej – liczby cząstek, bo trudno tu mówić o ciśnieniu atmosferycznym. Można by więc...**

**–Rozumiem – przerwała Mary. – Na jakiej wysokości trzeba przeprowadzać pomiary?**

**–Myślę, że wystarczy nawet 8-10 km nad powierzchnią. Trzeba sprowadzić Bolid na ciasną orbitę... Program pomiarów liczby cząstek i odpowiednie przyrządy istnieją...**

**–Wład, co o tym sądzisz? – Mary zwróciła się do fizyka.**

**–Dean jest optymistą. Ale myślę, że trzeba spróbować. Jest jakaś szansa. Można wybrać taki tor, aby Bolid przebiegł kilkakrotnie nad okolicami bazy i płaskowyżem K-14...**

**–Czy jesteś w stanie jednocześnie realizować program analiz porównawczych?**

**–Ustawię na orbicie stacjonarnej dodatkowe obserwatoria automatyczne.**

**–To się śpiesz!**

**Twarz Kaliny znów zniknęła z ekranu. Mary, Dean i Daisy przeszli na taras bazy przykryty przezroczystą kopułą. Nad nimi, na ciemnym niebie, wśród setek gwiazd, błyskała rytmicznie czerwonym światłem maleńka isierka Bolidu. Stali zapatrzeni w ten rubinowy punkcik czekając chwili, gdy rozjarzy się jaskrawym, błękitnym blaskiem i pocznie wędrować po nieboskłonie.**

# SZEŚĆ GODZIN WCZEŚNIEJ

Zoe stanęła na krawędzi owalnego otworu. Spojrzała w dół. Tuż pod jej stopami ziało pustką wyiskrzoną gwiazdami niebo. Jego czasa, niczym gigantyczna karuzela, obracała się szybkim ruchem wokół osi wirowania Bolidu. Zoe zawahała się. Może jednak powinna była napisać kartkę do Włada? Powrót oznaczałby jednak konieczność ponownych obliczeń...

Nie! Niech się trochę o nią pomartwi. Zawiadomi go dopiero po lądowaniu przez radiG.

Jeszcze raz sprawdzła, czy przypięty z przodu do pasa dodatkowy silnik nie będzie jej utrudniał ruchów, i spojrzała na chronometr umieszczony we wnętrzu kołnierza, obok wskaźników przyspieszenia i zużycia materii odrzutowa

Powinna wystartować za dwie minuty.

Odepchnęła się lekko od poręczy i ciało jej popłynęło w przestrzeń.

Spojrzała za siebie. Jarząca się czerwonym, pulsującym światłem kula Bolidu oddalała się wolno.

Zoe zacisnęła dłoń na manetce sterowniczej. Karuzela niebieska przestała się obracać. Układ stabilizujący działał bez zarzutu.

Spojrzała na chronometr. Nie miała ani cuw'ili do stracenia. Wielka tarcza Nokty zakryła już sobą Procjona, widocznego w konstelacji Bliźniąt, Na północ od planety świeciły Kastor i Polluks.

Dziewczyna zaczęła teraz manewrować dźwignią orientacji przestrzennej. W wizjerze, umieszczonym w hełmie na wysokości brwi, przesuwały się gwiazdy i konstelacje: Orzeł, Herkules, wreszcie Wolarz.

Ustawwszy swe ciało w takim położeniu, iż w wizjerze ukazała się niewielka gwiazda w okolicy Arktura, Zoe przesunęła dłoń na dźwignię przyspieszeń i spojrzała na chronometr.

Z determinacją nacisnęła dźwignię.

Przytłumiony szum przerwał ciszę. Ciało Zoe nabrało gwałtownie wagi.

Kula Bolidu zaczęła się szybko oddalać. Zoe nie miała jednak w tej chwili czasu na obserwację otoczenia. Z napięciem śledziła przeskakujące cyfry w okienkach chronometru.

**W dwudziestej piątej sekundzie wyłączyła silnik. Wskazówka przyspieszenia przesuwała się z powrotem z 2 G na 0. Wróciła nieważkość ciała.**

**Zoe spojrzała na licznik mierzący zużycie masy odrzutowej. Straciła na start blisko 6 kilogramów materiału pędnego. Jak dotąd, wszystko przebiegało zgodnie z planem: zredukowała swą prędkość po orbicie Bolidu do około 200 m/s i teraz rozpoczęło się spadanie pod wpływem siły przyciągania planety.**

**Wiedziała, że w pierwszych godzinach spadanie to będzie bardzo powolne. Czy Wład nie zauważy za wcześnie jej ucieczki? Może zażądać, aby wróciła na Bolid. Przecież jeszcze nie jest za późno...**

**Spojrzała w kierunku Bolidu. Jego pulsująca czerwonym światłem kula o trzydziestometrowej średnicy malała szybko, oddalając się z prędkością ponad 500 m/s.**

**Zaczęła obliczać w pamięci, ale jakoś nie mogła skupić uwagi. W każdym razie jeszcze przez ponad trzy godziny powrót na Bolid wymagać będzie mniej energii, niż zużyje jej hamowanie w czasie lądowania.**

**Ogromna kula planety nie zwiększała jednak dostrzegalnie swych rozmiarów, choć już pół godziny minęło od momentu startu. Zoe odwróciła głowę ku Bolidowi. Był tylko jedną z tysięcy gwiazd, które otaczały ją wokół, zda się nieruchomo zawieszoną w przestrzeni.**

**Po raz pierwszy od opuszczenia statku ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie osamotnienia. Jakże pragnęła przyspieszyć ten wlokący się lot! Choćby o kilkadziesiąt metrów na sekundę!...**

**Znów zaczęła snuć w pamięci obliczenia. Niby tylko dla zabicia czasu.**

**Oby tak poświęcić jeden kilogram paliwa?... Dla bezpieczeństwa może przecież wy zredukować tę prędkość w drugiej połowie drogi.**

**Nie mogła oprzeć się pokusie.**

**Ustawwszy swe ciało tak, iż w wizjerze widziała wyniosły szczyt położony kilkadziesiąt kilometrów na wschód od centrum tarczy planety, nacisnęła dźwignię przyspieszeń. Z przezroczystej rury wyskoczył na cztery i pół sekundy snop materii odrzutowej, a przez skafander przeszedł wibrujący dźwięk.**

**I znów zapanowała dzy/orsiĘCa w uszach cisza. Ale wraz z nią pojawił się niepokój, czy zwiększenie prędkości nie spowoduje zbyt dużej zmiany toru lotu.**

**Nie pozostawało jednak nic innego, jak czekać. Błąd mógł się ujawnić dopiero w**

drugiej połowie drogi.

Pod koniec trzeciej godziny spadania Zoe zmniejszyła swą prędkość o 80 m/s z drobną poprawką kierunku. Nie miała jednak pewności, czy ta poprawka nie pogłębi poprzedniego błędu.

W tej chwili widniała pod nią, w centrum tarczy planety, zupełnie inna okolica. Toteż raz po raz spoglądała z niepokojem w kierunku bazy, położonej obecnie daleko na wschód. Pamiętała z wykresu, że tak mniej więcej przebiegać będzie lot i dopiero w ostatnich trzydziestu paru minutach ciało jej „dogoni” miejsce wyznaczone na lądowanie. Nie umiała jednak ocenić, czy jej obecne położenie odpowiada planowi.

A jeśli wyląduje daleko od bazy, w terenie, gdzie spadnie kolejna seria pocisków? Nie chciała o tym myśleć.

Nie panując nad nerwami zwiększyła prędkość w kierunku na wschód, aby jak najszybciej znaleźć się wśród kolegów.

Rozmiary Nokty rosły teraz z każdą minutą. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, najdalej za kwadrans należało rozpocząć hamowanie. Zoe nastawiła wizjer na dwa nieduże kratery. Zgodnie z poczynionymi jeszcze w Bolidzie obliczeniami, kratery te miały służyć do pomiaru odległości dla wyznaczenia momentu rozpoczęcia hamowania, gdyż aparaty plecowe nie miały radarowego dalmierza. Z chwilą, gdy odstęp między kraterami zrówna się ze średnicą wizjera, należało włączyć silnik.

Tymczasem położenie zmieniał się z błyskawiczną szybkością. Zoe patrzyła, jak baza zaczyna zbliżać się ku niej. Jest coraz bliżej... bliżej... Wreszcie niemal wprost nad nią...

Już niedługo... Już niedługo...

W tej chwili skonstatowała ze zgrozą, że pęd znosi ją na wschód.

Ale czy wolno już hamować? Czy starczy materii odrzutowej?

Zdecydowała się jednak na hamowanie. Wskazówka przyśpieszeniomierza przesunęła się na 1, potem na 2 G i nagle... przeskoczyła gwałtownie na zero. Cała materia odrzutowa pierwszego silnika już się zużyła. Teraz trzeba było szybko odrzucić ten aparat i założyć drugi.

Opanowując całym wysiłkiem woli nerwowe drżenie rąk, Zoe odpięła pasy i pozbyła się balastu. Teraz należało odczepić przytroczony do pasa drugi silnik i umieścić go na plecach. Nie było to zadanie łatwe w warunkach nieważkości. Należało unikać gwałtownych ruchów i nie wypuszczać z rąk aparatu, gdyż można go było już nie

**dosięgnąć.**

**Wreszcie pasy zostały zapięte i złana potem dziewczyna wcisnęła do gniazdka w skafandrze wtyk przewodu łączącego silnik z aparaturą kontrolną w kołnierzu hełmu. Mogła ustawić się prawidłowo w przestrzeni i wznowić hamowanie.**

**Gdzie krater kontrolny?**

**Ogrom zbliżającego się globu sugerował, że Zoe jest tuż, tuż nad jego powierzchnią. W rzeczywistości dzieliło ją od planety jeszcze sto kilkadziesiąt kilometrów.**

**Brzegi krateru zlewały się niemal z krawędzią wizjera. Należało natychmiast rozpocząć hamowanie! Nie było ani chwili do stracenia.**

**Gwałtowny obrót ciała. Zoe naciska dźwignię przyspieszeń i trzyma ją nieruchomo na 2 G.**

**Mija kilkadziesiąt sekund i oto uświadamia sobie, że popełniła fatalny błąd:**

**snop materii odrzutowej bije w kierunku bazy. Zoe dokonuje błyskawicznej poprawki, ale wie, że już nie będzie w stanie wylądować planowo...**

**Prędkość zmalowała gwałtownie i po chwili zamiast opadać, ciało jej poczyną się wznosić. Włącza błyskawicznie silnik.**

**Od powierzchni planety dzieli ją najwyżej kilkanaście kilometrów.**

**Bazy już dawno nie widać. Znikła gdzieś daleko za łańcuchem górskim. Ale Zoe myśli w tej chwili o czym innym.**

**Licznik wskazuje, iż pozostało jej tylko około 2400 gramów materii odrzutowej.**

**W tych warunkach wolno hamować tylko w ostatniej chwili. Zresztą nie jest już w stanie obliczyć, czy wystarczy paliwa. Przecież chodzi tu tylko o sekundy... A może nawet o ich ułamki...**

**Powierzchnia planety rośnie. I rośnie z każdą chwilą przerażenie.**

**Na wysokości tysiąca metrów Zoe raptownie naciska dźwignię przyspieszeń do dwóch, czterech, wreszcie niemal aż do pięciu G.**

**Trzysta kilogramów ciężaru rozciąga ciało Zoe, szarpie wnętrzności... Przyspieszenie wtłacza jej głowę w barki. Z ust wyrывa się jęk. Oczy przysłania mgła.**

**Tuż nad samą powierzchnią planety, pokrytą zwałami popiołu i okruchów skalnych, prędkość spadania maleje błyskawicznie do zera i Zoe zostaje wyrzucona w górę.**

**Niemal w tym samym momencie silnik przerywa pracę. Zoe spada teraz w dół z wysokości kilkudziesięciu metrów.**

**W ostatniej sekundzie, jak przez mgłę, widzi pod sobą wąską szczelinę, ziejącą czarną otchłanią. Uderza o jej krawędź nogami. Ostry ból przeszywa jej ciało. Czuje gwałtowne szarpnięcie za ramiona. Silnik odrzutowy pęka, zgrucho-tany uderzeniem o skałę.**

**Nagły wstrząs, błysk i ciemność...**

# TORUS

Głuchy szum w uszach i żółte platy latające przed oczami. Co się dzieje? Dopiero po chwili wraca świadomość ostatnich przeżyć: gwałtowne hamowanie, potem upadek ze znacznej wysokości. Czarna otchłań szczeliny i widok zgruchotanego silnika odrzutowego.

**A jednak żyje!**

Uniosła głowę. Wokół panowała ciemność. Teraz dopiero zauważyła, że leży twarzą ku ziemi na jakimś ruchomym usypisku.

Podparła się rękami chcąc wstać i w tym momencie ostry ból przeszył jej klatkę piersiową, biegnąc aż do nóg.

Ponowiła wysiłek. Próbowwała podkurczyć nogi. Jęknęła. Lewa stopa była najwidoczniej zwichnięta, a może nawet zgruchotana. Przewróciła się więc ostrożnie na bok, postanawiając najpierw odpiąć utrudniający ruchy aparat plecowy.

Wskaźówka sekundowa na świecącej blado tarczy chronometru nie posuwała się. Zoe odpięła klamry pasów i zsunęła z ramion aparat. Zagryzając z bólu wargi usiadła teraz i rozejrzała się wokół. Nad nią, w szerokiej szczelinie między skałami, świeciły gwiazdy. Znajdowała się na dnie jakiejś niezbyt głębokiej rozpadliny, zasypanej okruchami skalnymi pomieszanymi z pyłem lub popiołem.

**–Zero, jeden! –** rzuciła hasło włączające stacyjkę radiotelewizyjną.

Ekran nie zapalił się.

Ponowiła wezwanie. Raz, drugi... dziesiąty... Bez rezultatu. Odruchowo dotknęła palcami powierzchni skafandra powyżej piersi, gdzie mieściła się aparatura radiowa.

Nie zważając na ostry ból, przeszywający raz po raz klatkę piersiową, zaczęła obmacywać cienką płytkę umieszczoną pod elastyczną powłoką skafandra.

Mimo grubych rękawic wyczuwała bez trudu, że płytka jest połamana. Prawdopodobnie ona właśnie uchroniła Zoe przed poważniejszymi obrażeniami. Ból, jaki sprawiało każde dotknięcie tego miejsca, wskazywał, że uderzenie było bardzo silne. Może nawet nastąpiło pęknięcie żeber. Ale dziewczyna zdawała sobie sprawę, że stokroć groźniejszy był dla niej w tej chwili stan lewej nogi. Najmniejszy ruch stopą zmieniał się w potworną torturę. Tępy, dotkliwy ból nie ustawał zresztą ani na moment. Czuła wyraźnie, jak krew pulsuje gwałtownie w chorej nodze, a wrażenie gorąca, to znów zimna przebiegało raz po raz od stopy aż powyżej kolana.

**Największy jednak niepokój budził nieznośny ucisk powyżej kostki. Wiedziała, że musi sprawdzić jak najszybciej, co się stało z jej nogą, a jednocześnie nie mogła opanować lęku przed tą czynnością.**

**Jak najostrożniej, aby możliwie nie potęgować bólu, podkurczyła nogę i zaczęła ją obmacywać. Palce przesuwaly się powoli po szorstkiej powierzchni kombinezonu. Coraz niżej i niżej... Elastyczne tworzywo oplatało ciasnym pierścieniem nogę kilka centymetrów powyżej kostki.**

**Ciało dziewczyny przeszło dreszcz.**

**Palce pobiegły w dół i gwałtownie cofnęły się. Wyczuła wypukłe zakrzepłe bąble uszczelniającej substancji. Rozdarcie ciągnęło się od zgruchotanej kostki aż po metalową podeszwę buta. Jakże silne musiało być uderzenie i jak twarda skała, skoro jej krawędź rozcięła jak nożem powłokę skafandra.**

**Samoczynne zwężanie się nogawki powyżej uszkodzonego miejsca wskazywało, że rozdarcie było zbyt głębokie i długie, aby sam tylko krzepnący płyn, który wypełnia przestrzeń między dwiema warstwami kombinezonu, mógł zablokować drogę uciekającemu powietrzu. Jeśli również obrażenia nogi były głębokie – zaciśnięty automatycznie powyżej kostki pierścień stanowił ratunek przed gwałtownym upływem krwi.**

**Ale czy odnajdą mnie w tej rozpadlinie? – pomyślała z rozpaczą. – W jaki sposób mogę im zasygnalizować, gdzie się znajduję? Co za idiotka ze mnie! Nie zabrałam ze sobą ani rakiet świetlnych, ani nawet zwykłej latarki... Chyb.;**

**zostanę tu już na zawsze... Nie! Nie! Muszę się stąd wydostać!!!**

**Na próżno jednak usiłowała wzrokiem przeniknąć ciemność. Przypominała sobie tylko niejasno, że szczelina ma nierówne brzegi. Może więc znajdzie miejsce, gdzie ściany nie będą zbyt strome, aby się na nie wspiąć.**

**Pokonując ból, ruszyła przed siebie, czołgając się po omacku wzdłuż widniejącego nad nią pasa nieba.**

**Po kilkunastu metrach szczelina zwężyła się tak znacznie, że dalsze ruchy stały się niemożliwe. O pionowej zaś wspinaczce ze zgruchotaną stopą nie było mowy. Musiała więc zawrócić.**

**A jak natrafi na zbyt wąskie przejście? Oznaczałoby to, że znalazła się w pułapce.**

**Wpadła w panikę. Z desperacją zdwoiła szybkość ruchów, mimo nieznośnego bólu.**

**Byle szybciej! Byle szybciej przekonać się!**

Niespodziewanie ręka natrafiła na porzucony aparat plecowy. Dopiero teraz zauważyła, że rura, w której dokonywało się przyspieszanie cząstek materii odrzutowej, była utracona, a długi pręt sterowniczy wygięty w pałąk. Przyszło jej do głowy, że pręt ten może się przydać przy windowaniu ciała w górę. Wykręciła go więc z aparatu i zabrała ze sobą.

O dwa metry dalej wznosiło się usypisko kamieni

Z nową nadzieją zaczęła się wspinać na czworakach po pochyłym zboczu.

Metr, dwa, trzy... Usypisko było coraz bardziej strome, tak iż raz po raz zsuwała się w dół.

Wreszcie, wyczerpana niemal do ostateczności, zapominając o bólu, zauważyła z radością, że tylko niewielki występ skalny dzieli ją od krawędzi rozpadliny.

W dziewczynę wstąpiły nowe siły.

Mimo czterokrotnie mniejszego ciężenia niż na Ziemi, nie byłaby jednak w stanie, wspiąć się na skałę, gdyby nie pręt, który udało się jej zaczepić o krawędź szczeliny. Jeszcze jeden wysiłek i dziewczyna wypełzła wreszcie z rozpadliny. Upadła na twarz i dysząc ciężko przeleżała tak nieruchomo kilka minut. Podparła się rękami i unosząc głowę próbowała ocenić położenie.

Widoczność była bardzo ograniczona, choć teren należał raczej do płaskich i tylko gdzieś tam zaznaczały się większe wypukłości. W pierwszej chwili Zoe sądziła nawet, że jest w kotlinie.

Z ogromnym wysiłkiem, opierając się na pręcie, stanęła na prawej nodze. Pole widzenia było teraz nieco szersze, ale promień jego nie przekraczał dwóch kilometrów[19]. Wokół rozciągała się nieznacznie pofałdowana równina, z rzadka poprzecinana rysami szczelin. Mrok uniemożliwiał wprowadzić rozróżnienie szczegółów głębiej położonych partii otoczenia, zauważyła jednak szereg wyniosłości rysujących się niewyraźnie w dali.

Spojrzała na niebo, chcąc według gwiazd określić kierunek, gdzie powinna znajdować się baza.

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę. Wszak dotychczas obserwowała niebo w zupełnie odmiennych warunkach.

Nisko nad horyzontem świecił Procyon. Ponad nim Orion z jaskrawym niebieskawym punkcikiem Syriusza obok czerwonej Betelgeuze.

Rozejrzała się szukając Kasjopei z jasnym, żółtawym płomykiem Słońca. Znalazła ją

wkrótce na lewo, tuż przy widnokręgu. Proxima ani też para gwiazd Alfa Centauri nie były widoczne.

Procjon wskazywał kierunek wschodni. Wkrótce wysuną się z za horyzontu Bliźnięta. Baza była więc położona po przeciwnej stronie, poza zarysami spiętrzonych bloków skalnych, nad którymi świeciła wysoko gwiazda Fomalhaut. Czyżby to właśnie były góry, które tak często obserwowała z Bolidu? A może od bazy dzieli ją kilkadziesiąt kilometrów? Przecież tak łatwo pomylić się w ocenie odległości, zwłaszcza że w ostatnich minutach spadania zmieniała parę razy kierunek lotu.

Tymczasem ból w nodze, który chwilowo jakby przycichł, znów odezwał się ze zdwojoną siłą. Dziewczyna czuła, że w pionowej pozycji długo nie wytrzyma. Jeszcze raz spojrzała w górę i uczuła radosne podniecenie.

Po niebie przesuwiał się nikły czerwony punkcik.

–Rakieta! To Wład! To Wład leci!

Uczyniła ruch tak gwałtowny, że straciła równowagę i runęła na twardą płytę skalną. Upadek nie był groźny wobec niedużej siły przyciągania. Zapominając o bólu szybko usiadła na ziemi i śledziła dalej ruchy rakiety. Rosła ona z każdą sekundą spadając coraz niżej.

Lecz oto czerwony ognik począł zbaczać na wschód. Już przeleciał nad głową Zoe... Już słabnie blask... Punkcik zniżając swój lot staje się coraz mniejszy.

Rakieta zniknęła za horyzontem. Zoe zerwała się na klęczki, ale to, co zobaczyła, kazało jej rzucić się natychmiast na ziemię.

Za czarnej linii widokręgu wypełził obłok o oślepiającej jasności.

Rakieta ta nie niosła jej ratunku. To był jedynie pocisk detonacyjny. Rozpoczęły się kolejne badania sejsmiczne planety.

Szybko, jak tylko mogła najszybciej, zaczęła czołgać się na zachód. Byle jak najdalej od miejsca eksplozji.

Raptowny wstrząs gruntu przykuł ją do ziemi. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to nadeszły fale sejsmiczne niedawnych eksplozji. Odważyła się podnieść głowę. Wokół panował mrok. Tylko nad widnokręgiem uniosła się świecąca blado mgiełka radioaktywnego pyłu. Następna seria pocisków ma spaść za dwie godziny. Jeśli któryś z pocisków, z kolejnych serii, padnie choćby o kilka kilometrów od niej!...

Strach potęgował siły. Znów zaczęła czołgać się w kierunku gwiazdy Fomalhaut.

Jasny punkcik, opadający z wolna ku zachodowi, jakby krzepił ją nadzieją. Mimo że każdy ruch powodował nieznośne cierpienie, wytrwale, uparcie dążyła naprzód.

Teren opadał, to znów podnosił się. Musiała kilkakrotnie omijać szczeliny, spękanie bloki skalne i nieduże kratery, prawdopodobnie meteorytowe, zasypane pyłem i drobnymi odłamkami skał. Wreszcie zziębnięta, spocona dobrnęła do kilkumetrowego progu i ostrożnie zsunęła się w dół.

To, co w ciemnościach wzięła za nieduże zapadlisko, było rozległą niziną pokrytą stwardniałym popiołem i żwirem. Wzrosła też bardzo ilość pyłu, który tworzył tu miejscami grube warstwy.

Chodzenie na czworakach, gdy ręce zapadają się raz po raz w grząski, drobnutki piasek, nie jest łatwe. Przeszkody te pochłonęły resztki sił dziewczyny. Posuwała się coraz wolniej, z uporem zmuszając zbolące mięśnie do działania. Udrękę potęgowało wzmagające się pragnienie.

Po bezskutecznej próbie okrążenia większego zapadliska wypełnionego pyłem padła z wyczerpania. Była tak zmęczona, że nie miała nawet siły położyć się na wznak.

Łyk odżywczego płynu przyniósł pewną ulgę, lecz jednocześnie sprowadził senność. Na próżno z nią walczyła. Organizm, a zwłaszcza mózg, pracujący z nadmiernym napięciem od kilkunastu godzin, potrzebował wytchnienia.

Sen jej był jednak krótki, nerwowy, męczący. Nieprzerwanie majaczyły przelatujące po niebie sondy detonacyjne. Widziała błyski eksplozji. Czuła, jak wielkie bloki skalne miażdżą jej nogi. Potem śnił jej się Wład w białym lekarskim kombinezonie. Pochylał się nad nią i powtarzał ze smutkiem: „Widzisz, jakaś ty niemądra. Jak teraz będziesz ze mną tańczyć?” Obok Włada stał doktor Summerbrock z jakimś naczyniem pełnym wody z lodem. Zoe tak się bała, że każą jej włożyć chorą nogę do tej wody, że aż się przebudziła.

Ostry, szarpiący ból przeszywał jej lewą stopę. Dołączyło się do tego nowe, nie odczuwane dotąd wrażenie – zimno. Czuła, jak chorą nogę ogarnia lodowaty chłód. Może to tylko złudzenie wywołane zaognieniem rany?

Nie było to jednak złudzenie. Uczucie chłodu nie ustępowało, lecz przeciwnie – potęgowało się. Stopa najwyraźniej marzła. Widocznie rozdarcie nogawki kombinezonu pociągnęło za sobą częściowe uszkodzenie instalacji termicznej. Gwałtowne ruchy i wędrówka na czworakach powiększyły jeszcze rozmiary uszkodzenia, tak iż utrata ciepła w tej części skafandra przybrała niebezpieczne rozmiary.

Zoe nie chciała myśleć o tym, co jej grozi. Zaczęła ją ogarniać apatia. Położyła się na plecach i przymknęła powieki. Gdyby teraz mogła zasnąć, choćby na zawsze...

**Naraz wydawało jej się, że odczuła słaby wstrząs. Pocisk...**

**Pamiętała mglisto z planu prac, że w czwartej serii jedna z sond ma paść gdzieś w odległości sześćdziesięciu kilometrów od bazy, na płaską, rozległą zapadłość.**

**A jeśli jest to teren; na którym ona w tej chwili się znajduje? Jaka właściwie odległość dzieli ją od bazy?**

**Znów poczęła uparcie czołgać się na zachód. Nie zdawała sobie zupełnie sprawy, że od rozpoczęcia wędrówki przebyła zaledwie półtora kilometra, gdy w rzeczywistości od bazy dzieliło ją... ponad czterysta.**

**Tym razem bardzo prędko opadła z sił. Po przebyciu trzydziestu paru metrów osunęła się w miękki, grząski pył, który zakrył ją niemal całą.**

**Znów bezwład, apatia i senność opanowały dziewczynę. Tylko ból jakby ustępował.**

**Jak długo przeleżała w odrętwieniu – tego nie umiała sobie uświadomić. Niewątpliwie musiało minąć kilka godzin, bo Procjon świecił już bardzo wysoko i lada chwila powinien nastąpić wschód Proximy.**

**Bólu w stopie już nie czuła. Przeniósł się wyżej, niemal do kolana. Wkrótce ciałem jej poczęły wstrząsać silne dreszcze. Pragnienie znów się wzmogło. Oddech i puls były przyspieszone. Nie ulegało wątpliwości, że ma gorączkę.**

**Z trudem sięgnęła spieczonymi wargami do rurki zbiorniczka z odżywczym płynem. Przełknęła z wysiłkiem ciepławy słodki sok.**

**Gorączka i bezwład zdawały się powoli ustępować. I oto, jakby pod wpływem napoju, w głowie Zoe zaświtał nowy, zbawczy pomysł. Musi jak najszybciej odnaleźć większe skupisko odłamków skalnych i ułożyć z nich na dużej płasz czyżnie jakiś charakterystyczny znak. Może nawet swe imię.**

**Jak najspieszniej postanowiła wprowadzić pomysł w czyn.**

**Opodal wznosił się niewielki pagórek. Ruszyła ku niemu. Każdy ruch wymagał ogromnego wysiłku. Mięśnie stały się jakby z ołowiu. Nie ustępowała jednak.**

**Wreszcie dotarła na szczyt wzniesienia i usiadłszy rozejrzała się po okolicy.**

**Wschodziła Proxima.**

**W jej kierunku widać było niewyraźne zarysy jakichś większych wzniesień, to samo na zachodzie. Czuła, jak znów ogarnia ją apatia. Usypisk skalnych nigdzie w pobliżu nie dojrzała.**

**Naraz przez ciało jej przebiegło drżenie.**

**Na lewo, w niewielkiej odległości, płonęło w mroku słabe, zielone światełko.**

**Wyteżyła wzrok. Światełko nie było halucynacją. A któż na tym martwym globie mógł zapalić je jak nie człowiek?**

**Dziewczynę ogarnęła radość. A jeśli to nie koledzy – zreflektowała się – to przynajmniej jakaś samoczynna stacja badawcza. Choćby tylko sejsmograf! To już jej wystarczy. Przecież zakłócając w regularny sposób jego działanie będzie mogła zwrócić na siebie uwagę.**

**Zapomniała zupełnie o bólu, o zmęczeniu: mięśnie zdawały się na nowo nabierać elastyczności. Jak mogła najszybciej, zaczęła czołgać się w kierunku światełka.**

**Teren był nierówny. Raz po raz zielonkawa plamka światła znikła sprzed oczu, to znów ukazywała się nad powierzchnią pyłu. Ale choć przebyła ponad dwieście metrów i coraz częściej musiała odpoczywać, światełko wydawało się wciąż tak samo dalekie i nieuchwytnie. Czyżby uciekało przed nią?**

**Zatrzymała się i przez dłuższą chwilę obserwowała zielony ognik.**

**Nie. Nie porusza się. To tylko złudzenie. Widocznie znajduje się znacznie dalej niż myślała początkowo.**

**Zsunęła się z niewielkiego wzniesienia w dół i brnąc na czworakach przez pył, dążyła naprzód. Nagła zmiana w otoczeniu przykuła jej uwagę. Z mroku wyłoniły się zarysy otaczających ją wzniesień. Czyżby blask chmury radioaktywnej? Uniosła wzrok ku niebu.**

**–Wład! Wład!**

**Oto z góry, od wschodu, rosnąc w oczach, zbliżała się świecąca rubino-wo kula Bolidu.**

**Statek przeleciał wysoko nad jej głową i zniknął za widnokretem. Znów zapanowała ciemność. Ale tym razem Zoe daleka była od rozpacz.**

**Bolid zszedł ze stacjonarnej orbity! A więc zauważyli jej zniknięcie i rozpoczęli poszukiwania.**

**Dygocąc z wrażenia wpęzła na pobliskie wzniesienie. Rozognionym wzrokiem wpatrywała się w mrok. Już zaraz, za chwilę nadlecą... Skończą się wreszcie te tortury.**

**Na zachodzie ukazała się rakietą. Leciąca dość nisko nad powierzchnią planety, wyrzucając co pewien czas krótkie iskierki materii odrzutowej. Nie było wątpliwości: był to silnik raketowy aparatu plecowego. Widocznie człowiek kierujący aparatem chciał utrzymać się na stałej wysokości.**

**Zoe z trudem podniosła się i stanęła na zdrowej nodze. Widziała wyraźnie, jak lecący człowiek szukał czegoś na ziemi silnym reflektorem.**

**Gwałtownie wymachując rękami dziewczyna usiłowała zwrócić na siebie uwagę. Zbyt duża odległość dzieliła ją jednak od rakiety, aby mogła być objęta światłem reflektora. Zresztą uwagę przybysza przykuwało w tej chwili coś innego: spostrzegł on widocznie zielonkawe światełko, bo zmienivszy kierunek lotu, okrążył kilkakrotnie miejsce, z którego się ono wydobywało.**

**Zoe zaczęła czołgać się w tym kierunku; Niepokój zdwoił jej siły. Raz po raz podnosiła się na kolana i machaniem rąk usiłowała zwrócić na siebie uwagę.**

**Człowiek przeleciał jeszcze raz tuż nad zielonym światełkiem, po czym zatoczywszy duży łuk zbliżał się do Zoe.**

**Jasny krąg światła ślizgał się po powierzchni planety. Był coraz bliżej... bliżej... Jeszcze kilometr, jeszcze pięćset metrów, czterysta, dwieście...**

**Zoe widziała już wyraźnie ciemny skafander.**

**Nagle jakby świat cały zakołysał się przed oczyma Zoe. Szybkim, płynnym ruchem człowiek zmienił położenie swego ciała i zawrócił na zachód.**

**Zoe z jękiem rzuciła się naprzód.**

**Rakietą oddalała się szybko, nabierając prędkości. Po chwili Zoe już nie mogła rozróżnić ani skafandra, ani długiej rury wyrzucającej snop materii odrzutowej. Jasny, krótki płomyk zamienił się w iskrę, wreszcie znikł zupełnie z oczu za wzniesieniem majaczącym na tle czarnego nieba.**

**Była półprzytomna z rozpacz. A więc nie dostrzegli jej! Czy możliwe, aby po raz drugi tu przylecieli?**

**Naraz w pamięci Zoe stanęło zielone światełko, a wraz z tym wróciła nadzieja. Jeszcze nie wszystko stracone. Tam znajdzie ratunek. To z pewnością sejsmograf.**

**–To musi być sejsmograf! – powtórzyła z uporem.**

**Pokrzepivszy się znów płynem ruszyła naprzód. Ale siły jej były już bardzo wątłe. Coraz częściej musiała odpoczywać. Gorączka ponownie się podniosła. Lewa noga**

była niemal zupełnie zdrętwiała i bezwładna. W głowie potęgował się jednostajny szum.

Na północy, w miejscu Słońca, świeciła już Proxima, gdy Zoe, goniąc resztkami sił, dotarła do rozległego płaskiego terenu, pokrytego drobnym pyłem. Od miejsca, z którego wydobywało się światło, dzieliło ją nie więcej niż dwadzieścia metrów.

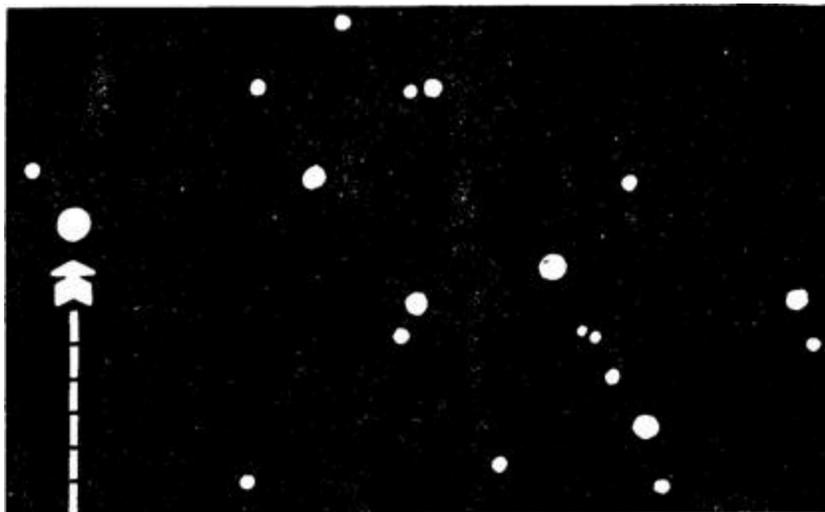
Szum w głowie przemienił się w głuche dudnienie. Nie pomagał nawet odżywczy płyn. Było go już zresztą bardzo niewiele.

Odпочęła chwilę nabierając sił do przebycia ostatniego odcinka drogi.

Pył zdawał się jeszcze bardziej sypki niż gdzie indziej. Ręce zapadały się głęboko w grząską masę utrudniając ruchy. Ale świecące coraz silniejszym blaskiem miejsce ciągnęło Zoe jak magnes.

Wreszcie, padając co chwilę, dobrnęła do celu. Lecz zamiast oczekiwanego przyrządu ujrzała tylko zielony krąg blasku. Blask – i nic więcej...

Na próżno wypatrywała jego źródła. To świecił pył...



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 6. Słońce widziane z układu planetarnego Proxiroy. Na prawo Kasjopeja.

Czyżby znów zawód? Ostatni, jakże straszny zawód?...

Ale przecież musi istnieć źródło tego blasku! Pojedyncze źródło! Przecież pyły nie świecą na szerokiej przestrzeni, lecz największa siła blasku zdaje się koncentrować w jednym miejscu. Może to latarnia, oznaczająca miejsce zainstalowania przyrządu, zasypana pyłami? Może wstrząs wywołany eksplozją atomową zatopił seismograf w tym grząskim piachu?

Wpełzła w świetlisty krąg i zaczęła ostrożnie grzebać rękami w miejscu, z którego bił najjaśniejszy blask. Głębiej pył był bardziej zbity, ale przy każdej próbie

wykopania głębszego dołu nieprzerwanie obsuwał się i zasypywał go. Aby dotrzeć do niższych warstw, należało odgarnąć pył z powierzchni o promieniu przynajmniej półtora metra.

Praca była ciężka, zwłaszcza że mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa. Dół powoli pogłębiał się. Zoe, mimo dotkliwego klucia w klatce piersiowej, gwałtownymi ruchami ramion odrzucała za siebie tumany pyłu. Leżała w głębi wykopanego otworu, niemal do połowy zasypana miękką, lekką masą drobniotkich cząsteczek.

Znów przywarła do miejsca, skąd biły blaski. Zagłębiła rękę aż do ramienia, szukając zasypanego przyrządu. Bez rezultatu.

Lecz oto, gdy już tracąc nadzieję, wyciągała rękę z dołu, natrafiła niespodziewanie, na głębokości dwudziestu centymetrów na jakiś twardy przedmiot. Jeszcze raz wsunęła dłoń w to miejsce. Odnalazła ów przedmiot bez trudu. Był gładki, zdawał się przypominać kształtem zgiętą rurę.

A więc jednak...

W nowym przypiływie radości rozpoczęła ostrożnie odkopywać przyrząd. Oby go tylko nie uszkodzić! Przecież od niego zależy jej życie!

Powoli, 2 głębi dołu, wyłaniały się zarysy przedmiotu. Duży, o blisko metrowej średnicy torus z jakiegoś wygładzonego metalu. On sam był jednak ciemny. Tylko wokół niego promieniowały pyły, przechodzące tu już w drobny, sypki piasek.

Jasny, zielony blask bił w oczy dziewczyny.

Przyrząd musi być z pewnością pod pierścieniem – przebiegło jej przez głowę. Wydobyła torus z jamy. Był lekki, dziwnie lekki. Ale Zoe nie zwróciła na to uwagi i odłożyła go na bok.

Lecz oto spostrzegła ze zdziwieniem i strachem, że nie tylko pyły, ale również jej własne ręce, w których trzymała pierścień, jarzą się zielonkawym światłem. Jednocześnie odczuła na twarzy poprzez szybę hełmu jakby ciepło bijące z pierścienia. Ciepło? Może to tylko złudzenie. Ale nie było czasu zastanawiać się nad tym.

Porzuciła pierścień i zwróciła się ku wykopanemu otworowi. Był zupełnie ciemny. Nawet najsłabszy blask nie wydobywał się z jego wnętrza.

Zoe myślała w tej chwili tylko o jednym: jak najszybciej odnaleźć zasypany przyrząd.

Znów rozpoczęła kopanie, pograżając się niemal cała w jamie i zasypując ją za każdym poruszeniem. Nie widziała nawet sunącego wolno w górze Bolidu...

Długo, uparcie rozgarniała wnętrze dołu. Na próżno. Poza pierścieniem niczego więcej w tym miejscu nie było.

Opadła w końcu zupełnie z sił i odwróciwszy się twarzą ku niebu leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami.

A więc nigdy już nie ujrzy ani rodziców, ani Włada, ani nikogo z przyjaciół? Umrze samotnie wśród tego lodowatego pustkowia?

Dopiero po dłuższej chwili otworzyła oczy.

Gwiazdy świeciły jak dawniej równym, jednostajnym blaskiem. Tylko Proxima zbliżała się ku zachodowi, a jasna para Alfy Centauri stała niemal w zenicie. Więc od jej szalonego skoku minęło już blisko dziesięć godzin?!

A może jeszcze przeszukać zwąły pyłu wydobytego z dołu? Przecież sejsmografy, rozstawiane przez Daisy i Deana po powierzchni planety, to niewielkie przyrządy osadzone na długich igłach. Łatwo nie zauważyć. Może sama je zasypała?

Uniosła się nieco na łokciu. Na-prawo, w odległości wyciągniętej ręki, tuż przy brzegu wykopanego dołu, jarzyły się zielonkawe pyły.

Promieniujący pierścień!

Wspięła się z wysiłkiem na brzeg jamy i ostrożnie wygrzebała torus z okrywających go pyłów. Znowu ręce Zoe, a nawet skafander na piersiach, świeciły zimnym, zielonkawym blaskiem.

Dziewczynę ogarnęło podniecenie. Drżącymi dłońmi położyła ostrożnie pierścień z powrotem na ziemi. Chyba nie widziała go wśród aparatów i urządzeń zabranych z Bolidu przez ekipę Mary. A przecież nie mógł on być dziełem natury!

Z trudem panując nad nerwowym drżeniem rąk, wzięła torus w dłonie i przyjrzała mu się z uwagą. Blask bijący od rękawic rozpraszał mrok.

Pierścień miał przekrój eliptyczny, był gładki, jakby oszlifowany. Nie zauważyła najmniejszej skazy na jego powierzchni. Tylko w jednym miejscu biegł wąziutki spiralny rowek, zakończony dwoma trójkątnymi znaczkami. Było niepodobieństwem, aby pierścień wytworzyła sama przyroda.

Naraz jakby woal rzadkiej mgły zakrył obraz. Zoe podniosła więc torus bliżej oczu, niemal dotykając przezroczystego hełmu. Lecz w tym samym momencie mgła zgęstniała, zakrywając cały świat mlecznozieloną oponą.

Pierścień wypadł z rąk dziewczyny i ugrzązł w pyłe u jej stóp. Podniosła dłoń do

hełmu, jakby chciała przetrzeć oczy. Mgła powoli rzedła, ale w gałkach ocznych wystąpił piekący ból.

Jednak niewiele zwracała na ten ból uwagi. Myśli jej pochłonął bez reszty tajemniczy pierścień. Niewątpliwie był on elementem jakiegoś urządzenia. Próbowала sobie przypomnieć, czy przedmiot ten nie należał do ich ekspedycji.

Jakiemu celowi mógł on służyć? Ta myśl nie dawała jej spokoju. To, że miał silne własności radioaktywne i wywoływał zjawisko fluorescencji, niczego nie tłumaczyło. Przeciwnie – wydawało się mało prawdopodobne, aby tego rodzaju przedmioty Dean i Daisy rozwozili po powierzchni planety. Po prostu: po co? Niewykluczone zresztą, że natężenie promieniowania jest groźne dla organizmu ludzkiego. Ale przecież powinna zapłonąć lampka ostrzegawcza! Widocznie i to urządzenie jest uszkodzone.

Na krótką chwilę Zoe ogarnął niepokój, czy szkodliwe działanie promieni wysyłanych przez pierścień nie przyspieszy jej śmierci. Dla pewności odsunęła się o kilka kroków.

Ból w nodze, widocznie pod wpływem ciepła wydzielanego przez pierścień, uległ nasileniu. Dołączyło się nieprzyjemne swędzenie, wędrujące od palców do kolana. Gorączka również musiała się podnieść. Zoe czuła w skroniach nieustanny szum połączony z pulsowaniem. Tylko palenie oczu trochę osłabło. Stwierdziła natomiast z niepokojem, że gwiazdy widzi jakby podwójnie i przez mgłę.

Wypiła resztkę płynu odżywczego, ale nie przyniosło to prawie żadnej ulgi. Nie myślała jednak zbyt wiele o swym położeniu. Absorbowała ją nieustannie sprawa pierścienia. Może nie jest on wytworem ręki ludzkiej? To napępniało ją nadzieją i jakby dumą, iż może właśnie ona dokonała tego niezwykłego odkrycia. Jakże chciałaby zgłębić tę wielką tajemnicę! Gdy o tym myślała, ogarnął ją żal i niepokój większy niż lęk przed śmiercią. Czy jej kolegom uda się odnaleźć pierścień?...

Oni muszą go odnaleźć! Muszą przerwać ostrzeliwanie planety! Przeszukać płaskowyż w sektorze K-14...

I oto Zoe zdobywa się na jeszcze jeden wysiłek. Choć ręce ciążyą jej jak odlane z ołowiu, choć mgła zasłania coraz bardziej wzrok, a mózg walczy resztkami sił z sennością – czołga się z największym trudem ku radioaktywnej obręczy.

Musi dotrzeć z powrotem do pierścienia! Musi ułożyć go płasko na ugniecionym pyłe, by stał się wyraźnie widoczny z daleka wśród panującej ciemności. Może jego regularny kształt zwróci uwagę... Może dojrzy go Wład...

Jest półprzytomna, gdy kładzie pierścień na ubite swymi plecami miejsce. Czerwone i żółte pląty latają jej przed oczami. Nie ma już sił, aby oddalić się od pierścienia na bezpieczną odległość...

Ostatnim wysiłkiem odwraca się na wznak. Otwiera jak najszerzej oczy, ale zamiast gwiazd mającą tylko przed nią rozmazane plamy, zasnuwające się co chwila czerwoną mgłą...

Gdzieś z boku, tuż obok niej, pojawia się w kręgu zielonkawego blasku jasno świecący punkt. Krąg unosi się w górę... Jest już ponad nią. To pierścień odnaleziony w pyłach. Widzi go wyraźnie. Jest coraz bliżej...

Krąg i świetlisty punkt znikają, Zoe wydaje się teraz, że ona sama unosi się w przestrzeni, nad powierzchnią Nokty. Pod nią rozległa pustynia... Jakaś postać ludzka w skafandrze, leżąca bezwładnie – w kręgu zielonkawej poświaty... Dwa oślepiające błyski...

# SMUGA

Krąg światła zataczał coraz to mniejsze koła na pagórkowatym terenie, przeciętym czarną kreską wąskiej szczeliny.

–To tu? – spytał Dean.

–Prawdopodobnie – odparła krótko Mary.

–Podzielmy się na dwie grupy – zaproponował Hans. – Ty i Daisy zajmiecie się szczegółowym przeszukiwaniem najbliższego terenu, zwłaszcza miejsc pokrytych grubymi warstwami pyłów. Ja z Deanem zbadamy szczelinę. Sądzę, że wystarczy przeszukać teren w promieniu kilometra. Sejsmografy są tu rozmieszczone stosunkowo gęsto i chociaż drugi wstrząs był bardzo słaby, jednak położenie udało się dość dokładnie określić.

–Pierwszy wstrząs to odrzucony aparat plecowy? – wtrąciła Daisy.

–Tak – potwierdził Hans. – Zderzenie z powierzchnią planety przy prędkości co najmniej 2 km na sekundę. Jeśli to meteoryt, byłby to zadziwiający splot okoliczności. Wzrost ciśnienia nad tym obszarem wskazuje zresztą na długotrwałe działanie silników. Chyba że...

Reflektor zgasł i tylko cztery światła pozycyjne błyskały raz po raz w ciemności ponad ognikami materii odrzutowej.

–Gdzie siadamy?

–Tam! W tej dolince! – Hans skierował wąski snop światła w dół, gdzie szczelina przebiegała przez rozległe zapadlisko. – Uwaga! Przechodzę do lądowania! – Zatoczył szeroki łuk, opadając szybko w dół.

Snop materii odrzutowej z aparatu plecowego ślizgał się po powierzchni planety, krzesząc snopy różnobarwnych iskier. Kilka metrów nad ziemią geofizyk wyłączył silnik i w parę sekund później zarył się butami w miękkim gruncie.

Około trzydziestu metrów od niego wylądował Dean. Mary i Daisy poleciały dalej.

Hans i Dean ruszyli skrajem szczeliny w przeciwnych kierunkach, oświetlając jej dno latarkami.

Postać Deana majaczyła już niewyraźnie w dali, gdy naraz do uszu Hansa dobiegł ze słuchawek zdławiony krzyk. Sylwetka astronoma zachwiała się i nagle zniknęła z pola widzenia. Widocznie astronom skoczył w głąb szczeliny. Hans bez namysłu puścił się

skokami wzdłuż przepaści. Niemal w tej samej chwili rozległ się pod jego hełmem głos Deana:

**–Hans!!! Mam! Znalazłem!!!**

W chwilę później geofizyk dopadł miejsca, skąd wydobywało się światło latarki. W dole stał astronom trzymając w rękach podłużny; błyszczący przedmiot. Był to odłamek dyszy aparatu plecowego. Niżej, u stóp Deana, leżał pogruchotany kadłub silnika i szczątki rozbitego reflektora. Jasny błysk światła i jakiś cień mignął obok Hansa, spadając w głąb czarnego otworu. To Daisy wylądowała na dnie szczeliny. Geofizyk sam nie wiedział, kiedy znalazł się w dole. Pochwycił aparat, który Daisy zdążyła już podnieść z ziemi. Żadne z nich nie było w stanie wymówić słowa.

**–Znaleźliście ją? – przerwał niespodziewanie ciszę głos Mary. Stała nad nimi na skraju szczeliny.**

**Hans opanował się pierwszy.**

**–Znaleźliśmy aparat plecowy... – odparł już dość spokojnie. – A to znaczy więcej, niż gdybyśmy ją... – Nie dokończył.**

**–A więc żyje! – zawołała radośnie Daisy.**

**–Wszystko na to wskazuje. Przecież wykluczone, aby odpięła aparat w czasie lotu... Również wątpliwe, by pasy się urwały... Zaraz zresztą zobaczymy.**

**Hans począł z uwagą badać pasy.**

**–Są naderwane, ale nie urwane – rzekł po chwili. – Widocznie wpadając w tę szczelinę uderzyła silnikiem o brzeg urwiska. Bardzo prawdopodobne, że to właśnie ją uratowało.**

**–Może tam gdzieś w pobliżu... – podsunęła Daisy.**

**–Wątpliwe. Chyba że nie jest w/ stanie chodzić... – odrzekła Mary. Zawiadomiono niezwłocznie Kalinę o odnalezieniu śladu Zoe, polecając mu rozpoczęcie szczegółowej obserwacji terenu przez pantoskop.**

**–Jest niemal pewne – mówił Hans ustalając z Władem plan działania – że w czasie upadku radio uległo uszkodzeniu. Rozbity został reflektor. Nie ma też rakiet sygnalizujących. Z jej strony nie można więc oczekiwać żadnych sygnałów.**

**–Gdzie ona w tej chwili może być? Chyba daleko nie zaszła...**

**–Sądzę, że skokami mogła przebyć nawet sto kilometrów. Orientuje się w ruchach**

nieba, więc prawidłowo powinna określić położenie bazy.

–Dlaczego jednak nie wykryła jej analiza zdjęć? Może leżała w szczelinie nieprzytomna? I dopiero później wyszła na powierzchnię?

–I to możliwe. Musisz jeszcze raz przeprowadzić analizę porównawczą terenu między bazą i tą szczeliną. Zresztą trzeba się spieszyć. W końcu zabraknie jej płynu i padnie z wyczerpania... Zaczniemy od miejsca lądowania, potem coraz szerszym pasem ku bazie...

Urywany dźwięk brzęczka pod hełmem Hansa przerwał rozmowę.

–Zero! – rzucił hasło łącząc się z towarzyszami.

–Hans! Hans! – rozległ się głos Daisy. – Znalazłam jakiś ślad! Ale bardzo dziwny... Chodź prędko!

W odległości dwustu metrów jarzył się duży reflektor.

Po chwili Hans ujrzał Deana i klęczącą obok niego Daisy. Astronom oświetlał reflektorem nieduży krater meteorytowy.

–Co znaleźliście?

–Siad w pyle... – wyjaśniła Daisy. – O, patrz, tu... – wskazała ruchem dłoni dwa wgłębienia tuż przy brzegu krateru. Hans ukląkł również i przez chwilę badał miejsce.

–Tak – rzekł wreszcie. – To wygląda na ślady nóg i rąk. Wgłębienia są zasypane, ale wyraźnie działała tu siła prostopadła do powierzchni, i to chyba niedawno.

Odwołano Mary, która przeszukiwała szczelinę. Ruszyli teraz we czworo, szerokim pasem badając okolicę. Po przejściu około trzystu metrów doszli do niewysokiego progu skalnego, za którym rozciągał się teren grubiej pokryty pyłem. Tu przystanęli i Hans połączył się z Władem.

–Analizator już pracuje – meldował fizyk. – Obserwuję teren przez pantoskop w podczerwieni. Na razie w pobliżu was nie zaobserwowałem żadnej plamy przypominającej człowieka. Jedyne jasny punkt w waszym sąsiedztwie, to źródło radioaktywne, które już na początku poszukiwań widziała Daisy. Znajduje się ono mniej więcej cztery kilometry na południowy zachód od miejsca lądowania Zoe.

Hans spojrział we wskazanym przez Wiada kierunku.

Z progu wzniesienia widok na dolinę był szeroki, a noktowizyjna warstwa w szybie hełmu wzmagająca jasność wizualną obrazu. Hans bez trudu dostrzegł ognik świecący

blado w oddali, niemal tuż pod widnokręgiem.

–Zajmę się więc... – podjął Kalina.

–Zbadaj przez pantoskop okolicę tego źródła światła – przerwał mu Hans.

–Dobrze. A potem rozpocznę szczegółowe obserwacje zgodnie z planem.

Twarz Włada zniknęła z ekraniku.

Hans, Mary, Dean i Daisy zeskoczyli z progu i ruszyli w dalszą drogę, badając teren piędź po piędzi. Uwagę Mary przykuło długie, podobne do koryta wgłębienie, które wiło się falistą linią poprzez pył.

–Co to?!

Dean, który stał najbliżej miejsca, gdzie rozpoczynało się wgłębienie, postąpił kilka kroków i zawołał:

–Ślad!!! To musi być ślad Zoe!!

Mimo że brzegi wgłębienia były zasypane osuwającym się pyłem, nawet niewprawne oko mogłoby spostrzec, że ktoś się czołgał w tym miejscu.

Przeszli kilka kroków wzdłuż śladu, gdy chwilową ciszę przerwał nagle zdławiony głos Kaliny:

–Ona tam... Ona tam leży... Zdaje się... nieżywa...

–Gdzie?!

–Tam! Tam, gdzie to zielonkawe światło. Krąg zielonego światła...

–Startuję! – Dean rzucił się gwałtownie w bok i wzbił ukośnie w górę.

Wylądował kilkadziesiąt metrów od miejsca, z którego wydobywało się zielone światło. Resztę drogi przebył piechotą, brnąc przez sypki, hamujący ruchy pył.

Zoe leżała na wznak, z szeroko otwartymi oczami, W odległości metra od jej stóp spoczywał na ubitym pyłe torus otoczony aureolą. Lampka ostrzegawcza w hełmie astronoma sygnalizowała znaczne natężenie radioaktywności.

Dean przypadł do ciała Zoe. Nachylił się nad jej hełmem i zadrżał.

Poprzez szybę patrzyły na niego martwe oczy.

**Nagle, jakby we wnętrzu hełmu, rozbłysła na moment jasnoblękitna gwiazda. Nie... to odbicie jakiegoś jasnego obiektu świecącego gdzieś nad Deanem na niebie.**

**Astronom spojrział w górę. Ale tam, wśród czerni kosmicznych przestworzy, świeciły tylko jednostajnie dobrze mu znane gwiazdy.**

**Nad horyzontem pojawiły się trzy czerwone światełka pozycyjne aparatów plecowych. To nadlatywali Mary, Hans i Daisy. Dean zapalił reflektor, wskazując towarzyszom miejsce lądowania. Lecz oto znów, gdzieś w górze, zabłysło światło. Było tak jaskrawe, że choć zgasło niemal w tej samej chwili, gdy Dean je dostrzegł, na kilka sekund zupełnie go oślepiło.**

**Odruchowo skierował w górę reflektor.**

**–Mary!! Patrz!! – usłyszał pod hełmem głos Hansa. – Smuga!! Jaka dziwna smuga!!!**

**W świetle reflektora majaczyło nad Deanem coś na podobieństwo rzadkiej mgiełki.**

**Płyta stołu operacyjnego uniosła się nieco w górę i wolno wpełzła w głąb jasno oświetlonej komory. Nagie ciało Zoe wydawało się teraz jeszcze bledsze, jakby wyrzeźbione z białego marmuru. Przezroczysta tafla zamknęła się bezszelestnie i mleczna mgła bakteriobójczego płynu wypełniła na chwilę komorę.**

**Ze ściany komory operacyjnej wysunęła się lśniąca czasza, spod której wyrastało kilkanaście ruchliwych, cienkich macek. Czasza zakryła twarz zmarłej. W kilka sekund później, podobna, tylko znacznie większa, spoczęła na piersiach Zoe.**

**Mary dłuższą chwilę studiowała instrukcje. Czy uda im się przywrócić Zoe do życia? Czy nie jest już za późno? Może ich wysiłki są bezcelowe? Może ustało działanie substancji wprowadzanej samoczynnie do ustroju tuż przed śmiercią kliniczną i zatrzymującej na około piętnaście godzin rozkład nawet najdelikatniejszych komórek?**

**Gdyby choć był wśród nich lekarz...**

**A jeśli konieczny będzie jakiś bardzo skomplikowany operacyjny zabieg? Czy wolno im się zdać tylko na wiedzę i inteligencję sztucznego, krystalicznego mózgu, sterującego zespołami automatów medycznych? Czy mogą polegać na „magicznych zaklęciach” cyfrowych rozkazów wyzwalających działanie aparatury?**

**Mary jeszcze raz spojrziała na instrukcję i niepewnie obrzuciła wzrokiem rząd ekranów. Czy potrafi zrozumieć mowę krzywych i znaków, jakie się na tych ekranach pojawiają? I czy się pojawiają? Nie mieli jednak innego wyjścia. Czas naglił – trzeba było zaczynać.**

**Kalina czekał w napięciu przy pulpicie kontrolnym.**

**–Uwaga, sekcja VII! – Mary rzuciła do mikrofonu z determinacją. – Siedem... cztery... jeden... osiem... zero... trzy... zero... cztery! – wymawiała powoli „zakłęcia”, czekając za każdym słowem na pojawienie się odpowiedniej cyfry na ekranie. – To wszystko. Sprawdź!**

**–Siedem... cztery... jeden... osiem... zero... trzy... zero... cztery – przeczytał Wład.**

**–Tak. Sekcja VII, start!**

**Nad komorą operacyjną zapaliła się żółta lampka.**

**Spojrzeli odruchowo na widniejące za szybą ciało Zoe. Ale pozostawało ono nadal nieruchome i martwe. Tylko niektóre z macek automatu prostowały się, to znów kurczyły wolno, jakby z namysłem.**

**Mary i Wład wpatrywali się teraz z napięciem w ekrany. Dwa z nich migotały cienkimi liniami splątanych wykresów.**

**Upłynęła długa chwila.**

**Nagle... Kalina poderwał się z miejsca. Na ekranie tuż przed nim ukazał się jasny zygzak. Błysnął raz, drugi, trzeci i zgasł.**

**–Czy to?... – wyszeptała Mary.**

**–...zastrzyk pobudzający serce.**

**Znów upłynęła dłuższa chwila i naraz ekran kardiograficzny przeciął nowy zygzak. Za nim następny. Ukazywały się teraz coraz bardziej równomiernie. Trwało to jednak krótko. Krzywa znów traciła na regularności, a wysokość jej topniała w oczach. Na ekranie zapłonęła rubinowa żarówka.**

**–Transfuzja?**

**–Tak!**

**Wykres pracy serca znów zaczął się podnosić. Równocześnie na kilku innych ekranach pojawiły się drgające wykresy. Organizm Zoe wracał powoli do życia.**

**Pierwsza bitwa została wygrana. Ale czy nie nastąpiły jakieś nieodwracalne zmiany w delikatnych komórkach kory mózgowej?**

**Minęło kilkanaście minut. Już nie tylko na ekranach oscylografów, ale i bezpośrednio można było zauważyć zachodzące zmiany. Wracał również oddech,**

coraz bardziej regularny i widoczny przez szybę.

–Pójdę... powiem im... – Mary wskazała na drzwi. Po raz pierwszy od wielu godzin na ustach jej pojawił się cień uśmiechu. Wład skinął w milczeniu głową.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie i Mary stanęła w progu. Krążący nerwowo po korytarzu Hans zatrzymał się gwałtownie i podniósł na żonę pełne niepewności, pytające spojrzenie. Daisy zerwała się gwałtownie z fotela.

–Żyje! – skinęła głową Mary.

Siedzący dotąd z twarzą ukrytą w dłoniach Dean uniósł głowę i poruszył bezdźwięcznie ustami.

–Jaki stan? – zapytał Hans.

Mary uczyniła niezdecydowany ruch ręką.

–Trudno powiedzieć... W każdym razie – płuca i serce pracują. To już bardzo wiele.

–A jak z nogą? – wtrąciła niespokojnie Daisy.

–Stopa zgruchotana. Najgorzej, że nikt z nas nie jest lekarzem... Obawiam się jeszcze jednego...

–Radioaktywności? – spytał krótko Dean.

–Tak – Mary skinęła głową. – Czy zbadaleś już pierścień? – zwróciła się do męża.

–Sprawa nie jest prosta. Nie chciałem was niepokoić, ale... boję się tego pierścienia.

–Coś ty?! – zdziwiła się Mary. – Możesz przecież zdalnie...

–Oczywiście, że zdalnie. Umieściłem go na naszej orbicie w odległości dwustu kilometrów od Bolidu.

–Dwieście kilometrów?! – zachnęła się Mary. – Czy nie przesadna ostrożność?

–Nie można ryzykować. Natężenie promieniowania wykazuje znaczne wahania, spadając chwilami niemal do zera. Nie jest to więc pierścień z jakiejś jednorodnej substancji radioaktywnej, a raczej reaktor jądrowy, którego zasad działania zupełnie nie znamy. Nie wiadomo, co jest stymulatorem zmian natężenia promieniowania, czynniki zewnętrzne czy wewnętrzne. Nie można wykluczyć, iż pod wpływem pewnych czynników eksploduje jak bomba nuklearna. Na razie musimy się ograniczyć tylko do pomiarów promieniowania. Może uda się wykryć jakieś prawidłowości w jego oscylacjach. Trudno w ciągu tych paru godzin już coś

stwierdzić.

–Zoe otrzymała wysoką dawkę promieniowania?

–W okresach maksymalnego natężenia człowiek znajdujący się w odległości jednego metra od pierścienia otrzymuje w ciągu ośmiu minut dawkę śmiertelną!

–Straszne... A ona tam leżała chyba ze dwie godziny! – westchnęła Daisy.

Dean poruszył się niespokojnie.

–Czy nie widzisz jakiegoś związku między pierścieniem i tą smugą? Mogły to być naładowane cząstki pyłu wyrzucone w górę przez ten pierścień... Błyski zaś to wyładowania elektryczne...

–Nikt poza tobą nie widział błysków – sprostował Hans.

–Widziała Zoe, na płaskowyzu w sektorze K-14... – zauważyła nieśmiało Daisy.

–Myślisz, że to było to samo? – zastanawiała się Mary.

–Wszyscy troje widzieliście jednak smugę... – nie ustępował Dean. – Zresztą Wład ma nawet zapis z pantoskopu... To nie było złudzenie!

–Myślę jednak, że ten pierścień... – rozpoczęła Mary.

–Co to? – przerwała Daisy.

Wszystkie głowy zwróciły się ku drzwiom gabinetu lekarskiego, zza których dochodził teraz wyraźny, jękliwy dźwięk.

W rozwartych drzwiach ukazała się blada, zmieniona twarz Włada.

–Co się stało?

Ruchem ręki wskazał bez słowa na tablicę kierowniczą medautomatu, skąd wydobywał się ów jęczący dźwięk.

Ponad rzędem oscylografów migotała ostrzegawczo pomarańczowa lampka.

–Co oznacza ta lampka? – zapytał Hans.

–Automat sygnalizuje, że jest bezsilny. Lada moment nastąpi szok. Mary i Wład zaczęli gorączkowo przeglądać taśmę z instrukcjami. Upłynęła dłuższa chwila. Na czole Mary ukazały się krople potu.

**–Nie wiem... Nie wiem zupełnie...**

**–Chyba tylko to – Wład wskazał palcem szereg cyfr.**

**–A jeśli?...**

**–Nie mamy wyjścia. Tu każda chwila może znaczyć^ wiele. Jeśli nastąpi wstrząs i wdadzą się komplikacje, nie damy sobie rady. Musimy zyskać na czasie, aby wysłać dane na Sel. Kora, Will i Zoja muszą postawić diagnozę i przekazać nam właściwy program. Trzeba teraz zastosować hipotermię.**

**Podszedł do pulpitu sterowniczego i podyktował cyfrowe rozkazy. Mary sprawdziła zgodność z instrukcją i po chwili na pulpicie zapaliły się dwa żółte światelka.**

**Wszyscy pięcioro patrzyli teraz z napięciem na pomarańczową lampkę, która z wolna zaczęła przygasać. Również alarmowy sygnał ucichł, aż wreszcie umilkł całkowicie.**

**Mary otarła wierzchem dłoni pot z czoła.**

**Po trzech godzinach od wysłania danych nadeszła z Sel odpowiedź. Wład miał wyruszyć niezwłocznie Bolidem w drogę do centralnej bazy.**

**–Myślę, że będziesz mógł wystartować za dwie godziny – powiedział Hans wysłuchawszy komunikatu. – W ciągu godziny powinniśmy załadować wszystko co trzeba na prom i odlecieć. Potem poczekasz tylko, aż wylądujemy, i możesz ruszyć...**

**–Pierścień pozostanie na orbicie? •**

**–Oczywiście. Trzeba tylko ściągnąć w jego pobliże któreś z laboratoriów orbitalnych. Będziemy go badać zdalnie z bazy na Nokcie. Rzecz jasna, że z analizami chemicznymi i prześwietleniami poczekamy do twego powrotu.**

**–Za dwa tygodnie powinienem tu już być. Zostawię tylko Zoe i wracam. Będziemy zresztą w kontakcie radiowym. O co ci chodzi. Mary? – Wład zwrócił się nagle do kierowniczkę zespołu, która, zwykle spokojna i opanowana, teraz przysłuchiwała się rozmowie ze wzrastającym rozdrażnieniem.**

**–Wszystko to nie tak! – odparła krótko.**

**–Co „nie tak”? – zdziwił się Hans.**

**–Wracamy na Sel wszyscy!**

**–Boisz się, że bez statku-bazy... ^**

**–Nie o to chodzi – przerwała mu w pół zdania. – Na razie koniec z badaniami Nokty. Dean i Daisy polecą zaraz promem. Przywiozą wszystkie materiały i zebrane próbki. Ty, Wład, z Hansem zastanowicie się, jak i gdzie załadować pierścień. Przecież go tu nie zostawimy.**

**Hans patrzył z osłupieniem na żonę.**

**–Nic nie rozumiem – wyjąkał wreszcie. – Dlaczego?! Co za pomysł przerywać badania?!**

**–Decyzji nie zmienię!**

**–Co za dyktatorskie metody... – próbował zakpić Wład.**

**–Chcesz głosowania? – zapytała zaczepnie. – Dobrze! Ale nie teraz! Hans nigdy jeszcze nie widział Mary w takim stanie.**

**–Ale to zbyt ważna decyzja, aby ją podejmować bez dyskusji... – usiłował występować w roli mediatora.**

**–Dobrze. Będziemy dyskutować. Ale dopiero w drodze. Teraz czasu jest zbyt mało. Jeśli się okaże, że nie miałam racji, możecie wrócić za dwa tygodnie i kontynuować badania.**

**–Powiedz chociaż, o co chodzi. Dlaczego ta nagła zmiana?**

**–Rzeczywiście... zmiana. Czy nie rozumiecie, że nic tu po nas? Ze Zoe miała rację? Tracimy tylko czas.**

**–Ależ przecież dopiero zaczęliśmy ostrzeliwanie. Mieliśmy rozpocząć sondaż iglicowy i pobór próbek z wnętrza planety...**

**–Właśnie! Ostrzeliwanie i sondaż iglicowy.' Czy nie poczynamy sobie zbyt brutalnie?**

**–Nie rozumiem... Przecież to martwa, pustynna planeta!**

**–Jesteście tego pewni?**

**–Myślisz o pierścieniu... To tylko ślad odwiedzin...**

**–A błyski? Zresztą powiedziałam: podyskutujemy później.**

**–A co ty o tym sądzisz, Dean?**

**Astronom siedział w fotelu milczący, z ponurą miną. Zagadnięty przez Włada,**

**spojrzał na niego niepewnie.**

**–Zgadzam się z Mary – powiedział z determinacją.**

**–A ty? – Wład zwrócił się do Daisy. Rozłożyła bezradnie ręce.**

**–Chyba Zoe miała rację...**

**–Przewiezienie pierścienia we wnętrzu statku połączone jest z poważnym ryzykiem.**

**– Hans sięgnął do innego argumentu. – A holowanie jest niemożliwe z uwagi na strumień gazów...**

**–Transportowany był już promem w ołowianej osłonie... – zauważył Dean. –**

**–Właśnie! – podchwyciła Mary. – Myślę, że twoje obawy są przesadne. Trzeba zresztą zaryzykować. To zbyt cenne znalezisko, aby je zostawić...**

**–Zoe by nam nie darowała – dorzuciła Daisy.**

**–Można umieścić ten nieszczęsny pierścień Nibelungów w wyrzutni pocisków i w razie jakiegoś niepokojącego wzrostu reakcji łańcuchowej, po prostu odstrzelić poza statek... – podsunął pojednawczo Wład.**

**Hans spojrział na niego z uwagą.**

**–Powiedziałeś: pierścień Nibelungów... Czyżbyś też, jak Mary, przypuszczał...**

**–Nie, nie! – zaprzeczył fizyk pośpiesznie. – Pomyślałem tylko, że to rzeczywiście niezwyklej skarb, tak cenny, że warto ryzykować... – urwał, kierując wzrok na drzwi kabiny medycznej.**

# ZWID

Zoe otworzyła jeszcze szerzej oczy, ale otaczająca ją ciemność nie ustępowała. Może pyły zasypały hełm? Próbowwała unieść dłoń, aby je odgarnąć, lecz ręka opadła z powrotem, ciężka jak ołów. W tym momencie pod palcami wyczuła miękką tkaninę posłania. Wytężyła słuch. Nie miała już wątpliwości: to, co przed chwilą brała za szum, było szmerem przyciszonej rozmowy. A więc już nie leży sama, bezsilna, wśród lodowatej pustyni. Więc odnaleźli ją! Łzy zaczęły spływać po twarzy Zoe.

Wolno, z ogromnym wysiłkiem przesuwiała dłoń po tkaninie. Każde dotknięcie włochatej powierzchni pledu napełniało ją rozrzewnieniem i radością.

–Zoe! – rozległ się nad nią dobrze znany głos,

–Mamo... – wyszeptała z trudem usiłując unieść głowę.

Poczuła delikatny uścisk ciepłej ręki, a potem serdeczny pocałunek w czoło.

Chwyciła palcami dłoń Ingrid i głaskała ją delikatnie, z czułością.

–Mamo... – zaczęła po chwili. – Dlaczego tu tak ciemno?

Odpowiedziała jej jakaś dziwna, przejmująca cisza.

–Przyćmiłyśmy światło, aby cię nie raziło w oczy... – rozległ się głos Zoi Makarowej.

–Ależ ja nic nie widzę!

Przez moment panowało milczenie.

–Nie przejmuj się – powiedziała lekarka. – To minie. Wkrótce powinno minąć...

–Musisz być cierpliwa – dorzuciła Ingrid. Zoe poczuła na wargach dotknięcie szklanki. Przełknęła z trudem parę kropli słodkawego płynu.

–Kiedy będę widzieć? Powiedzcie prawdę!

–Sądzę, że za kilka dni. Czy nie zauważyłaś jakichś zaburzeń wzrokowych przed... – lekarka zawahała się – przed utratą przytomności? – Bała się użyć określenia „śmierć kliniczna”, aby nie wywołać przykrych skojarzeń u chorej. Ale Zoe myślała w tej chwili o czymś innym.

–Czy znaleźliście pierścień? – wyszeptała gorączkowo.

–Tak. Oczywiście – potwierdziła Ingrid... – To rewelacyjne znalezisko. Pierścień

## **Nibelungów!**

**Zoe uśmiechnęła się blado.**

**–Pierścień Nibelungów... – powtórzyła cicho. – Czy mogę go zobaczyć? – zapytała po chwili. – To znaczy: czy możecie go tu przynieść? – poprawiła się. – Chciałabym go chociaż dotknąć.**

**–Musisz być cierpliwa. W tej chwili Nym z Władem przeprowadzają badania...**

**–I co?**

**–Na razie domyślamy się tylko, że jest to jakiś złożony układ cybernetyczny, w którym procesy samosterowania, a może nawet samoorganizacji przebiegają przede wszystkim na poziomie nuklearnym.**

**Wyraz niepewności pojawił się na twarzy Zoe.**

**–Mówiłaś, że Nym... Gdzie ja właściwie jestem?**

**–Na Sel. Przywieźli cię dwa dni temu.**

**–Mary została na Nokcie?**

**–Nie. Badania przerwaliśmy. Wszyscy z waszej grupy są tu, w bazie.**

**–Przerwaliśmy... A więc tak... jak chciałam...**

**–Chciałaś, aby przerwano badania? – zdziwiła się Ingrid. – Dlaczego? Zoe poruszyła się niespokojnie.**

**–To nie można tak... Te pociski... Sondy głębinowe... Nie wolno... Nie rozumiesz, mammo? Tam mogą być Oni...**

**–Oni?**

**–Skąd wiemy, jak oni wyglądają? Może nie potrafimy ich dostrzec? Mammo! Ja widziałam... Naprawdę widziałam błyski... – wypieki pojawiły się na twarzy dziewczyny.**

**Ingrid chciała coś powiedzieć, ale Zoja dała jej znak ręką, aby nie przedłużała rozmowy. Rosnące podniecenie mogło źle wpłynąć na chorą.**

**–Nie przejmuj się niczym – powiedziała lekarka łagodnie. – Badania na Nokcie zostały zawieszono. Jak poczujesz się lepiej, opowiesz nam o wszystkich swoich wątpliwościach. Teraz staraj się o tym nie myśleć. Przede wszystkim musisz jak**

**najprędzej wrócić do zdrowia.**

**Zoe kiwnęła potakująco głową.**

**–Tak, tak... Muszę być zdrowa! Tak chciałabym widzieć i chodzić... Co z moją nogą?**

**–Will przygotowuje program regeneracyjny... Wszystko będzie dobrze.**

**–Kiedy będę mogła chodzić?**

**–Tak ci się śpieszy? – zaśmiała się trochę sztucznie Ingrid.**

**–Musisz być cierpliwa – dorzuciła Zoja. – Myślę, że za parę miesięcy będziesz spacerować po Temie.**

**–Po, Temie? Czy ojciec już rozpoczął badania?**

**–Jeszcze nie. Ale już niedługo... Allan nie może się doczekać. Kazał ci powiedzieć, że pierwszy kwiat, jaki zerwie na Temie, jeśli oczywiście rosną tam kwiaty, zachowa dla ciebie!**

**Zoe uśmiechnęła się, potem nagle spoważniała.**

**–Powiedz mu... że... że... nie powinien... że niech niczego nie zrywa... nie niszczy...**

**–Ależ dziecko – Ingrid ujęła córkę za rękę – Allan jako botanik...**

**–Nie... nie... – przerwała gwałtownie – Nie wolno! Bo może Oni... – zacisnęła kurczowo palce na dłoni matki. Ingrid przesłała rozpaczliwe spojrzenie Zoi.**

**–Obiecałaś mi – podjęła lekarka – że nie będziesz się niczym przejmować. Na pewno znajdzie się sposób, aby wilk były syty i owca cała – dorzuciła siląc się na dowcip. Jednocześnie sięgnęła do przycisku usypiacza.**

**–Poproście ojca, aby tu przyszedł... – wyszeptała chora. – Niech zakaże Alowi... Niech mu powie... Że Oni... Oni... – przymknęła powieki. „ Oddech jej stał się równy, miarowy.**

**–Zasnęła – stwierdziła lekarka wstając.**

**Ingrid patrzyła na córkę i czuła, jak łyzy cisną się jej do oczu.**

**Kalina wsunął dłonie w rękawice manipulatora i pochyliwszy się, oparł obie ręce na błyszczącej srebrzyście obręcz}. Czuł pod palcami chłodną, gładką, jakby wypolerowaną powierzchnię.**

**–Ustaw go w płaszczyźnie prostopadłej do stołu! – rozkazał Engelstern unosząc głowę znad pulpitu zdalnego sterowania przyrządami laboratoryjnymi.**

**Wład uchwycił mocniej pierścień i podniósł go w górę. Wydawał się tak lekki, jakby cienką, plastikową powłokę wypełniał gaz nośny. Ilekroć manipulował pierścieniem, zawsze odczuwał takie wrażenie, chociaż zdawał sobie przecież sprawę, że to tylko przejaw słabego grawitacyjnego pola księżyca Urpy. Co prawda tu, w kabynie manipulacyjnej, we wnętrzu Astrobolidu, sztuczne ciężenie zbliżone było do ziemskiego, jednak oddalone stąd siedem kilometrów rzeczywiste laboratorium, w którym umieszczono pierścień, działało w naturalnych warunkach na powierzchni Selu.**

**–Teraz obracaj torus, jakby to była antena kierunkowa. Wolniej! Jeszcze wolniej! – komenderował Nym, śledząc wskazania przyrządów.**

**Szmer rozsuwanych drzwi zakłócił chwilową ciszę. Wład spojrzął niechętnie, ale stwierdziwszy, że to Zina, skinął jej głową na powitanie, wskazując wzrokiem miejsce pod ścianą.**

**–Może przeszkadzam... – rozpoczęła Zina niepewnie.**

**–Już przeszkodziłaś! – burknął od pulpitu Nym. – Wład! Możesz położyć! Robimy przerwę.**

**Zina przesłała mu chłodne spojrzenie.**

**–Nie jesteś zbyt gościnny...**

**–Przeciwnie. Przerwywam pracę, aby przyjąć gościa. Słucham uprzejmie!**

**–Zoe prosiła, abym zdała jej dokładną relację z waszych badań.**

**–Jak się dziś czuje?**

**–Wygląda świetnie. Rozpoczęła dziś nową serię ćwiczeń gimnastycznych. Regeneracja stopy przebiega niezwykle szybko...**

**–A wzrok?**

**–Na razie bez zmian. Ale wierzy, że będzie widziała. I bardzo interesuje się pierścieniem. Jak wam idzie? Macie coś nowego?**

**–Nic szczególnego...**

**–Na bodźce chemiczne i mechaniczne nie reaguje. Również otoczenie gazowe o różnym składzie i ciśnieniu, podgrzewanie i oziębianie nie wywiera żadnego**

dostrzegalnego wpływu na zmiany w natężeniu promieniowania-korpuskularnego i elektromagnetycznego – pośpieszył z wyjaśnieniem Wład. – Nie widać żadnych prawidłowości, mimo iż emisja rejestrowana jest w sposób ciągły już od przeszło sześćdziesięciu godzin i wyniki pomiarów są na bieżąco przekazywane analizatorowi.

–A teraz co robicie?

–Próbujemy oddziaływać promieniowaniem elektromagnetycznym różnych częstotliwości. Na razie też bez rezultatu.

Zina podeszła bliżej holowizyjnego obrazu i w zamyśleniu wodziła dłonią poprzez pierścień, jakby chciała go pochwycić.

–Gdy emisja elektromagnetyczna ma postać widmową, czy też są to fale o wąskim zakresie częstotliwości? – zapytała po chwili.

–Na razie próbujemy kolejno różnych częstotliwości, działając wiązką monochromatyczną.

–A emisja radiowa pierścienia jest również monochromatyczna?

–Nie. To jest z reguły widmo, od fal submilimetrowych do wielokilometrowych. Rozkład energetyczny zmienia się jednak nieustannie...

–A jakbyście tak spróbowali... – Zina urwała i spojrzała na Nyma, przysłuchującego się z chmurną miną rozmowie. – Przepraszam, że się wtrącam, ale.-...

–Myślisz, że lepiej byłoby stosować emisję widmową? – podchwycił Wład. – Będziemy to robić, jeśli nie da efektów działanie wiązką monochromatyczną. Ale to żmudna robota. Kombinacji może być nieskończenie wiele... Jaki zastosować rozkład energetyczny, jak go zmieniać? Bo przecież i to może być ważne...

–Macie wzorzec!

Wład spojrzał na Zinę niepewnie.

–Wzorzec?

–To niegłupi pomysł! – powiedział nagle Nym i usiadł na powrót przy pulpicie. – Niegłupi... – kiwnął głową, nie wiadomo czy na znak uznania dla Ziny, czy po prostu wtórując swym myślom.

–Ale ze mnie... – westchnął Wład. – To jasne! Można przecież powtarzać to, co on nadaje... Nym zaczął manipulować przyciskami i pokrętłami.

–Ustaw pierścień pionowo!

**Wład wykonał polecenie. Zina stanęła za plecami Nyma, aby śledzić wraz z nim wskazania przyrządów.**

**Upłynęło kilka minut w zupełnej ciszy. Wład zaczął się coraz bardziej niecierpliwić.**

**–No i co?**

**–Nic. Nadal nieregularne zmiany w natężeniu promieniowania korpusku-larnego i rozkładzie energetycznym widma elektromagnetycznego." Temperatura bez zmian...**

**–No, a to? – zapytała Zina, wskazując na jeden z ekranów.**

**–Zanik emisji cząstek alfa i beta występuje dość często – wyjaśnił Nym. – O! Znowu wzrasta!**

**–Właściwie czego oczekujemy? Jakiej reakcji? Może on reaguje, a my bierzemy to za przypadkowe zmiany w emisji, bo nie wiemy, co jest prawidłowością, a co nie?**

**Engelstern uśmiechnął się ironicznie.**

**–Masz zupełną rację. Ale to tym ostrzej godzi w twoją metodę... Jeśli działamy wybranymi przez nas bodźcami – możemy mieć chociaż nadzieję, iż powtarzając je wykryjemy jakieś prawidłowości w reakcjach. Gdy wzorcem jest ciąg zmian, które wydają nam się lub są rzeczywiście przypadkowe, jak możemy wykryć jakąś prawidłowość?**

**–Chyba... masz rację – powiedziała Zina z żalem. – To nie ma sensu...**

**–Przerywamy? – zapytał Wład.**

**–Poczekaj. Jeszcze trochę... Może statystycznie da się coś wykryć. Chociaż... mówiąc szczerze... – nie dokończył Nym.**

**–Czy... Czy coś nowego? – zainteresowała się Zina.**

**–Emisja promieniowania elektromagnetycznego zanikła na wszystkich zakresach. Tego chyba jeszcze nie było? – Nym zwrócił się do Włada.**

**–Nie było! Przez całe dziesięć dni lotu z Nokty na Sel, a później tu, w laboratorium, utrzymywała się, chociaż bardzo słaba i na niektórych tylko zakresach. Jedynie korpuskularne...**

**–Czyżby jednak? – głos Ziny drżał z podniecenia. – Spójrz tu, Nym! Promieniowanie alfa zanikło również! Za to beta wzrasta. Jak szybko!... Krótką chwilę ciszy, pełną napięcia, przerwał raptownie okrzyk Włada:**

**–Uwaga!!! Pierścień!!!**

**Ujrzeni, jak srebrzysty torus wymknął się z rąk Włada i mętniejąc zaczął pęcznić niczym balon napełniany gwałtownie gazem. Wład usiłował go pochwycić, ale palce manipulatora grzęzły w miękkiej powłoce, która rozplywała się, przeobrażając w obłok szarej mgły. Szybko wypełnił on obszar holowi-zyjnej ekspozycji i zgęstniał, przysłaniając stół laboratoryjny i dłonie rękawic manipulacyjnych.**

**Nagły błysk światła. Nie ma już ani obłoku mgły, ani stołu laboratoryjnego. W pustej przestrzeni pozostały tylko, nie przysłonięte już holowizyjnym obrazem, rękawice manipulacyjne na rękach Włada.**

**–Łączność zerwana!**

**Nym przebiegł wzrokiem po ekranach wskaźnikowych.**

**–Radiometry działają nadal. Ciśnienie i temperatura... w porządku. Nie mamy tylko łączności optycznej. A jak manipulator? Palce Włada obmacywały niewidzialną płaszczyznę.**

**–W porządku... Dotykam teraz blatu stołu...**

**–A pierścień?**

**Wład pochylił się do przodu i wyciągniętymi rękami wodził w przestrzeni.**

**–Nie ma go... To dziwne...**

**–Może... to nie było złudzenie? – wtrąciła Zina.**

**–Ciśnienie i temperatura bez zmian! – stwierdził Nym pochylając się nad pulpitem. – Gdyby materia pierścienia przeszła w stan gazowy, ciśnienie powinno wzrosnąć co najmniej o piętnaście procent. A tymczasem utrzymuje się nadal jak poprzednio: jedna piąta atmosfery.**

**–Skład chemiczny!**

**–Też bez zmian...**

**–Sprawdź zapis! Może uda się znaleźć korelację między zmianami w natężeniu promieniowania i ciśnienia w ostatnich pięciu minutach.**

**–Właśnie to robię.**

**Wład wydobył dłonie z rękawic i podszedł do ekranu.**

**–Tu chyba się zaczęło? – wskazał na miejsce, gdzie jedna z krzywych poczęła szybko wznosić się w górę.**

**–Tak – potwierdził Nym. – Wzrost emisji elektronów, a potem nieznaczny spadek. Dalej już bez zmian. A to promieniowanie elektromagnetyczne... Prawie całkowity zanik. To samo z emisją alfa. Jeśli nałożymy na to krzywą ciśnienia... – nacisnął guzik.**

**–A jednak ślad jest!– – zawołała Zina, patrząc na ekran. Na biegnącej poziomo linii, w dwóch miejscach, zaznaczały się niewyraźne garby.**

**–Coś tu nie gra – zasępił się Wład. – Gdyby ciśnienie wzrosło tylko na skutek wzmożonej emisji elektronów, powinno utrzymywać się nadal...**

**–Rzeczywiście to dziwne... – potwierdził Nym. – Pierwszy skok w momencie maksymalnego natężenia promieniowania... A potem powrót do normy i znów skok, nie skorelowany z żadną z krzywych.**

**–Co się właściwie mogło stać z pierścieniem? – zastanawiała się Zina. – Wszystkie krzywe będą niemal równoległe...**

**–Tak. Nigdy jeszcze nie zachowywał się tak spokojnie... – powiedział. Wład. – Gdyby nie ta emisja elektronów, można by sądzić, iż rzeczywiście znikł. Co o tym myślisz, Nym?**

**–Nic w przyrodzie nie ginie... Jeśli nie odnalazłeś pierścienia na stole, a ciśnienie pozostało bez zmian... – Nym zamyślił się. – Przypuśćmy – podjął po chwili – że pierścień na skutek jakichś wewnętrznych procesów, wywołanych przekazaniem mu jego własnych sygnałów, uległ rozpadowi... Że zmienił się w pył lub przeszedł w stan ciekły...**

**Wład spojrzał na niego z niepokojem.**

**–Oznaczałoby to, iż struktura pierścienia została zniszczona, i to bezpowrotnie...**

**–Biedna Zoe... – westchnęła Zina. – I to przeze mnie...**

**–Skąd mogłaś wiedzieć, że taka będzie reakcja? – powiedział łagodnie Wład. – Zresztą czy koniecznie pierścień musiał się rozpaść? Może po prostu zwiększył objętość... Przy niewielkim ciśnieniu, panującym na Sel, mógł unieść się jak balon... Sam czułem...**

**–Gadasz głupstwa! – zaperzył się astrofizyk. – Zwiększenie objętości spowodowałoby wzrost ciśnienia w komorze laboratorium.**

**–Niech ci będzie... – skapitulował Wład. – W każdym razie wiemy teraz, że...**

**–Nic nie wiemy! – przerwał Nym ze złością i wstał od pulpitu. – Spektrografy nie dają wskazań. Widocznie też uszkodzone. Wyobrażam sobie, co powie Andrzej...**

**W oczach Ziny pojawiły się gniewne błyski. Opanowała się jednak.**

**–Dobrze! – powiedziała zdecydowanym tonem. – Zainstaluję zastępczą kamerę i spektrometr. Ewentualnie, jeśli to, co mówisz, okaże się prawdą, przywiozę próbki...**

**–Ani się waż! – wybuchnął Engelstern. – Jeszcze tego brakowało! Chcesz tak jak Zoe? Myślisz, że to zabawa?**

**–Nie rozumiem, o co ci chodzi? Nie powiedziałam, że chcę tam lecieć osobiście.**

**–Słusznie! Łazik! – podchwycił Wład. – Proponuję modyfikację twego planu. Wyślemy zaraz Łazika, aby się przekonać, co z pierścieniem... Uszkodzonymi przyrządami zajmiemy się później. Chodź, Zi! – ruszył ku drzwiom. – Szkoda każdej chwili!**

**–Idę z wami! – zawołał Nym już rozchmurzony, ale zaraz dorzucił: – Jeszcze narobicie jakiegoś bigosu...**

**Laboratorium, ukryte na dnie płytkiego krateru meteorytowego, przypominało z góry, w świetle reflektorów Łazika, biały grzyb wrosnięty głęboko w ziemię. Kierowany zdalnie przez Kalinę robot okrążył pawilon i wylądował pod wałem u stóp anteny przekaźnikowej, zapewniającej łączność laboratorium z bazą. Na sferycznym ekranie sterowni Łazika w Astrobolidzie widać było teraz wyraźnie rumowisko skalne wypełniające dno krateru i czaszę pawilonu.**

**–Pod śluzę chyba podejść – zastanawiał się głośno Wład. – Nie chcę podlatywać, bo strumień odrzutowy mógłby uszkodzić powłokę.. – Jasne – skinął głową Nym.**

**Wład poprowadził robota skrajem zbocza, a potem w dół ku laboratorium. Pięcionogi pająk posuwał się płynnie i szybko poprzez rumowiska – kontrola położenia odnóży i koordynacja ruchów przebiegały automatycznie w obwodach autonomicznych maszyny, rola zaś człowieka kierowcy ograniczała się do nadawania jej określonego kierunku.**

**W ścianie pawilonu jarzyło się zielonkawą poświatą wejście do laboratorium. Kalina wprowadził Łazika do otwartej śluzy i uniósłszy w górę jedno z ramion robota, sięgnął do dźwigni włączającej hermetyzujące pole'siłowe. Poświata w komorze zmieniła barwę z zielonej na żółtą, potem na pomarańczową, co sygnalizowało wypełnienie śluzy powietrzem.**

**Zina, Wład i Nym patrzyli teraz wyczekująco na pionową czarną linię – miejsce, gdzie powinna rozstąpić się ściana i odsłonić wnętrze roboczej komory laboratorium. Za chwilę mieli się przekonać naocznie, czy to, co widzieli niedawno, było tylko zwidem spowodowanym awarią aparatury, czy może pierścień zniknął rzeczywiście.**

**Ściana drgnęła i w miejscu czarnej pręgi pojawiła się szczelina podświetlona od wewnątrz. Łazik postąpił krok naprzód i jakby zawahał się.**

**–Stój! – Zina wpiła palce w ramię Włada. Poprzez poszerzającą się szybko szczelinę wypełił rdzawy kłęb gęstego dymu, przysłaniając widok.**

**–Pożar!**

**–Czy Łazik zaopatrzony jest w gaśnice? – zapytał Nym.**

**–Tak. To wchodzi w normalne wyposażenie. Jego powierzchnia jest zresztą żaroodporna. Wytrzymałe przez kilkanaście minut nawet cztery tysiące stopni.**

**–Wiem. Wprowadź Łazika do wnętrza laboratorium. Trzeba zlokalizować źródło dymu. Szybciej!**

**Wykonanie polecenia natrafiło jednak na przeszkodę: rudy obłok otoczył zewsząd robota i na ekranach w sterowni nie można było rozróżnić żadnych szczegółów otoczenia..**

**–Włącz radar!**

**–Już to zrobiłem, ale... – Wład wpatrywał się z niepokojem w ekrany.**

**–Dziwne... To chyba nie jest dym – zawahała się Zina. – To odbija fale... jak...**

**–...jak metal – dokończył Wład i począł ostrożnie manipulować dźwigniami. Nym śledził z uwagą jego ruchy.**

**–Czego szukasz?**

**–Chcę zamknąć przejście do laboratorium i wyłączyć pole siłowe.**

**–Nie! Nie otwieraj śluzy! – zawołał Engelstern z nagłą stanowczością. – Nie wolno dopuścić, aby to „coś” uciekło w przestrzeń kosmiczną. Poczekaście tu na mnie i niczego nie ruszajcie.**

**–Co chcesz zrobić?**

**–Pojadę Skarabeuszem. To jednak trzeba koniecznie sprawdzić!**

**–Teraz ja mogę powiedzieć: „tego tylko brakowało” – zaśmiała się nerwowo Zina. – Ale nie powiem i... jadę z tobą!**

**Nym spojrzał na nią, chwilę wahał się, ale w końcu wyraził zgodę.**

**–Skarabeusz ma kopułę ze szkła pancernego. Chroni też względnie dobrze przed promieniowaniem. Ty, Wład, połączysz się z Andrzejem i zawiadomisz go o tym, co się dotąd wydarzyło. No i będziesz z nami w kontakcie...**

**Do pawilonów, mieszczących uniwersalne automaty wytwórcze i magazyny gotowego już sprzętu, prowadził podziemny korytarz. „Wędrująca poręcz” od stacji wind Astrobolidu poprzez wszystkie pawilony umożliwiała szybkie poruszanie się po terenie bazy w warunkach nikłego ciężenia.**

**Zina i Nym po kilku minutach znaleźli się w hali urządzeń transportowych. „Wędrująca poręcz” biegła tu pod sufitem. Po puszczeniu poręczy i uchwyceniu się stałych klamer zawisli oboje na wysokości kilkunastu metrów nad podłogą hali. W dole pod nimi, na taśmie symulacyjnej manewrował pojazd gąsienicowy. Pod przezroczystą kopułą widać było płową czuprynę Allana.**

**Zina zeskoczyła pierwsza, tuż przy taśmie, za nią Nym. Allan zatrzymał maszynę i uniósł kopułę.**

**–Co tu robisz? – • zapytał Nym niezbyt uprzejmie.**

**–Ćwiczę. Zabieramy Skarabeusza na Temę. A nie miałem przecież nigdy okazji...**

**–Wysiadaj! Musimy zaraz jechać! Nym wspiął się już do kabiny tankietki.**

**–Co takiego? – zdziwił się Allan.**

**–Pierścień zniknął! – Zina usadowiła się w fotelu obok Allana.**

**–Jak to „zniknął”?**

**–Sami nie wiemy, co się właściwie stało. Wyglądało tak, jakby w miejsce pierścienia pojawił się obłok gazu i pyłu. Ale trudno powiedzieć, jak było naprawdę, bo zaraz oślepyły kamery. Właśnie jedziemy sprawdzić.**

**–A Łazik?**

**–Też jakby oślepl...**

**–To znaczy?... Co się stało?**

**–Nie ma teraz czasu na gadanie – zniecierpliwił się Nym. – Wysiadaj! Ale biolog już**

**podjął decyzję.**

**–Jadę z wami! – nacisnął guzik i zamknął kopułę tankietki.**

**–Po co? – skrzywił się Nym niechętnie. Allan sprowadził już jednak pojazd z taśmy symulatora i wjechał w tunel służby.**

**–Niech jedzie! – poparła Allana Zina. – Szkoda czasu na przesiadki. Zewnętrzne pole siłowe, zamykające służę, wyłączyło się automatycznie i Skarabeusz wyjechał na otwartą przestrzeń. Allan zapalił reflektory i zwiększył prędkość, sunąc po szerokim szlaku wyciętym w skałach. Przyczepne okładziny gąsienic zgrzytały na żłobkowatej powierzchni drogi.**

**Pojazd minął wierzchołek wału otaczającego ba,?ę i w rozpędzie przeleciał kilkadziesiąt metrów nad drogą opadającą w dół po zboczu. Odbił się od nierówności – raz, drugi i trzeci – nim potoczył się dalej po szlaku.**

**–Zmniejsz prędkość! Musisz jeszcze ćwiczyć! – powiedział mentorsko Nym. – Przy tak niewielkim ciężeniu nie zdołasz zahamować i rozbijesz pawilon. Nie mówiąc już, że każda wywrotka to strata czasu. Tylko hamuj łagodnie, bo przekoziółkujemy...**

**–Nie obawiajcie się! Jeździłem tu już parę razy.**

**–Zjeżdżałeś do krateru?**

**–Dwa razy. Znam dobrze drogę!**

**–Jutro wyjaśnisz Andrzejowi, dlaczego złamałeś zarządzenie! Allan zmarszczył brwi.**

**–Nie wygłupiaj się...**

**–Nie wolno łamać przepisów bezpieczeństwa!**

**–Nic się nie stało – wtrąciła Zina niepewnie.**

**–Ale mogło się stać!**

**Zapanowało- milczenie.**

**Droga biegła teraz poprzez spiętrzone stosy odłamków skalnych. Allan zmniejszył nieco prędkość i zaszępiiony patrzył przed siebie na załamujące się wśród rumowisk światła reflektorów.**

**Po kilku minutach spoza bliskiego horyzontu ukazały się anteny, a wkrótce cała wieża stacji przekaźnikowej, osadzonej na wale krateru, w którym zainstalowano laboratorium.**

**–Zatrzymaj pod szczytem! – przerwał milczenie Nym. Niemal jednocześnie na tablicy przed Allanem zapłonęła zielona lampka sygnalizacyjna.**

**–Zero, siedem! – powiedziała pospiesznie Zina.**

**–Nie mogłem się z wami połączyć! – usłyszeli głos Włada.**

**–Widocznie któreś łącze... Ale teraz w porządku?**

**–Tak. Jest tu ze mną Andrzej... Jak wam idzie?**

**–Zaraz będziemy pod szczytem.**

**–Bądźcie ostrożni!**

**–Jasne...**

**Maszyna wspinała się wolno w górę, wreszcie zatrzymała się tuż przed wyciętą w skałach przełęczą.**

**–Al! Przesiądź się na moje miejsce! – rozkazał Nym. Biolog potulnie wykonał polecenie.**

**–Przekażcie nam obraz! – usłyszeli głos Krawczyka.**

**Engelstern usiadł w fotelu kierowcy i wysunął peryskop. Na ekranie pojawiło się przeciwległe zbocze krateru, potem kamera skierowana w dół ukazała białą czaszę pawilonu.**

**–Dziękuję! Mamy obraz – potwierdził astronom.**

**–Chyba możemy ruszać dalej? – zapytała Zina.**

**Nym skinął głową i przesunął dźwignię ruchu. Skarabeusz począł wolno wspinać się na przełęcz. Dalej droga biegła zakosem, opadając łagodnie po zboczu.**

**–Patrz! – zawołała Zina. – Zielone światło! Z wejścia do laboratorium sączyła się zielonkawa poświata, sygnalizująca, że pole siłowe jest wyłączone i wejście do służby pawilonu stoi otworem.**

**–Wład! Czy otwierałeś służę? – zapytał Nym, wyraźnie siląc się na spokojny ton.**

**–Nie otwierałem. Przecież wiesz...**

**We wnętrzu komory służowej stał Łazik. Dwie łapy wzniesione w górę opierały się o ścianę z daleka od uchwyty dźwigni sterującej włazami. Wejście prowadzące do**

**wnętrza laboratorium było zamknięte.**

**Nym zatrzymał tankietkę w odległości kilku metrów od wjazdu.**

**–Musiałeś jednak otworzyć! – powiedział z wyrzutem.**

**–Nie otwierałem. Chyba że przypadkowo, w tej mgle, gdy Łazik obmacywał ściany...**

**–Dymu i pyłu ani śladu. Wessała go pustka...**

**–Sprawdź, czy Łazik działa! – usłyszeli głos Krawczyka.**

**–Już idę.**

**Chwilę panowała cisza.**

**–Nie chce mi się wierzyć – podjął astronom – aby rzeczywiście pierścień zmienił stan skupienia... Powiedz, Zi... czy to nie mogą być jakieś zwidy, wywołane zakłóceniami w łączności radiowej?**

**–Nie bardzo mogę sobie wyobrazić jak... – nie dokończyła, gdyż w tej chwili Łazik poruszył jedną, potem drugą łapą.**

**–Wszystko w porządku! – usłyszeli głos Włada. – Kamery i manipulatory działają bez zarzutu.**

**–Włącz pole i otwórz wjazd wewnętrzny! – polecił Krawczyk.**

**Łazik sięgnął do dźwigni i przesunął ją w dół. Poświata zmieniła barwę na żółtą, a następnie na pomarańczową.**

**Poprzez szparę w rozstępującej się ścianie biło jasne światło. Przejście poszerzało się szybko, odsłaniając wnętrze laboratorium.**

**Robot postąpił parę kroków naprzód i stanął w przejściu.**

**–Jest! Jest! – usłyszeli okrzyk Włada.**

**Łazik poruszył się i przekroczył próg. Ściana była już otwarta i spoza kulistego kadłuba robota Zina, Nym i Allan ujrzeli jasno oświetlony stół laboratoryjny, a na nim lśniący srebrzyście torus.**

# KONFLIKT

Andrzej Krawczyk skończył czytać. Chwilę patrzył w zamyśleniu na leżące przed nim kartki sprawozdania, potem przeniósł na Zinę spojrzenie pełne troski. Nie wróżyło to łatwej rozmowy i chociaż Zina nie miała złudzeń, że sprawozdanie przejdzie bez oporów, przygotowując z góry kontrargumenty, niemniej w tej chwili czuła się szczególnie niepewnie.

–Coś nie tak? – zapytała chcąc jak najszybciej rozładować atmosferę.

–Nie tak... – powtórzył oschle. – Nie podoba mi się to sprawozdanie.

–Chodzi ci o wnioski?

–Nie tylko. Wnioski rzeczywiście są trochę... przedwczesne i sformułowane zbyt... apodyktycznie. Ale również sam opis zdarzeń sugeruje... określone ich wyjaśnienie. Powiedziałbym: nie dość obiektywne...

–Na przykład?

–Choćby sprawa owych rzekomych błysków w relacji Zue. Nie można pisać tak, jakby ich realność nie budziła wątpliwości. Halucynacje mogły być pierwszym objawem zmian patologicznych w ośrodkach wzrokowych.

–Podobne błyski widział Dean po odnalezieniu Zoe. A przecież u niego nie wystąpiły żadne objawy zaburzeń wzrokowych.

–Na szczęście nie wystąpiły – poprawił astronom. – I miejmy nadzieję, że nie wystąpią. Nie twierdzą zresztą, że istnieją dowody związku między błyskami a uszkodzeniem siatkówki korowej. Może po prostu zbieg okoliczności.

–To nie mogło być złudzenie wzrokowe!

–Historia astronomii i astronautyki zna bardzo wiele przypadków złudzeń i błędnych interpretacji.;

–Więc odrzucasz całkowicie możliwość, ażeby błyski miały rzeczywiste zewnętrzne źródło?

–Nie odrzucam, ale możliwości interpretacji jest wiele i w sprawozdaniu dla Ziemi nie wolno przesądzać z góry, która z nich znajdzie potwierdzenie – oznajmił rzeczowo. – Nie należy niczego sugerować. To samo dotyczy właściwości pierścienia. Niestety, na podstawie twego sprawozdania można dojść do pochopnego wniosku, że jest to niemal istota żywa, i to obdarzona inteligencją.

**–Tego nie napisałam. A że jest on dowodem istnienia i działań istot inteligentnych w Układzie Proximy, to przecież nie ulega wątpliwości. Przyznasz, że zachowanie się pierścienia jest nader dziwne. To, co widziała Zoe... i co myśmy widzieli z Władem i Nyrnem...**

**–Nym i Wład stawiają sprawę inaczej, a na relacjach Zoe, niestety, polegać nie można.**

**–Widziała, jak pierścień uniósł się w górę... i ja widziałam później... w laboratorium podobne zjawisko. Wład i Nym też widzieli... Wład przecież szukał...**

**–Manipulatorem. Nie będziemy zresztą dyskutować o szczegółach. Rzecz w tym, iż każdy z tych faktów może być wyjaśniony w różny sposób.**

**–Zoe jest ofiarą pierścienia. To chyba jasne.**

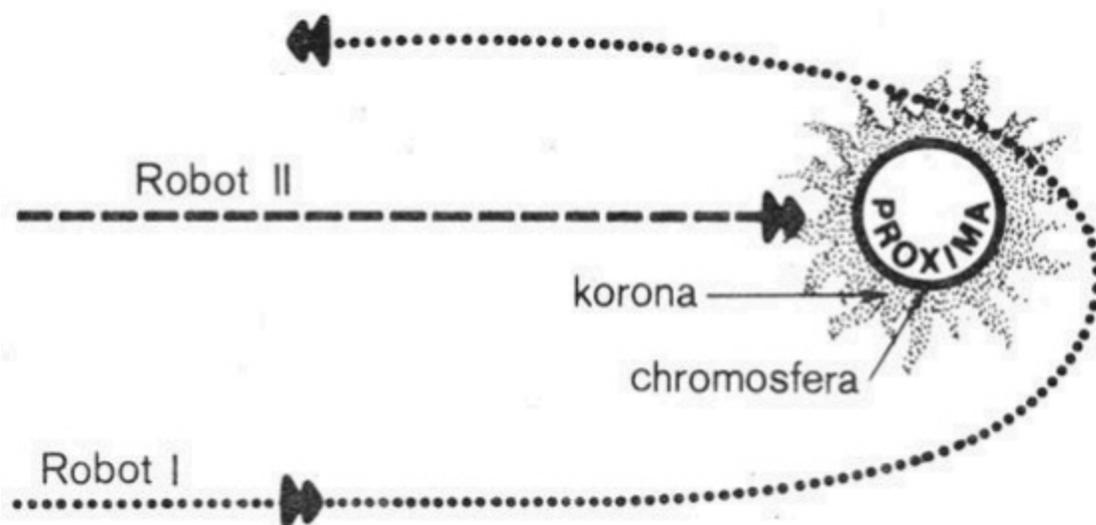
**–Nie wiem. Will i twoja matka twierdzą, że nie potrafią określić przyczyny porażenia ośrodków wzrokowych. Być może odegrało tu jakąś rolę promieniowanie pierścienia, ale to tylko hipoteza. Podobnie ma się sprawa, jeśli chodzi o utratę łączności z laboratorium. Ale nawet jeśli rzeczywiście w jednym i drugim przypadku są to skutki procesów zachodzących w pierścieniu, czy znaczy to, że wolno przypisywać mu świadome, czy choćby tylko celowe działanie? Wydawało mi się, że Hans przesadza twierdząc, że niektórzy z młodszych kolegów skłonni są wszędzie szukać Nibelungów. Po przeczytaniu twojego sprawozdania zarzuty Hansa nie wydają się przesadzone. Powiem więcej: wy już nie szukacie Nibelungów. Wy widzicie ich wszędzie. I to mnie właśnie niepokoi najbardziej. Rozumiesz, co mam na myśli?**

**Zina z trudem hamowała wybuch gniewu.**

**–Więc jednak chodzi ci o wnioski! Zmiana programu byłaby zbyt kłopotliwa – dodała z sarkazmem.**

**–Nie widzę potrzeby zmian. Znalezienie pierścienia nie dowodzi jeszcze, że Układ Proximy jest obecnie zamieszkały przez istoty cywilizowane. Jedynie na Temie występuje życie, jak się wydaje dość prymitywne, bez wysoko rozwiniętych form zwierzęcych i w szczątkowej postaci. Zresztą program nie przewiduje tam badań metodami detonacyjnymi. Obowiązuje nas instrukcja nr 2: unikać poważniejszych ingerencji w funkcjonowanie biocenozy, zwłaszcza mogących spowodować nieodwracalne zmiany jej struktury. I będziemy tego przestrzegać. Ale inne planety to złodowaciale, pustynne globy, których dotyczy Instrukcja nr 1. Tam gdzie nie ma życia, nie ma sensu rezygnować z badań geologicznych, z głębokich sondaży, analiz reakcji jądrowych, spektro-i sejsmograficznych. Przybyliśmy tu po to, aby możliwie gruntownie zbadać Układ Proximy za pomocą wszystkich dostępnych środków. I to możliwie Szybko! Gdybyśmy chcieli bawić się w terenowe wyprawy Skarabeuszami**

czy tylko Łazikami, w szczególności penetrowanie terenu przyszłych sondy i eksplozji, trzeba by wielu dziesiątków lat pracy. Jeśli w Układzie Proxima istniałaby obecnie jakaś cywilizacja, należałoby oczywiście kierować się wskazaniem instrukcji nr 4, to znaczy działać jak najostrożniej, aby mimo woli nie spowodować szkód, które utrudniłyby nawiązanie bezpośrednich kontaktów. Niestety, układ nie jest zamieszkały przez istoty inteligentne i być może nigdy nie był. Oznacza to, że mamy pełną swobodę w wyborze metod badawczych w ramach instrukcji pierwszej i drugiej. Jeżeli znajdą się rzetelne dowody, że torus jest tworem istot inteligentnych, które odwiedziły kiedyś w przeszłości i być może odwiedzają nadal Układ Proxima, nikt nie będzie wątpił, że obowiązuje instrukcja nr 3. Ale w takiej sytuacji, jak obecnie, nie widzę sensu wprowadzenia zmian w programach badań.



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 7. Lot sond automatycznych badających gwiazdę Proxima Centauri

–Jak można wszystko sprowadzać do instrukcji opracowanych na Ziemi, i do tego półtora wieku temu?

–Opracowali je wybitni znawcy prawa kosmicznego i jak dotychczas bardzo dobrze spełniają one swój cel. A celem tym jest właśnie uwolnienie nas od jałowych, niepotrzebnych sporów, co nam wolno, a czego nie wolno robić.

–Cóż ci twoi wybitni znawcy mogli wiedzieć?... A jeśli życie przybrało tu formy zupełnie nam, ludziom, nie znane? Czy nie słuszniej ograniczyć program do zdjęć w różnych zakresach promieniowania, do zdalnych pomiarów i pobierania próbek? Można rozstawić tysiące zautomatyzowanych stacji obserwacyjnych, zebrać ogromny materiał bez naruszania niczego, co stworzyła tu natura lub obcy rozum. Nawet jeśli plon badań nie będzie tak bogaty, jak w przypadku kierowania się instrukcjami, zdobędziemy pewność, że nie popełnimy nieświadomie czegoś, co uczyni z nas intruzów, a może nawet śmiertelnych wrogów mieszkańców tego świata. Właśnie pierścień Zoe, odnaleziony na planecie rzekomo martwej, gdzie jakoby możemy sobie poczynać swobodnie, jest dowodem, że na sprawę kontaktu

**międzycywilizacyjnego należy spojrzeć w zupełnie innym świetle, niż przewidują instrukcje. Czy to, co mówię, nie ma sensu?..**

**Astronom uśmiechnął się pobłaźliwie.**

**–No, teraz wreszcie zrozumiałem: twoje sprawozdanie odzwierciedla opinię „frakcji kontaktowców”...**

**–Nie ma niczego takiego. To wymysł Nyma – oburzyła się niezbyt szczerze.**

**–W każdym razie ty. Altan, Dean, Daisy, no i oczywiście Zoe jesteście zdania, że należy dać prymat sprawie poszukiwania kontaktów międzycywilizacyjnych nad innymi naszymi zadaniami. Czy nie tak?**

**–Powiedzmy... Zresztą... Wład, a nawet Mary są tego samego zdania.**

**–Nie sędzę. Rozmawiałem dziś rano z Władem. Bardzo spokojnie i rozsądnie podchodzi do sprawy pierścienia...**

**–To znaczy, że my...? – zaperzyła się, urywając znacząco.**

**–To znaczy, że nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków! Chciałbym bardzo, tak samo jak ty, aby nawiązanie łączności z obcą cywilizacją stało się udziałem naszej ekspedycji – podjął innym, nieco cieplejszym tonem. – I chociaż przed laty, gdy wyruszyliśmy w drogę, spotkanie istot inteligentnych w Układzie Alfa Centauri uznano powszechnie za bardzo mało prawdopodobne, a wokół Proximy za wręcz wykluczone, tak w głębi duszy każdy z nas jakąś tam isierkę nadziei zachował... Rozumiem, że znalezienie pierścienia nadzieje te zdaje się rozpalać... Ale czym on jest? Czego on dowodzi? Najwyżej tego, że Układ Proximy odwiedziły kiedyś... może przed tysiącami lat... jakieś istoty cywilizowane albo też ich zautomatyzowane aparaty zwiadowcze. Na powierzchni żadnej z planet, nawet na Temie, nie zaobserwowaliśmy nic, co mogłoby wskazywać na obecność istot inteligentnych czy choćby na ich obecność przed wiekami.**

**–Nie wiemy, co zawierają kopce na równiku Temy.**

**–I nie dowiedzielibyśmy się nigdy, gdyby twoje wnioski zostały przyjęte. Nie sędzę zresztą, aby ta pustynia kryła jakieś rewelacje. Zdaniem Igora i Mary mogą to być po prostu czapki tektoniczne zasypane piaskiem. Prawdopodobieństwo, że istniała tu jakaś wysoka cywilizacja i zniknęła bez śladu, jest bardzo małe. A jednocześnie Układ Proximy wykazuje tak wiele zaskakujących anomalii planetologicznych, które wręcz burzą nasze dotychczasowe poglądy na ewolucję systemów planetarnych, że byłoby nonsensem ograniczanie czy skracanie programu badawczego i rezygnowanie z wyjaśnienia zagadek tego układu dlatego tylko, że pojawił się cień możliwości spełnienia naszych marzeń o spotkaniu dwóch cywilizacji. Mamy do wykonania**

**określone zadania i nie będziemy zmieniać naszych planów, aby gonić za cieniami!**

**–A jeśli w czasie narady kierunkowej zdołamy was przekonać?**

**–To znaczy: kogo i o czym?**

**–No... – zawahała się. – Przekonać większość, że należy zmienić plany: że są już nieaktualne.**

**–Chętnie wysłucham argumentów. Choćby zaraz! Spuściła szybko oczy.**

**–Teraz nie... Jeszcze nie... – powiedziała po chwili.**

**–Jak chcesz. Mogę poczekać do narady. Ale sprawozdanie trzeba będzie zmienić. Musi ono odzwierciedlić rzetelnie stan faktyczny, a nie poglądy subiektywne.**

**Zina wstała z fotela.**

**–Chciałabym cię o coś zapytać... – podjęła nieśmiało.**

**–Słucham.**

**–Czy to prawda, że Mary złożyła rezygnację? Astronom spochmurniał.**

**–Tak. Czuje się odpowiedzialna za wypadek Zoe. Ale sądzę, że da się przekonać, iż to nie ma sensu...**

**–Czy tylko o to jej chodziło?**

**–Tak. Myślę, że tak...**

**Wyczuła w jego głosie niepewność.**

**Narada kierunkowa, wyznaczona na godzinę dziewiątą, rozpoczęła się o jedenastej. Krawczyk zwołał bowiem w ostatniej chwili posiedzenie kierownictwa ekspedycji, w którym wzięli udział szefowie wszystkich zespołów, z wyjątkiem Igora, zajętego wraz z Suzy badaniami księżyców Primy. Wyniki tych badań mogły mieć kluczowe znaczenie dla wyjaśnienia zagadki planety X i ich przerywanie dla uczestnictwa w naradzie spowodowałoby niepotrzebną zwłokę. Wszelkie kwestie wymagające udziału Kondratiewa można było zresztą wyjaśnić drogą radiową.**

**Nieobecność w bazie Igora i Suzy była dla Ziny dużym zawodem. Co prawda, nie była pewna, czy uda jej się przekonać ojca o konieczności zmian w programie badań, niemniej nie dopuściłaby do zbagatelizowania całej sprawy – czego obawiała się najbardziej. Suzy zaś, jako bliska przyjaciółka Daisy, mogła być cennym**

sojuszniakiem. Nie bez znaczenia był tu również jej wpływ na Włada, który, jakkolwiek odnosił się z wyraźną sympatią do „dysydentów”, nie traktował ich zbyt poważnie. A od jego opinii mogło wiele zależeć. Przez ostatnie trzy tygodnie zajmował się wyłącznie badaniem pierścienia i jakkolwiek nie udało mu się potwierdzić doświadczalnie rzekomej zdolności do przeistaczania się znaleziska w postać gazową czy pyłową, zebrał wiele danych świadczących, że jest to wysoko zorganizowany twór.

Narada ogólna z udziałem wszystkich obecnych na Sel członków ekspedycji rozpoczęła się z dwudziestominutowym opóźnieniem. Nie ulegało wątpliwości, że „kolegium szefów” miało przebieg burzliwy i trudny, bo nawet Renę, zawsze pełen optymizmu, humoru i energii, usiadł za stołem chmurny i przygnębiony. Tylko na moment, gdy dostrzegł Zoe, po raz pierwszy obecną na naradzie, oczy jego zabłysły wzruszeniem i radością.

Na twarzy Krawczyka widoczne było zmęczenie. Dłużej niż zwykle rozkładał przed sobą papiery, wyraźnie usiłując opanować zdenerwowanie. Wreszcie podniósł wzrok. Spojrzał przelotnie na Mary, potem na skupionych wokół Zoe „buntowników”.

–Na dzisiejszej naradzie mamy przedyskutować kierunkowy plan badań Temy – rozpoczął po chwili tonem rzeczowym i suchym. – Proponuję, abyśmy ograniczyli dyskusję do tego jednego punktu. Jest to temat bardzo obszerny i wymagający wszechstronnego omówienia. Program badań podjętych już na innych planetach, ich księżycach i planetoidach oraz plan wstępnego sondażu atmosfery Proximy pozostaje bez zmian. W zawieszeniu, aż do zakończenia wstępnego sondażu Proximy, pozostaje sprawa decyzji o wykorzystaniu metody stymulowania quasi-rozblysków do łączności z Ziemią. Drugiego przekazu materiałów sprawozdawczych dokonamy więc tak jak pierwszego:

za pośrednictwem generatora maserowego. Mam nadzieję, Zi, że nastąpi to jeszcze dziś – spojrzał wymownie w kierunku Ziny, która, nie zdołała jeszcze ochłonąć z wrażenia, jakie wywarła na niej wiadomość o ograniczeniu porządku dziennego.

Mam też do zakomunikowania kolegom – podjął po chwili astronom – decyzje organizacyjne dzisiejszego kolegium. A więc przede wszystkim sprawa Temy: prace badawcze będą prowadziły dwa zespoły: geofizyczno-geologiczny, kierowany przez Hansa, i biologiczny, którego szefem jest Renę. Badania Nokty wznawiamy pod kierownictwem Nyma. Wstępny projekt sondażu Urpy ma przygotować Igor po zakończeniu prac w układzie księżyców Primy. Skład poszczególnych zespołów zaproponują kierownicy. Inne zespoły bez zmian.

Dean podniósł się z miejsca.

–Co z Mary?

**–Prawdopodobnie weźmie udział w pracach na Temie. Proponowaliśmy jej kierownictwo zespołu, lecz, niestety, odmówiła. Renę zaproponował kandydaturę Hansa.**

**–Ale dlaczego zrezygnowała? Mamy prawo wiedzieć!**

**–Oczywiście – potwierdził Andrzej i spojrzał niepewnie w kierunku Mary.**

**Wszystkie oczy zwróciły się na uczoną. Na jej bladej, zmęczonej twarzy pojawił się wyraz napięcia.**

**–No cóż... – zaczęła po chwili z wysiłkiem. – Myślę, że... tak będzie lepiej. Nie czuję się na siłach. Może później, po pewnym czasie, gdy przemyślę wszystko... Wiem, że trzeba wznowić pracę na Nokcie... Ze nie wolno nam rezygnować... Że Nym, że Ań, że Renę mają rację... A jednak... Może to rzeczywiście jakaś chwilowa depresja... – mówiła coraz bardziej chaotycznie. – To trzeba wyjaśnić... I dlatego... pozwolicie... Tak będzie lepiej... Dajcie mi czas... Ja wiem, że... – nie dokończyła.**

**Zapanowało milczenie.**

**Nigdy jeszcze nie widziano Mary w takim stanie i nikt nie śmiał jej indagować.**

**–Czy s.ą jakieś uwagi lub propozycje dotyczące porządku dziennego? – podjął Krawczyk. Zina podniosła rękę.**

**–Proponuję włączyć punkt dotyczący sprawy badań nad pierścieniem z Nokty. Chodzi zarówno o to, że nie wiemy, kto ma kontynuować prace prowadzone dotąd przez Nyma i Włada, a także jakie praktyczne wnioski wyciągnęło „kolegium szefów” z faktu obecności w Układzie Proximy twórców obcej cywilizacji, a być może nawet jej przedstawicieli.**

**Krawczyk skinął głową potakująco.**

**–Potraktujmy tę sprawę jako punkt pierwszy, gdyż, jak sądzę, nie zajmie nam zbyt wiele czasu. Była ona dość szeroko omawiana na ostatnim zebraniu kierowników zespołów, którzy w ogólnych wnioskach są zasadniczo zgodni.**

**–Co znaczy „zasadniczo zgodni”? – padło zaczepne pytanie Ziny.**

**–To znaczy, że zgodni są w sprawach zasadniczych, choć mogą różnić się co do niektórych kwestii drugorzędnych.**

**–Czy wszyscy szefowie – nowi i poprzedni?**

**–Tak. Mary również, bo chyba o to ci chodziło? Zina nic nie odpowiedziała.**

**Spojrzała ukradkiem na Mary, ale z jej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.**

**–Wnioski te można chyba streścić następująco – podjął Krawczyk. – Primo: pierścień odnaleziony na Nokcie jest jedynym, jak dotąd, śladem działalności wyższej cywilizacji, jaki napotkaliśmy, i nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że pochodzi on z Układu Proximy. Secundo: badania tego tworu, mimo stosowania różnych metod, stanęły właściwie na martwym punkcie. Nie reaguje on na żadne bodźce. To znaczy – poprawił się – nie stwierdziliśmy dotąd żadnych określonych reakcji na stosowane bodźce, i jakkolwiek we wnętrzu pierścienia przebiegają złożone procesy fizyko-chemiczne, zachowuje się on tak, jak gdyby był układem bezwzględnie odosobnionym. Nie twierdzę, że tak jest rzeczywiście, ale, jak dotychczas, tak to wygląda. Mimo licznych prób nie udało się powtórzyć zjawiska zaobserwowanego przez Nyma, Włada i Zi. Jego realność trzeba więc uznać za bardzo wątpliwą. Rzekomą zmianę postaci należy chyba wytłumaczyć chwilową awarią aparatury laboratoryjnej, wywołaną nieznanymi czynnikami. W tej sytuacji utrzymywanie zespołu zajmującego się głównie badaniem pierścienia byłoby marnotrawstwem sił i czasu. Stąd wniosek: pracę należy zawiesić, ograniczając się tylko do zautomatyzowanej obserwacji i zapisów jej wyników. Co nie wyklucza – dodał dostrzegłszy wyraz zawodu na twarzy Zoe – podjęcia dalszych eksperymentów w przypadku wystąpienia kogokolwiek z nowymi koncepcjami badawczymi. Tyle w odpowiedzi na pierwsze pytanie. Jeśli chodzi o odpowiedź na drugie, to nasuwa się chyba sama, jako konsekwencja pierwszej. Nie widzimy potrzeby wprowadzania zmian w programie badań, jeśli nie liczyć zalecenia, aby zwracać większą uwagę na wszelkiego rodzaju źródła promieniowania czy obiekty o niezwykłych kształtach.**

**–A więc sprawa całkowicie pogrzebana – Zina już nie usiłowała tłumić gniewu.**

**–Nie. Ale na razie nie widać uzasadnienia, aby traktować sprawę jako pierwszoplanową i pilną. Miałaś zresztą przedstawić nowe dowody. Czekamy na nie!**

**–Trzeba kontynuować eksperymenty...**

**–Zgoda. Ale kto to ma robić? Wkraczamy w okres bardzo intensywnych badań. Wątpię, abyś nawet ty sama znalazła czas... Sprawna sieć łączności to kwestia zasadnicza. Nie mówiąc już, że trzeba będzie wysyłać codziennie sprawozdania na Ziemię...**

**–A jeśli sondy i eksplozje uznane zostaną za akty agresji? Sądzę, że...**

**–Śnią ci się Nibelungii! – przerwał jej ironicznie Nym. Zina postanowiła jednak zachować spokój.**

**–Skąd pewność, że nie ma tu nikogo? Rozumiem jeszcze, że do chwili znalezienia pierścienia mogło wydawać się to bardzo mało prawdopodobne. Chociaż już Tema**

**zwiększała szansę... Przyznacie chyba wszyscy, że pierścień zmienił tu radykalnie sytuację.**

**–Tema, moim zdaniem, może służyć jako kontrargument – podjął Nym już bez złości. – Jeśli istnieje cywilizacja w Układzie Proximy, to powinna znajdować się na Temie. Tylko tam są względnie sprzyjające warunki. Jeśli więc na żadnych zdjęciach powierzchni Temy nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby świadczyć o działalności istot cywilizowanych...**

**–Widziałam na Nokcie błyski... I Dean też przecież widział! – wtrąciła Zoe. – Na Temie są „oazy ciepła”... Może tam?**

**–Oczywiście, niczego się nie zaniedba – podjął Krawczyk uspokajająco. – Ekipy Renego i Hansa na pewno dokładnie zbadają nie tylko „oazy ciepła”, ale i wszystkie inne anomalie Temy. Program prac zespołu Nyma na Nokcie przewiduje ponowną penetrację płaskowyzu w sektorze K-14 we wskazanych przez ciebie okolicach.**

**–A pierścień? Czy to nic nie znaczy?**

**–Nikt nie ma zamiaru umniejszać wagi twego odkrycia – zawahał się i spojrzał na Korę Heto, która skinęła głową potakująco. – Powiem więc... Miała to być niespodzianka, ale powiem teraz... Właśnie przed godziną podjęliśmy uchwałę, aby odnaleziony na Nokcie przez Zoe Karlson pierścień nazwać oficjalnie „Torus Karlsona”. Również szczelinę, w której wylądowałaś na powierzchni Nokty, nazwaliśmy „Szczeliną Zoe”.**

**–Torus Karlsona – powtórzyła niewidoma, jakby smakując brzmienie tej nazwy. Uśmiech pojawił się na jej twarzy.**

**–Już widzę napis na szybie gabloty w Muzeum Kosmosu w Sztokholmie – odezwała się Zina z ledwo wyczuwalną ironią. – „Torus Karlsona – przedmiot nieznanego pochodzenia i przeznaczenia, znaleziony na planecie Nokcie w Układzie Proximy przez uczestniczkę pierwszej wyprawy międzygwiazdnej – Zoe Karlson”.**

**Zoe przestała się uśmiechać.**

**–Masz rację, Zi... – przyznała cicho.**

**–Myślę, że na naszą działalność w Układzie Proximy trzeba spojrzeć z nieco innej strony – odezwał się milczący dotąd Allan. – Nawet jeśli nie spotkamy tu obcych istot inteligentnych ani nie odnajdziemy żadnych śladów zaginionej cywilizacji, wcale to nie znaczy, że możemy sobie poczynać tak, jakby te planety były naszą własnością. Nawet na planetach, gdzie nie ma i nie było nigdy życia...**

**–Bez przesady, Al – zastrzegł Nym. – Tak rozumując nigdy człowiek nie założyłby**

**osad na Księżycu i Marsie.**

**–Tak czy inaczej, odkrycie Zoe nie może być zmarnowane – Dean wrócił do sprawy pierścienia. – Nazewnictwo niczego nie ułatwia. A obawiam się, że prowadząc badania w ten sam sposób jak dotąd, nie stworzymy klimatu sprzyjającego kontaktom międzywilizacyjnym.**

**–Nibelungi bowiem siedzą gdzieś pod powierzchnią wymarłych planet – zaśmiał się złośliwie Nym – i należy działać jak najostrożniej, a nawet lepiej nic nie robić, aby ich nie denerwować. Inaczej – zaczną się mścić!**

**–Dlaczego kpisz? – Zina uniosła głos, zaciskając dłonie na krawędzi stołu.**

**–Nie dziwię się Deanowi czy Daisy – Ciągnął Nym tym samym tonem. – Oni wychowali się w świecie złudzeń i mitów. Ale ty, Zi? Allan zerwał się z miejsca.**

**–Jesteś świnią, Nym! Wypominać Deanowi i Daisy ich pochodzenie, to gorzej niż nieuczciwe! Znasz przecież dobrze historię Celestii, byłeś sam świadkiem walki, jaką oni tam podjęli właśnie o prawdę! A teraz ty, tu... Powiem więcej: dlatego usiłujesz zlekceważyć sprawę pierścienia Zoe i stopujesz dalsze badania, że tobie się nie udało!**

**Krawczyk uderzył dłonią w stół.**

**–Dość! Al, nie tym tonem! Nie życzę sobie żadnych inwektyw ani insynuacji!**

**–Więc Nym może sobie pozwalać na nieuczciwe chwyt, bo jest szefem zespołu? I nie masz do niego pretensji?**

**–Mam pretensję! Właśnie jako kierownika zespołu, obowiązuje go szczególnie zachowanie taktu i rzeczowa argumentacja.**

**–Masz rację – skinął głową Nym. '- To, co powiedziałem, było głupie i prowokacyjne. Nie mam żalu do Ala, chociaż postawiony mi zarzut jest ciężki i krzywdzący, nie mówiąc już o doborze słów... Przecież powinienem był pamiętać o tym, co nam mówiła Zoja... To nie ich wina...**

**–Proponuję zamknąć dyskusję – przerwała mu pośpiesznie Kora Heto. – Myślę, że możemy przyjąć jako wniosek, zgodny z intencjami Deana, Zi i Zoe, zalecenie, aby każdy starał się działać tak, jak byśmy sobie życzyli, aby obcy przybysze zachowywali się na Ziemi. Zgoda?**

**Zina popatrzyła przenikliwie na sędziwą uczoną, potem zwróciła się do Zoi:**

**–Co mówiłaś im, mamó? Że jesteśmy... chorzy psychicznie? Czy tak?**

**–Nie, nie, to nie tak – zaprzeczyła pośpiesznie Zoja. – Prawda, że wykazujecie pewną nerwowość i... niezrównoważenie. Ale przecież trudno tu mówić o chorobie. Być może zresztą ma rację Wład, że należy kłaść to na karb młodości... Nie masz się czym niepokoić.**

**–Tak... Wiem – odpowiedziała Zina. Postanowiła, że musi napisać o wszystkim, co się tu wydarzyło, do ojca i Suzy. Musi się ich poradzić, co dalej czynić. Zrobi to zaraz po naradzie, jeszcze przed wysłaniem sprawozdania dla Ziemi.**

# O KROK OD KATASTROFY...

Skłębiony ocean ognia przybliżał się szybko. Do zagłady sondy pozostały jeszcze tylko cztery minuty. Już sięgały po nią wściekłe płomieniste macki rozpalonych gazów. Chwilami zdawało się, że któraś z nich dopadnie rakiety, spali swym ognistym tchnieniem, porwie w szalone skręty huraganu materii. Potem płomienie szybko ustępowały, cofając się bądź rozpraszając, ale z boku wyrastały nowe, wyższe, bardziej ruchliwe...

Korona Proximy była tak przezroczysta, że widziany z jej wnętrza obraz powierzchni gwiazdy nie ulegał jakimkolwiek zniekształceniom. Nawet chromosfera znikła w blaskach oślepiającej fotosfery.

Przypominające gigantyczne grzyby, to znów podobne do legendarnych smoków, olbrzymie wysoki unosiły się wysoko ponad czerwonym tłem oszałamiającego pożaru. Oprócz tych, które zdawały się pływać w rozrzedzonej atmosferze czerwonego karła, inne wybuchały gwałtownie, jak pobudzone do życia potwory.

Wysoki tryskały fontanną płomienia, przeradzając się w świecące, rozłożyste drzewa. Potem dźwigały w górę dziwaczne konstrukcje o spiętrzonych, spiralnych trzonach z dziesiątkami ruchliwych, rozczłonkowanych ramion, by wreszcie przekształcić się w rój czerwonych ptaków i rozwiać jak dym w powietrzu.

Obserwowano te wspaniałe zjawiska już od przeszło godziny. Powierzchnia Proximy dosłownie rosła teraz w oczach. Choć jasność obrazu była przyćmiona specjalnymi filtrami dla umożliwienia wizualnych obserwacji, jednak blask nieregularnych, dużych pól, zwanych pochodniami, zaczynał męczyć wzrok swą białością.

Po obu stronach równika układały się w nieregularną mozaikę zespoły plam. Oglądane z bliska zatraciły ciemną barwę, charakterystyczną podczas obserwacji dokonywanych z odległości milionów kilometrów, i wyróżniały się ciemną, wiśniową czerwienią, która kontrastowała z bardzo jasnymi obwódkami pochodni. Gdzieś strzelał ku górze biało świecący rozbłysk, a wielkie obłoki ognistych gazów kłębiły się i rozlewały na boki [\[20\]](#).

Ziarnista struktura powierzchni gwiazdy stawała się z każdą sekundą wyraźniejsza. Jasne granule, o rozmiarach dochodzących do tysiący kilometrów, odcinały się ostro od ciemniejszego tła.

–Już po niej... – wyszeptał Dean patrząc na chronometr wmontowany w płytę pulpitu kierowniczego, nad którym pochylała się wysoka postać Krawczyka. Do końca obserwacji brakowało półtorej minuty.

Przed chwilą rakietka badawcza powinna była wejść w fotosferę gwiazdy.

**A teraz na Sel docierały już tylko sygnały wysłane przez nią przed katastrofą.**

**Na środku ekranu rosła w tej chwili duża ciemna plama, otoczona nierównymi czerwonymi obwódkami skłębionej materii. Opóźnienie sygnałów sprawiało, że na ekranie sonda była jeszcze w koronie wewnętrznej i dopiero lada moment powinna rozpocząć się warstwa chromosfery.**

**Naraz przez ekran przebiegła jakby mgła, przerywana z rzadka jaśniejszymi błyskami. Ustąpiła na chwilę, potem znów się pojawiła, to gęstniejąc, to rzednąc, a nawet znikając raz po raz.**

**–Zaczyna się – mruknął Andrzej. – Pole magnetyczne? – zapytał Deana zajętego obserwacją wskaźników.**

**–Natężenie około 800 erstedów.**

**Na ekranie nie można było już niczego rozróżnić. Migotał on tylko różnobarwnymi błyskami, świadczącymi, że nadajnik telewizyjny rakiety jeszcze nie uległ zniszczeniu.**

**Odbiór meldunków innych przyrządów trwał nadal, gdyż ich nadajniki pracowały na wielu zakresach, i to przekazując tylko proste impulsy. Ale i tu z sekundy na sekundę powiększały się zakłócenia.**

**–2900 stopni!**

**W tej samej chwili przez ekran przebiegł jeszcze jeden jasny błysk i rozplynął się w jednostajnym, szarym tle. Rakieta-sonda przestała istnieć.**

**–No i już po wszystkim – rzekł z westchnieniem Andrzej. Podniósł się z fotela i podszedł do tablicy obsługiwanej przez Deana. Ekran pamięciowe przyrządów utrwaliły ostatnie dane nadesłane przez raketę-robotą.**

**–3400°C? – zdziwił się. – Czyżby sonda wysyłała jeszcze sygnały po wniknięciu w głąb fotosfery? Trzeba będzie przeanalizować taśmy.**

**Zanim jednak zdążyli włączyć aparaturę, rozległ się sygnał i na ścianie pracowni ujrzeli twarz Nyma.**

**–An, chodź natychmiast do centrali! Robot uszkodzony!**

**Zina wyjęła kryształ z fotolektora i podeszła do pulpitu nadawczego. Jak to się mogło stać, że popełniła tak fatalną pomyłkę? Skąd środkowy fragment listu do ojca znalazł się na końcu pierwszej części sprawozdania nadanego na Ziemię? Widocznie zapomniała wymazać poprzedni zapis...**

**Ale co teraz zrobić? Właściwie powinna zawiadomić Andrzeja. Nie ulegało jednak wątpliwości, że treść nieszczęsnego fragmentu była aż nazbyt jednoznaczna, aby wywołać skandal. Lojalność nakazywała powiedzieć przewodniczącemu, co się stało, ale czy nie przyniosłoby to więcej szkody niż korzyści? Jeśli ukryje swą pomyłkę, koledzy dowiedzą się o tymi najwcześniej za osiem z górą lat i sprawa będzie całkowicie przebrzmiała... A teraz tylko zaogni jeszcze bardziej konflikt.**

**Czy jednak wolno jej udać, że o niczym nie wie, i nadać drugą część sprawozdania nie prostując pomyłki? A może przeprowadzić z Krawczykiem rozmowę w cztery oczy, prosząc o dyskrecję, jeśli, rzecz jasna, on uzna to za stosowne? Ale czy uzna?**

**Gdyby chociaż był na Sel ojciec... Na pewno poradziłby, co robić. Rozmowa drogą radiową była ryzykowna. Czy mogła jednak czekać na powrót Argo, zwlekając z nadaniem drugiej części sprawozdania?**

**Po dłuższym wahaniu postanowiła w końcu nadać sprawozdanie, a sprostowanie zrehabilitować później w porozumieniu z Zoe i Allanem. Wsunęła do nadajnika kryształ i już miała przekazać rozkaz emisji, gdy ostry dźwięk sygnału ogłaszającego alarm pierwszego stopnia wypełnił wnętrze kabiny.**

**–Uwaga! Uwaga! – popłynął z głośnika głos automatu. – Wszyscy przebywający na Sel na stanowiskach poza statkiem-bazą powinni przerwać pracę i w ciągu piętnastu minut powrócić do Astrobolidu. Zinę Makarową wzywa się do centrali nawigacyjnej statku!**

**Niemal biegiem przebyła długi kryty chodnik, łączący statek-bazę z nowo wybudowaną centralą nawigacyjną.**

**Oprócz Nyma zastała tam już Andrzeja i Deana. Na ekranie pantoskopu rysowała się wyraźnie ciemna sylwetka rakiety badawczej, podobna do grotu starożytnej strzały.**

**–Co się stało?**

**–Robot I nie rozpoczął dotąd hamowania – wyjaśnił Nym. – "Nie reaguje zupełnie na sygnały.**

**–Jaka odległość dzieli go od Urpy?**

**–Półtora miliona kilometrów. Ale znów zaczął zwiększać prędkość.**

**–Jak to?**

**–Dziś rano wysłaliśmy dwie sondy w celu przeprowadzenia badań atmosfery Proxymy – tłumaczył Nym. – Pierwsza z nich. Robot I, okrążyła gwiazdę, przechodząc z prędkością ponad 400 km/s tuż przy fotosferze. Pobrawszy próbki miała ona**

wrócić do bazy. Druga sonda. Robot II, weszła przed chwilą w głąb fotosfery i ^  
przekazawszy nam drogą radiową zebrane dane, uległa zagładzie we wnętrzu  
Proximy. Otóż wygląda na to, że urządzenia kierownicze Robotu I uległy  
uszkodzeniu. Widocznie zbyt długo był w zasięgu wysokiej temperatury.

–I?

–Zamiast hamować, zwiększa jeszcze bardziej prędkość. Zgodnie z programem, po  
przejściu tuż obok Proximy, sonda zwróciła się wprost w kierunku Urpy, zwiększając  
prędkość do 1200 km/s. Wszystko odbyło się na pozór pomyślnie: Robot I,  
osiągnąwszy przewidzianą prędkość, wyłączył silnik. Po przebyciu większej części  
drogi powinien pół godziny temu obrócić się o 180° i rozpocząć hamowanie. Niestety,  
nie dokonał obrotu. A silnik rozpoczął pracę w przewidzianym terminie. Rozumiesz?  
Silnik rozpoczął pracę! Robot nie redukuje, lecz zwiększa prędkość!

–Trzeba wyłączyć antenę naprowadzającą!

–Już to zrobiliśmy, ale Robot I jest wyposażony w drugi automatyczny układ  
naprowadzania optycznego. Na wypadek zakłóceń radiowych. I tego właśnie układu  
nie potrafimy wyłączyć! Nie reaguje na żadne sygnały! Schemat aparatury masz tu,  
na ekranie transinfu! – Nym wskazał na blok zespołu komputerów.

Zina podeszła do ekranu.

–Jeśli nie uda ci się zmienić jego kierunku, to za pół godziny uderzy w powierzchnię  
Sel w pobliżu Astrobolidu – powiedział z nienaturalnym spokojem Krawczyk. – Statek  
stanowi znak orientacyjny dla układu naprowadzania. Przy prędkości 2400 km/s  
oznacza to prawdopodobnie całkowite zniszczenie bazy, nie mówiąc już o tym, że  
teren ulegnie skażeniu materiałem promieniotwórczym zniszczonego reaktora sondy.  
Jedynym wyjściem w tej sytuacji byłby odlot Astrobolidu i ukrycie się statku po  
drugiej stronie Sel. Start musi jednak nastąpić najpóźniej za dwadzieścia minut.  
Rozumiesz?

Zina nic nie odpowiedziała. Zmieniła kilkakrotnie schematy, prowadząc kodowy  
dialog z maszyną, wreszcie podeszła do pulpitu zdalnego sterowania i zaczęła  
manipulować przyciskami i pokrętkami.

Czas upływał. Minęło dziesięć minut, potem jeszcze trzy. Na czole Ziny pojawiły się  
krople potu, a ruchy palców były coraz bardziej nerwowe.

–Ile jeszcze minut? – zapytała cicho.

–Za siedem, najwyżej osiem musimy wystartować. Nym! Sprawdź, czy wszyscy są  
na statku! – rozkazał Krawczyk, zajęty ustalaniem programu lotu.

Na bocznym ekranie, obok stanowiska dowodzenia, pojawił się plan bazy. Rój punktów świetlnych skupiony był w niewielkim kole symbolizującym Astrobolid, dwa jednak widniały w prawym rogu ekranu, poruszając się wolno w kierunku statku. Nym dotknął palcami owych dwóch punktów i z głośnika popłynęły dwa słowa wypowiedziane przez automat:

–Allan... Wład...

Andrzej i Zina nie odrywali wzroku od ekranu.

–Nie zdążą... – jęknął astronom.

Nerwowy skurcz przebiegł przez twarz dziewczyny. Nagle zerwała się z taboretu i skoczyła ku drzwiom.

–Jest jeszcze jeden sposób! – zwołała i wybiegła na korytarz.

–Jaki? – Nym rzucił się za nią w pogoń. Dopadł ją już w windzie.

–Co chcesz zrobić?!

–Trzeba nadać spoza Sel sygnał prowadzący sondę!

–Łazik?

–Niestety, nie zdąży się zainstalować odpowiedniego nadajnika. Trzeba poświęcić Bolid. On może imitować sygnały stacji naprowadzającej.

–Ależ... zanim przygotujesz program...

Patrzył na dziewczynę z przerażeniem i podziwem. \ – - Wiem, co chcesz zrobić!

–To jedyny sposób! Odleczę promem tuż przed zderzeniem!

Nagłym ruchem chwycił ją za ramiona i całą siłą wypchnął przez rozwarte drzwi windy na korytarz. Zanim zdążyła pojąć, co się stało, zatrzasnął drzwi i ruszył w dół.

Gdy po dwóch minutach dotarła do platformy startowej, wstępu na nią broniło już pole siłowe, a świecący jaskrawo Bolid zaczynał wznosić się w górę, wkrótce nabierając gwałtownie prędkości, i pomknął w czeluść nieba.

–Nym! Co ty wyprawiasz?! Spiesz się! – ponaglenia Ziny stawały się coraz bardziej rozpaczliwe.

–Muszę mieć pewność, że się uda! – odpowiedział fizyk z determinacją.

**–Jeszcze tylko dwie i pół minuty!**

**–Wiem. Ale nie wolno mi popełnić błędu! Jest zresztą duża szansa uratowania Bolidu. Sonda jest bardzo precyzyjnie naprowadzana. Odchylenia maksymalne nie przekraczają 0,03 sekundy łuku. A reaguje z ośmiokrotnie większym opóźnieniem niż Bolid. Zdam się uskoczyć. Zaprogramowałem włączenie napędu na jedną tysięczną sekundy przed kolizją. Powinna nie trafić!**

**–Może się nie udać! – odezwał się Krawczyk. – Bolid ma mniejsze przyspieszenie. Musisz natychmiast opuścić statek. To rozkaz!**

**–Jeszcze tylko dwie minuty! Nie zdążysz uruchomić promu! – Zina była bliska płaczu.**

**–Katapultuję się w kapsule ratunkowej i dam maksymalne przyspieszenie!**

**–Spiesz się!**

**Nym spojrzał jeszcze raz na ekran. Niebieski punkcik oscylował nieznacznie wokół środka układu współrzędnych.**

**–Chyba się uda!**

**–Prędzej!**

**Nym przeniósł wzrok na grubą kolumnę w rogu kabiny.**

**–No, już! – ponaglił go Krawczyk.**

**Nym skoczył ku kolumnie i uderzył pięścią w jej powierzchnię. Kolumna rozwarła się błyskawicznie, odsłaniając wnętrze wypełnione przezroczystą, gąbczasto-galaretowatą masą. Wparł się plecami w tę masę, która wchłonęła go szybko i otoczyła szczelnie ciało, nie utrudniając jednak widzenia ani oddychania.**

**Pojemnik zamknął się samoczynnie i zapanowała ciemność. Prawie zupełnie nie odczuł chwilowego przyspieszenia. W ułamku sekundy mignęła mu przed oczami świecąca rubinowym blaskiem burta statku. Był już na zewnątrz, w otwartej przestrzeni kosmicznej.**

**Gdzieś pod nogami zapadała się szybko w otchłań błyskająca czerwono kula Bolidu.**

**Rozejrzał się po niebie. Ukośnie nad głową jaśniała Sel, niewiele większa od Księżyca widzianego z Ziemi. Przeciskając ręce przez gąbczastą masę, odnalazł dźwignie sterownicze. Włączył silnik kierując kapsułę w stronę Sel. W chwilę później usłyszał przytłumiony głos Ziny.**

**–Halo! Nym! Czy nas słyszysz?!**

**–Słyszę! A wy?! Bo ja mam wrażenie, jakbym mówił przez watę czy gąbkę!**

**–Słyszemy cię dobrze. Czy możesz jeszcze zwiększyć prędkość?**

**–Nie! A ile jeszcze czasu zostało?**

**–Dwadzieścia sekund -• usłyszał głos Andrzeja.**

**Nym spojrział w kierunku Bolidu. Widać było wyraźnie jego rubinową tarczę. Oznaczało to, że odległość nie jest jeszcze bynajmniej bezpieczna. Gdyby posłuchał Ziny, mógłby już znaleźć się co najmniej 100 km od miejsca katastrofy. Ale dlaczego zwlekał? Czy rzeczywiście chodziło mu tylko o sprawdzenie prawidłowości obliczeń? A może było w tym coś z nedorzecznego przekory, z chęci zaimponowania tej hardej i upartej dziewczynie wiedzą, odwagą, szybkością działania? Nie ulegało wątpliwości, że odczuł przyjemność, gdy tak żywiołowo wyrażała niepokój o niego. Ta myśl przytłumiła na chwilę wzbierającą w nim obawę przed groźącym realnie niebezpieczeństwem, lecz wróciła ona, przywołana głosem Andrzeja, który zaczął liczyć ostatnie sekundy.**

**–Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...**

**Nym wstrzymał oddech. Bolid powinien teraz zmienić barwę na jaskrawo-błękitną, bądź też... przeobrazić się w ognistą kulę eksplodującej plazmy.**

**Ale nie stało się nic. Sekundy płynęły, a rubinowa tarcza Bolidu błyskała rytmicznie, mknąc nadal w przestrzeń bezsilnikowym, inercyjnym lotem.**

**–Ań! Co się stało?**

**Odpowiedzi nie było. Nymowi przyszło do głowy w tym momencie straszliwe przypuszczenie, że już po opuszczeniu przez niego kabiny nawigacyjnej Bolidu sonda zmieniła kierunek i uderzyła w bazę na Sel. Może w czasie katapultowania uległa uszkodzeniu antena układu naprowadzania?**

**–Halo! Halo! Ań! Zi! Odezwiście się! – zawołał rozpaczliwie. Był już pewny, że stało się coś okropnego.**

**–Halo! Nym! – rozległ się nagle głos Ziny. – Czy mnie słyszysz?! Dziewczyna była czymś najwyraźniej zaskoczona.**

**–Żyjecie! A myślałem już... – odetchnął Nym.**

**–Czy wiesz, co się stało?! Sonda zmieniła kierunek! Nie Bolid uskoczył, lecz ona**

zmieniła tor!... Przeszła w odległości blisko 300 kilometrów od Bolidu! I nadal zmienia kierunek...

–A fala prowadząca z Bolidu?

–Jest nadal emitowana, ale to już na sondę nie działa. Ań i Jaro przeprowadzają teraz obliczenia, czy starczy jej masy roboczej dla dokonania nawrotu po okręgu i ponownego zaatakowania bazy. Musisz natychmiast wrócić na Bolid i ruszyć za nią w pogoń. Mamy teraz dość czasu na dopędzenie jej i przechwycenie lub zniszczenie. O! Już Aa wraca! Nym! Chcesz z nim rozmawiać?

–Tak. Jak wypadły obliczenia?

–Za niecałą godzinę silnik przestanie działać! – usłyszał głos Andrzeja. – Mam też dla was obojga nie lada sensację...

–Sensację?!

–Torus Karlsona przepadł!

–Jak to przepadł? – głos Ziny nabrał agresywnego brzmienia.

–Otóż wówczas, gdy myśmy tu wojowali z Robotem I, AI namówił Włada na przeprowadzenie jakichś dodatkowych eksperymentów z pierścieniem. Poszli więc do kabiny zdalnego sterowania i ujrzeni tam holowizyjny obraz... pustego, stołu laboratoryjnego. Sprawdzili więc zapisy i okazało się, że zniknięcie pierścienia poprzedzone było zjawiskiem podobnym do tego, jakie na własne oczy widzieliście wy troje. Wład nie dowierzał jednak holo-wizji i pojechali Skarabeuszem do laboratorium.

–Dlatego nie zdążyli wrócić na czas?

–Byli tak wstrząśnięci odkryciem, że trochę się nie dziwię, iż nie zrozumieli wezwania. Pierścień rzeczywiście zniknął...

–Zniknął? – powtórzył Nym z niedowierzaniem. – Przecież nawet jeśli rzeczywiście przeszedł w stan gazowy, nie mógłby wydostać się z hermetycznie zamkniętej komory.

–Laboratorium zostało rozhermetyzowane. Wład i AI znaleźli otwór w ścianie. Wygląda przy tym tak, jakby siła działała nie z zewnątrz laboratorium, lecz od wewnątrz.

Zapanowało milczenie.

**–Wręcz nieprawdopodobne – wyszeptał Nym. – Gdybyś tego nie powiedział ty, An...**

**–A więc wierzcie teraz... – rozpoczęła Zina, lecz okrzyk Andrzeja nie pozwolił jej dokończyć.**

**–Patrz!!! Ekran!!!**

**–Czyżby silnik?! – zawołała Zina zdziwiona.**

**–Tak... Przestał pracować...**

**–Ale przecież to niemożliwe! Jak może nadal zmieniać kierunek?**

**–Rzeczywiście... To niemożliwe...**

**–Co się tam dzieje? – zaniepokoił się Nym.**

**–Wygląda tak, jakby sonda zmieniała kierunek lotu, chociaż zanikła emisja elektromagnetyczna towarzysząca pracy silnika.**

**–Patrz, Ań! Teraz jakby przestała zmieniać tor! Ale znów silnik działa!**

**–Leci niemal po prostej! O, tam... W kierunku Tolimana! Nym spojrział za siebie, gdzie w konstelacji Herkulesa świeciły jasnym blaskiem dwa słońca Alfa Centauri...**

# Część III

## Temidzi

### ZZIELENIAŁE POROSTY

Statek wchodził w gęste warstwy atmosfery, gwałtownie wytracając prędkość. Wielką Kotlinę Południową jeszcze okrywał cień, lecz nad widnokretem pojawiły się pierwsze purpurowe smugi zwiastujące wschód Proximy. Warstwa obłoków w tym rejonie miała ograniczony zasięg i po kilku minutach na dnie mrocznego oceanu powietrza błysnęły światła Jedyńki, położonej na skraju największej spośród trzech południowych oaz ciepła. Wkrótce Mary i Szu mogli rozróżnić cztery elipsoidalne pawilony oraz podobny do wieży budynek mieszkalny. Wraz z zespołem wytwórczym i lądowiskiem tworzyły zwarty kompleks bazy, oddalony zaledwie pięćset metrów od zarośli puszczy. Otwarta już kopuła kryjąca lądowisko przypominała z daleka kielich tulipana o rozchylonych płatkach. Statek zawisł nad nią na chwilę, oczekując sygnału przyjęcia. Potem wolno opadł i zniknął we wnętrzu kielicha.

Kopuła zwarła się nad pojazdem. Jej wnętrze wypełniła teraz żółtawa, niezbyt gęsta mgła. Brzęczek oznajmił wyrównanie ciśnienia i składu atmosfery.

–Możecie wysiadać – usłyszeli głos Allana. – Oddychajcie głęboko:

aerozol zawiera szczepionki niezbędne dla adaptacji ludzkiego ustroju do tutejszych mikroorganizmów.

Allan czekał w korytarzu wiodącym z lądowiska do pokoi mieszkalnych. Gdy weszli, podbiegł do matki i obejmując ją, powiedział serdecznie:

–Jak to dobrze, że jesteś. Bardzo mi ciebie brakowało. Spojrzała mu w oczy z uwagą.

–Masz jakieś kłopoty?

Nie odpowiedział. Podeszedł do Szu i uściskawszy mu dłoń, zapytał bez wstępów:

–Będziesz badał te kopce?

–Oczywiście. Po to przyleciałem.

–Jesteś po naszej stronie?

Szu uśmiechnął się.

**–Jestem po stronie prawdy.**

**–Ale czytałeś moje sprawozdanie – podjął Allan z uporem – i chyba zgadzasz się z wnioskami.**

**–Bardzo dobre sprawozdanie – powiedział Szu spokojnie i znów się uśmiechnął. – Między innymi dlatego tu jestem.**

**–Słowem, uznajesz, że na Temie obowiązuje nas instrukcja numer trzy.**

**–Mam nadzieję, że łatwo da się to wyjaśnić. Allan popatrzył na Szu z tłumionym gniewem.**

**–Nie rozumiem cię... Tu niewątpliwie chodzi o twory sztuczne.**

**–Pozwól, że uznam twoje określenie za nieprecyzyjne i mylące. Kopiec termitów, gniazdo os, tama bobrów – to twory sztuczne czy naturalne?**

**–Więc twierdzisz, jak Renę, że mogą to być konstrukcje społeczności zwierzęcych?**

**Szu zaprzeczył lekkim ruchem głowy.**

**–Dałem tylko przykłady, jak niejednoznaczne-jest określenie „sztuczne twory”.**

**–Ależ nie chodzi o terminologię! Szu nie dał za wygraną.**

**–Większość sporów dotyczących przepisów i praw ma źródło w nieporozumieniach terminologicznych.**

**–Al, zaprowadź nas do naszych kwater – zniecierpliwiła się Mary. – Jeszcze zdążycie podyskutować do woli.**

**–Przepraszam cię, mamó – zmytygował się Allan. – A ty chciej tylko mnie zrozumieć – zwrócił się do Szu. – Trzeba uczciwie i stanowczo rozstrzygnąć, czy na Temie wolno nam postępować zgodnie z instrukcją drugą, czy też obowiązuje instrukcja trzecia, dotycząca planet o śladach działań istot rozumnych. Porozmawiamy przy kolacji.**

**Allan odprowadził Mary i Szu do ich pokoi. Wracając włączył po drodze automat kuchenny i wstąpił do laboratorium, by sprawdzić przebieg eksperymentu. Potwierdziło się w całej rozciągłości, że chorobliwe pojaśnienie niebieskich porostów w okolicach bazy, aż do ich późniejszego zzielenienia, jest zjawiskiem bardziej złożonym i znacznie trudniejszym do wytłumaczenia, niż sugerował Renę. Nie było to bowiem zainfekowanie flory temiańskiej przez drobnoustroje przywleczone z Ziemi, lecz niespodziewana mutacja jednego z miejscowych bakteriofagów. Populacja**

**mutantów – teraz już stanowiących całkiem nowy gatunek – rozprzestrzeniała się w zastraszającym tempie.**

**Botanik włączył monitor mikroskopu. W polu widzenia poruszały się wolno w kropli wody pękate, podobne do beczulek bakterie Rodes decretorius z grupy beztlenowców, z którymi załoga Iłkara przezornie zaznajomiła się przed wylądowaniem na Temie. Zabójcze ich działanie wobec ssaków stwierdzono badając laboratoryjne próbki pobrane przez automaty zwiadowcze. Skutki można było przyrównać do tężca, choć były znacznie ostrzejsze, bo wydzielane toksyny paraliżowały system nerwowy w parę godzin po wtargnięciu mikrobow do organizmu. Toteż natychmiast wyprodukowano Syntetyczne przeciwciała i przez wprowadzenie ich do krwi zabezpieczono ludzi oraz psy.**

**Bakterie te okazały się typowe nie tylko dla gleby i korzeni pewnych roślin, jak początkowo sądzono, ale dla wszelkich zespołów florystycznych. Miejscowe rośliny nie mogły obyć się bez tych drobnoustrojów, uzależnione od nich w całokształcie swojej przemiany materii. Pech sprawił, że właśnie one zostały frontalnie zaatakowane przez zmutowanego temiańskiego bakteriofaga, którego Allan skatalogował jako TY-112.**

**Botanik sięgnął do przycisku. Środek ekranu wypełniała żółtawa plama, szybko ogarniająca coraz dalsze skupiska bakterii. Kiedy przeszedł na „ultra”, zobaczył najpierw pojedynczą „beczułkę”, a potem tylko fragment komórki zainfekowanej przez bakteriofaga. W jej wnętrzu ukazały się przezroczyste kulki, widoczne po odpowiednim podbarwieniu preparatu. Wraz z tą inwazją kolejno zanikały poszczególne funkcje życiowe bakterii.**

**Gdyby chodziło o ratowanie jakichś ziemskich drobnoustrojów, skuteczna kontrakcja bioinżynieryjna nie nastroczałaby trudności. Technika kreacji genów już od kilku wieków była powszechnie stosowana w medycynie, ekologii i produkcji naturalnej żywności. Metody te nie dawały się jednak przekopiować na struktury genetyczne, ukształtowane w toku paru miliardów lat rozwoju temiańskiej biosfery. Poszukiwanie klucza do zrozumienia ogólnych mechanizmów tych struktur na razie nie dawało wyników. W tej sytuacji, nawet z pomocą multieksploratorów programujących i przeprowadzających tysiące doświadczeń jednocześnie, wysiłki zaradzenia niebezpieczeństwu opierały się na równie prymitywnej, jak czasochłonnej metodzie prób i błędów.**

**Młody biolog uświadamiał sobie, że jego starania są na razie bezowocne. Pochłonięty tą pracą zapomniał o powinnościach gospodarza i dopiero natarczywy sygnał interkomu zmusił go do zostawienia badań komputerom.**

**–Czekamy na ciebie z kolacją – usłyszał głos matki. – Chyba znajdziesz dla nas trochę czasu?**

**–Przepraszam. Zaraz będę. Czy Renę wrócił?**

**–Godzinę temu. Ma ciekawe zdjęcia.**

**–Już idę!**

**Mary i Szu z zainteresowaniem oglądali w jadalni hologramy przywiezione przez zoologa z całodziennego wypadu do puszczy.**

**–Jak tam twoje porosty? Czy wiesz, dlaczego zielenieją w naszej obecności? – Renę powitał Allana żartem. – To z gniewu, że...**

**Urwał pod zgorzonym wzrokiem młodego botanika.**

**–Co się stało, u licha?**

**–TY-112 – odparł Allan ponuro, lecz w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że musi sprecyzować, o co chodzi. – No tak... – zmieształ się. – Przecież ja go tak nazwałem.**

**–Wnioskuje tylko, że chodzi o jakiegoś temiańskiego bakteriofaga – zauważył Renę, gdyż wynikało to z konwencji sposobu oznaczania miejscowych wirusów, w odróżnieniu od ziemskich.**

**–To zmutowany TE-112 – wyjaśnił – którego zdjęcia oglądaliśmy razem. Ten najmłodszy wytwór planety masowo infekuje i niszczy „beczułki”, grożąc doszczętnym ich wygubieniem.**

**Renę gwizdnął przeciągle.**

**–Więc nie miałem racji. Nie zakazaliśmy flory temiańskiej naszymi bakteriami.**

**–Mimo to trzeba zwęzić obszar badań, a może nawet przenieść się na łkara – stanowczo stwierdził Allan.**

**–Nie rozumiem dlaczego – wtrącił Szu, który z przejęciem przysłuchiwał się rozmowie biologów. – Skoro my nie zawiniliśmy...**

**–Wyjaśnię ci – odparł Allan spokojnie. – Zawiniliśmy, nie zawiniliśmy... To nie tak. Czy wiesz, dlaczego aż tak łatwo udało się uodpornić nas przeciwko „beczułkom”? Bo są produktem obcego świata; obcego życia. A właśnie, wbrew pozorom, odpowiednio zjadliwy rodzimy zarazek jest o wiele groźniejszy niż pochodzący z innej planety. Każda biosfera stanowi bowiem układ zamknięty, w którym wszystkie jednostki, od mikrostruktur typu wirusów, jeszcze nie będących organizmami, aż do osobników wielkości słonia czy dębu, są z sobą faktycznie spokrewnione. Pokrewieństwo to sięga poziomu molekularnego, od którego się zresztą wywodzi:**

**budowy białek. Przy korzystnych bądź zgubnych wzajemnych relacjach, w pewnych okolicznościach dwa lub więcej różnych mikroelementów pasuje do siebie jak klucz do zamka. Dotyczy to w równym stopniu, na przykład, przenikania witamin albo trucizn. Co gorsza, nie poznamy z dnia na dzień całokształtu mechanizmów tutejszej biologii. Na Ziemi mocujemy się z tym problemem pięćset lat, a każde odkrycie odsłania nowe pole naszej niewiedzy.**

**Renę, zawsze pogodny i skory do żartów, teraz zamyślił się głęboko.**

**–Wleźliśmy w przyrodę Temy z kopytami – powiedział wolno, skandując każde słowo. – Tego się nie odrobi.**

**–Ależ ten bakteriofag jest miejscowego pochodzenia – zareplikował Szu. – Więc to nie my...**

**–A jednak my – odparł zoolog ze smutkiem. – Gdyby takie klęski zdarzały się samorzutnie w wolnej przyrodzie, żadna biosfera nie mogłaby przetrwać. W każdym razie wirus TY-112 zawdzięcza swe powstanie jakiemuś czynnikowi związanemu z wtargnięciem tu nas samych albo naszej techniki. Czy już wiesz coś bliższego na ten temat? – zwrócił się do Allana.**

**Botanik rozłożył ręce.**

**–Sugestie komputerowe nie dają jednoznacznej odpowiedzi. To utrudnia poszukiwanie antidotum. Przeprowadziłem niemal osiemdziesiąt tysięcy prób, lecz na razie bez skutku. Wprawdzie niektóre uzyskane preparaty niszczą TY-112, lecz są tak samo zgubne dla „beczułek”. A bez nich wyginęłaby tutejsza flora, tracąc niezbędną mrozoodporność. To są dość skomplikowane zależności.**

**–Może jednak sama przyroda upora się z zarazą... – niepewnie wtrąciła Mary. – Samoorganizacyjne zdolności biomaterii są przecież ogromne.**

**–Dopóki nie dostanie ona pchnięcia nożem w plecy – ponuro uzupełnił Allan. – Bezpośrednie i wtórne rujnacje biotopów na wielkich połaciach Ziemi, wywołane w ubiegłych stuleciach niefrasobliwą gospodarką, dowodzą tego aż nadto dobitnie.**

**Zaległo ciężkie milczenie.**

**–Czy w okolicach Dwójki też nastąpiły zmiany? – podjęła Mary.**

**–Chyba nie. Do tej pory ojciec i Wład nie wspomnieli o tym.**

**–Może tak głęboko tkwią nosami w swoich termopiaskach, że nie dostrzegają takich drobiazgów – zareplikował Renę trochę sarkastycznie. – Trzeba przekazać im szczegółową instrukcję. Jeśli nadal chcą tam pracować, na razie nie powinni**

przylatywać do nas. Nie wolno rozwlec wirusa na inne oazy. I tak obawiam się, że huragany zrobią to za nas.

–W tej sytuacji poddaję się – oświadczył Szu ze smutkiem. – Moje badania kopców muszą być zawieszona.

–Niezupełnie – pocieszył go Renę. – Możesz wrócić na Łkara, by stamtąd prześwietlać i kopać zdalnie, za pomocą Łazików.

–Ingrid i Zoe też powinny zostać na Łkarze – wtrąciła Mary. – Zo; będzie zrozpaczona.

–W Jedyńce mogą lądować – pospiesznie zaproponował Allan. – Nie ma to większego znaczenia, byle nie opuszczały terenu bazy. Mary popatrzyła na syna przenikliwie.

–W takim razie Zoe nie będzie mogła zobaczyć się z Władem. Chyba że zrezygnuje on z dalszych badań w Dwójce.

–Zoe chciała od dawna ujrzeć Temę – Renę szybko odwrócił bieg rozmowy. – I nie widzę przeszkód, abyś z nią pospacerował po lesie. Sam zresztą pragnę pokazać jej oraz Ingrid różne ciekawe rośliny i zwierzęta w warunkach naturalnych.

–Pokazać? – zapytał Szu ze zdziwieniem.

–Jaki jest jej stan w tej chwili? – cicho spytał Allan. – Powiedz prawdę! – zwrócił się do matki. Popatrzyła mu w oczy.

–Podróż z Sel na Łkara zniosła znakomicie. Samopoczucie ma dobre. Liczę, że wkrótce ty i Renę sami się o tym przekonacie. Młody, silny organizm. Regeneracja stopy już dobiega końca. Zoe porusza się jeszcze na wózku, ale to głównie z uwagi na stymulatory regeneracyjne. Will jest zdania, że za miesiąc będzie można rozpocząć naukę chodzenia.

–A wzrok?

–To trudniejsza sprawa. Ingrid sądzi, że decyzja podjęta przez Korę, Willa i Zoję jest chyba jedynym słusznym rozwiązaniem. Postanowili oni, że nie przeprowadzą żadnych operacyjnych zabiegów przynajmniej w najbliższych ośmiu latach.

–Ale dlaczego?

–Nie jestem fizjologiem i nie potrafię przekazać fachowo tego, co mówiono. W najogólniejszym zarysie chodzi o to, że utrata zdolności widzenia nie została spowodowana degeneracją siatkówki wskutek długotrwałej bliskości

**promieniotwórczego pierścienia, lecz nieodwracalnymi zmianami w korze mózgowej, właśnie w ośrodkach wzrokowych. Nastąpiło to w czasie przeciągającego się stanu śmierci klinicznej. Wątpliwe, czy w parę godzin później udałoby się ją uratować.**

**Otóż przeprowadzenie zabiegów regeneracyjnych jest możliwe – ciągnęła Mary – i szansę powrotu pełnej zdolności widzenia wysokie, ale pod warunkiem, że prób pobudzenia uszkodzonych ośrodków nie będzie się podejmować prostymi bodźcami elektrycznymi lub elektromagnetycznymi. Doraźna korzyść takich działań przyniosłaby niepowetowane szkody. Wprowadzenie do mózgu elektrod bądź podskórne umieszczanie emitorów e-g może sprawić, że Zoe będzie odbierać pewne wrażenia wzrokowe, rejestrować błyski i świetlne plamy, a nawet nauczy się rozpoznawać zarysy przedmiotów w polu widzenia kamery przesyłającej sygnały do mózgu. Ale cóż z tego? Taka adaptacja zmieniłaby aż tak strukturę ośrodków wzrokowych, że późniejsze dokonanie pełnej regeneracji oraz' powrót do normalnego widzenia stałyby pod znakiem zapytania.**

**–Czy nie można już teraz przeprowadzić zabiegów regeneracyjnych? Przecież Kora...**

**–Nie mamy programów budowy niezbędnej aparatury. Niedopatrzenie, przeoczenie, a może po prostu w czasie przygotowań do wyprawy uznano taki właśnie wypadek za mało prawdopodobny, urządzenie zaś – zbyt wąsko specjalistyczne. Zina wysłała już na Ziemię komplet danych diagnostycznych z prośbą o jak najspieszsze wysłanie programów. Nie nadejdą one jednak przed upływem ośmiu i pół roku.**

**Allan patrzył na matkę z rozpaczą.**

**–To okropne! Więc Zoe nie zobaczy ani Temy, ani planet Tolimana. A tak chciała...**

**Renę, siedzący cały czas z pochyloną głową, uniósł ją teraz i przesłał Allanowi spojrzenie pełne serdeczności. A Mary dopowiedziała:**

**–Niestety, musimy czekać. Przecież nie zrobimy z Zoe królika doświadczalnego.**

**–Rozmawiałem wczoraj z Ingrid, a potem z Zoe – powiedział zoolog, usiłując zachować swój zwykły, trochę kpiarski ton. – Muszę przyznać, że mi zaimponowały. Oczywiście, obie nadrabiały miną, aby mnie, rozhisteryzowaną babę, cokolwiek uspokoić. Niemniej to, czym się teraz zajmują, świadczy, że nie tragizują sytuacji. Ingrid przygotowuje się rzetelnie do prac plane-tograficznych na Temie, a w wolnych chwilach studiuje psychologię. Zoe szeroko mi opowiadała, jak uczy się widzenia palcami. Na dowód, że już rozpoznaje wiele szczegółów, rozprawiła rzeczowo o zdjęciach, które przesłaliśmy z Temy na Sel.**

**–Czy to możliwe? – Allan spojrział z niedowierzaniem na Renego.**

**–Zależy, co rozumiemy przez widzenie. Jeśli je traktować jako rozpoznawanie układu elementów na podstawie lokalizacji przestrzennej, to również palcami można widzieć. Jeśli zaś to rozpoznawanie ma tworzyć w świadomości obraz całościowy – to nie wiem, czy nawet najdoskonalszy aparat udostępniający dotykowe, skórne rozpoznawanie obrazów, może stanowić protezę wzroku. Jaro zbudował urządzenie, którym Zoe jest zachwycona. Składa się nań niewielka kamera w opasce nad czołem i kwadratowa płytką na piersiach. Obraz uchwycony przez kamerę zostaje przekształcony elektromechanicznie na coś w rodzaju płaskorzeźby utworzonej z maleńkich igiełek. Temperatura tych igiełek odpowiada umownej skali barw w rzeczywistym obrazie. To wszystko. A właściwie dopiero pierwszy, techniczny próg, jaki Zoe przekroczyła. To, co można dzięki temu aparatowi zobaczyć, zależy od wytrwałości, wrażliwości dotykowej i wyobraźni. Zoe wierzy, że on pozwoli jej widzieć. Czy to będzie możliwe, doprawdy nie wiem. – Oby tak się stało – westchnął Allan.**

# PUSZCZA

Dach pawilonu tworzył dość obszerny płaski taras. Siedzącą w ruchomym fotelu Zoe otoczyli półkolem Renę, Ingrid i Mary. Niewidoma szybko przebiegła palcami po płycie dermowizora.

–Puszcza... Wszystko to takie dziwne. Jakby dach, z którego gdzieniegdzie wystrzela drzewo w pogoni za światłem. Wielka szkoda, że nie mogę dostrzec poszczególnych pni na tej ścianie lasu.

–Ależ ty świetnie rozpoznajesz otoczenie! – zawołał Renę, wzruszony postępami córki w posługiwaniu się aparatem. – Tu z tarasu ja również bez pomocy lornetki nie rozróżnię pni. To dlatego, że większość drzew rozszczenia się krzewiaste poniżej gruntu.

Nie chcąc zniechęcać córki. Renę nie wspomniał, że na przedpolu lasu kilka ni to drzew, ni to krzewów, kształtem przypominających cisy, ale wzrostu dorodnych dębów, przysiadło pośród stalowoniebieskiego mchu jak ogromne, zbite sterty fioletu.

–Jak daleko do tego lasu? – spytała Zoe. – Ja sobie wyobrażam, że jakieś dwieście metrów.

–Trochę więcej – odparł Renę.

–Cóż to za olbrzymia postrzępiona góra wznosi się przed nami? Zoolog spojrzał na niebo.

–Chmura – wyjaśnił.

Zoe lekkim ruchem gałki odwróciła się wraz z fotelem w przeciwnym kierunku. Proxima opadała już ku zachodowi, a choć daleko jej było do skrajnej wielkości możliwej na niebie Temy, lśniła czerwonawą tarczą kilkadziesiąt razy większą niż Słońce oglądane z Ziemi.

Twarz dziewczyny wyrażała skupienie. Palce jej z gorączkowym pośpiechem przebiegały ekran plastyczny, a wyobraźnia chłoneła odbierane wrażenia.

–Teraz w ogóle nie widzę puszczy – poskarżyła się. – A przecież tam ją widziałam.

–Wszystko w porządku – Renę uspokajał córkę. – Przed tobą nie ma ani jednego drzewa, więc jakże mogłabyś dostrzec cały las? Robisz duże postępy. Spójrz teraz daleko, tam gdzie widnokrąg dotyka nieba. '

**–Widzę łańcuch górski. A chmur nie ma, prawda?**

**–Znakomicie! Z tej strony wznoszą się o kilkadziesiąt kilometrów garby olbrzymich lodowców Południowej Czapy Biegunowej.**

**–A co jest tam, u stóp bazy? – pytała Zoe. – Czy to już pustynia? Wydaje mi się jakaś inna niż tam w głębi.**

**–Tak. W dali jest istotnie pustynia. Taka rdzawa, trochę żelazista, jak znaczne -  
połacie Marsa. A bliżej przed nami ciągnie się pas niziutkich niebies-kawoliliowych  
porostów.**

**Na wspomnienie barwy Zoe pobladła. Stały jej żywo w pamięci kolory przyrody,  
tak ważne w odczuwaniu piękna świata przez człowieka. Uświadomiła sobie mocniej  
niż dotychczas, że umowna skala barw, określana temperaturą igiełek na jej płytce,  
stanowiła tylko bladą namiastkę prawdziwych kolorów.**

**–Co ci jest? – spytała milcząca dotąd Ingrid, zatroskana nagłą zmianą w wyglądzie  
córkki. – Może niewygodnie ci z oksyhemem? Jeśli się zsunął, to go poprawię.**

**–Nie. Nie...**

**Atmosfera Temy, złożona głównie z dwutlenku węgla i mniejszych ilości azotu,  
zawierała niewiele wolnego tlenu. Tylko miejscowe zwierzęta mogły oddychać nią w  
sposób naturalny; ludziom i psom niezbędne były sztuczne udogodnienia. Wobec  
braku trujących gazów w atmosferze, wystarczyło automatycznie wyrównywać  
niedobór tlenu, wprowadzając go wprost do układu krążenia. Umożliwiało to  
poruszanie się bez skafandra lub maski tlenowej, męczących na dłuższą metę.**

**Drzemiący pod fotelem Zoe kudłaty piesek obudził się i zaczął popiskiwać.**

**–O co ci chodzi, Ro? – zainteresowała się niewidoma. W drzwiach windy pojawił się  
Allan.**

**–Jakie nowiny z frontu badawczego? – powitał go pytaniem Renę.**

**–Mieliśmy dziś dobry dzień. Autokamery zebrały bogaty materiał. Są prześwietlenia  
kilku nowych okazów – relacjonował Allan. – Zwłaszcza jeden uznasz chyba za  
bardzo cenny w twoich badaniach. Czworonóg. Odpowiada szczeblowi rozwojowemu  
naszych gadów, lecz ma znacznie bardziej rozbudowany mózg i większą sprawność  
ruchową. Chociaż pod względem umiejscowienia układu mózgowo-rdzeniowego  
przypomina diplodoki.**

**–Nie rozumiem – wtrąciła Zoe. – To znaczy?**

**–No cóż... Coraz więcej danych wskazuje, że kręgowce temiańskie nie mają mózgu w głowie! – wyjaśnił córce zoolog.**

**–Czemu żartujesz ze mnie? – oburzyła się Zoe.**

**–Nie żartuję. Łatwo sobie wyobrazić nawet u istot rozumnych mózg ułożony w dowolnej części ciała. Byle był należycie chroniony przed mechanicznym uszkodzeniem z zewnątrz.**

**–Dziwne rzeczy mówisz...**

**–Musimy wyzbyć się nawyku ucłowieczania myślących mieszkańców innych globów. Choć podstawowe atrybuty życia są podobne w całym wszechświecie, jak w ogóle wszystkie podstawowe właściwości przyrody – istnieje nieskończona mnogość dróg i ścieżek rozwoju. Na przykład istota rozumna to taka, która jest zaopatrzona w bardzo precyzyjny narząd zapamiętywania i modelowego przetwarzania informacji, czyli, jak my mówimy, myślenia. Lecz narząd ten nie musi mieścić się w głowie ani wyglądem przypominać mózgu ludzkiego.**

**–Nie powiedziałaś jednak, gdzie to prześwietlone zwierzę ma mózg – zwróciła się Zoe do Allana.**

**–W kręgosłupie. Ściślej mówiąc, rdzeń kręgowy rozszerza się lejowato i przechodzi w mózg umieszczony w puszcze kostnej. Czaszka zaś, to właściwie oczoczaszka, bo głównym jej elementem jest para dużych, bardzo ruchliwych oczu. Powyżej wklęsły, chyba dobrze rozwinięty narząd słuchu. Paszcza zajmuje dolną partię głowy. Przynajmniej to możemy uważać za normalne – uśmiechnął się Allan.**

**–Jak duże jest to zwierzę?**

**–Z sylwetki i rozmiarów podobne do foki. To groźny drapieżnik.**

**–No to my pójdziemy obejrzeć te prześwietlenia, a wy sobie pogadajcie – zaproponował Renę, biorąc pod ramię Mary i Ingrid. Młodzi pozostali sami.**

**–Jakie tu, na Temie, wszystko ciekawe... – podjęła Zoe. – Czy wiecie już coś o przebiegu ewolucji w tym świecie? Więcej jest podobieństw czy różnic?**

**–Myślisz o podobieństwach i różnicach w rozwoju życia na Ziemi oraz na Temie?**

**–Tak.**

**Allan zastanawiał się przez chwilę.**

**–Jak wiesz, temiańskie życie jest o tyle zbliżone do ziemskiego, że tak samo opiera**

się na białku zanurzone w wodzie jako płynie ustrojowym. Niezależnie od tej wspólnej podstawy, zbieżności idą dalej, niż mogliśmy się spodziewać. Już pierwociny życia na obu planetach musiały być bardzo podobne. Sądzimy, że również tutaj powstało ono w wodzie, od stadium koacerwatów i potem bardziej złożonych form, wciąż jeszcze bezstrukturalnych, awansując po kilkuset milionach lat do tak niezwykle skomplikowanej organizacji, jaką stała się pierwsza komórka. Spośród dwudziestu rodzajów aminokwasów wchodzących w skład naszych białek, temiańskie zwierzęta i rośliny wykorzystują w swych strukturach białkowych aż trzynaście.

–Ale chyba są i duże różnice? Na przykład w oddychaniu.

–To z konieczności. Przy stężeniu tlenu w atmosferze mniejszym niż na szczycie Everestu, płuca, jakie znamy, nie mogłyby wystarczyć. Albo musiałyby być tak wielkie, że nie miałyby gdzie się pomieścić, albo przemiana materii przebiegałaby w tempie ogromnie zwolnionym. System oddechowy poszedł tu więc w innym kierunku, intensywnie wchłaniając tlen całą powierzchnią ciała.

–Wiem. Skórne oddychanie. Ojciec mówił, że na Ziemi jest grupa salamander bezpłucnych, którym ono wystarczy.

–Tamte płazy żyją w środowisku wilgotnym i dobrze natlenionym. Nie. To nie to. Wyższe zwierzęta temiańskie, które przez analogię nazwaliśmy kręgowcami, mają skomplikowany labirynt filtrujących narządów oddechowych umieszczonych tuż pod skórą. Na Ziemi nie powstało nic takiego, bo nie było potrzebne.

–A rośliny? Bardzo różnią się od ziemskich? Allan ożywił się.

–Zagadki temiańskiej Hory są wyjątkowo zagmatwane.

–Dlaczego? – spytała Zoe prostodusznie.

–Z wielu względów – zapalał się Allan. – Przede wszystkim barwa...

–Jak to? – przerwała dziewczyna. – Czyżby wszędzie rośliny musiały być akurat zielone, bo takie są na Ziemi? Allan przecząco potrząsnął głową.

–Nie dlatego. Ale jednak tutaj powinny być zielone.

–Wpadła mi w ręce, krótko przed moim wypadkiem, zajmująca broszura o dziejach ziemskiej roślinności. W końcowym rozdziale autor spekuluje, jak może wyglądać flora innych planet, zależnie od klimatu. Jeśli dobrze zapamiętałam, rośliny przystosowują się optycznie do temperatury w danym bio-topie i rozkładu energii w widmie macierzystego słońca.

**–Masz słuszość. Z tego punktu widzenia, w surowym klimacie Temy, zwłaszcza przy cyklicznych nawrotach srogich mrozów, zbyt częstych na każdorazowe rzucanie liści, barwa roślin powinna być podobna do wielu ziół arktycznych i wysokogórskich na Ziemi: błękitna, stalowoniebieska czy nawet granatowa. Pozwala to pochłaniać z obrębu widma świetlnego promieniowanie o dłuższej fali, niosące ciepło.**

**–No więc?... – zaczępnie rzuciła Zoe.**

**–Postaram się wyjaśnić ci moje obiekcje. Zresztą nie tylko moje. Barwa temiańskich roślin stanowi paradoks, nad którym łamiemy sobie głowy. To prawda, że liście w różnych odcieniach koloru niebieskiego pasują jak ulał do zimnego klimatu dzisiejszej Temy. Nie przystają natomiast do historii tutejszego życia.**

**–A więc już coś wiecie o tej historii?**

**–Každy organizm ma za sobą długi rodowód – podjął Allan. – Jest to ciąg gatunków przekształcających się jedne w drugie z upływem epok i er geologicznych, zawsze w harmonii ze środowiskiem i zmieniającymi się w nim warunkami. Dotyczy to również tak istotnej sprawy jak zabarwienie roślin. Na Ziemi powstały one ponad dwa miliardy lat temu jako flora bakteryjna w morzach. To ona dzięki zapoczątkowanej przez siebie fotosyntezie odmieniła skład chemiczny atmosfery, torując drogę rozwojowi zwierząt oddychających tlenem. Znacznie później, w erze paleozoicznej, kiedy życie – wpieryw roślinne – zaczęło opanowywać lądy, w ówczesnym gorącym i dusznym klimacie przeważała w ulistnieniu flory barwa pomarańczowa, łososiowa i ognisto-czerwona. Dziś, po paruset milionach lat, naszą florę zdominowały rozmaite odcienie zieloności, ale reliktem z tamtych czasów jest właśnie takie zabarwienie młodych listków i świeżych pędów niektórych roślin, zwłaszcza tropikalnych, a także jesienne poczerwienienie liści wielu drzew strefy umiarkowanej.**

**–A jak było na Temie?**

**–Początkowo bardzo podobnie. Analiza próbek skał sprzed dwóch miliardów lat wykazała, że w tym samym czasie, co na Ziemi, również w pramorzach temiańskich dokonała się rewolucja chlorofilowa. Chyba zazwyczaj tak się dzieje w biosferach białkowych, bo chlorofil, jako porfiryne mogąca powstawać w przyrodzie na drodze abiologicznej, jest budulcem dostępnym. Wydaje się natomiast, że karotenoidy, barwiące liście różnymi odcieniami żółci i czerwieni, na Temie nigdy nie pełniły znaczniejszej roli w procesie fotosyntezy. Najpiew w morzach, a później na lądach, roślinność była tu zawsze zielona.**

**–Zawsze? To znaczy... do kiedy? Allan zamyślił się.**

**–Wiesz przecież, że Proxima świeciła znacznie jaśniej, a czerwonym karłem stała się**

niedawno, w skali kosmicznej i geologicznej niemal przed chwilą. Otóż przez parę miliardów lat swego istnienia Tema krążyła w odległości około dwudziestu milionów kilometrów od Proximy, po orbicie prawie kołowej. Miała klimat zbliżony do ziemskiego, zarówno pod względem temperatur, jak rozkładu stref geograficznych oraz pór roku. Ciśnienie jej atmosfery było nieco mniejsze niż teraz. Różnorodne dane upewniają, że przed dwoma tysiącami lat, mniej więcej w tym czasie, gdy Proxima przygasła, wydarzył się w tym układzie planetarnym zagadkowy kataklizm, który między innymi tak ogromnie przybliżył Temę do Proximy, przy równoczesnym wydłużeniu jej eliptycznego toru. Gwałtownie wzmożła się działalność wulkaniczna w związku z przechodzeniem Temy w periastronie [\[21\] bardzo blisko macierzystej gwiazdy, kiedy powstają silne naprężenia warstw skalnych w takt przyptyków w skorupie planety. Wskazują na to powierzchniowe pokłady młodych skał wylewnych i tufów wulkanicznych.](#)

–Więc mówisz, że przed tą katastrofą roślinność była zielona – Zoe wróciła do głównego nurtu rozmowy. – A potem... przystosowała się optycznie do nowych warunków?

–Dokładnie tak. Ale... Botanik urwał, zbierając myśli.

–Na mój gust, brzmi to aż nazbyt sensacyjnie – podjął wolno. – Ale jednak to nie mogą być tylko moje urojenia.

–O czym mówisz? – zdziwiła się Zoe.

–O zmianach w przyrodzie Temy. Te, które wymieniłem, wiążą się z prawami fizyki, więc są oczywiste. Dochodzi jeszcze efekt cieplarniany zwiększonej ilości dwutlenku węgla w atmosferze. Nie rozumiem natomiast, jakim sposobem życie wyszło zwycięsko z tak brutalnej opresji.

–Myślisz o wstrząsie mechanicznym, o kolizji planet?

–Niekoniecznie. Andrzej wyklucza, aby jakaś wystygła gwiazda mogła przejść przez układ blisko Temy i wytrącić ją z dawnej orbity. Nie wiemy, co spowodowało tę zmianę, ale wolno przypuszczać, że jest to w jakiś sposób związane z przygaśnięciem Proximy, Trudno sobie wyobrazić, jakiego rodzaju zależność przyczynowa może tu zachodzić, ale jest ona faktem. Można oczywiście założyć, dla świętego spokoju, że jest to zbieg okoliczności. Ale właśnie gdyby nie ten niesamowity zbieg okoliczności, temiańskie życie zamarłoby całkowicie. Na tym jednak nie koniec. Życie przystosowało się do nowych, i to, mimo dobroczynnej zmiany orbity globu, skrajnie zmienionych warunków w taki sposób, a zwłaszcza w takim tempie, że kłóci się to z powszechnymi prawami biologii. A to już nie może być zbieg okoliczności... Gruntowne zmiany klimatyczne zwykle zachodzą powoli, w czasie życia wielu pokoleń. Na przykład u nas okresy lodowcowe i

międzylodowcowe.

–Ale przecież we wszechświecie może się zdarzyć inaczej.

–Inaczej, to nie znaczy, że w sprzeczności z prawami fizyki i biologii. Jeśli zmiany są zbyt gwałtowne, życie ulega zagładzie, w całości lub w przeważającej części. Ileż gatunków roślin i zwierząt przepadło na obszarach zlodowaceń – mimo powolnego przebiegu kataklizmu?! A porównajmy to z Temą. Zupełnie nagle, bez żadnych faz przejściowych, średnie temperatury spadły o kilkadziesiąt stopni, rok stał się krótszy od doby, cykliczne wahania ciepłoty osiągnęły przerażającą amplitudę, nie mówiąc o rozpętaniu gwałtownych procesów sejsmicznych. Więc co powinniśmy tu zastać w dwa tysiące lat po tamtych wydarzeniach? Chyba martwą, jałową pustynię.

–A oazy ciepła?

–To odrębna zagadka, choć związana z naszym tematem. Ale w tej chwili chodzi mi o coś innego. Powróćmy do niebieskiej barwy listowia. Pyłki i liście zakonserwowane w lodowcach upewniają, że przed kataklizmem dominował na Temie zielony kolor ulistnienia.. Takich faktów jest więcej. Porządkuję je od kilku tygodni. Są to różnokierunkowe fizjologiczne przystosowania roślin i zwierząt, ściśle związane z warunkami dzisiejszej Temy. Jedne z nich wręcz warunkują przeżycie, inne nie mogły powstać w dawnym, ustabilizowanym klimacie, gdyż w tamtym czasie byłyby zgoła bezużyteczne. Otóż nawytwJ-rzenie się w sposób naturalny tak poważnych zmian potrzeba milionów lat. Prawa biologii są wszędzie jednakie.

Z wrażenia Zoe kiwnęła się lekko na fotelu.

–Więc podejrzewasz ingerencję... kogoś rozumnego? – I zaraz dorzuciła: – Czy wszyscy już o tym wiedzą?

–Nie. Tylko ty i ja.

–Czemu ukrywasz tę rewelację? To mocna podstawa do żądania, by na Temie obowiązywała nas instrukcja czwarta, dotycząca planet o rozwiniętej kulturze istot rozumnych, regulujących warunki przyrodnicze na swoim globie.

–^ Zbieram dowody. To wymaga czasu. Poza tym jest to odtwarzanie przeszłości. W najlepszym razie tylko ślady. A to za mało. Dlatego forsuję wprowadzenie instrukcji trzeciej. I mam z tym kłopoty. Szkoda, że nie słyszałaś mojej rozmowy z Szu zaraz po przylocie do bazy. Wiesz, chodzi o te „wzgórza” i „kopce” o regularnych kształtach geometrycznych, na które Ast zwróciła uwagę sporządzając z Iłkara mapę Temy. Nie mogąc tam polecieć osobiście z obawy przed zakażeniem porostów, Szu ma je badać z Iłkara za pomocą Łazika-manipulatora. Prosiłem go, żeby poparł nas przeciwko nazbyt brutalnym metodom badania Temy.

**–Co ci odpowiedział?**

**–Że stanie po stronie prawdy. Trochę zdenerwowałem się na niego. Przecież i my bronimy tylko prawdy. Chciałbym już teraz przyspieszyć odpowiednie postanowienia, między innymi ograniczyć sondáže, jakie ojciec i Wład przeprowadzają w Dwójce.**

**Zoe drgnęła na dźwięk imienia Włada. Po chwili spytała:**

**–Czy Wład wie, że tu przyleciałam?**

**–Wie, ale nie może przybyć.**

**–Nie może... – powtórzyła dziewczyna z żalem. – Żeby nie rozwlec tej choroby porostów?**

**–Gdyby tu przyleciał, nie mógłby wrócić do Dwójki. Czy chcesz tego? Przecząco pokręciła głową.**

**Zapanowała cisza. Słysząc było tylko szmer palców przesuwanych po plastycznym ekranie.**

**–Czy tam, pomiędzy tymi szczytami, jest jakiś czynny wulkan? – wskazała zarys dalekich śnieżystych gór.**

**–Za nimi, stąd niewidoczny. Zasłonięty tą największą „śnieżną kopą” wznosi się wulkan, który przed każdym dojściem Temy do periastronu miota całe kilometry sześciennych gazów, bomby wulkaniczne i mniejsze odłamki – la-pille. Pojutrze będziesz go mogła podziwiać. Baza leży w bezpiecznej odległości. Widok jest wspaniały, ogłuszające grzmoty, błyski, ziemia drży.**

**Zoe obróciła się ku północy. Teraz znów miała przed sobą puszcę. Wyczuwała palcami kontury wierzchołków najwyższych drzew.**

**–Opowiedz mi coś o tym lesie. O jego życiu, kształtach i barwach. O wszystkim, czego nie mogę poznać za pomocą aparatu. Albo – zawahała się – oprowadź mnie po puszczy. Czy precyzyjnie się z fotelem pomiędzy drzewami?**

**Allan skwapliwie potwierdził.**

**–Ależ oczywiście! Las, zwłaszcza na skraju, nie ma nadmiernie gęstego podszycia. Pozwolisz, że będę kierował fotelem.**

**Opuściwszy się windą na stały grunt, razem z Ro ruszyli w kierunku puszczy. Obraz jej stawał się dla Zoe coraz mniej wyrazisty.**

**–Co to? – spytała zdziwiona. – Mam uczucie, jakby las ustępował przed nami. Nie**

rozdzieliłam już ani koron drzew, ani nieba. Tylko bezkształtna masa czegoś. Jakby słupy... ciężkie pnie... Powiedz, czy naprawdę jesteśmy w puszczy?

–Stoimy tuż przed leśną ścianą.

–A teraz jakoś ciemniej. To już?

–Tak. Weszliśmy.

–Chciałabym dotknąć drzewa. O, zdaje się, że tu...

Allan lekko skręcił i fotel prawie się otarł o pochyły pień. Potem delikatnie ujął dłoń dziewczyny i oparł ją o gładką korę.

Zoe uśmiechnęła się. Chciała uchwycić palcami drzewko, które choć cienkie, nie zmieściło się w jej drobnej dłoni. Przesunęła ręką wzdłuż pnia-ko-naru, marząc, aby jak najlepiej poznać roślinę wyrosłą tak daleko od Ziemi i prócz jedności materii nie mającą z nią nic wspólnego.

–To krzew zarodnikowy – wyjaśnił botanik. – Najczęściej ma siedem konarów, wyrastających z podziemnego niby-pnia o kształcie spłaszczonej kuli. Korzenie jego biegną promieniście, niektóre nawet ku górze.

W głębi puszczy powietrze było wilgotniejsze, ale korony drzew, osiągające wysokość dwupiętrowego domu, przepuszczały dość dużo światła dziennego. Tylko niektóre drzewiaste rośliny, na szczycie rozgałęzione parasolowato, rzucały większy cień. Tu miejscami gleba była mokra i koła fotela grzęzły w ilastym gruncie.

–Czy wokół nas poruszają się jakieś zwierzęta? – spytała Zoe. – Ach, prawda – przypomniała sobie – twój hełm paraliżuje wszystkie żywe istoty prócz ludzi i psów na odległość wielu metrów. Ale w takim razie na ziemi powinny leżeć całe chmary różnych zwierzątek. Począwszy od muchy, a skończywszy... Czy ja wiem? Na lwie, słoni – oczywiście temiańskim.

Allan roześmiał się.

–Rzeczywiście. Chmara zwierząt kładzie się pokotem, a po naszym przejściu rozprostowuje członki do lotu lub do biegu. Niekoniecznie jednak to zjawisko musi być dostrzegalne. Gdybyś przemierzała najdziksze nawet połacie Ziemi, ciągnące się setkami kilometrów rezerwaty pierwotnej przyrody, nie od razu natknęłabyś się na nosorożca, tygrysa czy chociażby małą małpkę. Co innego owady...

–Właśnie o tym pomyślałam.

–Istotnie – Allan pospieszył z wyjaśnieniem. – Na Temie są zwierzęta zbliżone do

owadów, choć mają inną budowę wewnętrzną. Występują jednak mniej licznie niż na Ziemi. Ponieważ nasze hełmowe paralizatory obozwardniają układ nerwowy drobnych organizmów już w odległości stu metrów, proces ten trudno zauważyć. Zresztą tu zasłaniają nam widok drzewa. Ale postaram się znaleźć coś dla ciebie. Przyroda Temy nie wytworzyła odpowiedników ptaków, są tu natomiast dość sprawni lotnicy o nietoperzowatych płatach skórnych rozpiętych w kształcie błon. Ale udało mi się sfotografować te zwierzęta tylko z daleka.

–A jakie trofea sparaliżowane aparatem mogliście wziąć w rękę i badać bezpośrednio?

–Nic rewelacyjnego. Trochę tych małych niby-owadów. Żadnych form podobnych do ziemskich kręgowców mnie osobiście nie udało się uzyskać. Chyba mają wyostrzone zmysły, alarmujące je w porę o zbliżaniu się jakiejś tajemniczej, a przez to groźnej istoty. Natomiast twój ojciec zrobił z powietrza sporo ciekawych zdjęć większych zwierząt. Co prawda aparatów plecowych używamy w plenerze niechętnie, bo płoszą faunę, ale często jest to jedyny sposób.

–Powiedz mi jeszcze, jak udało wam się zgromadzić tak ogromną fototekę zdjęć rozmaitych dużych zwierząt. Ojciec wspominał mi o tym.

–Zaraz zobaczysz naszą kopalnię wiadomości o faunie temiańskiej. Botanik skierował fotel Zoe ku jednemu z samoczynnych aparatów zdjęciowych, zwanych autokamerami.

Zoe w skupieniu wodziła palcami po swym plastycznym ekranie.

–Już widzę „kopalnię wiadomości” – uśmiechnęła się. – To ta duża tarcza zawieszona wśród gałęzi?

–Zgadłaś. Druga jest przed nami, po przeciwnej stronie polany. Kamera ma szesnaście różnych kryształów pamięciowych. Żadna sekcja zabitego zwierzęcia, jakie praktykowano sporadycznie jeszcze dwieście lat temu, nie dałaby tak pełnego wyobrażenia o całokształcie jego cech morfologicznych i fizjologicznych. Tarcza po tamtej stronie polany wysyła kilka rodzajów promieniowania wprost w kierunku tarczy odbiorczej. W ten sposób autokamera dokonuje nie tylko zwykłych, zewnętrznych zdjęć, lecz także różnego rodzaju prześwietleń, jakby w wielkim aparacie rentgenowskim. Są to dwa rodzaje zapisu. Jeden przedstawia ogólny widok zwierzęcia w ruchu, drugi natomiast, przestrzenny – działania jego narządów wewnętrznych.

–Czy autokamera pracuje stale?

–Włącza się samoczynnie, gdy w jej pole widzenia trafi jakiś przedmiot.

**–Wobec tego powinna również reagować na przelatujące liście lub źdźbła.**

**–Tak. Najbardziej martwi się tym twój ojciec; mówi, że to mu psuje zdjęcia. Ale ja jestem zadowolony, gdyż wiatr przynosi czasami ciekawe okazy flory.**

**W drodze powrotnej natrafili na gęściej zarośnięte partie lasu. Raz po raz Allan ścinał laserowym nożem pędy lub konary grodzące przejście. Podczas jednego z takich przymusowych postojów zauważył, pochylając się, by odrzucić usunięte pędy krzewu, że kobierzec mchu, z którego on wyrastał, tworzy barwną mozaikę. Od normalnego niebieskoszarego tła odcinały się nieregularne, jakby wyblakłe zieleniejące plamy o żółtawych brzegach. Nieco dalej ogarniały większą powierzchnię.**

**Zaraza porostów przerzuciła się więc na mchy. Czyżby miała zagrozić całej florze? Allan nie chciał martwić dziewczyny tak niepomyślnym odkryciem.**

**Zajął się tylko zebraniem do podręcznej torby próbek chorych roślin. Wybierając bardziej charakterystyczne kępki, oddalił się kilkanaście metrów. Po drodze zerwał piękny kwiat.**

**Tymczasem Zoe ogarnęło zniecierpliwienie. Proxima świeciła jeszcze jasno i nawet w głębi puszczy dermowizor pozwalał zorientować się w najbliższym otoczeniu. Zoe przesuwała palcami po płaskorzeźbie ekranu, lecz nie dostrzegła Allana. Wnioskując, że ma przed sobą spory kawałek wolnej drogi, ostrożnie włączyła silnik. Wózek-fotel potoczył się naprzód, lecz niebawem zadrżał raptownie, zataczając w miejscu półkole. Niewidoma szybkim przesunięciem dźwigni zatrzymała pojazd.**

**–Co robisz? – dobiegł dziewczynę przerażony głos Allana. Po chwili botanik był przy niej.**

**–Szczęście, że ci się nic nie stało. Gdybyś skierowała fotel bardziej w prawo, mogłabyś pokaleczyć twarz o kolce krzewów. Może one są nawet trujące.**

**–Szukałam cię. Tak nagle zniknąłeś mi z ekranu.**

**–Spostrzegłem bardzo efektowny kwiat. Trochę przypomina storczyk. Pomyślałem, że będzie ci z nim do twarzy – dodał zmieszany, kładąc zdobycz na jej dłoni. – Chciałem ci zrobić niespodziankę, a w tej puszczy ładny kwiat jest rzadkością. Przeważają rośliny zarodnikowe lub wiatropylne o niepozornych bezwonnych kwiatach, takich jak u zbóż.**

**Zoe uniosła kwiat do twarzy.**

**–Bardzo ci dziękuję. Jaki duży! Z pewnością śliczny – cieszyła się. – Ale wcale nie pachnie – dodała ciszej.**

Allan pochylił się nad kwiatem i nad Zoe. Ciepło policzków dziewczyny przeniknęło go przyjemnym dreszczem. Po chwili jednak cofnął się, nie chcąc, aby Zoe pomyślała, że próbuje wykorzystać jej ślepotę. Przypomniał sobie wzmiankę o zapachu i machinalnie rzucił:

–Nie pachnie. Tak, wcale nie pachnie. No cóż... Na Ziemi też bywa z tym rozmaicie. Najwonnejsze są kwiaty stref umiarkowanych, które zapachem zwabiają owady. To samo dotyczy rozmaitych agaw oraz kaktusów otwierających kielichy nocą i zapylanych przez nietoperze. Natomiast ornitogamiczne kwiaty tropików, których partnerami są kolibry i inni skrzydlaci śpiewacy, zazwyczaj nie pachną, bo ptakom wystarczą ich jaskrawe barwy.

–Barwy... – podchwyciła niewidoma.

Ułożyła kwiat na kolanach i intensywnie przebierała palcami po płytce ekranu. Tym razem nie była pewna oceny.

–Jaki kolor ma mój kwiat? Chyba czerwony...

Allan poczuł się zakłopotany. Płatki strzępiasto rozdarte w sześcioramienną gwiazdę płonęły jaskrawą czerwienią, która zdawała się spływać w seledynową czarę kielicha, nakrapianą różem i złotem. Jak miał wysławić ten przepych barw, by nie sprawić przykrości ociemniałej?

Przeciągająca się cisza jeszcze gorzej podziałała na dziewczynę.

–Więc jaki jest kolor kwiatu? – zapytała niecierpliwie.

–Czerwony – odrzekł cicho.

Tymczasem pojaśniało i spoza wiotkiej draperii ostatnich krzewów zamajaczyły zabudowania bazy.

# PIERWSZY KONKRETNY DOWÓD

Świst wichru i dudnienie ciężkich kropli deszczu po dachu stacji nie ustawały. W pospiesznie rozsuniętych drzwiach, łączących przedsionek z laboratorium, pojawiła się Mary zadyszana ucieczką przed nawałnicą.

–Ależ zawiewa – rzuciła od progu. – Istny huragan.

–Zwykle zakłócenia periastralne – zauważył Renę. – Dojdzie do tego trochę bujania.

Na twarzy Zoe odbił się niepokój.

–Trzęsienie ziemi?

–Nic groźnego – odparła Mary. – Wstrząsy są tu wprawdzie częste, ale słabe. To dziwne zresztą. Z obliczeń wynika, że kiedy ten glob przybliży się do Proximy na pół miliona kilometrów, drgania sejsmiczne winny być w tym rejonie o wiele potężniejsze. Wtedy bowiem działają ogromne siły przyływowe. A jednak zarówno w okolicach „kopców”, jak w obrębie oaz ciepła nie widać poważniejszych zniszczeń.

–Czyżby ONI umieli w jakiś sposób zahamować te zjawiska? – zapytała Zoe.

–Może raczej wybierali dogodny teren – odparła Mary. – Nie przypisujemy im przesadnych, to znaczy nie sprawdzonych sukcesów, gdyż to podważa wiarygodność pewniejszych dowodów ich działań.

–Powiedzmy poszlak, które dopiero trzeba udowodnić – sceptycznie sprostował Renę.

–Ależ tatusiu! – zawołała Zoe z wymówką. – A mój pierścień? No i nie tylko...

–Twój pierścień, pierwszy w historii dowód istnienia kosmitów, wskazuje, że ktoś odwiedził niegdyś Noktę, glob zlodowaciały z kretesem nawet wówczas, gdy Proxima grzała znacznie mocniej. A paradoksy Temy są na razie tylko polem ciekawych spekulacji i sprzecznych hipotez. To samo dotyczy rozbitej planety X.

Tę wymianę poglądów przerwał dźwięczny sygnał i głos komputera z centrali łączności.

–Dwójka wzywa Jedynekę!

–Idź i zacznij rozmowę – Mary zwróciła się do zoologa. – My zaraz przyjdziemy.

Wstała, by przeprowadzić fotel Zoe przez wąskie drzwi do salonu wideofonii, lecz niewidoma dała znak ręką, że na razie zostanie.

**–Zawołasz mnie dopiero wtedy, jeśli Wład mnie poprosi – rzuciła za wychodzącym ojcem.**

**–Rozkaz! – zażartował Renę, aby choć trochę rozładować napięcie. Wiedział, że Zoe stara się nie okazywać, jak bardzo zależy jej na tej rozmowie, chociaż z pewnością ciężko przeżywa to, że Wład jeszcze się nie odezwał od jej przylotu na Temę.**

**W centrali łączności, po wymianie informacji dotyczących prac badawczych obu zespołów. Renę dość otwarcie dał Władowi do zrozumienia, że powinien zamienić z dziewczyną choć parę słów. Rozmowa od początku nie wypadła jednak po jego myśli.**

**Zoe ostatnio pilnie ćwiczyła rozpoznawanie ludzkich twarzy, lecz miała z tym kłopoty. Teraz podniecona, ale i pełna niepewności, wyobraziła sobie, że zamiast Włada widzi na ekranie Hansa i poczuła się zawiedziona. Potem, gdy już się okazało, że to Wład, aby pokryć zdenerwowanie, zaczęła go wypytywać, nad czym pracuje, ale robiła to dość agresywnie, co zrozumiał jako pretensje, że nie przyleciał do Jedyńki.**

**Zaczął się tłumaczyć, co Zoe jeszcze bardziej rozdrażniło. Poruszyła wówczas sprawę sondowań przeprowadzanych przez Hansa i Włada w Dwójce i rozmowa zakończyła się ostrą sprzeczką.**

**–Co oni wyprawiają w tej Dwójce?! – dawała przed ojcem upust swemu żalowi i gniewowi na Włada po niefortunnym „spotkaniu w eterze”.**

**–Nadmiernie się przejmujesz – uspokajał ją Renę. – Po co demonizować zwyczajne, rutynowe metody badawcze?**

**–Zwyczajne?**

**–No, może nie tak bardzo zwyczajne. Tak czy inaczej, ty powinnaś się z nich cieszyć.**

**–Ja?!**

**–Przecież właśnie ty, orędowniczka kontaktu, chcesz za wszelką cenę wyjaśnić sprawy do końca: rozumni mieszkańcy Temy są albo ich nie ma. Jeśli są, poczujemy się tutaj niezapowiedzianymi gośćmi i odtąd nie zrobimy ani kroku bez zgody miejscowych suwerenów. Skoro nam się nie przedstawili – dokończył trochę kpiąco – szukamy na własną rękę śladów ich działań.**

**–Sondowaniami?**

**–Masz pretensje o sondowanie, a wiesz, że już teraz, w początkowej fazie wierceń,**

ich plon w Dwójce jest nadzwyczaj obiecujący. Może jeszcze za wcześnie na gratulacje dla Hansa i Włada...

–Nic o tym nie wiem.

–Oto są skutki, kiedy ktoś się boczy i nie bierze udziału w „życiu naukowym”.

–Powiedźcie wreszcie! Co to Za nowiny?

–Rzeczywiście, dużo nowości – podjęła Mary. – Nawet nie wiem, od czego zacząć.

–Szczególnie intrygujące są kłopoty ze stopniem geotermicznym – zauważył Renę.

–To znaczy: z pomiarem – sprecyzowała Mary. – Istotnie, zupełna szarada.

–Naprawdę?

–Hans wykrył nieznane bakterie w gorącym źródle na głębokości czterdziestu metrów. Okazało się, że najbardziej dogadza im woda o temperaturze 85 stopni zawierająca żelazo i wanad. Nie są chorobotwórcze, wyjątkowo odporne na promieniowanie jonizujące i znoszą bez szkody gotowanie, nawet przez dłuższy czas.

–Co one robią w takich warunkach?

–Nie znam ich roli w łańcuchach biocenotycznych. Zresztą w tak nietypowej niszy ekologicznej mogą również być zdane tylko na siebie. Ale nie o to chodzi. Ast poprosiła Włada o dokładniejsze zbadanie stopnia geotermicznego w obrębie Dwójki. Już po kilku odwiertach wybuchła sensacja, którą potwierdziły uzupełniające sondowania. Trudno to pojąć, lecz na terenie Dwójki o stopniu geotermicznym jako takim można mówić sensownie dopiero od głębokości stu metrów. Powyżej panuje zupełny chaos.

–To znaczy?

–Jak wiesz, stopniem geotermicznym nazywamy odległość w metrach, mierzoną pionowo w głąb planety, odpowiadającą wzrostowi temperatury skał o jeden stopień. Na Temie – podobnie zresztą jak na Ziemi- waha się on przeważnie w granicach od dwudziestu do stu metrów. Tymczasem w Dwójce podłoże jest tak ciepłe, jakby pełniło rolę kaloryferów. Mało tego! W kilku przypadkach wykres wykazywał raptowny krótkotrwały skok temperatury kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią, a dalej równie gwałtowny jej spadek. Dopiero poniżej stu do stu kilkunastu metrów wszystkie te anomalie ustają i odtąd ciepłota skał podnosi się wraz z głębokością normalnie, bez żadnych sensacji.

–Jak duże były te skoki temperatury? – spytała Zoe.

**–Zależnie od miejsca sondowania, to fantastyczne ostrze w obrazie wykresu podnosiło się do siedemdziesięciu, czasami stu stopni, a w jednym przypadku osiągnęło aż 346°C.**

**–Zjawisko może mieć charakter wulkaniczny, i wtedy jest całkiem zrozumiałe – wtrącił Renę.**

**–Bardzo wątpliwe – odparła Mary. – Chyba nawet wykluczone. Dwójka spoczywa na starej płycie kontynentalnej. Jest to obszar wybitnie asejsmiczny.**

**–Jakie wnioski wyciągnięto z odkrycia? – zapaliła się Zoe.**

**–Hans i Wład są ostrożni. Sondy wyposażone w niezbędne urządzenia pomiarowe, wraz z czerpakami próbek skalnych, zbierają dane dla wyjaśnienia tej zagadki.**

**–Znowu drążenia, rozbijania... – powiedziała Zoe z niesmakiem.**

**Deszcz ustał. Słabnące porywy wiatru mieszały się od czasu do czasu z głuchym podziemnym dudnieniem albo leciutkimi wstrząsami, przypominając, że Tema przechodzi najbliższej Proximy. Był wieczór, kiedy Allan dziwnie podekscytowany wrócił z laboratorium.**

**–Wychodzę. Muszę uzupełnić wyniki dzisiejszych badań.**

**–Teraz? – zdziwiła się Mary. – Dziś noc zapadnie wyjątkowo szybko, jesteśmy w periastronie. Mógłbyś poczekać do rana.**

**–Ależ, mamo, przecież nie zabłądzą w puszczy. Wezmę silny reflektor, bo noktowizor mi nie wystarczy. Chodzi o naturalne barwy, a do tego potrzebne dobre światło.**

**–Życzę ci, aby TY-112 skręcił kark. Na całej planecie! – zawołał Renę za odchodzącym.**

**–Skłonny jestem uwierzyć w twoją dobrą wróżbę!**

**Młody botanik nieprzypadkowo podążył do lasu z takim pośpiechem. Analiza porostów, jakie zebrał, dawała dużo do myślenia. Wszystkie miały normalny kolor i zdrowy wygląd. Nadto ani jeden preparat mikroskopowy nie ujawniał zainfekowania „beczulek” zarazą, która jeszcze poprzedniego dnia rozprzestrzeniała się w takim tempie, że niszczycielski bakteriofag był wszechobecny w badanym materiale.**

**Allan pragnął teraz zdobyć próbki z jak najliczniejszych miejsc, by móc zawierzyć średniej statystycznej analiz. Chodziło nie tylko o porosty. Wczorajsze odkrycie dodatkowego zakażenia mchów napawało go najgorszymi przeczuciami przerzutu**

epidemii także na rośliny wyższe. Wprawdzie dzisiaj nigdzie w puszczy nie znalazł potwierdzenia tamtej obserwacji, a nawet porosty przyniesione do bazy wyglądały tak, jakby ozdrowiały bądź nigdy nie zetknęły się z TY-112, lecz dane te mogły stanowić szczególny zbieg okoliczności i nie chciał pochopnie wyciągać optymistycznych wniosków.

Umysł badacza nakazywał nie wierzyć, aby destrukcyjne zmiany w roślinach, sięgające w głąb komórek, mogły się cofnąć nawet przy najskuteczniejszych przeciwdziałaniach. A przecież nie zastosował środków zaradczych, bo ich nie wynalazł. Samoobrona flory, tak szybka i radykalna, też wydawała się wykluczona. Nie chciał jednak poprzestać na teoretyzowaniu, tym bardziej że była to wiedza biologiczna wysnuta ze znajomości innej biosfery. Na Temie pewne procesy mogły przebiegać odmiennie.

Jedynym niepodważalnym sprawdzianem byłoby dotarcie do miejsca, gdzie zerwał storczykowaty kwiat dla Zoe. Obficie rosnące tam chorobliwie pozieleniałe mchy mogły dać natychmiastową odpowiedź, czy stan ich pogorszył się czy też polepszył, przez porównanie wyników analizy wczorajszych i dzisiejszych próbek. Nie trafił tam jednak, mimo usilnych starań.

Allan wrócił w porze kolacji. Tak bardzo spieszył się do laboratorium, że nawet Mary, przestrzegająca zasady wspólnego spożywania posiłków, nie zatrzymała go.

–Jak zgłodniejesz, przyjdź – powiedziała serdecznie.

–Dobrze, mam. Ale nie odwołujcie mnie stamtąd. Kiedy ukończę analizy, wszystko opowiem.

Puściwszy w ruch analizatory, botanik dość szybko uporał się ze swym zadaniem. Gdy wrócił, minę miał skupioną, lecz z oczu jego biła radość. Renę, Ingrid i Mary spostrzegli to od razu.

–Masz jakieś rewelacje? – zapytała Zoe.

–Mam. Kwarantanna skończona.

–Jak to?! – Renę i Mary wykrzyknęli równocześnie.

–TY-112 przestał zagrażać.

–A więc sama przyroda uporała się z tą zarazą – stwierdziła Mary z satysfakcją.

–Przewidziałaś, mam, że tak będzie – odparł Allan z uznaniem. •- Ciekawe... Bo mnie się to wydawało wykluczone.

**–Czy ustaliłeś mechanizmy samego procesu? – spytała Ingrid.**

**–Jeszcze nie. Uruchomiłem wszelkie możliwe analizy komputerowe i czekam z niecierpliwością na wyniki.**

**–Można rzec: płonę z ciekawości – powiedział Renę z błyskiem w oczach. – Bo na Ziemi uznalibyśmy to za niemożliwe. Czyżby tak zwane wielkie prawa życia, uznawane za równie powszechne jak grawitacja i promieniotwórczość, okazały się tylko zaściankowymi regułami dla jednej planety?**

**–Czy rzeczywiście – zapytała Ingrid – teraz możemy poruszać się po całej Temie bez obawy zakażenia nowych obszarów?**

**–Myślę, że tak.**

**–Przyznam, że w roli „trędowatej” czułam się jak więźniarka. Nerwowo szukając na swym ekranie Allana, Zoe spytała chcąc się jeszcze upewnić:**

**–Powiedz, Al, czy teraz będę mogła odwiedzić Dwójkę?**

**–Bez przeszkód, jeśli nie zajdą jakieś niespodzianki. Na razie niebezpieczeństwo dla roślin wydaje się zażegnane.**

**–To bardzo pilne – podjęła Zoe, jak gdyby tłumacząc się. – Rozmowy z Władem na odległość peszą mnie i denerwują. Jakoś trudno nam dojść do ładu. A na miejscu zapoznam się lepiej z tym, co robią, i chyba przekonam Hansa, że trzeba zaprzestać sondowań. Jeśli to są jakieś urządzenia techniczne, nie powinniśmy ich uszkadzać. Nie znamy ich roli, zasięgu i powiązań z innymi, może ogólnoplanetarnymi instalacjami, o jakich dotąd nie wiemy. Zresztą, jak to wygląda? – zapalała się dziewczyna. – Z Ziemi przybyli barbarzyńcy?...**

**Allan szeroko otworzył oczy.**

**–Co masz na myśli, mówiąc o urządzeniach technicznych? Renę pospieszył z wyjaśnieniem:**

**–Nie chciałeś, aby cię niepokoić w laboratorium. W tym czasie rozmawialiśmy z Dwójką. Powstała nowa sytuacja, w której możecie forsować dla Temy nawet instrukcję czwartą – wydatne ograniczenie badań na globach zagospodarowanych przez kulturę istot rozumnych.**

**–Tatusiu, stajesz po naszej stronie, prawda? – miękko spytała Zoe.**

**–Jeśli się potwierdzi, iż Tema jest zagospodarowana, podstawowym naszym obowiązkiem jest porozumienie z gospodarzami. Już teraz uważam, że winniśmy się**

kierować instrukcją trzecią, nawet zanim zapadnie postanowienie rady. Dotąd były hipotezy, dziś są fakty.

–Ale konkretnie co? – zniecierpliwiał się Allan.

–Wład i Hans wydobyli na powierzchnię jakiś walec, częściowo zniszczony przez sondę – wyjaśniła Zoe. – Ja z nimi nie rozmawiałam, ojciec ci opowie dokładniej.

–Ten walec był źródłem silnego promieniowania w zakresie podczerwieni. Spoczywał czterdzieści trzy metry pod powierzchnią. Hans podejrzewa, iż takie urządzenia są regularnie rozmieszczone w oazach ciepła i właśnie one tworzą tamtejszy mikroklimat. Wyjaśniałoby to miejscowe skoki temperatury skał, które nas zadziwiły.

–I to jest sztuczny wytwór? – chciał się upewnić Allan.

–Bez wątpienia. Walec ma regularny kształt małej beczki. Jest to rodzaj reaktora jądrowego o samoczynnej regulacji termostatycznej. Osłonę radioaktywnego ładunku, zatrzymującą znaczną część śmiertelnośnego promieniowania, tworzy jakiś plastik nie produkowany u nas.

–Mamy więc bezsporny dowód działań cywilizacji o poziomie zbliżonym do naszej! – entuzjasmował się Allan.

–Tak. Pierwszy konkretny dowód – potwierdził Renę – bo pierścień Zoe mógł być przedmiotem zostawionym albo zgubionym przez obcych astro-nautów. Teraz patrzę na to inaczej. Odkopany walec świadczy o trwałym zagospodarowaniu terenu. Już wolno snuć ostrożne przypuszczenia, że zarówno Tema, jak i planeta X były areną jednej i tej samej cywilizacji, która odwiedzała także inne planety, wśród nich Noktę. Być może, planeta X stanowiła księżyc Temy albo raczej tworzyły one – ze względu na porównywalność rozmiarów – glob podwójny i okręwały wspólny środek masy, jednocześnie obiegając Proximę. Kto wie, czy Tema nie zmieniła swej orbity właśnie po katastrofie planety X...

–Jaki jest wiek tego walca? – spytał Allan.

–Nie wiem.

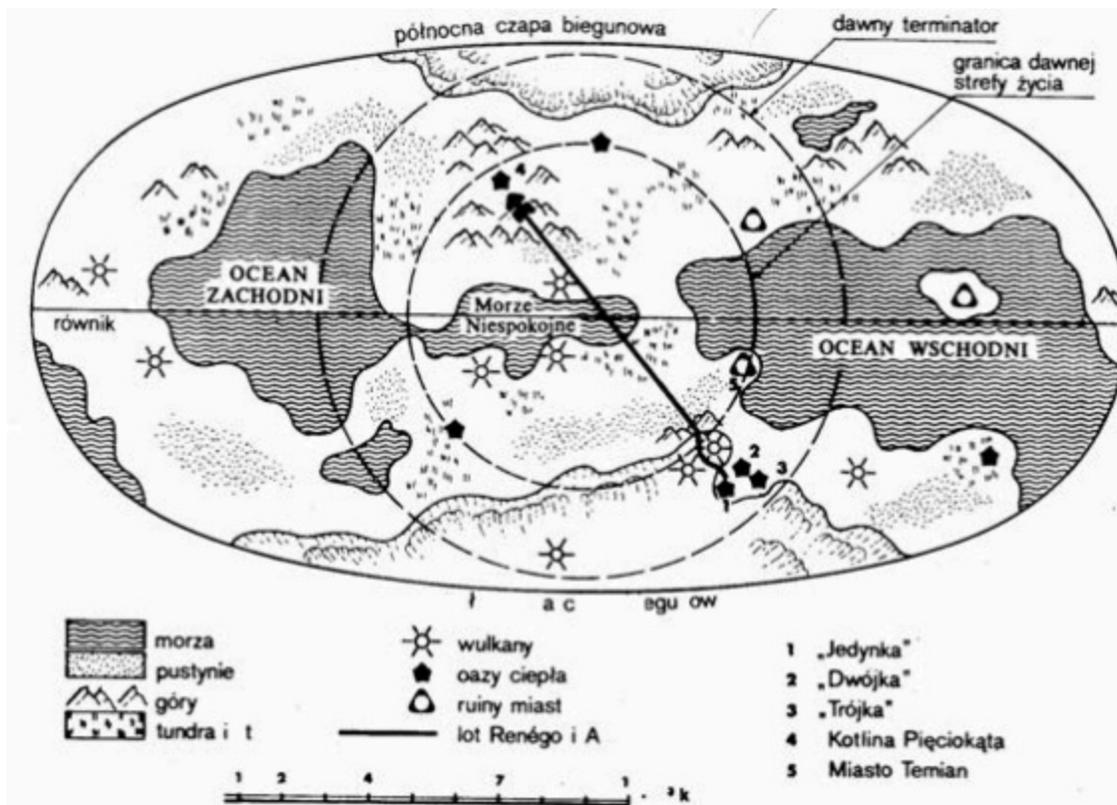
–Szkoda – westchnęła Zoe. – Chciałabym, żeby ONI działali jeszcze teraz...

–Kto by nie chciał?! – potwierdził Renę. – Aha, zapomniałem ci powiedzieć. Odkrycia na północnej półkuli, dokonane z łkara, dają wiele do myślenia. Dotyczą podobnych oaz ciepła, przy czym najlepiej zachowana ma, jak się wydaje, kształt foremnego pięciokąta. Życie jest w niej bujniejsze niż wokół naszej bazy. Ast dostrzegła tam i sfilmowała jakieś istoty wzrostu niedźwiedzia, poruszające się w

postawie niemal wyprostowanej.

~ Czyżby ONI?

–Polecimy tam wkrótce. Może nawet już jutro – odparł zoolog.



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 8. Mapa Temy z trasą lotu Renego i Allana do Kotliny Pięciokąta

Oczy Renego przygasły. Jakże ją zabrać na tak egzotyczną wyprawę, może niebezpieczną, a w każdym razie uciążliwą?

Zoe zrozumiała milczenie ojca, więc zapytała krótko:

–Kto będzie ze mną?

–Lecę tylko z Alem. Zostaniesz z matką i Mary.

–Chciałabym odwiedzić Włada i Hansa – zniecka oznajmiła Zoe.

–Temu chyba nic nie przeszkodzi – odparł Renę. – Zaraz po powrocie mogę cię tam zabrać.

# PRZYGODZIE NAPRZECIW

Samolot wznosił się coraz wyżej, raz po raz podrzucany gwałtownymi zrywami wiatru. Wszystkie trzy oazy ciepła, ścieśnione na obszarze wielkości Belgii, mieli poza sobą. Ostatnia siniąła w dali jak ciemna płachta wśród bieli rozległych monottonnych płaszczyn.

W dole, niby ogromna chusta, rozpościerała się śnieżna równina, aż hen ku wypiętrzonej lodowej ścianie. Spływała niedostrzegalnie w doliny długimi jęzorami lodowców, spękanych i brudnoszarych na ostrych krawędziach. Spoza wschodniego widnokręgu wyłaniała się olbrzymia wiśniowa tarcza Proximy, w dwóch piątach schowana jeszcze za linią horyzontu. Rosła szybko, zmieniając barwę.

Osiągnąwszy pułap dwudziestu pięciu kilometrów, samolot przeszedł do lotu poziomego, zwiększając szybkość.

Allan spojrzał w dół.

–Czemu tak szaro?

–Chmury – odparł zoolog. – Lecimy ponad piekielnym kłębowiskiem. Tam w dole chyba szaleje śnieżyca.

–Jaką prędkość teraz rozwijasz?

–Ponad cztery tysiące kilometrów na godzinę. Powinniśmy wznieść się jeszcze wyżej i zwiększyć prędkość, ale warto obejrzeć zespół wulkanów na wyżynie lodowcowej. Przed chwilą Ast donosiła z łkara, że warstwa chmur nie jest tam zbyt gruba. Zapiszę parę kryształów. Dziś prawdopodobnie wulkany pokażą się w pełni swej wybuchowej krasy.

Naraz daleko przed nirrii zabłysło sponad chmur światło – jakby drugie słońce, bardziej żółte, o postrzępionych konturach. Rychło przedzierzgnęło się w ognisty jęzor, później poczerniało i wreszcie zgasło w czarnoburym oparze.

–Który to wulkan? – spytał Allan. Renę uważnie przyjrzał się mapie.

–W zespole Giganta Chyba on sam, bo wybuch znamionuje niezwykłą siłę. Nie zapominaj, że chmury wznoszą się ponad sześć tysięcy metrów. To, co widzimy, stanowi tylko górną część słupa ognia i dymu.

–Czy zwolnisz prędkość lotu?

–Oczywiście. Ale dopiero za dziesięć minut. Nie możemy jednak podlecieć bliżej niż

na osiemdziesiąt kilometrów. Niewiele mniejszy jest zasięg twardych odłamków wyrzucanych przez ten wulkan. Wynika to z obserwacji trzech ostatnich jego wybuchów.

–Opuścimy się poniżej chmur?

–Niewiele byśmy zobaczyli. Wyziewy gazów połączone z popiołem tworzą na dole nieprzeniknioną zasłonę. Całe widowisko lepiej ogarnąć z wysokości. Nasady krateru nie ujrzymy, nawet gdyby chmury ustąpiły.

Samolot zakołysał się.

Dopiero teraz usłyszeli basowy pomruk, a za nim serię dudniących grzmotów. Odtąd powtarzały się rytmicznie, ustając tylko czasami, i to na krótko.

Maszyna zmniejszyła prędkość i szerokim łukiem okrążyła wulkan. Renę filmował zawzięcie. Allan również nie spuszczał oczu ze zjawiska, które urzekło powabem nieujarzmionej grozy.

Widoki zmieniały się jak w kalejdoskopie. Teraz już nie można było odróżnić chmur pośród wzburzonego kłębowiska dymów. Z tej burosinej kipieli wystrzeliwały jaskrawe płomienie.

Po drugiej stronie wulkanu Renę opuścił samolot poniżej chmur. Z wysokości dwóch tysięcy metrów Gigant nie odcinał się wcale od otaczających gór, a tylko ognisty jego szczyt raz po raz błyskał różową luną spoza ciemnej zasłony. Głuche pohukiwania targały powietrzem.

Mijali potężny łańcuch górski. Ostre, miejscami całkiem prostopadłe urwiska wskazywały, że jest to młoda formacja geologiczna.

–Czy długo jeszcze będziemy lecieć tak nisko? – zapytał Allan

–Pół godziny. Minąwszy lodowiec, wzbijemy się w górę.

–To on się nadal rozciąga pod nami? – zapytał Allan trochę zdziwiony.

–Południowy Lodowiec Biegunowy rozpościera się dość jednolitym płaszczem do trzech kilometrów grubości na obszarze blisko stokrotnie większym niż Francja. W dwóch trzecich powierzchni stanowi lądolód, reszta jest grubo zamrożonym oceanem sięgającym aż poza biegun.

–No, a te szczyty?

–To jeden z kilku masywów wypiętrzonych nad płaskowyż. W ich przełęczach

**powstają górskie lodowce, spływające w dół do ogólnej zlodowaciałej masy. Ot, chociażby, ten w prawo! Sam proces przebiega podobnie jak na Antarktydzie.**

**–A co to za mgła przed nami? Wygląda jak parujące jezioro. Zdaje się, że gejzery.**

**–Chyba tak. Warto je obejrzeć z bliska.**

**Z wysokości sześciuset metrów gołym okiem można było rozpoznać obszerną kotlinę wypełnioną białymi oparami.**

**Przyjrząwszy się grupie efektownych gejzerów, lecieli nad monotonną żółtawą równiną z rzadka urozmaiconą niewielkimi wzgórzami. Wzbiwszy samolot ponad kotłowaną chmur. Renę spojrzął na mapę.**

**–Minęliśmy pustynię. Pod nami rozległa tundra, sięgająca pasem szerokości tysiąca kilometrów aż do brzegów Wschodniego Oceanu. Moglibyśmy przypatrzeć się gwałtownemu tajaniu śniegów w związku z silnym promieniowaniem Proximy, lecz nie warto tracić czasu. To samo dzieje się w okolicach, gdzie wylądujemy. Będzie to wieczór, ale nader gorący. Po południu nasza dzienna gwiazda osiągnie największe rozmiary.**

**Tema, krążąc bardzo blisko Proximy, obiegała ją po wydłużonej orbicie w ciągu niecałych trzech dni ziemskich. Za to czas obrotu planety wokół osi był bardzo długi, gdyż wynosił osiemnaście i pół doby. Dawało to niezwykły efekt wciąż zmieniającej się długości dnia i nocy, które mogły trwać od siedmiu do sześćdziesięciu godzin. Przemierzając niebo, tarcza Proximy rosła, to znów malała. Gdy dzień był krótki, średnica jej dochodziła do monstrualnych rozmiarów, pięćdziesiąt razy większych od średnicy tarczy Słońca oglądanej z Ziemi. Wiązało się to z niedużą odległością periastronu, czyli punktu przy-gwiazdnej orbity Temy, który zgodnie z prawami mechaniki nieba planeta mijała bardzo szybko.**

**W tej chwili wielka tarcza Proximy świeciła blisko zenitu i gwałtownie rosła, by za dwie godziny osiągnąć maksymalne rozmiary.**

**Potężny huk rozdarł powietrze. Drzemiący wyżeł Smok otworzył ślepią, spoglądając z niepokojem na Renego.**

**–Wulkan? – zapytał Allan. Renę zastanowił się.**

**–Chyba nie. Najbliższy leży prawie dwa tysiące kilometrów stąd. Tuż za równikiem, począwszy od wybrzeży oceanu, dymi ich kilka. A to prawdopodobnie burza.**

**–Nic dziwnego. Kiedy mają szaleć nawałnice, jak nie teraz, w perias-tronie. Ocean musi przypominać kocioł parujących wód.**

**–Niekoniecznie – odparł zoolog. – Pamiętaj, że w czasie gdy Tema najbardziej oddala się od Proximy, nawet na równiku są tęgie mrozy. Ten zimny okres trwa znacznie dłużej niż krótkotrwały, parogodzinny żar. Toteż oczekuj raczej gór lodowych niż lazurowego, tropikalnego morza. Zaraz się zresztą przekonasz.**

**–Czy sądzisz, że tam w dole szaleje burza na znacznych przestrzeniach?**

**–Najprawdopodobniej. Ale po co zgadywać mając przyrządy? Renę położył pod przezroczystą płytę burzometru mapę terenu rozciągającego się przed nim. Obejmowała prawie ćwierć miliona kilometrów kwadratowych.**

**Nacisnął guzik. Dwie głowy pochyliły się nad mapą.**

**–Bardzo jasne, niespokojnie rozbłyskane pola – wyjaśniał Renę – to strefy najsilniejszego naelektryzowania chmur. W tych okolicach dojrzały one do stanu wysokich chmur burzowych z rozłożystym „lodowym kowadłem” na szczycie. Nasilenie promieniowania płyty wskazuje, że są to burze tak potężne, jakich na Ziemi nie spotykamy nawet w tropikach. Zjawisko normalne w równikowych partiach Temy.**

**Allan zasępił się.**

**–Więc obniżyć lot możemy dopiero dalej, nad pustynią?**

**–Przede wszystkim wywołamy oberwanie chmury, aby deszcz nie utrudniał widoczności – odrzekł zoolog.**

**Allan spojrział na mapę, gdzie położenie samolotu znaczyło się ostrą czarną strzałką.**

**–Chyba już czas. Czteryście kilometrów przed nami znajduje się Morze Niespokojne.**

**Renę naciśnięciem guzika połączył burzometr z wyrzutniami pocisków meteorologicznych. Jednocześnie rozpoczął silne hamowanie.**

**Kilka rakiet pomknęło ukośnie ku zwartej masie obłoków.**

**Po upływie minuty huk piorunów wzmógł się co najmniej dwudziestokrotnie. Jednocześnie pojaśniały wielkie przestrzenie chmur, a miejscami rozwarte okna odsłoniły ciemnosiną, prawie czarną powierzchnię planety.**

**–Pikujemy – oznajmił Renę.**

**Samolot runął w dół. Pole obłoków przybliżało się szybko. Naraz nieprzenikniona biel skryła cały obraz. Kiedy ustąpiła, w dole widniało szaro-niebieskie podszybie niskich krzewów, przeważnie płożących się po ziemi. Tu i ówdzie tworzyły**

odosobnione kępy pośród grząskich moczarów, gnące się do ziemi pod wściekłym naporem wichru.

Renę wyrównał lot na wysokości dwustu metrów.

–Chętnie przetrząsnąłbym tutejszą tundrę – zauważył. – Jej zwierzostan może kryć wiele niespodzianek.

Allana, jako botanika, pociągało skompletowanie zielnika z tych niegościnnych równin. Ale te marzenia musiał odłożyć. Trapił go zresztą znacznie ogólniejszy problem, który powinien skonsultować z Renem.

Zoolog spojrział na mapę.

–Zaraz będzie morze.

Allan dostrzegł w pobliżu widnokregu dziwną błyszczącą ścianę, która ostro łączyła niebo, powleczone gmatwaniną obłoków, z twardym gruntem planety.

–Co to? – wskazał ręką.

–Deszczowy wał – odparł spokojnie Renę. – Pociski meteo rozładowują burze. Przyrząd nastawiłem na odległość dwudziestu kilometrów, bo lecimy nisko.

Tuż przed nimi szalał żywioł wodny. Wygięta w olbrzymi łuk linia brzegowa miejscami cofała się raptownie, by opodal sięgnąć na setki metrów w głąb moczarów poszczerbionych wściekłym zębem sztormów. Niektóre fale zdawały się na krótko zastygać w bezruchu i dopiero po chwili cofały się ku pełnej toni, białe i jakby kanciaste.

Zjawisko oglądane z góry przedstawiało się nierealnie. Allan dopiero po chwili uprzytomnił sobie istotę tajemniczych ociężałych fal.

–Więc to są zwały lodu pędzone nurtem wód i uderzeniami sztormu? Chwycił lornetkę. Brzeg został już daleko za nimi. Lecieli nad bezkresną kipiela, w której woda, lód i bryzgająca biała piana bez ustanku tłukły o siebie, wyły przeciągle, przewalały się jak dzika niesamowita lawina, prac wciąż naprzód, na południe.

Po dziesięciu minutach lotu nad falami Renę wyprowadził samolot świecą w górę. Niebo było prawie zupełnie pogodne. Proxima, która godzinę wcześniej przetoczyła się przez zenit i dość szybko opadła ku zachodowi, olbrzymiała nadal. Był to jeden z paradoksów Temy: czasami pod wieczór robiło się jaśniej niż w południe.

Pola burzowych chmur, skłębione nad szalejącym oceanem, dawno już zakrył horyzont. Mijali rozległą, pustynię, która z wysokości prawie trzydziestu kilometrów

przypominała ciemną pocętkowaną derkę.

Renę przyjrzał się bacznie temu widokowi przez lornetkę.

–Wiesz, czym usiana jest pustynia? – zapytał AUana. Botanik nie dał się wywieść w pole.

–Pustynia? Niczym. A przynajmniej niczym takim, co by się odznaczało z tej wysokości i w dość niekorzystnym oświetleniu. To niebo roi się od drobnych, jakby wełnistych obłoczków.

Pół godziny później samolot znów pikował.

–Ostatnie półtora tysiąca kilometrów przebędziemy już niskim lotem – zaproponował Renę. – Patrząc ze stratosfery, stracilibyśmy zbyt wiele malowniczych widoków. Na Temie teren oglądany z takich wysokości nie jest nawet mapą, a raczej czymś zamazanym i nieciekawym. Sprawia to atmosfera prawie dwukrotnie grubsza od ziemskiej i dodatkowo mniej przezroczysta wskutek obfitości dwutlenku węgla.

Allan uporczywie wpatrywał się w uciekającą do tyłu pustynię. Pędzone wiatrem zwały piasku układały się sypkim śródpowietrzny kobiercem. Gdzieś bardziej zadzierzysty wir porывał nieprzezroczysty kłęb i igrając z nim podnosił piaszczystą trąbę nad obłoki.

Nagle u nasady jednego z takich skręcających się lejów pociemniało coś, jakby gigantyczny łeb potwora plującego piaskową fontanną.

–To szczyt odporny na burze piaskowe i silne skoki temperatury- wyjaśnił Renę. – Jego wierzchołek z twardej skały jest płaski jak stół, a zbocza kanciaste i strome.

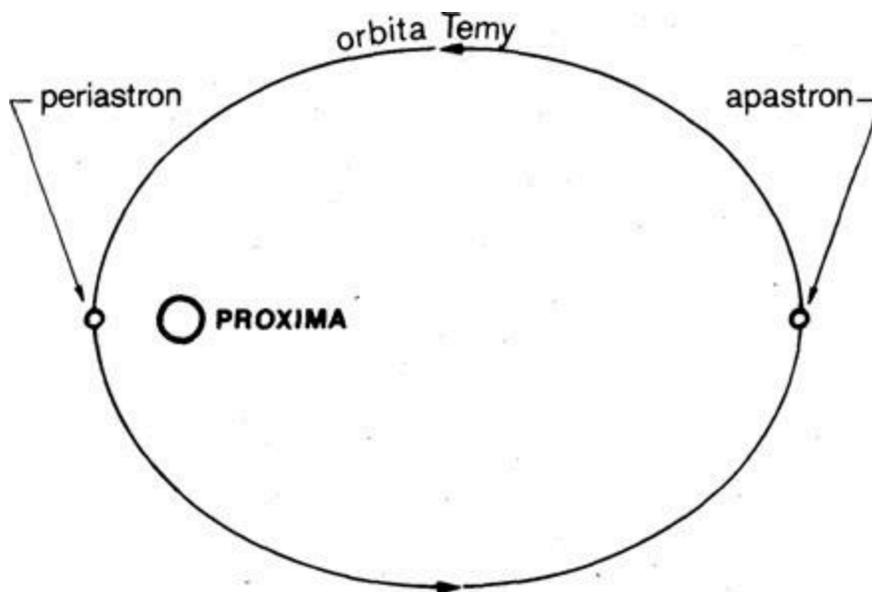
–Gdzie ty widzisz to wszystko?

–Dwukrotnie przelatywałem nad tą okolicą. Raz miałem doskonałą widoczność.

–I tak dokładnie zapamiętałeś tę górę? Renę uśmiechnął się.

–Nie chodzi właśnie o tę. Jest ich tu całe mnóstwo i są całkiem podobne do siebie. To jeden z typów ukształtowania rzeźby pustyni. Ale zdaje się, że już powinien być periastron. Jeśli chcesz przyglądać się, włącz ściemnienie szyb.

Ogromny, oślepiający krąg dziennej gwiazdy wisiał jeszcze wysoko nad widnokręgiem.



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 9. Orbita Temy

–Przed dwoma minutami Teme przeszła najbliżej Proximy – stwierdził Renę obrzuciwszy przyrządy przelotnym spojrzeniem. – Jesteśmy zaledwie czterysta tysięcy kilometrów od fotosfery naszego słońca. Większej tarczy dziś już nie zobaczymy.

Wyłączyli ściemnienie i znów wpatrywali się w dół. Nie pozostało ani śladu mdłej, jednostajnej kurzawy piasków, która przedtem zamazywała widok. Pod nimi rozłożył się bezkres garbów i pofałdowań dziwnie regularnych, jakby odmierzonych. Matowobiałe fale, wyższe od największych bałwanów oceanicznych, stały nieruchome, jak gdyby nagle stwardniały w kleszczach kosmicznego mrozu podczas straszliwej burzy.

Renę jeszcze raz objął spojrzeniem malowniczy widok.

–Możemy lecieć prosto do celu. Pułap tysiąc pięćset metrów, nie wyżej. Stopniowo krajobraz stawał się coraz bardziej urozmaicony. Okolica była falista. Rozczłonkowanie rzek i strumieni, zasilanych resztkami gwałtownie topniejących śnieżnych zasp, stwarzało wrażenie mocno splątanej sieci. Zarysy widnokręgu zaczęły się zamazywać. Z gry odcieni szarych i sinich wyrosło ogromne, pionowo wydzwignięte kłębowisko.

–Zbliżyliśmy się do oazy ciepła, którą powinno poprzedzać pasmo górskie – wyjaśnił Renę. – Trzeba sprawdzić radarem, co leży za tą zasłoną.

Okazało się, że widok przysłaniają gęsto spiętrzone chmury. Na ekranie radarowy/m ostro wyzębiał się łańcuch górski. Niektóre szczyty przekraczały cztery tysiące pięćset metrów. Gdy wznieśli się wyżej, szeroki ruchliwy pas chmur, z rzadko wystrzelającymi piorunami, przesuwiał się pod skrzydłami samolotu.

Po drugiej stronie gór powietrze było wyjątkowo przejrzyste. Dobrą widoczność

zakłócały już bardzo skośnie padające promienie Proximy, której czerwona tarcza dolną krawędzią niemal opierała się o widnokrąg. Była olbrzymia. Przy porównaniu z dalekimi formacjami terenu wydawała się jeszcze większa. Nisko nad horyzontem nie raziła już wzroku, a barwa jej stała się niemal wiśniowa.

Samolot wytracił przeszło połowę wysokości i leciał teraz znacznie wolniej. Renę wskazał w dole olbrzymią niebieskawą płachtę urozmaiconą łysinami polan i taflami jezior.

–To właśnie najlepiej zachowana oaza ciepła. Na jej skraju Ast upatrzyła dogodne lądowisko.

Przeleciawszy jeszcze kilka kilometrów, pojazd zatrzymał się w powietrzu i zaczął szybko opadać w dół.

Ze zdumieniem spostrzegli biały pióropusz dymu ścielący się w oddali na tle rzeki. Allanowi zdawało się, że pomiędzy czubkami drzew nad widnokręgiem błysnął w tym miejscu pomarańczowy płomyk.

Gdy wylądowali, z otwartych drzwi samolotu pierwszy wyskoczył Smok, a za nim Allan. Rozejrzawszy się wokoło, botanik stuknął butem o twarde podłoże raz i drugi. Nie okaleczył go nawet najdrobniejszą rysą. Z uwagą przyglądał się nawierzchni.

–Kto topił i wytłaczał tę kostkę, by nam ułatwić lądowanie?

–Kto? – powtórzył pytanie Renę, wyciągając z bagażnika plecaki ze sprzętem badawczym. – Przyroda!

–Więc to formacja naturalna?

–Tak. Ten typ pustyni nazywa się takyrem. W czasie topnienia śniegów gliniastą glebę pokrywa warstewka wody. Przy każdym podejściu Temy do periastronu grunt wysycha i pęka na cztero- i sześciograniaste płytki, twarde jak kamień. Takyry, znane na Ziemi, to pustynie ubogie we wszelkie życie. Wątpię, aby w tutejszych warunkach, gdzie proces powrotu do stanu „kostkowego” powtarza się regularnie co trzy dni, mogła uchować się jakaś roślinność. Podczas wysychania bowiem pękająca glina za każdym razem rozrywałaby brutalnie korzonki coraz to w innym miejscu.

–Wielka szkoda... – stwierdził Allan w zamyśleniu.

–Nie martw się – pocieszył go Renę. – Gdzie znajdziesz więcej ciekawej roślinności niż w oazie ciepła? Odkryjesz tyle nowych gatunków, ile zapragniesz.

–Nie p to mi chodzi w tej chwili...

**–Trapi cię coś? – serdecznie spytał Renę.**

**–Zgadłeś. Chciałem się właśnie cię poradzić.**

**–Wal śmiało, Al – zachęcił go zoolog.**

**–Widzisz... – zaczął powoli. – Nadal myślę o tych porostach. Wiesz...**

**–TY-112? Ale przecież uznałeś, że epidemia już wygasa. Inaczej nie przylecielibyśmy tu.**

**Allan zastanawiał się.**

**–Jak by to powiedzieć?... Epidemia wygasa doszczętnie. Ale ja nic a nic z tego nie rozumiem.**

**–Słuchaj, chłopcze – serdecznie odparł Renę. – Obaj jesteście biologami. Wiemy, jak ogromne, często wręcz nieprzeczuwalne, zasoby sił witalnych tkwią w przyrodzie żywej. One mobilizują samoobronę komórek, tkanek, organizmów, ba! może nawet całej biosfery. Taki właśnie proces tu się wydarzył. Z pewnością wkrótce odkryjesz mechanizm jego działania.**

**–Odkryłem go. Może nie tyle proces, co wynik. Ale... on klóci się rażąco z moją wiedzą biologiczną!**

**–Jak mam to rozumieć?**

**–Otóż TY-112 nie został zwalczony przez jakieś ciała odpornościowe w organizmach roślin – ciągnął Allan – ani jakimkolwiek innym sposobem. On sam uległ kolejnej mutacji, wręcz zbawiennej dla całej zainfekowanej flory.**

**–Dla już zainfekowanej flory? – powtórzył zoolog z niedowierzaniem.**

**–Mało tego! Mutacja nie wydarzyła się jeden jedyny raz, jak to bywa normalnie, lecz uległy jej równocześnie wszystkie TY-112, które badałem. Pochodziły z różnych miejsc i z różnych gatunków porostów, a także świeżo porażonych mchów.**

**–Nonsens – odparł Renę. – Widocznie nie było należytej sterylności i jedne kolonie zakażały się od drugich.**

**–Powtarzałem badania – odparł Allan już z mniejszą pewnością siebie.**

**–Powtarzaj tak długo, aż wykryjesz, w czym tkwi niedopatrzenie. W żadnym wypadku nie radzę ci pisać o tym „odkryciu” w sprawozdaniu.**

**–No cóż, jak wrócę do Jedynki, nie wyjdę z laboratorium, póki tego nie wyświetlę.**

**Wóz albo przewóz! Dziękuję ci bardzo za życzliwe rady – dodał po chwili. – A teraz musimy zająć się sprawami, dla których przylecieliśmy tutaj. Nie daje mi spokoju tamten ogień nad rzeką. Kto go rozniecił? Ani burzy, ani wybuchu wulkanu... A jestem prawie pewien, że widziałem płomień. No i ten dym.**

**Renę zastanowił się.**

**–Tak. Niewątpliwie w promieniu tysięcy kilometrów nie ma prócz nas żadnej ludzkiej istoty. Może naprawdę tajemniczy ktoś rozpałił sobie ognisko?**

# OGNISKO

Wysoki mech, przypominający miękką puszystą sierść, rozsuwał się bezszelestnie pod stopami Renego i Allana. Niepokaźny wzgórek był pokryty popiołem i zwęglonymi resztkami gałęzi.

Już od czterech godzin wędrowali przez puszcę, na próżno szukając źródła tajemniczego dymu. Gdy już chcieli zawrócić, niespodziewanie spostrzegli szarą plamę na polanie.

–Jakież to niezwykle! – wykrzyknął botanik... – Ognisko rozniecone przez...

–...piorun! – dokończył Renę, choć minę miał niepewną. Allan zasępił się.

–Tak sądzisz? W każdym razie musimy szczegółowo zbadać ten ślad. Może jednak czyjeś ręce skrzesały tu ogień?

Zoolog stanął nad pogorzeliem w głębokim zamyśleniu.

–Trzeba ustalić, kiedy tu hulał płomień.

To rzekłszy, wsunął dłoń w warstwę popiołu. Uczuł przyjemne ciepło.

–Grzeje, prawda? – rzucił Allan z zadowoleniem. Potem wyjął termometr. Powietrze miało 15°C, a pod warstwą popiołu było o sześć stopni cieplej.

–To jeszcze nie dowód, że temperaturę podwyższył gasnący żar – zastanawiał się Renę. – Jesteśmy przecież w kotlinie ciepła. Zapewne grunt jest tu naszpikowany takimi walcami radioaktywnymi, jak ten, którego część wydobyli Hans i Wład. Trudno znaleźć inne wyjaśnienie panującej odwilży. W tych szerokościach planetograficznych Temy wszystko powinien skuwać lód.

Pomiar temperatury o kilkanaście metrów dalej potwierdził to rozumowanie. Analiza zmian, jakie zaszły w węglu drzewnym, upewniły badaczy, że to, na co patrzą, było ogniskiem pięć albo sześć dni temu.

Poszukiwania w popiele dały wiele do myślenia. Wyżłobione w ziemi palenisko, półmetrowej głębokości, miało kształt paraboliczny. Allan wydobył wystający zeń przedmiot przypominający miskę. Bliższe oględziny wykazały, że to kawał pancerza stanowiącego pokrywę grzbietową jakiegoś niedużego zwierzęcia.

–Czy stosując kryteria anatomii porównawczej – zapytał Allan – odtworzysz wygląd właściciela tej skorupy?

–W przybliżeniu – odparł zoolog. – Współzależność narządów wchodzących w skład

organizmu powinna być podobna w dowolnych obszarach wszechświata. Jednak aby rekonstrukcja była wierną kopią oryginału, konieczna jest ogólna znajomość biosfery danej planety, zarówno współczesnej jak minionej.

Z wierzchu pancierz był czekoladowy z szarymi pręgami. Allan odwrócił go stroną wewnętrzną i dostrzegł niewielki otvorek wywiercony w twardej skorupie.

W miarę jak Renę przyglądał się znalezisku, rysy jego twarzy nabierały powagi.

–W tym miejscu pancierz został przebity ostrym narzędziem – stwierdził po namyśle.  
– Takim sposobem rabuś, nie określamy go bliżej, dostał się do miękkich części ofiary, prawdopodobnie do mózgu. Może dokonał tego przed pieczeniem mięsa? Zbadajmy, czy miejsce przebicia było poddane działaniu;

ognia tak samo długo, jak reszta powierzchni pancierza. A przede wszystkim:

czym zrobiono otwór.

Zoolog wyjął z plecaka podręczny mikroskop, narzędzia do skrawania preparatów i kilka analizatorów chemicznych. Obaj przykucnęli nad pogorzeliem, skrupulatnie ustalając skład chemiczny i stopień wypalenia krawędzi otworu, jak również – dla porównania – sąsiednich części pancierza.

–Więc jednak... to ONI – wyszeptał Allan. – Przeczynałem, że tu ICH znajdziemy.

Renę potwierdził skinieniem głowy. Był tak zajęty powtórным sprawdzaniem wyników analiz, że prawie nie spostrzegł towarzysza i całego otoczenia. Gdy skończył, botanik położył mu rękę na ramieniu.

–Jak oceniasz poziom ich cywilizacji? Renę rozłożył ręce.

–Jest tu jakaś sprzeczność. Z jednej strony istoty te rozporządzają dłutami czy świdrami ze stali, którą my uznajemy za znakomitą...

–Być może był to pocisk z broni palnej?

–Raczej nie. Tego rodzaju śladów mechanicznych i chemicznych nie stwierdziłem. Niemniej jest to narzędzie doskonałe. Z drugiej jednak strony, sposób pieczenia zwierzyny pasuje do dzikich ludzi. Nasz przodek, pracłowiek sprzed miliona lat, który jeszcze nie potrafił krzesać ognia, ale skutecznie posługiwał się ogniem naturalnym znalezionym w przyrodzie, tak samo prymitywnie opiekał upolowaną zdobycz.

Allan milczał chwilę, po czym odezwał się:

–Samo palenisko wydrążone w ziemi przedstawia się bardzo ubogo. Ale techniki pieczenia i konsumowania nie znamy. Niestety, trafiliśmy tu zbyt późno. A co do broni palnej, masz rację choćby dlatego, że nie widzę drugiego otworu.

–Otwór został przewiercony bądź przebity hartowanym narzędziem. W każdym razie nigdy nie stałem przed taką zagadką. A właściwie przed łańcuchem zagadek, którego końca nawet nie potrafię dostrzec. Bo cóż nam mówią fakty na podstawie naszej wiedzy ziemskiej? Ze pożarte zwierzę trochę przypominało miniaturę glyptodonta, olbrzymiego pancernika z maczugowatym ogonem, którego kilka tysięcy lat temu Praindianin kłuł włócznią poniżej pancerza? Albo to, że upieczono je w całości, a potem obrano?

–W każdym razie myśliwi nie zostawili żadnego śladu tego zwierzaka prócz okrywy grzbietowej – wtrącił Allan.

–Jeśli naprawdę schrupali go z kośćmi i pazurami, nie uznaję ich za równych" sobie – oświadczył uroczyście Renę.

–Czy, twoim zdaniem, posunięta na tyle wszystkożerność jest sprzeczna z prawami rozwojowymi istot rozumnych?

Zoolog uśmiechnął się.

–Wyraziłem tylko własny, bardzo osobisty pogląd, dotyczący nie praw biologicznych, lecz poczucia dobrego smaku, bynajmniej nie w znaczeniu kulinarnym. Nie miałem na myśli wszystkożerności, ale niewybredności gustów. Człowiek rozrywający pieczeń palcami może być geniuszem. Mimo to, wolę towarzystwo jedzącego nożem i widelcem.

–Jednak ogień, szlachetna stal, sztuczne instalacje ogrzewcze wskazują, że istoty te stworzyły prawdziwą cywilizację.

–Ogień może pochodzić z nieba – odparł Renę – szlachetna stal... na razie nie wiem skąd, a instalacje tak stare jak piramidy egipskie mówią o tym, co było niegdyś, dawno temu. Kto wie, czy za godzinę jakieś odkrycie nie ostudzi twego zapału.

Dokładnie oznaczywszy na mapie miejsce znaleziska. Renę i Allan udali się w dalszą drogę. Przy pancerzu zostawili sygnalizator, by móc szybko odnaleźć zagadkowe popielisko.

Na skraju lasu zoolog dokonał szeregu zdjęć panoramicznych. Dalszy szlak nie nastroił trudności marszowych. Rosły tu stosunkowo rzadko dwu- i trzy-pienne drzewa. Tylko w górze ich rozłożyste, dość płaskie korony układały się w równy ciemnoniebieski dywan, tak zwarty, że trudno było przezeń dostrzec choćby najniklejszy skrawek nieba.

Na ziemi panował półmrok. Pnie, oprócz najbliższych, zlewały się z ogólnym szarobrunatnym tłem. Mimo to, badacze nie zapalali latarek z obawy przed płoszeniem zwierząt. Po miękkim mchu stąpali cicho jak duchy. Wysoko w listowiu wiatr wygrywał monotonną świszczącą melodię.

Wtem pies stanął jak wryty. Zastrzygł uszami i po chwili z głośnym szczekaniem popędził w lewo, od czasu do czasu zatrzymując się i węsząc z nosem przy ziemi. Widocznie znalazł świeży trop.

Allan ruszył jego śladem. Renemu zbyt ciężki plecak ze składanym wirolotem utrudniał bieg tak, iż nie mógł nadążyć.

Mrok powoli rzednął. Nie było to jeszcze przejaśnienie kierunkowe, a przynajmniej biegnący nie spostrzegali, z której strony sączy się światło. Tylko widoczność stawała się rozleglejsza, a ziemia i pnie zmieniały szybko barwę od ciemnoburej do szarobrązowej.

Pomimo napomnień Allana szczekanie psa rozbrzmiewało coraz uporczywiej.

W leśnej głuszy całkiem pojaśniało i Allan, zadyszany forsownym biegiem, przystanął i zdjął plecak ze sprzętem badawczym. Przerwy między drzewami, jak gotyckie okna, otwierały się przed nim na przestrzeń skąpaną w promieniach światła. Smok, wdrożony do posłuszeństwa, przysiadł na skraju puszczy rozglądając się i poszczekując. Allan zrozumiał to jako wytropienie zwierzyny, więc posuwistym krokiem cicho podchodził do psa.

Stali na skraju wielkiej polany, która kilkoma wypustkami wrzynała się w niebieskawy las. Obrzuciwszy spojrzeniem cały teren, Allan dostrzegł osiemset metrów przed sobą, po przeciwnej stronie polany, trzy ciemne sylwetki.

W pierwszej chwili można było je wziąć za sterczące głązy. Jednak gwałtowne wrywanie się psa w tamtym kierunku wskazywało na inną naturę tajemniczych obiektów. Wkrótce i Allan nie miał wątpliwości, gdyż jedna z postaci poruszyła się zasłaniając sąsiednią.

Botanik ujął lornetkę i patrzył w napięciu. Wprawdzie widział każde poruszenie tych istot, lecz obraz był zamazany wskutek drgania powietrza nad kobiercem nagrzanym słońcem mchów. Zaczął się rozglądać za Renem, nigdzie nie mogąc go dostrzec, gdy naraz posłyszał dźwięk silnika wirolotu plecowego.

Uczuł niepohamowaną złość. Popędził w las, skąd dobiegało buczenie, lecz zrozumiałszy niedorzeczność swego postępowania, nacisnął guzik aparatu nadawczego i połączył się z zoologiem.

–Halo, Renę! Słyszysz mnie? Ląduj natychmiast. Wystraszysz bardzo interesujące

okazy.

Podniecony wiadomością zoolog chciał jak najprędzej znaleźć się na ziemi. Właśnie przelatywał tuż nad koronami drzew, w pobliżu miejsca, gdzie znajdował się Allan, i pewnym ruchem nacisnął dźwignię, spadając w zwarty gąszcz listowia. Uczuł, jak gałęzie biją go po rękach i twarzy. Nie zdoławszy pochwycić żadnej z nich, całym ciężarem zwałił się na rozrośnięte elastyczne krzaki, które wydatnie zamortyzowały upadek.

Widząc, że zoolog jest zdrow i w dobrym humorze, Allan przystąpił do wyjaśnień. Gdy wyrażał zdanie, że z postawy prawie wyprostowanej i ogólnego pokroju, wynika, iż mogą to być te same istoty, które Astrid obserwowała z łkara – zoolog zawołał:

–Jednym słowem, Temidzi! Prowadź mnie do nich. Może zdradzą tajemnicę wytopu stali sposobem homo sapiens oraz pieczenia mięsa metodą pitekan-tropa.

Nim dotarli do skraju puszczy. Smok wybiegł im na spotkanie. Głowę miał zwieszoną, wydawał się zalękniony.

Polana była pusta. Daremnie Renę przeszukiwał przez lornetkę cały dostępny teren.

–Szkoda czasu – rzekł wreszcie Allan. – Te istoty były rozmiarów niedźwiedzia brunatnego albo nawet większe. Spostrzeglibyśmy je z łatwością. Ponadto zachowanie się psa świadczy, że zgubił trop.

Postanowili dotrzeć jeszcze do miejsca, w którym Allan zauważył tajemnicze stwory. Brnęli po kolana w zwartym łanie mchów.

–To tu – oświadczył botanik, gdy przeszli polanę. W wysokim elastycznym mchu trudno było zauważyć ślady stratowania. Allan puścił wyżła.

–Szukaj! – rozkazał Smokowi. – Tylko bez hałasu.

Pies szybko odnalazł miejsce postoju czy popasu nieznanymi istotami, w których Allan dopatrywał się gospodarzy Temy. Przyrodnicy jednak, mimo usilnych starań, nie odnaleźli odcisków kończyn. Tak samo po ich przejściu mchy sprężyste odginały się ku górze.

Pies prowadził wytrwale tropem, lecz specyfika puszczy nie wszędzie póź-, walała ludziom iść najkrótszym szlakiem. Grunt przechodził miejscami w grząskie moczary, tym bardziej zdradliwe, że z wierzchu zarośnięte jak niebieska łąka. Gdzieś wabiły oko żółte kępy kwiatów, z daleka podobnych do jaskrów.

–Czyżby twoi Temidzi utrzymywali się swobodnie na powierzchni takich trzęsawisk?  
– Renę niedowierzająco pokręcił głową.

–A łosie? – odparł Altan. – Może i te istoty mają kończyny zaopatrzone w podobne racice, dzięki czemu przebiegają moczary niedostępne dla człowieka.

Po obejściu trzech bagienek upartych badaczy czekała nowa trudność. Idąc puszcza, coraz częściej spotykali dziwaczne krzewy, przypominające olbrzymie kosze przyklepione dnem do podłoża. Z szyjki korzeniowej wyrastał istny las:

paręset witek grubości palca, zrosniętych u nasady. W niektórych takich nieckach gromadziła się woda. Przeważnie jednak kapelusz, jak Allan nazwał ten osobliwy miskowaty niby-pień, miał u dołu kilka szpar.

Dalsze posuwanie się było coraz trudniejsze. Koszowate krzewy rosły tuż obok siebie, wypierając niemal wszystkie rośliny oprócz niskich ziół.

Allan rozejrzał się za psem, a spostrzegłszy, że Smoka nie ma w pobliżu, zaczął go przyzywać. Dopiero po dłuższym nawoływaniu wyżeł zjawił się, zresztą z nieoczekiwanego kierunku. Jego psia mina zdradzała niezwykle podniecenie, a ogon kołysał się nerwowo.

–On ICH widział – stwierdził Renę. W odpowiedzi Smok zaszczekał.

–Pójdę tam! – oświadczył Allan stanowczo. – Jakoś precyzyjnie się dołem, na czworakach.

–Nie wiem, czy podołasz – odparł Renę. – Podszycie kolczastych łodyg, tych niby-jeżyn temiańskich, których tu pełno, zagrozi ci dostęp. A wreszcie, ^eśli te istoty są większe od ludzi, mówisz, że wzrostu niedźwiedzia, to jak mogą wędrować przez tę gęstwinę?

Allan zastanowił się. Nie chciał zaniechać pogoni, ale przyznał rację Renemu.

Zoolog zaproponował cofnięcie się i obejście gąszczu. Teraz szli na ślepo. Wyżeł raz gubił, to znów odnajdywał jakieś ślady, lecz trudno było wyczuć, czy dąży tropem tamtych dwunogów, czy wabią go coraz to inne zapachy.

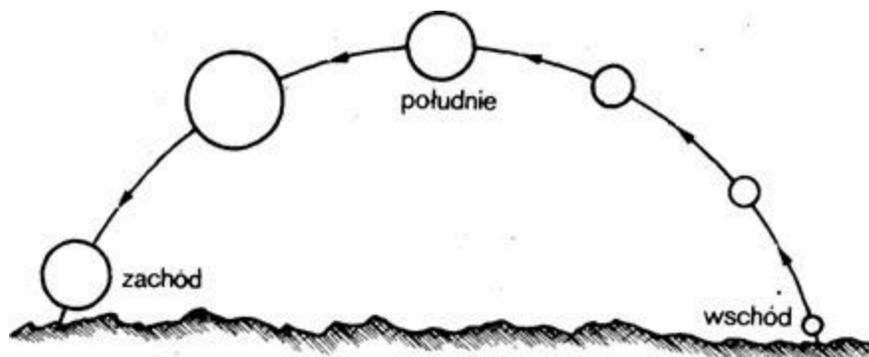
Po długim marszu osiągnęli łagodne zbocze, porośnięte zielskiem i kępami krzewów. Gdzieś tam przysiadło samotne rozłożyste drzewo. To tu, to tam leżały płaskie głazy, niby wielkie płyty wyszarpane z jakiejś budowli.

Było dość ciepło. W górze przelatowały ze znaczną prędkością szarawe chmury. Tylko niekiedy Proxima przebijała matowo przez ich zasłonę.

Zbocze przeszło niebawem w szeroki, płaski taras skalny. Gdziekolwiek warstewka gleby nie uległa rozmyciu i rozwianiu, płożły się rośliny o zdrewniałych łodygach grubych jak ręka, długości kilkudziesięciu metrów. Tu i ówdzie oplatały pojedyncze

kamienie, skrywając je pod anemicznym błękitem szablanych liści. Gdzie indziej wily się nagie, podobne do czarnych uśpionych węży.

Allan potknął się o taką naziemną lianę i upadł na oba kolana.



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 10. Przykład zmiany wielkości tarczy Proximy widzianej z powierzchni Temy (średnica pozorna: w periastronie – 26°, w apastronie – 4°)

–Smok, wracaj! – zawołał, kiedy pies zaczął biec naprzód z głośnym szczekaniem.

Obaj biolodzy zauważyli teraz spore zwierzę, które przed nimi zerwało się w górę.

–Co za pech! – wykrzyknął Allan. – Gdybyśmy podeszli dziesięć metrów bliżej, toby znalazło się w zasięgu paralizatora.

–Dopiero wtedy byłby prawdziwy pech – odparł Renę. – Leżałoby nieruchomo w odrętwieniu, szare jak skała, a my przeszlibyśmy ślepi o krok od niego.

–Zrobiłeś chociaż kilka zdjęć? – zagadnął po chwili.

–Owszem. Ale wolałbym zławić samo zwierzę. O, chyba usiadło tam. Renę uważnie patrzył przez lornetkę.

–Może to kamień? Ale spróbujmy podejść piechotą.

–Istotnie – potwierdził skwapliwie Allan. – Aparatów plecowych możemy tu używać tylko w ostateczności. Nie wolno mącić spokoju mieszkańcom tych ostępów.

Zoolog nie oponował. Mimo zmęczenia chciał unikać hałasu, jeszcze licząc na spotkanie z Temidami. Ruszyli wolno naprzód.

Roślinność stawała się rzadsza, w zagłębieniach nagich skal coraz częściej zalegały kałuże, miejscami nawet niewielkie bajorka.

–Niedawno spadł tu obfity deszcz – zauważył Renę.

Allan zastanowił się, ^

**–Ale przecież idziemy zgodnie z kierunkiem ruchu chmur. Więc czemu o sto metrów za nami jest sucho?**

**Niby głos w dyskusji, krople zaszemrały po kamieniach. Obaj poczuli na twarzach zimny prysznic, który ustał za chwilę.**

**Zjawisko powtarzało się. Deszcz padał krótkimi falami, nie odpowiadającymi następstwu przelatywania obłoków. Nawet przy roz pogodzonym niebie krótkie ulewy bądź spryskiwały uczonych, bądź szumiały po pobliskich skałach.**

**U podnóża właściwego szczytu coraz częściej, w strugach deszczu pojawiały się śniegowe płatki. Raz nawet biała kurzawa na chwilę przesłoniła widoczność.**

**Przez lornetkę stwierdzili, że porywy wichru zdmuchują z najwyższego skalnego grzebienia kłęby białego puchu. Gdy wiatr przeganiał je na nizinę, topniały w dolnych, cieplejszych warstwach atmosfery.**

**Renę i Allan doszli do podnóża dość stromo wznoszących się skał. Z występu ponad nimi zerwały się ukośnie dwa zwierzaki o błoniastych skrzydłach. Chwilami niknęły w tumanach śniegu, to znów, mimo rosnącej odległości, rysowały się wyraziście na białym tle. Jeden z nich zniknął w dole tuż przed szczytem. Drugi, zapewne przerażony szczekaniem psa, wzbił się w górę, aż przewrócony na grzbiet przez wicher, bezwolnie koziółkował wysoko pod chmurami.**

**–Czy decydujemy się na wspinaczkę? – zapytał Allan po chwili. – Koniecznie chciałbym zdobyć tego skrzydłaka, który przycupnął na skale. Dla Zoe – dodał jakby zawstydzony.**

**Renę uśmiechnął się.**

**–Idź. Spotkamy się przy stole biesiadnym z Temidami. Botanik szeroko otworzył oczy.**

**–No, na uczenie przymierza. Jeszcze nie pojmujesz?**

**–Przestań wreszcie żartować – obruszył się Allan.**

**Zoolog wskazał ręką kłęb dymu wydzielającego się z za skały w dolinie.**

**–Oto masz Temidów. Zasłonięci od wiatru, konsumują tego błoniastego lotnika, na którego polujesz z takim trudem. A mówiąc poważnie, trzeba zbadać naturę tego zjawiska.**

**Allan spojrział Renemu w oczy.**

**–Któż by rozpałił ogień, jeśli nie ONI? Nie możesz iść sam. Mało ci tamtej przygody?**

**Zoolog klepnął go przyjaźnie po ramieniu.**

**–Porządny z ciebie chłopak. Warto jednak, abyśmy chwilowo się rozstali.**

**–Przecież mogę zrezygnować z mojego zwierzaka!**

**–Naszym celem jest zgromadzenie jak największego plonu odkryć – odparł Renę. –**

**Nadto oddasz mi przysługę zabierając Smoka, który może wypłoszyć nawet najrozumniejszych gospodarzy planety.**

# WĘDRUJĄCE GŁOWY

Dopiero teraz, podczas wspinaczki po litej czarnej skale, zoolog przyjrzał się uważniej białym kłębowcom, które porywał wiatr. Ta jasna, chwilami półprzezroczysta mgiełka wzbijająca się stale z tego samego miejsca, mogła nie być dymem.

Raczej przypomina parę – pomyślał Renę. – Trudno jednak przypuścić, aby z tamtej strony ktoś grzał wielki kocioł.

Zastanowiło go, dlaczego zbocze pozbawione było jakiegokolwiek roślinności, bodaj najprymitywniejszego mchu. Jednocześnie spostrzegł, że skała wykazuje ślady drażenia przez wodę. Szczeliny były wyraźnie mokre.

Gejzer – przebiegło uczonemu przez myśl. Należało jak najprędzej oddalić się, by nie trafić pod wrzący natrysk.

Okrążywszy skałę Renę mógł sprawdzić słuszność swego przewidywania. Po przeciwnej stronie w spore wgłębienie wtuliło się niespokojne jeziorko spowite obłokami pary. Chwilami docierał do jego uszu ledwo dosłyszalny podziemny pomruk, a w ślad za nim głośniejsze bulgotanie.

Gdybym znał cykl wybuchów... – pomyślał uczony. – Bez tego niebezpiecznie było podchodzić do gejzeru. Nawet teraz znajdował się za blisko. Woda musiała tu strzelać okazałymi fontannami, skoro przelatywała nad wierzchołkiem skały wydzwigniętym sześćdziesiąt metrów wyżej.

Nagle podziemny szum spotężniał, a bulgotanie ustało. Przeświadczony, że kapryśny żywioł czai się do gorącego skoku. Renę odbiegł niemal na odległość rzutu kamieniem. Tu znów pilnie wyczekiwał. Znudzony monotonią, nastawił kamerę, by utrwalić ukazanie się fontanny, i przymocował aparat do skalnego występu.

Obszar poniżej miał osobliwy wygląd. U stóp góry rozciągała się olbrzymia szara łysina pozbawiona widocznych oznak życia. Co dziwniejsze, nie była to ani skalna płyta, ani pole piargów, lecz gleba o wszelkich pozorach urodzajności.

Znalazłszy się na dole. Renę doznał dziwnego wrażenia. Każdy krok po podłożu równym jak stół sprawiał trudność niby zdobywanie stromej ściany. Naraz pojął, że brakuje mu tchu. Przy silniejszych podmuchach wiatru uczucie to ustępowało, lecz po chwili było jeszcze gorzej.

Czyżby uszkodzenie oksyhemu? – zatroskał się.

Aparat jednak działał. Za to maleńki analizator wskazywał zaledwie nikły ślad tlenu w atmosferze. Była ona prawie wyłącznie dwutlenkiem węgla.

**Konstrukcja oksyhemu nie przewidywała tego wysoku przyrody, gdyż dostosowano ją do rzeczywistego składu temiańskiej atmosfery. Toteż zoolog musiał wycofać się na skałę.**

**Nie groziło mu wprawdzie poważne niebezpieczeństwo, gdyż mógł użyć plecowego wirolotu, ale chciał za wszelką cenę uniknąć hałasu.**

**Szedł naprzód powoli, oddychając z wysiłkiem. Dopiero u stóp zbocza z trudem przebiegł pod górę kilka kroków i przystanął. Przewidywania jego okazały się słuszne: już na tej małej wysokości otaczało go zwykle temiańskie powietrze. Gdy jednak, osłabiony, zapragnął usiąść, powtórnie uczuł lekką duszność.**

**Granica warstwy dwutlenku węgla nie była tu tak ostra jak w Psiej Grocie koło Neapolu. Tam ściele się on warstwą półmetrowej grubości i może udusić niewielkiego pieska, pozostając niewyczuwalny dla idącego człowieka.**

**Renę wspiął się jeszcze wyżej, by odpocząć w postawie pólężącej, z nogami opartymi o występ skalny podobny do ściętego pnia. Nagle wzbudził jego czujność odgłos bulgotania połączonego z ostrym szumem. Spojrzał za siebie, w górę, i gwałtownie zerwał się na nogi.**

**Z gorącego jeziora wytrysnął słup wody. U nasady gładki jak wypolerowana kolumna, w górze rozszerzał się wachlarzowato, otoczony białym parującym kłębem, który przesłonił wypogodzone niebo.**

**Renę stał jak urzeczony. Był to najokazalszy wybuch gejzeru, jaki w życiu oglądał. Oczarowany widokiem, nawet nie pomyślał, aby zasłonić twarz. Tymczasem gigantyczna fontanna pod uderzeniem wiatru wygięła się łukowato i skręciła w ruchliwy węzowaty bicz. Jak grzmot wodospadu smagnęła o grunt martwej szarej polany.**

**Renego dosięgnął jedynie rzadki obłoczek gorącej mżawki. Po chwili wszystko ucichło. Tylko drogę spadku gotujących się wód znaczyła wstęga pary szybko wznoszącej się nad pułap dwutlenku węgla.**

**Postąpiłem jak Pliniusz Starszy pod Wezuwiuszem[22] – pomyślał, trochę ochłonawszy z silnego wrażenia. – Z tą różnicą, że moje gapienie się na gejzer nie rokowało nauce szczególnego pożytku.**

**Dokonawszy zdjęć pasa kałuż wraz z białymi, wciąż jeszcze wyraźnymi obłoczkami pary. Renę połączył się z Allanem. Botanika zaniepokoiło określenie „Dolina Śmierci”.**

**–Głupstwo! – prześlizgnął się po tej sprawie. – Wyjaśnię ci, jak tylko się zobaczymy. Co u ciebie?**

Botanik donosił, że zmierza ku zwierzęciu, które razem ścigali. Dopiero teraz udało mu się je odrętwić. Po drodze odkrył ciekawą formację maleńkich, ledwo dostrzegalnych roślin kwiatowych. Wyróżnił już trzy gatunki, szuka dalszych.

–Czy potrzebujesz mojej pomocy? – zapytał. – Bo chciałbym zebrać tu jeszcze inne okazy górskiej flory.

–Nie śpiesz się – odparł Renę. – Porozum się ze mną po ukończeniu badań. Na wszelki wypadek, miejscem spotkania niech będzie samolot.

Zoolog wyłączył radiotelefon i rozejrzał się dokoła.

Tę intrygującą polanę muszę zbadać z lotu ptaka – pomyślał. – Odrętwiony skrzydłak nie ucieknie Alowi, Temidów jakoś nie widać – usprawiedliwiał się przed samym sobą.

Z pułapu trzystu metrów objął wzrokiem monotonną szarą plamę łysiejącą wśród bujnej roślinności. Niemal cała Dolina Śmierci była płaska jak stół. Tylko w jednym miejscu, u południowo-wschodniego brzegu podnosiła się łagodnym kamienistym zboczem trochę wyżej niż czarna skała przy gejzerze. Przeciwległy stok opadał stromą ścianą. U jego stóp rosły nawet drzewa, choć właściwa puszcza rozpoczynała się dalej. Tę regularną fałdę skalną przecinała przez środek przełęcz bardzo wąska i tak symetryczna, że Renę zaczął wątpić, czy ona jest dziełem natury.

Dopiero za nią, po przeciwległej stronie zbocza zalegał – niby ziemisty ogon – szeroki pustynny pas. Właśnie przez tę skalną bramę wypływał z Doliny Śmierci dwutlenek węgla i rozpraszał się w atmosferze. Gaz ten przenikał ze szczelin i porów gruntu. Kształt jałowej łysiny w Kotlinie Pięciokąta uwarunkowany był niemal stałym kierunkiem wiatrów oraz rzeźbą terenu.

Posuwając się stepem z rzadka urozmaiconym kępami zarośli, a gdzieniegdzie piramidalną sylwetką granatowosiniego drzewa, Renę spostrzegł w dali wędrujące stado jakichś zwierząt. Wydawały się rozmiarów zajęcy. Kiedy spojrzął na nie przez lornetkę, uczuł dreszcz niepokoju.

Co u licha? – pomyślał. – Czyżbym uległ zatruciu? Jakieś zwidy, chorobliwe złudzenia... Śni mi się na jawie defilada ściętych głów?!

Ogarnął go lęk: może zaalarmować Allana? Lecz rychło wzięta górą obawa przed ośmieszeniem się. Zbulwersowany, niemal zawstydzony rozejrzał się po stepie.

Pejzaż nie potwierdzał żadnych podejrzeń. Ciemnoniebieskie poszycie gruntu było podobne do spotykanego już poprzednio, krzewy i drzewa też nie zdradzały jakiegokolwiek niesamowitości. Po niebie płynęły wysokie chmury trochę wolniej niż przedtem, a lekki wietrzyk przyjemnie muskał twarz. Było dosyć ciepło i jasno, bo

długi dzień nie miał się jeszcze ku końcowi.

Renę ponownie ujął lornetkę i skierował na daleką kępę drzew. Sieć gałązek rysowała się nader dokładnie. Na jednym z liści spoczywał niby-owad wielkości pszczoły.

Upewniony, że spostrzega normalną przyrodę Temy, a nie jakieś halucynacje, postanowił ze spokojem i zimną krwią zbadać szokujące wcześniejsze odkrycie, które tak nim wstrząsnęło. Przede wszystkim był ciekaw, czy i teraz ujrzy to samo.

Nic się nie zmieniło. Zoolog wyjął z pasa kamerę i utrwalił w kryształach obraz. Żałował, że nie miał przy sobie zwykłego aparatu dającego natychmiast zdjęcie, mógłby bowiem w ten sposób sprawdzić swe spostrzeżenia. Nie ulegało jednak wątpliwości, że zjawisko jest realne. Czyżby ewolucja mogła ograniczyć cały organizm do samej głowy? A serce i inne narządy wewnętrzne też znalazły przytułek w tej uniwersalnej mózgowcaszce? – ironizował, polemizując sam z sobą.

Szybko jednak doszedł do przekonania, że ten ostatni argument można podważyć. A samogłów? – zastanowił się. Przed oczami wyobraźni stanęła mu ta ryba oceaniczna dwutonowej wagi, która wyglądała, jakby składała się jedynie z walcowatej głowy, jakby odciętej od korpusu mieczem.

Podobna konstrukcja zwierzęcia Jadowego wydawała się znacznie bardziej utrudniona: łeb olbrzyma na kurzych łapkach? Ponieważ Renę nie mógł zaprzeczyć niesamowitemu widokowi, jaki oglądał przez lornetkę, zapragnął zbadać go tym wnikliwiej.

Obraz był tak wyrazisty, jakby znajdował się o parę kroków. Stado liczyło kilkanaście okazów. Renę nastawił szkła na maksymalne powiększenie, przy którym pole widzenia zajęła jedna głowa. Wyglądało, że tworzy ona samoistną całość spoczywającą na zwartym niskim mchu. Trochę większa od ludzkiej, a zwłaszcza szersza, ukształtowana była całkiem inaczej. Para ogromnych oczu o szparkowatej źrenicy zajmowała tak znaczną część „twarzy”, iż wydawało się, że jedynym przeznaczeniem głowy jest użyczenie miejsca tym jaskrawozielonym ślepiom, które patrzyły jakoś przejmująco – ani drapieźnie, ani łagodnie. Nie była to głowa żadnego z zaobserwowanych dotąd zwierząt Temy. Czy mogła należeć do istoty obdarzonej inteligencją? Niesamowity wyraz oczu stanowił rażące zaprzeczenie tego obrazu Temida, jaki Renę zdążył wytworzyć w fantazji.

Oczy przedzielała jakaś narośl przypominająca trąbkę, w której można było dopatrywać się nosa tylko przez analogię umiejscowienia. Poniżej wysuwała się mordą, z profilu wydłużoną, przeważnie wpółotwartą, w której czeluściach gęstniało ciemnofioletowe ubarwienie. Nie miała ani warg, ani widocznych zębów. Zakończona była spiczastymi występami, prawdopodobnie z substancji rogowej.

**Domniemany Temid... Widzę tu tylko monstrualnie rozrośniętą obudowę oczu – rozważał zoolog. – A gdzie dogodne miejsce dla odpowiednio wysklepionej mózgowiczejki? Zmieściłby się tam najwyżej mózg psa. I taka istota miałaby krzesać ogień?!**

**Renę przypomniał sobie, jak przekonywał córkę, że nawet u psychozoów mózg może się mieścić w dowolnej części ciała, byle był należycie chroniony. A teraz, na konkretnym przykładzie, sam nie chciał w to uwierzyć.**

**Chciał się bronić przed tym antropomorfizowaniem, lecz – z drugiej strony – u obserwowanych okazów nie widział innego miejsca na ten narząd, skoro stanowiły tylko głowę. I tak źle, i tak niedobrze.**

**Nasunął mu się jeszcze jeden obraz. Jeśli rzeczywiście był to łeb olbrzyma na kurzych łapkach, nawet przy takim przybliżeniu kształcie głowy stosunek wagi mózgu do wagi ciała mógł być bez porównania korzystniejszy niż u ludzi. Jakie byłyby szanse człowieka w starciu z taką inteligencją? Oczywiście nie chodzi tylko o stosunek wagowy mózgu i ciała. Wiele zależy od pofałdowania kory, subtelnych szczegółów budowy mózgowia...**

**A odpowiednik rąk? – Renę zadawał sobie kolejne pytanie. – Gdzie wystarczająco sprawne kończyny uwolnione od funkcji podpierania ciała, przystosowane do wykonywania złożonych ruchów, zdolne do precyzyjnych czynności, do twórczości artystycznej, do celowej pracy w myśl zaleceń takiego arcymózgu?**

**Nagle skupisko śledzonych okazów poruszyło się jak na komendę. Przodem sunęła jedna głowa, prawdopodobnie przywódca grupy, a może tylko stada. Za nią reszta oddalała się bez zbytniego pośpiechu. Teraz Renę mógłby przez lornetkę zbadać pośrednio sprawę nóg, na podstawie ruchu głów i sposobu rozchylania się mchu. Powziął jednak inny zamiar.**

**–Dogonię was! – zawołał w podnieceniu. – Dogonię, odrętwię, ba! uprowadzę do bazy.**

**Ostatnie słowa utonęły w szumie wirolotu, który niby strzałę wzbił zoologa w powietrze.**

# ŚLADY NAD JEZIOREM

Od ostatniego periastronalnego położenia Temy okolicy tej jeszcze nie nawiedził śnieg. Był to suchy step, z rzadka porośnięty kępami roślin zarodnikowych o fiszbinowatych, twardych liściach, od spodu zaopatrzonych w cieniutki występ zbudowany głównie z krzemionki. Taki twór, tnący nie gorzej od stali, sprawiał, że blaszki liściowe nie mogły stać się pastwą żadnych roślinożer-ców. A ponieważ innej flory nie było tu prawie wcale, obszar ten omijały większe zwierzęta.

Astrid wybrała ten step do badań geofizycznych dokonywanych z łkara. Miał on szczególne walory i pod pewnym względem żaden opisany dotąd przez członków wyprawy skrawek planety nie mógł z nim współzawodniczyć.

Gdy stwierdzono jeszcze spektroskopowe, że atmosfera Temy składa się głównie z dwutlenku węgla, wśród uczonych powstał spór, czy pewne ilości tego gazu mogą okresowo zestalać się, przynajmniej w niektórych okolicach. Pomiary temperatury poszczególnych rejonów Temy, dokonywane o różnej porze długiej doby i krótkiego roku, prowadziły do wniosku, że proces ten nie powinien zachodzić na szerszą skalę.

W kilka miesięcy później obserwacje z łkara potwierdziły słuszność tych przewidywań. Okazało się, że tylko w czasie najdłuższej nocy w niektórych szczelinach i zagłębieniach terenu, zwłaszcza w bliskości biegunowych czap lodowych, pojawia się czasem biały puch, złożony z drobnutkich kryształków zestalonego dwutlenku węgla.

Astrid podejrzewała, iż w wyjątkowo sprzyjających warunkach zjawisko to mogłoby utrzymywać się jeszcze za dnia. Był to problem pasjonujący, gdyż dokładne zbadanie krążenia tego gazu pozwalało lepiej poznać właściwości przyrodniczego środowiska Temy, a więc i dziejów życia na tym globie. Dwutlenek węgla odgrywał tam niepoślednią rolę regulatora klimatu, w dużym stopniu akumulując nagromadzone ciepło promieniowania Proximy: wydatnie zwalniał jego uchodzenie w przestrzeń międzyplanetarną, zwłaszcza podczas nocy następującej po wyjątkowo mroźnym, najdłuższym dniu.

W polu widzenia robota Łazika leżał wyniosły łańcuch górski osłaniający step przed wichrami. Ponad masywem skalnym, z daleka trochę podobnym do pokruszonej ściany, przelatowały ogromne masy zimnego powietrza znad Południowej Czapy Biegunowej i wolno opadały w dolinę. Dlatego klimat był tu bardzo surowy.

Łazik pochylił się nad skalną płytą poprzerzynaną kilkoma szczelinami.

Jedna z nich, szeroka na dwa palce, była oszroniona, jak to bywa czasem na Ziemi z zewnętrznymi ścianami budynków, gdy nastaje odwilż.

**Niespodziewanie odezwał się sygnał alarmowy. Unieruchomiwszy Łazika, Astrid zamknęła drzwi kabiny i pędem pobiegła do centrali radiotelewizyjnej.**

**Jednocześnie z nią zjawił się tam Szu. Stanęli milcząco przed lampką Renego, która paliła się ostrzegawczym karminowym światłem. Trwało to może sekundę, po czym dziewczyna przypadła do aparatu.**

**–Renę! Czy słyszysz mnie? Mówi Ast. Odezwij się! Renę, co się stało? Oboje powtarzali wezwania i nasłuchiwali, ale prócz szumów i trzasków, związanych z magnetycznymi zaburzeniami w atmosferze, do uszu ich nie dobiegł żaden dźwięk. Zaalarmowali więc Jedynekę i Dwójkę o przypuszczalnym wypadku zoologa oraz połączyli się z Allanem donosząc, że lampka Renego pali się od pięciu minut ostrzegawczym światłem. Botanik był wstrząśnięty wiadomością.**

**–Rozmawiałem z nim o wpół do trzeciej – wyjaśnił. – Miał się spotkać ze mną w samolocie.**

**Astrid i Szu szczególnie przeraziła wiadomość, że Renę przesłał Allanowi ostatni słowny meldunek z jakiejś zagadkowej Doliny Śmierci. Jednak ustalwszy na mapie dokładne położenie tej doliny stwierdzili, że sygnał alarmowy zoologa nadany został trzydzieści dwa kilometry od tego miejsca. Dolina Śmierci, leżąca w innej części Kotliny Pięciokąta, nie mogła więc być przyczyną niebezpieczeństwa grożącego Renemu.**

**Szu pobiegł do obserwatorium zlustrować okolicę za pomocą pantoskopu. W miejscu wypadku Renego rozciągała się zwarta puszcza. Już po chwili zrozumiał, jak beznadziejne byłoby zdalne poszukiwanie człowieka w tym gąszczu przesłoniętym od góry listowiem.**

**Wrócił do centrali. Allan donosił, że leci z psem na pomoc, kierując się wskazaniem Astrid.**

**Nagle lampka Renego zamigotała i raptownie zgasła. Oznaczało to, że urządzenie radiowe w hełmie zoologa zostało zniszczone.**

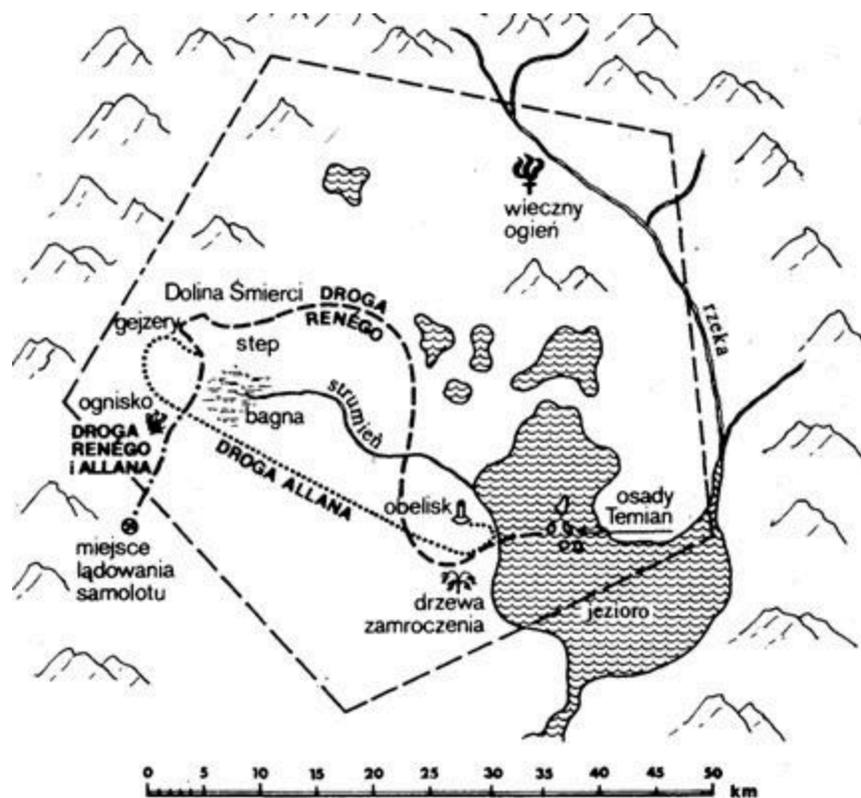
**Allan wylądował na małej polance i uwolnił Smoka z szelek wirolotu. Wysoko w koronach drzew pogwizdywał wiatr. Na ziemi było spokojnie i nic nie nasuwało podejrzeń o zaczajonym niebezpieczeństwie. Cóż więc przytrafiło się Renemu, który rozporządzał wszelkimi środkami ochrony i obrony?**

**Najpierw należało zbadać najbliższą okolicę. Jedno było przecież pewne:**

**gdzieś tutaj znajdował się zoolog w chwili, gdy zgasła czerwona lampka.**

**Pies węsząc pobiegł ku pobliskim krzakom i dłuższą chwilę w nich buszował. Allan**

poszedł za nim; rozejrzał się i stanął jak wryty. Po chwili trzymał w dłoniach złożony wirolot Renego. Obok stał rozpięty plecak z częściowo wyładowaną zawartością. Dokładniejsze oględziny aparatu plecowego nie wykazały śladów zewnętrznych uszkodzeń. Wyglądało na to, że zoolog położył wirolot i plecak na ziemi bez pośpiechu – inaczej pozostałby przynajmniej drobny ślad uderzenia o grunt.



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 11. Kotlina Pięciokąta z zaznaczeniem szlaków wyprawy Renego i Allana

Polanę okalały wysokopienne drzewa. Allan spotkał je pierwszy raz – może najbardziej oryginalne ze wszystkich, jakie widział i jakie mógł sobie wyobrazić. Pień grubości człowieka rozszerzał się w nieckowato wygiętą ku dołowi narośl, z której zwisało aż do ziemi kilkanaście giętkich bieży zakończonych szafirowymi kielichami dwumetrowej wielkości.

Choć Allan wiedział, że teraz nie może rozpraszać uwagi na florystyczne niezwykłości, dokładnie przyjrzał się tym dziwolągom. Zaczął bowiem podejrzewać, iż właśnie tu należy szukać źródła zagrożenia. Niepokoiło go, że przypuszczalnie te ogromne kielichy nie stanowiły kwiatów. Niewątpliwie bowiem kwiaty, podobne do żółtych petunii, wyrastały wprost z pnia.

Było jasne, że szafirowe kielichy nie są tylko kapryśną ozdobą, lecz mają ściśle określone przeznaczenie. Choć na tym szokującym drzewie, patrząc z dołu, trudno było dojrzeć liście, Allan wątpił, aby osobliwy kielich pełnił rolę oddechowo-asymilującą. Przeraziła go myśl, że może to być drzewo mięsożerne.

Porównanie z takimi roślinami na Ziemi bynajmniej nie rozpraszało obaw. Pułapką

na owady, pająki i inne drobne bezkręgowce jest tam z reguły odpowiednio przebudowany liść, nieraz o wymyślnych kształtach głębokich dzbanków, pucharów z wieczkiem, torebek nakrywanych kapturem. Pod tym względem tutejsze kielichy wcale nie były rekordów oryginalności. Przytłaczały natomiast ogromem. Właśnie to było najgroźniejsze: mogły pomieścić zdobycz rozmiarów człowieka.

Niemal wszystkie zagadkowe kielichy były otwarte. We wnętrzu każdego, na samym spodzie, znajdowała się kula wielkością i barwą przypominająca pomarańczę. Owoc? – zastanawiał się botanik. Wzrok jego prześlizgnął się w górę po pniu, prostym jak świeca, aż do nieckowatej narośli, z której niczym liany spływały zielone pędy zakończone właśnie kielichami. Zdumiał się spostrzegłszy, że takie same „pomarańcze” przyklejone były do gładkiej lśniącej kory, obok podobnie wyrastających kwiatów.

Jeszcze jedna analogia do drzew pomarańczowych: kwitną i owocują równocześnie – pomyślał Allan. – Jeśli te kule na pniu są rzeczywiście owocami...

Botanik zaczął od ustalenia roli kielichów. Dobywszy noża, odciął długi pęd z pobliskiego krzewu. Z gotową żerdzią podszedł do obiektu badań. Kielich drgnął i sprężył się już za pierwszym dotknięciem kuli przynęty. Potem całość, skrócona i spęczniała na kształt balonu, zamknęła się wokół obcego ciała, które podrażniało „pomarańczę”.

Czy Renę mógł zginąć w takiej zdradzieckiej roślinnej paszczy? Zielony bicz okazał się zbyt twardy dla zwykłego noża, więc botanik użył noża laserowego, który w okamgnieniu przepalił tę dziwną lodygę. Rozcięcie kielicha ujawniło, że wewnętrzne jego ścianki nie miały kolców lub innych urządzeń do przytrzymywania upolowanego zwierzęcia. Natomiast „pomarańcza” stanowiła zdrewniałą, silnie zmineralizowaną imitację soczystych owoców wyrastających z gładkiego pnia.

Trzeba było zbadać, czy kielich wydziela substancje trujące dla człowieka. Nim jednak zdążył przeprowadzić próbę, usłyszał dobiegające z oddali ujadanie psa. Czyżby Smok odnalazł Renego i teraz toczył bój o jego życie?

Nie było chwili do stracenia. Allan bez wahania pobiegł w kierunku głosu psa, którego szczekanie przeszło nagle w skomlenie. Z puszystej kępy wysokich ziół wypadł Smok. Próbował dobiec do botanika, lecz wkrótce przewrócił się i nie mógł powstać.

W prawym boku wyżyła tkwił dziwny pocisk: asfaltowa kulka przekłuta długim kolcem. Wyciągnąwszy go bez trudności, Allan przyjrzał mu się uważnie. Znał roślinę, z której kolec pochodził, i jej silne działanie trujące. Sięgnął do torby po odpowiednią strzykawkę z antytoksyycznym lekiem.

**Za parę minut pies poczuł się lepiej. Nie mógł jednak jeszcze wstać o własnych siłach.**

**Allan przystąpił do oględzin zagadkowego pocisku. Na asfaltowej kulce dostrzegł odciski szerokich palców.**

**W pobliskich krzakach rozległ się lekki trzask, jakby ktoś ułamał gałąź. Smok drgnął, niespokojnie węsząc.**

**Szybko opuściwszy na twarz osłonę z przezroczystego tworzywa, Allan zaczął skradać się ku zaroślom. Usiłował dojrzeć coś przez niebieski gąszcz, lecz nic szczególnego nie zauważył. Tymczasem Smok, widać w obawie, aby go nie zostawił, z trudem stanął na nogach i podążył za swym panem. Z głębi puszczy do uszu botanika dobiegł jakby tętent. Usłyszał krótki, ostry gwizd. Potem wszystko ucichło.**

**Zrazu Smok podążył naprzód, lecz obwąchawszy niską kępę ziół w zaroślach, wtulił ogon pod siebie i wycofał się, cichutko skomlać. Allan odkrył w tym miejscu jakiś niewyraźny trop. Z nacisku stopy na miękki grunt wywnioskował, że nie rozpoznana istota – Temid czy zwierz? – musiała być bardzo ciężka.**

**Pies znów zniknął w krzakach, lecz na wezwanie wyskoczył z niebieskich gąszczy i przywarł do nóg Allana. W pysku miał jakiś niewielki biały okruch.**

**W pierwszej chwili botanik sądził, że ma przed sobą nowe niezwykle znalezisko – wytwór istot rozumnych zamieszkujących Temę. Wystarczyło jednak wziąć przedmiot do ręki, aby spostrzec pomyłkę: odłamek był częścią podstawki izolacyjnej paralizatora hełmowego, używanego przez uczestników wyprawy. Z oględzin wynikało, że antena aparatu została strzaskana wyjątkowo twardym, ostro zakończonym narzędziem.**

**A więc napaść – pomyślał Allan. Był wstrząśnięty odkryciem.**

**Wnioski płynące z dotychczas stwierdzonych faktów nie nastrajały optymistycznie. Jeśli Renę nie zdołał w pierwszym momencie skutecznie odeprzeć ataku, można było wątpić, czy w ogóle był zdolny do podjęcia później walki o życie. Czyżby napastnicy mieli jakieś zabezpieczenie przed obezwładniającym działaniem aparatu hełmowego? A może właśnie doświadczywszy tego działania roztrzaskali hełm z odległości? Lecz skąd wiedzieli, iż to on jest przyczyną zaburzeń układu nerwowego?**

**Botanik uświadomił sobie, że jeśli pies przyniósł odłamek podstawki izolacyjnej hełmu, w tym samym miejscu mogły znajdować się dalsze dowody rzeczowe, na przykład ślady szarpaniny Renego z napastnikami. Może nawet on sam, ranny albo nieprzytomny, leży gdzieś w krzakach?**

**Wyżeł szybko zaprowadził Allana na miejsce, skąd przyniósł znalezisko. Dalsze**

odłamki izolatora leżały pod mięsożernym drzewem, tuż obok jednego ze zdradzieckich kielichów, który był jednak pusty. Pozostałe, szeroko otwarte, również nie wymagały zbadania. Sąsiednie drzewo miało wprawdzie aż dwie pułapki zaciśnięte, lecz znalazł w nich tylko małe zwierzęta, wielkości królika i salamandry.

Powoli, z wielką dokładnością Allan przeszukał najbliższe otoczenie. Nigdzie nie zauważył śladów krwi. Także nic nie wskazywało, aby toczyła się tu walka.

Botanik zachodził w głowę, jak Renę mógł poniechać obrony i biernie poddać się przemocy.

Wahanie, co dalej robić, trwało krótko. Przede wszystkim należało powiadomić o odkryciu wszystkich kolegów znajdujących się w obrębie Temy. Zaczął od Astrid i Szu na Ikarze, jako rozporządzających najlepszymi środkami łączności oraz jedynym pantoskopem umieszczonym nad powierzchnią globu. Co prawda Ikar tylko okresowo ogarniał swym zasięgiem Kotlinę Pięciokąta – wskutek bliskości Proximy i bardzo wydłużonej orbity Temy nie mógł być satelitą stacjonarnym – jednak w tej chwili teren ten wchodził w zasięg obserwacji pantoskopu.

Zaraz potem Allan połączył się z Hansem i Władem w Dwójce, jako mogącymi najszybciej przybyć osobiście z pomocą. Na ostatek zostawił delikatną i niełatwą misję kontaktu z Jedyką, gdzie przebywała Mary, Ingrid i Zoe.

Hans i Wład przylecieli do Kotliny Pięciokąta przed zapadnięciem nocy. Przywieźli wirolot oświetleniowy, gdyż okulary noktowizyjne mogły dawać fałszywy obraz w specyficznych termicznych warunkach oaz ciepła. Zabrano też dwa psy, aby z ich pomocą dokładniej przeczesać teren puszczy. Jeśli Renę nie żył, działanie preparatu przedłużającego okres śmierci klinicznej mogło ustać lada godzina.

Jak wynikało z tropu, którym Allana prowadził Smok, nieznanne istoty mogły przetransportować Renego na brzeg jeziora. Poszukiwania rozpoczęto więc przede wszystkim od tego miejsca, w którym urywał się trop. Wkrótce też odkryto nad bagnistym brzegiem wyraźne ślady dwóch dużych tratw skleconych z nie ociosanych pni. Łatwo było stwierdzić, iż niezbyt dawno spuszczone je na wodę. Czyżby więc byli na właściwej drodze? Jeśli Renę został uprowadzony i przewieziony tratwą do siedzib Temidów, dalsze poszukiwania były bardzo utrudnione wobec mnogości wysepek i gęstych krzaków zarastających brzegi. Co gorsza, zbliżanie się najdłuższej nocy temiańskiej, trwającej ponad sześćdziesiąt godzin, bardzo ograniczało możliwości obserwacji z powietrza i z kosmosu.

–Na jakim szczeblu kulturowym są Temidzi? – zastanawiał się Wład. Allan rozłożył ręce w geście bezradności.

–Cóż o nich wiemy? Trochę sprzecznych spostrzeżeń i luźne domysły, to na razie

**wszystko.**

**–Jeśli są to istoty na poziomie pitekantropa, sprawa wygląda źle – stwierdził Hans.  
– Niestety, w takim przypadku mogli zabrać Renęgo przede wszystkim dlatego, aby go pożreć.**

**Allan milczał ponuro. Wład wysunął inną koncepcję.**

**–Czy istoty na niskim poziomie ^umysłowym nie oddałyby człowiekowi czci boskiej?**

**Hans sceptycznie pokręcił głową.**

**–Owszem: gdyby Renę pokonał je i podporządkował sobie. Powiedz, jaki zwycięzca uznał zwyciężonego za boga?**

**Wład zastanawiał się.**

**–W zasadzie masz rację: z pewnością nie uznałby zwyciężonego za boga w chwili zwycięstwa. Ale z czasem... Różnie bywało. Przecież Rzymianie chętnie włączali bóstwa ujarzmionych narodów do swego panteonu. I nie tylko oni. A są to przykłady z naszego, ludzkiego podwórka. O psychice Temidów nie wiemy nic. Czy kosmiczny jaskiniowiec, pokonawszy obcego boga, nie może uznać go za zdobycz zbyt cenną, aby ją zniszczyć? Jest to, rzecz jasna, czysta spekulacja, ale kto wie...**

**–Oby... – westchnął Hans. – Aż tymi Rzymianami to przykład nie najlepszy. Wątpię, aby rzymska mądrość polityczna cechowała jaskiniowców, nawet temiańskich...**

**Zapadał zmierzch. Hans i Wład przygotowywali wirolot, gdy niespodziewanie psy zaczęły gwałtownie ujadać w kierunku lasu. Również Smok, kręcący się koło Allana, wyraźnie węszył w tę stronę.**

**–Ustawcie lampę, a ja sprawdzę, co tam się dzieje – zdecydował Allan, biorąc Smoka na smycz. – Będziemy w kontakcie radiowym.**

**–Nie odchodź zbyt daleko – ostrzegł Hans. – Weź jeszcze jednego psa.**

**Botanik założył noktowizyjne okulary, nastawił reflektor latarki na emisję podczerwieni i prowadzony przez dwa psy doszedł do skraju lasu. Smok i jego towarzyszy przestały ujadać, tylko węsząc ciągnęły w głąb puszczy. Po przebyciu kilkudziesięciu metrów pojawiła się przed nimi w świetle reflektora wąska ścieżka, która wkrótce zmieniła się w kręty tunel leśny. Psy wyraźnie coś czuły, zmuszając Allana do biegu.**

**Nagle tunel się skończył. Poprzez prześwity między pniami drzew botanik ujrzał ciemny zarys jakiejś budowli przypominającej wieżę. Psy przywarowały, Allan**

**również stanął jak wryty.**

**Na przeciwległym skraju niewielkiej polanki, pod szaroniebieskim dachem olbrzyma puszczy o rozłożonych parasolowato, niezwykle długich konarach – stał na szerokim podwyższeniu monumentalny walec o szarej lśniącej powierzchni. W górnej, nieco zwężonej jego części ciemniały dwa owalne otwory, niby czarne oczodoły. Poniżej rysowało się rozległe pęknięcie.**

**Trzymając psy krótko na smyczach, Allan obszedł polanę, czujnie obserwując otoczenie. Tajemniczą wieżę-obelisk okalały ze wszystkich stron wygasłe ogniska. W popiele walały się zwęglone kości.**

**Tunel leśny, którym botanik przybył, nie był jedyną drogą wiodącą na polanę. Allan zauważył jeszcze cztery podobne ścieżki, przy czym jedna z nich budziła szczególne zainteresowanie wyźłów. Żadnych śladów Renego na polanie niestety nie odnalazł.**

**Dalszą pogoń za tajemniczymi mieszkańcami puszczy Hans i Wład uznali za ryzykowną. Wszyscy trzej zresztą uważali za niemal pewne, że trop prowadzący nad jezioro wskazuje właściwą drogę. Allan zrezygnował więc z dalszych poszukiwań w tej części lasu, zwłaszcza że z Jedyńki przyleciała Ingrid i trzeba było wspólnie ustalić dalszy plan działania.**

**Ścieżka, którą wracał, doprowadziła go tym razem prawie na sam brzeg jeziora. Właśnie wychodził zza krzaków na otwartą przestrzeń, gdy wirolot oświetleniowy z szumem wlatywał w górę. Nagle zrobiło się tak jasno, że musiał zmrużyć oczy odwykłe od blasku. Sterowana automatycznie latająca lampa zawisała na wysokości ośmiuset metrów, oświetlając cały obszar jeziora aż po przeciwległy brzeg i liczne, porośnięte krzakami, skaliste wysepki.**

**W trakcie narady nadeszła z łkara wiadomość, która wzbudziła nowe nadzieje i wyznaczyła kierunek poszukiwań. Astrid donosiła, że z zapadnięciem zmroku coraz wyraźniej daje znać o sobie jakieś nikłe światełko na skraju Kotliny Pięciokąta. Chwilami rozdwaja się, czasami zupełnie przygasa. Obserwacje pantoskopowe wskazują, że są to dwa ogniska tuż obok siebie. Podając dokładnie ich położenie, geofizyczka podzieliła się ważną uwagą: parę dni temu odniosła wrażenie, iż właśnie w tym miejscu widzi dym. Niestety, wkrótce niebo zachmurzyło się, a potem Kotlina Pięciokąta znalazła się poza polem widzenia pantoskopu wobec przesunięcia się łkara na orbicie.**

**O odkryciu tajemniczej wieży Allan opowiedział Szu tylko bardzo skrótowo, każda bowiem chwila zwłoki mogła decydować o życiu Renego. Postanowiono, że Ingrid zostanie z psami na brzegu i będzie utrzymywać stałą łączność z łkarem oraz z Hansem, Allanem i Władem, którzy polecą zbadać zagadkowe ogniska. Zaraz też wzbili się oni w powietrze, tworząc trójkąt równoboczny. Na jego przednim**

wierzchołku znajdował się Allan, sto metrów za nim Hans i Wład. Nie zapalali reflektorów, bo blask podniebnej lampy wystarczał w zupełności. Stale włączone aparaty nadawczo-odbiorcze pozwalały im swobodnie rozmawiać.

Wiatr ustał. Ogromne jezioro, którego przeciwległy brzeg zaledwie się zarysowywał, leżało gładką taflą.

Krajobraz szybko się zmieniał. Skręcili w prawo nad szeroką rzekę tworzącą miejscami rozlewiska. Obniżyli pułap, by lepiej widzieć wodę i podmokłe łąki. Brzegi osłaniał miejscami kolczasty gąszcz odbijający się w toni.

–Teraz którą? – spytał Hans spostrzegając, iż rzeka się rozwidła. – Decyduj, Al, bo znasz okolicę lepiej niż my. Znacznie zmniejszywszy prędkość, polecili nad prawym korytem. Allan przez chwilę studiował podręczną mapę.

–Zawracamy – zdecydował wreszcie.

–Czy tamten nurt nie jest tylko dopływem? – spytał Wład.

–Bez znaczenia. Chodzi wyłącznie o utrzymanie właściwego kierunku. Po pięciu minutach Hans wysunął nowe wątpliwości.

–Znów jesteśmy bliżej jeziora. Lampę widać skośnie przed nami, a poza tym chyba zrobiło się jaśniej niż w rozwidleniu rzek.

–Początkowo znacznie zboczyliśmy z kursu – wyjaśnił Allan. – Niebawem lampa zostanie w tyle.

–A jednak źle lecimy – stwierdził Hans.

Byli u źródeł rzeki, która hucząc tryskała spienioną falą spod skalnej płyty.

–Cofamy się? – zapytał Wład.

Botanik szybko porównał położenie lampy ze wskazaniem mapy i kompasu.

–Nie – zdecydował. – Do tajemniczego ogniska możemy stąd dolecieć w kilka minut. Jeśli nie znajdziemy tam Renego lub jakichś śladów, wrócimy wzdłuż głównego koryta.

Wzbili się nieco wyżej i zawiśli nieruchomo nad puszcza.

Rzeka, której dopływ tak ich omamił, ukazała się teraz znowu. Za rozwidleniem zataczała szeroki łuk. Skierowali się pod jej prąd, według wskazań Astrid o położeniu ogniska.

**Wkrótce istotnie spostrzegli nikły błysk, jak płomyk smolnej szczapy. Na wszelki wypadek przygotowali broń.**

**Po wylądowaniu czekała ich niespodzianka: ognia, który na przemian to rozbłyskiwał, to znów krył się wstydliwie, nie zapalił piorun ani wulkan, ani też świadome działanie istoty myślącej. Źródłem zapłonu były radioaktywne walce, podobne do tego, jaki Hans i Wład znaleźli w Dwójce. Z tą różnicą, że tam z głębokości kilkudziesięciu metrów wydobyli jedynie okruchy tego, co tu mogli podziwiać w całości, jako dzieło nieznanymi konstruktorów.**

**Cztery takie urządzenia leżały na powierzchni. Jedno było częściowo zasypane i tylko wąska, świecąca ciemnowiśniową barwą pręga jego grzbietu widniała spod piasku. Gdy wiatr nanosił suche liście i gałęzie, rozpalały się ogniska. Płomień nie przerzuczał się jednak poza walce, gdyż szybko gasł. Przy mniejszym niż na Ziemi procencie tlenu w atmosferze konieczna była wyższa temperatura zapłonu. Niemniej, z dala od ostatniego walca, w głębi puszczy, między kamieniami można było spotkać mniejsze i większe kopce popiołu. Wobec tego, że ani pędzony wiatrem żarzący się chrust, ani tym bardziej iskry nie mogły przenieść ognia, ogniska te musiały być rozpalane i podtrzymywane przez jakieś istoty inteligentne.**

**Drzewa strzelające konarami w górę, to znów przygarbione nad lekko zmarszczoną taflą jeziora, przypominały jakieś legendarne zwierzęta u wodopoju. Ingrid zniżała lot nad każdą wysepką, a niektóre oblatywała wokół, niemal sięgając stopami wierzchołków drzew. Towarzyszył jej Szu, który przybył z łkara wprost do Kotliny Pięciokąta.**

**Niespodziewanie poczuli gwałtowne smagnięcie wichru. Pod nimi toczyły się krótkie poprzerywane fale.**

**Spojrzeli na niebo. Chmury pędziły szybko i bardzo nisko, chwilami nawet zasłaniając zawieszoną nad jeziorem lampę. Za to na wschodzie, w przerwach między chmurami, dawał się już zauważyć słaby poblask.**

**Nie był to jeszcze świt, lecz jego zapowiedź. Ingrid pojęła bolesną prawdę, że od zaginięcia Renego minęło ponad sześćdziesiąt godzin. Życie jej męża stało pod wielkim znakiem zapytania. Pomyślała, czy położenie rannej Zoe, samotnej i bliskiej śmierci w skalistej pustyni Nokty, nie było lepsze niż Renego w tej chwili.**

**Zoe... Na wspomnienie córki Ingrid ogarnęło przygnębienie. Ona sama, zahartowana życiem, łatwiej zniosłaby cios. Ale jak śmierć Renego przyjąłaby**

**Zoe? Kochała ojca bardzo. Ingrid była przygotowana na wszystko – oprócz tego, by mogła powiedzieć córce, że jej ojciec nie żyje. Dobrze pamiętała ostrzeżenia Willa, by oszczędzała Zoe wszelkich gwałtownych wstrząsów psychicznych, bo mogą się**

okazać zgubne dla jej zdrowia.

Ingrid drgnęła. Gdzieś w dali, poza oświetloną taflą wody trzykrotnie błysnęło ostre światło. Wytężyła wzrok. Na linii horyzontu utrzymywał się nadal niezmacony mrok.

Grzmot nie nadszedł – to nie była błyskawica.

Przez chwilę zatrzymali się w locie, usiłując przebić wzrokiem nieprzeniknioną czerń. Na powierzchni jeziora pluskała woda, czasami wiatr porywał strzępy piany. To były jedyne bezpośrednio uchwytnie oznaki ruchu w przyrodzie.

Jezioro kończyło się tylko pozornie. Gmatwanina drobnych niebieskich wysepek i pływających kęp zlewała się w fałszywy brzeg, do którego nie można było dobrać. W miarę przebywanej drogi brzeg ten rozrywał się na przesmyki, zatoki i większe połączenia czystej wody.

Pobieżne choćby zbadanie tych wszystkich kęp wegetacji zajęłoby wiele dni. Niestety, Ingrid nie umiała już teraz zupełnie określić, z której strony pojawiły się błyskania. Polecieli w ich kierunku, lecz chyba już minęli tę wysepkę, jedną z wielu podobnych do siebie. Ingrid, wyczerpana nerwowo, była skłonna wierzyć, iż uległa złudzeniu.

Wiatr przycichł. Postrzępione rzadkie obłoki wolno wynurzały się spod widnokręgu. Noc wyraźnie bladła. Na wschodzie różowiały wysokie, jeszcze nieśmiałe pręgi zórz.

Byli nad brzegiem jeziora, – w pobliżu obelisku, gdy w powietrzu zapłonęła rakietka. Po niej druga. Trzecia nieomal otarła się o Ingrid, oświetlając z bliska jej twarz krwawą łuną.

Szu włączył radio wzywając Włada.

–Odpowiadam na sygnały – usłyszeli w słuchawkach głos fizyka. Kalina czekał na wzgórzu oddzielającym zarosły puszcza brzeg jeziora od takyrowej pustyni, zamienionej teraz na lądowisko i bazę ekip poszukiwawczych. Hansa i Allana nie było. Polecieli już z psami na drugą stronę jeziora.

–Ktoś sygnalizował reflektorem z przeciwległego brzegu, tam, gdzie są te trzy wysepki niedaleko ujścia rzeki – wyjaśnił Wład. – Przed chwilą znów powtórzyły się sygnały, więc odpowiedziałem raketami. Halo, Hans! Halo., Al! Co tam u was?

–Lecimy nad wyspami! – usłyszeli głos Hansa. – Są tu jakieś groty. Ciemność i cisza. Nikogo tu... – urwał nagle.

W tej samej chwili w dali, po drugiej stronie jeziora, znów pojawiły się błyski – powtórzyły się trzykrotnie, w równych odstępach.



# PRZYJACIEL CZY WRÓG?

Renę przetarł oczy i przeciągnął się leniwie w fotelu.

Przez okna samolotu, – służącego za bazę wyprawy do Kotliny Pięciokąta, widać było dalekie wzgórza.

Ingrid pochyliła się nad mężem i pocałowała go w czoło.. – Czy Wład i Hans już polecili? – zapytał zoolog.

–Tak, kochanie.

–Obiecali wrócić za dwie godziny – wtrącił Allan zajęty przyrządzaniem odżywczo napoju.

–To dobrze! Byle tylko zdążyli. Obawiam się, czy jednak do tego czasu nie wybuchnie epidemia.

–Czy ona wszystkim grozi? – spytał Szu.

–Ludziom w żadnym wypadku.

–A więc komu?

–Sądzę, że będzie najlepiej, jeśli opowiem chronologicznie o wszystkim. Takiemu gadule jak ja sprawozdanie z tych kilkudziesięciu godzin posłuży za wyborne lekarstwo na zmęczenie. Nazwijcie mnie samochwałem, lecz w swoim własnym mniemaniu spisałem się na medal.

Sięgnął po kubek i – wypiwszy kilka łyków pomarańczowego napoju – rozpoczął:

–Nie będę opowiadał szczegółowo o tym, co przeżyłem. Krótko mówiąc, po rozstaniu się z Alem w pewnej chwili spostrzegłem po drugiej stronie rozległej, może kilometrowej polany gromadkę zwierząt. Przez lornetkę wyglądały jak samotne głowy bez tułowia.

Rozejrzał się po trójce obecnych, chcąc należycie ocenić wrażenie swoich słów.

–Czy poruszały się? – zapytał Szu.

–Tak. Nawet dosyć prędko. Gdy pospieszyły w kierunku lasu, puściłem się w powietrzną pogoń. Samotne głowy... Ten widok zamącił mi spokój. Gdy uciekły na dźwięk silnika, zbadałem miejsce ich popasu. Wtedy stwierdziłem, że głowy musiały tkwić na okazałym tułowiu.

**–Jak to możliwe? – wtrąciła Ingrid.**

**–Zwyczajnie. Stado przebywało nie na przyziemnym mchu, jak mylnie sądziłem, lecz na łące zarośniętej czymś podobnym do szuwarów. Z tym, że pojedyncze źdźbła rosły rzadziej i były zakończone szerokimi, bardzo puszystymi miotełkami. Z perspektywy gładka powierzchnia tego łąnu wyglądała jak krótko przystrzyżony trawnik.**

**–I to stado było...? – spytał Allan domyślnie.**

**–Hordą Temidów.**

**Ingrid poruszyła się niespokojnie.**

**–Pognałem w pościg nad wierzchołkami drzew – ciągnął René. – Raz po raz zdawało mi się, że w dole migają mi ich sylwetki. W wyobraźni już stworzyłem sobie obraz Temida: mały kadłub na bocianich nogach, giętka, łabędzia szyja i normalne, ludzkie ręce. Ale tego samego dnia przekonałem się, jak bardzo ten obraz odbiegał od rzeczywistości. Po kwadransie natrafiłem na sięgającą aż po horyzont krzewiastą partię puszczy. Spodziejając się, że splątany gąszcz jest znacznie wyższy od Temidów i zapewne kłujący, musiałem zmienić taktykę. Poleciałem ku tej części lasu, która zapewniała lepszą widoczność i gdzie można było swobodnie się poruszać. Liczyłem na przypadek. Jak łatwo jednak mylnie ocenić puszcze z lotu ptaka! W czasie pierwotnego pościgu niemal wyraźnie dostrzegałem rzadki las złożony z palmowatych drzew, dosyć niskich, które wprost z ziemi wystrzelały pióropuszem symetrycznie rozłożonych liści. Uderzył mnie zdumiewająco ciemny ich kolor. Po wylądowaniu okazało się, że drzewa te są wyższe od jodeł, a to, co widziałem z góry, stanowiło szczytowe ich piętro. Znacznie niżej, prosto z pnia zwisały ku ziemi jakby olbrzymie grube węże zakończone imponującymi, chyba trzymetrowymi kielichami.**

**Temidów nie spotkałem. Za to zebrałem nowe dane o odurzającym działaniu roślin – spojrzał na botanika. – Ale znów wyprzedzam wypadki. Otóż dla większej swobody ruchów zdjąłem i złożyłem wirolot, dzięki czemu mogliście go zabrać jako pamiątkę po ofierze ludojadów. No tak: kto sądził inaczej, bez wątpienia jest złym przyrodnikiem.**

**–Nie mów tak – zdenerwowała się Ingrid.**

**–Zrobiwszy kilkanaście kroków – ciągnął zoolog – zauważyłem małe kolczaste zwierzę podobne do molocha australijskiego, tylko o bardziej spłaszczonej paszczy. Tuż obok leżał okazały barwny owoc. Chciałem wykorzystać sposobność i obserwować z bliska zwierzątko nie odrętwione. W tym celu wyłączyłem paralizator.**

**–Co za idiotyczny pomysł! – przerwała Ingrid z wyrzutem.**

**–Może rzeczywiście idiotyczny, ale któż by się spodziewał, co nastąpi? Nic nie wskazywało, aby mogło mi coś zagrażać. Zbadalem okaz, który, niestety, był martwy. Z kolei zająłem się owocem. Na Ziemi określiłbym go jako dorodną pomarańczę. Byłem w kłopotcie. Jaki związek istniał między nim a zagadkową śmiercią zwierzęcia? Czyżby bliskie położenie obydwu stanowiło przypadek? Nie dotykałem owocu mając prawo przypuszczać, że jest trujący. Wątpliwe było, aby wyrósł wprost z ziemi. Spojrzałem w górę, na drzewa, ale nie pamiętam, co zobaczyłem. Zrobiło mi się słabo; w oczach zawirowało drzewo, niebo, jakieś obrazy...**

**Renę zamyślił się.**

**–Musiała zawinić nie zbadana dotąd właściwość drzewa. Można je nazwać drzewem zamroczenia – dodał po chwili.**

**–Nie masz racji – Allan przecząco pokręcił głową.**

**–Dlaczego? Wszak na Ziemi istnieją rośliny, które mogą otruć człowieka stojącego blisko. Chociażby sumak trujący.**

**–Powiedz mi raczej, jak długo stałeś pod tym drzewem? Zoolog zastanowił się.**

**–Minutę. Może dłużej...**

**–A ja przebywałem obok tego właśnie egzemplarza chyba kwadrans, nie licząc innych bezpośrednich kontaktów z takimi samymi drzewami. Jednak to nie wszystko... Powiedz, zemdlałeś dziewięć minut po piętnastej?**

**Renę zdziwił się.**

**–Mniej więcej tak. Czy ty również?**

**–Ja wprawdzie nie zemdlałem – wyjaśnił botanik – lecz odczułem dziwne wrażenie ni to senności, ni to lęku. Dopiero po dłuższej chwili zrobiło mi się lepiej.**

**–Tego samego dnia wieczorem – wtrącił Szu – była wiadomość z Sel o podobnej reakcji u Ziny. Odczuła nagle bardzo wyraźne osłabienie. Pojawiły się też zakłócenia radiowe...**

**–Jeszcze coś sobie przypominam... – dorzucił zoolog. – Ale to raczej nie wnosi nic do całej sprawy.**

**–Może jednak – zainteresował się Allan.**

**–Tracąc przytomność miałem halucynację, że jakaś długa, niezgrabna czteropalczysta łapa rozchyła gałęzie nade mną, odsłaniając w niebie okno z**

błyszczącymi słońcami Tolimana. Ich blask kłuł mnie w oczy aż do bólu. Łapa była półprzeźroczysta, mętniejąca.

–Moje przebudzenie – podjął Renę po dłuższej chwili – miało wszelkie znamiona niezwykłości. Leżałem na brzegu jeziora i od czasu do czasu drobna fala zalewała mi twarz. Ta okoliczność musiała przyspieszyć otrzeźwienie. Otaczały mnie wielkie popielate istoty. Było ich trzy czy cztery, lecz niemal zupełnie zasłaniały krajobraz. Widziałem tylko cielska podobne do wolno poruszających się gór mięsa. Naraz ujrzałem tuż przy twarzy parę ogromnych zielonych oczu, rozdzielonych krótkim, lecz ruchliwym nosem przypominającym trąbkę. Znałem te oczy, chociaż nie od razu przypomniałem sobie skąd. Były to te same oczy, które oglądałem przez lornetkę: oczy „wędrujących głów”. Gdy usiłowałem powstać, wszczęło się zamieszanie. Widocznie stwory, mimo dużych rozmiarów, były dość tchórzliwe. I tak w rezultacie – zostałem sam. Obok mnie kołysała się na falach prostokątna tratwa, zbudowana z kilku drzew wykarczowanych w całości, które spleciono ich własnymi gałęziami i korzeniami. Gdzieś tam niebieszczaly na nich świeże liście. Wszystko wskazywało, że Temidzi umyślnie przygotowali ten prymitywny wehikuł dla przewiezienia mnie do swej siedziby. Postanowiłem czekać. Wprawdzie zwyczaje moich porywaczy były mi obce, lecz mogłem przypuszczać, że Temidzi powrócą. Nie zrobiłem przecież jakiegokolwiek gwałtownego ruchu, który świadczyłby o zaczepnych zamiarach z mojej strony. Rzeczywiście, niebawem ujrzałem głowę wysuwającą się z zarośli. Kilku innych Temidów również śledziło mnie z brzegu, chyba nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Za to ja miałem już gotowy plan. Dopiero teraz pomyślałem o paralizatorze. Przymknąłem powieki i czekałem. Po kilku minutach znów otoczyli mnie Temidzi. Palec trzymałem na guziczku, przygotowany, by za naciśnięciem zwalić z nóg choćby całą hordę. Wpadł mi bowiem do głowy pomysł: symulować śmierć i zdać się na los wydarzeń.

–Ryzykowne! – zauważył Szu.

–Nie wiedziałem wówczas, że aparat hełmowy został rozbity. Rozumiałem niebezpieczeństwo, lecz wydawało mi się niezbyt groźne pod warunkiem, że zachowam należyłą przytomność umysłu. Temidzi są mniej ruchliwi od nas. Sądziłem, że w razie konieczności zdążę włączyć paralizator. Ciekawość przyrodnika, co tu dużo gadać... Wkrótce zresztą przeżyłem chwilę emocji. Podszedł do mnie Temid z prymitywnym narzędziem kamiennym, a może po prostu naturalnym odłamkiem skały. Już miałem nacisnąć guzik, ale coś mnie powstrzymało. Na szczęście narzędzie jeszcze nie miało być użyte przeciwko mnie.

–Żałuję, że pod szczytem zostawiłem cię samego – westchnął Allan.

–Może i lepiej. Temidów i tak poznasz, a przygoda potoczyłaby się inaczej.. Może nawet z gorszym skutkiem, przynajmniej dla nich. Ale słuchaj dalej. Istotnie, przenieśli mnie na tratwę. Zapoznałem się z uściskiem ich rąk, jeśli tak nazwać

kończyny o funkcjach analogicznych, lecz o innym wyglądzie i odmiennej budowie. Szyję oplotły mi nagie błoniaste palce. Zdałem sobie sprawę, że mogłyby udusić człowieka bez większego wysiłku. Ale na szczęście nie mieli tego zamiaru. Zresztą z pewnością nawet nie zdawali sobie sprawy, że mogą mnie w ten sposób pozbawić życia. Przecież oddychają zupełnie inaczej niż my.

–Nie bałeś się, że mogą cię zabić nawet nieświadomie?

–Bałem się. Ale ciągle liczyłem na paralizator. Dlatego postanowiłem wytrwać w roli zdobywcy jak najdłużej. Spojrzawszy spod zmrużonych powiek, dostrzegłem przed sobą taflę wodną. Temidzi znajdowali się z tyłu. Zacząłem ostrożnie ich obserwować. Tratwa poruszała się wolno, chyba z prędkością paru kilometrów na godzinę. Temidzi wiosłowali nogami, do połowy pogrążeni w wodzie. To, co wydawało mi się brzegiem, stanowi zgrupowanie wysepek. Płynęliśmy jakiś czas wąskimi przesmykami; podejrzewam, iż niektóre stanowią sztuczne kanały. Wreszcie przybiliśmy do brzegu wznoszącego się stromą skarpą. Lądowy transport, w czasie którego szorowałem ziemię butami, nie trwał długo. Nagle mimo zamkniętych powiek poczułem, że ogarnia mnie ciemność. Otworzyłem oczy i stwierdziłem, że jestem w dość obszernej jaskini oświetlonej czymś, co przypominało żarzące się kawałki węgla. Tylko kolor i blask był inny, typowy dla fosforescencji. Podłogę zaścierał chrust i wyschnięte liście.

I wtedy się zaczęło... – podjął zoolog bardziej dramatycznym tonem. – Uczułem mocne szarpnięcie za bluzę i z przerażeniem ujrzałem stalową płytę przypominającą szeroki tasak. Była wymierzona w moją pierś. Gwałtownie nacisnąłem guzik, chcąc sparaliżować napastnika. Niestety, aparat hełmowy nie działał. Uskoczyłem w bok, w ostatnim momencie unikając ciosu, -który mimo kombinezonu mógł być dla mnie fatalny. Zresztą moje gwałtowne ruchy przeraziły Temidów, którzy cofnęli się parę kroków, łypiąc niespokojnie zielonymi oczami. Teraz miałem już w ręku nóż laserowy. Na szczęście nie potrzebowałem go użyć. Temidzi nie ruszyli się z miejsca nawet wówczas, gdy zniknąłem w przejściu do następnej pieczary. Ostrożnie, gotowy odeprzeć każdy atak, zmierzałem ku ciemnemu otworowi w ścianie. Postanowiłem nawiązać z wami kontakt i dopiero wtedy spostrzegłem, że również nadajnik radiowy jest uszkodzony. Fatalna sytuacja! Chciałem zostać tam jak najdłużej, a musiałem szukać innej drogi powiadomienia was, że żyję. Nadto straciłem jedyny niezawodny środek obrony. Wiedziałem, że noża użyję tylko w ostateczności, gdyż zniweczyłoby to szansę przyjacielskiego porozumienia z gospodarzami.

Na razie badałem wnętrze jaskini – ciągnął opowieść. – Była dużą grota krasową, nieco wysklepioną ku górze. Będąc wciąż w kręgu zimnego światła, postanowiłem stwierdzić naturę zagadkowych lamp. Okazały się wyschniętymi ciałami niewielkich rybowatych.

–To znaczy temiańskich ryb? – spytał Szu.

–Ryb jako takich, w rozumieniu taksonomicznym, nie spotkamy nigdzie poza Ziemią. A rybowatymi nazwałem gromadę zwierząt wodnych, które przypominają ryby opływowym kształtem i pęcherzem pławnym, zresztą biegnącym tuż nad kręgosłupem, wzdłuż grzbietu. Zamiast płetw mają kilkadziesiąt par odnóży, z każdego boku spiętych cienką, ale mocną błoną.

–Rozumiem – odparł Szu. – Mów, co było dalej.

–Temidzi na ogół nie budują legowisk, choć gromadzą w pieczarach suche liście i trawiaste źdźbła. Miejsca, w których zwykli układać się do snu, są na tej podściółce specjalnie wygniecione. Wywnioskowałem z resztek spożytych owoców, pędów, kłaczy, wodnych skorupiaków i małych zwierząt lądowych, że moi niegościnni gospodarze są wszystkożerni. Niepokoilo mnie kilka owoców, takich jak ten, który leżał obok martwego zwierzaka w puszczy. Wprawdzie trującego działania „tęmiańskiej pomarańczy” nie zdążyłem ocenić, wołałem jednak zachować należyta ostrożność. Pasjonowały mnie narzędzia. Potwierdziłem w całej rozciągłości wniosek wyciągnięty jeszcze przy pogorzeliisku, że kultura materialna Temidów to pomieszanie pierwotnego prymitywu ze śladami wysokiej techniki wytwórczej; brak jakichkolwiek powiązań między nimi. Al zapewne wam o tym wspominał.

Ingrid skinęła głową.

–Otóż z tego, co znalazłem, wytworem własnym Temidów były obłupane kamienie, drągi z okorowanych drzew i niektóre asfaltowe pociski z kolcem.

–Czemu tylko niektóre? – zdziwił się Szu. Renę sięgnął do torby leżącej obok fotela.

–Obejrzyjcie ten.

Ingrid ujęła w dłoń kawałek asfaltu przebitego nie drewnianym, lecz stalowym prętem, ostro ściętym na jednym końcu. Allan i Szu pochyliłi się nad znaleziskiem.

–Czy to nie służy raczej do przebijania już upolowanych zwierząt? Na przykład do wydostawania mózgu? – zastanawiał się Renę.

–Pamiętasz pancierz z okrągłym otworkiem znaleziony w popielisku? – wtrącił Allan.  
– Można zrobić analizę tej stali. Innym kolcem, naturalnego pochodzenia, ale za to zatrutym jadem, zaatakowano Smoka.

–Bez względu na wynik analizy zapewniam cię – podjął zoolog – że Temidzi przedziurawili pancierz podobnym stalowym narzędziem. To jeszcze nie wszystko. Odkryłem tam grubą płytę aluminiową w kształcie koła o średnicy osiemdziesięciu dwóch centymetrów. Jestem pewien, że nie sporządzili jej znani nam dotychczas gospodarze planety.

–A czy inne, inteligentniejsze szczepy Temidów nie mogły opanować techniki wytapiania metali? – zapytał Allan. – Jeśli potrafią użytkować ogień... Czy masz potwierdzenie tej ich umiejętności?

–Tak – odparł Renę. – Lecz co to ma wspólnego z płytą? Od kultury pitekantropa do epoki brązu i żelaza upłynęło tysiące wieków. A przecież aluminium to nie brąz czy żelazo. Tu trzeba rozporządzać naszą techniką, co najmniej XIX-wieczną. Tymczasem Temidzi są na poziomie pitekantropa albo przewyższają go bardzo nieznacznie.

–Czy palą ogniska w grotach podziemnych? – spytał Szu.

–Chyba nie. Głównie tym różnią się od pracłowieka. Wprowadzenie ognia do pomieszczeń usłanych suchymi liśćmi jest wykluczone. Nie mówiąc już o tym, że przy ich systemie oddechowym produkty spalania w pomieszczeniach źle wietrzonych mogą być zabójcze. Może mają specjalne komory-kuchnie, ale ich nie widziałem. Natomiast poza pieczarami zauważyłem na wyspie kilka popielisk. Ale wracam do mych przygód w grocie. Temidzi, którzy widocznie ochłonęli z przestachu, zaczęli się naradzać. Z przedsionka dobiegały dźwięki ich mowy. Jest to język gwizdów czy raczej świstów, bardzo przenikliwych i nieprzyjemnych dla ludzkiego ucha. Po chwili do izby, w której byłem, weszło pięciu Temidów uzbrojonych w kamienie i metalowe pręty. Podniosłem się przybierając postawę obronną, co wcale ich nie przeraziło. Widocznie spodziewali się tego albo nie rozumieli moich gestów. Sięgnąłem po laserowy nóż, lecz zdałem sobie sprawę, że nie zdobędę się na użycie broni. Jakże nie w porę Temidzi zepsuli mi aparat hełmowy! Moje położenie byłoby zupełnie inne. Szczęśliwie przypomniałem sobie, że mam na piersi reflektor. Był najwyższy czas, aby działać, bo jeden z przybyłych, rosły osobnik, większy od przeciętnego niedźwiedzia, zamierzył się na mnie kolcem. Niespodziewany blask tak go poraził, że ręka bezwładnie upuściła pocisk. Pomyślałem wówczas, iż podobne podniety wywołują podobne reakcje u wyższych form istot żywych, obojętne – na Ziemi czy na Temie albo gdziekolwiek indziej. O ile ich dźwięki były mi bardzo obce, o tyle to, co teraz kierowało zachowaniem Temidów, mogłem bez wątpienia określić jako strach. Gospodarze po prostu uciekli. Przez chwilę jeszcze słyszałem przyspieszone stąpania. Budowa Temidów uniemożliwia im rączy bieg. Kołysząc się jak kaczki na masywnych nogach, zawsze zgiętych, stawiają szerokie stopy raczej lekko. Jest to chód cichy i dość powolny, a według naszych wyobrażeń bardzo śmieszny. Oślepiając ich reflektorem niewątpliwie zyskałem przewagę, lecz siedzenie na miejscu w oczekiwaniu dalszych wypadków nie miało sensu. Nie gasząc reflektora wyszedłem z pomieszczenia i zdobycznym kolcem wydrapałem kółeczko w ścianie korytarza. Postanowiłem znakować w ten sposób trasę, by potem nie zablądzić. Naturalna budowa grot okazała się jednak mniej zawiła, niż przypuszczałem. Środkiem biegł główny korytarz, od którego co pewien czas, wprawdzie w nieregularnych odstępach, prowadziły przejścia do bocznych komór i wnęk. Jedne były odslonięte na całą szerokość ściany, inne miały tylko otwory wejściowe, pozornie tak wąskie, że wątpiłem, czy dorosły Temid przecięnie

się tamtędy.

Renę sięgnął po szklankę z sokiem pomarańczowym. Wypił kilka łyków i ciągnął dalej:

–Komory były puste, dopiero po przejściu kilkudziesięciu metrów dobiegł mnie szelest po przeciwnej stronie korytarza. Zgasilem reflektor, pozostawiając tylko światło rozproszone. Szelest dochodził nie z pieczary, lecz dużej niszy starannie wyłożonej liśćmi i gałęziami. W jej części, wysłanej grubą warstwą mięciutkiego mchu, krzątały się zwawo trzy Temi-dzięta. Nie wyobrażajcie ich sobie jako drobnych istotek. Chyba nie starczyłoby mi siły, aby wziąć na plecy takie temidzie dziecko. Co prawda, nie były to noworodki, ale młodzież już wyrosnięta, odpowiadająca przypuszczalnie naszym ośmio- lub dziesięciolatkom. W ich dziecięcych pojęciach moja osoba nie skojarzyła się z chęcią pożarcia zdobyczy, ale z pragnieniem zabawy. Gdy tylko wszedłem, obstały mnie kołem i gwizdząc zachęcająco, pociągnęły w głąb swego kącika. Panował tam nadspodziewany porządek. Na dużych płaskich kamieniach, jakie spoczywały w każdym z pięciu rogów tej izby, niby na stole biesiadnym ułożone były tamte owoce podobne do pomarańcz, o których mówiłem. Widocznie są jadalne, przynajmniej dla Temidów. Obok leżały białawe pędy zbliżone wyglądem do szparagów, tylko znacznie grubsze. Zabawki młodych Temidów stanowiły bądź łupiny owoców wielkości orzecha kokosowego, bądź chrust mniej lub bardziej pokrętnego kształtu. Do końca pobytu u nich nie spotkałem się z żadną zabawką, która mogła być dziełem twórców obelisku, pierścienia Zoe i „radioaktywnych kaloryferów” w oazach ciepła. Moja przyjaźń z Temidziętami szybko zresztą się umacniała. Włączyłem latarkę przestawioną na rozpraszanie światła, aby nie raziło wzroku. Wywołało to ogromnie zdziwienie i ciekawość. Z kolei przypomniałem sobie, że mam w torbie trochę czekolady wzmacniającej. Znajac pokarmowe uwarunkowania tutejszej fauny byłem pewien, że nie otruję Temidziąt. Tabliczka, rozdzielona sprawiedliwie na trzy części, błyskawicznie zniknęła w szerokich ustach, a znaczące mlaśnięcia świadczyły o wysokiej ocenie smakołyku. Dalszą zabawę można nazwać temidzią szermierką. Używaliśmy do niej kości, długich jak ramię i dość grubych, ale kruchych wskutek znacznej porowatości. Raz udało mi się wytrącić przeciwnikowi kość z ręki, to znów zламаłem swoją „szablę” od silnego zamachnięcia. W każdym razie mogłem przekonać się, że mimo mniejszej wagi, zręcznością górowałem zdecydowanie nad młodymi Temidami. Podniosło to mnie na duchu. Gdybym podjął walkę wręcz z dorosłym Temidem, moja szansa sukcesu nie byłaby aż tak mała, jak wcześniej sądziłem.

Wielka szkoda, iż nie miałem kamery – westchnął zoolog. – Widocznie zsunęła się, gdy wlekli mnie Temidzi. Chcąc utrwalić pierwsze wrażenia postanowiłem sportretować jedno z Temidziąt. Rysunek wszakże, a ściślej – sam papier, wywołał taki entuzjizm, że został podarty na strzępy. W czasie rysowania najwięcej kłopotu sprawiło mi uchwycenie profilu twarzy. Zamiast czoła szeroki, lejkowaty, mięsisty nos. Oczy Temida, głęboko osadzone w oczo-czaszce, z boku są prawie

**niewidoczne. Mówię: oczoczaszka – bo jak inaczej nazwać taką puszkę kostną, której przeznaczeniem jest właśnie ochrona oczu? Garb wysklepienia, mieszczącego mózg, poniżej podgardla, przypominał na rysunku bochen chleba. Ale to dobrze: tak właśnie wygląda. Tułów Temida jest podobny do walca; zwęża się dopiero przy końcu, gdzie przypomina krótki owadzi odwłok. Natomiast cztery kończyny wyrastają tuż obok siebie ze środka kadłuba. Także kształt kończyn, a zwłaszcza trójpalczastych dłoni i stóp, jaskrawo odbiega od ludzkich. Zorientowałem się też wówczas, gdzie mieszczą się organa ich mowy. Otóż źródłem dźwięków, owych przeraźliwych gwizdów, świstów i pisków – są dwa grzebienie pod szyją, z których tony wydobywa Temid w sposób mechaniczny, poruszając odpowiednio głową.' Jest to więc narząd dźwiękowy właściwy piewikom i świerszczom, a nie ptakom czy ludziom.**

**–Przedziwne...**

**–Temidzi mogą to samo powiedzieć o naszych narządach mowy. Inna sprawa, że ruchy głowy Temidów, a zwłaszcza Temidziąt są w czasie takiego koncertu bardzo dla nas śmieszne. Miałem sposobność dobrze im się przyjrzeć w czasie rysowania ich portretów. Nie było to zresztą zadanie łatwe. Temidzięsa ciekawił przede wszystkim sam papier i proces rysowania. Treści rysunku początkowo nie pojmowały chyba zupełnie. Gdy podałem malcom gotowe dzieło, w grocie zapanowała wrzawa pełna nieopisanej radości. Zaczęli wyszarpywać sobie wzajemnie kartkę, pocierać ją palcami, a nawet próbowali, czy jest smaczna. Oczywiście nie wyszła cało z tych zapędów.**

**Hałas nie pozostawał bez wpływu na bieg wydarzeń – opowiadał dalej Renę.' – U wejścia do groty spostrzegłem najpierw samą głowę ostrożnie myszkującą oczami, a wkrótce wtoczył się do wnętrza dorosły Temid. Wyobraziłem sobie, że jest to matka malców. Tak będę nazywał przybysza, choć dotąd nie jestem pewien, czy funkcji głównego opiekuna potomstwa nie sprawuje u Temidów samiec. To zresztą było wówczas bez znaczenia. Widok nieznannej istoty musiał przerazić matkę, bo przystanęła niepewnie, obrzucając mnie podejrzliwym spojrzeniem. Ale wahanie jej trwało bardzo krótko, zwyciężył lęk o dzieci. Zagwizdała długo, przeciągle. Odczułem intuicyjnie, że to odezwanie się do intruza, w jej mowie chyba oznaczające wyproszenie mnie stąd, było aktem bohaterskim. Przecież nie tylko odbiegałem wyglądem od wszelkich istot, jakie w życiu oglądała, lecz nadto miałem tajemniczy „narząd”:**

**latarkę. Mimo to była gotowa przyjąć walkę z domniemanym napastnikiem, czym zyskała moje serdeczne uznanie. Dobrze wiedziałem, że nie użyłbym broni przeciwko niej, lecz musiałem sobie zapewnić osobiste bezpieczeństwo. Matka obrzucała spojrzeniem na przemian to mnie, to parę kolców leżących w przeciwległym rogu, ale widocznie bała się, bym jej nie zaatakował od tyłu. Temidzi bowiem są mało zwrotni i mają dość ograniczone możliwości wykręcania szyi. Nagle zdecydowała się na**

**najwyższy heroizm: na walkę zapaśniczą. Zapragnęła pogruchotać mi kości w uścisku ramion, jak to czynią goryle, gdy mają odciętą drogę odwrotu.**

**Zoolog urwał na chwilę, by nadać wagi swym słowom.**

**–Za pierwszym jej krokiem włączyłem reflektor nastawiony na pełną jasność. Przerażona strumieniem światła ostrzejszym od Proximy, cofnęła się w kąt. Jej postawa jednak świadczyła, że efekt zaskoczenia wcale nie rozwiązuje mojej sytuacji, a tylko opóźnia atak, może zaledwie o parę chwil. Wtedy niespodziewanie ujęli się za mną malcy. Obstąpili matkę wydając krótkie urywane gwizdy, których następstwo czasowe nasunęło mi porównanie z alfabetem Morse'a. Gdybym nie znał ich odezwań innego typu, byłbym nawet skłonny podejrzewać, iż mowa Temidów oparta jest na podobnej zasadzie. Matka była mocno podenerwowana i milczała zasłaniając oczy łapą. Czyniła to jednak w ten sposób, by móc nieprzerwanie patrzeć mi w twarz, a jej nos poruszał się czujnie węsząc. Tymczasem cała trójka, odwrócona od światła, najwidoczniej opowiadała jej o mnie. Odniosłem wrażenie, iż teraz napięcie dałoby się rozładować, ale mówiąc szczerze, nie wiedziałem, jak to uczynić. Na początek zgasilem reflektor, włączając źródło światła rozproszonego. Oślepiający blask, jako wyzwanie do walki, ustąpił miejsca łagodnemu światłu, które nie rażąc wzroku przemieniało wieczysty półmrok grot w pogodny dzień. Matka uspokoiła się nieco. Poniechawszy prób wyproszenia mnie z.groty, postanowiła usunąć się wraz z dziećmi. Malcom wcale się to nie uśmiechało. Najśmielszy chwycił mnie łapką za bluzę i podając kość zapraszał do dalszej zabawy. Jednocześnie pozostali wręczyli matce z komicznymi minami kawałek kartki, który ta obejrzała z niewątpliwym podziwem. Gdy czujnie śledząc ruchy samicy fechtowałem się kością z małym Temidem, dobiegły mnie gwizdy tak przenikliwe, że o mało nie zatkałem uszu. Spojrzałem na samicę. Trochę rozprostowała podkurczone zazwyczaj nogi, co uczyniło ją znacznie wyższą od człowieka, i umilkła nieruchomo wpatrując się we mnie. Przerwałem zabawę ku jawnemu niezadowoleniu mego partnera i zacząłem pogwizdywać jakąś melodię. Matce nie tylko się nie spodobała, lecz prawdopodobnie mój występ wzbudził w niej gniew. Chociaż wątpię, aby taka melodia istniała w języku Temidów i oznaczała coś obraźliwego.**

**–Z czego wnioskujesz, że to był gniew? – zapytała Ingrid.**

**–Jeśli nawet nie gniew, to na pewno niepokój. Zagwizdała inaczej niż poprzednio, tonem bardzo wysokim, niemal jak przy pociąganiu szkłem po szkło. Wezwanie to nie było zresztą skierowane do mnie.**

**–Skąd wiesz?**

**–Wkrótce pojawili się dwaj Temidzi. Spoglądali od wejścia z lękiem i nieufnością, nie chcąc zbliżyć się do mnie. Wszystkie trzy Temidziątka podchodziły do nich objaśniając coś zapalczywie. Ucichły dopiero pod surowym napomnieniem matki.**

Teraz rozpoczęła się narada starszych. Niezmiernie żałowałem, że będąc jej świadkiem, nie mogę nawet marzyć o zrozumieniu czegokolwiek. Pilnie obserwując przybyszów nie spostrzegłem, jak i kiedy samica wyprowadziła małe. Dwaj przybysze wyszli również. Zostawszy sam, skrupulatnie przebadalem grootę, lecz moje poszukiwania wcale nie obfitowały w rewelacje. Po godzinie ogarnęła mnie senność. Niezwłocznie zażyłem pastylkę przeciwko zmęczeniu, bo zachowanie czujności było najważniejsze. Domyślając się, iż jestem śledzony, postanowiłem symulować sen, aby przyspieszyć rozwój wydarzeń. Latarkę umieściłem tak, abym mógł dokładnie widzieć, co się dzieje dokoła, sam pozostając w mroku wzmocnionym kontrastem z oświetleniem otoczenia. Korzyścią dodatkową było przypomnienie gospodarzom, że rozporządzam wysoką, niepojętą dla nich techniką. Już wkrótce rosły, barczysty Temid wtoczył się ostrożnie, lecz nie śmiał podejść do mnie. Pokręcił się w pobliżu wejścia, rzucił spojrzenie w moją stronę i wyszedł. Wówczas zauważyłem, iż na płaskim kamieniu, obok którego się zatrzymał, wyraźnie ciemniał jakiś przedmiot. Był to spory kawałek pieczonego mięsa, który wyglądem trochę przypominał zajęczy comber. Za nim leżały bladoróżowe jagody wielkości wiśni.

–Co zrobiłeś z tymi specjałami? – zaciekał się Szu. Renę wyjął z torby duży liść zawierający w nienaruszonym stanie poczęstunek Temidów.

–Chciałeś stworzyć pozory, że nie gardzisz przyjęciem? – spytała Ingrid.

–Oczywiście zrobiłem to dyskretnie – odparł zoolog. – Pomyśleli, iż pożeram mięsiwo razem z kośćmi. Trofea kulinarne musimy zbadać pod względem chemicznym, czy są jadalne. To ważne zwłaszcza dla mnie, bo tam powracam. Chodzi o to, jak mam się zachować w razie zaproszenia do wspólnej biesiady.

–A może chcieli cię otruć? – zapytał Allan.

–Wykluczone. Przeczy temu dalszy rozwój wypadków. Renę milczał chwilę, zbierając myśli.

–Aby nie być dłużny, położyłem na tym samym kamieniu poczwórną przełamaną tabliczkę czekolady. Potem przeraźliwie zagwizdałem – zapraszając gospodarzy do stołu, a w każdym razie zwracając ich uwagę. Lecz oni w dalszym ciągu przejawiali nieufność. Czekolada zniknęła dopiero wtedy, gdy przez kwadrans udawałem śpiącego. Po godzinie w otworze wejściowym ukazała się znów głowa Temida. Zerkał w stronę kamienia, jakby dziwiąc się, że nic smacznego tam nie leży. Nagle z głębi korytarza dosłyszałem gwałtowne gwizdy. Potężniały łącząc się w chóralny przenikliwy akord. Sprawdziłem laserowy nóż. Tymczasem Temid, który był w grocie, zniknął. Kiedy wrzawa zbliżała się, korciło mnie wyjść przygodnie naprzeciw. W przedsionku dostrzegłem dwóch Temidów, którzy zwabieni blaskiem latarki przyspieszyli kroku, by podejść do mnie. Z nożem w ręku gorączkowo rozważałem sytuację, gotów nawet uciec, byle uniknąć użycia pistoletu.

**Renę urwał. Widać było, że przejmuje się wspomnieniami nie mniej niż jego słuchacze.**

**–Wreszcie pozwoliłem im przybliżyć się. Jeden schwycił mnie za rękaw i z głośnym, coraz inaczej modulowanym gwizdem wskazywał gestem dłoni, że muszę koniecznie iść za nim. Zaryzykowałem, powtarzając sobie, że jeśli wpadnę w pułapkę, użyję broni. Prowadzili mnie do wyjścia. Byłem tym rozczarowany, ale wkrótce okazało się, że źle ocenilem ich intencje. Temidzi, znalazłszy się w niebezpieczeństwie, prosili o pomoc.**

**–O pomoc?**

**–Właśnie! Tuż przy wyjściu z groty zobaczyłem Temida miotającego się po ziemi z rozpaczliwym świstem. Dopiero po chwili spostrzegłem, że jego nogę szarpie jakiś opancerzony potwór wielkości wilka. Puściłem się biegiem, zapalając reflektor. Stłoczeni Temidzi bezradnie wywijali kolczastymi pociskami, bojąc się zranić napadniętego. Niesamowitą orgią gwizdów bezskutecznie chcieli odstraszyć drapieżcę. Trzymałem w dłoni pistolet gotowy do strzału, lecz, aby nie poparzyć Temidów, mogłem go użyć tylko z bliska. Dopadłszy do miejsca boju, pochyliłem się nad drapieżnikiem i celując w przednią część pancerza, gdzie powinien być mózg, nacisnąłem wyzwalacz noża. Cielsko wygięło się i znieruchomiło po chwili.**

**Paszczka potwora tkwiła silnie w ciele ofiary, więc musiałem oddzielić głowę od tułowia, a potem rozkładać szczęki. Inaczej nie uwolniłbym świszczącego z bólu Temida. Rana, bardzo głęboka, zadana była jedynymi dwoma zębami mięsożercy, służącymi do przytrzymywania zdobyczy i prawdopodobnie taszczenia jej żywcem. Kły zwały się poza kością. Jeszcze po dokładnym zdezynfekowaniu obawiałem się, czy ślina bestii nie zawiera toksycznych substancji. Takich objawów jednak nie spostrzegłem, a zęby drapieżcy nie miały rowków ani kanałów jadowych. Ubytek krwi o zielonkawożółtej barwie nie był groźny dla życia pacjenta. Zastosowałem maść powodującą szybkie gojenie ran i założyłem bandaż. Temid trzymał się dzielnie w czasie całego zbiegu.**

**–No a jak zareagowali jego pobratymcy? – spytał Szu.**

**–Ten wypadek podniósł niezmiernie mój autorytet, choć nie rozproszył nieufności – odrzekł Renę z dumą. – Nie wątpię, że moje postępowanie określili mianem cudu w swoim świszczącym języku. Zaraz też rekonwalescent i kilkunastu innych Temidów poczłapało jednym z bocznych korytarzy, gestami wzywając mnie do towarzyszenia im – kontynuował opowieść. – W blasku latarki niebawem ukazała się duża, wysoko wysklepiona nisza. Szczególnie zaciekały mnie kości, płytki rogowe, rozmaite narośle i zęby zwierząt sterczące na długich kijach pod ścianami. Chętnie zapoznałbym się bliżej z tymi eksponatami, lecz nie sprzyjały temu względy taktyczne. Ta grota okazała się bowiem miejscem narad starszyzny, połączonych z**

**jakimiś ceremoniałami kultowymi. Kiedy byliśmy już tam wszyscy, jeden z Temidów pociągnął mnie za rękaw i niemal przemocą posadził na dużym płaskim kamieniu pokrytym plamami. Miał on na szyi łańcuch z pięciokątnych ogniw misternie wykutych w jakimś jasnosrebrzystym stopie, w którym przeważają prawdopodobnie metale lekkie. Była to pewna anomalia w świecie Temidów, którzy chyba nie noszą żadnych okryć ani ozdób. Ale wróćmy do tematu. Otóż po chwili zobaczyłem Temida, który włókł ubitego przeze mnie drapieżnika. Za nim postępowali dwaj inni, niosąc głowę i odciętą szczękę rabusia. Temid z łańcuchem, którego nazwę kapłanem hordy, szeroko rozłożył ręce i wskazał swoim pobratymcom wystające ze szczęk zębiska napastnika. Gdy powiódł wzrokiem po ścianach, wciąż wydając gwizdy, chyba domyśliłem się sensu tej przemowy. Pośród wielu czaszek i kości nie było ani jednego takiego zęba. Prawdopodobnie obwieszczał wagę mego zwycięstwa nad potworem. W tym momencie do mówcy podeszło z boku kilku Temidów, kołysząc się rytmicznie jakby w rytualnym tańcu. Jeden niósł w skupieniu płytę stanowiącą pięciokąt foremny o boku długości przedramienia. Uderzała niezwykle piękna barwa przedmiotu, niemal identyczna z płomieniem. Wiedziałem, że płyta jest tworzywem sztucznym. Gdy kapłan z gestami niemal zalęknionej czci wręczył mi ją wśród chóralnych gwizdów, przekonałem się o jej zdumiewającej lekkości. Nie ważyła nawet stu gramów, a jak się przekonałem delikatnie stuknąwszy palcem, nie była ani porowata, ani pusta wewnątrz.**

**Renę przerwał opowieść i zamyślił się.**

**–A więc jeszcze jeden zaskakujący kontrast! – powiedział Allan. – Połączenie dwóch odległych epok rozwoju cywilizacyjnego... Musisz zobaczyć obelisk, o którym ci mówiłem. Wygląda na to, że jest to uszkodzona część jakiegoś ogromnego urządzenia, które służyło kiedyś nie bogom, lecz kosmicznym braciom Temidów. Albo może pomnik chwały techniki, pamiątka jakiegoś ważnego wydarzenia w dziejach Temy, postawiona w tym miejscu i zapomniana przez tych, którzy ją tu zostawili, a teraz ich potomkowie lub krewniacy biją przed ową machiną-pomnikiem pokłony i składają całopalne ofiary.**

**–Powiedziałaś „potomkowie”... – zdziwiła się Ingrid.**

**–Są trzy możliwości: albo te twory wysokiej techniki przywiezione zostały na Temę przez jakichś gości spoza Układu Proximy, albo istniała tu przed tysiącami lat wysoka cywilizacja istot pochodzenia temiańskiego, a więc najprawdopodobniej blisko spokrewnionych z Temidami. Istoty te wyginęły lub wyemigrowały, a Temidzi są ich dalekimi krewniakami. Myślę jednak, iż nie można wykluczyć, że z jakichś nieznanых powodów nastąpił tu regres cywilizacyjny, a może nawet biologiczny twórców tutejszej cywilizacji. I właśnie Temidzi są ich potomkami. Co sądzisz o tym. Renę?**

**Zoolog nie odpowiedział.**

**–Która godzina? – zapytał z niepokojem.**

**–Osiemnasta czterdzieści pięć – odpowiedziała Ingrid. – O co ci chodzi?**

**–Już powinni tu być.**

**–Hans i Wład? Nie denerwuj się. Zaraz przylecą.**

**–Powiedz wreszcie, dla kogo te szczepionki – wtrącił Allan.**

**–Właśnie! – podchwycił Szu. – Mówiłeś na początku o jakiejś epidemii.**

**–No więc słuchajcie! Właśnie dochodzę do tej sprawy. Muszę kończyć, bo skoro tylko wylądują, lecę do moich Temidow. Otóż zaszczyciwszy mnie tym sterylność ścian i podłóg. W tym celu przesłał na Sel opracowane przez siebie wskazania dla uniwersytetów wytwarzających narzędzia badawcze i po niespełna dwóch tygodniach przesyłka z centralnej bazy wylądowała na kosmo-dromie Jedyunki. Tam już czekali na nią Wład i Ast, aby przewieźć aparaturę zwaną chemotropem do Miasta Temian.**

**Nie była to pora szczególnie sprzyjająca przelotom. Tema zbliżała się do periastronu i z godziny na godzinę warunki meteorologiczne oraz sejsmiczne pogarszały się fatalnie. Na dobitkę w tym samym czasie pojawiły się zakłócenia łączności radiowej na rzadko spotykaną skalę, które tuż przed startem samolotu doprowadziły do całkowitego zerwania łączności. Co gorsza, ostatni odebrany komunikat mówił o zbliżaniu się do Pustyni Czerwonych Piasków wielkiego tornada, które w ciągu godziny mogło również dosięgnąć Miasta Temian. W tej sytuacji Allan, pełniący samotnie dyżur w Jedynce, nie wyraził zgody na start Włada i Ast.**

**–Polecicie, jak tylko miniemy periastron. To znaczy za siedemdziesiąt parę minut. Nie macie się co spieszyć. W tym czasie poprawi się z pewnością także łączność. Zakłócenia nie trwają na ogół dłużej niż pięćdziesiąt minut. Powinniście być na miejscu jakieś trzy godziny przed zachodem Proximy.**

**–Boję się o nich – Ast spojrzała błagalnie na Włada. – Jeśli tornado przejdzie przez teren wykopalisk...**

**–Mogę polecieć sam. Już nieraz prowadziłem maszynę przy takiej pogodzie – powiedział nieco chełpliwie Kalina.**

**–Nie ma mowy. Jeśli polecimy, to razem. Można by spróbować zlikwidować lub zepchnąć wir na inny tor pociskami termicznymi. Powinny tu być w magazynie.**

**–Nie zdążycie dolecieć – stwierdził Allan. – Nie mówiąc już o tym, że nie mam prawa was wypuścić. Wiesz o tym dobrze, Ast.**

**–A jeśli im się coś stanie?**

**–Jeśli te nowo odkryte podziemia mają aż tak potężne stropy, to na pewno nic im nie grozi. Naprawdę, wierz mi, nie ma potrzeby ryzykować. Zjecie ze mną obiad i odleciecie.**

**–Nie będę nic jadła – Ast spojrzała na brata ze złością. – Nie potrzebuję twego obiadu.**

**–Ale z pewnością spróbujesz specjału Temidów. A nawet dam ci cały udziec dla Szu i Jaro – usiłował rozładować napięcie.**

**–Udziec? – zainteresował się Wład.**

**–Jest on ze zwierzęcia trochę większego od zająca, upolowanego przez mięsożerną roślinę. „Drzewo zamroczenia”, jak ją nazwał Ene. Korzystają z tych żywych pułapek Temidzi, okradając mięsożercę. To, czym chcę was poczęstować, jest prezentem od Temidów, otrzymanym <sup>^v</sup> nagrodę, że podsunęliśmy im prosty sposób pomnażania przysmaków. Nie wolno tego mięsa piec, smażyć czy gotować. Gdy zobaczycie Temidów zajadających z apetytem zdobycz na surowo, nie sądźcie, że zabrakło im ognia w pobliżu: oni czynią to ze smakoszostwa. Mięso już po kwadransie przebywania w zamkniętym kielichu niby-kwiatu mocno nasiąka wydzielanymi przezzeń aromatami i ma smak jakby umiejętnie dobranych ostrych przypraw. Sporządziłem z niego befsztyki tatarskie i wraz z twym ojcem zjedliśmy je z apetytem. Rzeczywiście ogromnie podnosi to walory kulinarne potrawy. Natomiast przy pieczeniu lub gotowaniu olejki eteryczne ulatniają się i cały efekt znika.**

**–A mówiłeś o pomnażaniu przysmaków...**

**–Ternidzi porzucali upolowaną zwierzynę, jeśli nie mogli jej upiec. Dopiero my 'wskazaliśmy im drogę postępowania: cóż prostszego, jak wprowadzić zdobycz na krótki czas do mięsożernego kielicha? I tu zdobyliśmy niepodważalny dowód szybkiego obiegu informacji w tej społeczności. Otóż z tego podsunętego im pomysłu już po tygodniu korzystali Temidzi w obrębie całej Kotliny Pięciokąta, zarówno na lądzie stałym, jak wyspach, nawet takich, do których dopiero później; dotarliśmy. Zdobyte informacje każdy Temid niezwłocznie przekazuje swoim ziomkom tak sprawnie, że tamci po gwizdanych objaśnieniach w mig pojmują, o co chodzi. Tą drogą pewne nasze porady i wyuczone umiejętności zostały przyswojone przez całą ich społeczność. Mówiąc o całej społeczności, mam na myśli jeden Pięciokąt. Temidzi zasiedlają cztery oazy ciepła, przedzielone mroźnymi obszarami, które stanowią dla nich nieprzekraczalną barierę. Są to więc odrębne populacje pozbawione jakichkolwiek kontaktów. Renę zamierza zbadać, czy z tej przyczyny nie powstały jakieś odmienności rasowe. Co prawda izolacja trwa dopiero około dwóch tysięcy lat, ale zmiany mogły już wystąpić, zwłaszcza przy szybkiej zmianie pokoleń.**

Ciekawe jest również, czy pewna odrębność warunków bytowania nie rzutuje na procentowy rozkład płci. Zwłaszcza liczbę dwupłciowców, która w Kotlinie Pięciokąta zdecydowanie dominuje nad liczbą osobników jedno-płciowych. No, ale chodźcie do kuchni spróbować specjału Temidów – Allan z zapraszającym gestem otworzył drzwi prowadzące z hangaru do laboratoryjnych i mieszkalnych pawilonów bazy.

Ast spojrzała z wahaniem na przygotowany do startu samolot, potem na kłębiące się nad lasem chmury burzowe, widoczne przez kopułę hali.

–Chodźmy więc! Szkoda czasu – przesądził Wład. – A swoją drogą to, co mówiłeś, jest bardzo ciekawe. Dwa tysiące lat to genetycznie chyba niewiele – wrócił do poruszonego przez Allana tematu – ale kulturowo, a także językowo, to musi być ogromny skok.

–Niekoniecznie. Język i zwyczaje praczłowieka zmieniały się bardzo wolno. Sporo zależy od wielkości populacji, tempa postępu cywilizacyjnego i zmiany warunków bytowania.

–To samo twierdzi Szu. Ale przecież mówiłeś, że Temidzi bardzo szybko przekazują sobie informacje.

–Tak. Lecz ich zdolności wynalazcze są, jak się wydaje, bardzo ograniczone. Przekazywanie informacji to jeszcze nie myślenie twórcze.

Przeszli korytarzem do obszernego pomieszczenia kuchennego i Allan wyjął z pojemnika oczyszczone już i poćwiartowane mięso jakiegoś' temiańskiego „potworka”.

–Niestety, prawdziwe befsztyki po tatarsku trzeba siekać własnoręcznie. Nasze automaty kuchenne zupełnie się do tego nie nadają, a Jaro nie będzie się przecież zajmował takimi głupstwami.

–Może ci pomóc? – Ast odebrała mu nóż widząc, że niezbyt wprawnie zabiera się do siekania mięsa. – Zrób lepiej coś do picia.

–Niczego nie dokładaj – zastrzegł Allan. – Chodzi o oryginalny zapach. Na mój gust, ta woń jest zachwycająca.

–Rzeczywiście, bardzo przyjemna.

–A w ogóle społeczność Temidów to pasjonujący problem – podjął Allan przerwany wątek. – Co krok niespodzianki. Daisy ostatnio oszalała na punkcie ich wierzeń religijnych. Wcale się zresztą jej nie dziwię...

–Czy istotnie można już na ten temat powiedzieć coś konkretnego?

**–Zakopaliście się w swoich czerwonych piaskach i widać niewiele wiecie, co się dzieje w innych zespołach.**

**–A ty coś o nas wiesz? Siedzisz tu, zakopany w „beczułkach” – odcięła się Ast. – Dlaczego do nas nie przylecisz? Chyba warto?**

**–Byłem.**

**–Raz. I to na parę godzin.**

**–Wiesz przecież, że poczułem się fatalnie. Chętnie bym przyleciał, ale boję się nawrotu alergii. Bo to, zdaniem Kory, musiała być alergia. Uczulenie na te wasze czerwone piaski. Bo w Trójce przez tydzień siedziałem i nic mi nie było. Ale przyrzekam: jak tylko Will znajdzie jakiś środek zapobiegawczy, to zaraz przylecę.**

**–Trzymamy cię za słowo – zaznaczył Wład. – Ale wracając do tematu... Wspomniałeś o wierzeniach Temidów. I jakichś odkryciach Daisy.**

**–Chodzi o prace zespołu kontaktów słownych. Czin, Ingrid i Zoe rozwiązały już właściwie problem przekładu mowy Temidów na nasz język i odwrotnie. Translacja z pomocą konwernomów wyszła już ze stadium eksperymentalnego. Pomagała im zresztą Kora jako psychofizjolog, a ostatnio do zespołu weszła Daisy, z tym, iż zajmuje się ona przede wszystkim obyczajowością i wierzeniami Temidów. Pasjonuje się tym również Zoe, próbując odnaleźć w mitach ślady kontaktów Temian z Temidami.**

**–Zdaje się, że miały jakieś większe kłopoty z przekładem. Jest to jednak mowa zupełnie inna niż nasza.**

**–Na szczęście nie było tak źle, jak wydawało się na początku badań. Co prawda, literami ich alfabetu nie są czyste tony, lecz złożone struktury dźwiękowe, a zależność tej struktury od treści wyrazów i zdań sprawia, że owych liter można doliczyć się co najmniej kilku tysięcy. Ale nam przecież chodzi o semantyczną stronę przekładu, a nie formalne zasady konstruowania języka. Translatory konwernomu zakodowały więc w swej pamięci całe słowa i zdania, ich zaś identyfikacja ze słowami i zdaniami naszej mowy dokonywana była drogą czysto praktycznych prób dogadywania się z Temidami. W sumie ponad tysiąc godzin eksperymentów, w których szczególnie pomocna, zwłaszcza w pierwszej fazie badań, była mowa gestów.**

**–Ale czy rzeczywiście ich i nasz świat pojęć można jakoś utożsamiać? – wtrąciła się do rozmowy Ast. – Przecież nie tylko dzieli nas przepaść wiedzy i poziomu umysłowego, ale przede wszystkim zupełnie inna droga rozwoju. Czy w ogóle można tu szukać jakichkolwiek odpowiedników pojęciowych, nie licząc oczywiście prostych, elementarnych czynności? Wspomniałeś o wierzeniach i mitach. Słyszałam od Nyma,**

że Daisy doszła już do Trójcy Świętej... Przecież to po prostu tworzenie analogii na siłę, przenoszenie w obcy świat naszych własnych pojęć i wierzeń religijnych.

–Nym to złośliwa bestia. Coś musiał usłyszeć, lecz nie rozumiał, o co chodzi. No, ale siadajcie i jedzcie, bo „tatarski po temidzku” gotowy. Dziękuję ci, Ast – skłonił się przed siostrą.

–Więc co z tą mitologią? – ponaglił go Wład. – Jest w niej Trójca czy nie ma?

–Jest – Allan przełknął z ukontentowaniem odrobinę pachnącego mięsa. – Ale nie taka, jak myślicie. Daisy na razie nie spieszy się z wnioskami i niechętnie mówi o tym, do czego już doszła. Są to zresztą dopiero początki i z pewnością niełatwe, zważywszy trudności pokrywające się w pewnej mierze z tym, co mówiłaś, Ast. Ale Kora zna sprawę i wcale nie uważa, aby Daisy szła drogą prowadzącą na manowce. A to, co mówią Temidzi, w nieudolnym jeszcze przekładzie na nasz, ludzki język, brzmi w skrócie następująco: światem rządzą trzej bogowie...

–Stop! – przerwała Ast. – Czy u Temidów istnieje pojęcie świata i rządzenia?

–Rozumiem, o co ci chodzi, i masz tu trochę racji. To moja wina: zbyt swobodnie używam pojęć zdefiniowanych w naszym świecie. Temidzi' nie mają •władców i nie zn'ają pojęcia „rządzić”. Autorytet przywódcy hordy ma czysto użytkową postać. Kłopoty z władzą to jeszcze dla nich daleka przyszłość. Pojęcie świata jest już bardziej adekwatne do naszego: świat to Temidzi, zwierzęta, rośliny, jezioro, skały. Z wyjątkiem nieba: Proximy, gwiazd i planet. Ciekawe, że podobnie jak w naszych starożytnych mitach niebo jest domeną bogów. A bogowie to istoty, które urodziły świat i mogą go zabić. Rodzenie, śmierć, a także problemy pokrewieństwa są dobrze „przekonsultowane” z Te-midami i nie ma tu żadnych nieporozumień.

–Powiedzmy...

–Dwaj bogowie to „Bracia”. Trzeciego nazywają: „Niebrat-brat”. Nie bardzo wiadomo jeszcze, o co tu chodzi. „Niebrat-brat” jest dobry, ale słaby i chory. Dwaj pozostali bracia są silni i zdrowi, jeden jest dobry, drugi zły. A teraz niespodzianka, otwierająca pole do spekulacji: bóg „Niebrat-brat” ma to samo brzmienie w języku gwizdów jak Proxima. Bogowie „Bracia” – indentyczne z dwoma słońcami Tolimana – gwiazdami A i B. Można oczywiście powiedzieć, że to trójca najjaśniejszych obiektów na niebie, że Temidzi uwielbiają trójkę, bo są trójpalcząści i występują u nich trzy rodzaje płci. Ale może być też inna przyczyna. Ściślej: inne źródło informacji tworzącej podstawę mitu...

–Temianie?

–Właśnie. Posłuchajcie jeszcze, jak Temidzi określają istotę pająkowatą na rysunku pod obeliskiem, a także naszego Łazika. Jest to „bóg-niebóg”, dobry, jeden-dużo.

**„Dużo” oznacza u nich „więcej niż sześć palców” i może być to równie dobrze „siedem” jak „tyle ile małych i dużych bogów”, to znaczy gwiazd na niebie. Łazik byłby więc chyba kolejnym wcieleniem Temianina. Zresztą zdaje się to potwierdzać fakt, że wszystkie przedmioty i narzędzia, będące tworem wysokiej techniki, opatrują przymiotnikiem podobnym brzmieniowo do ich wyrazu „bóg-niebóg”.**

**–Może klucz do tych zagadek znajduje się właśnie w Mieście Temian? – zapytała na wpół twierdząco Ast.**

**–Nie wiem. Dla mnie oni pozostają mgłą. Torus Karlsona, oazy ciepła, obelisk, zasypane budowle... Zgoda! To są konkretne dowody. Ale tak naprawdę?... Wszystko tonie we mgle. Do mnie, jako biologa, przemawiają ingerencje w przyrodę żywą, jakich ktoś dokonał tu ongiś, a zwłaszcza – jakich dokonuje na naszych oczach! Nazwałem swoistym „cudem” to, że flora i fauna nie poniosła na Temie istotnych uszczerbków w obliczu kataklizmu, który kompletnie przeinaczył jej klimat, zniszczył dawne biotopy i stworzył nowe, całkiem odmienne. „Cudem” w cudzysłowie, bo przecież nie wierzę w irracjonalne podłoże czynników, które ocaliły biosferę. Takim czynnikiem mógł być tylko Rozum. Stwierdziliśmy z Renę, że na dawnej Temie przeważał zielony kolor listowia. Teraz wiemy ponadto, że niebieska barwa liści dzisiejszej flory wiąże się z tym, iż współżyje ona z „beczułkami” – formą drobnoustrojów obecnych w glebie na powierzchni całej planety. Udało mi się stwierdzić, że tym bakteriom zawdzięczają mrozoodporność rośliny, które przez całe eony geologiczne żyły w ciepłym klimacie. I oto okazało się, że „beczułki” powstały dwa tysiące lat temu, równocześnie ze zmianą orbity Temy! Mało tego: nie są blisko spokrewnione z żadnymi tutejszymi mikroorganizmami – co przecież musiałyby zachodzić, gdyby tak niedawno powstały drogą specjalizacji, czyli przemiany jednych gatunków w inne.**

**–Może jednak sama przyroda...**

**–Nikt nie nabierze mnie na to, iż te szokujące zbiegi okoliczności dokonały się normalnie, pod naporem mechanizmów ewolucji. Można wszakże odparować, że również to należy do historii, bo stało się dwa tysiące lat temu. Ale nie sposób powiedzieć tego o „cudzie”, który wydarzył się już po naszym przybyciu na Temę.**

**Pamiętam ten wieczór – podjął po chwili. – Było to tu, w Jedyńce. Podobnie jak dziś, Tema podchodziła do periastronu. Świst wichury, plusk deszczu i lekkie wstrząsy podziemne... Wróciłem z Ingrid z obchodu puszczy i zająłem się badaniem zakażonych porostów. I wtedy okazało się, że zaraza ustąpiła. Infekujący „beczułki” bakteriofag TY-112 przestał istnieć. Już sam ten fakt byłby trudny do zrozumienia. Zagadka sięgała jednak znacznie głębiej. TY-112 nie przepadł bez śladu; lecz uległ mutacji, która od razu przekształciła go w nowy gatunek o podobnej budowie, ale całkiem odmiennych właściwościach. Nie tylko był on nieszkodliwy dla zdrowych**

„beczułek”, lecz – z kolei – uzdrawiał chore, już skazane na zniszczenie, wskutek postępujących procesów rozpadu wywołanych zarażeniem. Mało tego! Wsparte jego działaniem „beczułki” cofały destrukcyjne zmiany, jakie zaszły w porostach, a także w mchach. I jeszcze nie koniec na tym. Własnym oczom nie wierząc, stwierdziłem z osłupieniem, że nie była to mutacja jednostkowa, jak zawsze się dzieje: uległy jej równocześnie wszystkie TY-112! Jakiegokolwiek próbki badałem, z rozmaitych miejsc, dotyczące odrębnych gatunków porostów i mchów – wszędzie rozgościł się nowy bakteriofag i spełniał swoją dobroczynną misję. Oznaczyłem go jako TS-112, a potocznie nazywam sanatoriu-sem, czyli uzdrowicielem.

–Tak byłeś pewny? – Ast spojrzała na brata z dezaprobatą.

–Nie byłem pewny. W czasie naszej wyprawy do Kotliny Pięciokąta powiedziałem Renemu o odkryciu. Oświadczył, że to bzdura, że musiałem coś sknocić, że widać warunki w laboratorium były niedostatecznie sterylne, że mogła przypadkowo wydarzyć się jakaś mutacja, którą rozwlokłem, zakażając jedne kolonie od drugich. Zresztą po zastanowieniu uwierzyłem, że tak rewelacyjny wynik powstał tylko z mego niedopatrzenia: kłócił się przecież z podstawowymi prawami biologii, z rachunkiem prawdopodobieństwa, a nawet ze zdrowym rozsądkiem. Ale mimo usilnych starań nie umiałem wykryć błędu w swych badaniach, o powtórzenie ich prosiłem najpierw Renęgo, a później moją mamę. W świetle oczywistych faktów, wyzbywszy się niedowierzań, przyznali mi rację. Dlatego teraz tu siedzę i nie ruszę się stąd, póki nie wyjaśnię sprawy do końca. Zdaje mi się, że wpadłem na trop mechanizmu, który uwarunkował zbiorową mutację bakteriofagów TY-112. I powiem wam: tak czy inaczej, ten „cud” ustąpienia zarazy jest dziełem tych samych biokonstruktorów, którzy dwa tysiące lat temu stworzyli „beczułki”. Zadziali oni w skali planety takim czynnikiem, który precyzyjnie wywołał w każdym poszczególnym TY-112 tę samą mutację, z góry przez nich zaprogramowaną.

–Rzeczywiście to dziwne – powiedział w zamyśleniu Wład. Ast spojrzała na zegarek.

–No cóż... Mam nadzieję, że jesteś na właściwym tropie. Ale chyba Proxima minęła już periastron... Możemy lecieć.

Z pułapu kilkunastu kilometrów dało się odróżnić mgliste zarysy pustyni i oceanu. Powierzchnia planety przypominała mapę oglądaną przez zakopcone szkło. Wład latał tu jednak wiele razy w różnych warunkach pogodowych i orientował się dobrze w położeniu wykopalisk.

Nie mieli żadnych wiadomości ani od Szu i Jaro, ani z Jedyńki, Dwójki czy Kotliny Pięciokąta. Łączność radiowa była nadal bardzo zła, choć już od pół godziny zakłócenia powinny się skończyć. Mimo rozpaczliwych wysiłków Ast niczego nie mogła wyłowić z powodzi świstów, trzasków i szumów.

**Nad Miastem Temian szalała jeszcze wichura, gdy przechodzili do lądowania.**

**Nad odkrywkami wznosiły się tumany piasku, lecz wydmy były już coraz lepiej widoczne, co wskazywało, że wiatr zaczął słabnąć. Tornado przesunęło się daleko poza teren odkryć.**

**Z lotu ptaka stanowisko archeologiczne nie przedstawiało się zbyt okazale. Ciemne, prawie czarne fragmenty murów, połamane i nadtopione w żarze bloki jakiegoś żółtawego tworzywa, sterczące tu i ówdzie z bezkresu piasków słupy kamienne, niewyraźne zarysy jakichś prostokątów, teraz cieniowane jeszcze przewalającą się kurzawą, wszystko to poprzedzielane usypiskami gruzu, piasku i ziemi wydobytej przez koparki i „odkurzacze” – daleko odbiegało od wyobrażeń wielkiej urbanistyki i architektury.**

**Szkody nie były tak rozległe, jak się Ast i Wład spodziewali. Pawilon laboratoryjny i magazyn robotów stały nietknięte. Tylko samolot transportowy, pełniący rolę mieszkania-bazy, przesunął się o kilkadziesiąt metrów, a jego złożone skrzydła tkwiły głęboko w świeżo usypanej wydmi. Nowym elementem w krajobrazie był duży ciemny obszar w odległości półtora kilometra od wschodniego krańca ruin i wykopów. Widocznie trąba powietrzna zmiotła wierzchnią warstwę piasku, odsłaniając pod spodem coś, co przy spojrzeniu z góry wyglądało jak nieregularna brunatnoczarna plama niewiadomej konsystencji.**

**Szумы i trzaski ustały raptownie.**

**–Halo, Ast i Wład! – usłyszeli głos Allana. – Co się z wami dzieje? Czy mnie słyszycie?**

**–Halo, Al! Z nami wszystko w porządku. Co z Szu i Jaro – nie wiem. Nie było do tej chwili łączności. Za chwilę lądujemy!**

**Usiedli tuż obok samolotu-bazy i Ast pierwsza wyskoczyła z maszyny. Brnąc poprzez zwały piasku, dotarła do zasypanych schodków. W uchylonych drzwiach czekał Brabec. Oczy miał zaczerwienione od piasku i pyłu. Był blady, ale spokojny.**

**–Przywieźliście? – zapytał bez wstępów, wciągając Ast do wnętrza samolotu.**

**–Gdzie Szu?! – zawołała Ast, jakby nie słyszała pytania.**

**–W Mieście.**

**–Sam?**

**–, Nie. Z duchami Temian – zażartował. – No więc jak? Przywieźliście chemotrop?**

**–Jest, jest! Nie zginął – potwierdził od progu Wład. – Ale zawiewa – otrząsał się z piasku.**

**–No więc, co z Szu? – ponowiła pytanie Ast.**

**–Zasypany. Ale się nie denerwuj. Nic mu nie grozi.**

**–I nie wysłałeś koparki?**

**–Czekam, aż się trochę uspokoi. Muszę zresztą najpierw sprawdzić. Może trzeba ściągnąć ze dwie maszyny... – sięgnął po leżący na stoliku radiotelefon.**

**–Dlaczego nie zostałeś z nim na dole?**

**–Bo tak właśnie bezpieczniej. Wygrzebywać się ręcznie od spodu wcale niełatwo. Czekałem zresztą na was, Liczyłem się z tym, że będziecie lądować w czasie burzy i mogą być kłopoty. A teraz pomożecie mi w kopaniu.**

**–W którym sektorze pozostał Szu?**

**–B-11. Nie martw się. Są tam bardzo solidne stropy, o ogromnej wytrzymałości, przypominające dawne ziemskie schrony przeciwatomowe. Szu jest zdrow i cały. I bardzo stęskniony za tobą... A może chcesz z nim porozmawiać? Właśnie tuż przed waszym lądowaniem nawiązałem z nim ponownie łączność, jak tylko się skończyły te piekielne zakłócenia. Bardzo się o ciebie niepokoił... Prawda, Szu? – powiedział do aparatu.**

**–Jesteś podły! – wyrwała mu z ręki radiotelefon. – Szu! Co ty wyprawiasz?**

**–Czekam i słucham – w głosie Szu wyczuła rozbawienie.**

**–Obaj jesteście podli! Nie wiesz, jak się niepokoiłam!**

**–Właśnie wiem. Sterczę tu zresztą przy aparacie od dwóch godzin.**

**–Mogliśmy być tu już godzinę temu. Chciałam zaraz lecieć, tylko Al nam nie pozwolił.**

**–I miał rację. Jeszcze tylko was tu przed godziną brakowało!**

**–Tak baliśmy się o was... I ten brak łączności. Tym razem zakłócenia trwały wyjątkowo długo. Objęły całą Temę...**

**–Również Sel i Łkara – wtrącił Jaro.**

**–Jak daleko przeszedł lej? – spytał Szu. – Ty, Jaro, przynajmniej mogłeś coś**

widzieć.

–Południowo-wschodnim skrajem Miasta. Najpierw dostrzegłem obłok ogarniający niebo, a dopiero, gdy trąba przybliżyła się, rozróżniłem jej trzon na kształt rozpędzonego drzewa z koroną w chmurach. Lej ten porywał piasek, a nawet spore gązdy, unosząc je na zawrotną wysokość. Według moich obliczeń, jego szybkość przekraczała czterysta kilometrów na godzinę. Zresztą mam wiele zapisów holowizyjnych, łącznie z dźwiękiem. Potworny świst! Zaraz, jak trąba się oddaliła, zrobiło się ciemno. Wręcz nieprzenikniona powłoka pyłów. Burza piaskowa uspokoiła się na krótko, potem uderzył wicher i rozpoczął się kolejny taniec piasku, już znacznie słabszy.

–Niczego nie widziałem – powiedział z żalem Szu. – Pamiętam tylko potworny ryk i świst piasku zdzieranego znad stropu. Uczułem gwałtowny podmuch, który omal nie zwałił mnie z nóg. Potem wtargnął do sali obłok kurzu i usłyszałem szelest piasku sypiącego się przez zatarasowany otwór wejściowy. Musiałem zejść niżej. Łączności dalej nie było. Nie wiedziałem, co się dzieje. Bałem się, czy nie próbowaliście lądować. Lco z Jaro... Czy bardzo zasypało odkrywki? – zmienił temat. – Co widziałaś, Ast?

–Z tego, co mogliśmy dojrzeć przy lądowaniu, wynika, że będzie trochę kopania.

–Zdaje się, że tornado pozostawiło ci też prezent – dorzucił Wład.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Czy prowadziłeś wstępne badania na pustyni w odległości półtora kilometra na wschód od sektora K-6?

–Zdjęcia grawimetryczne nie ujawniły żadnych śladów budowli. Tam chyba niczego nie ma.

–Może masz i rację. Ale trąba powietrzna odsłoniła jakiś czarny obszar;

–Prostokątny?

–Nie. Raczej owalny.

–Duży teren? Wład zastanowił się.

–Czy ja wiem... Hektar, może więcej.

–Trzeba będzie sprawdzić, co to takiego. No, Jaro! Zdaje się, że już się uspokoiło i możesz zacząć mnie odkopywać.

Usunięcie piasku zawałającego wejście do podziemi zajęło robotom ponad godzinę. Przeznaczone do prac archeologicznych „odkurzacze” i koparki działały bez zbyteń pośpiechu, a za to dokładnie i z wyczuciem. Zaraz po uwolnieniu Szu wyruszył w teren Skarabeuszem, aby zbadać, jaki jest stan wykopalisk po przejściu tornada. Towarzyszyli mu Wład i Ast. Do zachodu Proximy brakowało bowiem zaledwie czterdziestu minut. Jaro pozostał w podziemiach Miasta, gdzie przewiózł już swojego chemotropa, aby niezwłocznie wypróbować jego działanie.

Szkody spowodowane przez tornado i szalejącą wicherę nie były na szczęście poważne. Zasypanie kilku odkrywek, zawalenie rozsypującego się sklepienia budowli, nazwanej przez Ast „Łażnią”, zaginięcie robota-koparki i kilku drobniejszych narzędzi, zerwanie trzech lin kotwiczących samolot-bazę – i to wszystko.

W powrotnej drodze zatrzymano się na pustyni w miejscu wskazanym przez Włada. Oczom trojga naukowców ukazało się rozległe wgłębienie, którego dno wypełniała zbita ciemna masa przypominająca torf”. Było oczywiste, że właśnie tędy przetoczył się lej trąby powietrznej, zdzierając warstwę piasku, która pokrywała tę formację.

Wład uderzył obcasem w podłoże. Kruszyło się. Po chwili podał Szu sporą bryłę brunatnoczarnej substancji. Odrywała się od podłoża kawałkami rozmaitej wielkości, a miejscami ulegała zupełnemu rozpyleniu, przypominając popiół.

Milczenie przerwała Ast.

–Co to jest właściwie?

–Jeszcze nie wiem – odparł Szu. – Ta formacja wydaje się pochodzenia organicznego – dodał po krótkim namyśle.

Usiadł na piasku i wyjąwszy z kieszeni lupę z uwagą przyjrzał się bryle. Ast i Wład stojąc czekali na werdykt archeologa. Trwało to dość długo. Wreszcie Szu wstał, przez chwilę patrzył na pogrążone już w cieniu dno czarnej niecki, potem powiedział:

–To cmentarzysko jakichś wyższych zwierząt. Wład, wyprowadź kombajn odkrywkowy!

Proxima chowała już swą wielką tarczę za wydmami, gdy robot rozpoczął pracę, sterowany instrukcją przekazaną przez archeologa. Im głębiej kopał, tym częściej natrafiał na kości, przeważnie spróchniałe i rozsypujące się za każdym silniejszym naciśnięciem ręki ludzkiej.

W jaki sposób mogła powstać ta zbiorowa mogiła nieprzeliczonych, kiedyś przecież żywych istot? Z tego, co można było już teraz stwierdzić, wynikało, że tworzyła się bardzo krótko. Czyżby natrafiono na ślad żywiołowej katastrofy?

Nie mogła to być ani powódź, ani wybuch wulkanu. Raz po raz natrafiali na ślady wysokiej temperatury, nie 'wywołanej jednak ani środkami chemicznymi, ani bronią nuklearną. Wszystkie lepiej zachowane kości wykazywały zmiany charakterystyczne dla działania czynników termicznych o wielkiej energii. Wstępna analiza określiła wiek znaleziska na trzy tysiące lat.

Wraz z zapadnięciem nocy zapalono reflektory. Szu i Ast wrócili do pojazdu, aby zawiadomić Brabca o odkryciu i przygotować coś do zjedzenia. Wład pozostał obok robota, wstępnie segregując wydobywane przez niego szczątki. Nie ulegało wątpliwości, że zanim kombajn dotrze do dna cmentarzyska, upłynie wiele godzin.

Nagle Wład krzyknął. Ast i Szu wyskoczyli ze Skarabeusza i podbiegli do Kaliny, pełni obaw, że uległ jakiemuś wypadkowi.

Stał przy kombajnie w jasnym świetle reflektora, nieruchomy i jakby przybladły. W rękę trzymał fragment puszki mózgowej, której pochodzenie było aż nadto czytelne. Obok na podręcznym stoliku długie ramię robota kładło ostrożnie jeszcze jedną, lepiej zachowaną czaszkę...

Szu i Ast podeszli do wykopu. Nie mogło być wątpliwości, że odsłonięty dół wypełniają szczątki setek, a może tysięcy Temidów.

Głuche milczenie zgodnie potwierdziło wstrząsającą tragedię, jaka rozegrała się wśród tych lotnych piasków dawno temu, a teraz tak żywo obchodziła ludzi.

Kontynuowane w następnych dniach badania pozwalały stwierdzić z całą pewnością, że masowy grób zawierał zwłoki co najmniej dwóch tysięcy Temidów, a gwałtowna śmierć, jaką ponieśli na tym miejscu, nie była dziełem ślepych sił przyrody. Przypuszczalnie oprawcy, rozporządzający wysoką techniką, zagnali lub przywieźli ich tu, na pustynię, i zgładzili za pomocą potężnych emiterów energii elektromagnetycznej.

Czyżby czerwone piaski ukrywały przez trzydzieści wieków jeszcze jedno oblicze Temian?

# FAKTY... HIPOTEZY... ZAGADKI...

## (Zapiski Daisy Brown)

*Tema, 17 sierpnia 2536*

Przyjaźń z Temidami weszła w zupełnie nowy etap, od kiedy słownik gestów zastąpiliśmy bezpośrednią rozmową tłumaczoną przez konwernom. Jeśli chodzi o pojęcia potoczne, osiągnęliśmy perfekcję wykluczającą nieporozumienia.

Udało nam się do tej pory znacznie rozszerzyć tematyczny zakres dialogów, a zwłaszcza – co było najtrudniejsze – włączyć doń upływ czasu. Teraz możemy już nie tylko objaśnić sobie wzajemnie, co każdy z nas robił przed chwilą, bądź o brzasku, bądź minionego wieczoru, nie tylko umówić się, określając godzinę, miejsce i cel spotkania, lecz także wymienić uwagi o własnym nastroju, lubieniu czy nielubieniu kogoś albo czegoś, o czyimś wyglądzie i charakterze, w organicznym stopniu snuć przewidywania takich a takich wydarzeń w społeczeństwie albo w przyrodzie, nawet wyrażać subiektywny pogląd na jakiś abstrakcyjny problem, byle nie nazbyt zawiły.

Informacje o Ziemi i ludzkiej kulturze są dla Temidów raczej niezrozumiałe. Nic dziwnego, skoro nie potrafią odpowiedzieć na żadne bezpośrednie pytania, zarówno o swej własnej przeszłości, jak też zmianach w przyrodzie ojczystego globu. Chyba nie ogarniają pochodzenia historii jako takiej. Nie mają jeszcze za sobą tego rodzaju milowych słupów postępu, jak krzesanie ognia, wynalezienie koła i krążka garncarskiego, hodowla zwierząt bądź uprawa roślin.

Tkwiąc na szczeblu pierwotnych łowców i zbieraczy, tuziemcy rozporządzają niezbędną im wiedzą o otaczającym świecie i sposobach wykorzystania go do własnych potrzeb. Tej praktycznej wiedzy uczą swoje dzieci. Mimo to raczej nie zdają sobie sprawy, że umiejętności, jakie posiadają, zdobywały kolejne pokolenia ich przodków. Siebie i własne siedlisko widzą bardzo statycznie. Zmienna jest dla nich pogoda, z pozoru nieregularne następstwa dni i nocy, biologiczne procesy wzrostu i rozwoju, samopoczucie, zdrowie i choroby. Mają mocną świadomość, że są śmiertelni. Nie uzyskaliśmy dowodów ich wiary w życie pozagrobowe.

Wynalazki, jakie im podsuwamy, wykorzystują szybko, rozpowszechniając w całej lokalnej społeczności. Tak stało się najpierw z wsuwaniem upolowanej zwierzyny do kielichów-pułapek mięsożernych drzew, a potem ze sporządzeniem wędek do łowienia w jeziorze rybowatych na haczyk z kości. Ciekawe, czy przetrwa u nich pamięć, że te osiągnięcia uzyskali z zewnątrz. Jeśli kiedyś zawitają tu kolejni goście z Ziemi, będą mieli pełną dokumentację faktów, na których oprą się legendy Temidów. My jesteśmy w odwrotnym położeniu: chcielibyśmy na podstawie ich mitów odtworzyć tę przeszłość, która je zrodziła.

**Wielkie nadzieje, jakie początkowo z tym wiązałam, niestety okazały się przedwczesne. Po pierwszych sukcesach stanęłam właściwie w miejscu. Winne są przede wszystkim trudności, jakie mają Temidzi z lokalizacją wydarzeń w czasie. Wynika to z braku prostego, zrozumiałego dla wszystkich dorosłych osobników naturalnego miernika czasu. Długość dnia i nocy podlega zbyt zawiłym dla umysłu Temidów prawidłowościom, sezonowe zaś zmiany w przyrodzie, przypominające ziemskie pory roku, nie istnieją. Rok, to jest czas obiegu Temy wokół Proximy, trwa bowiem niespełna 70 godzin, doba zaś, czyli pełny obrót wokół osi – 18 dni i 11 godzin. Są to okresy zbyt krótkie, aby mierzyć nimi upływ własnego życia, a cóż dopiero mówić o biegu pokoleń.**

**Rozważamy możliwość nauczania Temidów obserwacji ruchów Urpy i Primy, których czas obiegu można już porównywać z ziemskim i marsjańskim rokiem. W tej chwili Temidzi nie potrafią skupić uwagi na rzeczach, jakie działy się przed ich urodzeniem. To rzutuje w sposób przedziwny na ich „mity”, które w opracowaniach zamierzam brać w cudzysłów. Nie ma w nich bowiem ani osadzenia w czasie, ani jakiegokolwiek ciągłości, ani nawet rozwoju wydarzeń. Podczas gdy każde nasze opowiadanie można, choćby w sposób przybliżony, przenieść na film – dowolny „mit” Temidów jest w najlepszym razie fotografią. Są to jak gdyby stacjonarne obrazki, ubogie w szczegóły, z zamazanym tłem, bez półcieni i perspektywy. Nie ułatwiają domysłów, co było przedtem i co nastąpiło potem. Jest to zastanawiające zważywszy, że w swej treści wierzenia Temidów zdają się jak gdyby szyfrować rzeczywiste fakty. Czyżby to była tylko nasza chęć doszukania się w nich śladów ingerencji Te-mian?**

***Tema, 23 sierpnia 2536***

**Zastanawiamy się, czy pamięć Temidów jest jakościowo inna od ludzkiej. Chcąc to sprawdzić, badaliśmy indywidualny stosunek poszczególnych osobników do różnych członków naszej ekipy. Najpierw stanęła na przeszkodzie trudność, jaką sprawia im odróżnienie jednego człowieka od drugiego. Podobnie zresztą nam twarze tych istot wydają się wszystkie jednakowe.**

**Ponieważ nasze ubiory są dość zbliżone, mimo różnic kroju i szczegółów wykończenia dostosowanych do osobistych gustów, każdy uczestnik podjętego eksperymentu przystroił się dodatkowo w znak rozpoznawczy, przeważnie kolorową chustę przypiętą z przodu do bluzy. Moja jest różowa, Deana zielona, Renę przepasał się ukośnie złoto-niebieską szarfą niby wstęgą starodawnych ziemskich orderów.**

**Dopiero takich przebierańców Temidzi rozpoznają bez pomyłek. Z kolei trzeba było w jakiś sposób naznaczyć gospodarzy. Chcieliśmy zrobić to bez ich wiedzy, a w efekcie na tyle dyskretnie, by nie spostrzegli tego ich pobratymcy. Wzbraniając się użyć izotopów promieniotwórczych, nawet w dawkach uznawanych za nieszkodliwe, zamierzaliśmy oznakować ich farbą bezbarwną dla nas i dla nich, lecz dającą**

wyraźny rysunek na odpowiednio uczulonych ekranach. Pragnąc jednak uniknąć pośrednictwa kolejnego przyrządu (prócz konwernomu) w kontaktach z Temidami, Al spróbował najpierw prostszego załatwienia sprawy: zaproponował im noszenie barwnych wyróżników, które dostaną od nas. Powiedział szczerze, jakiemu celowi posłużą. Gospodarze przystali z entuzjazmem, co nas ucieszyło, a Czin, Ingrid i Zoe skrzętnie odnotowały ich reakcję dla swoich wspólnych badań.

Kilkudziesięciu „naszych” Temidów paraduje teraz z zawiązanymi na szyi kolorowymi wstążkami z wymalowanymi swoimi imionami. Nadajemy im – zależnie od płci – męskie i żeńskie imiona używane na Ziemi, co uznali za splendor przyjęcia ich niejako do wielkiej ogólnoludzkiej rodziny.

### *Tema, 1 września 2536*

Temidzi liczą na palcach. Przed naszym przybyciem nie wykraczali w tej sztuce poza sumę palców obu rąk. Ponieważ są trójpalczaści, szóstka jest dla nich odpowiednikiem naszej dziesiątki. Kiedy w dalszej przyszłości dojdą do działań rachunkowych, chyba stworzą matematykę szóstkową – a nie, jak my, dziesiętną. Będzie ona wygodniejsza, bo szóstka – prawie dwukrotnie mniejsza od dziesiątki, tak samo dzieli się przez dwie liczby – oprócz jedynki i siebie samej. Zważywszy, że korzystny dla nich byłby także system dwunastkowy, Czin uczy ich liczenia także na palcach nóg, co powoduje, że słowo „dużo” zaczynają coraz częściej odnosić do liczb powyżej dwunastu, a nie sześciu. Stara się też wyjść poza tę zaklętą dwunastkę, ale bez skutku.

Badalam wraz z Korą zakres dźwięków, na które reagują. Okazało się, że nie słyszą niższych tonów. Odbierają częstotliwości wysokie, aż po ultradźwięki do sześćdziesięciu tysięcy herców. Narząd słuchu tkwi w środku twarzy i przypomina trochę trąbę. Odznacza się dużą kierunkowością, co jednak nie przeszkadza odbierać dźwięków z wszystkich stron. Początkowo pochopnie uznaliśmy to „ucho” za nos.

Zakres rozróżniania barw przez oczy Temidów prawie nie różni się od ludzkiego. Rozdzielczość ich wzroku jest mniejsza. Obie gwiazdy Tolimana widzą pojedynczo, chociaż nie jako punkty, lecz nieco wydłużone plamki. Lepiej od -nas, to znaczy z większej odległości, dostrzegają poruszające się obiekty.

Temidzi obserwują niebo, a zwłaszcza trzy najjaśniejsze obiekty – Proximę, Tolimana A i Tolimana B. Jeśli zbliża się moment ich koniunkcji, przygotowują się do obrzędów rytualnych. Zaznacza się tu już pewien podział funkcji. Trafne przewidzenie koniunkcji nie jest oczywiście wynikiem obliczeń, lecz bezpośrednich, bieżących obserwacji i ekstrapolowania ruchu, chociaż w przyszłości tą drogą może rozwinąć się ich wiedza astronomiczna.

**Myślę, że podobnie ma się rzecz z prognozą zbliżającego się rozbłysku Proximy, z tym, iż nie jest to obserwacja tej gwiazdy, lecz jakichś procesów we własnym ciele, poprzedzających to zjawisko. Można by to nazwać „naturalną prekognicją”. Fenomen fizjologiczny podobny do wyczuwania trzęsienia ziemi lub wybuchu wulkanu przez wiele gatunków naszych zwierząt i niektóre rośliny.**

***Tema, 6 września 2536***

**Znów wypłynęła sprawa pomocy Temidom. Nym wystąpił z zarzutami wobec... Temian. Twierdzi, że stworzenie Pięciokątów, jako zbyt idyllicznych siedlisk, utrudnia dalszą ewolucję Temidów ku „wyżynom rozumności”. Przypomina, że zapewne człowiek nie byłby już teraz tym, kim jest, gdyby nie dramat epoki lodowcowej.**

**Odniesienie to było jednak chybione – wskutek niedostatków informacji o tutejszym świecie. Zbyt słabo zdawaliśmy sobie sprawę i ze zmian klimatycznych, jakie tu zaszły, i z wrażliwości Temidów na zimno. Teraz wiemy, że poza obrębem oaz ciepła nie przetrwaliby nawet przez krótki czas.**

**Żarzące się „gwoździe” jako stałe źródło ognia też nie są udogodnieniem przesadzonym. Zarówno ochrona przed chłodem, jak możliwość pieczenia mięsa łagodzą tuziemcom trudne – mimo wszystko – warunki bytowania.**

**Inne udzielone im udogodnienia także nie wydają się nadmierne. Niezbyt różnorodna broń i narzędzia zachwyciły nas jakością tworzywa. Jednak pod względem działania są całkiem prymitywne. Temianie mogli przecież sporządzić na użytek swych pupilów o wiele skuteczniejsze wyroby. Jeśli dali im stalowe kolce bez rękojeści, aby ci opawili je w asfaltowe kulki – to przecież nie ze skąpstwa ani z niedbałości. To samo dotyczy rozmaitych zatrząsków, oprawek do maczug, sprężyn stosowanych w pułapkach na zwierzynę.**

**Chyba wzbraniając się zastępować inwencję podopiecznych swoją własną, Temianie dali im tylko pewne części z materiałów bardzo trwałych (metali, plastyku), może czasami podsuwając sposoby wykorzystania ich. Dean przypuszcza, że jeszcze teraz Temidzi dostają podobną pomoc jako zrzuty z powietrza. Tym tłumaczy ich entuzjazm, kiedy widzą z daleka jakiś duży przedmiot latający, zanim potrafią go rozpoznać.**

**Otwarta pozostaje kwestia drapieźników. (Być może, także wygubienie pewnych bakterii chorobotwórczych; badania w toku)... Wokół stolicy Temidów jest tylko jeden gatunek żyjący w puszczy oraz na dwóch większych wyspach, który stanowi groźbę dla gospodarzy i zbiera daninę ofiar. To opancerzony kręgowiec rozmiarów małej foki, wyjątkowo odważny i krwiożerczy, uzbrojony w jedyne dwa ostre, wystające kły. Ponieważ nie spotkaliśmy jego czaszki wśród rytualnych zbiorów trofeów myśliwskich w kapłańskich grotach, widocznie Temidom nigdy nie udaje się**

go pokonać.

Znaleziska dowiodły, że przed zmianą orbity fauna dużych mięsożerców była tu dość urozmaicona. W obrębie dawnych temidzkich siedlisk pod Miastem Temian odkryliśmy szczątki pięciu takich gatunków, których przedstawiciele bez obaw o swoją skórę mogli polować na Temidów. Jeden, wagi słonia, podobny był raczej do krokodyla. Był to potwór o szczękach bezzębnych, zaopatrzony, w cztery rzędy kostnych wystąpień ostrych jak nóż. Istniały również formy jadowite, trybem życia przypominające węże.

W oazach ciepła brak skamielin któregośkolwiek z tych rabusiów. W związku z tym, znów można by szermować porównaniami z własnego podwórka. Nasz dzielny przodek zdobywał stworzone przez przyrodę mieszkanie w walce z niedźwiedziem lub lwem jaskiniowym. Także doskonalił broń i metody współdziałania hordy w starciu ze straszliwym prześladowcą – tygrysem szablastym. Wielu poległo rozszarpanych przez bestie, lecz jakże wydatnie zmagania te popychały rozwój inteligencji, przyspieszając wzniesienie zrębów cywilizacji!

Oczywiście tak było. Ale po cóż oceny tamtych wydarzeń przenosić w kosmos, dopasowując do całkiem innej sytuacji? Budując oazy ciepła, Temianie prawdopodobnie tworzyli wszystko od zera. Łatwo to przyrównać do ogrodzonego rezerwatu na pustkowiu, gdzie się dopiero wprowadza pożądaną faunę i florę. Czy powołując w jakichś porównywalnych okolicznościach coś takiego jako trwałe azyły dla pierwotnych ludzi – dalibyśmy im do towarzystwa wilki, krokodyle, żmije?...

Jeśli chodzi o rozwój inteligencji, mamy tu dwie strony medalu. Chyba przede wszystkim właśnie brakowi drapieżników trzeba przypisać poważny wzrost liczebności Temidów od początku istnienia Pięciokątów. A przecież zbyt mała populacja tak izolowanej społeczności byłaby dotkliwym hamulcem postępu. Pozostawienie jednego gatunku drapieżcy, przed którym gospodarze muszą stale się bronić – dobitnie świadczy, iż Temianie bynajmniej nie podchodzili bezkrytycznie do tych spraw. Wydaje się, że niczego nie puszczali na żywioł.

*Tema, 15 października 2536*

Chyba jednak zbyt pochopnie odmówiłam Temidom zdolności tworzenia mitów o zdarzeniach odległych w czasie. Co prawda, niemal wszyscy skupiają swe zainteresowania na sprawach bieżących, z trudem rozumieją, o co chodzi, gdy pytać ich o minione wydarzenia, nawet jeśli jest to przeszłość niezbyt odległa, a w języku ich nie ma wyraźnie zaznaczonej formy czasu przeszłego (ani przyszłego), okazuje się jednak, iż w tej regule są wyjątki. Szukając kontaktów z „obserwatorami nieba”, trafiłam na starucha kapłana (albo staruchę – bo to dwupłciowiec), na wpół już ślepego, lecz bardzo „rozmownego” i wyjątkowo dobrze zorientowanego w „mitologii”. Z tego, co od niego usłyszałam, wynika, że zna on szerszą, jakby

pogłębioną wersję mitu o trzech braciach-bo-gach. Nie jest to, jak na razie, obraz na tyle zwarty i zrozumiały, aby można było pokusić się o wnioski. Próby rekonstrukcji mogłyby łatwo przerodzić się w konstruowanie „mitologii” przeze mnie. Napotkałam jednak szereg niewątpliwie nowych elementów godnych zastanowienia. Na przykład Te-mid ten używa słowa „rodzice rodziców”, i to nie w sensie „babka i dziadek”, lecz współplemieńców, którzy spotykali „boga-nieboga”. Być może chodzi tu o jakiś wyższy stopień „wtajemniczenia”? Muszę być jednak bardzo ostrożna z tłumaczeniem opowieści tego starca na język naszych pojęć.

Moje podejrzenie, że istnieje jakaś forma „wtajemniczenia”, nie jest zupełnie bezpodstawne. Udało mi się bowiem stwierdzić, że nie tylko mój „rozmówca” i jego brat rodzony, ale także rodzice byli „obserwatorami”. Muszę zaznaczyć, iż cała rodzina należy do dwupłciowców. W takim przypadku bracia rodzeni są to nie tylko dzieci tych samych rodziców, lecz i dzieci poczęte przez wzajemne zapłodnienie obu partnerów. Temid rodzi (a właściwie wyrasta mu na zewnątrz środkowej, najlepiej chronionej części tułowia) jedno dziecko, złączone z nim do chwili, gdy będzie już zdolne do nauki samodzielnego chodzenia i zjadania pokarmów, zdobywanych początkowo przez rodziców, a potem samodzielnie. Dzieci dwupłciowców są więc jak gdyby bliźniętami. U jednopłciowców rodzi tylko jeden osobnik (można go nazwać żeńskim), podobnie jak u ludzi. Małżeństwa dwupłciowców z jediopłciowcami zdarzają się wcale nierzadko – w ich wyniku rodzi oczywiście tylko jeden z osobników, ale jak się okazało, są one z reguły płodniejsze. Rodzą się z nich osobniki jedno-i dwupłciowe. Rozkład procentowy tych trzech płci jest obecnie przedmiotem badań prowadzonych przez Renego we wszystkich czterech oazach ciepła.

Wracając do głównego tematu muszę stwierdzić, iż sprawa „obserwatorów nieba” była dla mnie o tyle intrygująca, że wskazywała na pewne załączkowe formy rozwarstwienia w społeczeństwie Temidów, opartego na podziale funkcji i przekazywaniu jej potomkom. Mogłoby to z pewnością sprzyjać gromadzeniu wiedzy w jednej rodzinie i ewentualnemu jej strzeżeniu, a więc pierwocinom „wtajemniczenia”.

Od starego Temida dowiedziałam się, że również „rodzice rodziców rodziców” (co, jak się okazało, nie oznacza pradziadków, lecz przodków) zajmowali się tym samym i oni właśnie dostąpili zaszczytu spotkania się z „bo-giem-niebogiem”. Oczywiście nie mówił tego w czasie przeszłym (bo nie potrafił), lecz tak jakby działo się to obecnie, twierdząc jednocześnie, że „rodzice rodziców rodziców” nie żyją. Zaczęłam podejrzewać, iż być może wśród „obserwatorów” istnieje jakaś forma wiary w życie pozagrobowe, ale było to nieporozumienie lingwistyczne. Okazało się jednak nieporozumieniem twórczym.

Próbując wyjaśnić kwestię, gdzie zmarli przodkowie spotykają się z „bo-giem-niebogiem”, dowiedziałam się, że dzieje się to w jakiejś wielkiej „boskiej-nieboskiej

grocie". Pytałam też, czy ci przodkowie widzą nie tylko „boga-nieboga”, ale również trzech braci-bogów (zwłaszcza że byli również „obserwatorami nieba”). Temid wyjaśnił, że „Brat-niebrat” (Proxima) jest ciężko chory, a „Bracia” (dwa słońca Tolimana) martwią się tym i chcą ratować świat (Temę) i wszystko, co w nim żyje. Ale świat też jest bardzo chory i dlatego Temidzi i wszystko, co żyje, czekają w wielkiej grocie, aż wyzdrowieje.

Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka wygląda to na mit o życiu pozagrobowym. Stary Temid twierdzi jednak jednocześnie, że tej groty teraz nie ma. A więc chyba raczej mit ten odbija jakieś dawne wydarzenia, w których uczestniczyli Temidzi i Temianie (ci ostatni być może rzeczywiście przybyli z Tolimana?). Muszę to przedyskutować z Korą, Igorem i Szu.

*Tema, 2 listopada 2536*

Badania przeprowadzone przez Jaro chemotropem nie rozwiązały zagadki „schronów” w Mieście Temian. Wynika z nich tylko, że podziemia zostały bardzo czysto wysprzątane tuż przed kataklizmem. Być może oczekiwano posiłków wojennych. Rewelacyjnym odkryciem było jednak stwierdzenie, iż mieszkańcy Miasta Temian oddychali powietrzem o zawartości tlenu podobnej do powietrza ziemskiego. Jest to dowodem, że twórcy tych twierdz nie pochodzili z Temy. Być może przybyli w ogóle spoza Układu Proximy.

*Tema, 9 grudnia 2536*

W jednym z zawałonych korytarzy Miasta Temian Ast dokonała przedwczoraj odkrycia, które może mieć przełomowe znaczenie. Chodzi o niezłe zachowany szkielet istoty wzrostu gibbona, nawet trochę przypominającej pokrojem tę małą człekokształtną. Osobnik odbiega budową od wszelkich poznanych wyższych przedstawicieli tutejszej fauny (ziemskiej także): posiada mocny ogon, opatrzony na końcu „palcami” chwytными, chociaż mógł on pełnić również rolę trzeciej nogi. Przednie kończyny bowiem trzeba uznać za czteropalczaste ręce. Renę przypuszcza, że osobnik ten poruszał się chodem trójnożnym w postawie wyprostowanej.

Niestety, szkielet jest bez głowy. Przypuszczamy, że właśnie tam mieścił się mózg, bo w tułowiu brak odpowiedniej kostnej obudowy, mogącej dobrze chronić ten fundamentalny narząd. Jaskrawo odbiega to od linii rozwojowej całej fauny temiańskiej. Czyżby to właśnie był okrutny przybysz z innych światów, reprezentant najeźdźców bezlitośnie mordujących Temidów?

*Nokta, 5 stycznia 2537*

Znów przybyłam wraz z Deanem na Noktę. Mary wysunęła hipotezę, że utratę tutejszej atmosfery wywołał wąski strumień fal elektromagnetycznych. Jeśli takie

**międzyplanetarne działo laserowe umieszczono na planecie X – co jest najprawdopodobniejsze – to musiało wyemitować olbrzymią energię, by odparować zestalone gazy, i to z odległości półtora miliarda kilometrów(?).**

***Nokta, 30 stycznia 2537***

**Igor ukończył prace na planetoidach. Wyniki badań, z pewnością skrupulatnych, ostudzają nasz zapał w ferowaniu wniosków – są bowiem sprzeczne. Z jednej strony okazuje się, że na planecie X istniało życie dość bogato zróżnicowane. Równocześnie jednak pobrane z przestrzeni kosmicznej powierzchniowe odłamki tego globu, w postaci meteorytów, świadczą, że nigdy nie otaczała go atmosfera. Jedno klóci się z drugim.**

**Może prace na Uripie posuną naprzód te rozważania lub ostatecznie rozwiążą zagadkę. Badania te rozpoczną się w przyszłym miesiącu. Jaro, wrócił już z Temy i wspólnie z Ziną buduje Dżdżownicę – załogowy statek podziemny do podróżowania wewnątrz skalnego płaszcza planety. Pozwoli on wnikać na kilkanaście kilometrów w głąb. Igor i Suzy przygotowują się do tej pasjonującej przygody. Wstępne sondáže przeprowadzone na Uripie dowiodły, że również tam istniało życie.**

**Wszystko zaczyna się gmatwać od nowa.**

# Część IV

## Exodus

### DŹDŻOWNICA

*Urpa, 18 marca 2537*

*Daisy!*

*Już drugi tydzień mija od dnia, w którym wylądowałam na Urpie, Wciąż jeszcze nie mogę przyzwyczać się do tego zamartwego świata i spotykanych tu na każdym kroku niezwykłych zjawisk przyrody. Ale tym razem nie będę Ci opisywała mych przygód na powierzchni i w głębinach morza ciekłego powietrza ani wypraw poprzez lodowe pustynie czy obszary wiecznej zmarzłości. Teraz, w ostatnim dniu przed startem Dżdżownicy, chcę Ci napisać o odkryciu, które, jak nam się wydaje, może mieć niezwykle doniosłe znaczenie dla postępu prac badawczych na Urpie. Chodzi tu o zagadkę tzw. Ciemnej Plamy.*

*Otóż na zdjęciach rozkładu pola magnetycznego dokonanych przeze mnie z powietrza jeszcze w ubiegłym tygodniu Igor zauważył w miejscu odległym zaledwie o 35 kilometrów od naszej bazy bardzo charakterystyczną anomalię. Wskazywała ona na obecność dużych złóż rud magnetycznych. Zainteresowało go to jako geologa. W czasie, gdy ja kończyłam swe prace na Morzu Centralnym, a J aro i Zina przygotowywali Dżdżownicę do drogi, Igor tam poleciał, zabierając ze sobą kilka sond iglicowych i inne przyrządy.*

*Wrócił dopiero po pięciu godzinach, niezwykle podniecony. Okazało się, że w miejscu tym widzi się już z samolotu ciemną plamę. Obejmuje ona obszar około jednego hektara i jak wykazały pierwsze badania, ciemny kolor lodu spowodowany jest domieszką jakiejś brunatnej metalicznej substancji. Miejsce to wykazywało bardzo poważną anomalię magnetyczną, choć badanie pyłów dowiodło, że jest to jakiś złożony stop, bynajmniej nie posiadający właściwości magnetycznych.*

*Igor zapuścił więc automatyczne sondy geologiczne. Ta, która nastawiona była tylko na dotarcie do poziomu gleby, powróciła przywożąc próbki lodu zanieczyszczone nie tylko pyłami metalicznymi, ale również- innego rodzaju substancją, której ilość rosła wraz z głębokością. Przeprowadzona w bazie analiza chemiczna tych pyłów ujawniła, że są to drobne okruchy jakiejś masy plastycznej.*

*Na próżno jednak^czekaliśmy. do wieczora na powrót choćby jednej spośród sześciu innych, zapuszczonych głębiej sond. Żadna nie wróciła. Postanowiliśmy*

**więc odroczyć wyprawę podziemną na kilka dni.**

**Rano Igor uruchomił w okolicach Ciemnej Plamy najpierw 12 sond, z których wróciły trzy, i to tylko wysiane na głębokość mniejszą niż 80 metrów. Wysłaliśmy wówczas jeszcze cztery sondy, nastawiając je na zatrzymanie się i powrót z chwilą, gdyby ostrza ich natrafiły na próżnię lub ciecz.**

**Wróciły wszystkie. Przywiozły próbki owej tajemniczej substancji plastycznej, tworzącej niezwyklej grubości skorupę. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że mniej więcej na głębokości 85. metrów (ok. 15 metrów pod powierzchnią, gleby) istnieje skorupa (skała?) z plastyku, a pod nią puste przestrzenie, prawdopodobnie groty. Igor twierdzi, że plastik mógł powstać w wyniku jakichś nie znanych nam jeszcze naturalnych procesów chemicznych, ale nie wyklucza również, że wytworzyły go jakieś rośliny czy zwierzęta. Może nawet jest on dziełem istot rozumnych.**

**Postanowiliśmy jednak wyruszyć w drogę podziemną. Badania Ciemnej Plamy z powierzchni lodowca zajęłyby zbyt wiele cennego czasu na konstruowanie specjalnych przyrządów lub budowę szybu. Znacznie prościej i szybciej będzie zbadać Ciemną Plamę niejako od spodu za pomocą naszego statku podziemnego.**

**Igor opracowuje przez cały dzisiejszy dzień nowy plan wyprawy, zmieniając trasę w ten sposób, aby objąć nią również i Ciemną Plamę. Kończę, bo i ja mam jeszcze sporo roboty przed startem.**

**Suzy**

**Lodowa pustynia tonęła w mroku. Tylko na wschodnim niebie, nad dalekimi wzgórzami, unosiła się bladoczerwona poświata zorzy polarnej. Na jej tle błyszcząca – jako jutrzienka – promienna Tema, zbliżająca się w tych dniach do apastronu [\[23\]](#).**

**Pierwsze, słabe jeszcze światła poranku mieszały się z blaskiem lamp zawieszonych nad baza.**

**W odległości kilkadziesiątu metrów od hali montażowej, po rozległym polu lodowym posuwał się wolno długi stwór, podobny do gigantycznej gąsienicy. Wydawał się szary w porównaniu z olśniewającą białością lodu. Tylko niektóre płyty segmentów, znikające kolejno w tylnej części statku, błyskały srebrzyście w blasku reflektorów.**

**Suzy wsunęła walizeczkę do stojących w bramie sań motorowych i piechotą ruszyła ku Dżdżownicy.**

**Dopiero teraz spostrzegła ciemną sylwetkę w skafandrze, która postępowała krok w krok za oddalającym się od hali statkiem.**

**–Jak tam, Jaro? Czy wszystko w porządku?**

**Jarosław Brabec zatrzymał się i skierował obiektyw kamery w stronę Suzy.**

**–Świetnie! Świetnie działa. Chodź tu, zobacz sama!**

**Suzy dopiero pierwszy raz widziała Dźdźownicę przy pracy na wolnym powietrzu. Dotychczas zapoznawała się z konstrukcją i zasadami pilotowania statku w hali montażowej. Ale choć nie był dla niej tajemnicą żaden szczegół złożonego mechanizmu, dopiero teraz mogła w pełni ocenić jego sprawne działanie.**

**Statek przypominał w tej chwili wielki, zaostrowany z obu stron ołówki o przekroju foremego dwunastokąta. Ponad 80% powierzchni Dźdźownicy pokrywało dwanaście pasów gąsienicowych, złożonych z wąskich płytek, niezwykle odpornych na działanie mechaniczne i chemiczne oraz wysoką temperaturę. Pasy te biegły przez całą długość statku. W ten sposób w czasie ruchu podziemnej maszyny niemal cała jej powierzchnia pozostawała pozornie nieruchoma względem ośrodka otaczającego statek, podobnie jak stykająca się z ziemią powierzchnia gąsienic czołgu.**

**Suzy i Jaro przyglądali się przez chwilę znikającym we wnętrzu statku płytkom gąsienic, wymieniając przez radio uwagi i spostrzeżenia. Wkrótce jednak konstruktor przyśpieszył kroku, gdyż pragnął zapisać obraz Dźdźownicy od czoła, gdzie zainstalowane były potężne narzędzia kruszące i topiące skały.**

**Suzy wróciła do sań, a tymczasem Brabec, wyprzedzwszy posuwające się wolno cielsko maszyny, nawiązał łączność z Kondratiewem.**

**–Halo! Igor! Możesz teraz zwiększyć szybkość? Czy mnie widzisz?**

**–Tak. Widzę cię. Suzy już jest?**

**–Od dziesięciu minut.**

**–A więc jadę na stanowisko. '**

**Czub Dźdźownicy lekko się wykrzywił i dotychczasowy „oówek” począł się przeobrażać w wygięty rogal. Statek zmieniał kierunek nabierając prędkości. Po chwili, znów wyprostowany, sunął ku północy, podnosząc za sobą tumany lodowego pyłu.**

**Konstruktor filmował jeszcze kilka minut oddalający się statek, po czym zawrócił w kierunku zabudowań bazy.**

**Suzy i Zina czekały już na niego.**

**Sanie pomknęły.**

**Minęli niewielki pagórek i zaczęli zjeżdżać w głąb rozległej kotliny. Na jej dnie rysował się wyraźnie czarny kadłub Dżdżownicy. Dziób jej był już na kilka metrów pogrążony w lodzie, za rufą zaś wznosił się kopiec śniegu. Maszyna drążyła tunel w lodzie, przerzucając skruszony materiał poza siebie transporterem, rurą biegnącą wewnątrz jej metalowego cielska. Naraz z rury wylotowej wystrzeliła fontanna wody, rozrzucając na wszystkie strony lodowe okruchy. Śnieżny obłok wzbil się w górę. Widocznie Kondratiew włączył na próbę urządzenie topiące.**

**Statek szybko pogrążał się w lód.**

**–Siedem!... – zawołał Jaro nawiązując łączność radiową z Igorem. – Co ci się tak śpieszy?! Czyżbyś chciał nam zostawić Suzy?**

**–Może...**

**Dżdżownica zamarła w bezruchu.**

**Suzy, Jaro i Zina wyszli z sanek i podążyli ku rufie statku.**

**–Nie zapomnijcie przywieźć dla mnie zęba jakiegoś urpiańskiego mamuta – zaśmiała się Zina.**

**Ale Jaro nie miał już ochoty do żartów.**

**W dolnej części rufy podniosła się nieduża kłapa włazu i w otworze zabłysnął hełm Kondratiewa. Brabec ujął geologa za ramiona, pomagając przyjacielowi wydostać się z otworu.**

**Po chwili Igor stanął na lodzie.**

**–No, już czas! – rzekł krótko.**

**Podszedł do Ziny, objął ją wpół i przycisnął mocno do siebie. W oczach córki zobaczył łzy.**

**–Powiedz mamie... – zaczął i urwał. – Zresztą... nic... Zobaczymy się za dwadzieścia dni.**

**Jaro kręcił się nerwowo, patrząc w ziemię. Również Suzy nie umiała ukryć wzruszenia. Przekładała z ręki do ręki walizkę, wreszcie podeszła do włazu i postawiła ją w otworze. Myśli jej były w tej chwili przy Władzie... Czy ujrzy go kiedykolwiek?... Wszak za chwilę rozpoczyna wraz z Igorem najniebezpieczniejszą fazę badań. Dotychczas, pomijając wypadki Zoe i Renego, wszystkie prace odbywały**

się w warunkach względnego bezpieczeństwa, przy stałej łączności z innymi członkami ekspedycji. Teraz mieli się opuścić głęboko pod ziemię, poza zasięg łączności radiowej i ultradźwiękowej, zdani wyłącznie na własne siły.

–Wsiadajmy! – przerwał milczenie Igor. Suzy uścisnęła Jaro i Zinę.

–Do zobaczenia za dwadzieścia dni w okolicy Ciemnej Plamy.

Na czworakach wpełzła do wnętrza długiej i ciasnej rury prowadzącej w głąb statku. Po przebyciu kilku metrów, popychając przed sobą walizeczkę, dotarła do śluzy.

Tu musiała poczekać na Igora, który zjawił się po kilku minutach. Bez słowa przesunął dźwignię, zamykając klapę wjazdu i włączając urządzenia regulujące ciśnienie i skład powietrza.

W chwilę później, już bez kombinezonów i hełmów, ruszyli w głąb maszyny, przeciskając się wśród niezliczonych urządzeń energetycznych, chemicznych i mechanicznych. Doszli wreszcie do pomieszczeń laboratoryjnych i mieszkalnych. Składały się one tylko z czterech wąskich kabin. Ściany, sufity i podłogi były tak wypełnione przyrządami i najniezbędniejszym sprzętem, że przypominały raczej zatłoczony magazyn niż wnętrze statku. Zresztą trudno mówić o swobodnym poruszaniu się w kabinach, których wysokość rzadko gdzie przekracza półtora metra. Na głowach trzeba tu było nosić elastyczne hełmy, chroniące czaszkę przed ciągłymi uderzeniami.

Jedynym przestronniejszym pomieszczeniem, choć tak samo niskie, stanowił magazyn przeznaczony na próbki skał i skamieniałości, które spodziewano się znaleźć. Magazyn nie był jednak zupełnie pusty, bo umieszczono tam zapas kilkudziesięciu sond iglicowych do przesyłania meldunków w okresie, gdy głębokość osiągnięta przez Dżdżownicę uniemożliwi kontakt radiowy i ultradźwiękowy.

W miarę zbliżania się do przedniej części statku, pogrążonej już w lodzie, pomieszczenia przybierały położenie coraz bardziej ukośne. Schodzenie w dół po pochyłych podłogach ułatwiały specjalne przyssawki, wzmagające przyczepność butów, oraz liczne klamry i poręcze. Niemniej gimnastyczne wyczyny przy wchodzeniu do wnętrza statku dawały przedsmak trudów, jakie czekały Igora i Suzy. Wszak Dżdżownica znaczną część swej podziemnej drogi miała przebywać w takim właśnie położeniu, nierzadko posuwając się nawet zupełnie pionowo w dół lub w górę.

Kabina kierownicza przybrała już w tej chwili pozycję niemal „nurkującą”. Pięć ekranów, umieszczonych ukośnie w przedniej ścianie, świeciło nisko w dole. Tylko dwa obrotowe fotele z pulpitemi kierowniczymi znajdowały się w normalnej pozycji,

**gdyż samoczynnie przybierały one położenie zgodne z kierunkiem ciężenia.**

**Igor, który niejednokrotnie kierował tego rodzaju statkami jeszcze na Ziemi, szybko usadowił się w fotelu. Po chwili i Suzy zajęła miejsce obok.**

**W niewielkim, jasnym prostokącie ekranu telewizora rysowały się wyraźnie sylwetki Jara i Ziny, zajętych montażem przywiezionej na saniach podręcznej stacji przesyłowej.**

**Wyżej, na dwóch dużych ekranach, pokrytych siatką współrzędnych, widoczne było położenie przestrzenne Dżdżownicy. Statek podziemny symbolizowała mała czerwona kreseczka w centrum ekranów. Na prawym ekranie, dającym obraz przekroju pionowego wzdłuż osi statku, koniec kreseczki wygięty był łukiem w dół. Nad nią rozciągał się czarny obszar symbolizujący atmosferę. Lewy ekran był jeszcze całkowicie ciemny, gdyż więcej niż połowa statku znajdowała się na powierzchni.**

**Suzy wskazała ręką na dolną część prawego ekranu. W pobliżu kreski oznaczonej liczbą 120, poniżej ciemnego pasa wyobrażającego lód, rozciągał się jaśniejszy obszar o wyraźnie warstwowej strukturze.**

**–To już skała?**

**–Ta cienka, szara warstwa to zamrznięta gleba. Niżej piasek i zlepierce [\[24\]](#) –  
[odrzekł Igor. – No, ruszamy!](#)**

**Położył Jłoń na pulpicie kierowniczym i nacisnął guzik. Rozległ się przytłumiony szum i strzałki mierników zadrgały. Igor ujął pewnie gałkę dźwigni ruchu i przesunął ją o kilka centymetrów w dół. Wskazówka szybkościomierza zmieniła położenie z zera na 10 cm/s.**

**Czwarty, największy ekran jakby ożył. Na jego białej powierzchni, poprze-tykanej z rzadka ciemnymi plamkami, zaczął się ruch. W polu widzenia podziemnego oka przesunęły się warstwy lodu. Na ekranie widniał obraz jakby przekroju ośrodka, który mieli przebyć. Przekroju dokonanego w płaszczyźnie prostopadłej do kierunku ruchu i oddalonej o trzy metry od dzioba statku. Plamki znikły, ukazywały się nowe, znów znikły, aby za moment pojawić się w innym miejscu.**

**Od czasu do czasu ekran nieznacznie szarzał. Widocznie lądolód narastał stopniowo, z przerwami, w których na jego pokrytej firnem powierzchni gromadziły się miejscami cienkie warstwy naniesionych wiatrem pyłów mineralnych. Później znowu nowe opady śnieżne pokrywały grubym całunem te ciemniejsze warstwy. Śnieg pod ciśnieniem zmieniał się w firn, którego powierzchnię przy-sypywały nowe pyły.**

**W miarę jak Dżdżownica pogrążała się coraz głębiej, ciemniejsze warstwy**

**powtarzały się częściej. Igor zmniejszył prędkość statku do 5 cm/s, przechodząc z topienia na mechaniczne kruszenie lodu, aby pobierać próbki w możliwie naturalnej postaci i kolejności.**

**Statek zagłębił się już w lód zupełnie i ekran z sylwetkami ludzi w skafandrach wygasł.**

**Na pulpicie zapłonęło zielone światło.**

**–Igor! Suzy! Jak tam odbiór? – rozległ się głos Brabca.**

**–Bardzo dobry! – odpowiedziała Suzy. – Już zmontowaliście stację przesyłową?**

**–Tak. W tej chwili skończyliśmy. Na jakiej głębokości jesteście? Suzy spojrzała na tablicę kontrolną.**

**–Dziewięćdziesiąt trzy metry!**

**–Czy spotkaliście już coś ciekawego? – zabrzmiał dźwięczny głos Ziny. Uśmiech pojawił się na ustach geologa.**

**–Spiesz ci się, co?**

**–Oczywiście.**

**–No, za dwie godziny może dowiesz się czegoś ciekawego – rzekł tonem, z którego trudno było wnioskować, czy żartuje, czy też dokonał już jakiegoś odkrycia,**

**–A więc jednak... – rozpoczęła Zina, lecz przerwał jej okrzyk Suzy:**

**–Patrz! Igor! Co to?!**

**Na szarym w tej chwili ekranie podziemnego oka ukazała się ukośna, ostro odgraniczona, jaśniejsza powierzchnia.**

**Kondratiew zmarszczył brwi. Błyskawicznym ruchem przesunął dźwignię szybkości do 5 mm/s.**

**Linia styku dwóch warstw przesuwiała się teraz znacznie wolniej, ale mimo to po krótkiej chwili zniknęła z pola widzenia i ekran świecił równym, jasnym blaskiem czystego lodu.**

**Igor znów zwiększył prędkość do 5 cm/s.**

**–Co to było? – powtórzyła pytanie Suzy.**

**–Nic ważnego. Przesunięcie – odrzekł Igor szybko i jakby obawiając się, ażeby Suzy nie zadała nowego pytania, zwrócił się do córki:**

**–Słuchaj, Zina, jedźcie zaraz z Jaro do bazy i znajdźcie w archiwum zestaw materiałów sondy numer 12. Za dwie godziny połączę się z wami. Wówczas podacie mi niektóre szczegóły. Sami się nie zgłaszajcie, gdyż to odwraca uwagę.**

**–Już dochodzicie do dna? – wtrącił Brabec.**

**–Tak. Pozostało nam około 201 metrów.**

**Zielone światelko zgasło.**

**Geolog przez chwilę trwał w zamyśleniu, wreszcie rzekł:**

**–Teraz musimy oboje skupić uwagę na tym ekranie – wskazał na podziemne oko. – Za chwilę wkroczymy w epokę, w której zamarło życie na tym globie. Nie jest to zbyt gruba warstwa, a trzeba ją zbadać bardzo dokładnie.**

**Nacisnął dźwignię zmniejszając szybkość do 2 cm/s. Na ekranie sytuacyjnym jasny pas zamrożonej gleby, sięgający już niemal czerwonej kreseczki, zdawał się nie poruszać.**

**–Co to było za przesunięcie? – Suzy od chwili, gdy zwróciła uwagę geologa na linię rozgraniczającą dwie płaszczyzny, wyczuwała wyraźnie jakieś napięcie. Czyżby Igor ukrywał coś przed nią?**

**–Uskok – odrzekł krótko.**

**–Uskok w lodowcu?**

**–Nastąpiło pęknięcie i przesunięcie większych mas lodu. Igor wyjaśnił pozornie naturalnym tonem. A jednak...**

**–Jaka może być tego przyczyna?**

**–Zobaczymy... – odparł wymijająco.**

**Wiedziała, że na razie niczego więcej od niego się nie dowie. Tymczasem statek zbliżał się coraz bardziej do dna lodowca.**

**Mimo niedużej prędkości ciemniejsze i jaśniejsze warstwy lodu zmieniały się teraz znacznie częściej. Wkrótce Igor przesunął rączkę steru kierunkowego. Dźdźownica zmieniła położenie, zataczając szeroki łuk, aby tuż pod samą powierzchnią gruntu przejść niemal do pozycji poziomej.**

**W tej chwili statek przedzierał się jeszcze przez lód. Suzy raz po raz kierowała wzrok na ekran sytuacyjny, to znów śledziła z napięciem obraz zmieniający się w polu widzenia podziemnego oka.**

**Dawna powierzchnia globu była coraz bliżej. Kabina kierownicza wróciła niemal do normalnego położenia. Jeszcze cztery, jeszcze dwa, jeszcze półtora metra dzieliło dolne gąsienice statku od dna lodowca. '-**

**Na dole ekranu podziemnego oka ukazał się ciemny pas, wędrujący wolno w górę. Już zakrył trzecią część fluoryzującej tafli... Mimo że ekran sytuacyjny, w przeciwieństwie do podziemnego oka, nie dawał zbyt wyraźnego obrazu, można było zauważyć, że statek począł wgryzać się w łagodne zbocze jakiegoś niewielkiego wzgórza...**

**Na okrągłej tarczy podziemnego oka mieniły się teraz jak w kalejdoskopie czerwone, stwardniałe grudki gliny wśród żółtawych, lessowych warstw gleby. Błyskały cienkie żyłki wody, zakrzepłej w gruncie, to znów czerniały rozrzucone z rzadka kamienie.**

**Nagle... Suzy w pierwszej chwili nie zrozumiała, co się właściwie stało.**

**Pamiętała tylko, że na granicy lodu i gleby zamajaczył na chwilę jakiś cień, złożony z postrzępionych, cienkich nitek.**

**Ukazał się i znikł.**

**Ale w tej samej chwili przytłumiony szum silnika ucichł.**

**Spojrzała na Igora. Trzymał rękę na dźwigni ruchu.**

**A więc to on zatrzymał statek.**

**Teraz ujął palcami pokrętło kierownicze podziemnego oka, zmieniając odległość „przekroju”.**

**Na ekranie pojawił się znów tajemniczy cień.**

**Suzy nie miała już wątpliwości: była to roślina. Roślina zamknięta w kryształach lodu.**

**Igor ujął w dłonie drążki kierownicze zespołu narzędzi służących do wydobywania złóż. Po kilku minutach wokół rośliny pojawił się czarny pierścień, otoczony delikatną siatką pęknięć w kryształach lodu. Suzy wstrzymała oddech. Dotychczas znała tego rodzaju pracę tylko z opisów technicznych.**

**Roślina ujęta w czarny pierścień drgnęła i wraz z nim zrobiła półobrót, potem skurczyła się i znikła. Na jej miejscu pozostała biała, okrągła plama, jaśniejsza od**

otaczającego lodu.

Igor nacisnął dźwignię ruchu. Ekran podziemnego oka ożył. Dżdżownica pogrążała się coraz głębiej w grunt. Znow na granicy lodu i gleby zamajaczyły jakieś kępki niskiej polarnej roślinności, potem wąska warstewka mchów czy porostów.

Igor nie zatrzymywał już jednak statku, zwiększając tylko obszar pobieranych próbek.

W dole ekranu, w warstwie brunatnoszarego piasku zmieszanego ze żwirem i gliną, ukazywały się raz po raz większe głązy – znak przechodzącego tu kiedyś lodowca górskiego. Wkrótce warstwa lodu i gleby zniknęła z pola widzenia: kierowany wprawną ręką geologa statek zaczął schodzić pod niedużym kątem na większą głębokość.

Coraz to nowe formacje skalne przesunęły się wolno na ekranie. Przedarłszy się przez czarne, gruboziarniste piaskowce, potem żółtobrunatne, zbite wapienie i ciemne, zwięzłe łupki – Dżdżownica natrafiła na grubsze pokłady kalcytu[25]. [Tu Igor oddał pilotowanie Suzy, a sam przeszedł do laboratorium, aby dokonać wstępnych badań pobranych dotychczas próbek.](#)

Prowadzenie Dżdżownicy nie było zadaniem trudnym, gdyż ograniczało się do kontroli położenia oraz obserwacji ekranu podziemnego oka.

Po dwudziestu minutach na ekranie sytuacyjnym ukazała się nowa, ciemniejsza warstwa.

Dziewczyna zaczęła wahać się, czy nie zatrzymać statku. Może trzeba będzie zmienić kierunek?

Spojrzała na zegar. Już blisko trzy godziny przebywali pod ziemią. Minął wyznaczony przez Igora termin nawiązania łączności z bazą. Czyżby geolog zapomniał o tym, że Zina i Jaro czekają?

Położyła dłoń na dźwigni ruchu, gdy naraz za nią rozległy się kroki.

–Próbki bardzo ciekawe. – W głosie geologa wyczuwało się podniecenie. Spojrzał na ekran sytuacyjny i siadając obok Suzy rozkazał: – Wyłącz silnik. Zrobimy małą naradę.

Suzy szybko przesunęła dźwignię i szum motoru ustał. Teraz dopiero spojrzała na geologa. Na kolanach Igora spoczywały dwie przezroczyste rureczki. W jednej znajdowało się kilka łodyżek jakiejś rośliny, w drugiej coś brunatnego, podobnego do ziarnka fasoli lub żwiru.

–Przyjrzyj się dobrze. – Igor podał Suzy rurki i sięgnął do pulpitu. Zapłonęła zielona lampka.

–. Zina! Jaro! – zawołał geolog spoglądając spod oka na Suzy, która przez lupę przyglądała się znaleziskom. W kącikach jego ust błędził zagadkowy uśmiech.

–Jesteśmy! – rozległ się nieco przytłumiony głos Brabca.

–Jak tam odbiór?

–W porządku. Jeszcze dobrze słyhać. Jak głęboko jesteście?

–Siedemdziesiąt pięć metrów plus warstwa lodowca. Linia przesyłowa działa nieźle.

–Co nowego? – zabrzmiał głos Ziny.

–Zdaje się, że będzie tu sporo roboty dla Mary i Allana.

–Znaleźliście jakieś skamieniałości?

–Jeszcze nie, ale za to zakonserwowane w lodzie rośliny i... – Igor urwał spoglądając na Suzy.

–I co?

–Czyżby to było... jajko? – wyszeptała niepewnie fizyczka, przyglądając się z uwagą maleńkiej kuleczce,

–W każdym razie coś zbliżonego do jajka, i to z rozwiniętym embrionem.

–Ach, jak wam zazdrozczę! – zawołała Zina.

–Nie martw się. Przyślemy ci to jajko sondą na górę.

–Czy możesz już skonkretyzować jakieś wnioski? – wtrącił Brabec.

–W zasadzie tak, ale na razie bardzo ogólne. Trzeba będzie jeszcze przejść parę razy przez warstwę powierzchniową.

–Wspomniałeś o jakimś odkryciu – rozległ się znów głos Ziny. – Czy już wówczas znalazłeś to jajko?

–Nie. Jajko znaleźliśmy w próbce gleby, wśród resztek jakichś roślin przypominających mchy.

–A więc to jeszcze nie wszystkie rewelacje? – Zina nie ukrywała ciekawości.

–Rośliny, a nawet to jajko trudno nazwać rewelacją. Przecież już wstępne sondowania wykazały, że kiedyś kwitło tu bogate życie. Istnieją co prawda pewne fakty... – zamyślił się na chwilę. – Ale może najpierw spróbuję podsumować ogólne wnioski.

–Jesteś nieznośny. Geolog uśmiechnął się.

–Trochę cierpliwości. Na podstawie zdobytych dziś materiałów, jak i poprzednich wyników sondowań w różnych punktach globu, można w ogólnych zarysach odtworzyć obraz, że tak powiem, czwartorzędu Urpy. Ściślej – okresu, w którym zamarło życie na tej planecie. W przybliżeniu okres ten rozpoczął się około 800 tysięcy lat temu, przy czym są dane, że następowało po sobie kilka epok lodowych, przedzielonych okresami ocieplenia. Ale przed kilkoma tysiącami lat temperatura dość gwałtownie zaczyna spadać, glaciały [\[26\] stają się znacznie częstsze, a cofanie się lodowców w interglacjalach – jeśli oczywiście można tak nazwać te krótkie, trwające kilka lat okresy ocieplenia – jest w efekcie coraz mniejsze. Jak w tej sytuacji kształtował się i przeobrażał świat roślin i zwierząt, trudno w tej chwili mówić. Zbyt mało mamy danych. Prawdopodobnie jednak znalezione przez nas mchy i drobne krzaczki nie dają właściwego wyobrażenia o życiu, jakie tu kwitło w dawniejszych okresach ociepleń.](#)

Urwał i zamyślił się.

–Klimat całej planety stawał się ze stulecia na stulecie coraz bardziej surowy i zimny – podjął po chwili. – Działanie ogromnych mas lodu zniszczyło życie na wielkich obszarach. Utrzymało się ono jednak, zwłaszcza w pasie równikowym, do okresu sprzed około 3-4 tysięcy lat. Wówczas to nastąpiło dość gwałtowne obniżenie temperatury. Procent promieniotwórczego węgla w znalezionych roślinach wskazuje, że liczą one nie więcej niż 3 tysiące lat. Niewykluczone zresztą, że w okolicach jakichś ciepłych źródeł życie przetrwało jeszcze kilka wieków.

–Więc kiedyś, przed tysiącami lat, Urpa mogła być światem podobnym do ziemskiego? Może nawet...

–Jak wysoki stopień rozwoju osiągnęło tu życie, trudno na razie powiedzieć. Za mało materiałów zebraliśmy. Tyle że mamy już niezbity dowód istnienia na Urpie zwierząt zbliżonych stopniem rozwoju do gadów czy ptaków.

–Jeśli istniały tu istoty na poziomie Temidów... -.wtrącił Brabec.

–Zginęły również wraz z całym światem roślin i zwierząt.

–A Temianie?

–Wiemy o nich bardzo niewiele. Tak niewiele, że chwilami wydają mi się gośćmi z

innego układu planetarnego. Może jakaś próba kolonizacji Temy... Chociaż... ile dziesiątków lat trzeba było grzebać w ziemi, aby odnaleźć pełny łańcuch form pośrednich między światem zwierząt a człowiekiem. Badania nasze trwają jeszcze zbyt krótko.

–Chyba nie wierzysz, aby Temianie wymordowali się wzajemnie? – spytała Zina.

–Dotąd zbyt mało wiemy o Układzie Proximy. Sądzę jednak, że gdyby podobna cywilizacja istniała na Urpie w okresie nadejścia zlodowacenia, powinna była do dziś utrzymać się przy życiu. Dlatego raczej wykluczam możliwość odkrycia śladów wysokiej cywilizacji na tej planecie.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Wreszcie przerwał ją głos Ziny:

–Mówiłeś jeszcze o jakimś ważnym odkryciu?

–Tak. Chodzi o pewien zagadkowy fakt – zaczął tajemniczo. – Są dane, że nie tylko Nokta, ale i Urpa przeżyła przed dwoma tysiącami lat wzrost temperatury. Nagrzewanie było tu jednak znacznie mniej intensywne, a za to długotrwałe i jakby powtarzające się w regularnych odstępach czasu. Już podczas wstępnych sondowań i próbnego zanurzania Dżdżownicy zwróciło to moją uwagę. Są ślady dość intensywnego topnienia lodowca na pewnej określonej głębokości w zewnętrznej warstwie. Tajanie odbywało się z nieregularnymi przerwami. Spływająca woda osadzała w zagłębieniach i szczelinach pyły, układając je warstwami. Dzisiejsze wyniki badań całkowicie potwierdziły moje domysły: lód topił się w równych odstępach czasu. Trudno dociec, czy były to zmiany dzienne, czy roczne, ale niewątpliwie proces ten miał charakter cykliczny. A przecież – jak wynika z badań promieniotwórczości – odbyło się to prawie przed dwoma tysiącami lat, już w okresie, gdy życie powinno zamrzeć na tej planecie.

–Na innych planetach, poza Noktą, nie stwierdziliśmy jednak wzrostu temperatury – wtrąciła Suzy. – Nawet na Sel, choć jest ona satelitą Urpy.

–Właśnie. Dlatego musimy jeszcze dokładnie zbadać powierzchniową warstwę. Oczywiście zasadniczego planu nie zmieniamy – mniej więcej za dwadzieścia dni wyjdziemy na powierzchnię w pobliżu Ciemnej Plamy. Zboczmy jednak nieco na północ, do długiego wąwozu. Pozwoli nam to, nie zmniejszając głębokości, zbadać jeszcze jedną warstwę powierzchniową. A teraz powiedzcie mi, jaki stopień geotermiczny wykazała sonda numer 12 poniżej 500 metrów.

Przez chwilę panowała cisza, po czym rozległ się głos Brabca:

–Jeden stopień Celsjusza na 19 metrów. Brwi Igora ściągnęły się.

–Dziękuję. Wporządku – powiedział beznamiętnie, ale Suzy wyczuła, że spokój jego

jest tylko pozorny.

Spojrzała odruchowo na termometr, gdzie świecące cyfry wskazywały 202 kelwiny.

–Za chwilę ruszamy – odezwał się Igor. – Będziecie teraz z nami w stałej łączności. Oczywiście – uśmiechnął się – odpowiadamy na każde pytanie, ale tylko w wolnych chwilach. A teraz, Suzy, chodźmy coś przekąsić.

Przeszli do małego pomieszczenia między kabiną kierowniczą a laboratorium. W ścianach znajdowało się kilka przezroczystych zbiorników z owocowym płynem, duża szafka ze skondensowaną żywnością oraz podręczna apteczka. Przełknąwszy odżywczą pastylkę Igor nalał sobie pomarańczowego płynu do szklanki. Wypił kilka łyków i odsunąwszy szklankę od ust rzekł z powagą:

–Nie chciałem cię niepotrzebnie niepokoić, ale obawiam się, że obszar ten jest obszarem sejsmicznym. Stosunkowo niedawno nastąpiło tu trzęsienie ziemi.

–Ten uskok w lodzie? – przypomniało się Suzy.

–Tak – skinął głową. – Możliwe, że nawet nastąpiło to nie dawniej niż rok temu. Musimy się zdecydować, czy będziemy kontynuować badania, czy też powrócimy na powierzchnię.

–I co?

–Trzeba by wówczas rozpocząć poszukiwania innego, spokojniejszego terenu.

–Mówiłeś, że obszar ten jest bardzo dogodny do badań...

–Właśnie – westchnął geolog. – Nie wiem, czy prędko znajdziemy tak korzystne warunki. Ułożenie skał w znacznej części obszaru zgodne [\[27\], duże złoża wapieni o cechach wapieni numulitowych, a nieco głębiej starsze od nich o blisko 100 milionów lat piaskowce. Niewykluczone, że możemy tu dotrzeć nawet dość płytko do skał ogniowych, na co wskazuje bardzo znaczny przyrost temperatury w miarę zwiększania się głębokości.](#)

–Przecież mamy tu 202 kelwiny, czyli 71 stopni mrozu! Czyżby ten stopień geotermiczny, który ci podał Jaro, odpowiadał tutejszemu terenowi?

–Tak. Ale dotyczy to znacznie większej głębokości. Przemarzanie gruntu sięga tu na kilkaset metrów w głąb planety. Ale wracając do sprawy: poszukiwanie innego, odpowiedniejszego miejsca opóźniłoby poważnie pracę. Nie wiemy jednak, czy wolno nam ryzykować poruszanie się w terenie sejsmicznym. Oczywiście prawdopodobieństwo trzęsienia ziemi w najbliższych dniach jest bardzo małe, ruch statku może jednak przyspieszyć proces dojrzewania wstrząsu. Z drugiej strony,

**nasze aparaty określają stan napięcia w skałach i mogą nas ostrzec przed katastrofą. Mówiąc szczerze, nie wiem, co robić...**

**–A gdybyś był tu sam? – Suzy zajrzała mu głęboko w oczy. Kondratiew spuścił wzrok. Przez kilka sekund obracał w palcach stojącą na półce szklankę, potem spojrzał na Suzy jakoś ciepło.**

**–Ja? Chyba... nie zrezygnowałbym z dalszych badań.**

**–Więc nie ma o czym mówić – powiedziała stanowczo. – Ruszamy w dalszą drogę!**

# BAZALTY...

Jednostajny, usypiający szum silnika umilkł raptownie.

Suzy uniosła głowę i rozejrzała się dokoła. Wyrwana z nienacka ze snu, wodziła przez chwilę błędnym wzrokiem po ścianach kabiny, nim uświadomiła sobie, gdzie się znajduje.

Kabina tonęła w półmroku. Tylko ekrany odcinały się jasnymi plamami na tle pograżonych w cieniu ścian, a kilka lampek kontrolnych mrugało rytmicznie.

–Co się stało?

Cień Igora pochylonego nad ekranem podziemnego oka poruszył się i wyprostował. W słabym blasku bijącym z ekranów ujrzała twarz geologa.

–Zatrzymałem statek – powiedział spokojnie. – Ale jeśli nie śpisz, to spójrz. O, tu! – wskazał na ekran podziemnego oka.

Suzy nacisnęła guzik. Wąski tapczan, na którym spała, przybrał kształt fotela.

Na ekranie rysowała się wyraźnie warstwa żwiru i gliny morenowej pomieszanej z większymi odłamkami skał. Suzy przyglądała się dłuższą chwilę obrazowi, ale nie mogła dostrzec nic niezwykłego.

–Gdzie? O czym mówisz? – zapytała niepewnie.

Geolog wyciągnął rękę i wskazał palcem jeden z większych kamieni. Dopiero teraz Suzy zauważyła, że kamień ten różnił się znacznie kształtem i barwą od innych. Nie był wygładzony tarciem o podłoże skalne i otaczające kamienie, lecz przypominał czarną kostkę o nieco poszczerbionych krawędziach.

–I co?

Igor wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Zaraz się przekonamy.

Ujął kierowniczą dźwignię przyrządu służącego do wydobywania okazów i po chwili czarny pierścień wgrzyzł się w żwir wokół znaleziska.

–Gdzie my teraz jesteśmy? – spytała Suzy. – Czyżby to już był rów tektoniczny [\[28\]](#)?

–Tak. Spałaś trzy godziny, a ponieważ nieco zwiększyłem szybkość, przebyliśmy w tym czasie przeszło kilometr.

Suzy spojrzała na ekran sytuacyjny, potem, zapaliwszy światło, na wykres drogi statku. Przebywali pod ziemią już blisko 40 godzin i czerwona, falista linia oddaliła się znacznie od czarnego punktu, który oznaczał miejsce startu. Podobna linia na drugim wykresie wskazywała, iż znajdowali się 1100 metrów pod powierzchnią planety. Od warstwy lodowej dzieliło ich jednak tylko 30 metrów. Statek podziemny, przebijając się przez rozległy zrąb, na którym stała baza, dotarł do dna długiego rowu tektonicznego, wypełnionego po brzegi przeszło kilometrową warstwą lodowca.

Tymczasem Igor zdążył już wprowadzić kamień do wnętrza statku.

–Chodźmy – rzucił zsuwając się z fotela.

Po chwili znaleźli się w kabinie-laboratorium. Na dnie dużej skrzynki, połączonej transporterem z aparaturą wydobywczą, wśród żwiru, kamieni i gliny pomieszanej z piaskiem, leżała duża czarna kostka. Miała kształt regularnego graniastosłupa o podstawie foremnej sześciokąta. Niemal wszystkie ściany były gładkie, tylko jedna porysowana.

Igor wyjął kostkę ze skrzyni, ale widocznie zbyt ziębiła mu palce, bo położył ją pośpiesznie na podręcznym stoliku.

–Co to? – zapytała Suzy podniecona.

–Bazalt[29] – odrzekł krótko, jakby nie rozumiejąc, co dziewczyna ma na myśli.

–No tak. Ale ten kształt?...

–Nie wiem. Za wcześnie na wnioski.

Począł mierzyć długość poszczególnych krawędzi graniastosłupa. Wreszcie przerwał i zamyślił się.

–No i?

–Nie wiem – powtórzył. – Wymiary krawędzi są identyczne.

–A więc jednak tu, na Urpie...

–Nie, moja droga – przerwał jej łagodnie. – Na wnioski za wcześnie. Gdybyśmy znaleźli jeszcze jeden identyczny kamień, wówczas dopiero można by wysunąć jakąś hipotezę.

–To beznadziejna sprawa.

–Tak sądzisz?

**–Prawdopodobieństwo jest przecież takie małe...**

**–A mimo to wydaje mi się, że warto poszukać drugiego podobnego graniastosłupa.**

**Oczy Suzy rozszerzyło zdziwienie.**

**–Ale gdzie?**

**–Tam – geolog wskazał ręką ku lewej ścianie statku.**

**–Już teraz nic nie rozumiem! – Suzy spojrzała jeszcze bardziej zdziwiona.**

**–To bardzo prosta sprawa. Zaraz ci wytłumaczę. Chodźmy, bo szkoda czasu.**

**Geolog włączył silnik i zaczął zmieniać kierunek ruchu statku.**

**–No, powiedz wreszcie! Jesteś naprawdę nieznośny! – Suzy nie ukrywała zniecierpliwienia.**

**–A więc dobrze. Jak myślisz? Skąd się tutaj wziął ten kamień?**

**–Przyniósł go z pewnością lodowiec wraz z innymi kamieniami.**

**–Słusznie. Z rozkładu moren widocznych na ekranie sytuacyjnym, jak i ukształtowania całego terenu, można dość łatwo ustalić kierunek ruchu lodowca. Sprawa jest jeszcze prostsza w tym rowie tektonicznym, gdyż jezior lodowcowy posuwał się jego dnem. Możemy więc określić kierunek, z którego przywędrował ów zagadkowy bazalt. Właśnie tam skierowałem statek.**

**–No dobrze – przerwała Suzy trochę rozczarowana. – Ale i tak prawdopodobieństwo znalezienia drugiego kamienia jest bardzo niewielkie.**

**–Nie zgadzam się z tobą. Porównaj ten kamień z innymi. Wędrowały one, spychane przez lodowiec, setki kilometrów. Są wygładzone, obtoczone, co jest zrozumiałe, gdyż lodowiec ten zawiera duże ilości materiału skalnego. A jaki kształt ma ów bazaltowy ośmiościan? Wątpliwe, aby przewędrował on w tym towarzystwie więcej niż kilka kilometrów.**

**–Więc przypuszczasz, że ten bazalt nie pochodzi z daleka?**

**–Tego nie twierdzę. Nigdzie w pobliżu nie stwierdziłem odsłoniętych ani nawet płytko położonych złóż bazaltu. Prawdopodobnie ta kostka przywędrowała tu z innych okolic Urpy. Ale kiedy? W tym tkwi istota zagadnienia. Spróbujmy oprzeć się na faktach. Jak już powiedziałem, ten kamień nie mógł wędrować wraz z moreną denną setek kilometrów. Po drugie, jedna z jego ścian jest mocno porysowana, inne raczej bardzo słabo. Zgodny kierunek rys pozwala z dużym prawdopodobieństwem**

przyjąć, że kostka ta tkwiła w jakimś skalnym podłożu i zanim została z niego wyrwana, przesuwiał się po niej lodowiec wraz z morenami'. Po trzecie, nie mogła wystawać powyżej podłoża, gdyż wówczas niszczące działanie spowodowałoby zaokrąglenie krawędzi, a tego nie widzimy. Najprawdopodobniej została niejako wyorana przez lodowiec wraz z częścią podłoża.

–No, a kształt?

–Bazalt rozpada się często na słupy sześcioboczne. Co prawda ten graniastosłup ma dziwnie regularny kształt, zważywszy zwłaszcza kwadratowe powierzchnie boków, ale nie można wykluczyć przypadkowego splotu naturalnych czynników.

–A jednak spodziewasz się, że znajdziemy więcej takich kostek?

–Nie wolno lekceważyć faktów – odparł krótko geolog, nie spuszczając wzroku z ekranu.

–To znaczy? – nie ustępowała Suzy.

–Otoczenie naszego graniastosłupa musiało być nie mniej twarde od niego. Nie widzę w tych okolicach materiału, w którym mógłby on tkwić. A sześciokątami foremnymi, można zakryć bez reszty powierzchnię.

–A więc jednak podejrzewasz?...

–Patrz! – przerwał Igor gwałtownie.

Tuż przy krawędzi ekranu podziemnego oka zamajaczył czarny kamień. Nim zniknął z pola widzenia, geolog zatrzymał statek.

–Czy to?... – zapytała Suzy.

–Również bazalt.

–Ale ten jest jakiś mniejszy?...

Geolog nic nie odpowiedział, tylko w skupieniu manipulował zespołem narzędzi wydobywczych.

Suzy zeskoczyła pośpiesznie z fotela i pobiegła do laboratorium.

Nowego znaleziska w skrzyni nie było. Ale fizyczka nie czekała długo. Za chwilę na taśmie transportera ukazały się kamienie, wśród których czernił się tajemniczy bazalt. Suzy pochyliła się nad skrzynią, lecz w tym samym momencie usłyszała za sobą kroki Igora.

**Geolog pośpiesznie pochwycił kamień. Mimo iż na twarzy jego nialował się zwykły spokój, nieznaczne drżenie rękawicy, w której trzymał znalezisko, wskazywało, jak ogromną wagę przywiązuje do tego niepozornego odłamka bazaltowej kostki.**

**Milczeli oboje. Słowa nie były tu zresztą potrzebne. Już na pierwszy rzut oka mogli stwierdzić, że kamień ten był po prostu ukruszonym fragmentem takiego samego graniastosłupa jak poprzedni.**

**Igor przypatrywał się chwilę znalezisku. Naraz zmarszczył brwi. Podszedł do mikroskopu i włączynywszy aparaturę podsunął kamień pod obiektyw. Na ekranie ukazał się powiększony obraz kryształów.**

**Geolog kilkakrotnie obracał kamień różnymi stronami, wreszcie wyłączył aparat i spojrzał na Suzy.**

**–Te cegielki nie są naturalnym produktem – powiedział powoli.**

**–Więc to nie bazalt?**

**–Bazalt, ale sztucznie topiony i odlewany w formie płaskich graniasto-słupów – odrzekł geolog ruszając ku drzwiom.**

**Znów wewnątrz statku wypełnił jednostajny szum silnika. Posuwali się teraz ze stosunkowo dużą prędkością 27 centymetrów na sekundę,– co nie było trudne, gdyż ośrodek należał do sypkich, a większe głązy zdarzały się rzadko. Na dyskusję brakowało czasu. W skupieniu obserwowali teraz oboje ekran podziemnego oka, wypatrując nowych bazaltów.**

**Nie czekali długo. Już po dwunastu minutach pojawiła się i zniknęła następna ośmiościenna cegielka. Wkrótce przez mieniaący się obraz przebiegła czwarta czarna bryła, w której Igor znów rozpoznał bazalt. Potem piąta, szósta, siódma i ósma...**

**Częstość pojawiania się bazaltowych cegiełek stale rosła. W ciągu pierwszej godziny Suzy naliczyła ich 29. Geolog odwracał głowę raz po raz, obserwując na przemian migocącą taflę podziemnego oka, to znów ekrany sytuacyjne.**

**Minęła jeszcze jedna godzina. Przebyli już blisko dwa kilometry nie zmniejszając prędkości. Częstość napotykanych cegiełek rosła, to znów malała. Igor dokonywał co pewien czas poprawek kierunku, trzymając statek ściśle na szlaku, po którym posuwał się lodowiec.**

**Suzy ogarniało znużenie. Zaczynały boleć oczy zmęczone nieustanną obserwacją ekranu, migocącego rojem przesuwających się szybko plam. Już dawno przestała liczyć czarne cegielki. Coraz częściej spoglądała na ekran sytuacyjny.**

A jeśli tajemnicza budowla z bazaltowych cegiełek uległa całkowitemu zniszczeniu?  
– Ta myśl nie dawała dziewczynie spokoju.

Próby nawiązywania rozmowy z Igorem spęły na niczym. Geolog zdawał się nie słyszeć, co Suzy mówi, pochłonięty całkowicie obserwacją przyrządów.

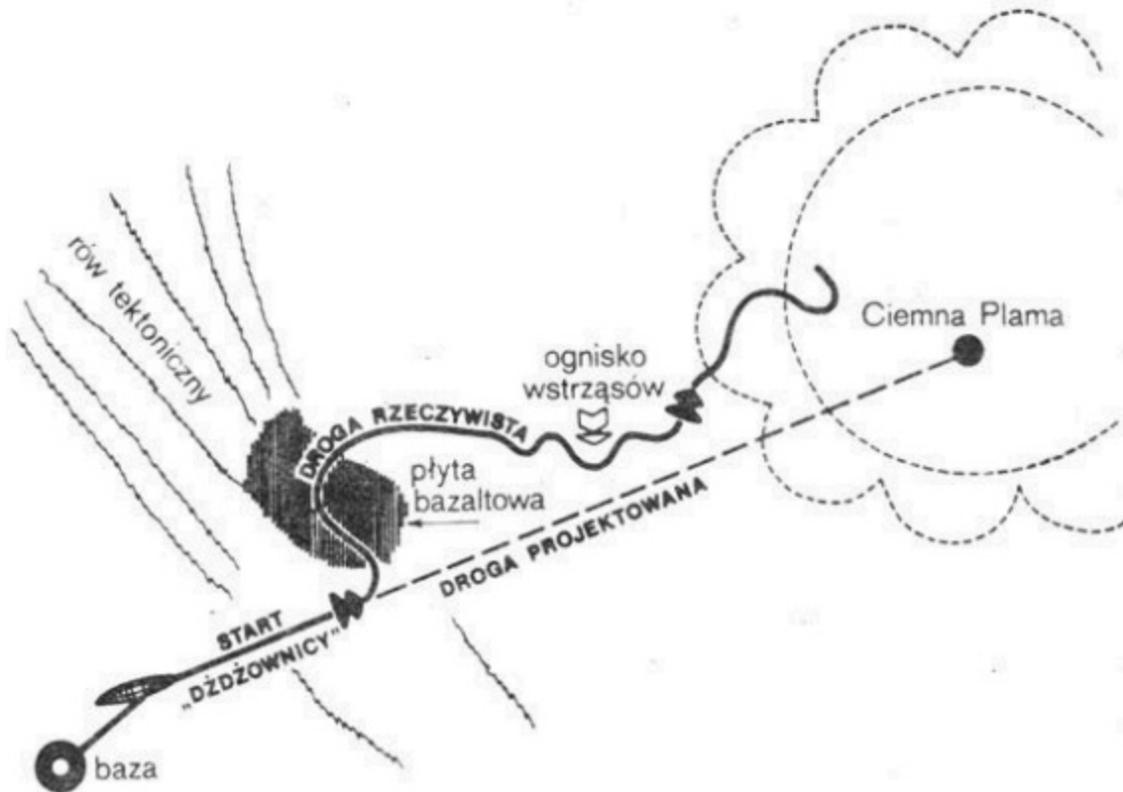
W okienku miernika przebytej drogi wolno zmieniały się cyfry. Nagle Igor szybkim, zdecydowanym ruchem przesunął dźwignię kierunkową. Statek, posuwający się dotąd poziomo, począł z wolna schodzić głębiej pod ziemię.

Spojrzała na ekran sytuacyjny, ale poza zwykłym, poziomym ułożeniem warstw skalnych, piasku i żwiru nie spostrzegła niczego, co mogłoby usprawiedliwiać zmianę kierunku.

–Czyżbyś coś zauważył? – przerwała nerwową ciszę.

Geolog skinął głową i wskazując na ekran sytuacyjny, odpowiedział pytaniem:

–Czy widzisz tę jaśniejszą, postrzępioną warstwę przed nami?



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 12. Planowana i rzeczywista droga Dżdżownicy – na mapie okolic Ciemnej Plamy

–A więc to już?

–Nie zapominaj, że ciała o jednolitej, zwartej strukturze są bardziej przenikliwe dla naszego podziemnego radaru niż sypkie.

**–Wiem o tym, ale myślałam, że to jakaś zwykła warstwa skalna... O! Patrz! – gwałtownie przerwała rozpoczęte zdanie.**

**Przez ekran przesunęło się teraz równocześnie kilka większych i mniejszych brył bazaltu.**

**–Będzie ich coraz więcej – odrzekł spokojnie geolog, manewrując dalej statkiem.**

**Dżdżownica powoli przyjmowała znów położenie poziome. Widoczna na ekranach^ sytuacyjnych warstwa bazaltu nabierała ostrości. Suzy nie miała już wątpliwości, iż jest to cienka płyta zestawiona z graniastosłupów. W miarę jak statek zbliżał się do krawędzi płyty, coraz większe jej partie, przeważnie nadkruszone działaniem lodowca, zajmowały powierzchnię górnego ekranu sytuacyjnego. Radar ultradźwiękowy kreślił podobny do negatywu obraz przestrzenny warstw otaczających statek.**

**Igor stał się nad podziw rozmowny.**

**–Już w tej chwili można wysunąć szereg wniosków. Przyjrzyj się uważnie warstwom otaczającym płytę. Górna warstwa to po prostu piasek i żwir oraz większe kamienie naniesione przez wodę i częściowo lodowiec. Dolna dzieli się na kilka równo ułożonych warstw materiału skalnego o różnym składzie mineralnym i różnej ziarnistości. Jeśli się nie mylę, ta płyta bazaltowa była czymś w rodzaju wybrukowanego placu czy ulicy. Ciekawe, jaki teren pokrywa ona obecnie w porównaniu ze stanem pierwotnym?**

**–Jak dotąd, końca nie widać – stwierdziła Suzy patrząc na ekran. Jasna plama zakryła już blisko jedną trzecią jego powierzchni. Wkrótce**

**czerwona kresczka wyobrażająca statek miała zetknąć się z postrzępioną**

**krawędzią płyty bazaltowej.**

**–Czy możesz już choć w przybliżeniu określić, kiedy zbudowano tę płytę? – podjęła Suzy. – Mogłabym zbadać też wiek bazaltowych cegiełek.**

**–W tej chwili nie ma na to czasu. Zajmiesz się tym później. Oczywiście nie potrafię na oko określić, kiedy powstała płyta, ale jasne, że budowla ta wyprzedza znacznie ostatnie zlodowacenie.**

**Na ekranie podziemnego oka ukazało się nagle kilkanaście czarnych brył, bezładnie rozrzuconych, poziomo przez środek pola widzenia. Liczba ich szybko rosła i po chwili jednolita, czarna warstwa przecinała ekran. Igor zmniejszył prędkość do 4 cm/s, potem do 1 cm/s, wreszcie zatrzymał statek. W milczeniu badał układ i budowę poszczególnych warstw, manipulując gałką podziemnego oka, to znów pobierając**

**próbki.**

**W końcu polecił Suzy, aby przygotowała dwie sporządzone uprzednio mapy terenu. Na mapach tych mieli wykreślić położenie płyty bazaltowej i jedną z nich wraz z próbkami przesłać sondą iglicową na powierzchnię.**

**Znów zagrał silnik. Igor wyprowadził Dżdżownicę tuż ponad bazaltową warstwę i przekazał stery fizyczne. Zajęty całkowicie obserwacją ekranów i obliczeniami, tylko od czasu do czasu wydawał krótkie polecenia dotyczące zmiany kierunku lub prędkości.**

**Podobny teraz do prawdziwej dżdżownicy, statek sunął wolno, niemal ocierając się dnem o bazaltowe graniastosłupy ułożone równo, jeden przy drugim, przez tych, którzy kiedyś, przed wiekami, zamieszkiwali tę niegościnną planetę.**

**–B-2! Halo! B-2! Zina! Jaro! Czy nas słyszycie? Jak tam odbiór?**

**–Bardzo dobry! Gdzie jesteście?**

**–Na głębokości 1123 metrów pod powierzchnią lodowca. Według mapy IV w kwadracie F9. Zboczyliśmy z kursu blisko 5 kilometrów na północo-zachód.**

**–Dlaczego tak długo nie dawaliście znaku życia? Co się stało?**

**–Nie było czasu – odrzekła Suzy. – Zresztą czternaście godzin to jeszcze nie tak długo.**

**–Tym bardziej że nowiny są warte czekania... – dorzucił Igor.**

**–Ogromnie jestem ciekawa – rozległ się głos Ziny. – Może naprawdę znaleźliście w lodzie urpiańskiego mamuta?**

**–Coś znacznie ciekawszego!**

**–Co? Mów wreszcie!**

**–No to słuchajcie – tym razem Igor nie dawał się długo prosić. – Nie tylko planeta X i. Tema, ale również Urpa była kiedyś zamieszkała przez istoty rozumne. Czy tu należy się doszukiwać pierwotnego ogniska życia owych legendarnych Temian, czy też chodzi o próby kolonizacji przez mieszkańców planety X – na odpowiedź jeszcze za wcześnie. W każdym razie odkryliśmy nowe źródło niezwykle interesujących materiałów archeologicznych, które niewątpliwie rzucą nowe światło na przeszłość Układu Proximy.**

**–Może powiesz wreszcie, coście odkryli? – zniecierpliwił się Brabec.**

–Właśnie próbuję się streszczać – Igor mrugnął z uśmiechem do Suzy. – W zasadzie nasz podziemny szlak miał biec prosto od miejsca startu ku Ciemnej Plamie. Pierwsze sześć kilometrów przebyliśmy zgodnie z planem w powierzchniowych warstwach. Następnie weszliśmy do rowu tektonicznego o szerokości około 5 kilometrów, badając pokrywające jego dno najmłodsze osady. Stwierdziliśmy tam przynajmniej trzykrotne działanie większych mas lodu. Na dokładne analizy próbek nie było jeszcze czasu, ale w przybliżeniu, opierając się na analogicznych zjawiskach ziemskich, można powiedzieć, że spośród kilkudziesięciu zlodowaceń, – jakie przeżyła Urpa, trzy ostatnie dotarły aż do tej doliny. Otóż w okresie między pierwszym a drugim zlodowaczeniem, w czasie znacznego ocieplenia klimatu, powstała tu, na dnie tej doliny, jakaś budowla, wzniesiona przez istoty cywilizowane, stojące na szczęblu rozwoju technicznego odpowiadającego mniej więcej XIX czy XX wiekowi na Ziemi. Nie chciałbym zresztą zbyt pochopnie wysnuwać wniosków. W każdym razie istoty te opanowały w znacznym stopniu technikę topienia minerałów, produkując w ten sposób to, co można nazwać materiałem budowlanym.

–A więc raczej niższy poziom techniczny od budowli tajemniczych Temian? – wtrącił Brabec.

–Tak sądzę. Ale też przypuszczam, że tutejsze budowle są znacznie starsze od temiańskich.

–Co to za budowle?

–Otóż podejrzewam, że była to wysoka wieża otoczona kilkoma budynkami w kształcie spłaszczonych walców. Trudno zresztą powiedzieć, czy skupisko budowli było tylko jedno, gdyż zbadaliśmy Dżdżow.icą bardzo wąski pas. Trzeba zająć się specjalnie tym terenem. Sądzę, że warto wezwać Szu. Niech przynajmniej da nam wytyczne jako archeolog. Teren jest, jak sądzę, niemny. Siady budowli znajdują się w kwadracie F8, na wschodnim, łagodnym zboczu doliny. Kilkadziesiąt metrów niżej dno doliny zostało wyrównane i pokryte na przestrzeni przynajmniej kilku kilometrów sześcioboczną kostką bazaltową, podobnie jak na Ziemi brukowano niegdyś place lub układano parkiety. Do czego służył mieszkańcom Urpy ten ogromny płaski plac i czym był on otoczony – trudno odgadnąć.

–No, a wieża? – zapytała Zina.

–Pozostały z niej tylko żalosne szczątki fundamentów. W stosunkowo dobrym stanie znajdują się tylko niektóre fragmenty owego placu. Nawet ta płyta ocalała tylko dzięki splotowi okoliczności. Prawdopodobnie jeszcze przed zakończeniem budowy dolina ta objęta została wielką powodzią. Właściwie przeszło tędy kilka czy kilkanaście powodzi, które w stosunkowo niewielkim stopniu nadgryzały bazaltową płytę, ale za to pokryły ją grubą warstwą mułu. Prawdopodobnie w związku z jakimś okresem bardzo dużych wahań blasku Proximy – powstaniem wielkich opadów

śnieżnych, to znów upałów i ulewnych deszczów. W okresie tym plac pokryła 20-35-metrowa warstwa naniesionej powodzią gleby. Widocznie Urpianie – jeśli można ich tak nazwać – nie byli w stanie opanować żywiołu i oddali swe dzieło na jego pastwę. Krótko mówiąc, poziom nowej gleby, na której poczęło się krzewić życie typu polarnego, sięgał w tym czasie powyżej podstaw budowli na wschodnim zboczu. Ale wkrótce nastąpiła nowa katastrofa: spadek temperatury i nadejście wielkiego lodowca. Wypełnił on niemal całą dolinę, zmiotł wieżę i otaczające ją budowle, a nawet miejscami sięgnął do bazaltowej płyty. Na szczęście dla nas lodowiec cofnął się, nim zdążył zniszczyć płytę. Potem do doliny wtargnęły jeszcze raz lody, pogłębiając szczyby w płycie, ale to już był koniec. Po krótkim okresie gwałtownego topienia się lodu wielkie mrozy znów chwyciły, aby już nigdy nie wypuścić tej ziemi ze swych szponów. Co prawda, możemy i tu, podobnie jak na Nokcie, stwierdzić w pewnym okresie cykliczny wzrost temperatury, ale ponieważ jest to dolina, warstwa lodów była tu stosunkowo gruba. Później spływająca z innych okolic woda zwiększyła jeszcze bardziej grubość lodowca.

–W jaki sposób wpadliście na ślad tej budowli? – dopytywała się Zina.

–Natrafiliśmy na bazaltową cegielkę przyniesioną przez lodowiec i ojciec twój, jak nowoczesny Sherlock Holmes, wyczytał z niej, gdzie i co znajdziemy – żartowała Suzy.

–Niemożliwe?

–Tak było naprawdę! Igor...

–Suzy przesadza – przerwał geolog. – Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Zresztą opowiem wam szczegółowo po powrocie na powierzchnię. Teraz są ważniejsze sprawy. Część materiałów, próbek, kopie notatek i map wysłaliśmy na powierzchnię dwiema sondami. Chciałbym, abyście natychmiast przystąpili do zbadania terenu. Sądzę, że trzeba rozpocząć od szczegółowych prześwietleń warstwy powierzchniowej.

–A wy?

–My schodzimy zaraz w głąb. Po pierwsze, Dżdżownica jest zbyt niewygodnym i mało dokładnym narzędziem do badań archeologicznych. Po drugie, chcemy wykonać cały plan prac, a więc dotrzeć do warstw najstarszych, aby zdobyć choć ogólny pogląd na kształtowanie się życia na Urpie. Po trzecie, wobec odnalezienia śladów cywilizacji sprawa Ciemnej Plamy nabiera szczególnej wagi. A przecież najlepszy sposób to dotarcie do niej statkiem od spodu.

–Więc już teraz chcecie zejść niżej? Czy nie możecie poczekać jeszcze dwa dni?

–Dlaczego? – zdziwił się Igor.

**–Dziś rano nadeszła depesza od Włada – odezwała się niepewnie Zina. – Przylatuje jutro do nas i pytał o ciebie, Suzy.**

**–No i co z tego? – przerwała Suzy niechętnie.**

**–Chciał z tobą porozmawiać. A przecież jeśli zejdziecie niżej, stracimy z wami łączność.**

**–No i co z tego? – powtórzyła Suzy i pochyliła głowę nad tablicą rozdzielczą.**

**Igor chwilę patrzył na dziewczynę i naraz pchnął dźwignię ruchu ku przodowi tak szybko, że aż przez ściany statku przebiegło krótkotrwałe drżenie, spowodowane gwałtownym zrywem silnika.**

**–Szkoda czasu. Ruszamy! Od tej chwili co 15 minut będę się łączył z wami, aby ustnie przekazywać najważniejsze informacje, aż do zupełnej utraty łączności. Potem będziecie otrzymywać materiały co drugi dzień sondami iglicowymi. A teraz: sza! Wkraczamy w inną epokę...**

# POPRZEZ EPOKI

## (Notatnik Suzy)

*Dżdżownica, 7 kwietnia 2537*

Po raz pierwszy po dwudziestodniowej przerwie wracam do swego notatnika.

Dwadzieścia dni... Cóż to znaczy dwadzieścia dni w życiu planety...

Dla nas w tych dwudziestu dniach tysiąclecia liczyły się sekundami... W kilkunastu godzinach dźwigały się w niebo i rozsypywały w proch masywy górskie, a opadające na dno mórz szkielety wodnych żyjątek tworzyły grube pokłady nowych skał wapiennych.

Teraz od powierzchni planety dzieli nas ponad siedmiokilometrową skorupą skalną 3200 milionów lat. Taki właśnie czas upłynął od zakrzepnięcia skał głębinowych, wśród których w tej chwili porusza się nasz statek.

Słusznie nazywa Igor warstwy skalne kartkami pamiętnika, w którym zapisane są dzieje planety. Niełatwo jest jednak odczytać te zapiski. Niektóre z tych kart są tak cienkie i zniszczone, że trudno je dostrzec. Inne są podarte i zmięte, czasem przeobrażone działaniem przedzierającej się przez nie magmy. A przecież Igor wybrał specjalnie dogodny do badań teren, sprawdzony licznymi sondowaniami... Warstwy są tu przeważnie ułożone zgodnie, a pokłady skał osadowych osiągnęły grubość kilku kilometrów.

Wyobrażam sobie, jak trudno odtwarzać przeszłość, gdy teren jest bardzo pofałdowany, a warstwy pomieszane.

Początkowo obawiałam się, że nie na wiele przydam się Igorowi. Teraz mam pełne ręce roboty i naprawdę odczuwam ogromną radość, że bezpośrednio uczestniczę w odczytywaniu księgi dziejów Urpy.

Moim zadaniem jest określanie wieku poszczególnych warstw drogą analizy przemian promieniotwórczych. Wszak grubość osadów nie może być bynajmniej miarą czasu. Jedne powstawały prędkiej, inne wolniej; również tempo niszczącego działania wody, lodu i wiatru może być różne.

Niemal każda z tych warstw to inny rozdział w pamiętniku Urpy, inne epoki, okresy, ery...

Przesadą byłoby twierdzić, że w miarę jak nasz statek przebija się przez coraz to nowe pokłady skał, poznajemy coraz to dalsze karty dziejów tej planety. Zbyt mało

jest czasu, aby tę księgę czytać. My ją zaledwie przerzucamy, gromadząc tysiące nie tkniętych jeszcze próbek i zdjęć. Zresztą Igor jest zdania, że wyprawa ta da nam co najwyżej bardzo fragmentaryczny zarys dziejów Urpy, że trzeba będzie jeszcze kilkunastu podobnych ekspedycji, zwłaszcza z udziałem Renego, Allana i Mary, aby odtworzyć z tych drobnych śladów historię życia, jakie tu kwitło.

A było ono naprawdę bardzo bogate, nie mniej bogate niż na Ziemi. To już nie ulega wątpliwości.

W ostatnich dniach coraz częściej zastępuję Igora w pilotowaniu statku. Igor przesiaduje teraz w laboratorium, szukając w próbkach śladów życia drogą prześwietleń i badań mikroskopowych. Z podziwem przyglądam się, jak on szybko klasyfikuje minerały, jak niemal w jednej chwili odkrywa coraz to nowe zarodniki, pyłki i bakterie, jak w nic nie znaczących dla mnie chropowatościach i zgrubieniach znajduje odciski zwierząt i roślin.

Znaleźliśmy również kilka większych skamieniałości, przeważnie coś w rodzaju muszli. Największym znaleziskiem jest fragment płyty kostnej jakiegoś potwora, zbliżonego rozmiarami do ziemskiego stegozaura[\[30\]](#).

Gdybym ja w tym czasie pełniła dyżur na fotelu pilota, z pewnością nie zauważyłabym tego znaleziska na ekranie. Muszę się jednak pochwalić i własnym odkryciem. Otóż wśród utworów fliszowych[\[31\]](#), [pochodzących ze szlamistego dna jakiegoś słonego zbiornika wodnego \(morza?\), znalazłam kamień z wyraźnym odlewem pełzających zwierząt, prawdopodobnie robaków. Odlew ten pochodzi z wczesnych osadów, ewolucyjnie odpowiadających w przybliżeniu pierwszej połowie ziemskiej ery paleozoicznej. Wiek odlewu obliczyłam na 320 milionów lat.](#)

Rozwój roślin i zwierząt przebiegał tu nieco inaczej niż na Ziemi i poszczególne osobniki różniły się prawdopodobnie całkowicie od ziemskich. To, że wygląd niektórych skamieniałości zdaje się odpowiadać określonym okazom ziemskim, niczego jeszcze nie dowodzi, bo „oko człowieka wszędzie szuka Ziemi” – jak mówi Nym, i podobieństwo może być tylko zewnętrzne, pozorne. Mimo to Igor stwierdza wiele analogii w rozwoju świata roślin i zwierząt na Ziemi i na Urpie. W szczególności układ epok odpowiada w zasadzie podobnemu układowi w życiu Ziemi.

Wysłaliśmy dotychczas na powierzchnię dziewięć sond z materiałem. Już od przeszło dwóch tygodni nie docierają do nas żadne sygnały z bazy. Znajdujemy się na głębokości 7600 metrów. Temperatura sięga tu 305 stopni Celsjusza. Ciśnienie 2750 atmosfer.

W zasadzie główne zadanie obecnej wyprawy podziemnej zostało wykonane. Od jutra ruszamy w górę, aby wyjść na powierzchnię w okolicach Ciemnej Plamy.

**W tej chwili Dżdżownica stoi w miejscu. Igor zajęty jest segregacją materiałów. Chodzi o to, aby w powrotnej drodze uzupełnić niektóre luki w zbiorach, nie tracąc zbyt wiele czasu w warstwach, które dostarczyły nam dostatecznej ilości materiałów dla nakreślenia w ogólnym zarysie historii Urpy. I tak wynurzymy się prawdopodobnie z blisko tygodniowym opóźnieniem. Powrotną drogę chcemy przebyć ze znacznie większą prędkością.**

## **8 kwietnia**

**Za dwie godziny ruszamy w górę. Rano dyskutowałam z Igozem o dotychczasowych wynikach badań. Spróbuję je zestawić w odwrotnej kolejności, zgodnej z chronologią dziejów planety.**

**Stare granity, które nas w tej chwili otaczają, zakrzepły przeszło 3 miliardy lat temu. Pokrywają je pokruszone warstwy najstarszych osadów (gnejsy);**

**wśród nich spotykamy ślady działalności bakterii. Jak wynika z analizy przemian promieniotwórczych, życie na Urpie istniało już około 2 miliardów lat temu. W tym czasie często występowała w tutejszych okolicach działalność wulkaniczna. Wyżej rozciągają się grube, blisko trzyipółkilometrowe warstwy, w których ślady życia są już liczniejsze, i. to zarówno roślinnego, jak i zwierzęcego. Formy jeszcze dość prymitywne, ale niewątpliwie, zwłaszcza wyżej, bardzo bujne. Odpowiada to z grubsza ziemskiej erze paleozoicznej, tylko że czas jej trwania jest nieco dłuższy niż na Ziemi, gdyż sięga miliarda lat. W tym czasie kilkakrotnie tworzyły się tu oceany. Do młodszej warstwy należą właśnie znalezione przeze mnie odciski robaków.**

**Następna z kolei warstwa odznacza się silnym rozwojem życia lądowego, przynajmniej w naszym rejonie. Znaleźliśmy tu zwłaszcza dużo okazów roślinnych. Epoka ta zaczęła się około 250 milionów lat temu i trwała aż do pierwszych większych zlodowaceń, które nastąpiły około miliona lat temu. Era ta odpowiada łącznie naszemu mezozoikowi i kenozoikowi. W przeciwieństwie do poprzednich er Igor nie stwierdził tu jakiegoś wyraźnego podziału, przynajmniej na razie. Interesujące jest, iż znaleziona płyta kostna liczy 1 200 000 lat. Gdyby założyć, że płyta ta należała istotnie do jakiegoś urpzańskigo stegozaura, wynikałoby stąd, że na Urpie epoka wielkich gadów (?) sięgała niemal do czasu powstania istot rozumnych. Nie jest to wykluczone, gdyż oziębienie klimatu musiało przynieść zagładę zwierzętom zbliżonym do gadów, ale mogło jednocześnie stać się dźwignią przekształcania się istot typu małpiego w istoty rozumne. Wszak jeśli na tej planecie istniały istoty cywilizowane (a mamy tego dowód) i jeśli nie przybyły one z innej planety – to z pewnością właśnie trudności walki z przyrodą były czynnikiem kształtującym ich rozwój.**

**W związku z tym, że analiza bazaltowych cegiełek wykazała, iż zostały one wyprodukowane 3200 lat temu, a więc są znacznie starsze od budowli na Temie,**

nasunęła mi się nowa hipoteza: można by przyjąć, że Urpa jest kolebką istot, które zwiemy Temianami (oczywiście trzeba by zmienić ich nazwę na Urpianie). Gdy Proxima przygasła i na Urpie warunki stały się niemożliwe do życia, istoty te przeniosły się na planetę X, tworzącą wraz z Temą podwójną planetę krążącą najbliżej Proximy. Część istot przeniosła się na Temę i próbowała tam osiąść, ale nie znalazła dogodnych warunków. Tymczasem na planecie X doszło do walk i wreszcie do katastrofy. Resztki Urpian pozostały jeszcze na Temie przez kilka stuleci, aż wreszcie wyginęły.

Igor w zasadzie uważa tę hipotezę za możliwą do przyjęcia. Wysunął tylko jedną obiekcję natury społecznej. Twierdzi, że istoty, które osiągnęły tak wysoki stopień rozwoju, jak opanowanie techniki jądrowej, nie powinny ulec całkowitej zagładzie. Jeśli istniały ich kolonie na Temie, mogły przetrwać również na Urpie (tworząc mikroklimat). Przecież nawet nasza ziemską wyprawa byłaby w stanie stworzyć warunki do osiedlenia się ludzi w Układzie Proximy, a cóż dopiero mówić o tubylcach, stojących technicznie wyżej od nas.

„No, a jeśli toczyli oni ze sobą wojny aż do całkowitej zagłady?” – zapytałam Igora.

„Nie wierzę, aby istota rozumna – odpowiedział mi – mogła świadomie dążyć do swej zagłady”.

I ja też chwilami łudzę się, że oni są gdzieś blisko. Czasami, gdy zasypiam, wydaje mi się, że jutro obudzi mnie radosna wieść o nich. Skąd ta wieść nadejdzie – nie wiem. Może stąd, z Urpy, może z Temy, a nawet z Nokty. Zresztą nie wiem już sama, skąd. Wierzę, że tu, w Układzie Proximy, spotkamy ich żywych, tak jak spotkaliśmy Temidów...

*9 kwietnia*

Za chwilę wysyłamy sondę, więc do poprzednich notatek chcę jeszcze załączyć kilka ostatnich nowin.

Ruszyliśmy wczoraj w dalszą drogę, kierując się ukośnie w górę. I oto wkrótce zaczęły się niespodzianki. Temperatura i ciśnienie powinny rosnać, im niżej statek schodzi, a maleć, im wyżej się wznosi. Dotychczas wszystko odbywało się normalnie: temperatura rosła wraz z głębokością, różnice przyrostu obracały się w granicach odpowiadających różnemu przewodnictwu skał. A więc po przebyciu powłoki lodowej i kilkusetmetrowej warstwy przemarzniętego gruntu, gdzieś mniej więcej na głębokości 1500 metrów, termostat przeszedł z ogrzewania na chłodzenie, chcąc utrzymać wewnątrz statku normalną temperaturę 18-20°C. Na głębokości 7,6 kilometra temperatura osiągnęła 305°C (oczywiście na zewnątrz statku). Odpowiadało to mniej więcej przewidywaniom. Sądzyliśmy więc, że wracając na powierzchnię, będziemy obserwować normalny spadek temperatury, i dlatego nie

zwracaliśmy specjalnej uwagi na wskazania termometru.

. Ale oto ku naszemu zdziwieniu po godzinie, przebywszy 700 metrów, co przy 27-stopniowym nachyleniu drogi odpowiada mniej więcej wzniesieniu o 300 metrów, stwierdziliśmy, że temperatura zamiast spaść o 12 stopni, podniosła się o 30. W rachubę wchodzi trzy ewentualności: może być to intruzja [\[32\] wulkaniczna, większe pokłady skał zawierających pierwiastki promieniotwórcze, wreszcie trzecia możliwość – bardzo frapująca, choć mało prawdopodobna – sztuczne źródło ciepła w rodzaju grzejników temiańskich. Oczywiście postanowiliśmy sprawdzić, co jest źródłem ciepła, i nie zmieniając trasy ruszyliśmy w dalszą drogę, pilnie obserwując instrumenty pomiarowe.](#)

Po przebyciu dalszych 700 metrów temperatura wynosiła już ponad 400°C, potem szybko doszła do 500°, a w górze na ekranie sytuacyjnym ukazał się spód zakrzepłej już wprawdzie, ale jeszcze bardzo gorącej żyły magmowej.

A więc wzrost temperatury wiąże się z bliskością większych zbiorników magmy, która w ostatnich stuleciach usiłuje tu przedrzeć się na powierzchnię.

Licząc się z tym, że nad spotkaną przez nas żyłą pokładową mogły nagromadzić się gazy o wysokiej prężności, postanowiliśmy ominąć to niezbyt bezpieczne miejsce, wybierając szlak p malejącej temperaturze. Zeszliśmy więc nieco w dół i suniemy teraz z prędkością 20 cm/s poziomo na głębokości 8 kilometrów. Temperatura wynosi 355 stopni, a więc tylko o 30 stopni przekracza wartość obliczoną dla tej głębokości.

Igor pracuje w tej chwili w laboratorium, ja pilotuję, ale zaraz pójdę wysłać sondę.

Za dwa dni ciąg dalszy wiadomości z urpiańskiej Plutonii.

# W PAŃSTWIE WULKANA

Suzy stanęła w drzwiach laboratorium.

–Znów wzrasta!

Igor przeniósł wzrok z notatnika na dziewczynę.

–Co wzrasta? – zapytał machinalnie.

–Temperatura.

–Dlatego zatrzymałaś statek?

–Tak.

–Ile stopni?

–Trzysta dziewięćdziesiąt.

–Możesz jeszcze statek trzymać na kursie. Zadzwoń po mnie, gdy temperatura przekroczy 700° C albo gdybyś coś zauważyła na ekranie sytuacyjnym.

Suzy zniknęła za drzwiami i geolog znów pograżył się w obliczeniach. Po chwili jednostajny szum wypełnił ciszę. Igor wyjął z szafy nieduży okaz jakiegoś minerału i podszedł do mikroskopu, siadając na taborecie.

Ostry dźwięk dzwonka poderwał go z miejsca. W ciągu kilku sekund znalazł się w kabinie pilota. Jednym spojrzeniem obrzucił tablicę kontrolną i skoczył gwałtownie na fotel.

Szarpnął dźwignię ruchu, przesuając ją niemal do końca.

Szum motoru przeszedł w ryk, a strzałka szybkościomierza przesunęła się z 12 na 33 cm/s.

Raz po raz poprzez ściany statku przechodziło drzenie. Dźdźownica zmieniała kierunek.

Ekran podziemnego oka stał się wiśniowoczerwony.

–Dziewięćset osiemdziesiąt stopni! – oznajmiła Suzy.

Igor nic nie odpowiedział. Jego pochylona nad pulpitem kierowniczym postać wydawała się w tej chwili nieodłączną częścią mechanizmu Dźdźownicy.

**Suzy wstrzymała oddech. Temperatura na zewnątrz statku przekraczała już tysiąc stopni. Tuż przed dziobem rysowała się na ekranie duża, ciemna plama.**

**–Tysiąc sto! – zawołała Suzy.**

**Podziemne oko świeciło teraz pomarańczowym światłem. Na ekranie sytuacyjnym wielka, ciemniejąca ku środkowi plama otaczała już Dżdżownicę, Dziób statku znajdował się w obszarze krzepnącej lawy.**

**–Tysiąc sto pięćdziesiąt! – wyjąkała fizyczka. – Dlaczego nie zmieniasz kierunku?**

**–Nie widzę innego wyjścia – rzekł krótko Igor i wskazał wzrokiem wykres rozkładu ciśnienia wokół statku.**

**Suzy zadrżała. Obserwując wzrost temperatury zapomniała o ciśnieniu. Teraz jeden rzut oka wystarczył, aby zrozumieć niebezpieczeństwo. Pionowy nacisk na rufę statku był w tej chwili o przeszło 50 atmosfer większy niż na dziób.**

**Ryk silnika przechodził stopniowo w wycie. Widocznie ośrodek stawał się coraz bardziej miękki. Maląła różnica ciśnień. Jeszcze pięć metrów, jeszcze metr...**

**Ekran podziemnego oka z pomarańczowego stał się żółty. Temperatura przekraczała 1400 stopni. Dżdżownica pogrążała się w żyłę ciekłej magmy.**

**Igor odetchnął ciężko i przetarł czoło wierzchem dłoni. Pochylił się nad dźwigniami kierowniczymi, zmniejszył nieco prędkość statku i zaczął ostrożnie zmieniać kierunek. Dżdżownica znów opadała w dół.**

**Poruszali się teraz w ośrodku o konsystencji gęstego błota i silnik napędowy pracował znacznie ciszej. Ale ponad jego szum przedzierał się teraz inny, nieprzyjemnie świszczący dźwięk. Zdawał się on potęgować z minuty na minutę.**

**–Co to tak świszczę? – przerwała milczenie Suzy.**

**–Aparatura chłodząca jest nieco przeciążona – odrzekł Igor z pozornym spokojem.**

**–Tysiąc czterysta dziewięćdziesiąt stopni!**

**–W zasadzie statek wytrzyma temperaturę do 2000 stopni Celsjusza, ale tylko na krótki okres: 15-20 minut.**

**Nagle statek zadrżał i zakołysał się tak gwałtownie, że Suzy i Igor chwycili odruchowo za poręcze foteli. Kabina przybrała ukośną pozycję, potem znów bardziej pionową. Jednocześnie temperatura podskoczyła do 1600 stopni.**

**Szum motoru zagłuszył świst aparatury chłodzącej. Strzałka szybkościomierza**

przesunęła się z 25 na 50, potem na 80 cm/s. Statek opadał szybko w dół, otoczony ze wszystkich stron roztopioną masą skalną.

Krople potu wystąpiły na czoło Suzy. Spojrzała na termometr. Temperatura powietrza wewnątrz statku podniosła się z 20 na 26 stopni Celsjusza.

Minuty wlokły się wolno. Temperatura przekraczała już 30 stopni. Upał stawał się coraz trudniejszy do zniesienia.

Suzy wpatrywała się teraz w ekrany sytuacyjne, ale nie potrafiła nic z nich wyczytać. Temperatura w sterowni dochodziła do 42 stopni.

–Zdaje się, że już – usłyszała jak przez watę głos Igora. Na ekranach, z boku i w dole, ciemna plama zaczęła mętnieć i przybierać szarą barwę.

Suzy zastygła w oczekiwaniu.

–Uwaga! – geolog raptownie zmniejszył prędkość silnika.

Znów statek zakołysał się. Odczuli nagłą zmianę przyśpieszenia, jak w-chwili hamowania sań.

Igor zwiększył obroty silnika, ale prędkość nie przekraczała teraz 30 cm/s i zmniejszała się nieustannie. Szum motoru coraz wyraźniej przechodził w ryk. To statek wdierał się w głąb coraz to gęściejszego ośrodka.

1530... 1500... 1450... 1400... 1300... 1200... 1100... 1000... 900... – Suzy śledziła wskazania termometrów zewnętrznych. Również wewnątrz statku temperatura wyraźnie spadała.

Ekran podziemnego oka przybrał już ciemnowiśniowy kolor, potem wrócił niemal do zwykłego wyglądu, przestając świecić.

Wielka plama żyły magmowej pozostała już poza statkiem. Wykres drogi Dżdżownicy wskazywał, że blisko półtora kilometra posuwali się w długim, pionowym kominie, wypełnionym lawą. Od powierzchni planety dzieliło ich 9500 metrów. Ciśnienie przekraczało 3800 atmosfer.

Po 800 metrach poziomej drogi Igor zaczął wznosić Dżdżownicę w górę. Temperatura dotąd utrzymywała się stale blisko 650 stopni Celsjusza – widocznie znajdowali się w okolicach większych zbiorników magmy. Teraz temperatura znów poczyniała wolno rosnać. Wreszcie po trzech godzinach, gdy osiągnęła 730 stopni, Igor przeszedł do ruchu poziomego, wymijając duży pień częściowo zakrzepłej lawy.

Ponownie spróbowali przedrzeć się w górę, ale i tym razem plan spełznął na niczym.

**Temperatura znów rosła. Przymuszczalnie nad nimi znajdowała się większa intruzja, zbliżona kształtem do lakkolitu[33].**

**Postanowiono więc posuwać się poziomo, aż temperatura wróci do przewidzianej wykresem dla tej głębokości, to jest do około 380 stopni.**

**Przebyli jednak dalsze trzy kilometry drogi, a temperatura utrzymywała się ciągle powyżej 600 stopni.**

**Igor kazał Suzy położyć się spać. Gdy po godzinie ją obudził, twarz miał poważną i skupioną.**

**–Przygotuj trzy sondy z najważniejszymi materiałami. Minerale i kry-stalogramy znajdziesz w trzecim pojemniku, ułożone osobno. Suzy spojrzała na wskazania manometrów.**

**–Różnice w ciśnieniu nie przekraczają dopuszczalnych wartości.**

**–W tej chwili. Ale już dwukrotnie wystąpiły dość znaczne wahania i wstrząsy.**

**–Nie zauważyłam.**

**–Były bardzo słabe. Zarejestrował je tylko seismograf, a przede wszystkim aparaty akustyczne. Występują również znaczne wahania przewodnictwa elektrycznego.**

**–I sądzisz, że za chwilę...**

**–Nic jeszcze nie sądzę – przerwał spokojnie. – Trzeba jednak zabezpieczyć zbiory. To nasz obowiązek. Materiały muszą wyjść na powierzchnię.**

**Suzy zeszła z fotela i skierowała się do laboratorium. W drzwiach zatrzymała się jeszcze. Już otwierała usta, aby o coś zapytać geologa, gdy krzyknął rozkazująco:**

**–Prędzej!**

**Suzy skoczyła w głąb laboratorium i w tej samej chwili podłoga zakołysała się pod jej stopami. Ogłuszający trzask i zgrzyt wstrząsnął Dżdżownicą. Grad kamieni posypał się na dziewczynę. Padła na podłogę, uderzając o jakiś przedmiot.**

**Niemal w tym samym momencie nowy wstrząs szarpnął statkiem. Znów posypały się kamienie. Potem zapanowała dzwoniąca w uszach cisza. Suzy ostrożnie uniosła głowę, rozglądając się po laboratorium. Światło paliło się normalnie. Przyrządy również znajdowały się na swoich miejscach. Jedynie podłoga zasypana była odłamkami skał – oczywiście Igor zapomniał zamknąć któryś z pojemników wypełnionych próbkami i zostawił bałagan'ha stoliku laboratoryjnym!**

**Wyteńczyła słuch. Silnik nie pracował. Tylko od tylnej części statku dochodziło przytłumione buczenie aparatury chłodzącej.**

**Teraz uczuła, że coś spływa jej po twarzy. Przetarła ręką czoło i spojrzała na dłoń. Wzdrygnęła się. Dłoń była zakrwawiona. Widocznie padając skaleczyła się w głowę.**

**Ale czy to w tej chwili ważne – pomyślała. – Jeśli statek jest uszkodzony... Przede wszystkim trzeba sprawdzić, co się stało z Igorem...**

**Wstała z podłogi i ruszyła z powrotem ku drzwiom.**

**Igor siedział jak poprzednio w fotelu pilota, śledząc pracę przyrządów kontrolnych. Gdy usłyszał za sobą kroki, nie odwracając głowy spytał krótko:**

**–Sondy załadowane?**

**–Nie zdążyłam...**

**–Zajmij się tym natychmiast. Szkoda każdej sekundy.**

**–Czy statek jest uszkodzony?**

**–Jeszcze nie. Pospiesz się!**

**Wróciła do laboratorium i otworzyła pojemnik numer 3. Na jego dnie leżało kilkanaście podłużnych puszek termoochronnych, przygotowanych do umieszczenia w sondzie. Widocznie Igor już od kilku dni spodziewał się trzęsienia ziemi, uporządkował zasadnicze materiały i przygotował je do wysłania na powierzchnię w razie katastrofy Dżdżownicy.**

**Załadowanie iglic zajęło Suzy nie więcej niż kwadrans. Ale te piętnaście minut, kiedy każdy szmer wydawał się zapowiedzią nowych wstrząsów, kosztowało dziewczynę niemało wysiłku woli.**

**–Wszystko przygotowane – zameldowała wreszcie Igorowi.**

**–Co ci się stało, Suzy? – dopiero teraz zauważył krew na jej twarzy.**

**–Skaleczenie. W czasie tych wstrząsów. Nic groźnego...**

**–Trzeba zrobić opatrunek.**

**Zeskoczył pośpiesznie z fotela i otworzywszy umieszczoną w ścianie apteczkę, wyjął butelkę ze środkiem dezynfekcyjnym i plaster opatrunkowy.**

**–Nachyl się! Tak. Dobrze. A teraz słuchaj – mówił oczyszczając ranę. – Sytuacja nie**

**jest najlepsza, choć statek, jak sądzę, uniknął szczęśliwie większych uszkodzeń. W najbliższych godzinach należy spodziewać się dalszych wstrząsów. Przyrządy stwierdzają istnienie znacznych napięć w skałach. Gorzej, bo odbiorniki akustyczne rejestrują trzaski charakterystyczne dla zbliżającego się trzęsienia ziemi. Miejmy nadzieję, że będą to wstrząsy słabsze niż ten ostatni.**

**–Dlaczego stoimy w miejscu? Czy nie możemy tak jak przedtem wydostać się z niebezpiecznej strefy?**

**–Niestety nie. Wówczas układ warstw, jak i struktura mineralna skał, a ponadto bliskość półpłynnej magmy stwarzały poważną szansę wydostania się z zagrożonego terenu. Rozwinięcie jak największej szybkości było konieczne, aby wyprzedzić prędkość osuwania się warstwy skalnej. Teraz mamy do czynienia nie z powolnym przesuwaniem się skał, lecz z gwałtownymi wstrząsami. Wokół otaczają nas pokruszone, olbrzymie bloki granitu. Jeśli w chwili wstrząsu będziemy przekraczać szczelinę między blokami i bloki się przesuną – statek zostanie rozcięty. W tej chwili znajdujemy się wewnątrz bloku, w znacznej odległości od szczeliny – dodał spostrzegłszy lęk w oczach Suzy.**

**–Sądziś, że obecne trzęsienie ziemi jest typu wulkanicznego czy też są to jakieś ruchy górotwórcze? – zapytała.**

**–Niewątpliwie typu wulkanicznego. Ale to, iż wystąpiło właśnie teraz, nie jest przypadkiem.**

**–Co przez to rozumiesz?**

**–Przyczyną jesteśmy my, nasza Dżdżownica. Oczywiście przyczyną pośrednią, ściślej mówiąc, przyśpieszającą kataklizm. Wstrząsy na tym terenie w ostatnich kilku tysiącach występowały wielokrotnie. Miałaś przykład z tym uskokiem w lodzie. Magma przeciska się powoli w górę, gromadzą się gazy, rosną napięcia w warstwach. Ale naprężenia, jakie tu zastaliśmy, mogłyby jeszcze narastać kilkadziesiąt lat. Nasza działalność, kruszenie i topienie, to wprawdzie kropla, ale właśnie przysłowiowa kropla, która przepelnia czarę. Wystarczyło, że podcięliśmy przypadkowo oparcie dla skał w jakichś czułych miejscach, a proces wzrostu napięć spotęgował się niepomierne. Dlatego rozsądniej będzie w tej chwili nie poruszać się, gdyż moglibyśmy sami ściągnąć na siebie katastrofę. Boję się nawet wysłać sondy.**

**–No, a jak się stąd wydostaniemy?**

**–Musimy poczekać przynajmniej kilka dni, aż uspokoi się obecne ognisko wstrząsów.**

**–Gdzie ono jest?**

**–Dwa kilometry stąd. W pobliżu tego wielkiego zbiornika magmy, który omijaliśmy przed pięcioma godzinami.**

**–Jeśli wybuch nastąpiłby wówczas, gdy byliśmy w pobliżu tego miejsca...**

**–Daj spokój z tym, co by było, gdyby... – uciął dyskusję geolog.**

**Minęły cztery dni, jakże ciężkie i męczące dla dwuosobowej załogi statku, uwięzionego wśród warstw skalnych na głębokości 9 tysięcy metrów pod ziemią.**

**Jedynie wydarzenia to czterokrotne powtórzenie się wstrząsów. Wprawdzie stawały się one coraz słabsze, ale to, że wyczekiwali na nie w nerwowym napięciu, było jeszcze jedną torturą długich godzin.**

**Suzy, mniej odporna psychicznie od Igora, łatwiej ulegała atmosferze niepewności. Próbowła pójść w ślady geologa i zająć się systematycznym opracowywaniem zebranych materiałów, ale jakoś nie mogła nawet na krótko zapomnieć o rzeczywistości. W miarę jak czas upływał, coraz trudniej było jej się skupić. Opadały ją ponure myśli i refleksje.**

**Igor zdawał sobie sprawę ze stanu psychicznego Suzy. Obserwując ją od dłuższego czasu, jeszcze w okresie wspólnych badań planetoid, wiedział, jak ciężko przeżywa rozłąkę z Władem. Próbował nawet skłonić ją do poczynienia jakichś kroków, które prowadziłyby do rozwiązania męczącego konfliktu, ale Suzy wyraźnie unikała rozmowy na ten temat. Potem wypadek Zoe skomplikował wszystko. /**

**Teraz, w ostatnich dniach, zrozumiał, że spokój Suzy był tylko pozorny, że nadal tęskni do Kaliny, choć stara się to ukryć nawet przed ssmą sobą. Rozumiał też, że zwłaszcza w obecnej sytuacji szczerą, otwartą rozmowa jest konieczna. Jeśli przymusowy postój przeciągnie się jeszcze tydzień albo i dwa... Nie wolno mu było dopuścić do całkowitego załamania się dziewczyny. W nocy z czwartego na piąty dzień postoju, gdy Suzy długo przewracała się na swoim tapczanie nie mogąc zasnąć, Igor postanowił jasno postawić sprawę.**

**–Ciągłe myślisz o nim? – powiedział półgłosem, jakby kontynuując jakąś rozpoczętą rozmowę. Zamarła w bezruchu. Dopiero po dłuższej chwili odpowiedziała cicho:**

**–Skąd wiesz?...**

**–Wczoraj przez sen powtarzałaś jego imię. Bardzo ci ciężko? – zapytał zaskakująco ciepło.**

**–Bardzo...**

**–A jednak tak nie można. Pomyśl. Zastanów się, czy to ma sens?... – wrócił do**

swego zwykłego,' rzeczowego tonu.

–Ja już się z tym pogodziłam... – powiedziała bez przekonania.

–Widocznie jednak...

–To nie takie proste. Nie wiedziałam, że tak trudno zapomnieć... Jeszcze kiedy jest więcej pracy, lżej człowiekowi, ale teraz... Poza tym nie wiem, czy... czy to wszystko nie było pomyłką. Boję się o Zoe – dodała z westchnieniem.

–O Zoe? – Igor spojrział zdziwiony. Suzy poruszyła się niespokojnie.

–Nic... Tak mi się wyrwało. Pomyślisz jeszcze, że mówię to przez zazdrość. Ale tak nie jest.

–Nie pomyślę, bo nic z tego nie rozumiem – odparł szczerze. – Mów jaśniej.

–Boję się, czy Wład potrafi pokochać Zoe tak, jak ona na to zasługuje.

–Jeszcze nie bardzo rozumiem.

–Nie wiem, jak ci to powiedzieć... On nie może odejść od Zoe. Teraz, gdy nie ma szans na to, aby w najbliższych latach odzyskała wzrok... To byłby dla niej straszny cios. Ja wiem, co to znaczy...

Zapanowała cisza.

–To dlatego nie chciałaś czekać, aż Wład przyleci na Urpę? – odezwał się Igor po długim milczeniu. Skinęła głową.

–Skomplikowana sprawa – podjął geolog. – Trudno tu coś radzić. Ale sądzę, że trochę przeceniacie wagę problemu. Życia nie należy sobie gmatwać. Przyznaj się, że czekasz teraz ode mnie na jakąś iskierkę nadziei.

Odpowiedział mu blady uśmiech Suzy.

–Może... Człowiek lubi się łudzić... A przecież wiem, że to już teraz nie ma sensu. Za późno.

–Nie lubię określenia „za późno”. Nigdy, dopóki człowiek żyje, nie ma sytuacji bez wyjścia. Może to frazes, czy ja wiem... Czasami samo życie przynosi rozwiązanie.

Wyprostował się na fotelu i, nasłuchując, przez chwilę obserwował tablice kontrolne.

–Znowu? – zapytała Suzy.

**–Tak. Ognisko daje znać o sobie. Ale bardzo słabo. – Gwałtownie wychylił się naprzód. – Zdaje się... że...**

**Suzy nacisnęła guzik i tapczan zmienił się w fotel. Wstrzymując oddech wpatrywała się w twarz geologa.**

**–Naprężenia pionowe zmalały niemal do normalnego stanu. Zmniejszyły się również trzaski. Rozumiesz? Jeśli chcemy się stąd wydostać, to zdaje się, że teraz! Teraz przesunięcia mogą być tylko poziome, równoległe! To znacznie zmniejsza niebezpieczeństwo katastrofy statku. Nie wiadomo, czy następny wstrząs nie pogorszy sytuacji. A więc jak? Ruszamy?**

**–Jest szansa?**

**Igor opuścił dłoń na dźwignię ruchu.**

**–Może ostatnia.**

**Nacisnął guzik i przesunął dźwignię.**

**Obraz na ekranie podziemnego oka drgnął i zaczął się wolno przekształcać.**

**Posuwali się z szybkością 3 mm/s.**

**Igor nie spuszczał oka z przyrządów sygnalizujących zmianę napięć w skałach.**

**Znów przesunął dźwignię dalej, jeszcze dalej.**

**4... 5... 6... 10 mm/s.**

**Obraz na ekranie ściemniał, potem znów pojaśniał. Czoło geologa pokryły krople potu. Znów zwiększył prędkość. Posuwali się teraz cztery centymetry na sekundę.**

**Metr po metrze Dżdżownica oddalała się od ogniska wstrząsów. Wolno, z rozmysłem Igor wybierał miejsca jak najmniej zagrożone katastrofą, zwiększał, to znów mniejszał prędkość. Byle dalej, byle dalej...**

**W pierwszej godzinie, która wydała się wiekiem, przebyli 120 metrów. Zaledwie o dwie długości statku oddalili się od pułapki...**

**Dopiero po przeszło siedmiu godzinach Igor odważył się zwiększyć prędkość do 20 cm/s. Schodzili w dalszym ciągu dość stromo w dół, ale temperatura jakoś nie wzrastała, lecz spadała. Widocznie oddalali się od zbiorników magmy.**

**Po godzinie, klucząc wśród spękanych płyt skał ogniowych, na głębokości 9800 metrów napotkali niespodziewanie warstwy starych osadów, przesunięte uskokiem.**

Temperatura spadła już do 380°, a wkrótce nawet do 360°. Warstwy osadów spoczywały równo jedne na drugich. Były to przeważnie piaskowce i zlepieńce, głębiej gnejsy[34]. Statek zszedł jeszcze kilkadziesiąt metrów niżej, po czym ruszył poziomo na północo-wschód.

–Kierunku na razie nie będziemy zmieniać – zdecydował Igor. – Co prawda oddalamy się znacznie od dawnego szlaku prowadzącego ku Ciemnej Plamie, ale mamy czas. Podejmiemy pod nią w warstwach powierzchniowych. Tak będzie bezpieczniej.

–Ile kilometrów dzieli punkt na powierzchni planety, pod którym w tej chwili jesteśmy, od Ciemnej Plamy?

–Blisko dziewięć.

–Czy wyślemy dziś sondę? Ostatnia była z dziewiątego. Chyba już nie ma obaw?

–Lepiej jeszcze poczekać. Skoro wytrzymaliśmy tak długo, to jeden czy dwa dni nie mają znaczenia. Wyślemy jutro rano. O, patrz! – wskazał na ekran sytuacyjny. – Zdaje się, że nasza warstwa prowadzi w górę. Temperatura...

–350 stopni – dokończyła Suzy.

–Dobrze. Nawet za dobrze jak na głębokość 9900 metrów przy tutejszym stopniu geotermicznym.

Sięgnął do drążków sterowych.

–A więc pójdźmy za przykładem naszej warstwy – powiedział z -uśmiechem i przesuwając drążek zawołał: – W górę! Chyba już dość mamy przygód!

# W POSZUKIWANIU ŹRÓDŁA

Zoe przesunęła palcami po guzikach. Chciała raz jeszcze upewnić się, czy wszystkie przyrządy są włączone.

Pierwsze, drugie, trzecie, czwarte, piąte, szóste stanowisko – liczyła w myślach. – W porządku.

Do uszu niewidomej dobiegł przytłumiony odgłos kroków na korytarzu. Po lekkim, przyspieszonym chodzie poznała Daisy.

Zoe odwróciła głowę w kierunku rozsuwanych drzwi i przebiegła palcami po płytce plastycznego ekranu. Przywykła już do tego ruchu. Przez wiele miesięcy ćwiczeń czuła, jak niemal z każdym dniem koniuszki jej palców odkrywały coraz większe bogactwo wrażeń dotykowych i termicznych, przetwarzanych w mózgu w zwarty przestrzenny obraz otaczającego ją świata. I choć był to obraz bardzo ubogi w porównaniu z wrażeniami wzrokowymi, jednak wzbogacała go wyobraźnią, malowała wspomnieniem barw.

Teraz na ekranie dermowizora pod palcami wyraźnie wyczuła czworokąt rozsuniętych drzwi i drobną, poruszającą się postać. Z odległości kilku metrów nie potrafiła jeszcze odróżnić rysów twarzy, ale wyczuwana dotykiem sylwetka i znajomy odgłos kroków sprawiły, że rozpoznała Daisy.

Uśmiechnęła się do przybyłej i spytała nie ukrywając podniecenia:

–No i?...

–Wszystko gotowe – odrzekła Daisy siadając obok Zoe w fotelu. – Przełączyłam już oba zespoły na naszą podcentralę. Przed chwilą nadszedł meldunek od Kory. Zainstalowała dodatkowo czwarte stanowisko z koloniami bakterii. Czuwa tam Zoja. Nadeszła też wiadomość od Deana i Włada. Są gotowi.

–Mamy więc ogółem jedenaście stanowisk – ucieszyła się Zoe. – To powinno wystarczyć.

–Jeśli znów nie nastąpi jakaś zmiana – westchnęła Daisy.

–To nie była żadna zmiana. Po prostu wyszłam z błędnych założeń, że źródłem emisji jest Proxima. Teraz mamy w zasięgu całe niebo i jestem niemal pewna, że nie tylko uda się nam zaobserwować gdzieś zaburzenia, ale również określić położenie ich źródła.

–'Więc jednak jakieś promieniowanie?

**–Tak sądzą Kora i Andrzej. Niekoniecznie muszą to być fale elektromagnetyczne.**

**–A więc cząstki?**

**–Bardzo możliwe. Zresztą nośnik to kwestia wtórna.**

**–Co przez to rozumiesz? Czyżby?...**

**–Czekaj – przerwała Zoe, ruchem dłoni nakazując milczenie. Chwilę nasłuchiwała.**

**–Nym idzie – wyjaśniła krótko.**

**–Nym? – zdziwiła się Daisy.**

**–Słyszę jego kroki.**

**Teraz i Daisy usłyszała ciche stąpanie za drzwiami. Po chwili w progu stanął astrofizyk.**

**–Nie przeszkadzam? – zapytał niepewnie.**

**–Ależ nie! – zawołała Zoe. – Na razie jedyną moją robotą jest czekanie. Jeszcze się nie zaczęło.**

**–Wobec tego pozwól, że i ja tu coś wtrączę. Otóż dziś rano wpadła mi do głowy pewna hipoteza, która chyba was zainteresuje. Co prawda nie jestem zwolennikiem mnożenia bytów bez wyraźnej potrzeby, ale od wylądowania na Temie namnożyło ich się więcej niż ktokolwiek z nas mógł się spodziewać, więc jeszcze jeden pomysł, choćby nawet okazał się wariacki, nie będzie chyba obrazą dla nauki. A jeśli moja hipoteza znajdzie jakieś konkretniejsze oparcie w wynikach waszych eksperymentów, być może warto będzie rozważyć ponownie sprawę instrukcji nr 4. Dlatego przyszedłem z tym do was...**

**–Zadziwiasz mnie. Czyżbyś przeszedł na naszą stronę?**

**–Jestem po stronie prawdy, jak by powiedział Szu. A z tym nie jest wcale najłatwiej. Te same fakty mogą być przecież różnie interpretowane. Rzecz w tym, że instrukcja nr 4 może wymagać przeformułowania, jeśli nie będzie odpowiadać sytuacji. Nie spodziewajcie się jednak zbyt wiele: do swojej hipotezy odnoszę się bardzo sceptycznie i nikła jest szansa, aby się potwierdziła. Niemniej nawet najbardziej niedorzeczne przypuszczenie warte jest rozważenia i sprawdzenia, jeśli to możliwe.**

**–Powiedz wreszcie, o co chodzi! – zniecierpliwiła się Daisy. – Po co ta cała retoryka?**

**–Poczekaj. Najpierw odpowiedzcie mi na parę pytań. Przede wszystkim: czy**

zakłócenia łączności radiowej zawsze były skorelowane z zaburzeniami w funkcjonowaniu żywych organizmów – zwierząt i ludzi? Zoe uniosła głowę i wyciągniętą ręką dotknęła ramienia Nyma.

–Usiądź tu bliżej – powiedziała wskazując wolne miejsce obok Daisy. – Wiesz przecież, że niedowidzę na większą odległość – uśmiechnęła się blado. – Niestety, nie jestem w stanie odpowiedzieć w sposób kategoriyczny na twoje pytanie. Nie było systematycznej rejestracji parametrów bio. W pełni udokumentowany jest tylko 27-dniowy cykl zmian w warunkach łączności radiowej. Oparłam się tu na analizie zapisu przekazów telemetrycznych i rozmów radiotelefonicznych, dokonywanego na Sel automatycznie od dnia wylądowania. Ale te zmiany bywają różne. Może to być kilkugodzinne pogorszenie się odbioru, krótkotrwałe, powtarzające się co kilkanaście minut zakłócenia, gwizdy, szумы, trzaski o różnym nasileniu, a niekiedy całkowity zanik łączności. Dotyczy to przede wszystkim dość szerokiego zakresu fal krótkich, na których pracują nasze nadajniki. Pokażę ci, jak to wygląda – sięgnęła do klawiatury i na ekranie pojawił się wykres.– Niestety, nie mamy takich danych dotyczących funkcjonowania organizmów żywych. System bezpieczeństwa sygnalizuje tylko poważniejsze zaburzenia i w takich przypadkach włącza się zapis. W czasie mojej choroby, Will rejestrował systematycznie niektóre parametry fizjologiczne mego organizmu. Stwierdził wówczas 27-dniowy cykl odchyień od normy, ale nie były to żadne poważniejsze zaburzenia i wiązał te zmiany z cyklem menstruacyjnym. Teraz, gdy się okazało, że był on skorelowany z cyklem zakłóceń łączności, rozpoczęliśmy stały zapis u wszystkich uczestników eksperymentu i oczywiście zwierząt doświadczalnych. Pierwsza próba dokonana 27 dni temu, była jednak niezbyt udana. Pogorszenie się odbioru nastąpiło zgodnie z przewidywaniami, ale odchylenie od normy parametrów bio wystąpiło tylko u mnie, i to w niewielkim stopniu, u zwierząt zaś i Zoi na stanowisku zainstalowanym w zwierciadle parabolicznym radioteleskopu zwróconego ku Proximie nie było znaczących zmian. Co prawda w tym czasie nie było żadnego rozbłysku. U mnie zaś cykliczność może mieć przyczyny naturalne. Ale czy może być tylko zbiegiem okoliczności fakt, że omdlenie Hansa, pojawienie się pierścienia i to, co widziałam na Nokcie, a także „cud te-miański” i choroba Allana w Mieście Temian odpowiadają datom pogarszania się łączności radiowej? Chyba nie. I dlatego tak bardzo liczymy na wyniki dzisiejszych obserwacji.

–Słyszałem, że zwiększyliście liczbę stanowisk.

–Do jedenastu. Sześć na Sel, w różnych punktach, tak rozstawione, aby się dublowały dla obszaru całego nieba. Obsługują je Rita, Wiktor, Suń, Mei i Czin. Dalsze cztery stanowiska, obsługiwane przez Korę, Allana, Zoję i ojca, znajdują się na Temie. Ponadto Wład i Dean mają dokonać próby zlokalizowania źródła ewentualnej emisji falowej lub korpuskularnej z labdżeta w drodze na Noktę. Będą wówczas oddaleni od nas ponad 520 milionów kilometrów i od nich wiadomość nadejdzie, rzecz jasna, z blisko półgodzinnym opóźnieniem.

**–Wiem. To przecież dla mnie robią mapę neutrinową nieba. Mają niezły zestaw instrumentów. Widzę, że bardzo solidnie przygotowałaś tę operację.**

**Daisy w zamyśleniu patrzyła na Zoe. Jakże bardzo zmieniła się ona w ostatnich kilkunastu miesiącach. Ile hartu i wytrwałości, a zarazem energii i wewnętrznego optymizmu było w tej dziewczynie. Była w tym z pewnością również wielka zasługa Kory, która potrafiła dowieść jej, że mimo kalectwa może stać się pełnowartościowym członkiem ekspedycji. Niemniej – Zoe raz po raz zaskakiwała wszystkich zarówno swymi umiejętnościami jak i siłą charakteru. To już nie była tamta nieco lekkomyślna i impulsywna dziewczyna, która ważyła się na szaleńczy skok z Bolidu na powierzchnię Nokty. Zoe spoważniała i wysubtelniała. Jej spojrzenie na życie nabrało ostrości i wnikliwości. Zdobywana przez nią w trudzie wiedza stawała się coraz bardziej gruntowna i systematyczna.**

**Kiedy na początku tego roku przyszła do Andrzeja z projektem przeprowadzenia analizy, zapisu danych telemetrycznych, odbieranych przez stacje na Sel od dwóch lat, dla stwierdzenia, czy nie występuje jakaś cykliczność zakłóceń – powierzył jej to zadanie, traktując je raczej jako pożyteczne ćwiczenia rehabilitacyjne niż teren jakichś znaczących osiągnięć, zwłaszcza w porównaniu z rewelacyjnymi odkryciami na Temie. Wykrycie 27-dniowego cyklu i uzasadnione podejrzenia, iż wywiera on wpływ również na ludzi i zwierzęta, otwarły drogę do podjęcia szerszych badań pod patronatem Kory, która zresztą pozostawiła Zoe pełną inicjatywę. Pierwszy, jakkolwiek jeszcze nieudany eksperyment dostarczył wielu cennych doświadczeń. Teraz powierzono Zoe koordynowanie pracy trzech zespołów, obejmujących jedenaście stanowisk badawczych. Co prawda, zdanie Kory, siłą rzeczy, decydowało we wszystkich ważniejszych sprawach, niemniej funkcja była bardzo odpowiedzialna i Zoe odczuwała zarówno dumę, jak i obawę, czy potrafi wywiązać się w pełni z trudnych zadań. Traktowała je zresztą jako wielki egzamin swego życia, który pokaże jej, czy słusznie uwierzyła w swoje siły.**

**–Jeszcze dwa pytania – podjął Nym. – Ucieczce Robota I i zniknięciu twojego torusa też towarzyszyły zakłócenia radiowe?**

**–Tak, nawet dość silne gwizdy i trzaski.**

**–A w czasie schwywania meteorytu węglowego?**

**–Niestety, nie – Daisy wyprzedziła Zoe z zaprzeczeniem. – Sprawdzałam jeszcze raz sama, bo nie wiem, czy pamiętasz, że miałam wtedy takie dziwne halucynacje.**

**–Wiem. Właśnie dlatego pytam. Podobne zresztą halucynacje przeżyłem przed 133 laty jeszcze w Układzie Słonecznym.**

**–Czytałam-twoje wspomnienia z tego okresu. Czy przypuszczasz, że może być jakiś**

związek?... To chyba niemożliwe.

–Raczej: mało prawdopodobne.

–Chyba że chodzi tu o podobne zaburzenia postrzegania wywołane odmiennymi przyczynami – wtrąciła Zoe.

–Bywa i tak, że ten sam czynnik wywołuje bezpośrednio lub poprzez reakcje wtórne cały wachlarz bardzo różnych zjawisk. Burze magnetyczne; zakłócenia w łączności radiowej, wzrost napięcia nerwowego u ludzi i podatności na infekcje, jako następstwa wzrostu aktywności słonecznej, a zwłaszcza większych rozbłysków, były od dawna obserwowane na Ziemi. Nie zdziwi mnie, jeśli stwierdzicie pełną korelację między okresowym pogarszaniem się łączności i jakimiś wahaniami parametrów fizjologicznych, wzrostem nerwowości czy nawet zaburzeniami w postrzeganiu. Zastanawia mnie jednak, dlaczego zjawiska te powtarzają się w cyklu 27-dniowym. Gdyby to było na Ziemi, można by to powiązać z okresem obiegu Księżyca czy okresem syno- dycznym obrotu Słońca wokół osi. Ale czas obiegu Sel jest krótszy, zaś obrotu Proximy dłuższy od nich, i to znacznie. Jeśli zresztą uda się wykryć jakąś cy-kliczność aktywności tego czerwonego słońca, w co nie wątpię, nie będzie ona wynosiła 27 dni. Myślę zresztą, że wasze obserwacje w połączeniu z poszukiwaniami Deana i Włada powinny dostarczyć materiałów dostatecznie bogatych, aby wątpliwości dotyczące korelacji zostały ostatecznie rozstrzygnięte. Dziś rano przekazałem Deanowi zalecenie, aby nie ograniczał się do fal krótkich, ale przebadał całe widmo elektromagnetyczne, a także korpuls-kularne promieniowanie kosmiczne aż do neutrino. Was proszę o natychmiastową wiadomość, jeśli choć w przybliżeniu uda się zlokalizować źródło. Będę w obserwatorium przy pantoskopie.

–To znaczy, że włączasz się w naszą robotę! Jesteś wspaniała! – radośnie klasnęła w dłonie Zoe. – Czyżbyś coś podejrzewał? Nym nie podjął tematu.

–Wczoraj rozmawiałem z Allanem – powiedział jak gdyby mimochodem. – Jego hipoteza nie jest wcale tak niedorzeczna, jak by to wynikało z tego, co usłyszałem od Ziny.

–Ciągłe się jeszcze z Ziną kłócicie? – wtrąciła Daisy kpiącym tonem.

–Tylko w tak zwanych pryncypialnych kwestiach – uśmiechnął się niepewnie. – Wicie zresztą dobrze, jak to jest z tą wariatką...

–Wiemy i liczymy, że wkrótce zaprosicie nas na wesele. No, ale niepotrzebnie ci przerwałam. Co sądzisz o hipotezie Ala?

–Sam nie wiem... Nie bardzo trafia mi do przekonania. Hipoteza dziwna, chyba w twoim, Zoe, stylu...

**–Nie w moim. Tu się mylisz. Różnimy się tu poglądami.**

**–Czyżby rozłam w waszych szeregach?**

**–Tylko zwykła różnica zdań.**

**–Z tego, co mi mówiła Zina, nie wszystko dla mnie jest jasne. Ale odniosłem wrażenie, że owe różnice zdań są poważne, a może wręcz zasadnicze. Czyżbym się mylił?**

**Okło mikrokamery wpatrywało się nieruchomo w twarz Nyma, lecz palce Zoe nerwowo gładziły plastyczny ekran.**

**–Nie wiem, co ci powiedziała Zina – podjęła po chwili, niezbyt pewnie. – Nie wiem zresztą, czy dobrze ją zrozumiałeś. Nie różnimy się poglądami w kwestii zasadniczej: że w Układzie Proximy nie tylko działała, ale i obecnie działa wyżej od nas rozwinięta cywilizacja, chociaż jej aktywność, w panujących tu trudnych warunkach, wydaje się ograniczona. To znaczy, że obowiązuje instrukcja czwarta.**

**–Z tym poglądem godzi się już dziś większość kolegów, w tym i ja również. Oczywiście traktując to jako wielce prawdopodobne wyjaśnienie stwierdzonych faktów – zastrzegł się Nym.**

**–Bardzo nam miło... Pytałeś jednak o różnice zdań. Nie mam zamiaru ich bagatelizować. Dotyczą one właśnie hipotezy Allana, że Temianie próbują dać nam do zrozumienia, że nie życzą sobie penetrowania przez ludzi ich dawnych siedzib i cmentarzysk. Rzecz jasna, różnice poglądów dotyczą również intencji Temian i naszego postępowania w tej sytuacji.**

**–Zina w ogóle odrzuca hipotezę Allana. Tak przynajmniej rozumiałem jej wywody.**

**–Chyba niezupełnie prawidłowo. Zina zgadza się z Alem, że Temianom może nie podobać się to, że grzebiemy się w ich przeszłości. Odrzuca jednak jego tezę, że próbują nam to zasygnalizować, a zwłaszcza wpływać na nasze uczucia i myśli.**

**–A jednak... Jeśli rzeczywiście nie dyskutowaliście szerzej na ten temat przed wrześniową naradą, ta niechęć do odkryć Szu całej waszej szóstki jest zastanawiająca. Co prawda u każdego z was to wygląda trochę inaczej: Allan choruje i stał się podejrzliwy, Zina obraża się na Szu o jakieś głupie jedno słowo, ty, Zoe, niby chcesz zobaczyć te miasta, ale ciągle odkładasz to z błahych powodów, ty, Daisy, i Dean jesteście stale bardzo zajęci, co zresztą zgodne jest z prawdą, ale nie przeszkodziło wam w odwiedzeniu wszystkich oaz ciepła, Mary – już sam nie wiem, co ją wstrzymuje... Przyczyny różne, a efekt podobny.**

**–Gotów jesteś powołać się na opinię Zoi, że zostaliśmy „naznaczeni” – Daisy**

**spojrzała z gniewem na Nyma.**

**–Zoja wcale tego nie twierdzi. Próbuje tylko wyjaśnić zwiększoną wrażliwość wzmożonym oddziaływaniem promieniowania kosmicznego w chwili waszego poczęcia.**

**–Sens jest ten sam!**

**–Nawet jeśli tak jest rzeczywiście – powiedziała pojednawczo Zoe – to nie znaczy, że jesteśmy psychopatami lub działamy w hipnozie.**

**–Allan ujął to w ten sposób, że tworzycie grupę nie dlatego, że tak sobie życzą Temianie, lecz dlatego, że jesteście ludźmi wyczuwającymi lepiej od innych istnienie obcego Rozumu w tym świecie i potrzebę szanowania jego środowiska. Temianie w ogóle mogą nie zdawać sobie sprawy z istnienia waszej grupy i oddziaływać na wszystkich przybyszów z kosmosu.**

**–Nie wiem, czy Al ma rację i Temianie naprawdę manifestują swe niezadowolenie, lecz ja myślę, że nie wolno ich podejrzewać o złe intencje. Dlaczego obce istoty, stojące od nas wyżej technicznie i intelektualnie, miałyby ukrywać prawdę o sobie i traktować nas jak wrogów?**

**–Ty, Zoe, zawsze skłonna jesteś idealizować – Daisy objęła niewidomą ramieniem i serdecznie uścisnęła. – Mnie życie nauczyło ostrożności. Dlatego nie byłabym tak pewna, że intencje Temian są czyste, że nie mają nic do ukrycia przed nami i nie chcą nam niczego sugerować. Nie znaczy to, że posądzam ich od razu o złe zamiary. Jeśli ktoś jest ode mnie silniejszy, a nie czyni mi krzywdy, to znaczy, że nie mam powodu traktować go jak wroga. Być może nie interesuje się mną, ale nie jest też wykluczone, że okaże się przyjacielem. Jeśli Te-mianie są rzeczywiście w stanie wpływać na nasze uczucia i myśli, jak podejrzewa Al, nie sądzę, aby ich zdolności były skuteczne tylko wobec naszej szóstki. Gdyby zresztą naprawdę chcieli nam uniemożliwić badania, mogliby również zastosować środki fizyczne. A tego nie czynią. Znaczą to, że nie mają wobec nas złych intencji.**

**–Właśnie tak! – podchwyciła Zoe.**

**–Inna sprawa... – Daisy spojrzała na Nyma i zawahała się. – Inna sprawa – powtórzyła – jak pomyślę, że mogliby kierować moimi uczuciami i myślami, robi mi się zimno. Z drugiej jednak strony już sam fakt, że sobie to uświadamiam, trochę mnie pociesza. Chyba można to traktować jako dowód, że nie jest ze mną tak źle. Myślę, że... – rozpoczęła i urwała.**

**–Co chciałaś powiedzieć? – zapytała po dłuższej chwili oczekiwania Zoe.**

**–Już nic. Niech teraz Nym powie, co o tym naprawdę sądzi. Mówiłeś o jakiejś**

hipotezie.

–Mam wątpliwości, czy wam się spodoba – zastrzegł astrofizyk. – Ale po kolei: przede wszystkim powiem wam, co mi się nie podoba w hipotezie Allana i w ogóle w waszych tezach. Zbyt antropomorfizujecie ten obcy rozum.

–Pałace temiańskie świadczą... – wtrąciła Daisy, lecz Nym nie dał jej dokończyć.

–Nie chodzi mi o Temidów i Temian. Być może w jakimś stopniu przypominają ludzi wyglądem i trybem życia, chociaż to jeszcze chyba nie jest dowodem podobieństwa psychicznego, mentalności, zasad rozumowania, etyki, kultury w pełnym tego słowa znaczeniu, a nie tylko twórczości wynalazczej, naukowej czy artystycznej. Z historii wiemy, że ludzie, istoty tego samego gatunku, tworzyli bardzo odmienne struktury społeczno-kulturowe. Jeśli mówiłem o obcym rozumie, to nie miałem na myśli ani Temidów, którym chyba daleko jeszcze do poziomu umysłowego neandertalczyka, ani też Temian, o których nie wiemy ani skąd przybyli, ani co się z nimi stało. Moim zdaniem, jedyne konkretne, rzeczywiste przejawy aktualnej działalności wyższej inteligencji w Układzie Proximy to Torus Karlsona, beznapędowy manewr Robota I i „cud temiański”. Tego nie da się wytłumaczyć ani wadliwymi wskazaniem przyrządów, ani sugestią czy halucynacją, ani też działaniem nieznanymi sił natury. To mnie przekonało, że macie rację twierdząc, że w Układzie Proximy działają istoty rozumne na wyższym od nas poziomie rozwoju technicznego. Ale wcale to nie oznacza, że istotami tymi są budowniczowie miast temiańskich. Równie, a może bardziej prawdopodobna wydaje się hipoteza, że są to istoty przybyłe do Układu Proximy z zewnątrz, z innych rejonów kosmosu, a ich pojawienie się ma jakiś związek z zagładą cywilizacji Temian.

–Myślisz, że te torusy mogły wymordować Temian? – zapytała Daisy i spojrzała niepewnie na Zoe, która ze skamieniałą twarzą słuchała wywodów astrofizyka.

–Nie wiem. Ale i tę możliwość trzeba brać pod uwagę. Jeśli ten Rozum potrafi czynić genetyczne cuda...

–Dlaczego jednak nie zniszczył Temidów? Dlaczego nie atakuje nas?

–Nie wiem. Może Temidzi są im do czegoś potrzebni, a my nie stanowimy niebezpieczeństwa? Czy zresztą tego rodzaju pytania mają jakiś sens? Byłby to przecież rozum całkowicie różny od naszego, o sposobie myślenia i motywacjach całkowicie nam obcych i niezrozumiałych. Nie wolno nam antropomorfizować... – spojrzał na Zoe. – To są, rzecz jasna, tylko hipotezy, w które nie bardzo sam wierzę – począł się zastrzegać, widząc jak silne wrażenie wywierają jego słowa na dziewczynie. – Nie można też wykluczyć, że te pierścienie i wirujące pyły to tylko zwiadowcy i obserwatorzy, działający nie tylko tu, ale także w innych układach planetarnych zgodnie z programem opracowanym w jakichś odległych obszarach

**Galaktyki. Wszystko to brzmi jak fantastyczno-naukowa bajka, ale cóż my właściwie wiemy o wszechświecie?**

**–Czy myślisz, że to, co widziałeś w Układzie Słonecznym przed 133 laty...**

**–To tylko hipoteza – powtórzył astrofizyk. – Próbuje powiązać w niej różne zdarzenia, ale nie wiem, czy to ma sens. Wasz eksperyment być może zresztą rozstrzygnie od razu niektóre kwestie. Jeśli się na przykład okaże, że źródło zakłóceń zlokalizowane zostało na Primie, w okolicach którejś z gwiazd Tolimana, na jakichś podczerwonych karłach, czy może w jądrze Galaktyki...**

**Zoe podniosła się z fotela i podeszła dość pewnym krokiem do dużej świetlnej mapy nieba.**

**–Prima i Toliman są tu – wskazała prawidłowo położenie obiektów. – A tu chyba jądro Galaktyki. Pokaż mi, gdzie są te podczerwone karły! Nym stanął obok mapy.**

**–O, tu. W konstelacji Panny – powiedział wskazując palcem jakiś niewidoczny punkt między dwiema jaśniejszymi gwiazdami. – Drugi obiekt znajduje się w okolicach Krzyża Południa – przesunął rękę w dół. – Trzeci w Feniksie, między gwiazdami Achernar i Fomalhaut. W końcu na północnej półkuli...**

**Dźwięk dzwonka nie pozwolił mu dokończyć.**

**–Zaczyna się! – ucieszyła się Zoe.**

**Wróciła szybko do ustawionych w podkowie tablic kontrolnych i usiadła w fotelu. Prawą rękę oparła o klawiaturę, lewą błędziła po czworokątnej płycie plastycznego ekranu.**

**–Idę do obserwatorium. Nie zapomnijcie dać mi znać – powiedział Nym kierując się ku drzwiom.**

**Zoe zdawała się nie słyszeć słów astrofizyka. Twarz jej wyrażała skupienie i napięcie.**

**Daisy zajęła miejsce obok mapy nieba, przy niedużym pulpicie. Jej zadaniem było utrzymywanie łączności ze stanowiskami na Sel i Temie. W tej chwili nie miała jeszcze nic do roboty. Niewielkie ekrany sygnalizowały tylko pogotowie obserwacyjne.**

**W okienku chronometru cyfry zmieniały się szybko. Od stołu kierowniczego dobiegały urywane, krótkie piski i dzwonki o różnych tonach i sile. Chwilami przypominało to bezmyślne bębnienie -po klawiszach fortepianu. Czasami wśród tych dźwięków nagle wyrywał się i gaś jakiś rytmiczny stukot.**

**Prawa ręka Zoe biegała po tablicy rozdzielczej, naciskając coraz to inne guziki.**

**Daisy znów spojrzała na chronometr: minęło już osiem minut od schwytania pierwszych zakłóceń.**

**–Uwaga, Daisy! – odezwała się Zoe. – Trzecie stanowisko. Sprawdź, jaki obszar nieba ono obejmuje w tej chwili, i podaj dane Nymowi. Niestety... Nie jestem pewna, czy to naprawdę okolice plus 30° i 161'. Jednak... nie daję sobie rady...**

**Opanowała się zaciskając wargi.**

**–Trzecie stanowisko? – Daisy spojrzała na mapę nieba. – Jesteś przewrażliwiona. Określiłaś dobrze. To są okolice Korony Północnej i Herkulesa.**

**Połączyła się z obserwatorium, polecając Nymowi szukać w promieniu 45° od Korony Północnej.**

**–Jeszcze nie było meldunku od Kory – wtrąciła Zoe. W tej samej chwili rozległ się sygnał i na ekranie wideofonu pojawiła się twarz Renego.**

**–Zoe! Wstępny meldunek. Na stanowiskach VIII i X widać wyraźne zmiany w zachowaniu się zwierząt. Szczególnie silne podniecenie u psów. Odchylenie parametrów fizjologicznych nieznaczne, głównie pH. Gwałtowny wzrost jonizacji powietrza, zwłaszcza na stanowisku VIII. Zakłócenia radiowe najsilniej zaznaczają się w pasmach 18 i 38 metrów. Namiar źródła zakłóceń nie dał jednoznacznego wyniku. Stanowisko VIII – plus 10° i 271', a więc niemal dokładnie w zenicie nad stacją. Stanowisko X – minus 64° i 41' w początkach pomiaru, potem powolny ruch w kierunku północnym. To na razie wszystko. Jakie meldunki ze stanowiska na Sel?**

**–Zakłócenia radiowe bardzo słabe. Jedynie w pobliżu bazy silniejsze. Charakterystyczna rytmiczność trzasków. Położenie źródła – plus 32° i 161', a więc jeszcze inne niż wasze. Na stanowiskach II i V jeszcze inne wyniki, a na III, IV i VI – niemal zupełna cisza. Danych biologicznych jeszcze nie otrzymałam, ale na I, II i V coś tam mają.**

**–Dziękuję. Wyłączam się! Twarz zoologa zniknęła z ekranu.**

**–Dziewiętnasta minuta – oznajmiła Zoe. Daisy podeszła do pulpitu.**

**–Długo jeszcze?**

**–Wszystkie poprzednie zakłócenia trwały ponad 25 minut.**

**–Co sądzisz o tych rozbieżnościach w namiarach? To nie mogą być tylko błędy.**

**–Ciszej! Znów zaczynają się trzaski!**

**Zoe wzmocniła odbiór i Daisy usłyszała narastające dudnienie, podobne do rytmicznych uderzeń pięścią w metalowe drzwi.**

**–Więc Dean i Wład twierdzą, że to neutrino z Tolimana B? – Nym zapytał w taki sposób, jakby podejrzewał, że się przesłyszał.**

**–Z Tolimana B – potwierdziła Zoe. – Przez ponad dziesięć minut liczba zarejestrowanych cząstek wzrosła ponad tysiąc razy. Powiedz, co to znaczy? I jak to pasuje do twojej hipotezy? A przede wszystkim siadaj, bo nie lubię, jak ktoś kręci się po sali. –**

**–Wzmożona emisja oznacza gwałtowne nasilenie się reakcji jądrowych we wnętrzu gwiazdy...**

**' – To wiemy – przerwała mu Daisy, sadowiąc astrofizyka w miejscu wskazanym przez niewidomą. – Chodzi nam o co innego. Przecież neutrino nie może powodować zakłóceń radiowych.**

**–Nie może. Oddziaływanie neutrino na materię jest tak słabe, że jego strumienie przenikają niemal bez przeszkód przez wnętrza gwiazd i planet. Detektor Kawabaty, który utorował drogę współczesnej astronomii neutri-nowej, działa na zasadzie wzbudzenia przez te cząstki tachipola o ujemnej masie spoczynkowej, czego nasza przyroda samorzutnie nie jest w stanie stworzyć. Jeśli więc wzmożona emisja tego promieniowania skorelowana jest z zakłóceniami radiowymi, można to tłumaczyć albo wspólną przyczyną obu zjawisk...**

**–To znaczy?**

**–Powiedzmy, jednoczesną emisją promieniowania radiowego powodującego zakłócenia.**

**–Takiej emisji Dean i Wład nie zaobserwowali – zaproponowała Zoe. – Skąd zresztą ten wzrost jonizacji powietrza w pobliżu kilku stanowisk na Temie? Czy krótkofalowe promieniowanie radiowe mogło wywołać takie zjawisko?**

**–Raczej nie. Pozostaje więc druga możliwość: neutrino jest tylko nośnikiem sygnałów przekazywanych komuś działającemu w Układzie Proximy. I ten ktoś jest właśnie źródłem zakłóceń radiowych, jonizacji i oddziaływań biologicznych.**

**–Tych „ktosiów” musi być chyba ograniczona liczba, bo przecież tylko część stanowisk zarejestrowało odchylenie od normy – wtrąciła Daisy.**

**–Otóż to. Co więcej, tłumaczy to również, dlaczego tak sprzeczne były wyniki**

lokalizacji źródła.

–Myślisz, że owo źródło to właśnie ONI? – zapytała Zoe, unosząc głowę znad wykresów rozłożonych na stole.

–W czasie następnej obserwacji spróbujmy ich odnaleźć i dokonać zdjęć w różnych zakresach promieniowania.

–A więc wstępujesz do naszego zespołu! To dopiero ucieszy się Zina.

–Muszę w pełni sprawdzić swoją hipotezę.

–To już chyba nie jest hipoteza?

–Nie wiem. Stajemy wobec nowych zagadek, a więc rodzą się i nowe hipotezy.

–O czym myślisz?

–Toliman nie jest gwiazdą zmienną. Co się tam dzieje w jego wnętrzu i z jakiej przyczyny? A może nie tylko we wnętrzu. Neutrino biegnie stamtąd blisko 55 dni. Połowa tego czasu to właśnie cykl zakłóceń...

Przez chwilę panowała cisza. Słysząc było tylko rytmiczne dzwonienie. To Zoe w zamyśleniu uderzała końcem trzymanego w palcach pisaka w stojącą na biurku szklankę.

Naraz odwróciła głowę, kierując obiektyw na Nyma.

–Wpadł mi do głowy nieco dziwaczny pomysł – rozpoczęła z wahaniem. – Może będziesz się śmiać ze mnie, bo tu chodzi o „kocią muzykę”.

Nym spojrzał na nią z niekłamanym zaciekawieniem.

Zanim jednak Zoe zdążyła wyjaśnić, co ma na myśli, rozległ się sygnał i na ścianie ukazała się twarz Rity.

–Przyjdźcie zaraz do centrali! Musimy się naradzić nad sytuacją. Sejsmografy na Urpie zanotowały znów trzęsienie ziemi. Właśnie tam, w okolicach bazy.

Nym bez słowa ruszył ku drzwiom, za nim Daisy.

W centrali radiotelewizyjnej na ekranie widoczna była zaczerwieniona od płaczu twarz Ziny.

–Nie wiemy już sami, co robić!... – odezwała się spostrzegłszy przybyłych. – Przed godziną wróciła trzecia sonda z aparaturą nadawczo-odbiorczą. Niestety, taśmy są

**czyste.**

**–Kiedy wysłaliście tę sondę? – Nym z trudem usiłował zachować spokój.**

**–Dziewiętnastego. Przebywała blisko dziewięć dni pod ziemią. Nastawiona była na głębokość przeszło dziesięciu kilometrów.**

**–Już 20 dni... – westchnęła Daisy. – Notatki Suzy z ostatniej iglicy wysłanej ze statku miały datę 9 kwietnia, a dziś jest już 28.**

**–Ognisko to samo? – spytał Nym.**

**–Niestety...**

**–Kiedy przylatuje Mary?**

**–Pojutrze rano. Przed chwilą nadałam jednak depeszę z prośbą, aby ze względu na sytuację przyspieszyła swój przylot.**

**–Istotnie, sytuacja jest groźna, a środki bardzo ograniczone. Zęby choć udało się zlokalizować miejsce, gdzie znajduje się Dżdżownica.**

**–Ostatecznie w razie uszkodzenia statku można rozpocząć drążenie szybu ratunkowego.**

**–A jeśli statek uległ zagładzie? Jeśli przesuwające się w czasie trzęsienia ziemi warstwy skalne rozerwały Dżdżownicę? Zapanowało milczenie.**

**10 kwietnia sejsmografy w bazie na Uripie zarejestrowały płytkie trzęsienie ziemi. Tak się jakoś złożyło, że wcale nie zwrócono na nie uwagi. Jaro był w tym czasie na Sel, a Zina robiła z powietrza prześwietlające zdjęcia bazaltowej płyty. 11 kwietnia wyszła na powierzchnię ostatnia iglica wysłana z Dżdżownicy. Igor i Suzy donosili pod datą 9 kwietnia, że znajdują się na głębokości 8 kilometrów, w pobliżu większych zbiorników płynnej magmy. Następny meldunek miał nadejść trzynastego, ale jedno- czy dwudniowe spóźnienia zdarzały się dość często, więc brak meldunków nie wydawał się czymś groźnym. Po sześciu dniach zaczęto się niepokoić. Zina połączyła się z Mary, która przebywała na Temie. Uczona pocieszyła ją, że żyły magmowe mogą znacznie opóźnić powrót sond, poleciła jednak przestudiować sejsmogramy. Okazało się, że słabe trzęsienie ziemi zarejestrowano 18 kwietnia. Dalsze badania taśm wykazały, że również 10 kwietnia nastąpił poważny wstrząs, a słabsze powtarzały się przez kilka dni.**

**Natychmiast wysłano cztery specjalne sondy w okolice, gdzie w dniu 9 kwietnia przebywała Dżdżownica. Sondy te zaopatrzone były w urządzenia odbiorczo-nadawcze do automatycznego nawiązania łączności ze statkiem. Nadajnik**

nieustannie wysyłał wezwania radiowe i ultradźwiękowe, które powinna odebrać załoga statku, jeżeli znajdował się on w niedużej odległości od sondy. Odbiornik mógł zarejestrować na taśmie odpowiedź. Gdyby sondy nie odebrały sygnałów w ciągu pięciu dni od osiągnięcia wyznaczonej głębokości, same miały wrócić na powierzchnię.

Minęło znów kilka dni pełnych niepokoju. Igor i Suzy nie dawali znaku życia. Na wszystkie sposoby usiłowano sobie tłumaczyć przyczynę milczenia. Brak dalszych sond z Dżdżownicy dawał zarazem pewnego rodzaju gwarancję, że statek nie jest zniszczony. W razie katastrofy bowiem specjalne urządzenia wysyłały automatycznie trzy tak zwane sondy alarmowe. Raczej należało przypuszczać, jak sądziła Mary, że statek w wyniku trzęsienia ziemi znalazł się w niebezpiecznym położeniu i dopóki nie wygasną wstrząsy, Igor obawia się wysyłania sond.

Jednak minął drugi tydzień, a statek podziemny milczał. Wreszcie 27 kwietnia wyszły na powierzchnię dwie iglice, a 28 trzecia z aparatem nadawczo-odbiorczym, i okazało się, że nie można nawiązać łączności ani drogą radiową, ani też ultradźwiękową. Czyżby statek znajdował się daleko poza terenem objętym trzęsieniem ziemi? Dlaczego wobec tego nie wysyła sond? Jeśli zaś znajduje się jeszcze w rejonie objętym bezpośrednio wstrząsami, to czyżby miał uszkodzone aparaty nadawczo-odbiorcze? Może w tej chwili Igor i Suzy, śmiertelnie zagrożeni, bezskutecznie oczekują pomocy?

–Czy wysłałaś dalsze iglice? – przerwała milczenie Zoe. – Może trzeba zbadać większy teren?

–Już nie wiemy sami, co robić – rozległ się głos Brabca, który pojawił się na ekranie obok Ziny. – A jeśli nasze sondy wywołują te wstrząsy? Mary ma przylecieć dopiero 30 kwietnia, aby przejrzeć części Dżdżownicy II przed ich transportem z Sel na Temę. Trzeba by...

–Uwaga, sygnał! – zawołała Daisy wskazując na czerwoną lampkę, która zapłonęła nagle nad jednym z pulpity centrali.

–To z Temy!

Rita pośpiesznie włączyła drugi ekran. Ukazała się na nim twarz Mary.

–Przed chwilą otrzymałam waszą depeszę – rozległ się głos uczonej. – Istotnie, sprawa wygląda poważniej, niż sądziłam. Wylatuję za pół godziny. Powinam być u was nad ranem. Niech Jaro rozpocznie wysyłkę części Dżdżownicy II, ale nie na Temę, lecz na Urpę. Natychmiast przystąpcie do montażu. Trzeba będzie rozpocząć systematyczne poszukiwania. Boję się, że ulegli jakiemuś poważniejszemu wypadkowi.

# OSTATNIA SONDA

Dokładna analiza sejsmogramów wskazywała, że ognisko wstrząsów znajduje się nie dalej niż w odległości kilometra od miejsca, z którego wysłana była ostatnia sonda Dżdżownicy. Po przybyciu na Urpę Mary natychmiast przystąpiła do montażu i wysłania specjalnych trzech sond automatów poszukiwawczych, których zadaniem było dotarcie do zaginionego statku. Każdą z tych sond zaopatrzono w specjalne fotoelektryczne „oczy”, automaty kierownicze zaś trzymały tę podziemną „torpedę” na kursie wyznaczonym śladem pokruszonych skał, pozostawionych przez sondę wysłaną ze statku 9 kwietnia. W ten sposób sonda poszukiwawcza powinna dotrzeć do szlaku, którym posuwała się Dżdżownica, a następnie podążyć jej śladem. Po zetknięciu się z powierzchnią statku sonda miała zmienić położenie i skierować się pionowo w górę, wyznaczając w ten sposób miejsce przypuszczalnej katastrofy.

Minął jednak tydzień, a żadna z trzech sond nie powróciła na powierzchnię, mimo iż nastawione były na maksymalną prędkość. Wyjaśnienie mogło być tylko jedno: ślad urywał się w jakimś zbiorniku płynnej magmy. Żyła magmowa mogła być niezbyt gruba i istniało prawdopodobieństwo odnalezienia dalszej drogi, tu jednak automat już nie wystarczał. Co prawda, można było wyprodukować bardziej uniwersalny przyrząd, a nawet rozpocząć budowę specjalnej linii przesyłowej do kierowania sondą, ale odwlekłoby to poszukiwania o parę tygodni, co uznano za zbyt ryzykowne. Mary liczyła się zresztą od początku z koniecznością wysłania na pomoc drugiego statku podziemnego, nawet gdyby sondy odnalazły miejsce katastrofy. Wszak budowa szybu ratowniczego na głębokość 8-10 kilometrów zajęłaby kilkakrotnie więcej czasu niż wysłanie nowej Dżdżownicy. Dlatego polecono Brabcowi, by zgromadził na Urpie elementy Dżdżownicy II, przygotowane do wysyłki na Temę, i natychmiast przystąpiono do montowania statku podziemnego.

Tydzień oczekiwania na powrót trzech automatów poszukiwawczych nie był więc bynajmniej stracony dla akcji ratowniczej. Obawa o życie Igora i Suzy ustokrotnieła siły Jarosława, Ziny i Mary. Zażywając zwiększone dawki hiperolu, pracowali dzień i noc w hali montażowej. Drugiego maja przylecieli na Urpę Nym, Wiktor i Wład – ten ostatni wprost z wyprawy, w czasie której dokonano odkrycia wzmożonej emisji neutrino. Następnego dnia przybyli z Temy Heng i Ast.

Tempo budowy Dżdżownicy II wzmogło się teraz jeszcze bardziej. Podczas gdy pierwszy statek podziemny budowany był blisko dwa miesiące; drugi rósł dosłownie w oczach z dnia na dzień, z godziny na godzinę.

8 maja pod wieczór statek czekał gotowy do drogi. Wszyscy byli wyczerpani do ostatnich granic, ale nikt nie dopuszczał nawet myśli o zwłoce w rozpoczęciu dalszych poszukiwań.

–Jaro i Wiktor skierują statek tam, gdzie wyszła ostatnia sonda z datą 9 kwietnia – mówiła Mary, gdy zebrali się na krótką naradę. – Przy maksymalnej prędkości na powierzchni przebędzie te 22 kilometry w ciągu godziny. Ja się w tym czasie prześpię, aby trochę wypocząć przed drogą, i przyjadę saniami.

–Czy naprawdę chcesz sama opuścić się pod ziemię? – wtrąciła Ast z niepokojem.. Mary spojrzała z powagą wtoczy córki.

–Tak będzie najlepiej – powiedziała wymijająco, ale wszyscy zrozumieli, co ma na myśli.

–Dlaczego jednak ty? – odezwał się Wład. – Jesteś najbardziej przemęczona z nas wszystkich. Śłaniasz się po prostu z wyczerpania. Ja na przykład w tej chwili nie odczuwam zupełnie zmęczenia.

–Widać to po tobie – Nym patrzył w podkrążone oczy i ziemistą twarz Włada. – Ja spałem dziś dwie godziny...

–Kiedy? Cały czas widziałem cię w hali.

–Najlepiej będzie, jeśli ja... – rozpoczął Wiktor, ale Nam przerwał:

–Nie zapominaj o Ricie.

–Nic mi się nie stanie.

–Ale niebezpieczeństwo istnieje. Teraz, gdy Rita spodziewa się dziecka, nie ma sensu, aby niepokoiła się o ciebie.

–Właściwie nie Mary, nie Nym ani Wik, ale ja! – Zina podniosła się z fotela. – Tam jest mój ojciec. Chyba wszyscy rozumiecie... Zresztą przemawia za tym również to, że ja znam konstrukcję i obsługę Dżdżownicy niewątpliwie lepiej od Mary.

–Ty nie pojedziesz! – Brabec gwałtownie schwycił Zinę za rękę.

–Myślę, że ja, jako geolog... – rozpoczął Heng, lecz Jaro nie dał mu dokończyć.

–W rachubę wchodzi tylko ja. Ast i Heng nie kierowali nigdy statkiem podziemnym. Nym chyba też nie... Wiktor odpada, to jasne, Mary, Zina i Wład ledwo trzymają się na nogach. Wobec tego nie ma co dyskutować...

–Tak – odezwała się Mary kategorycznym tonem. – Nie ma co dyskutować. Szkoda czasu. Tu nie jest ważne, kto więcej czy mniej zmęczony. Decyduje tylko jedno: trzeba jak najszybciej dotrzeć do Igora i Suzy, a przy tym zachować maksymalną ostrożność. Nie zapominajcie, że chodzi tu o obszar sejsmiczny. Ponadto bardzo

możliwe, że trzeba będzie szukać śladów w żyłach płynnej magmy. Nikt z was nie ma przygotowania do tego rodzaju poszukiwań. Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że nie tylko nie wyszlibyście żywi z tej wyprawy, ale ginąc wraz z Dżdżownicą II przekreślilibyście szansę uratowania Igora i Suzy.

W ciszy, jaka zaległa po tych słowach, słyhać było tylko dalekie tykanie jakiejś nie wyłączzonej maszyny w hali montażowej.

–Ja jednak z tobą pojedę – odezwał się Wład. – Pozwól mi... Mary pokręciła przecząco głową.

–Powiedziałam już, że to nie ma sensu. Idę się przespać. Wstała z fotela. – Ast – zwróciła, się do córki. – Sprawdź zapasy wody i skondensowanej żywności. Za godzinę będę na stanowisku.

Szmer rozsuwanych drzwi poderwał Zinę z miejsca. Nie zauważyła sama, kiedy zasnęła przy pulpicie centrali radiowej w oczekiwaniu na kolejną sondę. Za nią stała Ast.

Zina spojrzała na zegar. Dochodziła pierwsza po północy.

–Dlaczego nie śpisz, Ast? – zapytała.

Nie otrzymała odpowiedzi. Uniosła głowę j przecierając powieki ponowiła pytanie.

–Czemu nie śpisz, Ast?

Spojrzała na twarz przybyłej. Była dziwnie zmieniona.

–Co się stało?

Ast jakby przełknęła coś z wysiłkiem.

–Teraz... teraz tam znowu...

–Co?!

–Teraz... tam wstrząsy – wyjąkała wreszcie Ast i zaniósła się płaczem. Zina wstała z fotela i podeszła do przyjaciółki, i

–Uspokój się – powiedziała obejmując ją ramieniem. – Przecież jeszcze nic nie wiadomo.

W tej chwili rozległo się buczenie i nad pulpitem zapłonęła żółta lampka. Zina podeszła do aparatury.

**–Sonda! Jedziemy obie -zwróciła się do Ast.**

**Pośpiesznie ubrały się w skafandry i wyszły. Sanie motorowe stały przygotowane do drogi. Po chwili mknęły przez lodową pustynię. Proxima wisiała nisko nad horyzontem, rzucając ostatnie czerwone refleksy na lekko pagórkowaty teren.'**

**Dwadzieścia parę kilometrów dzielących bazę od miejsca, w którym pojawiła się iglica, przebyły w niespełna sześć minut. Odnalezienie sondy nie nastęczało żadnych trudności, gdyż wysyłała ona nieustannie sygnały radiowe, chwymane przez automatycznego pilota kierującego saniami.**

**Zapadł mrok.**

**Nad bazą jarzyła się już zawieszona na wirolocie lampa, gdy przywiozły iglicę do hali montażowej. Zina odkręciła głowicę sondy i wyjęła puszkę z meldunkiem.**

***11 maja, godzina 15 – zaczęła głośno czytać. – Znajduję się na głębokości 8100 metrów! Posuwam się już od trzech godzin siadem ich statku. Temperatura wzrasta dość gwałtownie, co wskazuje na bliskie zbiorniki magmy.***

**–Gdzie jest epicentrum?[\[35\]](#) – zapytała Zina.**

**–Cztery kilometry na wschód od wyjścia tego meldunku na powierzchnię – odparła geofizyczka.**

**–Powinna więc być już daleko poza niebezpiecznym terenem. – Zina usiłowała dodać otuchy Ast, choć sama nie była pewna, czy się tylko nie łudzi.**

**–Jeszcze trzydzieści cztery godziny nie będziemy nic wiedziały – wstchnęła ciężko Ast.**

**–Za trzy, najdalej cztery godziny wyjdzie następna sonda. To pozwoli ustalić, jak szybko statek posuwa się naprzód. Ast skinęła głową.**

**–Czy teraz zawiadomimy Nyma i innych o tym, że znów było trzęsienie ziemi? – zapytała nieco spokojniej.**

**–Chyba nie ma sensu. Po co ich przedwcześnie niepokoić.**

**–I ja tak myślę – zgodziła się Ast.**

**Przeszły znów do centrali. Zina usiadła przy pulpicie ukrywając twarz w dłoniach. Ast zdawała się drzemać w fotelu.**

**Okolo godziny czwartej żółta lampka zasygnalizowała nową sondę. Położenie jej wskazywało, iż statek Mary przesunął się blisko półtora kilometra ód ostatniej**

pozycji. Dostarczony przez sondę meldunek mówił co prawda o gwałtownym wzroście temperatury, jednak Dżdżownica II posuwała się szybko naprzód. Jeśli nie natrafiła na jakieś przeszkody, powinna być już daleko poza terenem wstrząsów.

O piątej przybył do centrali Brabec. Wiadomość o trzęsieniu ziemi przyjął dość spokojnie, ale Zina czuła, że tylko usiłuje ukryć strach. Wkrótce też zjawili się Nym, Heng, Wład i Wiktor. Oczekiwano teraz wspólnie na kolejny meldunek Mary.

Minęło pięć godzin. Następna sonda nie pojawiła się. A przecież Mary, zgodnie z umową, miała wysłać iglice co trzy-cztery godziny.

Niepokój rósł. Nie ulegało wątpliwości, że Mary musiało się coś przytrafić.

Dopiero wieczorem, około godziny 21, znów zapłonęła żółta lampka. Sonda wyszła na powierzchnię w odległości 700 metrów od poprzedniej. Mary donosiła, że poruszając się śladem statku Igora i Suzy, natrafiła na żyłą płynnej magmy. Poszukiwanie dalszego szlaku zajęło jej ponad 16 godzin. W chwili wysłania sondy posuwała się dalszą drogą na wschód z szybkością 35 cm/s. Meldunek nosił datę: 12 maja, godzina 11.

Jak wynikało z obliczeń Ast, jeśli znów coś nie zatrzymało Mary w drodze, powinna była w chwili trzęsienia ziemi znajdować się już poza jego terenem. Wszak od wysłania ostatniej sondy do pierwszych wstrząsów upłynęło blisko 14 godzin.

A jednak...

W dwie godziny po wydobyciu ostatniej sondy w ciszę centrali wdarł się jęczący sygnał sondy alarmowej.

W centrali radiowej czuwali wówczas Ast, Nym i Wład. Z nich trojga jedynie Nym nie stracił panowania nad sobą. Szybko podszedł do pulpitu i nacisnął jeden z guzików.

–Uwaga! Uwaga! Wiktor! Jaro! – zawołał przekrzykując dźwięk syreny. – Odebraliśmy sygnał sondy alarmowej! Przygotujcie natychmiast wszystko do drążenia szybu ratowniczego!

Powtórzył kilkakrotnie polecenie i wyłączając aparaturę zwrócił się do Włada:

–Połącz się z Sel. Niech Rita natychmiast zawiadomi bazę na Temie o wypadku. Will lub Zoja muszą tu być na miejscu. Trzeba również zawiadomić Hansa. Chociaż... – zawahał się, spojrzawszy na płaczącą Ast. – Nic jeszcze nie wiadomo – powiedział, usiłując za wszelką cenę zachować spokój. – Może to sonda Igora i Suzy?

Wybiegł z pokoju.

**W hali montażowej zastał już Henga, Wiktora, Jarosława i Zinę, którzy za pomocą dźwigu pośpiesznie ładowali na szeroką platformę elementy maszyny wiertniczej.**

**–Czy sondy alarmowe wyszły już na powierzchnię?! – zawołał Wiktor.**

**–Czy wyszły? – Nym spojrzał zdumiony.**

**–W razie poważniejszej awarii statek wysłał trzy sondy alarmowe, które emitują sygnały radiowe o dużej mocy, odbierane jeszcze spod ziemi – wyjaśnił Brabec. – Kiedy usłyszeliście pierwszy dźwięk syreny?**

**–Nie wcześniej niż 10 minut temu – odparł Nym.**

**–Sondy powinny więc wyjść najdalej za pół godziny.**

**–Czy będziesz mógł stwierdzić, z którego statku były wysłane? Konstruktor poruszył niezdecydowanie ręką.**

**–Boję się, czy czasem znaki nie uległy zatarciu przy przejściu przez magmę. Cechy znaczyliśmy tylko zewnątrz; nie było czasu. A przecież wszystkie części i urządzenia Dżdżownicy II są bliźniaczo podobne do Dżdżownicy I. Uniwery dublowały produkcję. W razie czego trzeba będzie poczekać na zwykłe sondy. Poruszają się znacznie wolniej od sond alarmowych. Do chwili trzęsienia ziemi Mary powinna była wysłać przynajmniej jeszcze trzy.**

**–Zdaje się, że wszystko załadowane – przerwała Zina, która obsługiwała dźwig. – Czy zabrać również ten mały, składany pawilon?**

**–Oczywiście. Wiercenia potrwać parę dni – Brabec mówił to z takim spokojem, jakby chodziło o zwykłe prace geologiczne. Tylko chwilami ruchy rąk i mięśni twarzy konstruktora mówiły o tym, że całą siłą woli usiłuje zapanować nad nerwami. Przecież zadanie, które ich czekało, wymagało jak największego skupienia umysłu i precyzji działania.**

**Sondy alarmowe wyszły na pochylonym zboczu lodowego garbu, w odległości 800 metrów od epicentrum trzęsienia ziemi. Odnaleziono jednak tylko dwie iglice. Oznaczało to, że statek musiał ulec poważnej katastrofie i jedna z wyrzutni rozmieszczonych w trzech punktach kadłuba została zniszczona.**

**Obawy Jaro potwierdziły się. Cechy były tak zatarte, że nie udało się ustalić, z jakiego statku sondy pochodziły.**

**Brabecj...Sokolski przystąpili natychmiast do instalowania aparatury wiertniczej. Nym i Heng pozostali w hali montażowej, przygotowując surowiec do odlewania pierścieni szybu. Zina i Wład zajmowali się transportem materiałów. Praca posuwała**

się szybko naprzód mimo nieustannego zalewania urządzeń przez wodę z topiącego się lodu.

O godzinie pierwszej po północy wyszła z ziemi kolejka sonda z meldunkiem Mary z dnia 12, godzina 15. Była więc wysłana na dziewięć godzin przed trzęsieniem ziemi. Treść meldunku nie wskazywała na to, że Dżdżownicy II zagraża niebezpieczeństwo. Następny meldunek był wysłany 12 maja o godzinie 18, Mary znajdowała się wówczas o 500 metrów przed hipocentrum[36].

Sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna. Było już niemal pewne, że Dżdżownica II w chwili trzęsienia ziemi musiała znajdować się w niebezpiecznej strefie.

W tym samym czasie Ast odebrała przekazaną przez Ritę depezę od Hansa. Bolid wyruszył już w powrotną drogę ku Urpie.

Około godziny dziewiętej wyszła na powierzchnię jeszcze jedna sonda. Mary znajdowała się na obszarze hipocentrum i donosiła o znacznych napięciach w skałach. Treść meldunku była spokojna i rzeczowa. Tylko na samym dole kartki znajdował się dopisek:

„Pozdrówcie ode mnie Hansa, Ast i Ala”.

Ast nie była już w stanie obsługiwać centrali. Siedziała wtulona w fotel i tylko raz po raz rzucała błędne spojrzenie na zegar.

W najbliższych trzech-czterech godzinach powinna wyjść na powierzchnię następna sonda.

–Czy jednak wyjdzie? – pytanie to zadawali sobie wszyscy.

Nadzieja, iż statek Mary uniknął katastrofy, zmaląa niemal do zera.

Sokolski i Brabec czynili nadludzkie wysiłki, aby zwiększyć szybkość drążenia. W ciągu niecałych dziesięciu godzin zbudowano już ponad trzy tysiące osiemset metrów szybu. Im głębiej się posuwano, tym praca była trudniejsza.

Powoli zbliżał się krytyczny termin. Nie tylko Ast, ale także Nym i Heng nie opuszczali teraz centrali.

Na ekranie widniała twarz Hansa, oczekującego wiadomości o losie żony. Oczywiście o bezpośredniej rozmowie nie było mowy, gdyż Bolid dzieliło jeszcze od Urpy blisko pół godziny biegu fal elektromagnetycznych.

Nym krążył po centrali, jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca w małej salce. Ast nie

spuszczając oczu z chronometru.

–Minęło 34 godziny i 36 minut – przerwał milczenie chemik. – Sonda już powinna być.

–Jeżeli...

W tej samej chwili lampka zamigotała i zapłonęła żółtym światłem.

–Jest! Jest! – zawołał Heng przyskakując do pulpitu. Ale uprzedził go Nym. Jego palce szybko przebiegły po guzikach.

–Halo! Wład! Zina! Wyszła sonda!

–Wiemy już! Czekaliśmy w saniach. Sonda wyszła tu, niedaleko szybu! – usłyszeli radosny okrzyk Ziny. – Jedziemy po nią!

–15 minut po terminie! Rozumiecie? – cieszył się Nym. – Została wysłana w 15 minut po trzęsieniu ziemi! A więc Mary żyje!

Ast stała nieruchomo przed pulpitem. Uśmiechnęła się przez łzy.

–O! Już mamy iglicę! – rozległ się znów głos Ziny. – Rozmontujemy iglicę w pawilonie.

Trzask w głośniku oznajmił, że Zina weszła do wnętrza budynku.

–Więc jednak statek Mary został uszkodzony – zauważył nieco drżącym głosem Nym.

–Trzeba przyspieszyć wiercenie szybu – dorzucił Heng. – Sytuacja może być groźna.

–Tak. Budowa, nawet przy tak szybkim tempie jak obecnie, potrwa przynajmniej dwa i pół dnia. Zaraz zresztą dowiemy się, jak wygląda sytuacja. Zapanowała cisza. Minuty płynęły. Ast poruszyła się niespokojnie.

–Dlaczego oni milczą?

Podeszła do pulpitu i nacisnęła parę razy duży czarny guzik. Głośnik milczał uparcie.

–Dlaczego to trwa tak długo?! – zawołała Ast histerycznie. Uplynęło znów kilka minut męczącego oczekiwania. Wreszcie rozległ się

charakterystyczny trzask, a potem nierówny, przyspieszony oddech któregoś

z mężczyzn.

–Czy Ast jest w centrali? – rozległ się dziwnie zmieniony głos Sokolskiego. Ast przyskoczyła do pulpitu.

–Mów! Co się stało?! – zawołała. – Chcę wiedzieć! Wszystko!

–Twoja matka nie żyje. Zginęła 33 godziny temu... Ast osunęła się na ręce Henga.

–Przeczytaj – powiedział Nym.

Usłyszał szelest rozkładanej kartki, a potem głos Sokolskiego:

***12 maja, godzina 23.58. Przed dziesięcioma minutami nastąpiło trzęsienie ziemi związane z przeciskaniem się płynnej magmy poprzez warstwy skalne.***

***Statek uległ rozerwaniu. Urządzenia chłodnicze nie działają. A więc jest jasne, że to koniec. Pozostaje mi jeszcze najwyżej kilkadziesiąt minut życia.***

***Niestety, nie udało mi się odnaleźć Igora i Suzy. Zdaje się, że to beznadziejna sprawa. Nie drążcie również szybu po mnie. Nie ma sensu. Hans! Ucałuj ode mnie Ast i Ala. Będę z Wami mysią do końca.***

***Żegnajcie wszyscy.***

***Mary***

***Pozdrówcie ode mnie Ziemię!***

# **ŻYWA SKAŁA**

**–Od jak dawna?**

**–Pierwsze ślady pojawiły się 25 minut temu. Nie chciałam cię budzić. Byłeś tak zmęczony. Igor spojrzął z wyrzutem na Suzy.**

**–A gdyby ta warstwa się skończyła? – zapytał tonem subtelnej wymówki.**

**–Nie przypuszczałam, że to coś niezwykłego – usprawiedliwiała się dziewczyna. – Bloki przypominają kalcyt.**

**–Kalcyt – skinął głową geolog.**

**–A ta sinofioletowa masa?... Może jakieś sprasowane popioły wulkaniczne? Zresztą przecież aparat wszystkie obrazy utrwalił. Dla pewności pobrałam kilka większych próbek.**

**–A więc jednak coś cię zainteresowało? – uśmiechnął się geolog.**

**–Owszem, zwłaszcza barwy, ale przyznaję, że nie przywiązywałam do tych minerałów większej wagi. Przepraszam.**

**–Nie masz za co przeproszać – przerwał pośpiesznie. – Jeszcze nie wiadomo, może ja się mylę. Gdy zauważysz coś nowego albo warstwa się skończy, to dzwoń. I co pewien czas pobieraj próbki. Ja pójdę do laboratorium.**

**Zsunął się z fotela i po klamrach dotarł do drabiny. Dźdźownica wspinała się w górę niemal pionowo. W tym położeniu kabina pilota stawała się jakby najwyższym piętrem wysokiej wieży, a dotychczasowe ściany działowe wraz z drzwiami laboratorium przybrały pozycję poziomą. Igor zszedł w dół po drabinie i odsunąwszy płytę wjazdu, zniknął w głębi statku.**

**Suzy znów zatopila wzrok w mieniącej się płaszczyźnie ekranu. Tylko od czasu do czasu odwracała głowę, śledząc działanie przyrządów kontrolnych.**

**Przez pole widzenia podziemnego oka przesuwaly się w dalszym ciągu wielkie, żółte, to znów białe bloki wtopione w ciemnoszarą, chwilami przechodzącą w fiolet masę skalną. Jeśli jednak początkowo zmetamorfizowane wapienie zajmowały niemal cały ekran, ciemna masa zaś wypełniała tylko wąskie szczeliny między blokami, teraz rozmiary brył kalcytu znacznie zmalały i tajemnicze lepiszcze pokrywało w sumie blisko 20 procent powierzchni ekranu.**

**Upłynęło znów pół godziny, a Igor nie wracał. Zagadkowa warstwa wypełniała już**

całkowicie oba ekrany sytuacyjne. Widocznie grubość pokładu była ogromna. Najdziwniejsze, iż, jak dotychczas, Suzy nie mogła znaleźć śladu warstwowej struktury, tak charakterystycznej dla wielu skał. Skała przypominała raczej jakiś gigantyczny zlepienie, powstały drogą przemieszania się oraz zakrzepnięcia stałych i ciekłych substancji mineralnych.

Ilość szarofioletowej masy zwiększała się powoli. Jednocześnie malało ciśnienie i temperatura, co było zrozumiałe wobec pionowego kierunku ruchu. Właśnie strzałka głębokościomierza minęła 7000 metrów, gdy w dole kabiny zabrzmiał przytłumiony trzask i we władze ukazała się głowa geologa'.

–Bardzo ciekawe – rzekł wspinając się po szczeblach w górę.

–Więc to nie tui?"- zapytała Suzy.

–Nie. Więcej: takiego minerału, przynajmniej powstałego drogą naturalną, nigdy nie znajdziesz na Ziemi. Nie jest to zresztą, wyrażając się ściśle, ciało stałe.

–Ciecz?

–Tak. Ciecz przechłodzona. Coś w rodzaju szkła, jeśli brać pod uwagę konsystencję.

–A chemicznie?

–Na tym polega cała rewelacja. Jest to substancja podobna do organicznej, ale nie oparta na węglu, lecz na krzemie.

–Silikon?

–Właśnie. I to bardzo skomplikowany.

–Czy mógł powstać w wyniku jakichś naturalnych procesów? Geolog wzruszył ramionami.

–Trudno powiedzieć. W każdym razie na Ziemi tego rodzaju silikony wytwarzamy tylko sztucznie. Niemniej ciekawe, że nie jest to jeden związek, lecz mieszanina kilku. I jeszcze jedno: skład tej mieszaniny ulega zmianom, w miarę jak wznosimy się coraz wyżej.

–A końca warstwy nie widać – dorzuciła Suzy. Igor spojrzął na wykres drogi.

–Już ponad półtora kilometra?

–Tak. Ośrodek nie jest zbyt twardy i rozwijamy w tej chwili prędkość 37 cm/s. – Suzy spojrzała na szybkościomierz. – O! Nawet tylko, 34 centymetrów – powiedziała

nieco zdziwiona.

–Dawno przeszłaś z kruszenia na topienie?

–Osiem minut temu.

–Spróbuj jeszcze zwiększyć prędkość.

Suzy przesunęła dalej dźwignię ruchu. Szum silnika wzmógł się i strzałka szybkościomierza doszła do 54 cm/s. Przebiegając szybko przez pole widzenia podziemnego oka ciemne i jasne plamy sprawiały wrażenie pieniającego się roztworu. Już ponad połowę powierzchni ekranu wypełniła ciemna substancja. Z fioletowego odcienia przechodziła teraz w niebieski, a nawet zielonkawy.

–Przygotowałem sondę z próbkami tej skały. Czy chcesz coś dołączyć do przesyłki?

–Nie. Trzeba jak najspieszniej wysłać sondę, bo się już na pewno bardzo niepokoją o nas.

–Wszystko gotowe. Możesz włączyć.

Suzy nacisnęła guzik. W ścianie zapłonęło niebieskie światełko. Po chwili tylko ciemna, cienka smuga na ekranie sytuacyjnym znaczyła drogę wysianej w górę sondy.

–Którego dziś mamy?

–16 kwietnia... Już blisko miesiąc jesteśmy pod ziemią – westchnęła Suzy. Wielkość i liczba jasnych kryształów kalcytu malała z minuty na minutę.

–Zdaje się, że... Tak! Koniec warstwy!

W górze ekranu sytuacyjnego, odtwarzającego pionowy przekrój ośrodka, przez który przedzierał się statek, wykwit! jaśniejszy pas.

–Przejdź na kruszenie – polecił Igor.

Nowa warstwa zbliżała się szybko. Kryształy kalcytu znikły już niemal zupełnie i cały ekran wypełniała niebieskoseledynowa substancja. Znajdowali się na głębokości 6000 metrów. '

Tuż przed wejściem w nową warstwę Suzy zmniejszyła prędkość do 5 cm/s. Skała miała kolor brudnobrązowy. W miarę jak statek pogrążał się w niej, szybkość jego poczęła samorzutnie rosnąć. Widocznie ośrodek stawiał mniejszy opór narzędziom kruszącym.

Igor przez chwilę obserwował przyrządy kontrolne, po czym rzekł włączając pobieracz próbek:

–Wygląda na to, że warstwa ta niewiele różni się konsystencją od smoły w temperaturze pokojowej.

–Ale to przecież nie jest smoła? – zastanawiała się Suzy. – No i temperatura przekracza tu 200 stopni Celsjusza.

–Zaraz się tym zajmę.

Geolog znów ruszył po drabinie w dół. Zanim jednak dotarł do drzwi, zatrzymał go okrzyk Suzy:

–Igor! Chodź tu prędko!

–Co się stało?.,

–Patrz – fizyczka wskazała na tablicę kierowniczą, potem na ekran sytuacyjny.

Twarz geologa przybrała wyraz ogromnego zdziwienia.

–Jak to możliwe? Może głębokościomierz uszkodzony? Nie, to nonsens! Przecież i ekran sytuacyjny potwierdza, że się cofamy!

–Tak. Cofamy się. Mimo że szybkościomierz wskazuje 9 cm/s.

–Zwiększ prędkość – rozkazał Igor.

Strzałka szybkościomierza przesunęła się do 20 cm/s. Cofająca się wolno na ekranie sytuacyjnym czerwona kreseczka statku ruszyła znów w górę. Ale nie trwało to długo. Uczeni odczuli wyraźnie, jak statek się zakołysał i znów wolniutko zaczął opadać ku widocznej jeszcze w dole warstwie fioletowonie-bieskiej.

–Przełącz mi na chwilę stery – zwrócił się Igor do Suzy i sięgnął po drążki kierownicze.

Geolog wyłączył silnik. Statek szybko przemieszczał się w dół. Igor znów włączył motor, powoli zwiększając prędkość, potem ją zmniejszając. Dźdźownica posuwała się naprzód, to cofała, to znów wznosiła się w górę, jakby walcząc przeciw spychającemu ją prądowi jakiejś podziemnej rzeki.

Geolog manipulował tak kilka minut dźwignią prędkości oraz sterami, nie zmieniając kierunku ruchu. Tajemnicza siła nie ustawała jednak w próbach wyrzucenia statku z półpłynnej warstwy.

Dżdżownica przybrała pozycję pionową. Igor gwałtownym ruchem przesunął dźwignię ruchu aż do końca. Statek poderwał się w górę. Szum silnika przeszedł w ogłuszający ryk.

Szybkościomierz wskazywał 130 cm/s.

Czerwona kreseczka na ekranie sytuacyjnym prędko wznosiła się teraz w górę. Igor raz po raz naciskał guzik pobieracza próbek.

Niespodziewanie zza krawędzi ekranu wysunęła się nowa warstwa i dążyła naprzeciw czerwonej kresce wyobrażającej statek. Tajemniczy prąd zdawał się słabnąć. Istotnie, przed samą nową warstwą zniknął zupełnie. Czyżby prądy powstawały i krążyły tylko wewnątrz brunatnej warstwy?

Przechodząc do następnej, tym razem czerwonej warstwy, znów zmniejszyli prędkość. Warstwa ta przypominała gęstą oliwę i Igor wyłączył zupełnie narzędzia kruszące, przechodząc na pompowanie. Szybki przepływ niezwyklej cieczy przez rurę transportera działał jak silnik odrzutowy.

Zdążyli się jednak oddalić od poprzedniej warstwy zaledwie o 70 metrów, a już ciekła dotąd substancja zaczęła gwałtownie krzepnąć. Nim Igor i Suzy mogli zrozumieć, co się stało, ciecz wokół statku przybrała konsystencję asfaltu, a w końcu zakrzepłego gipsu.

Transporter stanął. Igor sięgnął do tablicy rozdzielczej i położył dłoń na przełączniku aparatury kruszącej. Już miał nacisnąć guzik, gdy niespodziewanie Suzy przechyliła się w fotelu i powstrzymała go za ramię.

–Poczekaj jeszcze!

Na ekranie sytuacyjnym można było zauważyć bez trudu, jak wokół statku narasta coraz grubsza warstwa zakrzepłej skały. Po kilku minutach Dżdżownicę otaczała skorupa, podobna kształtem do kokona gąsienicy jedwabnika.

–Te skały zachowują się jak żywa substancja. Oczywiście ta możliwość jest zupełnie wykluczona, ale czy nie uważasz, że mogą tu działać... – Suzy spojrzała pytająco na Igora.

–Może... Zróbmy eksperyment.

Nacisnął przełącznik, uruchamiając narzędzia kruszące. Przesunął dźwignię ruchu. Znów rozległ się przytłumiony szum silnika. Statek powoli wgryzał się w ściankę otoczki. Ale w miarę jak czub Dżdżownicy sięgał powierzchni kokona, w miejscu tym narastała nowa warstwa krzepnącej substancji. Dopiero przy znacznej intensywności kruszenia udało się statkowi wydostać z pułapki.

**Wznosili się teraz szybko w górę, pozostawiając poza sobą czerwone skrzepy niezwyklej substancji.**

**–A gdyby tak zobaczyć, co się stanie, jeśli... – odezwała się naraz Suzy.**

**–Jeśli nie zniszczymy otoczki?– Właśnie.**

**–Spróbujmy – zgodził się Igor i wyłączył silnik.**

**Po kilku minutach Dżdżownicę pokrył nowy kokon. Zmniejszywszy odległość pola widzenia, obserwowali teraz uważnie jego narastanie na ekranie podziemnego oka. Proces krystalizacji przebiegał równomiernie, ale jakby w kilku fazach. Jednocześnie Suzy zwróciła uwagę na występujące wahania w przewodnictwie elektrycznym otaczającej ich cieczy, co niewątpliwie wiązało się z okresowym wzrostem jonizacji i powstawaniem kryształów.**

**Wreszcie proces narastania otoczki ustał. Igor i Suzy skupili teraz całą uwagę na wskazaniach głębokościomierza. Co się stanie z otoczką i zamkniętym w jej wnętrzu statkiem?**

**Powoli, ledwie dostrzegalnie, wskazówka poczęła przesuwac się z liczby 5430 na 5440. Spojrzeli na ekrany sytuacyjne, ale były nieczytelne – czerwoną kreseczkę zamkniętą w białej „muszelce” otaczał ze wszystkich stron jednostajnie szary obszar.**

**–5450 – wyszeptała Suzy. – A więc opadamy w dół.**

**–To było do przewidzenia – odezwał się geolog. – W poprzedniej warstwie prądy również usiłowały nas zepchnąć w dół. Ponadto statek nasz jest prawdopodobnie nieco cięższy od wypieranej przez siebie cieczy. Zwiększanie się objętości przy krzepnięciu, jak to się dzieje z lodem, należy do rzadkich zjawisk.**

**–Pójdę i choć pobieżnie zbadam próbki – powiedziała Suzy schodząc z fotela.**

**Statek zakołysał się lekko. Suzy zatrzymała się na szczeblach drabiny.**

**–Czyżby i tu działały jakieś prądy? – zauważył geolog.**

**–Tak to wygląda. Pchnięcie, zdaje się, było poziome. Kondratiew od kilku minut manipulował pokrętłami i przyciskami na tablicy nawigacyjnej. Teraz uniósł dłoń wskazując na ekran.**

**–Najbliższa stała powierzchnia, od której odbijają się fale ultradźwiękowe, znajduje się w odległości 458 metrów na zachód. Najdalsza – na północo-wschód, w odległości blisko 6 kilometrów. Warstwa ta jest więc ogromnych rozmiarów.**

**–Czy nie stwierdziłeś poziomych ruchów statku?**

**–Zaraz zobaczymy – geolog znów pochylił się nad tablicą. – Istotnie – powiedział po chwili. – Nie tylko opadamy, lecz posuwamy się również poziomo w kierunku wschodnim. Spróbuję zmierzyć prędkość, a ty zajmij się próbkami.**

**W kwadrans później Suzy znalazła się znów na górze.**

**–Potwierdzają się twoje przewidywania. Statek opada na dno, gdyż jest cięższy od wypieranej cieczy.**

**–Już nie opada. W tej chwili wznosimy się, i to dość szybko.**

**–Oczywiście przyczyną jest pionowy ruch cieczy?**

**–Tak. Niestety, nie udało mi się dotąd stwierdzić, jak szeroki jest ten strumień. Czy badałaś skład chemiczny?**

**–Bardzo pobieżnie. Jest to jakiś skomplikowany roztwór. Skoncentrowałam się głównie na własnościach fizycznych. Najciekawsze, że nie udało mi się wywołać procesu krystalizacji ani przez obniżenie temperatury czy też podgrzewanie, ani drogą wprowadzania zanieczyszczeń. Dopiero przy przepływie zmiennego prądu elektrycznego nastąpił proces osadzania się kryształów w miejscach styku cieczy z naczyniem. Aby więc doszło do reakcji, konieczne jest wprowadzenie obcego ciała i przepływ prądu. A co ty sądzisz o tych strumieniach?**

**Geolog zrobił niezdecydowany ruch dłonią.**

**–Nie wiem nic. A ściślej – nie potrafię wytłumaczyć faktów.**

**–Mamy tu niewątpliwie do czynienia z ruchem cieczy – zastanawiała się Suzy. – Można by przyjąć, że na skutek różnic w temperaturze otaczających skał występuje zjawisko krążenia ciepłych prądów.**

**–Tak. Ale dlaczego ruch cieczy występuje dopiero wówczas, gdy nasz statek w niej się znajdzie? Dlaczego im większa była nasza prędkość, tym gwałtowniejszy był prąd? Zresztą wydaje się, że w ogóle poprzedni ośrodek wykazywał nadspodziewanie szybki ruch w porównaniu z dużą lepkością substancji. Powiedzmy, że prądy w cieczy, która nas teraz otacza, istniały stale i po prostu statek nasz dostał się w ich zasięg przypadkowo, opadając na dno własnym ciężarem. Ale tego, co się działo w poprzedniej warstwie, nie potrafię wytłumaczyć. Oczywiście nie ma żywych skał, ale w zjawiskach tych można istotnie doszukiwać się ingerencji żywej istoty.**

**Oboje myśleli w tej chwili o jednym, ale wszelkie kielkujące w głowie hipotezy wydawały się zbyt śmiałe.**

**–Oto i nowa warstwa – przerwała chwilowe milczenie Suzy. Na ekranie sytuacyjnym ukazał się ciemniejszy pas, dążący szybko na spotkanie czerwonej kreseczki. Od powierzchni planety dzieliło statek jeszcze 5 kilometrów.**

**–Warstwy są dość wyraźnie rozgraniczone – zauważył Igor. – Strumienie muszą tu zataczać koło i powinniśmy być zepchnięci w bok.**

**Przewidywania nie sprawdziły się. Co prawda, przed samym wejściem w nową warstwę prędkość zmalała, ale tylko nieznacznie. Statek wszedł w niebieskawy, mętny płyn, jakby ciągnięty w górę jakąś tajemniczą siłą.**

**Tym razem warstwa miała zaledwie dwadzieścia parę metrów. Przebyli ją wkrótce. Ekran podziemnego oka zmienił barwę – ciecz była żółtawa i niemal przezroczysta. Ale uwagę Igora i Suzy przykuwało teraz nowe zjawisko. Wytworzona poprzednio otoczka zaczęła się szybko rozpływać. Po paru minutach nie pozostało z niej ani śladu. Szybkość wznoszenia się statku zmalała znacznie, niemniej dążył on nadal w górę.**

**Suzy zauważyła, że na twarzy Igora pojawił się niepokój. Przesunął jedną z dźwigni i oko podziemne zgasło.**

**–Co się stało?**

**Geolog nie odpowiedział. Manipulował jeszcze przez kilka sekund guzikami, potem pośpieszył do laboratorium.**

**–Włącz silnik! – rzucił jeszcze od drzwi.**

**Poprzednia warstwa znikła już w dole górnego ekranu sytuacyjnego, a powierzchnię jego pokrywała w tej chwili jednostajna szarość.**

**Głębokościomierz wskazywał 4800 metrów.**

**Znów spojrzała na ekran sytuacyjny. Pokrywała go martwa czerń. Rzut oka na tablice z przyrządami kontrolnymi potwierdził najgorsze obawy: aparatura umożliwiająca ocenę położenia statku przestała działać. Mrugająca rytmicznie lampka wskazywała na jakieś poważne uszkodzenie. /**

**Suzy sięgnęła pośpiesznie do dzwonka alarmowego, gdy we włazie ukazała się głowa Igora.**

**–Maksymalna prędkość!**

**Pchnęła dźwignię i statek, podobny teraz do odrzutowej łodzi podwodnej, pomknął w górę z szybkością ponad dwa metry na sekundę. Nim zdążyła się obejrzeć, geolog**

siedział już obok niej w fotelu.

–Musimy jak najszybciej wydostać się z tej warstwy! – wołał przekrzykując wycie motoru. – Ten płyn ma bardzo silne własności żrące!

–Ekran sytuacyjny nie działa!

–Zniszczone! – odkrzyknął geolog. – " Niestety, tylko podziemne oko można było schować.

–Czy pancierz i gąsienice wytrzymają?

Igor nie odpowiedział.

Suzy patrzyła teraz z napięciem na wskazówkę chronometru.

A jeśli nad tą warstwą znajduje się twarda powłoka skalna? Przecież podziemne pieczary muszą się wreszcie skończyć. Spojrzała na Igora. Obracał pokrętła aparatury ultradźwiękowej.

–Czy nie zderzymy się ze skałą?

–Właśnie chcę sprawdzić. Na szczęście echosonda jest odporniejsza na działanie tego żrącego płynu.

–Czy ta pieczara się nie skończy?

–To raczej komin [\[37\] niż pieczara. Właśnie badam jego kształt i długość.](#)

–Może żrąca warstwa skończyła się? Przebyliśmy już blisko kilometr.

–Włącz na chwilę podziemne oko.

Suzy przesunęła dźwignię, potem szybko ją cofnęła. Ekran zapłonął żółtą barwą i zgasł. Otaczał ich w dalszym ciągu żrący płyn.

–Jeszcze przeszło 1100 metrów płynu nad nami – stwierdził geolog. – Potem prawdopodobnie gazy.

–Pozostało więc osiem minut. Czy komin jest szeroki?

–W ostatnich dwu minutach bardzo się zwęził. Średnica nie przekracza 80 metrów.

Wsluchali się oboje w szum motoru, jakby chcieli z niego wyczytać, co przyniosą im najbliższe minuty. Strzałka chronometru posuwała się powoli, ale wytrwale naprzód. Na ekraniku sondy ultradźwiękowej wydłużała się jasna wstęga wykresu.

240, 220, 200, 180, 160, 140, 120, 100, 80, 70 metrów – liczył w myślach Igor.

–Uwaga! j Wyłącz silnik!

Cisza nastąpiła tak nagle, że wydało się, jakby ktoś dłonią zatkał uszy.

–Trzymaj się poręczy!

W tej samej chwili odczuli gwałtowne szarpnięcie w górę, w dół, znów w górę. Na szczęście Suzy zdążyła chwycić się poręczy fotela; inaczej uderzyłaby głową o ekran podziemnego oka.

Dźdźownica przybrała na chwilę położenie poziome, potem ukośne, wreszcie wróciła do pionowego. To rufa cięższa od dziobu jak balast ustawiała statek kabiną pilota do góry.

Kołysanie ustało. Strzałka głębokościomierza wskazywała 3050 metrów, ale już poczynała się cofać ku 3100. Widocznie tajemniczy strumień przestał już działać i statek własnym ciężarem opadał w głąb komina wypełnionego żrącym płynem.

–Włącz silnik. Prędkość 15 cm/s. – Igor wydał nowe polecenie.

Znów silnik zagrał, ale już cichym, przytłumionym szumem. Geolog sięgnął do tabliczki kierowniczej podziemnego oka. Widocznie włączył aparaturę w chwili, gdy czub statku wynurzał się ponad powierzchnię żrących odmętów, bo na ekranie błysnęła białozółta piana i natychmiast tafla jego przybrała mleczną, nieczytelną barwę. Ponad Dźdźownicą nie było już ani płynnego, ani stałego ośrodka. Znajdowali się w podziemnej pieczarze, wypełnionej gazami o wysokim ciśnieniu.

Echosonda odmawiała tu posłuszeństwa, gdyż fale ultradźwiękowe tej długości nie były w stanie przenikać zbyt głęboko poprzez gaz. Za to otwierały się możliwości obserwacji optycznych. Po raz pierwszy od miesiąca ręka Igora spoczęła na przełączniku aparatury telewizyjnej. Zapłonęła niebieska lampka kontrolna. W tej chwili z dziobu Dźdźownicy powinna była wysunąć się na długim pręcie kamera połączona z silnym reflektorem.

Nacisnął guzik. Mały, kwadratowy ekran zamigotał i po chwili ukazała się na nim czarna, chropowata powierzchnia sufitu grotu. Jak dotąd, aparat działał bez zarzutu.

Igor wolno obracał pokręta, zmieniając położenie reflektora i kamery. Grota była rozległa i miała kształt owalny. Oceniając na oko, powierzchnia podziemnego jeziora nie przekraczała czterech hektarów. Wysokość pieczary, licząc od poziomu żrącego płynu, wynosiła nie mniej niż 150 metrów.

–Spróbuj opłynąć przy ścianie całą grota. Może znajdziemy jakąś większą i nisko

położoną półkę skalną. Wgryzienie się w ścianę bez oparcia statku na stałym podłożu byłoby bardzo trudne. A czasu mamy niewiele.

Wyginając dziób lub ogon statku w jedną to w drugą stronę, Suzy podprowadziła Dżdżownicę pod najbliższą ścianę grotu. Początkowo manewrowanie wydawało jej się bardzo skomplikowane, wkrótce jednak nabrała wprawy. Statek zaczął okręzać grotę, raz po raz ocierając się płytami gąsienic o ściany. Towarzyszył temu głuchy odgłos uderzeń i nieustanne wstrząsy.

Igor nie spuszczał wzroku z ekranu telewizora.

Dżdżownica przebyła już blisko czwartą część drogi pod ścianami, gdy naraz Kondratiew odezwał się:

–To nie jest grota. To sztuczny zbiornik.

–Więc jednak...

–Zaczynam wierzyć, że może spotkamy ICH tam – geolog wskazał ręką w górę. – Jeśli potrafimy się stąd wydostać... – dorzucił półgłosem.

–Przecież musi być jakieś wyjście – powiedziała Suzy z uporem.

–Patrz! – geolog wskazał na ekran telewizyjny. W chropowatej, nadgryzionej przez kwasy powierzchni zbiornika widać było owalny, czarny otwór.

–Tędy?

Igor przecząco pokręcił głową.

–Ten otwór, choć wystarczająco szeroki, aby weszła weń Dżdżownica, znajduje się 80 metrów nad powierzchnią płynu; nie możemy się tam dostać. Przecież przy ciśnieniu 1200 atmosfer nie wyjdziemy na zewnątrz w skafandrach. Poza tym ten płyn bynajmniej nie nadaje się do kąpieli.

–Może niżej są też jakieś otwory?

–Dotychczas zauważyłem tylko jeden.

–Gdyby choć jakieś wzniesienie...

–Mało prawdopodobne – westchnął geolog. – Ten zbiornik ma kształt elipsoidy obrotowej i raczej zdziwiłbym się, gdybyśmy znaleźli jakiś wąski występ. Praktycznie widzę tylko dwie możliwości.

–Jakie?

**–Zbadać sondą Ultradźwiękową, czy w dolnej części zbiornika, poniżej linii cieczy, nie ma jakichś otworów – powiedział wyłączając aparaturę telewizyjną.**

**–Albo?**

**–Samemu spróbować zrobić otwór.**

**–A jeśli tam za ścianą są ONI?**

**–Właśnie myślałem o tym samym – pokiwał głową. – Nie wolno nawet za cenę życia uszkodzić tych urządzeń. Wyłącz silnik.**

**Suzy przesunęła dźwignię i statek, utrzymywany dotąd na powierzchni ruchem gąsienic, opadał w głąb zbiornika. Geolog, patrząc na ekran, obracał wolno gałki echosondy. Twarz jego przybierała coraz bardziej posępny wyraz.**

**–Nic nie możesz znaleźć?**

**Zawahał się.**

**–Zdaje się, że... coś jest – powiedział dość spokojnym tonem, tylko prawa dłoń, którą obracał gałkę aparatu, zadrżała lekko. Suzy wstrzymała oddech.**

**–Tak – powiedział Igor. – Jest jeszcze jeden otwór. Dokładnie pod tamtym górnym. Uwaga! Przejmuję pilotowanie!**

**Znów przytłumiony szum silnika wypełnił kabinę. Statek przybrał teraz położenie poziome. Niewielki „ząb” w białej kreseczce brzegów widocznych na ekranie sondy ultradźwiękowej rósł w oczach, wreszcie objął cały ekran.**

**Igor zmieniał raz po raz prędkość i położenie statku. Widocznie chciał trafić dziobem w otwór.**

**Głuchy łomot wstrząsnął ścianami Dżdżownicy. Na ekranie widniała teraz linia paraboliczna, zwrócona ramionami w dół. Igor pokręcił gałką i parabola rozsunęła swe ramiona. Suzy wydało się, że przez twarz geologa przebiegł uśmiech.**

**–To było do przewidzenia – mruknął pod nosem.**

**–Co?**

**–Ten przewód wznosi się.**

**–Więc to jest rura?**

**–Coś w tym rodzaju.**

**Kabina przybrała położenie ukośne. Statek wspinał się jakby sztolnią w górę.**

**Minęło kilka minut.**

**–Niezła rura. Chyba ze cztery metry średnicy – odezwała się Suzy.**

**Zaczęła nasłuchiwać. Wydało jej się, jakby szum motoru zmienił wysokość tonu. Może Igor zmniejszył prędkość? Ale geolog siedział dalej nieruchomo.**

**Była już teraz pewna, że zmiana dźwięku wiąże się ze zmianą ośrodka otaczającego statek. Widocznie wydostali się powyżej poziomu groźnej topieli.**

**Igor sięgnął do tablicy rozdzielczej i włączył podziemne oko. Ukazał się wąski, szary sierp. Wewnętrzny jego brzeg zarośnięty był lasem dużych, brunatnozielonkawych i żółtych kryształów.**

**–Kryształy zdają się wskazywać – przerwał milczenie Igor – że ta piekielna ciecz długi czas płynęła w górę lub w dół tym przewodem. No, całe szczęście, że wydostaliśmy się z kąpieli.**

**–Gdzie nas ten przewód zaprowadzi?**

**–Obawiam się, że niezbyt daleko.**

**–To znaczy?**

**Geolog, zamiast odpowiedzieć na pytanie, rozpoczął głośno snuć ogólne domysły:**

**–To niewątpliwie jakaś potężna fabryka chemiczna, czerpiąca surowce bezpośrednio z głębi planety. Przewód ten może służyć bądź do czerpania rozpuszczonych surowców chemicznych, bądź też doprowadzany jest nim ten niebezpieczny dla nas rozpuszczalnik. Niewykluczone zresztą, że rura ta pełni obie funkcje. Jak przypuszczasz, w którym kierunku płynęła ostatnio ta ciecz?**

**Suzy wzruszyła ramionami.**

**–To nie jest zagadka geologiczna, lecz fizyczna – uśmiechnął się. – Pomyśl, w jaki sposób odbywa się przepływ tej cieczy.**

**–Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz. Oczywiście, ciśnienie panujące w komorach podziemnych podnosi płyn w górę. Rozpuszczalnik musi być wtłaczany pod ciśnieniem.**

**–Przewód ten nie może prowadzić aż na powierzchnię planety, lecz musi być w jakiś sposób zamykany. Jeśli ciecz płynęła z dołu do góry, to z chwilą zamknięcia przewodu powinna wypełniać go aż do zaworu. Zgoda?**

**Suzy kiwnęła głową.**

**–Chcesz przez to powiedzieć, że jeśli ciecz była niedawno czerpana z dolnych zbiorników, to nie powinno być gazu w przewodzie?**

**–Właśnie! Ciecz w rurze sięgała niewiele ponad wylot przewodu. Skąd się tu wziął gaz? Chyba tylko wtłoczony z góry w czasie wprowadzania rozpuszczalników do zbiornika.**

**–Zupełnie o tym nie pomyślałam – Suzy z podziwem pokiwała głową. – Skłonna byłam raczej przypuszczać, że gazy wydzielają się z tego żrącego roztworu.**

**–Niewątpliwie zachodzi i ten proces, ale na to, aby mogło się zebrać tak wiele gazu, przewód musiałby być nieczynny bardzo długo.**

**Suzy chciała jeszcze o coś zapytać, ale w tej chwili statek zaczął zmieniać położenie. Przewód stał się jeszcze bardziej stromy.**

**–Zdaje się, że koniec jazdy – odezwał się Igor i zmniejszył prędkość do kilku centymetrów na sekundę.**

**Na ekranie podziemnego oka sierp zmienił się w pierścień. W jego środku rósł szybko czarny punkcik.**

**Geolog zatrzymał statek, po czym zaczął manipulować gałkami podziemnego oka. Czarny krążek zlał się z pierścieniem, potem znów ukazał się, ale jakiś mniejszy i o barwie błękitnawej.**

**–To chyba zawór? Suzy przytaknęła/**

**–Wydaje mi się nawet, że to zawór stożkowy – powiedział Igor z wahaniem.**

**Geolog cofnął pole widzenia podziemnego oka.**

**–Tak, stożkowy. Tylko jakoś dziwacznie skonstruowany – stwierdziła Suzy, ale zaraz zmarszczyła czoło. – Twoja hipoteza upada! Zawór stożkowy wyklucza przepływ cieczy w obu kierunkach. Położenie stożka wskazuje, że tym przewodem czerpano ciecz z podziemnych komór.**

**–Skąd się wziął gaz w rurze?**

**–Może przewód był bardzo długo nieczynny?**

**–Ażeby zebrać tak dużą ilość gazu, trzeba czekać chyba setki lat. Może się mylę. Rozstrzygnie to analiza. Ale w tej chwili to nieważne. Obawiałem się...**

**Urwał i pograżył się w myślach.**

**–Czego się obawiałeś?**

**–Widzisz... Obawiałem się właśnie, że nasza podróż w tym przewodzie zbyt szybko się skończy. Miałem nadzieję, że gaz dostał się do przewodu z jakiegoś górnego zbiornika i że może łatwiej znajdziemy wolną drogę. Zawsze to dalszy krok do wydostania się z pułapki, a tak... Niestety, sytuacja wygląda niewesoło. Nawet gdyby zawór był otwarty, nie przedostalibyśmy się przez tę przeszkodę. O zniszczeniu zaworu nie ma mowy, bo poza nim może być niskie ciśnienie i czeka nas pewna katastrofa. Ponadto należy się liczyć z tym, że ONI są gdzieś niedaleko.**

**–Czy w ogóle wolno w tej sytuacji używać narzędzi niszczących?**

**–Właśnie!**

**–Co robić? Gdyby udało się zwrócić na siebie uwagę tych istot... Ale czy one w ogóle wiedzą, że istniejemy?**

**–Trzeba spróbować. Wprawdzie nie wiemy, kim są, ani jak zareagują na nasze pukanie, ale cóż, niewiele środków nam pozostaje.**

**Wolno zbliżył statek do przeszkody i głuchy odgłos uderzeń wstrząsnął powietrzem.**

**Po godzinie przerwali pukanie. Rejestratory akustyczne nie pochwyciły żadnej odpowiedzi. Po trzech godzinach oczekiwania Suzy podjęła nowe próby. Były jednak tak samo bezowocne jak poprzednie. Ponawiano je raz po raz, aż do następnego dnia, z coraz mniejszą nadzieją na odpowiedź.**

**Geolog przez kilka godzin przebywał w tylnych, maszynowych pomieszczeniach statku, badając stan uszkodzenia gąsienic przez żrącą ciecz.**

**–To pukanie chyba na nic się nie zda – mówiła Suzy, gdy Igor znów się zjawiał w kabinie pilota. – Poza tym ciągle obawiam się, czy nie uderzam za mocno. Jeszcze nastąpi jakaś katastrofa. Niektóre części zaworu są poważnie nadgryzione przez tę ciecz.**

**–Masz słuszność, ale jakie widzisz inne wyjście?**

**–Nie wiem... Może cofnąć się i szukać nowej drogi?**

**–Jakiej?**

**–A gdyby wrócić do warstwy poniżej pięciu kilometrów i spróbować wgryźć się w skałę?**

**–Niestety... – rzekł geolog z westchnieniem. – Po jeszcze jednej takiej kąpieli Dżdżownica może nie wytrzymać przedzierania się przez twardsze warstwy.**

**–A więc?**

**–Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Nie ma mowy o odwrocie.**

**–A więc? – powtórzyła Suzy. Igor opuścił głowę.**

**Delikatny dźwięk dzwonka przerwał ciszę. Na pulpicie z przyrządami badawczymi zapłonęła żółta lampka.**

**D-ProKima 289**

**Geolog zeskoczył z fotela i znikł w drzwiach laboratorium. Za nim biegła Suzy.**

**Igor gwałtownym ruchem otworzył szafę sejsmografów i pochwycił długą taśmę.**

**Suzy nie pytała. Wyraz twarzy Igora starczył za odpowiedź.**

**To nie były sygnały Urpian, wykres ten nie niósł Igorowi i Suzy wybawienia...**

**Gdzieś daleko trwało trzęsienie ziemi. Ogniskiem jego były bloki granitu i zbiorniki magmy, które przed ośmiu dniami o mało nie stały się grobem dwojga ziemskich przybyszów.**

# PODZIEMNE MIASTO

## (Notatki Suzy dla Daisy)

*19 kwietnia 2537*

Nie wiem, kiedy będziesz czytać moje notatki. Już dziesięć dni mija od chwili, gdy wysłaliśmy ostatni meldunek, który mógł dotrzeć do was. Sonda z 16 kwietnia, jeśli nie została zniszczona żrącym działaniem cieczy, to krąży gdzieś pośród bezdroży „żywej skały”. O wysłaniu następnej sondy nie ma na razie mowy.

Przez te dziesięć dni przeżyliśmy z Igorem wiele. Tak wiele, że już dziś nie potrafię dzień po dniu odtworzyć wrażeń tego krótkiego okresu. Zresztą tutaj, we wnętrzu naszego metalowego smoka, czas nabiera zupełnie innych, nienaturalnych wymiarów. Nieraz biegnie tak szybko, że zda się przeskakiwać lata całe, to znów wlecze się w jakimś potwornie zwolnionym tempie.

Były dni ciężkie, kiedy wydawało nam się, że nigdy już nie ujrzymy światła, że na zawsze ciała nasze pozostaną w podziemnej pułapce. Były chwile, w których może po raz pierwszy w życiu poznałam, co to strach, zwykły, ludzki strach przed śmiercią. Zdarzały się też jakże często godziny niepewności, bezradnego szukania po omacku wyjścia, choć powinno być i było tuż obok nas...

A jednak tych przeżyć nie oddałabym za żadną cenę... Żałuję teraz, że nie prowadziłam stałego dzienniczka, aby móc chwytać na gorąco każdą ważniejszą myśl, każdą chwilę, tak jak ją przeżywam bezpośrednio, nie zniekształconą odstępem czasu ani przytłoczoną nowymi wrażeniami.

Dlatego postanowiłam, że od dziś będę opisywała systematycznie swe przeżycia i spostrzeżenia, chociaż myślę, że chyba nieprędko znajdą się one w Twoim ręku. Powiem szczerze: przyzwyczaiałam się do pisania notatek dla Ciebie i – może się zdziwisz – pomagają mi one w pracy. Gdy przelewam na papier swoje myśli, jakoś inaczej na nie patrzę; porządkują mi się w głowie fakty, nasuwają nowe uwagi, wnioski, hipotezy.

Muszę chociaż godzinę wykroić z każdego dnia, aby stale prowadzić pamiętnik. Tym bardziej że w najbliższym czasie, jak wszystko wskazuje, posypią się na nas lawiną nowe dziwy świata, do którego zawędrowaliśmy niezwykłymi kolejami losu.

Bo oto, wyobraź sobie, dwa dni temu, usiłując wydostać się na powierzchnię, napotkaliśmy sieć jakichś podziemnych urządzeń o nie wyjaśnionym dotąd przeznaczeniu, które są niewątpliwie dziełem mieszkańców tej planety. Więcej – urządzenia te są czynne. Wydaje się pewne, że Urpianie (bo tak przecież można ich

**nazwać) ukryli się pod ziemią przed tchnieniem lodowatej śmierci, która objęła we władanie ich planetę.**

**Teraz dążymy na ich spotkanie.**

**Wczoraj przeżyliśmy jeszcze raz ciężkie chwile zwątpienia i lęku. Przedzieraliśmy się przez parokilometrową warstwę żrącej cieczy. Wypełniała wielkie zbiorniki jakichś podziemnych zakładów przetwórczych. Niektóre urządzenia zewnętrzne Dżdżownicy uległy niebezpiecznym uszkodzeniom. Na szczęście, zanim uszkodzenia te mogły przynieść statkowi zagładę, udało nam się dostać do długiego przewodu wypełnionego gazami. Przewód ten jednak, jak to było do przewidzenia, był zamknięty od góry zaworem. Znaleźliśmy się niejako w pułapce. Przez długi czas nie widzieliśmy wyjścia z sytuacji. Nie chcieliśmy przecież używać narzędzi niszczących. Sądziliśmy, że nie ma sposobu wyrwania się z potrzasku.**

**A jednak znalazł się. Co prawda nie najszcześniejszy, ale – zdaje się – jedyny. Cała zasługa spada tu na Igora i... Urpian. Przystąpiliśmy do badania ścian przewodu, analizując skład chemiczny i własności fizyczne materiału budowlanego. Okazało się, że nie są to rury, lecz jakby tunele i szyby, drażone i wytapiane wewnątrz jednolitego bloku odlanego z masy plastycznej. Masa ta topi się w temperaturze bliskiej dwu tysiącom stopni, a przy stygnięciu krzepnie nie zmieniając swych poprzednich cech fizycznych: ogromnej wytrzymałości na wstrząsy i zmiany rozkładu ciśnienia.**

**Te właśnie cechy sprawiły, że mogliśmy zdecydować się na śmiały projekt, jaki nasunął się Igorowi. Otóż postanowiliśmy wprowadzić Dżdżownicę w głąb tych bloków i zamiast szukać wyjścia z hal i przewodów, posuwać się wewnątrz ścian na wzór termitów, szukając dogodnego miejsca do wydostania się z pułapki bez uszczerbku dla budowli Urpian. Jest to stosunkowo prosty i bezpieczny sposób, zarówno dla nas, jak i dla gospodarzy tej podziemnej krainy.**

**Początkowo wgrzyźliśmy się w ścianę przewodu za pomocą narzędzi kruszących. Miał wyrzucany przez statek do wnętrza przewodu spłucze przepływająca nim ciecz, w razie gdyby Urpianie uruchomili te urządzenia. Będą co najwyżej zdziwieni i zaniepokojeni, skąd w płynie wzięły się okruchy wyprodukowanego przez nich tworzywa.**

**Gdy Dżdżownica pogrążyła się już do końca w głębi bloku, przeszliśmy z kruszenia na topienie, zalewając płynną masą powstałą za nami lukę. W ten sposób ani przewód, ani też bloki nie ulegają uszkodzeniu. Pozostanie co prawda sześćdziesięciometrowy tunel w miejscu naszego wyjścia, ale będziemy się starali załatać to uszkodzenie stopioną skałą – nie mamy przecież zamiaru wdzierać się siłą do tych zakładów wytwórczych, lecz poszukamy drogi z zewnątrz.**

**Nie znaczy to, że znalezienie tej drogi jest proste. Ekran sytuacyjny nie działa, a**

**gdyż zewnętrzne urządzenia tego aparatu uległy zniszczeniu podczas przedostawania się przez warstwę żrącego płynu. Jesteśmy zdani wyłącznie na sondowanie ultradźwiękowe i podziemne oko, a przecież zasięg ich jest ograniczony. Widzimy tylko to, co znajduje się przed nami, i prawdę mówiąc, szukamy drogi niemal na ślepo.**

**Teraz posuwamy się w górę wzdłuż jakiegoś szybu, którego końca na razie nie widać. Według obliczeń Igora znajdujemy się obecnie w odległości sześciu kilometrów od Ciemnej Plamy. Do powierzchni planety ponad dwa i pół kilometra. Jest bardzo prawdopodobne, że w okolicach Ciemnej Plamy można znaleźć wyjście na zewnątrz z tej podziemnej fabryki. Ale, niestety, nie ma mowy, abyśmy potrafili tam dotrzeć. To zbyt skomplikowane i ryzykowne. Zobaczymy zresztą, co przyniesie nam jutrzejszy dzień.**

***20 kwietnia***

**Jesteśmy na głębokości dwóch kilometrów. Poruszamy się teraz poziomo. Tylko kilkunastometrowa warstwa masy plastycznej dzieli nas od jakichś pomieszczeń nad nami. Oddalamy się od Ciemnej Plamy, chcąc dotrzeć do zewnętrznych ścian podziemnej budowli.**

**Dziś niemal cały dzień przeprowadzałam analizy stopnia przeobrażeń izotopów promieniotwórczych masy plastycznej, z której zbudowany jest szkielet, a raczej mury urpiańskiej fabryki. To bardzo stara budowla – oczywiście według pojęć ludzkich. Górne partie liczą 2600 lat, dolne są o blisko dwa wieki młodsze. Ten pozornie absurdalny fakt można wytłumaczyć albo późniejszą przebudową dolnych pomieszczeń gmachu, albo też – co moim zdaniem jest prawdopodobniejsze – rozwój fabryki w głąb ziemi związany był z coraz to dalszą eksploatacją złóż mineralnych, podobnie jak w kopalniach ziemskich.**

**Istnieje jednak zasadnicza różnica w metodach i skali budownictwa podziemnego na Ziemi i Urpie. My wdzieramy się w głąb skorupy ziemskiej, mimo potężnych środków stworzonych przez naukę i technikę, jako intruzi. Ur-pianie wydają się władcami podziemi, niejako mitologicznymi bogami Plutonii. To są mistrzowie budownictwa podziemnego, przeobrażający dla swych celów środowisko obce żywej istocie. Im dokładniej poznajemy ten świat, tym częściej mam złudzenie, iż właśnie ciśnienie i temperatury liczone w tysiącach atmosfer i stopni są naturalnym żywiołem tych istot. Przecież urządzenia tej fabryki sięgają przynajmniej osiem kilometrów w głąb planety, jeśli zważyć pierwsze zetknięcie się ze śladami „żywej skały”.**

**W pobliżu znajdują się żyły płynnej magmy i obszar ten należy niewątpliwie do nawiedzanych przez trzęsienia ziemi. Czyżby Urpianie w pełni ujarzmili i te siły przyrody? Igor sądzi, że zbyt przeceniam możliwości Urpian. Niemniej skłonny jest przyjąć, iż potrafią oni niemal całkowicie zabezpieczyć się przed katastrofalnymi**

skutkami trzęsień ziemi i wybuchami wulkanów, a nawet może eksploatują w pewnym stopniu żyły magmowe.

W dalszym ciągu intryguje nas sposób budowania murów tej fabryki. Są dane, że cała ta gigantyczna budowla (o rzeczywistych rozmiarach jej wiemy, niestety, jeszcze bardzo mało) to jednolity blok odlewany stopniowo, przy czym wszystkie pomieszczenia, korytarze, zbiorniki i przewody tworzą niejako sieć pieczar, kominów i sztolni. Jako podstawowego surowca do produkcji masy plastycznej użyto prawdopodobnie istniejących tu złóż granitu i późniejszych skał osadowych, oczywiście stosując pewne domieszki. W każdym razie dokonano gigantycznej pracy.

Im dłużej myślę o Urpianach, tym bardziej wydają mi się podobni do ludzi, nawet zewnętrznie. Przecież Temidzi też mają coś z ludzi. Nie mogę doczekać się, kiedy wreszcie ujrzymy Urpian. Chciałabym, ażeby byli inni niż my, a zarazem nie potrafię ich sobie wyobrazić.

## *Godzina 22*

Przerwałam pisanie, gdyż Igor zawołał mnie do kabiny pilota. Natrafiliśmy na jakieś większe pomieszczenia przed nami i zastanawialiśmy się, w którym kierunku ruszyć dalej: na północ czy na południe. Czasu do namysłu niestety było mało, gdyż dłuższe zatrzymywanie silnika może być niebezpieczne ze względu na szybką krzepliwość masy plastycznej. Już kilkuminutowy postój grozi zablokowaniem transportera, a oczyszczenie ręczne byłoby bardzo skomplikowane.

Zdaje się, że będę musiała dzisiaj zrezygnować z dalszego pisania. Słyszę w tej chwili, że Igor wyraźnie zmniejsza prędkość – widocznie zauważył nową przeszkodę.

## *21 kwietnia*

Sytuacja przybrała nieoczekiwany obrót. Znaleźliśmy się niemal dosłownie w ślepym zaułku – między dwoma pomieszczeniami w bloku o szerokości kilkunastu metrów. Myśleliśmy, że uda nam się tędy prześliznąć (sondowanie ultradźwiękowe wykazało, że ściana dalej się rozszerza), a tymczasem w najwęższym miejscu na ekranie podziemnego oka ukazała się jakaś dość gęsta sieć wtopionych w ścianę krótkich pręcików. Próbowaliśmy przedostać się powyżej tej instalacji, ale przebywszy ze trzydzieści metrów, spotkaliśmy podobne urządzenia. Podziemne oko można nastawiać na maksymalną odległość sześciu metrów. Tyle też dzieliło nas od pręcików, gdy je zauważyliśmy, Tymczasem górne pomieszczenia znajdowały się już o pięć metrów ponad nami. Jeśli znasz konstrukcję Dżdżownicy, wiesz, co to oznacza... Statek może cofać się, przerzucając z powrotem pozostawiany za sobą urobek, pod warunkiem, że jest on sypki lub osiadły, nie ma bowiem narzędzi kruszących i topiących w części rufowej. Tymczasem szlak, który przebyliśmy, był

**natychmiast wypełniany krzepnącą szybko sztuczną skałą, o zawróceniu zaś szerokim łukiem nie było mowy bez zaczepienia o sieć pręcików. Stanęliśmy w miejscu. Tymczasem w przewodzie transportera płynna masa zaczynała krzepnąć...**

**I wówczas Igor podjął decyzję. Nie ma wyboru. Przesunął dźwignię steru kierunkowego na maksymalny skręt w górę. W minutę później na ekranie podziemnego oka ukazał się pierwszy biały rąbek pustej przestrzeni.**

**W odległości trzech metrów od powierzchni ściany przeszliśmy na kruszenie. Statek zatrzymaliśmy wówczas, gdy dziób dzieliło od pomieszczeń nie więcej niż metr masy plastycznej.**

**W tej chwili Igor usiłuje rytmicznym włączaniem silnika zwrócić na nas uwagę Urpian. Na razie brak jakichkolwiek sygnałów w odpowiedzi.**

**A jeśli tam znajdują się jakieś automaty sterowane z odległości?...**

***22 kwietnia***

**Tyle mam do opisywania, że nie wiem sama, od czego zacząć.**

**Przez całą ubiegłą noc podejmowaliśmy bezskuteczne próby porozumienia się z Urpianami. Przesuwając pole widzenia oka podziemnego, mogliśmy obserwować, co się dzieje nad nami w promieniu kilku metrów. Niestety, nic się nie działo. Podłogę (?) górnego pomieszczenia tworzy warstwa jakiejś, porowatej, lecz twardej substancji, pokrytej, jak twierdzi Igor, pyłem. Żadnych przedmiotów na tej podłodze ani też istot żywych, które by się ruszały w polu widzenia podziemnego oka, nie spostrzeżliśmy.**

**Nad ranem postanowiliśmy wyświdrować wąski otwór do pomieszczenia, aby zbadać panujące tam ciśnienie, temperaturę oraz pobrać próbki gazu. Ponieważ jestem szczuplejsza od Igora, więc zadanie to przypadło mnie. Ubrałam się w skafander i wypełzałam, zaopatrzona w narzędzia, do wnętrza rury transportera. Po kilkunastu minutach osiągnęłam dziób statku. Aby dostać się do niewielkiej wolnej przestrzeni, „wygryzionej” przez zęby naszego smoka, musiałam rozmontować część urządzeń kruszących i topiących. Poszło to nadspodziewanie łatwo – Jaro przewidział, że możemy być zmuszeni do korzystania z przedniego wyjścia.**

**Wyniki pomiarów i analiz przeszły oczekiwania. Ciśnienie nie przekracza 2,5 atmosfery. Gaz okazał się powietrzem o nieco innym składzie niż ziemskie i bardzo różnym od składu obecnej atmosfery Urpy: 28% tlenu, 4% argonu, 2% dwutlenku węgla, trochę pary wodnej, reszta azot. A więc w pomieszczeniach tych moglibyśmy poruszać się bez skafandrów, gdyby nie temperatura 52°C.**

**Ogarnął mnie nastrój optymizmu. Należy się spodziewać, że Urpianie są istotami**

**zbliżonymi fizycznie do ludzi.**

**Wszystko to zachęciło nas do podjęcia nowej próby: poszerzenia otworu i wprowadzenia do podziemi kamery telewizyjnej. Zapomnieliśmy o zmęczeniu;**

**o nie przespanej nocy, nie chciało nam się zażywać hiperolu.**

**Ręce mi drżały z emocji, gdy przesuwałam przełącznik uruchamiający długi pręt, na którym osadzone jest nasze telewizyjne oko. Otwór na Szczęście wywiercony był prawidłowo i po chwili sygnał niebieskiej lampki oznajmił nam, że kamera znajduje się już w odległości dwóch metrów od dzioba statku, a więc w tajemniczych podziemiach urpiańskiej fabryki.**

**Włączyliśmy aparaturę, ale na ekranie panowała ciemność. Dopiero po zapaleniu reflektora ujrzeliśmy w jego świetle wnętrze jakiejś nisko sklepionej, długiej piwnicy (?). Jest ona jednak zupełnie pusta; nigdzie w pobliżu nie zauważyliśmy ani jakichkolwiek urządzeń, ani też otworów choćby trochę przypominających drzwi. Możliwe, że „drzwi” schowane są za jakimś zakrętem. Zresztą orientację bardzo utrudnia fakt, że reflektor znajduje się tuż obok kamery i w ten sposób niemal zupełnie nie widzimy cieni, a tylko różnice w oświetleniu, związane przeważnie z odległością danego miejsca od kamery.**

**Naradzaliśmy się długo, co dalej począć. Urpian nigdzie w pobliżu nie ma. Warstwa pyłu zdaje się wskazywać, że nieczęsto zachodzą oni do tych pomieszczeń. Może i dla nich panuje tu zbyt wysoka temperatura.**

**Wobec tego, że nie ma mowy o dalszym posuwaniu się statku bez niszczenia po drodze tej podziemnej budowli, postanowiliśmy wykuć wąski tunel i dostawszy się do tej „piwnicy”, ruszyć na własnych nogach na poszukiwanie Urpian. Nie wiem, czy to w pełni zgodne z instrukcją numer cztery, ale myślę że jest to przekroczenie dopuszczalne. Nie mamy wyboru.**

**W chwili, gdy piszę te słowa, Igor pracuje właśnie nad poszerzeniem otworu, abyśmy mogli precyzyjnie się do podziemi w skafandrach.**

***23 kwietnia***

**To, co wzięliśmy początkowo za piwnicę, jest długim korytarzem wysokości 2,2 metra i szerokości 2,5 metra. W odległości 60 metrów od miejsca, gdzie znajduje się nasz „właz”, napotkaliśmy skrzyżowanie tego korytarza pod kątem prostym z innym korytarzem o tym samym przekroju. Podobne skrzyżowanie istnieje również po przeciwnej stronie korytarza, w odległości około stu metrów od włazu. Dalej następują nowe rozwidlenia.**

**Obawiając się zablądzenia w tym labiryncie, ograniczyliśmy badania tylko do**

najbliższego terenu. Oprócz korytarzy poziomych znaleźliśmy jeden wznoszący się pod kątem 45° w górę. Powierzchnia podłogi nie jest gładka jak w poziomych korytarzach, lecz regularnie żłobkowana. Widocznie te pochyłe korytarze są czymś w rodzaju naszych schodów. Można zauważyć znaczne wygładzenie żłobków w środkowej partii podłogi; przy ścianach są one kanciaste i chropowate. Widocznie przechodziło tędy wiele nóg. W tej chwili panuje tu jednak niczym nie zmacona cisza.

Zaraz zabieram się do montowania radioaktywnego „pióra”. Jest to mój najnowszy wynalazek. Zastanawialiśmy się, w jaki sposób zapobiec zabłądzeniu w podziemiach. Otóż wpadłam na pomysł, jak sądzę, dość dobry. Tak jak w dawnych wiekach poszukiwacze skarbów w grotach pozostawiali za sobą rozwijającą się nitkę, aby znaleźć drogę powrotu, tak my, za pomocą automatycznego urządzenia osadzonego na czubkach butów, będziemy kreślić radioaktywny ślad poprzez podłogi i schody tej budowli. Ponieważ w Dżdżownicy nie ma uniwerów, ta robota zajmie mi co najmniej dwa dni.

*24 kwietnia*

Cały niemal dzień upłynął mi na montowaniu aparatu do wykreślenia śladu. Zrobiłam tylko niewielką wycieczkę po obiedzie i miałam małą przygodę.

W ścianie jednego z bocznych korytarzy zauważyłam ciemny, prostokątny otwór, podobny do wąskich, otwartych drzwi. Pobiegłam tam, zaciekawiona, i... o mało weń nie wpadłam. Okazało się, że otwór prowadzi do długiego, pustego szybu, prawdopodobnie wentylacyjnego. Nie rozumiem tylko, dlaczego Urpianie nie zabezpieczyli w jakiś sposób otworu. Przecież mogli go umieścić wyżej. Łatwo się pomylić i wpaść. Może to zresztą nie szyb wentylacyjny. W każdym razie trzeba uważać na przyszłość.

Igor natrafił w trzech miejscach na owalne płyty w ścianach korytarza, pokryte wypolerowanymi „cekinami”. Trudno na razie orzec, czy to są drzwi, czy jakieś urządzenia kierownicze.

I jeszcze jedno odkrycie, a ściślej, znalezisko Igora: tuż u wejścia na schody znalazł on krótki, metalowy pręt oraz strzęp jakiegoś zbutwiałego materiału (?). W ogóle nie tylko gorąco tu, ale i wilgotno.

Jutro rano przypuszczalnie zakończę montaż wykrywaczy śladu radioaktywnego.

Igor próbował dziś nawiązać łączność z bazą za pomocą nadajnika ultradźwiękowego podłączonego do ścian. Niestety – bez skutku. Z pewnością niepokoiacie się o nas coraz bardziej, a my jesteśmy bezsilni. Czeka nas jeszcze długa wędrówka w górę.

Urpianie też nie dają znaku życia...

**7 maja**

**Złamałam postanowienie. Przez dwa tygodnie nie napisałam ani słowa. Jedynym usprawiedliwieniem może być to, że wracaliśmy do statku nie na każdą noc, i to przeważnie tak potwornie zmęczeni, że zasypialiśmy natychmiast.**

**W ciągu tych dwóch tygodni przeszliśmy dziesiątki kilometrów korytarzy, odkryliśmy niezliczoną liczbę sal i szybów różnej wielkości. Nigdzie jednak nie spotkaliśmy żadnej żywej istoty (nie licząc bakterii i pleśni) ani też nawet śladu ich niedawnej bytności. Wszystkie dotychczasowe badania wykazują, że nic się tu nie zmieniło od piętnastu wieków. Właściwie źle się wyraziłam: wiele przedmiotów i tkanin zbutwiało i rozsypało się w proch, rdza przeżarła żelazne części maszyn, mniej odporne tworzywa zwierzały lub zostały stoczone przez bakterie i grzyby.**

**Czy spotkamy gdzieś na górnych piętrach gospodarzy tej gigantycznej budowli? Coraz bardziej zaczynam o tym wątpić. Te mury kryją w sobie jakąś ponurą tajemnicę. Chwilami ogarnia mnie nieprzyjemne uczucie i wydaje mi się, że jestem w jakimś ogromnym grobowcu. Gdy zasypiam, majaczą mi się stosy zwęglonych szkieletów, wraca uparcie obraz wstrząsającego odkrycia na pustyni w pobliżu Miasta Temian. Tylko że tamte szkielety widzę we śnie tu, wśród ścian wielkich sal, to znów korytarzy i małych, ciemnych komórek tego podziemnego miasta.**

**Bo to jest miasto. Nie zakład wytwórczy czy ich zespół, lecz całe wielkie miasto, wspinające się dziesiątkami pięter w górę, coraz to inne, coraz nie-zwyklejsze w odkrywanych co krok śladach jego dawnej świetności i bogactwa.**

**Jeszcze ciągle łudzimy się, że może tylko ta dolna część, te trzydzieści parę pięter, które przebyliśmy dotąd, są nie zamieszkane. Znaleźliśmy szereg niedużych komór, które mogły być czymś w rodzaju mieszkań. Niestety – są puste. Ale już może następnego dnia za jakąś nie znaną nam zaporą znajdziemy żywych Urpian.**

**Większość dolnych pomieszczeń to wielkie hale, pełne maszyn i skomplikowanych aparatów, których przeznaczenia trudno się nawet domyślać. Trzeba by na to specjalisty, na przykład Brabca. Przeważnie urządzenia te są nieczynne,\* ale znaleźliśmy dwie hale, w których nasze przyrządy pod grubymi pokrywami stojących tam kolosów wyczuły pulsujące prądy. Automatyzacja jest tu bardzo daleko posunięta i centrale energetyczne mogą działać same przez, dziesiątki, a nawet setki lat, czerpiąc z nieprzebranych zapasów surowcowych, usuwając zanieczyszczenia i uszkodzenia, nim wreszcie wyczerpie się ich zdolność życiowa, tchnięta myślą nie znanych nam budowniczych sprzed stuleci. Może w którejś z tych hal jakiś skomplikowany sztuczny mózg kieruje ruchami owej niezwyklej „żywej skały”, która przed paru tygodniami tak bardzo nas zadziwiła?...**

**Nie mamy zresztą czasu na szczegółowe badanie tych urządzeń. Przecież**

**powrócimy tu jeszcze, i to nie tylko my sami. Trzeba będzie skoncentrować wszystkie siły na rozszyfrowaniu tajemnicy Urpy, która jest z pewnością kluczem do wyjaśnienia wielu zagadek Układu Proximy.**

**Prześwietlenia niektórych ścian w halach wykazały, że często mieszczą się tam zbiorniki jakichś gazów i płynów (prawdopodobnie również wody). Nie mniej ciekawego materiału badawczego dostarczyć mogą obszerne pomieszczenia, które nazwaliśmy magazynami, gdyż prawdopodobnie takie było ich przeznaczenie. Wskazuje na to znaczna liczba identycznych przedmiotów, przeważnie części maszyn, zwojów jakichś nici czy przewodów. Niestety, niektóre magazyny są zalane wodą, co utrudnia dostęp.**

**Intrygujące jest to, że nie spotkaliśmy niemal zupełnie magazynów zapełnionych. Liczba przedmiotów jest z reguły nieproporcjonalnie mała w porównaniu z rozmiarami hal i – co ciekawsze – nie widać w nich porządku. W tej chwili przyszło mi do głowy, czy czasem nie są to przedmioty pozostawione tam dlatego, że nie nadawały się do użytku. Jeśli tak, to można by przyjąć, że Urpianie, przenosząc się z dolnych pięter, zabierali z sobą planowo najwartościowsze rzeczy. Dowodziłoby to, że opuszczono tę część miasta w sposób zorganizowany. Muszę to zbadać.**

**Magazyny oraz hale produkcyjne są przeważnie otwarte i prowadzą do nich boczne odgałęzienia głównych korytarzy, bądź szyby o średnicy 3-5 metrów. Sądziliśmy początkowo, że są to szyby wentylacyjne. Zdaje się jednak, iż służyły one raczej do szybkiej komunikacji między poszczególnymi piętrami. Co prawda nie znaleźliśmy w nich niczego podobnego do wind, ale niewykluczone, że znajdziemy na wyższych piętrach. Jak dotąd, nie potrafimy jednak wytłumaczyć tego, że wszystkie otwory prowadzące do szybów są otwarte i zupełnie nie zabezpieczone. Czyżby Urpianie byli aż tak przytomnymi ludźmi (napisałam odruchowo „ludźmi” – widzę, że zaczynam uważać ich podświadomie za istoty podobne do nas) lub może natura wyposażyła ich w jakiś ostrzegawczy narząd zmysłowy, że nigdy nie zdarzają im się wypadki spowodowane nieuwagą?**

**Jeszcze o komunikacji: dokonaliśmy interesującego odkrycia – znaleźliśmy pojazd, w którym Urpianie poruszali się po swych „ulicach”. Ten urpiański samochód zamiast kół ma sześć rozstawionych parami kuł, nad którymi umieszczona jest platforma o rozmiarach 87 na 263<sup>^</sup> centymetry. Platforma najeżona jest 60-centymetrowymi słupkami. Odstępy pomiędzy słupkami, ustawionymi w trójkąty równoboczne, nie przekraczają 30 centymetrów. W środku osadzono, na nieco wyższym pręcie, gałkę o kształcie silnie spłaszczonej elipsoidy. Żadnej tablicy kierowniczej lub dźwigni nie zauważyliśmy. Czy pojazd ten przewoził „ludzi”, czy też służył do transportu jakichś przedmiotów – trudno dociec. Nie wyjaśniliśmy też dostatecznie sprawy napędu.**

**Jak dotąd, chodzimy w skafandrach i – zdaje się – nie będziemy się mogli od nich**

uwolnić, mimo że temperatura powietrza tylko w niektórych okolicach przekracza 50°C. Powodem jest ostrzegawcza choroba Igora. Otóż dziewiątego dnia po rozpoczęciu badań podziemnych Igor dostał silnej gorączki i wymiotów. Prawdopodobnie przyczyną były jakieś toksyny na znalezionych przedmiotach. Zachodzą tu analogiczne zjawiska jak na Temie. Na szczęście zatrucie nie było groźne i Igor po kilku dniach wrócił do zdrowia. Jest to jednak ostrzeżenie na przyszłość. Nie będziemy mogli zdjąć skafandrów i trzeba bardzo dokładnie oczyszczać i dezynfekować przynieszone do statku znaleziska.

W związku z tą przygodą wyłoniło się nowe zagadnienie: w naszych wędrówkach po podziemnym mieście jesteśmy właściwie bezbronni. A przecież nie można wykluczyć, że na wyższych piętrach, gdzie panuje prawdopodobnie nieco niższa temperatura i warunki są dogodniejsze do życia, nie spotkamy jakichś zwierząt, które będą nas napastować. Mogą to być na przykład zwierzęta pełniące u Urpian podobne funkcje jak psy u ludzi. Co prawda chronią nas skafandry, ale bywają różne zęby.

Wobec tego, że – jak dotąd – wszystkie zbadane przez nas pomieszczenia są nie zamieszkałe i nie odwiedzane od kilkunastu wieków – zastanawiamy się, czy nie wprowadzić Dżdżownicy do podziemnych sal, i to przynajmniej o trzydzieści pięter wyżej. Tam właśnie znaleźliśmy owe interesujące pomieszczenia mieszkalne. Byłoby wygodniej i bezpieczniej. Jeśli chodzi o uzbrojenie, to ostatnio noszę z sobą nóż laserowy. Igor zaś cofnął się do czasów starożytnych i zaopatrzone jest w długi, zastrzony pręt, który w naszym warsztacie przeobraziłam w coś w rodzaju miecza rzymskiego. Z takim uzbrojeniem lepiej się wszakże nie oddalać zbyt od statku.

Istnieje jeszcze jeden ważki, może najistotniejszy, argument za ruszeniem Dżdżownicy. Nie jesteśmy w stanie przebywać w skafandrach dłużej niż dwa, trzy dni. W tym czasie nie ma mowy o dotarciu do górnych pięter i odnalezieniu drogi na powierzchnię. Ponadto w statku znajduje się aparatura do łączności z wami, która przecież wyżej powinna zacząć funkcjonować.

Coraz bardziej dokucza nam samotność. Wy tam na pewno myślicie, że już po nas. 28 kwietnia sejsmografy zarejestrowały nowe trzęsienie ziemi...

*8 maja*

Za godzinę ruszamy statkiem w górę. Pewnie Zoe i Zina będą miały nam za złe, że uszkodzimy po drodze niektóre sale i korytarze, ale nie ma rady. Jest to zresztą sprawa dyskusyjna. Wszystko wskazuje, że podziemia te nie tylko są od dawna nie używane, ale w ogóle nie odwiedzane od wielu wieków. Obowiązuje więc nas instrukcja nr 3. Przed chwilą wróciłam z wycieczki do magazynów. Moje podejrzenia zdają się potwierdzać. Przejrzałam uważnie 27 przezroczyстых kloszy (naczyń?), których setki leżą w jednej z hal. Ponad 80 procent ma różne drobne pęknięcia i szczyrby. Tam jednak, gdzie występuje większa różnorodność produktów, trudno

**jest stwierdzić, czy przedmioty są uszkodzone.**

**Moja hipoteza zakłada, że Urpianie nie opuścili tych pięter w popłochu. Igor również jest zdania, że – jak dotąd – brak tu śladów kataklizmu. Wobec tego, że temperatura na trzydziestym piętrze wynosi 43°C, przyczyną wyludnienia dolnych części miasta mogą być złe warunki, jakie tam zapanowały z nieznanых przyczyn (może gdzieś w sąsiedztwie przedarła się magma). Trzeba by wówczas przyjąć, że Urpianom nie opłacało się walczyć tutaj ze wzrostem temperatury. Co prawda, taka ucieczka nie zgadza się z naszym wyobrażeniem o Urpianach, ale kto wie... W każdym razie moja hipoteza nastroiła nas nieco optymistyczniej. Przestały mi się śnić szczątki Temidów.**

**9 maja**

**Dźdźownica znajduje się na trzydziestym piątym piętrze. Podróż trwała blisko 18 godzin, gdyż staraliśmy się unikać dewastowania ciekawszych pomieszczeń. Teraz chcemy się trochę przespać, a następnie zrobimy wypad do „mieszkań”.**

**10 maja**

**Dzisiejszy dzień był chyba jednym z najruchliwszych dni, jakie spędziliśmy dotychczas w podziemnym mieście. Wczesnym rankiem (około godziny czwartej) wyruszyliśmy na zwiedzanie najbliższej położonych pomieszczeń, które, jak przypuszczamy, służyły Urpianom za mieszkania. Czy mam rację, czy też zbyt pochopnie doszukujemy się tu analogii z ludzkimi formami cywilizacji – trudno dociec.**

**Pomieszczenia te odkryliśmy stosunkowo niedawno, i to dopiero na dwudziestym ósmym piętrze. Może znajdują się również niżej, ale nie potrafimy znaleźć wejścia do nich.**

**Otóż na dwudziestym ósmym piętrze natknęliśmy się przypadkowo na kilka komór różniących się znacznie od dotąd spotykanych tak kształtem, jak i wielkością. Im wyżej wchodzimy, tym liczba tych pomieszczeń rośnie, przy czym zarówno wejścia do nich jak i rozmieszczenie „pokoi” są niemal identyczne. Z szerokiego, długiego korytarza biegną węższe odgałęzienia boczne, przechodzące po kilku metrach w stromą równię pochyłą o żłobkowanej powierzchni. Zdaje się, że słusznie uważamy takie korytarze za schody. Wspinając się nimi w górę, można dotrzeć do okrągłej salki o średnicy około 8 metrów. Wejście znajduje się w samym środku podłogi, otoczone z trzech stron niewysokim murkiem, prawdopodobnie spełniającym rolę balustrady.**

**Z salki tej prowadzi z reguły sześć, rzadziej pięć otworów wejściowych do podobnych okrągłych pomieszczeń, tylko nieco mniejszych. Pokoje te rozmieszczone są symetrycznie wokół głównej salki. Na ścianach wszystkich**

**pomieszczeń można zauważyć resztki jakby obić, nieduże wnęki i wykute (?) w ścianach półki. W kilkunastu pokojach znaleźliśmy dość dobrze zachowane wytwory sztuki zdobniczej – coś w rodzaju sztukaterii i płaskorzeźb, opartych na motywach geometrycznych. Na ścianach niektórych salek zauważyliśmy dość duże chropowate wklęsłości o kształcie pięciokąta foremnego (czyżby przypadkowa zbieżność z Temą?). Są to prawdopodobnie ślady po jakichś usuniętych urządzeniach, wmurowanych kiedyś w ściany. Ani w halach przemysłowych i korytarzach, ani też w „mieszkaniach” nie znaleźliśmy jak dotąd śladów urządzeń oświetleniowych.**

**Okrągłe salki są na ogół puste, nie licząc drobnych przedmiotów, odłamków muru i resztek zbutwiałych tkanin. Dopiero dziś na trzydziestym czwartym piętrze odkryliśmy trzy pomieszczenia, w których znaleźliśmy znaczną liczbę większych przedmiotów nie przymocowanych do podłóg.**

**Już pobieżne oględziny zdają się sugerować, że są to sprzęty domowe. Co prawda trudno odgadnąć ich przeznaczenie i sposób używania. Weźmy jako przykład sprzęt wysokości 60 centymetrów, który nazwałam stolikiem. Na trzech nogach wspiera się tu płaski blat w kształcie półksiężyca, ponad nim drugi, nieco mniejszy. Igor mówi jednak, że tak samo dobrze może to być etażerka, krzesło lub instrument perkusyjny. To ostatnie przypuszczenie wydaje się zresztą mało prawdopodobne, gdyż wkrótce znaleźliśmy w innych pokojach cztery takie same sprzęty. Przecież to chyba nie składnica instrumentów... W każdym razie usiłuję bronić swej „hipotezy stolika”. Cóż z tego, że jest on mały i niski – rozmiary wszystkich znalezionych w tych salkach przedmiotów nie są wielkie. Znacznie bardziej dziwi mnie, iż dotąd nie znaleźliśmy sprzętu, który mógłby służyć jakimś istotom „ludzkim” do wypoczynku. Czyżby Urpianie w ogóle nie sypiali? Wydaje się to niemożliwe. Raczej zbyt antropomorfizujemy ich tryb życia. Niewykluczone zresztą, że wśród niektórych bardzo poważnie zniszczonych przez czas przedmiotów znajdują się i takie sprzęty. Duży procent tlenu i pary wodnej oraz kwasowość środowiska bardzo sprzyjają rozkładowi mniej trwałych materiałów. Wiele śladów sprzętów znajdujemy w postaci szkieletów wykonanych z metali i plastyków. Krótko mówiąc – jeszcze za wcześnie na wnioski.**

**Podobnie przedstawia się sytuacja z przedmiotami znalezionymi na niższych piętrach. Nieduży trójząb, osadzony na odlanej z masy plastycznej płaskiej „rączce”, mógłby od biedy służyć nam, ludziom, jako widelec. Do czego go używali Urpianie? Raczej chyba nie do jedzenia, bo w trzonku, jak wykazało prześwietlenie, biegnie wtopiony w plastik spiralny drucik. Znaleźliśmy przeszło dziesięć takich „widelców”.**

**Albo inny przedmiot: dwie identyczne wygięte rureczki, znalezione w dwóch różnych pokojach, na dwóch różnych piętrach. Czy nie mogły służyć na przykład do picia napojów? Kto to wie? Zbyt mało jest czasu na dokładne badania, a liczba znalezisk wciąż rośnie. Niemal codziennie przynosimy na statek kilkadziesiąt nowych przedmiotów, nie licząc setek zdjęć.**

**Wracając do „widelca” – zastanawialiśmy się nawet, czy nie jest on czymś w rodzaju klucza otwierającego zamknięte drzwi. Bo najczęściej kłopotu mamy z drzwiami. Do tej chwili nie potrafimy ich otwierać, a nierzadko i odnaleźć. Na szczęście większość pomieszczeń stoi otworem.**

**Muszę zaznaczyć, że owalne płyty z „cekinami”, które spotkaliśmy na dolnych piętrach, nie są bynajmniej drzwiami, lecz – jak wynika z prześwietleń – czymś w rodzaju tablic rozdzielczych. Na pierwsze prawdziwe drzwi natknęliśmy się dopiero o cztery piętra wyżej. Są to otwory różnej wielkości, przeważnie nieduże i niskie, zamykane dwiema ruchomymi, zachodzącymi na siebie płytami, z gładkiego, jakby wypolerowanego plastyku. Niektóre drzwi znaleźliśmy otwarte lub uchylone, przy czym płyty rozsuwają się na kształt dwóch kotar. Inne są zamknięte i, niestety, na razie tak pozostaną, gdyż unikamy, jak możemy, niszczenia czegokolwiek. Znaleźliśmy ponadto wiele otworów zupełnie pozbawionych płyt zamykających bądź wykazujących ślady dawnych miękkich zasłon.**

**Cztery godziny temu, posuwając się głównymi schodami, dotarliśmy z Igozem na czterdziestym drugim piętrze do dużych, zamkniętych drzwi. Dotychczas nie spotkaliśmy drzwi, które zamykałyby schody lub korytarz. Badanie wykazało, że za drzwiami znajduje się powietrze o podobnym składzie. Aby nie tracić czasu na szukanie innego przejścia, postanowiliśmy otworzyć drzwi za pomocą laserowego „noża”. Skrupułów nie mieliśmy, bo i tak wszystko wskazuje, że nikt tu nie był od piętnastu wieków. Urpiańskie drzwi poddały się laserowi jak masło. Za drzwiami ciągnie się poziomy korytarz, potem znów schody. Żadnych szczególnych różnic między piętrami nie ma. Jutro ruszamy dalej w górę.**

***11 maja***

**Zagadkowa sprawa. Czyżby jednak te podziemia były zamieszkane? Ale przez kogo?**

**Rano odkryliśmy na czterdziestym pierwszym piętrze, w pobliżu drzwi wczoraj otworzonych, wąską salkę pełną jakiejś miękkiej waty o różnych odcieniach. Wzięliśmy kilka próbek, ale Igor położył je w niszy przy schodach i zapomniał zabrać. Po południu znów idziemy w górę. Niespodziewanie znajdujemy naszą watę. Kawałki jej leżą rozrzucone na większej przestrzeni, od niszy do rozciętych drzwi i dalej, poza nie. W niszy waty ani śladu.**

**Zaczęliśmy się zastanawiać, czy przyczyną nie mógł tu być jakiś gwałtowniejszy przeciąg, ale Igor przypomniał sobie, że przycisnął watę ciężką płytką metalową, znaną w jednym z pomieszczeń. Płytką leżała w niszy, a pod nią kilka pasemek waty. Poniżej, na żłobkowanej powierzchni schodów, leżały dalsze strzępki, jakby ktoś wyszarpywał watę spod płytki.**

**Wszystkie odnalezione strzępki nie obejmują nawet piątej części przygotowanych**

**próbek. Może jednak istnieją tutaj jakieś zwierzęta? W ziemskich ciemnych jaskiniach spotykamy również pewną faunę. A jeśli są tu zwierzęta, to chyba wyżej znajdziemy i Urpian. Przecież oni muszą gdzieś być. Ta wielka, potężna cywilizacja nie mogła przecież ponieść klęski w walce z siłami przyrody...**

**12 maja**

**Światło! Rośliny! Zwierzęta! Żywy świat!**

**A jednak miasto to żyje. Tylko dolne piętra są opustoszałe i wymarłe. Szłam długim korytarzem czterdziestego szóstego piętra, gdy spostrzegłam w dali światło. W pierwszej chwili wydawało mi się ono otworem prowadzącym na zewnątrz; tak znakomicie przypominało pochmurny ziemski dzień. Oczywiście zrozumiałam, że to tylko złudzenie – przecież od powierzchni globu dzieli nas jeszcze blisko 1600 metrów.**

**Blask bił z boku, jakby zza zakrętu lub rozsuniętych drzwi. Gdy podeszłam bliżej, przekonałam się, że było to nieco węższe odgałęzienie korytarza. Znów ogarnęło mnie nieodparte wrażenie, że nie jestem w podziemiu. Zamiast sufitu korytarza ciągnął się w górze długi pas niebieskawoseledynowego, nieco zamglonego nieba. Gdzie ja widziałam podobne niebo?**

**Wezwałam Igora przez radio, ale mi nie odpowiadał. Widocznie był zbyt daleko (w mieście tym występuje w wysokim stopniu zanik fal elektromagnetycznych). Wahałam się chwilę, czy wejść w ów oświetlony korytarz, czy też najpierw odnaleźć Igora. Ciekawość zwyciężyła. Rozglądając się na wszystkie strony, ściskając w dłoni laserowy nóż ruszyłam w głąb pomieszczeń tonących w blasku.**

**„Niebo” było oczywiście złudzeniem, ale wystarczyło spojrzeć z bliska na sufit, aby przekonać się, że nie on wysyła ów niebieskawoseledynowy blask. System oświetlenia był tu bowiem zupełnie inny niż w Celestii, Astrobo-lidzie, czy w wybudowanych przez nas ostatnio pawilonach, gdzie pobudzona jest do świecenia cała powierzchnia sufitu lub fragmenty ścian. Tu jaśniała „atmosferyczną” poświatą cienka warstwa powietrza pod powierzchnią sufitu, nieco zmieniając barwę dopiero przy samych ścianach. Prawdopodobnie jest to ciche wyładowanie elektryczne w gazie lub pobudzenie go do świecenia strumieniem jakiegoś promieniowania, którego źródła ukryte są w ścianach. Trzeba będzie zbadać to później dokładnie.**

**Przeszłam owym korytarzem około 50 metrów, mijając z prawej strony dwoje zamkniętych drzwi. Naraz przede mną wyskoczyło zza niewidocznego zakrętu jakieś czarne zwierzątko wielkości królika, przypominające na pierwszy rzut oka ogromnego karalucha.**

**Cofnęłam się instynktownie. Zwierzę widocznie mnie spostrzegło, bo przebiegłszy**

**kilka kroków zatrzymało się. Ujrzałam wyraźnie, jak uniosło w górę płaski ryjek i błysnęło ku mnie dwojgiem czerwonych oczu. Nie był to z pewnością żaden owad.**

**Niespodziewanie usłyszałam krótki, ostry pisk i zwierzę pomknęło w głąb korytarza. Puściłam się za nim w pogoń. To, że właśnie ono zapiszczało, wydało mi się w pierwszej chwili zupełnie oczywiste i naturalne. Wiele zwierząt temiańskich podobnie reagowało na nasze pojawienie się. Już biegnąc uświadomiłam sobie, że coś tu nie gra. Przecież ubrana byłam w skafander i hełm, przez które sygnały akustyczne przenikają z trudem. Czyżby pisk był aż tak głośny?**

**Wydało mi się, że zwierzę znikło za bocznymi, na wpół zasuniętymi drzwiami. Poszerzyłam je pchnięciem ramion i... stanęłam jak wryta.**

**W głębi korytarza ujrzałam kępki jakichś żółtawozielonkawych roślinek, wyrastających z podłogi, przeważnie pod ścianami, gdzie widocznie zgromadziło się więcej pyłu i wilgoci. W miarę jak posuwałam się dalej, ilość roślin rosła i choć nie ulegało wątpliwości, że są to okazy karłowate, należało się spodziewać, że gdzieś w głębi tego miasta powinny być większe okazy flory.**

**Nie szukałam ich długo. Poprzez pokryte trawiastym dywanem schody dostałam się na położonym wyżej piętrze do obszernej hali, tak zarośniętej zieleń i krzakami, że trudno było się przedrzeć.**

**Ale nie tylko sam obraz, który odsłonił się nagle przed oczami, wywarł na mnie ogromne wrażenie. Gdy brnąc przez zarastające korytarz rośliny zbliżałam się do owej hali, usłyszałam potęgujące się piski i trzaski. Początkowo bardzo słabe, w miarę jak posuwałam się coraz dalej ku drzwiom, przybierały na sile, aż wreszcie na samym progu były już zupełnie wyraźne i głośne. Teraz nie miałam wątpliwości, że wydobywają się one ze słuchawek mego hełmu.**

**A więc usłyszany poprzednio pisk czarnego zwierzątka nie był ani złudzeniem, ani też dźwiękiem, lecz... falą elektromagnetyczną, która została pochwycona przez mój odbiornik radiowy. Wydaje się to niezwykle, ale czyż nie można przyjąć, że istoty zamieszkujące te podziemia posiadają organa wysyłające właśnie fale radiowe? Może nawet owe narządy służą im do porozumiewania się między sobą?**

**Dalsze błądzenie w zaroślach było zarówno ryzykowne, jak i bezcelowe. Wróciłam więc do statku.**

**Igora zastałam w laboratorium, pochylonego nad mikroskopem. Okazało się, że on również znalazł w korytarzach karłowatą roślinność. Nie wiedział jednak o oświetlonych pomieszczeniach. W przeciwieństwie do mnie nie zapuszczał się dalej w głąb miasta, lecz rozpoczął systematyczne badania. Okazało się, że niektóre drobne okazy roślin zawędrowały niemal aż do drzwi na czterdziestym drugim**

piętrze. Zajęci przeszukiwaniem podziemi, nie zwróciliśmy na nie uwagi. Nie ma się zresztą co dziwić – pracowaliśmy dotąd stale tylko w świetle reflektorów, nie penetrując drobniejszych szczelin i zakamarków, gdzie głównie gromadziły się pyły i wilgoć.

Rośliny porastające ciemne pomieszczenia różnią się znacznie od roślin, które ja spotkałam – są białe i anemiczne. Większość można zaliczyć do grzybów i pleśni. Igor znalazł jednak kilka nasion i pyłków kwiatowych, jak również źdźbła czegoś w rodzaju trawy – widocznie przyniesione przez zwierzęta albo podmuch powietrza. Były stosunkowo świeże i ujawniały procesy fotosyntezy, co wprawiło go w zdumienie wobec braku światła. Zagadka wyjaśniła się dopiero po moim przybyciu, gdy mu powiedziałam, że wyższe piętra są oświetlone.

Dyskusja przeciągnęła się długo w noc. Igor wyklucza możliwość, aby czarne zwierzątka były istotami rozumnymi, niemniej intrygująca jest sprawa „zmysłu radiowego”. Sądzę, że jutrzejszy dzień przyniesie rozwiązanie zagadki.

Okolo północy sejsmografy zanotowały niezbyt odległe – choć tu, w podziemnym mieście, słabe – trzęsienie ziemi. Igor sądzi, że może pochodzić z tego samego ogniska, które napędziło nam tyle strachu 32 dni temu.

Już blisko dwa miesiące przebywamy pod ziemią. Próbowałam nawiązać łączność z bazą – niestety bez rezultatu. Zaczynamy się coraz bardziej niepokoić, czy czasem Brabcowi nie przyszło do głowy szukać nas za pomocą drugiego statku. Co prawda części jego miały być przewiezione na Temę, ale kto wie... A przecież przed zbadaniem terenu nie możemy wprowadzać Dżdżownicy wyżej.

*14 maja*

Wprowadziliśmy statek na czterdzieste trzecie piętro i zamknęliśmy na powrót wszystkie zrobione przez nas otwory prowadzące w dół. Nie wiadomo, jakie przyczyny skłoniły Urpian do opuszczenia dolnych dzielnic miasta, i lepiej nie ingerować w ich sprawy, ażeby nie spowodować jakichś tragicznych następstw.

W ciągu dwóch dni odkryliśmy dziewięć oświetlonych hal z roślinnością. Dwie z nich były kiedyś z pewnością czymś w rodzaju ogrodów. Dziś – to gąszcz splątanych krzewów, drzew i chwastów wyrastających wśród spróchniałych pni i gnijących resztek organicznych. W jednej z sal odkryliśmy dziwacznie rzeźbiony basen – może była to fontanna lub akwarium. Niektóre;

pomieszczenia są zalane wodą.

Flora nie jest zbyt bogata. Wszędzie króluje niskopienna krzewiasta roślina o krótkich, drobnych igielkach. Badanie gleby wykazało, że kiedyś roślinność była znacznie bogatsza, ale gatunki, gorzej przystosowane do tych bądź co bądź

nienaturalnych warunków, zostały w stanie dzikim przytłoczone i wyparte przez owe krzewy.

Kwiatów nie ma tu wiele, ale odznaczają się bardzo silną i nieprzyjemną dla nas wonią.

Świat zwierzęcy jest jeszcze bardziej ubogi. Właściwie spotkaliśmy tylko czarne roślinożerne potworki, od których aż się roi, i kilka zwierzątek latających, które zewnętrznie przypominają nieco archeopteryksy[38], lecz o znacznie wyższym poziomie rozwoju. Prócz nich znaleźliśmy kilka gatunków zwierząt zbliżonych do mięczaków, pierścienic i owadów przypominających ważki.

Czarne potworki pokrywa cienki pancerz. To on upodabnia je do karaluchów. Zwierzęta te są bardzo ruchliwe i ciekawe. Udało nam się schwytać jedno, ale trzeba było je puścić w obawie przed bakteriami. Prześwietlenie wykazało, że mają mózg dość rozwinięty i umiejscowiony w głowie. Można by uważać to za wskazówkę, że rozwój życia na Urpie przebiegał drogą bardziej zbliżoną do ziemskiej niż rozwój świata zwierząt Temy. Intrygująca jest sprawa organu wysyłającego fale radiowe. Nie ulega wątpliwości, że narząd ten służy do porozumiewania się. W chwilach zaniepokojenia zwierząt nasilenie sygnałów rośnie.

Rozwój flory i fauny jest tu całkowicie dziki, choć niewykluczone, że kiedyś były to rośliny uprawne i zwierzęta hodowlane. Dochodzimy do przekonania, że to podziemne miasto zostało przed kilkunastu wiekami opuszczone przez Urpian.

Sprawa oświetlenia została już wyjaśniona. Nie ma tu centralnego źródła oświetleniowego. Świecenie warstwy powietrza wywołane jest promieniowaniem wysyłanym poziomo pod sufitem przez płaskie płytki zainstalowane w ścianach. Płytki umieszczone są w ten sposób, że promieniowanie, zresztą o natężeniu niezbyt szkodliwym dla człowieka, ogranicza się tylko do wąskiej przestrzeni pod samym sufitem.

Intryguje nas, dlaczego dolne pomieszczenia są ciemne. Może tego rodzaju oświetlenie było wprowadzone dopiero wówczas, gdy Urpianie zaczęli zmieniać swe podziemne siedziby w zakłady przemysłowe i magazyny?

*22 maja*

Znów przez tydzień nie napisałam ani słowa, ale mieliśmy masę roboty. Wprowadziliśmy statek na sześćdziesiąte trzecie piętro. Niemal wszystkie pomieszczenia są tu oświetlone. Odkryliśmy kilkadziesiąt hal z krzewiącą się bujnie i dziko roślinnością oraz cztery większe pomieszczenia produkcyjne, również częściowo zarośnięte. Wszędzie, gdzie Urpianie zapomnieli (?) zamknąć drzwi, wdarły się rośliny. Najbardziej żal nam pomieszczeń mieszkalnych, gdzie większość

**przedmiotów uległa zniszczeniu.**

**Zagadka inwazji roślin nie była zbyt trudna do rozszyfrowania. Niemal we wszystkich pomieszczeniach stwierdziliśmy znaczną ilość szlamu. Nie brak również mniejszych i większych zbiorników wody, a ściślej mówiąc – pomieszczeń, z których woda nie ma odpływu. Można to wytłumaczyć tym, że gdzieś w górze uległ uszkodzeniu jakiś ogromny zbiornik lub przewód i spływająca w dół woda zalała na pewien czas wszystkie niżej położone pomieszczenia, przynosząc z sobą glebę i pył z górnych korytarzy i hal-ogrodów. Woda spłynęła w dół szybami wentylacyjnymi czy komunikacyjnymi, a rośliny znalazły korzystne warunki rozwoju. Wiąże się to z faktem, że gdzieś w dole występuje intensywne parowanie (przecież pomieszczenia, które nazwaliśmy pierwszym piętrzem, nie są bynajmniej najniższą częścią miasta) i para wodna krąży po całym mieście. W ogóle istnieje tu cyrkulacja powietrza związana ze znacznymi różnicami w temperaturze dolnych i górnych części podziemi.**

**Opisuję ciągle samo miasto – rośliny, zwierzęta, sprzęty i maszyny – a nic nie mówię o jego gospodarzach i budowniczych. Choć nie znaleźliśmy ich żywych ani martwych, możemy już na podstawie pewnych faktów określić w przybliżeniu niektóre cechy ich wyglądu i sposobu życia. Przeciętna wysokość otworów wejściowych wynosi 120 centymetrów (najmniejszych 105), szerokość najwęższych drzwi – 65 centymetrów. Trudno przypuszczać, aby istoty rozumne nie miały postawy wyprostowanej. Stąd wniosek, że Urpianie są wzrostu niewielkiego (około 1 metra). Potwierdzałoby to tezę, że im większa jest siła ciężenia panująca na planecie, tym istoty są raczej mniejsze (na Urpie ciężenie jest o 1/3 większe od ziemskiego). Oczywiście nie stanowi to bezwzględnie obowiązującej reguły.**

**O małym wzroście Urpian świadczą również nisko umieszczone przyrządy kierownicze maszyn i urządzeń. Co prawda niektóre tablice z „cekinami” znajdują się na wysokości dwu metrów nad podłogą, ale niewykluczone, że są one kierowane na odległość.**

**Można chyba przyjąć hipotezę, że Urpianie także posiadają organa i zmysły wysyłające oraz odbierające fale radiowe.**

**Urpianie nie mogą być również zbyt ciężcy, a przynajmniej mają silnie rozwinięte mięśnie kończyn dolnych. Sugeruje to znaczny kąt nachylenia schodów. Poza tym ich kończyny dolne (również ewentualne „buty”) muszą wykazywać znaczną zdolność przyczepiania się do stosunkowo niedużych wypukłości (żłobkowanie na schodach).**

**Nie spotkaliśmy dotąd przedmiotów, które przypominałyby choć w przybliżeniu nasze fotele, krzesła czy łóżka. Co prawda trudno przypuścić, aby Urpianie odpoczywali w pozycji nietoperzy, ale można sądzić, że ich sposób siedzenia znacznie różni się od naszego. Wydaje się, że cenili miękko, tkanin, których tak**

**liczne ślady znajdujemy w mieszkaniach.**

**Resztek pożywienia, niestety, nie znaleźliśmy. Nie jesteśmy też pewni, czy pokoje z różnej wielkości wanienkami – to kuchnie, czy też urządzenia higieniczne.**

**Urpianie mają dość wysoko rozwinięte poczucie piękna. Ważną rolę w zdobieniu wnętrz odgrywają płaskorzeźby i różne elementy zdobnicze. Operują głównie motywami geometrycznymi, ale nie brak również roślin i zwierząt (bardzo zgeometryzowanych). Znaleźliśmy dwie płaskorzeźby dość realistyczne, ale... tylko dwie na kilkaset wytworów sztuki. Jedna z tych płaskorzeźb wyobraża rośliny i dziwne „ptaki”. Na drugiej, również w otoczeniu liści i kwiatów, jakieś zwierzę ludzako podobne do naszego puchacza, tylko że zamiast dzioba ma ono jakby dwa nieduże kły, skierowane ku sobie.**

**O ile można zorientować się ze skromnych znalezisk w mieszkaniach – poziom życia Urpian był raczej wyrównany. W ogóle, jak dotąd, nie znaleźliśmy jakichś wyraźnych dowodów rozwarstwienia społeczeństwa, a przecież zagadnienia społeczno-ekonomiczne to druga pasja Igora.**

**Poziom rozwoju techniki urpiańskiej znacznie przekracza poziom techniki naszego społeczeństwa. Można więc przyjąć, że Urpianie, gdy żyli w tych podziemiach, znajdowali się już na dalszym od nas szczeblu rozwoju społecznego. Niemniej Igor ma tu poważne wątpliwości innego rodzaju. Po prostu trudno mu (i mnie też) pogodzić się z myślą, aby cywilizacja, tak wspaniale pokonująca nie sprzyjające życiu warunki fizyczne, mogła ulec zagładzie. Co się stało z Urpianami? Czy żyją gdzieś pod powierzchnią Urpy, czy zginęli w jakimś kataklizmie? Tajemnicę tę musimy rozwiązać! Gdy tylko wydostaniemy się na powierzchnię, trzeba będzie zmobilizować wszystkie zespoły. Urpa to klucz do zagadki Układu Proximy.**

**W tej chwili Igor znów próbuje nawiązać łączność z bazą.**

***30 maja***

**Dziś po raz pierwszy od przeszło dwóch miesięcy nasze odbiorniki zarejestrowały słabe sygnały z wewnątrz. Znajdujemy się na siedemdziesiątym dziewiątym piętrze, 1130 metrów pod powierzchnią planety. Sygnały są tak nikłe, że o łączności nie ma prawie mowy. Za godzinę ruszamy w górę, aż do osiągnięcia całkowitego połączenia.**

# KONIEC ZŁUDZEŃ

Śmierć Mary głęboko wstrząsnęła uczestnikami ekspedycji międzygwiazdnej. Trudno było pogodzić się z myślą, że jej, tak czynnej, tak bardzo związanej ze wszystkimi sprawami wyprawy, nie ma już wśród żyjących.

Zgodnie z ostatnią wolą uczonej, nie wydobyto jej ciała. Tylko w miejscu rozpoczętego szybu,, na zboczu lodowego wzgórza ustawiono wysoki obelisk, na którym Jaro wyrył napis:

MARY SHEELDHORN

2370 – 2537

„Pozdrówcie ode mnie Ziemię”

Nie łudzono się już. Zdawano sobie jasno sprawę, że obok nazwiska Mary trzeba będzie wyryć dalsze dwa nazwiska. Nikt jednak nie potrafił otwarcie wypowiedzieć tego, o czym myśleli wszyscy – że los Igora i Suzy był przesądzony...

Czuwały co prawda automaty centrali sond, nastawione na pojawienie się nowego sygnału, ale nie wyłączono ich tylko dlatego, że nikt nie mógł zdobyć się na taką decyzję.

Tak minęły dwa tygodnie od tragicznego dnia, w którym ostatnia sonda Mary wyszła na powierzchnię Urpy. Żaden sygnał nie zapalił żółtej lampki w centrali sond. Jedynie Zina, jakby na przekór faktom, trwała jeszcze w oczekiwaniu, choć oczy jej z każdym dniem stawały się smutniejsze.

Utrata trojga towarzyszy była dla ekspedycji ogromnym ciosem. Prace geologiczne zostały w poważnym stopniu sparaliżowane. Heng był raczej chemikiem i mineralogiem niż geologiem. Daisy, uczennica Mary w ostatnich miesiącach, nie miała jeszcze dostatecznego przygotowania do samodzielnej pracy na większą skalę.

Hans pomagał Daisy, jak umiał. Ale przecież swą stosunkowo dużą wiedzę geologiczną zawdzięczał tylko temu, że stale i bezpośrednio uczestniczył w pracach Mary, tak jak ona w jego pracach geofizycznych.

Stratę żony przeżywał bardzo ciężko, choć zewnętrznie usiłował to ukryć. Początkowo ogarnęła go apatia. Zamknął się w sobie, był nieczuły nawet na słowa Allana i Ast, którzy mimo że śmierć matki była dla nich wstrząsającym przeżyciem, szybciej od Hansa wracali do równowagi psychicznej. Wreszcie coś przełamało się w nim i zaczął szukać ukojenia w pracy. Jakże jednak trudno było po latach wspólnych

**badania nie wspominać przeszłości.**

**Te ciężkie dni rozpacz i żaloby jeszcze bardziej zbliżyły Zoe do rodziny Hansa. Przed wyruszeniem Mary pod ziemię Zoe wróciła z Sel na Temę, gdzie wspólnie z Korą i Andrzejem opracowywała materiały zebrane w czasie poszukiwań źródła zakłóceń. Gdy nadeszła wiadomość o tragicznej śmierci Mary, starała się, jak mogła, podnieść Allana na duchu. W okresie gdy apatia Hansa poczyniała budzić coraz większe obawy, skłoniła Allana, by poleciał na Urpę po ojca i siostrę. Wychodziła ze słusznego założenia, iż ożywienie panujące na Temie jak również malowniczość krajobrazu tej planety mogą wpłynąć na nich dodatnio.**

**Zoe nie zapomniała również o Zoi, starając się okazać jej jak najwięcej serca. W przeciwieństwie do swej córki, lekarka straciła już zupełnie nadzieję, że ujrzy kiedykolwiek Igora. Nie okazywała zewnętrźnie rozpacz, ale wszyscy czuli, ile kosztuje ją ów pozorny spokój. Tak jak dawniej całymi dniami zajęta była zbieraniem materiałów do obszernej pracy o bakteriach i wirusach Temy, czuwała nad bezpieczeństwem współtowarzyszy, brała udział w codziennych naradach roboczych. Tylko czasami milkła nagle i zamyślała się.**

**Po 20 maja przybył na Temę Kalina. Zoe spotkała go przy drzwiach pracowni Andrzeja.**

**Wład był niezwykle wzburzony.**

**–To jest nieludzkie! – krzyknął jeszcze od progu w stronę astronoma, stojącego w głębi pracowni.**

**–Już ci mówiłem – usłyszała Zoe nieco podniesiony głos Krawczyka – że nie widzę szans, przynajmniej takich, które uzasadniałyby ryzyko.**

**–Będziesz odpowiedzialny za ich śmierć! Rozumiesz?!**

**–Rozumiem. Ale jestem również odpowiedzialny za los ekspedycji i dlatego nie zgadzam się. Nie możemy sobie pozwolić na stratę jeszcze jednego człowieka, a zwłaszcza fizyka.**

**–To nieludzkie! – powtórzył Wład.**

**–Istotnie, może się to wydawać nieludzkie, brutalne, na zimno wykal-kulowane, ale niestety... Chyba nie wątpisz, że poszedłbym pierwszy, gdyby wolno mi było to uczynić.**

**Drzwi zasunęły się z trzaskiem tak nagle, że Zoe nie mogła się zorientować, czy guzik nacisnął Wład, czy też Andrzej.**

Kalina stał przez chwilę bez ruchu, patrząc ponuro w podłogę. Oddychał ciężko. Odwrócił się wreszcie od drzwi i ruszył przed siebie nie podnosząc głowy.

Zoe zauważył dopiero wówczas, gdy ją mijał. Spojrzał na nią jakoś niepewnie.

–Uspokój się, tak nie można – powiedziała serdecznie.

–Czy ty w ogóle wiesz, o co chodzi?! – przerwał jej gwałtownie.

–Domyślam się. Słyszałam koniec waszej rozmowy.

–To nic nie wiesz! Istnieje szansa ratowania Igora i Suzy – zapalał się coraz bardziej. – Na budowę nowej Dżdżownicy nie ma oczywiście czasu, ale można przecież zbudować długi szyb, a potem chodnik. Opracowałem konkretny plan. To nie potrwa dłużej niż pięć dni.

–Co sądzi o tym Jaro? – zapytała spokojnie, zatrzymując się przy drzwiach prowadzących do pokoju Włada.

–Ach! – machnął ręką. – Z nim nie można się porozumieć. Nawet Zina stała się jakoś głupio ostrożna, chociaż tu chodzi o jej ojca. Myśli, że wystarczy czekać na sygnały, których nie ma i nie będzie...

Weszli do pokoju.

–Czy ty wierzysz, że Igor i Suzy żyją? – odezwała się półgłosem Zoe, jakby w obawie przed tym pytaniem.

–Czy ja wierzę?! Jeśli nawet istnieje jedna szansa na tysiąc, że można ich uratować, to trzeba zbudować szyb! – zawołał nie dając wyraźnej odpowiedzi.

–A jeśli nastąpi nowe trzęsienie ziemi? – zapytała znów Zoe.

–No to co z tego?! – wybuchnął. – Czy dlatego, że brak stuprocentowego bezpieczeństwa, mamy skazywać Suzy i Igora na śmierć? Czy Mary wahała się, choć najlepiej wiedziała, co jej grozi?...

–I zginęła... Pozostaliśmy bez geologów. Bo przecież Daisy trudno jeszcze przynajmniej przez rok brać w rachubę.

–Powtarzasz za Andrzejem oklepane argumenty – spojrzał na Zoe z gniewem.

–Mylisz się. Nie jestem pewna, czy on ma rację. Słyszałam zresztą, że Zina opracowuje nowy typ sondy. Coś w rodzaju robota.

–Ale przecież na to nie ma czasu! – przerwał Kalina. – Trzeba natychmiast

**przystąpić do budowy szybu.**

**–Właściwie sama nie wiem, co o tym sądzić – podjęła Zoe w zamyśleniu. – To, co mówił Andrzej, nie jest pozbawione racji. Już dość ofiar pochłonęła Urpa...**

**Spojrzał na nią półprzytomnym wzrokiem.**

**–Wiem, dlaczego to mówisz! Chodzi ci o mnie! Wiem o tym. Gdyby chodziło o kogoś innego...**

**–Dlaczego sprawiasz mi przykrość? Wiesz, że cię kocham, ale chyba rozumiesz, że w tych sprawach...**

**–Chodzi ci o mnie – powtórzył z uporem, jakby nie słysząc słów Zoe. – Nie wytrzymam... To czekanie... A ja bym wolał... śmierć. Tam!...**

**–Wład!**

**Wyrwał się z obejmujących go ramion dziewczyny i bez słowa wybiegł z pokoju.**

**Następne dni potwierdziły w pełni obawy Zoe: Kalina przyzywał głęboką depresję. Andrzej zakazał mu opuszczać Temę. Po dłuższej rozmowie, przeprowadzonej przy udziale Kory i Zoi, wydawało się przez pewien czas, że wrócił do równowagi psychicznej. Było jednak inaczej. Stał się zupełnie niezdolny do systematycznej pracy. Godzinami przebywał w swoim pokoju, to znów włączył się samotnie po puszczy. Nawet kolejne zakłócenia radiowe, których sprawców pilnie poszukiwali Zoe, Nym i Dean, nie przełamały jego obojętności. A przecież nie tylko potwierdzono niezbicie, że źródłem emisji neutrino jest Toliman B, ale dokonano jakichś podobno rewelacyjnych odkryć.**

**Po zakończeniu badań Zoe chciała podzielić się z Władem swymi odkryciami, ale nie zastała go w pokoju. Postanowiła jednak upewnić się. Ostatnio Kalina często nie reagował na czyjąś obecność. Przeszła więc wokół ścian pokoju, uważnie badając palcami obrazy ukazujące się na plastycznym ekranie.**

**Wydało jej się, że na biurku leży jakby duża karta papieru. Czyżby to była fotografia?**

**Zoe podeszła bliżej biurka.**

**Tak, to była rzeczywiście fotografia.**

**Sięgnęła po zdjęcie, aby zbliżyć je do obiektywu, lecz oto w ręce jej, zamiast całej karty, znalazł się tylko strzępek. Zoe stwierdziła ze zdumieniem, że fotografia była podarta i ułożona na powrót z kawałków.**

**Dziewczyna pochyliła głowę, aby rozpoznać, kogo przedstawia zdjęcie. Długo i uważnie przebiegała palcami po ekranie. Czowała, jak jej serce zaczyna bić coraz gwałtowniej.**

**Była to fotografia Suzy.**

**Powoli uświadamiała sobie związek pewnych niepokojących ją zdarzeń; stawało się dla niej jasne wiele niezrozumiałych spraw.**

**Oni się kochali...**

**Była wstrząśnięta odkryciem. Dotąd miłość przesłaniała jej rzeczywistość. Wład przez cały okres choroby Zoe był bardzo serdeczny i tylko czasami jego zamyślenie wskazywało, że go coś trapi.**

**Początkowo sądziła, że wiąże się to z pracami naukowymi, kiedy bowiem pytała go o powód zmartwienia, starał się kierować rozmowę na ten temat. Potem, gdy już rozpoczęła okres rehabilitacji i przyleciała na Temę, jakby jej unikał. Stale przebywał gdzieś daleko, zbierał materiały do jakiejś większej pracy naukowej, o której opowiadał jej mętnie i chaotycznie. Widywali się później dość często, lecz były to przeważnie krótkie chwile. Zawsze starał się okazywać jej wielką serdeczność. A jednak po spotkaniach pozostawało uczucie goryczy i zawodu. Coś mówiło Zoe, że Wład nie jest szczery, że ukrywa przed nią jakieś kłopoty i zmartwienia.**

**Coraz częściej nie mogła się oprzeć wrażeniu, że te kłopoty związane są z jej osobą. Wówczas Zoe ogarniał strach, iż czułość, jaką Wład jej okazuje, wypływa tylko ze współczucia, że nie miłość, lecz litość dyktuje mu ponawianie propozycji wyznaczenia terminu ślubu. Bolało ją to, a zarazem starała się go usprawiedliwić.**

**Gdybyż wcześniej wiedziała, jaki jest prawdziwy powód nieszczerości Włada... Wydawało jej się, że jest współwinna cierpieniu ukochanego.**

**W ciągu kilku następnych dni nieustannie myślała o tym. Teraz ona unikała spotkania z Władem. Nie wiedziała, jak ma postąpić.**

**Po czterech dniach samotnej rozterki zdecydowała się wreszcie porozmawiać szczerze z matką.**

**Powiedziała Ingrid o miłości Włada do Suzy, o znalezionej fotografii i niektórych zaobserwowanych wcześniej faktach.**

**–Nie wiem, co teraz robić – mówiła z wysiłkiem. – Czy mogę liczyć na to, że mnie naprawdę pokocha? Teraz, gdy Suzy nie żyje, czuję się tak, jakbym była temu winna. Jakie to męczące... Powiedz, mam, jak mam postąpić?**

Ingrid wysłuchiwała córki w milczeniu.

–Tylko czas może być lekarzem – powiedziała wreszcie, dodając jakby z wahaniem:

– Zresztą jeszcze nic nie wiadomo... Trzeba czekać.

–Co nie wiadomo?

–Widzisz... jeszcze jest nadzieja, że Suzy i Igor nie zginęli...

–Jak to?

–Wczoraj wieczorem nadeszła z Urpy wiadomość, że Zina wykryła nowym aparatem odbiorczym jakieś bardzo słabe sygnały ultradźwiękowe. Dochodziły spod ziemi, w odległości czterech kilometrów na północ od Ciemnej Plamy. Wiadomość utrzymywana jest na razie w tajemnicy. Po co niepotrzebnie wzbudzać nadzieje, zwłaszcza u Zoi. Sygnały są bardzo słabe i mogą być związane z jakimiś drganiami w skorupie Urpy. Dziś w nocy Zina i Jaro mieli wprowadzić pod ziemię rodzaj sondy połączonej kablem z powierzchnią. Sonda ta zaopatrzona jest w aparaturę nadawczo-odbiorczą.

Niespodziewanie usłyszały melodyjny sygnał i na ekranie pojawiła się rozpromieniona twarz Czin.

–In! – rozległ się jej głos. – Odezwali się! Żyj! Żyj!

Ekran zgasł.

Ingrid i Zoe stały oszołomione wiadomością. Naraz obie rzuciły się ku drzwiom.

Na korytarzu wpadła na nie Zoja, biegnąca co sił do centrali. Tam już czekali Andrzej, Kora, Nym i Allan. Na ekranie widniała twarz Rity.

–...i znajdują się 970 metrów pod powierzchnią Urpy – kończyła Rita rozpoczęte zdanie. – Obliczają, że nad nimi powinno być jeszcze sześćdziesiąt pięter.

–Sześćdziesiąt pięter?! – Ingrid szarpnęła Nyma za ramię. – Czego?

–Oni są w jakimś podziemnym mieście – wyjaśnił astrofizyk. Tymczasem Rita ciągnęła dalej:

–Trzeba będzie zorganizować większą ekipę. Jaro i Zina przystąpią jeszcze dziś do dalszych zdjęć okolic Ciemnej Plamy. Należy znaleźć dogodne wejście do podziemi, i jeszcze jedna ważna sprawa: Igor zwraca uwagę na niebezpieczeństwo jakichś toksyn. Ekipa musi być odpowiednio przygotowana. Najlepiej, jeśli weźmie w niej udział Zoja. Igor na pewno stęsknił się za nią.

**–Czy oni już wiedzą o Mary? – zapytał Krawczyk i nie czekając odpowiedzi, która wobec odległości 30 milionów kilometrów mogła nadejść dopiero za przeszło trzy minuty, ciągnął dalej: – Wobec ogromnej wagi odkrycia postaramy się zorganizować kilka grup badawczych. Pierwsza wyleci z Temy jeszcze dziś.**

**Drzwi otwały się i stanął w nich Kalina.**

**–Czy... to prawda?...**

**Nic więcej nie był w stanie wymówić.**

**–Żyją i są bezpieczni! Dziś wieczorem, gdy Renę, Ast, Hans i Szu powrócą do bazy, ustalimy na naradzie skład ekip. Igor i Suzy natrafili na miasto podziemne. Stoimy w obliczu nowych, na pewno rewelacyjnych odkryć.**

**Wieczorna narada trwała krótko. Do pierwszej ekipy weszło pięć osób:**

**Renę, Zoja, Szu, Ast i Wład. Poza tym, już na Urpie, miała dołączyć do ekipy Zina. Kierownictwo objął Szu, jako archeolog.**

**Po kolacji Wład poszedł do swego pokoju, by przygotować się do drogi. Wyjął podręczną walizeczkę i zaczął pakować drobiazgi, gdy naraz usłyszał nieśmiało pukanie i drzwi rozsunęły się cicho.**

**Ujrzał w nich Zoe.**

**Dłuższą chwilę stali naprzeciw siebie w milczeniu.**

**–Lecisz na Urpę? – odezwała się wreszcie dziewczyna, nie wiedząc od czego zacząć.**

**–Tak... Przecież wiesz...**

**–Chciałam ci tylko powiedzieć, że... że... to wszystko było wielką pomyłką...**

**–Zoe... – wyszeptał.**

**–Nic nie mów... nie mów... – odwróciła głowę. Była blis"ka płaczu.**

**–Przebacz, Zoe... Ja nie chciałem... Opanowała się:**

**–Nie mówmy o tym, co było. Teraz można i trzeba wszystko naprawić. Powiedz Suzy... że... życzę wam szczęścia...**

**Odwróciła się gwałtownie i wyszła z pokoju, szukając po omacku wyjścia, jak to czyniła w pierwszym okresie po utracie wzroku.**

**Gdy drzwi zamknęły się za nią, zrobiła kilka kroków i oparła się ręką o ścianę. Nie mogła już dłużej wstrzymać łez.**

**W tej samej chwili uczuła delikatne dotknięcie. Czyjaś ręka ujęła jej dłoń łagodnym, serdecznym ruchem.**

**–Kto to? – poruszyła się niespokojnie.**

**–To ja – usłyszała obok siebie głos Allana. – Chcesz, żebym odszedł? Nie odpowiedziała, tylko poruszyła przecząco głową i wsparłszy czoło na ramieniu Allana, znów wybuchnęła płaczem. Gładził delikatnie jej włosy.**

# CZARNE POSĄGI

Trzeciego dnia po przybyciu zespołu Szu na Urpę odnaleziono w odległości 1800 metrów od Ciemnej Plamy zablokowany lodem, szeroki, dobrze zachowany szyb. Prawdopodobnie służył niegdyś za przewód wentylacyjny, doprowadzający powietrze do miasta.

Wydrążenie w osiemdziesięciometrowej warstwie lodowca długiej, pochyłe;

sztolni zajęło kilka godzin. Czwartego dnia, po częściowym oczyszczeniu szybu z lodu, ekipa archeologiczna dostała się do obszernej komory, również niemal całkowicie wypełnionej lodem. Tu odnaleziono bez trudu grube drzwi, za którymi przed oczami sześciorga przybyszów z Ziemi ukazało się wnętrze długiej hali, pełnej jakichś niezwykłych maszyn i urządzeń. Odnalazłszy następne drzwi i przeszedłszy kilkadziesiąt metrów szerokim korytarzem, naukowcy zeszli żłobkowanymi schodami w dół, do wielkiej sali.

Spod sufitu bił zimny, jednostajny blask. Kiedyś musiała tu krzewić się bujna roślinność. Teraz, na skutek niskiej temperatury w górnych dzielnicach miasta, gruba warstwa lodu pokrywała zamarzło przed wiekami pnie i gałęzie, wystające z gleby na kształt powykręcanych kikutów.

Badanie tych dwu sal zajęło cały dzień. Szu starał się zebrać jak najwięcej materiału, koncentrując uwagę na każdym szczególe.

Wieczorem Wład z Ziną powrócili na powierzchnię i wraz z Brabcem przetransportowali w głąb miasta przygotowane na górze plecaki ze składanymi częściami dwóch przenośnych pawilonów oraz przyrządy badawcze dla Zoi.

Następnego dnia ruszono dalej w dół. Tym razem Szu dał się przekonać, aby na razie nie przeprowadzać szczegółowych badań. Najpierw należało dotrzeć do pomieszczeń o temperaturze znośnej dla ludzi i założyć tam tymczasową małą bazę, tak aby Zoja mogła rozpocząć badania i przygotować środki chroniące człowieka przed toksynami produkowanymi przez bakterie urpiańskie. Bez tego nie mogło być mowy o zdjęciu skafandrów, które poważnie utrudniały ruchy.

Dogodne warunki znaleziono dopiero na dwunastej z kolei kondygnacji. Odkryto tu szereg pomieszczeń, które Szu, przystępując do systematycznych prac archeologicznych, uznał za izby mieszkalne.

Znacznie mniej zadowolony z takiego obrotu sprawy był Wład. Od początku wyprawy w głąb podziemnego miasta opanowała go jedna myśl: jak najprędzej ujrzeć Suzy. Zwłaszcza że mimo łączności Dżdżownicy z bazą dziewczyna wyraźnie unikała rozmowy.

Tak minął tydzień. Zoja ukończyła już swe badania i zaczęto wychodzić bez skafandrów również poza pawilony. Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, by przenieść bazę głębiej, gdyby nie Szu, który z ogromną drobiazgowością, niemal piędź po piędzi, badał pomieszczenia mieszkalne. Na uwagi Włada, że warto by już ruszyć dalej, uśmiechał się i powtarzał:

–Nie ma czego się śpieszyć. Zdążymy... zdążymy...

Wład miał jednak za sobą troje sprzymierzeńców: Zoję, Zinę i Renego.

Podobnie jak Wład nie mógł się doczekać spotkania z Suzy, tak lekarka i jej córka chciały możliwie najszybciej zobaczyć się z mężem i ojcem. Zoolog zaś tylko z trudem mógł usiedzieć na miejscu. Zdawał sobie zresztą sprawę z nastroju Włada, gdyż przed odlotem z Temy Zoe powiedziała mu, jak sprawy stoją, i prosiła, aby dyskretnie ułatwił Władowi wyjaśnienie zmiany sytuacji przy spotkaniu z Suzy.

Jedynie Ast, która nie odstępowała ani na chwilę archeologa, broniła stanowiska Szu, zresztą zupełnie słusznego z punktu widzenia jego zadań.

Ostatecznie ekipę podzielono na dwie grupy: Szu i Ast pozostali w dotychczasowej bazie, reszta zaś, pod przewodnictwem Renego, ruszyła w dół.

Już pierwszego dnia przebyto dalszych 18 pięter. Posuwano się głównie schodami i korytarzami, rzadko zbaczając z wytyczonego szlaku, by zwiedzić pobieżnie jakąś ciekawszą salę, przeważnie zarosła krzewami i chwastem. Na razie o zabłądzeniu nie było mowy, gdyż miasto podziemne budowano według dość przejrzystego schematu geometrycznego, który powtarzał się co sześć pięter. Schemat ten, bardzo ułatwiający orientację w podziemiach, odkryty został przez Igora i w ogólnych zarysach przekazany kolegom schodzącym w głąb podziemi.

Na początku drugiego dnia wędrówki lampki bezpieczeństwa zasygnalizowały znaczne natężenie promieniowania. Rosło ono dość gwałtownie. Założono więc skafandry, nie chcąc zbytnio oddalać się od szlaku wyznaczonego sygnałami z Dżdżownicy.

Wład ruszył pierwszy, a dopiero w większej odległości za nim reszta zespołu.

Szedł wolno, rozglądając się z uwagą na wszystkie strony. Korytarz biegł pochyło ku jakiemuś ciemnemu pomieszczeniu. Była to okrągła, zupełnie pusta salka. W środku podłogi widniała owalna płyta, z której wyrastał cienki pręt, sięgający aż do sufitu. Pałająca się czerwono w hełmie lampka sygnalizowała dalszy wzrost natężenia niebezpiecznych promieni.

Kalina uczynił jeszcze jeden krok naprzód i zatrzymał się.

**Płyta drgnęła i uniosła się wolno w górę.**

**Wład odczuł jakby gwałtowny podmuch wiatru. Z głębi otworu biło fioletowe światło. Kalina zbliżył się nieco do włazu, ale lampka w hełmie przybrała jaskrawożółtą barwę. Cofnął się więc pośpiesznie. W ułamku sekundy ujrzał w dole pęk przewodów czy prętów, wystających z żółtawej cieczy.**

**Wyszedłszy na korytarz obejrzał się. Płyta wolno opadała. Widocznie urządzenie działało automatycznie, z chwilą gdy ktoś wchodził do salki.**

**Wład uderzył silnie w podłogę obcasem metalowego buta. W tej samej chwili ujrzał, jak wokół niego wykwitły jasne płomyki i błyskawicznie popęzły ku salce.**

**Jakaś potężna siła rzuciła nim o ziemię. Ogłuszający huk wstrząsnął powietrzem. Ściany korytarza zawirowały przed oczami.**

**Potem już nie czuł nic...**

**Gdy otworzył oczy, ujrzał pochyloną nad sobą zapłakaną twarz Suzy. Znajdował się w przenośnym pawilonie.**

**–Suzy... – wyszeptał z wysiłkiem.**

**Spróbował unieść głowę, lecz przeszył go ostry ból w krzyżu.**

**–Suzy... – powtórzył. Znow próbował się poruszyć.**

**–Spokojnie, Wład,.spokojnie – usłyszał obok siebie głos Zoi. Teraz dopiero spostrzegł, że leży na pneumatycznym materacu bez skafandra, a lekarka przygotowuje się do jakiegoś zabiegu.**

**Suzy klęczała tuż przy Władzie, wpatrując się z niepokojem w jego twarz.**

**–Trzeba zdjąć bluzę – rzuciła półgłosem Zoja. – No i ułożyć go plecami do góry.**

**Teraz zbliżył się Renę i wraz z Suzy wykonał pośpiesznie polecenie lekarki. Mimo że usiłowali jak najdelikatniej poruszać chorego, z ust Włada wyrwał się jęk. Zdawało mu się, że ma pogruchotany kręgosłup.**

**Poczuł dotknięcie chłodnego metalu w okolicach krzyża.**

**–Jeszcze trochę musisz pocierpieć – mówiła Zoja nachylając się nad nim. – Masz szczęście. Nic groźnego – po prostu lekka kontuzja.**

**Ostry, sięgający jakby szpiku ból przeszedł ciało fizyka. Z trudem opanował się, aby nie krzyknąć. Potem poczuł jeszcze dwa dotknięcia, ale już niemal bezbolesne.**

**–Teraz musisz poleżeć parę' minut spokojnie – powiedziała Zoja wstając. Przyjemne ciepło zdawało się rozlewać po mięśniach Włada.**

**–Suzy? – wyszeptał, jakby chciał się upewnić, czy dziewczyna nie wyszła.**

**–Słucham cię – dobiegł go zmieniony, jakby wahający się jej głos,**

**–Jak ja się cieszę... Milczała.**

**–Już wiesz?... – zapytał nieśmiało, odwracając ostrożnie głowę i szukając oczu Suzy.**

**–Wiem...**

**–Mówiłem Suzy, jak sprawy stoją – odezwał się z kąta Renę. Włada ogarnęła jeszcze większa radość. Jakże w tej chwili był wdzięczny Renemu.**

**–Nie gniewasz się już, Suzy?**

**–Ależ, Wład...**

**–Ja tylko... – rozpoczął i urwał. Oczy jego spotkały się ze wzrokiem'zoologa, smutnym i zamyślonym. Poczuł się głupio. Uprzytomnił sobie, że przecież Renę jest ojcem Zoe...**

**–No, Wład, opowiadaj – przerwał milczenie Petiot. – Chcielibyśmy usłyszeć wreszcie, jak.to było z tym wybuchem.**

**–Sam nie wiem. Eksplozja nastąpiła tak nagle...**

**–Miałeś szczęście – odezwał się znów Renę – mogło się skończyć fatalnie. Gdyby nie skafander, nie wiem, czybyś wyszedł żywy. Coś ty tam właściwie robił?**

**–Gdy doszedłem do jakiejś małej salki – przypominał sobie Kalina – otworzyła się nieduża klapa w podłodze. Sądzę, że automatycznie. Poniżej znajdował się z pewnością zbiornik gazu.**

**–Zbiornik gazu?**

**Wład zastanawiał się przez moment.**

**–Były tam jakieś urządzenia pogrążone w przezroczystej cieczy. Chyba uszkodzone. Dość duże natężenie promieniowania. Nad powierzchnią cieczy gaz pod ciśnieniem. Gdy otwierała się klapa, wyraźnie poczułem podmuch.**

**–I zaraz potem nastąpiła eksplozja?**

**–Nie. Cofnąłem się i wyszedłem na korytarz. Chciałem jednak sprawdzić, jak daleko sięga zbiornik, i tupnąłem nogą. Chyba w ten sposób spowodowałem wybuch tego gazu...**

**–Może te urządzenia były zalane wodą? – dorzucił Renć. Kalina gwałtownie uniósł głowę.**

**–To jasne! – zawołał. – Że też o tym nie pomyślałem. Usiadł zapominając zupełnie, że jeszcze przed chwilą taki ruch byłby dla niego torturą.**

**–Przecież to był gaz piorunujący! – wykrzyknął. – Urządzenia jądrowe zalane wodą... Promieniowanie alfa, beta i gamma.rozkładają wodę na tlen i wodór. Jeśli wybuch nastąpiłby w chwili, gdy zaglądałem do otworu...**

**–Nie mów tak, Wład – odezwała się cicho Suzy.**

**–Ależ Suzy, jestem zdrow i cały!**

**Rozpierała go radość. Usiłował zerwać się z ziemi, ale Zoja położyła mu rękę na ramieniu:**

**–Spokojnie. Musisz jeszcze odpocząć.**

**Usiadła przy Kalinie i zaczęła uważnie badać jego mięśnie i kości.**

**–Zdaje się, że większych obrażeń nie ma – powiedziała po kilku minutach, wstając.**

**Wład pochwycił Suzy za rękę:**

**–Usiądź tu przy mnie. Tak się cieszę.**

**Nie opierała się. On objął ją ramieniem i przytulając do siebie, zapytał:**

**–Powiedz, jak to się stało? Skąd znalazłaś się tak nagle między nami?**

**–Niepokoiłiśmy się trochę z Igorem, czy nie zabłądzicie w tym labiryncie. Co prawda podaliśmy wam schemat układu centralnych korytarzy, ale przecież nie mieliśmy pewności, czy na górnych piętrach nie następują jakieś znaczne zmiany. Chciałam to sprawdzić. Ruszyłam więc w górę naprzeciw was. Dźdźownica stoi obecnie na sto ósmym piętrze. Przed dwiema godzinami, gdy dotarłam do sto czterdziestego piętra, usłyszałam huk. Miałam prawo podejrzewać, że chodzi tu o was, i mogłam spodziewać się najgorszego. Nie wiem sama, kiedy przebyłam te osiem pięter. Odnalezienie miejsca wybuchu nie było trudne, gdyż głównym korytarzem walił już gęsty dym, a miernik promieniowania wskazywał znaczny wzrost radioaktywności. Po paru minutach usłyszałam przez radio głos Renego. Odbiór był co prawda**

utrudniony jonizacją powietrza, ale mogłam zrozumieć, iż Renę woła do kogoś, że odnalazł ciebie i że... że ty nie żyjesz. Przetarła ręką czoło.

–To była straszna chwila – dorzuciła jeszcze i umilkła.

–Należy przypuszczać, że główna siła uderzenia gazów skoncentrowała się na niższym piętrze – wtrąciła Zina. – Widocznie ściany tej centrali energetycznej były cienkie, a podłoga w owej salce, o której wspomniałeś, wytrzymała eksplozję. Gdyby było inaczej...

Zoja spojrzała na zegarek, po czym ujęła rękę Włada.

–No, zdaje się, że już. wszystko dobrze – powiedziała klepnąwszy go po ramieniu. – Spróbuj wstać i przejść się.

Spełnił ochoczo polecenie. Nie odczuwał poważniejszych dolegliwości, tylko mięśnie były obolałe i przy chodzeniu dokuczało mu nieco lewe kolano.

–Pójdę zobaczyć, może dym już się rozszedł – Zina sięgnęła po hełm. – Trzeba zresztą sprawdzić, czy jeszcze gdzieś nie ma ognia.

–Rzuciłem cztery igmety – odrzekł Renę. – Powinno chyba wystarczyć, aby pożar wygasł.

–I ja tak myślę, ale trzeba sprawdzić.

Zina nasunęła hełm na głowę i wpełzła do miękkiego, przezroczystego worka, zastępującego w pawilonie przedsiónek-śluzę.

Zjawiała się z powrotem po kilkunastu minutach oświadczając, że można już ruszyć w dalszą drogę. Złożono więc pawilon i załadowano do plecaka. Ze względu na niebezpieczeństwo promieniowania i jakichś trujących spalin, wszyscy pięcioro ubrali się w kombinezony ochronne.

Obawy okazały się zupełnie uzasadnione, gdy po przebyciu 150 metrów podeszli do miejsca katastrofy. Nisko ścielące się żółte gazy i ostrzegawcze światełka sygnalizowały niebezpieczeństwo.

Gdy zeszli schodami na niższe piętro, sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej. Główny korytarz, którym powinni byli przedostać się niżej, aby dotrzeć do Dżdżownicy, zalała na dużej powierzchni jakaś gęsta, oleista ciecz. Przejście przez tę przeszkodę było niepodobieństwem, gdyż ciecz wysyłała promieniowanie o stężeniu zabójczym nawet dla ludzi w skafandrach. Widocznie napłynęła ona ze zniszczonych eksplozją urządzeń energetycznych.

Pozostawało więc zboczyć z głównego salaku i okrążyć zniszczone pomieszczenia. Ślady eksplozji zaznaczały się tu jaskrawo. Wiele bocznych drzwi wyłamał podmuch gazu, podłogi pokrywał pył i drobne odłamki jakichś urządzeń. Przeważnie były to szczątki cienkich, różnokolorowych rureczek.

Minąwszy wreszcie obszerną halę z na wpół zwęglonymi pniami drzew, osiągnęli wąski boczny korytarz.

W przeciwieństwie do innych pomieszczeń nie był on oświetlony, tylko w głębi majaczył niebieskawosiny blask.

Nauczeni przygodą Włada, posuwali się teraz jak najostrożniej, w dużych odstępach jedno od drugiego. Renę, który szedł pierwszy, zatrzymał się w pobliżu światła. Postąpił krok naprzód i naraz cofnął się gwałtownie.

Przez chwilę trwał nieruchomo, patrząc w kierunku, skąd wydobywało się światło, potem zwrócił twarz do towarzyszy, dając, im jakieś znaki.

–Tam... ktoś stoi – usłyszeli pod hełmami jego szept.

Korytarz kończył się ślepym zaułkiem. Panowała tu wszędzie ciemność, tylko naprzeciw, w końcu zaułka, widniał nieregularny, szary otwór o poszarpanych brzegach. Już na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że korytarz był uprzednio zamknięty bardzo cienką ścianą, którą wypchnął podmuch wywołany eksplozją.

Co innego jednak przykuwało uwagę wszystkich. W odległości nie większej niż 4 metry, niemal na wprost otworu, stała, a właściwie jakby czaiła się ciemna postać.

Była ona raczej podobna do ogromnej sowy niż do człowieka, ale patrząc na nią odczuwało się podświadomie, że nie jest to bynajmniej zwykle zwierzę. Renę włączył kamerę holowizyjną i postąpił ostrożnie krok naprzód, lecz tajemnicza istota trwała dalej bez ruchu, odcinając się czarną plamą od widocznej za nią jaśniejszej ściany.

–Czy on... jest żywy? – spytała Zoja. Wszyscy myśleli w tej chwili o tym samym. Renę podszedł już do otworu w ścianie. Uniósł wolno latarkę. Snop białego światła ogarnął zniecka niezwykle postać.

–To rzeźba! – zaśmiał się zoolog i jednym skokiem przesadził otwór. Po chwili wszyscy pięcioro otoczyli kołem duży, czarny posąg. Teraz z bliska, w świetle jarzącym się pod sufitem, można było stwierdzić, że składał się on z dwóch brył: większej, przypominającej tułów, i mniejszej, wyobrażającej przypuszczalnie głowę, o dużej, spłaszczonej czaszce. Dwa szerokie wgłębienia przy pewnej dozie wyobraźni mogły ujść za oczy tej dziwnej istoty.

–Wydaje mi się – rzekł po chwili Renę – że Urpianie uwielbiają kubizm. Nie wierzę,

aby jakiegokolwiek porządnego zwierzę, a co dopiero istota rozumna, mogło mieć tak źle ociosaną głowę.

–Czy istotnie ten posąg wyobraża Uipianina? – zapytała z wahaniem Suzy. – Nie widać nawet śladu rąk.

–Te wyźłobienia można na upartego uznać za zarys skrzydeł – Wład wskazał na regularne rysy biegnące po powierzchni tułowia posągu.

–Może to jakiś latający potwór? – dorzuciła Zina. – Czy to nie wygląda na dziób?

Dotknęła palcem wypukłości w dolnej części głowy posągu, poniżej oczu.

–Urpiańskie zwierzaki latające nie mają dziobów – sprostowała Suzy – przynajmniej te, które spotkaliśmy.

–Ale ten może mieć dziób – upierała się Zina. – Przecież takiego dużego nie spotkaliście.

–Czy jednak nie jest to Urpianin? Spójrzcie na głowę: kilka razy większa od naszej – odezwała się Zoja.

–To jeszcze nie jest żaden dowód – zaprotestowała Suzy. – Gdyby przyjąć, że rozmiary posągu odpowiadają wielkości modelu, to raczej należałoby wykluczyć możliwość, że to Urpianin. Z wymiarów przejść i sprzętów można wnioskować, że wzrost tych istot nie może przekraczać 120 centymetrów, a ten posąg ma ponad dwa metry. Jeśli zaś założyć, że posąg jest nadnaturalnej wielkości, wówczas równie dobrze może on wyobrażać małego ptaszka.

Renę, Wład i Suzy oddalili się nieco, penetrując pomieszczenie. Był to jakby odcinek wąskiego korytarza, który – w przeciwieństwie do innych ulic urpiańskiego miasta – nie biegł prosto, lecz zataczał regularny łuk, opadając wolno w dół, a z przeciwnej strony wznosząc się łagodnie w górę.

Przeszli kilkanaście kroków, gdy naraz zza zakrętu wyłonił się drugi czarny posąg, podobny do pierwszego.

–Ten jest trochę inny – zdziwiła się Zina. – Jakby siedział na trójnogu. Wyraźnie widzę trzy nogi stołka.

–A może to jego własne nogi – zażartował Renę.

–Takich nóg nie może mieć żadna żywa istota. Wyglądają zupełnie jak klocki.

–Jest i trzecia rzeźba – przerwał im głos Suzy, która wraz z Władem zeszła niżej.

**Zoja, Zina i Renę przyśpieszyli kroku. Zoolog nie zatrzymał się jednak przy Suzy i Władzie, lecz począł schodzić jeszcze niżej, utrwalając w krystalicznej pamięci kamery obraz wnętrza korytarza. Twarz jego była w tej chwili skupiona i poważna.**

**–Chodźmy dalej!**

**Niezwykły korytarz skręcał nieustannie w prawo, opadając coraz niżej. Nie ulegało wątpliwości, że jest on czymś w rodzaju kręconych schodów. Brak bocznych drzwi nasuwał porównanie z wieżą średniowiecznego zamczyska.**

**Czarne posągi były rozstawione na wysokich ławach, w równych odstępach, pod jedną, to znów pod drugą ścianą korytarza. Każdy nieco inny, choć wszystkie wyobrażały te same istoty, podobne do ziemskich sów. Ściany tej „klatki schodowej” pokryte były na całej powierzchni wypolerowanymi kulkami wielkości orzechów włoskich.**

**–Z czego mogą być te kulki? – zwrócił się zoolog do idącej obok niego Ziny. Wzruszyła ramionami.**

**–Trzeba by przeprowadzić analizę. Zewnętrznie przypominają platynę.**

**–Może wydobyć jedną? – zaproponował niepewnie Wład. '**

**–Po co niszczyć. Sporo okruchów leży wyżej, w tym miejscu gdzie eksplozja rozbiła ścianę. Możemy zebrać kulek pod dostatkami.**

**–Idę! – Kalina szybko zawrócił.**

**–Pójdę z tobą – powiedziała Suzy. – Zbierzemy trochę tych kulek i zaraz wrócimy – zwróciła się do Renego.**

**–Idźcie! My tu zaczekamy.**

**Renę wspiął się na ławę między posągami. Przeciwległa ściana, o większej krzywiznie niż ta, pod którą stał obecnie, nie sięgała sufitu, oddzielona od**

niego ciemną szparą. Zoolog poświecił latarką, ale snop światła nie napotkał przeszkody.

–Co o tym myślisz? – zwrócił się do Ziny, wskazując w górę.

–Chcesz, abym tam zajrzała? – zapytała domyślnie.

–Właśnie.

–Jeśli potraficie podnieść mnie tak wysoko. Ta ściana ma chyba ze trzy metry – Staniesz na głowie posągu.

–Racja! – Zina podeszła do czarnej statui. Renę oparł się o posąg rękami, a Zoja pomogła córce wspiąć się w górę. Po kilku sekundach jej hełm zniknął niemal cały w szczelinie.

Przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko przyspieszonym oddechem Ziny.

–Co widzisz? – nie wytrzymał zoolog.

–To wprost fantastyczne – oznajmiła Zina. – Jakby jakaś głęboka okrągła studnia. Bez własnego oświetlenia. Światło przedostaje się tylko z korytarza.

–Mówisz, studnia?

–Oczywiście nie dosłownie. Korytarz, którym schodzimy, biegnie spiralą w jej ścianach.

–Czy widzisz dno?

–Chyba tak. Ale nie jestem pewna. To bardzo głęboki szyb. Najciekawsze, że i tu, niemal na brzegu, również stoją posągi. Nawet nieco większe.

–Czy ściany też są pokryte kulkami?

–Tak. Ale bardzo rzadko.

–Ciekawe...

Zza zakrętu wyłoniły się sylwetki Włada i Suzy. Oboje szli wolno, z pochylonymi głowami, jakby szukając czegoś na ziemi.

–Przyjrzyjcie się dobrze posadzce – powiedziała tajemniczo Suzy.

**–Jakby mozaika – zauważyła Zoja.**

**–Tak to wygląda – skinął głową Renę. – Tylko bardzo zagmatwana, aż nieprzyjemna dla oka.**

**–Czy nie widzicie pięciokątów? O, tu! – Wład wskazał ręką. Istotnie, przy uważnym przyjrzeniu się posadzce można było zauważyć duże, foremne pięciokąty, otoczone ciemniejszą mozaiką. Cała powierzchnia pokryta była drobnymi plamkami czy ziarenkami, białymi, szarymi, czarnymi i brunatnymi. Łączyły się one w większe i mniejsze grupy, linie i jakby rysunki. Za każdym poruszeniem głowy plamy te zmieniały kształt, zdawały się migotać, oddalać, to znów zbliżać, a nawet chwilami znikają zupełnie, roztapiając się w czerni lub błyszczącej bieli.**

**–Pomóż mi zejść. Muszę to zobaczyć – powiedziała Zina.**

**–Co ty tam robisz? – zdziwiła się Suzy. Dopiero teraz ją spostrzegła. Zina w krótkich słowach wyjaśniła cel swojej wspinaczki i opowiedziała o odkryciach.**

**–Ten spiralny korytarz może biec wiele kilometrów – zakończyła relację i oparłszy nogę na ramieniu Renego zeskoczyła zręcznie na posadzkę.**

**–Nie wiadomo więc, czy idąc nim, znajdziemy jakieś boczne-drzwi – odezwał się Wład.**

**–Tak – powiedziała Suzy. – Warstwa pyłu na podłodze jest tu bardzo cienka, w przeciwieństwie do innych pomieszczeń, gdzie sięga nieraz kilku albo kilkunastu centymetrów. Należy stąd wnioskować, że pomieszczenia te były odcięte od innych i pozbawione wentylacji.**

**–Igor pewno się już niepokoi... – powiedziała Zoja.**

**–Podzielmy się na dwie grupy – zdecydował Renę. – Ty, Suzy, z Zoją i Ziną wróćcie i spróbujecie odnaleźć radioaktywny ślad, który pozostawiłaś idąc tutaj. Ja z Władem zejść tym ślimakiem aż do dołu, jeśli nie napotkamy jakichś przeszkód. Potem wrócimy i dojdziemy po waszych śladach. Nie mam ochoty spać w skafandrze na podłodze.**

**–No, idziemy – zwróciła się Zoja do Suzy. Fizyczka spojrzała niepewnie na Renego. Żal jej było rozstawać się z Władem. Wahanie nie trwało jednak długo.**

**–Idziemy – powiedziała zdecydowanie.**

**Zina otworzyła torbę i wyjęła kamerę holowizyjną.**

**–Zrobię jeszcze parę zdjęć tych mozaik. Ciekawa jestem, co na to powie ojciec. Czy**

wiecie, że z góry to zupełnie inaczej wygląda? Mogłabym przysiąc, że w tych pięciokątach dostrzegałam chwilami jakby obrazy, niewyraźne, ale obrazy. O tu! – wskazała na jeden z pięciokątów. – Widziałam coś w rodzaju budowli.

# ICH OCZAMI

Suzy, Zoja i Zina dotarły do Dżdżownicy nadspodziewanie szybko. Wyszędłszy ze „studni” – jak zaczęto nazywać szyb otoczony spiralnym korytarzem.– fizyczka już po przebyciu kilkudziesięciu metrów odnalazła drugie żłobkowane schody, oddalone zaledwie o 300 metrów od schodów zablokowanych promieniotwórczym płynem.

Rozkład sal i korytarzy powtarzał się co sześć pięter z matematyczną regularnością. Toteż dzięki dobrej orientacji Suzy bez trudu odnaleziono ślad prowadzący wprost do miejsca, gdzie tkwił podziemny statek.

Igora zastały przed Dżdżownicą. Gdy spostrzegł żonę i córkę, podbiegł do nich i w milczeniu przycisnął do siebie. Zazwyczaj opanowany, tym razem stracił zupełnie swą zwykłą sztywność i spokój. Słyszał huk eksplozji i blisko dziesięć godzin niepewności o życie Zoi, Ziny, Suzy, Renego i Włada wytrąciło go zupełnie z równowagi. Jak wynikało z kierunku wstrząsu zarejestrowanego przez sejsmografy, wybuch nastąpił w pobliżu trasy, którą miała poruszać się grupa. Niepokój Igora był tym większy, że przecież żywo jeszcze stała mu w pamięci niedawna wiadomość o śmierci Mary.

Suzy opowiedziała Igorowi o ostatnich odkryciach. Słuchał, kiwając w milczeniu głową.

–Macie te kulki przy sobie? – odezwał się wreszcie, gdy skończyła. Suzy sięgnęła do torby i podała geologowi garść błyszczących „orzechów”.

–Istotnie, bardzo przypominają platynę – rzekł przyjrząwszy się im z uwagą. – Co prawda waga ich jest zbyt mała, ale przecież mogą być tylko z wierzchu pokryte platyną. Chodźmy do statku.

Gdy znaleźli się w laboratorium, już bez skafandrów, Zina włożyła jedną z kulek do analizatora. Na małym ekranie ukazały się trzy koncentryczne pierścienie.

–Miałeś rację – zwróciła się do ojca. – Widać wyraźnie dwie warstwy i lekkie jądro. Zaraz się dowiemy, z czego to zrobione. Zaczęła manipulować przyciskami.

–Nie bardzo rozumiem, jaki sens ma budowa takich krętych, jak mówicie, schodów bez drzwi – zastanawiał się Igor. – Pokażcie mi zdjęcia tych mozaik.

Suzy postawiła kamerę na stoliku i już miała wyjąć kryształ pamięci, gdy naraz spostrzegła w stojącym pojemniku trzy niebieskawe, przezroczyste krążki.

–Co to?

–Znalazłem te płytki zaraz po twoim odejściu w jednej z salek mieszkalnych.

**Przyjrzyj się dobrze tym krążkom.**

**Suzy wzięła jedną z płytek w palce. Była zrobiona z lekkiej masy plastycznej. Fizyczka wyjęła z kieszeni lupę i uważnie przyjrzała się powierzchni krążka.**

**–Jak myślisz? – zapytał Igor. – Co to może być?**

**–Nie wiem. Zupełnie nie wiem. Widziałam kiedyś, jeszcze na Ziemi, w muzeum, starodawne płyty gramofonowe. Te krążki są do nich podobne. Geolog mrugnął zachęcająco.**

**–Jesteś chyba bliska prawdy.**

**–Czyżby to były także... płyty gramofonowe? Igor pokręcił przecząco głową.**

**–Na tych płytkach istotnie dokonano zapisu. Tylko że nie mechanicznego ani magnetycznego, lecz chemicznego.**

**–To może uda nam się usłyszeć głos Urpian? Czy próbowałeś przekodować cyfrowo zapis? – spytała Zina podchodząc do ojca.**

**–Tak. Ale na razie bez rezultatu. W ogóle wydaje się wątpliwe, aby to był zapis dźwięków.**

**–A może jest to pismo istot, które zamieszkiwały to podziemne miasto?**

**–Właśnie o tym myślę... – odrzekł Igor z wahaniem. Zina wróciła tymczasem do analizatora.**

**–Mam już wynik! – zawołała odrywając wystającą z aparatu taśmę. – Zgadliśmy! Zewnętrzna skorupa kulki zrobiona jest z platyny.**

**–A dalej? – zapytał Igor podchodząc do aparatu.**

**–Druga warstwa to chyba jakiś spiek ceramiczny. Skład dość zawiły. A w środku? – zastanawiała się.**

**Geolog wyjął z jej rąk kartkę, przyglądając się wydrukowanym cyfrom.**

**–Interesujące... – mruknął. – Druga warstwa jest na pewno ceramiczna, ale jądro?**

**–Ależ to chyba popiół! – zawołała nagle Zina.**

**–Słusznie. To jest popiół pochodzenia organicznego – stwierdził geolog. Zapanowała cisza. Stojąca przy stoliku Suzy położyła z powrotem trzymaną w rękę płytkę.**

**–Nie znajdziemy ICH chyba ani żywych, ani umarłych – powiedziała cicho. Igor w milczeniu skinął głową.**

**–Co przez to rozumiesz? – zapytała Zoja.**

**–Tamta studnia to... mauzoleum.**

**–Każda z tych kulek byłaby więc miniaturową urną?**

**–Chodźmy obejrzyć zdjęcia – przerwał Igor sięgając po leżącą na stole kamerę. Wyciągnął pospiesznie kryształ i wsunął w gniazdo fotolektora.**

**Zina sięgnęła do przycisku i na ekranie zaczęły migotać widoki jakichś korytarzy i sal, pełnych maszyn, zamarzłych krzewów i traw. Potem zwolniła tempo; ujrzeli jakieś zdemolowane eksplozją urządzenia, wreszcie cienką warstwę zielonkawej, oleistej cieczy.**

**Naraz w centrum ekranu pojawił się czarny posąg. Obracał się pozornie wokół osi, rosnąc szybko.**

**–Czekaj! – Igor chwycił córkę za rękę dając jej znak, by zatrzymała projekcję. Podszedł do szafki i wyjął stamtąd duże zdjęcie.**

**Cztery głowy pochyliły się nad błyszczącą kartką. Widoczna była na niej jakaś płaskorzeźba. W otoczeniu geometrycznie stylizowanych liści czy kwiatów widniała nieduża, wryta jakby kilkoma uderzeniami dłuta, ptasia twarz. Podobieństwo z głową posągu było uderzające.**

**–Jedź dalej!**

**Posąg znikł. Po chwili na krótko ukazał się drugi.**

**Niespodziewanie centrum ekranu zajął duży, foremny pięciokąt.**

**–To jednak obraz... – powiedziała Zina zatrzymując projekcję. Istotnie to, co widziano na ekranie, nie stanowiło już zagmatwanego zespołu plam, jakie oglądali w korytarzach mauzoleum. Obraz co prawda nie był czysty – kontury przedmiotów zamazane, a przede wszystkim nieco przypominał kolorowy negatyw – barwy były jednakże soczyste i bez zbytniego wysiłku wyobraźni uczeni mogli domyślić się, co ów obraz przedstawia.**

**Na pierwszym planie widniała jakby wysoka wieża, zbudowana z prostokątnych płyt, obok mniejsza, o okrągłych, ciemnych otworach. Wokół tych budowli krzewiła się bujnie żółta roślinność. Czarne niebo przyprószone było czerwonym nalotem.**

**–Dlaczego gołym okiem nic nie mogliśmy rozróżnić? – wyszeptła Zoja. Igor zastanawiał się dłuższą chwilę.**

**–Częściowo da się to wytłumaczyć innym uczuleniem kamery na barwy, niż to zachodzi w wypadku naszego oka.**

**–Ale tamten obraz był zupełnie zamazany.**

**–Zamazany, mówisz?**

**Zina znów włączyła aparaturę. Obraz na ekranie szerniał, zamigotał i naraz pojawiła się szeroka równina, porośnięta pojedynczymi krzewami. Niebo było tu jasnozielone. Biegła przez nie długa, rozszerzająca się ku dołowi, czerwona smuga.. – Przecież to jest zdjęcie tego samego pięciokąta!**

**–Przesuń dalej – polecił Igor.**

**Znów ukazały się jakieś budowle, tylko liczniejsze i bardziej zwarte. Zza wyniosłej wieży wyglądał fragment białego krążka, podobnego do tarczy Proximy lub Sel.**

**. Gdy Zina znów włączyła aparat, obraz zniknął i tylko czarny pięciokąt widniał w centrum ekranu.**

**–Czy to już wszystko? – zapytał geolog.**

**–Mam jeszcze tylko kilka ujęć ukośnych.**

**Tym razem obrazy okazały się bardzo niewyraźne i migocące.**

**–Czy mogłybyście w przybliżeniu określić, gdzie na tym piętrze, za którymi ścianami przebiega studnia-mauzoleum? – zwrócił się Igor do Suzy. – Chciałbym koniecznie tam się dostać.**

**–Sądzę, że nietrudno będzie odnaleźć jakiś korytarz przechodzący w pobliżu. Czy chcesz poprowadzić Dżdżownicę?**

**–To zależy od tego, czy dostęp do spiralnego korytarza będzie łatwy czy trudny.**

**Po dwóch godzinach znaleziono w głębi bocznego korytarza dogodne miejsce dla przebicia otworu do podziemnego grobowca. Pomiar ultradźwiękowy grubości ściany wykazał, że ma ona na odcinku paru metrów grubość nie większą niż 20 centymetrów. O tym, że po przeciwnej stronie znajduje się kręty korytarz, mówiły cienie kulek na ekranie.**

**Zina i Suzy zajęły się wycięciem kwadratowego otworu, tak aby można było wsunąć się do wnętrza mauzoleum. Zazwyczaj bardzo rozmowna Zina była tym razem**

**milcząca i zamyślona. Tajemnica znikających obrazów nie dawała jej spokoju. Po głowie snuły się różne hipotezy.**

**Gdy wreszcie otwór był gotowy, przeczołgała się na drugą stronę i klękawszy na posadzce, poczęła z uwagą badać jeden z pięciokątów rozmieszczonych co parę metrów wzdłuż korytarza. Suzy pozostała jeszcze po drugiej Stronie otworu, czekając na Igora i Zoję, którzy wrócili do statku, by zawiadomić bazę o ostatnich odkryciach. Zjawili się zresztą wkrótce i po naradzie postanowiono, że Igor z Zina pozostaną w pobliżu otworu, Suzy z Zoją zaś wyruszą w dół, na spotkanie Renego i Włada.**

**Spiralny korytarz nie różnił się od tego, który już widzieli na sto pięćdziesiątym piętrze. Tylko posągi miały mniej kubistyczny kształt.**

**Zoja i Suzy szły szybkim krokiem, z rzadka zatrzymując się przy ciekawszej rzeźbie czy kompozycji zdobniczej. Tempo nadawała Suzy, która chciała jak najprędzej znów zobaczyć Włada.**

Korytarz zdawał się nie kończyć. Już wyraźnie odczuwały wzrost temperatury w miarę głębokości. Wreszcie po blisko dwóch godzinach marszu wyjęły z plecaków skafandry, gdyż gorąco stawało się nie do zniesienia. Według obliczeń Suzy, znajdowały się na głębokości dwudziestego piętra.

–Przecież korytarz nie może biec w nieskończoność – denerwowała się fizyczka.

–Spróbuj wejść na tę ścianę tak jak Zina – zaproponowała Zoja. – Może uda się nawiązać z nimi łączność przez radio.

Po krótkiej chwili Suzy była już na szczycie i przechyliwszy się ku wnętrzu studni, zaczęła nawoływać:

–Wład! Renę! Wład! Halo! Halo! Odpowiedziało jej milczenie.

Głęboko w dole majaczyło w niebieskawej poświacie dno szybu. Suzy zawołała jeszcze kilkakrotnie, po czym zeskoczyła z trzymetrowej ściany wprost na posadzkę.

–Co ty robisz? – zganiała ją Zoja. – Możesz nogi połamać. Tu jest za duże ciężenie! To nie Sel albo nawet Tema.

–Chodźmy już dalej – przerwała niespokojnie Suzy zakładając plecak. – Pozostało nam chyba nie więcej niż 300 metrów szybu.

–A więc około trzech kilometrów korytarza.

Znów ruszyły w dół. Suzy coraz bardziej przyspieszała kroku, raz po raz spoglądając na zegarek. Zoja liczyła w myślach mijane posągi.

Po blisko półgodzinnym marszu korytarz począł się wreszcie rozszerzać. Suzy była niemal pewna, że dochodzą do dna „studni”.

Nieoczekiwanie korytarz przybrał położenie poziome i ukazała się wielka, czarna płyta, zamykająca dalszą drogę. Suzy i Zoja podeszły do przegrody pokrytej pionowymi kolumnami jakichś znaczków. Nigdzie wokół nie było widać żadnego przejścia.

Renę i Wład zniknęli.

–Może jest tu jakiś ukryty mechanizm odsuwający tę płytę? – powiedziała Zoja.

–Może – Suzy rozejrzała się niepewnie wokoło.

**Zoja wyjęła z torby niewielki przyrząd do badania składu atmosfery. Z płaskiego walca wysunęło się kilka cienkich igiełek. Niektóre z nich zaczęły szybko zmieniać barwę.**

**–Czad!**

**–Myślisz, że?...**

**–Może leżą gdzieś za tym murem, zaczadzeni? Jeśli choćby na parę minut zdjęli hełmy...**

**–Pomóż mi! – Suzy stanęła przy posągu, wskazując w górę. Ściana oddzielająca korytarz od „studni” była tu nieco niższa, tworząc półkę nad głową statui.**

**Po paru próbach przy pomocy Zoi udało się fizycznie wspiąć na mur.**

**–Można zejść – zakomunikowała Suzy. – Nawet niewysoko. Czekać na mnie!**

**–Mów cały czas, co widzisz! Suzy zniknęła za murem.**

**–Jestem już na dole! Widzę pięć niskich, bardzo niskich drzwi. Właściwie bram. Za nimi wiele rzeźb!**

**–Uważaj na siebie!**

**–Bardzo tu widno! Świetlne zygzaki na suficie! Jak wąż! Idę dalej... Włada na razie nie... Głos ścichł i urwał się.**

**–Suzy! – zawołała Zoja.**

**Nie było odpowiedzi. Co prawda krótkie fale, na których pracowały aparaty radiowe w hełmach, miały niezbyt duży stopień uginania, ale utrata łączności nastąpiła niepokojąco nagle.**

**Zoja ułożyła plecaki jeden na drugim i próbowała wspiąć się sama na posąg. Nie było to jednak możliwe.**

**Zaczęła nerwowo krążyć po korytarzu, co chwila spoglądając na zegarek.**

**Upłynął kwadrans, pełen męczącego oczekiwania. Zoja już zaczynała zastanawiać się, czy nie ruszyć z powrotem po pomoc, gdy niespodziewanie rozległ się pod jej hełmem głos Renego:**

**–Halo, Zoja! – zoolog siedział na murze i kiwał na lekarkę.**

**–Co się z wami stało?! – wybuchnęła Zoja. •- Już myślałam, że znowu...**

**–Prosimy, księżno, do pałacu – Renę uśmiechał się niezbyt mądrze.**

**–Nie wygłupiaj się! Co tam macie?**

**–Zaraz zobaczysz! Trzymaj! – spuścił w dół drabinkę sznurową, którą widać odnalazł w swych przepastnych kieszeniach. W chwilę później Zoja znalazła się po drugiej stronie muru.**

**Dno „studni” przypominało rzeczywiście nieduży dziedziniec wewnętrzny jakiegoś ziemskiego pałacu. W jego środku ustawiona była czarna kula o blisko dwumetrowej średnicy, na okrągłym, płaskim postumencie. Posadzkę pokrywała gruba warstwa pyłu, na której buty Renego, Włada i Suzy pozostawiły wyraźne ślady. Prowadziły one do pięciu niskich, zdobionych ornamentami bram, wybiegających w różnych odstępach z dziedzińca.**

**Renę poprowadził Zoję poprzez jedną z tych bram i oto znaleźli się w jasno oświetlonej, trójkątnej sali. Po jej suficie, w odległości paru metrów od ścian, biegł jaskrawo świecący wąż. W centrum świetlistego kręgu stała Suzy z kamerą holowizyjną; w głębi przy ścianie klęczał Wład badając jej powierzchnię.**

**Zoja rozejrzała się po sali. Na pierwszy rzut oka nie było tu niczego nowego:**

**mozaiki ścienne i posągi różnej wielkości.**

**–Jak ci się podobają tutejsi realiści? – zapytał Renę, takim tonem jakby oczekiwał osobistego uznania.**

**Dopiero teraz spostrzegła, że zoolog bynajmniej nie żartuje, mówiąc o realizmie rzeźb. W przeciwieństwie do posągów w korytarzach, noszących znamiona kubizmu, stojące tu pod ścianami rzeźby tak plastycznie odtwarzały rzeczywistość, że Zoję przeszedł dreszcz. Zewsząd patrzyły na nią oczy jakże niezwykłych zwierząt, różniących się nie tylko kształtem i wielkością, ale i barwnością polichromowanej powierzchni. Były tam potwory przypominające ziemskie jaszczury, „ptaki” czy może „owady” o tęczowych skrzydłach i wąskich, błyskających zębami paszczach, stwory nie większe od wróbli, z głową osadzoną na długiej cienkiej szyjce, to znów grube, sześciopalcowe „ropuchy” o wyłupiastych oczach.**

**Zoja i Suzy szły teraz wolno przez to istne muzeum osobliwości, pilnie wypatrując urpiańskiej „sowy”. Jednak pośród wielu zwierząt, pozornie do niej podobnych, nie znalazły żadnej istoty, którą mogłyby bez wahania uznać za pierwowzór tamtych rzeźb w mauzoleum.**

**–Szukacie starych znajomych – rzekł Renę – ale ich tu nie znajdziecie. Może są tam! – wskazał szerokim gestem mozaiki na ścianach. – Ale to, niestety, nie dla naszych oczu. Czy wiesz, co to jest? – zwrócił się do Zoi.**

**–Obrazy. Suzy wam mówiła...**

**–Mówiłam – potwierdziła fizyczka. – Ale już sami na to wpadli. Są to obrazy stereoskopowe. Tu jednak ich faktura jest niepomernie bardziej skomplikowana niż tam na górze, w korytarzach.**

**–Zoja chciała podejść do Włada, lecz sygnał lampki bezpieczeństwa zatrzymał ją w pół drogi.**

**–Emisja beta! – zaniepokoiła się lakarka. – Dobrze, że jesteśmy w kombinezonach.**

**–Źródło promieniowania znajduje się w podłodze – wyjaśniła Suzy. – Elektrony biją pionowo w górę, wywołując fluorescencję tego węża na suficie.**

**–Ale to przecież nie jest wcale obojętne biologicznie. Czyżby nie potrafili inaczej rozwiązać sprawy oświetlenia?**

**–Z pewnością potrafili. Może chodziło o stworzenie niewidzialnej ściany zjonizowanego gazu, która odbija fale radiowe?**

**–Dlatego straciliście z nami łączność. Teraz rozumiem. Ale po co im taka przegroda?**

**–Po co? Po prostu są to „barierki” ostrzegawcze w muzeum: nie dotykać eksponatów! – zażartował Renę.**

**–Czy wiesz, że tutejsze zwierzęta emitują i odbierają sygnały elektromagnetyczne? – wtrąciła Suzy. – Chyba cię to zainteresuje?**

**–Też pytanie! – zoolog aż podskoczył z wrażenia. – Dopiero teraz mi o tym mówisz?! Gdzie są te zwierzęta i skąd wiesz, że to łączność radiowa?**

**Nie otrzymał odpowiedzi. Suzy wydała okrzyk przestachu i podbiegła do Włada, który zdjął hełm i przez kieszonkowy mikroskop zaczął badać powierzchnię mozaiki. Głos jej urwał się po przekroczeniu niewidzialnej przegrody, ale z gwałtownej gestykulacji łatwo było domyślić się, jak bardzo jest zdenerwowana.**

**Wład założył hełm z ociąganiem, wyraźnie przynaglany przez Suzy. Wreszcie wstał z klęczek i oboje wrócili na środek sali.**

**–Były zestawiane z pewnością za pomocą jakichś precyzyjnych instrumentów – Renę i Zoja usłyszeli jego pełen podniecenia głos. – Struktura bardziej złożona niż początkowo myślałem. Co więcej, wygląda na to, że co najmniej niektóre z tych mozaik zawierają nie jeden, lecz wiele obrazów stereoskopowych, nałożonych jak gdyby, na siebie. Dlatego tak trudno nawet jednym okiem dostrzec jakiś konkretny**

**obraz. Chyba przeszkodą są tu mimowolne ruchy gałki ocznej.'**

**–Jak oni mogli oglądać te obrazy? Czy myślisz, że ich narządy wzrokowe miały jakieś szczególne właściwości? – zastanawiała się Suzy. – A może używali specjalnych przyrządów optycznych? Czytałam gdzieś, że w pierwszym okresie stereokina na Ziemi stosowano dwubarwne okulary.**

**–Na pewno nie chodzi tu o tak prymitywne środki.**

**–Oczywiście. Nie to miałam na myśli. Zastanawiam się, czy nie jest to tylko problem techniczny.**

**–Dla nas?**

**–Właśnie! Trzeba robić zdjęcia z kamer całkowicie nieruchomych. Szkoda, że nie wzięłam statywu.**

**–Jest tu jeszcze sprawa różnic w uczuleniu na barwy – zauważył Renę.**

**–Jeśli narząd wzroku Urpian tak bardzo różni się od naszego, to nigdy nie poznamy prawdziwego piękna tych mozaik – westchnęła Zoja.**

**–Piękna? Nie wiem. Ale poznamy świat w nich zapisany. Zobaczymy te obrazy! – powiedział Wład z przejęciem. – Musimy zobaczyć! To przecież kopalnia wiadomości o tym świecie – wskazał na ściany. Niemal od podłogi do sufitu mieniły się one bogactwem barwnych elementów. Tak samo jak „obrazy” na podłodze w korytarzach, za każdym poruszeniem głowy ściany zmieniały wygląd, nieprzyjemnie kłując wzrok interferencją plam.**

**–Zobaczymy te obrazy – powtórzył Wład. – Zobaczymy je oczami Urpian. I choć widoki przybiorą kształt- naszych wrażeń wzrokowych, będą tak samo wierne rzeczywistości, jak tego chciał urpiański artysta.**

**–O czym ty mówisz? – Renę zmarszczył brwi. – Nie bardzo rozumiem. Chociaż... Chyba masz rację.**

**–Jestem pewien, że potrafię zbudować takie oczy, które pozwolą nam zobaczyć świat, który te mozaiki odtwarzają. Zobaczyć, obraz przełożony na język naszych oczu, ale prawdziwy – Wład zapalał się coraz bardziej. – Bo przecież to, co zestawiono w obraz z drobnych, kolorowych kryształków, istniało naprawdę, było realne, miało kształt i cienie, a więc może być ujrzane każdym okiem. Każdym narządem, który odbiera wrażenia optyczne, dokonuje lokalizacji przestrzennej i wyczuwa różnice w promieniowaniu, podobnie do naszych oczu, czy to będzie oko'Urpianina, Temida czy Człowieka.**

**Zadanie skonstruowania „oczu Urpianina” nie należało w zasadzie do trudnych, jeśli zakładało się, że narząd wzroku tych istot pod względem budowy optycznej nie różnił się od ludzkiego. Na to, by można ujrzeć plastyczność obrazów Urpian, trzeba było na nie patrzeć dwójgiem oczu, oddalonych ód siebie na przeciętną odległość gałek ocznych tych istot. Oczywiście nie sposób zmienić rozstawu źrenic oczu ludzkich. Zbudowano więc przyrząd podobny do dwuocznego peryskopu, który za pomocą prostego zespołu lusterek pozornie te źrenice oddalał lub zbliżał.**

**Poważniejsze problemy konstrukcyjne stwarzał fakt, iż mozaiki urpiańskie były nie tylko obrazami stereoskopowymi, lecz również kinetoskopowymi. Już nieznaczna zmiana kąta widzenia wywoływała wrażenie ruchu: obraz ożywiał się – chmury przesunęły się po niebie, gałęzie drzew jakby poruszał wiatr, zwierzęta zmieniały pozycje.**

**Dla ludzi te zmiany, nawet przy nieznacznym ruchu głowy, następowały zbyt szybko, co wywoływało wrażenie przenikania i rozmywania elementów wizji. Trzeba więc było umieścić przyrząd na statywie i poruszać nim bardzo wolno za pomocą mechanizmu sterowanego zdalnie, tak aby mimowolne drgania mięśni nie powodowały zakłóceń. Rozwiązaniem tych problemów zajęła się Zina z Władem. Suzy, jako specjalistka od promieniowań, opracowała w tym czasie zespół przetworników rozszerzających zakres widzialności oka ludzkiego również na znaczny obszar podczerwieni i nadfioletu, odgrywających istotną rolę w „kolorystyce” Urpian.**

**Zasadniczą trudność stwarzały ograniczone możliwości technicznego warsztatu Dżdżownicy. Niemniej już po paru dniach Wład, Zina i Suzy przeprowadzili pierwsze próby ze skonstruowanym przyrządem. Odbyły się one w korytarzach w pobliżu Dżdżownicy, gdzie warunki do pracy były najbardziej dogodne.**

**Zina skierowała przyrząd obiektywem w dół na mozaikę podłogi i spojrzała przez wizjery. Teraz bardzo ostrożnie zaczęła obracać pokrętła, zmieniając rozstaw i kąt nachylenia lusterek.**

**–Obniż statyw – powiedziała Suzy. – Niżej... jeszcze niżej... Stop! Jaka odległość?**

**–92 centymetry.**

**–Teraz z powrotem w górę, trochę w lewo... Tak. Jaki rozstaw obiektywów?**

**–225 milimetrów. To samo co wczoraj.**

**–A więc zgadza się!**

**–Musi się zgadzać! – rzucił z naciskiem Wład podchodząc do przyrządu.– To jest szerokość rozstawu źrenic u Urpian.**

**–U nas wynosi 65 milimetrów. To dopiero muszą być olbrzymy!**

**–Olbrzymy? – zaproponowała Suzy. – Chyba chodzące na czworakach? Nie zapominaj o niskich otworach drzwiowych. Świadczą one raczej o tym, że Urpianie są karłami w porównaniu z ludźmi.**

**Zamilkli na dłuższą chwilę.**

**–Ciągle jeszcze widzę podwójnie – odezwała się Zina.**

**–Lewe pokrętko w prawo! Wobec niedużej odległości obiektu promienie widzenia są znacznie nachylone.**

**–Ach, prawda! O, teraz widzę wyraźnie! Jakie to dziwne i niezwykle! Ustąpiła miejsca Suzy. Fizyczka chwilę patrzyła przez przyrząd.**

**–Zobacz, Wład – powiedziała prostując się. – Zwróć uwagę na księżycy.**

**–Sądysz, że to Urpa? – odezwała się Zina.**

**Tymczasem Wład podszedł do przyrządu. Widok, jaki roztaczał się przed jego oczami, przypominał raczej makietę lub dekorację teatralną niż rzeczywisty krajobraz. W otoczeniu fioletowych, wysokich drzew podobnych do topoli, wznosił się szereg okrągłych bloków o żółtych matowych ścianach. Również ziemię, drzewa i krzaki pokrywał żółty nalot.**

**Zdawało się, że wystarczy sięgnąć ręką, by dotknąć tych niezwykłych budowli, rozstawionych tuż przed oczami niczym dziecięce zabawki. Nad budowlami i drzewami widniało ciemnozielone niebo, przechodzące ku krawędziom obrazu w czerń. Na niebie świeciły rzadko rozrzucone gwiazdy i dwa księżycy w fazie zbliżonej do kwadry; jeden większy, drugi nieco mniejszy.**

**–To chyba nie Urpa? – głos. Kaliny wyrażał zdumienie.**

**–Nie Urpa? – powtórzyła pytanie Suzy. – Więc może Tema w okresie, gdy jeszcze krążyła dalej od Proximy? Może jeden z'tych księżyców jest planetą X?**

**Zbudowanie „oczu Urpianina” stało się zwrotnym punktem w pracach badawczych. Codziennie zdobywano nowe dane o życiu Urpian. Góry, morza, rozległe, równiny i wzgórza, pokryte gęstą roślinnością i dziwnymi budowlami sięgającymi w niebo długimi iglicami wieżyc – wszystko to olśniewało bogactwem nieznanymi kształtów i krajobrazów. W tych plastycznych obrazach pojawiały się często motywy czerwonego słońca i księżyców. Wielkość tych ciał niebieskich była na mozaikach z reguły jednakowa, co świadczyło, że konstruktorzy-artyści dążyli do wiernego oddawania rzeczywistości.**

Obrazy na posadzkach korytarzy przedstawiały niemal wyłącznie krajobrazy, kompleksy budowli, rzadziej monumentalne wnętrza, również o bogatej roślinności. Zastanawiający był niemal całkowity brak wizerunków Urpian. Z rzadka tylko można było odnaleźć niewyraźne sylwetki, które przypominały w pewnym stopniu realistyczne posągi w „muzeum”. Niestety, obejrzenie za pomocą „oczu Urpianina” podziemnej galerii na dnie studni trzeba było na razie odłożyć. Wobec panującej tam wysokiej temperatury i czadu ludzie nie mogli poruszać się bez skafandrów. Dopóki Zina nie wbudowała przyrządu do helmu, poprzestano na samych zdjęciach, zresztą fragmentarycznych; zapowiadały one dużo interesującego materiału. Przede wszystkim odkryto kilka zbliżeń istot podobnych do posągów.

Było już niemal pewne, że posągi te wyobrażały Urpian w nadnaturalnych rozmiarach. Według obliczeń Renego i Igora przeciętny wzrost mieszkańca podziemnego miasta nie przekraczał metra; mieli oni nieproporcjonalnie duże i szerokie głowy, z dwojgiem daleko rozstawionych małych oczu. Otwór gębowy zaopatrzony był w dwa wyrostki, wysunięte ku dołowi. Niektórzy uważali je za kłyj. Renę jednak wykluczał tę możliwość i skłonny był raczej przypisywać im funkcję pośrednią między językiem a wargami.

Meldunki o odkryciach wysyłano teraz do bazy niemal nieustannie. Spodziewano się lada dzień przybycia Szu i Ast oraz wyprawy w dół nowej grupy pod przewodnictwem Krawczyka.

W przeddzień przybycia archeologa Igor, Renę, Wład i Suzy wyruszyli spiralnym korytarzem w górę, by zbadać najwyższe piętra mauzoleum.

W górnych pomieszczeniach skafandry nie były konieczne. Wobec większej niż na Ziemi zawartości tlenu powietrze było tu czyste i orzeźwiające. Nie ulegało wątpliwości, że działał tu jakiś system wentylacyjny.

Po dojściu do otworu wyłamanego podmuchem eksplozji zwolniono kroku, zatrzymując się raz po raz nad ciekawszym obrazem.

Szyb nie sięgał już wysoko i korytarz powinien był wkrótce dobiec końca. Istotnie, po czterdziestu minutach wędrówki platynowe kulki, pokrywające dotąd zwartą masą powierzchnię ścian, znikły najpierw z jednej, potem z drugiej strony korytarza.

Igor zatrzymał się i do wyjętych z torby pudełeczek zeszkrobał ze ścian scyzorykiem nieco tworzywa.

–Trzeba zbadać wiek tych urn. W ten sposób znajdziemy datę ostatecznego wyludnienia się tych podziemi.

–Sądziś, że Urpianie po prostu wymarli? – zapytał Wład. Igor wzruszył ramionami.

–Najstarsza jest chyba środkowa część mauzoleum. Analiza przemian izotopów promieniotwórczych wykazała, że ta partia budowli liczy 2600 lat i była wielokrotnie restaurowana. Dolna galeria plastycznych obrazów jest o przeszło 300 lat młodsza. Widocznie miasto rosło w głąb. Tu budowa jest jakby nie dokończona. Myślę więc, że wiek tych ostatnich kulek można uważać za czas, jaki upłynął od śmierci ostatniego Urpianina w tych podziemiach.

–Więc jednak sądzisz, że oni wyginęli?

–Tego nie twierdzę – zaprzeczył żywo geolog. – Powiedziałem „w tych podziemiach”. Urpianie mogli opuścić to miasto przenosząc się gdzie indziej.

–Ale dokąd?

„– Gdy się tego dowiemy, wówczas będziemy mogli zakończyć prace w Układzie Proximy – odrzekł geolog.

–Ilu mieszkańców mogło liczyć to miasto? – zapytał po chwili Wład.

–Próbowałem obliczyć – odezwał się Renę. – Urn jest około 100 milionów. To liczba ogromna, ale nie zapominajmy, że chodzi o ponad 1000 lat i że nie znamy rzeczywistych rozmiarów miasta. Może tu gdzieś jest drugie mauzoleum. A przede wszystkim nie znamy najważniejszego elementu: przeciętnego czasu życia Urpianina. Wydaje mi się jednak, iż miasto to przed opuszczeniem miało kilkakrotnie mniej mieszkańców niż dzisiejszy Paryż, który przecież liczy 18 milionów ludności.

Ruszyli znów dalej. Po kilkunastu metrach korytarz skręcił gwałtownie w lewo. Niespodziewanie znaleźli się w nisko sklepionej, okrągłej sali.

Tym razem nie sufit, lecz podłoga świeciła dość silnym blaskiem. Bił on z wnętrza szybu, poprzez grubą, mleczną płytę podłogi zakrywającą górny otwór „studni”.

Ściany pomieszczenia były białe i gładkie. Po przeciwnej stronie sali czernił się drugi, niższy otwór drzwiowy.

W tej chwili uwagę uczonych przykuwał jednak przede wszystkim sufit. Widniał na nim nie zestaw stereoskopowy, lecz zwykłe malowidło plafonowe. Miało kształt regularnego koła i wyobrażało niebo, panoramicznie otoczone ze wszystkich stron widnokręgiem. Krajobraz był dość jednostajny i przypominał obszerne pole lodowe Urpy. Tylko w jednym miejscu ponad horyzont wznosiło się kilka wież i rzadko rozrzucone wielkie rośliny. Oświetlała je nie tylko Proxima, ale przede wszystkim potężna lampa, wisząca na niebie w samym centrum obrazu. Mówiła o tym długa, jasna smuga padająca z góry na budowle i drzewa.

–Gdyby nie ta jasna plama w środku tarczy, można by pomyśleć, że to księżyc –

**zastanawiał się Renę.**

**–Czy przypominacie sobie pierwszą odkrytą przez was podłogową mozaikę stereoskopową? – zapytał Igor. – Były tam dwa księżyce. A tu?... Zwróćcie uwagę na średnice kątowe i jasność wszystkich trzech ciał niebieskich!**

**–Trzech?**

**Wład, Suzy i Renę spojrzeli jednocześnie ku horyzontowi, zza którego wyłaniała się czy chowała jasna tarcza Proximy. Po przeciwnej stronie nieba widniał wąski sierp satelity, pozornie nieco większego od Proximy. Przenieśli wzrok na niezwykłą lampę.**

**i – Czyżby to było niebo Urpy? Ten rogal rzeczywiście przypomina Sel. Ale ta lampa z reflektorem? Może to... – Renę zawahał się.**

**–...planeta X – dokończył Wład.**

**–Właśnie w tym rzecz, że jest to istotnie niebo Urpy, lecz już po przy-gaśnięciu Proximy – potwierdził Kondratiew. – Mam zresztą nadzieję, że ta sala to zaledwie przedsionek jakiegoś nowszego muzeum historii tej planety.**

**Niski, wąski, a co gorsza zupełnie ciemny korytarz, którego początek stanowił otwór drzwiowy w ścianie, nie wydawał się potwierdzać nadziei geologa. Zgięci w pół, z plecakami utrudniającymi ruchy, przeciskali się ciasnym tunelem, oświetlając sobie drogę latarkami. Korytarz biegł spiralą w górę, na szczęście niezbyt stromo, nieustannie skręcając w lewo. Ściany białe i śliskie, widocznie uformowane z tego samego tworzywa co sala zamykająca „studnię”, pozbawione były wszelkich elementów dekoracyjnych czy oznakowań. Wład sprawdzał nieustannie skład i temperaturę powietrza, ale było ono chłodne, czyste i bogate w tlen, tak iż zaczął nawet podejrzewać, czy nie jest to zapasowa „klatka schodowa” prowadząca na powierzchnię.**

**Po kilkunastu minutach takiej dość męczącej wędrówki, gdy już zastanawiano się, czy nie należy przerwać marszu i nie powrócić do statku, okazało się jednak, że przypuszczenia Igora nie były bezpodstawne. Droga co prawda nadal wznosiła się spiralnie w górę, lecz biegła teraz poprzez nieduże okrągłe salki tworzące nie kończącą się amfiladę. Półkoliste czasze wewnątrz pokryte były od góry do dołu krystalicznymi mikrostrukturami zestawionymi kunsztownie z niepomiernie drobniejszych elementów niż wszystkie odkryte dotąd stereomozaiki.**

**Rzecz jasna, choćby tylko bardzo pobieżne zorientowanie się, co zawierają panoramiczne obrazy, wymagałoby wielu miesięcy pracy. Postanowiono więc potraktować wyprawę wyłącznie jako rekonesans.**

**Igor i Renę pozostawili plecaki i poszli dalej w górę, aby stwierdzić dokąd prowadzi**

galeria i wstępnie określić teren przyszłych badań. Wład podjął próby określenia fizycznych i chemicznych cech krystalicznych struktur, pokrywających ściany sal. Suzy zajęła się dostrajaniem „urpiańskich oczu” do stereo- i kinetoskopowych właściwości sferycznych panoram. Już zresztą po przejściu kilku pierwszych sal zorientowała się, że technika konstruowania obrazów jest w tej części galerii taka sama i wszystkie doświadczenia może przeprowadzać w jednym miejscu.

Zainstalowała aparaturę w piątej sali, tam gdzie Igor i Renę pozostawili plecaki. Była sama. Wład pracował dwie sale niżej, gdzie rozłożył swój podręczny warsztat badawczy.

Przystosowanie „urpiańskich oczu” do nowych warunków nie stwarzało większych trudności. Już po kilku prostych zmianach oświetlenia i manipulacjach pokrętłami ujrzała daleki lodowy krajobraz Urpy. W ograniczonym polu widzenia lornety dostrzegła szczyty gór. Wydały jej się znajome. Przekazała więc komputerowi polecenie skokowej penetracji najbliższego obszaru. Kolejne nieduże przesunięcia pola widzenia ukazywały stopniowo coraz szerszy wycinek krajobrazu. Znała to miejsce – okolica Ciemnej Plamy. Nie była to jednak dzisiejsza Urpa. Na wzgórzach pokrytych teraz grubą warstwą lodu błyszcząły złotawo jakieś ogromne, przezroczyste, lecz już na wpół zasypane śniegiem klosze.

Suzy postanowiła odnaleźć źródło światła odbijającego się od kloszy i przekazała komputerowi polecenie penetracji kulistego sufitu, określając w przybliżeniu miejsce, w którym powinno znajdować się poszukiwane ciało niebieskie. Pole widzenia przesunęło się teraz skokowo po niebie wzdłuż horyzontu. Suzy, nie podnosząc oczu znad wizjerów, śledziła z napiętą uwagą ten ruch.

Nagle drgnęła. Tuż nad widnokręgiem ujrzała ognistą, oślepiająco jasną kulę. Świecący jaskrawo strumień gazów wydobywał się z jej wnętrza na podobieństwo warkocza komety.

Suzy zatrzymała obraz, a potem przekazała komputerowi polecenie zmiany pola w sposób ciągły ruchem śledzącym. Wyrzucająca skośnie fontannę ognia kula poczęła wolno wędrować po niebie. W ciągu kilkunastu minut zatoczyła szeroki łuk i zbliżała się do horyzontu, pozornie olbrzymiejąc jak zachodzące słońce.

Suzy nie mogła oderwać wzroku od tego widoku. Czyżby przedstawiał on chwilę katastrofy planety X? Chciała zatrzymać obraz zanim niezwykle zjawisko zniknie za widnokręgiem, lecz w podnieceniu, nie patrząc na klawiaturę, nacisnęła niewłaściwy guzik.

Pole widzenia przesunęło się raptownie w dół. Nieprzyjemny dreszcz przebiegł przez ciało Suzy.

**Kilka kroków przed nią stała mała, żółta postać. Spod szerokiej nagiej czaszki patrzyło na fizyczkę dwoje oczu.**

**Urpianin uniósł nieco głowę. Spod płaszcza, sięgającego niemal do ziemi, wysunęła się długa dłoń o czterech palcach.**

**Suzy cofnęła się gwałtownie, odrywając oczy od przyrządu.**

**Urpianin znikł. Przed nią w świetle reflektora migotała tylko, kłująca wzrok, interferencyjna mora.**

# PRZED DWUDZIESTU SIEDMIU

## WIEKAMI

Ruiny pod skalistym brzegiem Morza Centralnego były znacznie starsze od ośmiu dotąd odkrytych podziemnych miast Urpy. Jak wykazały obliczenia, mury tej budowli liczyły blisko 5 tysięcy lat. Konstrukcja ścian była niepomrotnie bardziej prymitywna niż miasta pod Ciemną Plamą i polegała na łączeniu wielkich bloków granitu mocnym spoiwem.

Centrum miasta uległo zagładzie przed 2700 laty na skutek jakiejś eksplozji o potężnej sile – prawdopodobnie termojądrowej. Dzieła zniszczenia dokończyła woda morska, wciskająca się do wnętrza miasta poprzez popękane ściany, a później również wędrujące tędy lodowce. Szu podejrzewał jednak, iż głębiej położone piętra mogą kryć resztki sprzętów i urządzeń.

Projekt przeszukania tych ruin aż do fundamentów był bardzo pociągający. Wszystkie dotychczas zbadane podziemne miasta odzwierciedlały tę samą epokę rozwoju cywilizacji urpiańskiej, przy czym o ile mury powstawały w czasie tysiąca lat, to sprzęty i maszyny pochodziły niemal z reguły z jednego okresu, różniąc się najwyżej kilkudziesięcioletnim odstępem czasu produkcji. Co prawda liczne obrazy plastyczne, malowidła i rzeźby pozwalały już wysnuć szereg wniosków na temat rozwoju społecznego i kulturalnego Urpian, ale były to materiały fragmentaryczne, a przede wszystkim nie dawały dostatecznych podstaw do ustalenia chronologii przemian.

Ruiny budziły nadzieję, że uda się odnaleźć cenne materiały dotyczące dwóch ogniw rozwoju cywilizacji urpiańskiej. Miasto zostało zniszczone w 500 lat po okresie budowy bazaltowej płyty i wież, których ślady odkryto w okolicy Ciemnej Plamy, a 700 lat przed katastrofą planety X. Gdyby zdołano odnaleźć jakieś ślady narzędzi i przedmiotów użytkowych z okresu budowy murów zniszczonego miasta, można by wysnuć szereg ważnych wniosków dotyczących czasów sprzed 5000 lat, a więc prawdopodobnie epoki, w której Urpianie nie potrafili jeszcze wyzwalać energii jądrowej.

Badania prowadzone na Urpie od dwóch lat były bardzo owocne. Co prawda, dużo dzieł sztuki fotokonstrukcyjnej i malarskiej uległo zniszczeniu pod wpływem wilgoci, bakterii i pniących się roślin. Nierzadko odkrywano je dopiero pod grubą warstwą pyłu oraz gleby zarosłej krzewami, mchami i trawą. Ale uczeni ziemscy nabrali już dużej wprawy w poszukiwaniach.

Szczególnie cennych znalezisk dostarczyło miasto piąte w kolejności odkryć. Na skutek uszkodzenia jakichś urządzeń przetwórczych większość pomieszczeń zatruta

była fbsgenem, powstałym z połączenia tlenku węgla i chloru, widocznie pod działaniem światła wydzielanego przez sufity. Zapobiegało to rozkładowemu działaniu żywych organizmów, w niewielkim tylko stopniu powodując zmianę barw malowideł ściennych i mozaik. W tej chwili Andrzej, Renę, Ingrid, Jaro i Zina przebywali tam, zajęci zapisem wielkiej plastycznej relacji dokumentarnej.

Szu objął kierownictwo grupy, która miała zbadać starożytne ruiny nad Morzem Centralnym. W skład jej wchodził Ast, Dean, Daisy, Suzy i Wład.

Przedostawszy się przez dwustumetrową warstwę lodów, drążyli teraz wąski szyb za pomocą automatycznych kombajnów górniczych, sięgając coraz dalej w głąb ruin.

Prace posuwały się szybko naprzód. Podziemne pomieszczenia, kiedyś zalane wodą, wypełniały ogromne, przezroczyste bloki lodu, który zwiększając swą objętość, pokruszył i porozsadzał ściany budowli. Jeszcze na głębokości 800 metrów pod powierzchnią gruntu panowała temperatura niższa od zera, a niektóre miejsca, noszące ślady monumentalnej budowy, podobne były raczej do rumowisk morenowych niż do siedzib istot rozumnych.

Pod jednym z takich rumowisk natrafiono wreszcie na wodę, wypełniającą jakieś na wpół zawałone, niskie korytarze.

Archeolog spuścił się w głąb tych pomieszczeń w skafandrze, ale wkrótce wrócił do szybu.

–Wszystko tam tak wygląda – oświadczył – jakby za chwilę miało się zawalić. Nie ma sensu ryzykować życia...

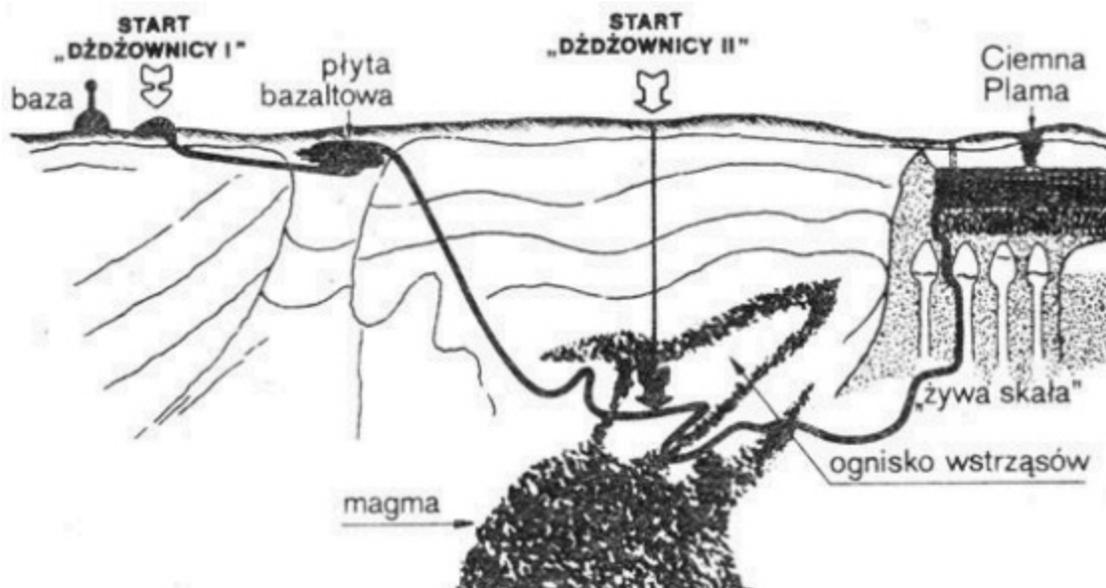
Przystąpiono więc do dalszego pogłębiania szybu. Mury podziemnego miasta stawały się teraz z każdym piętrem masywniejsze i mniej pokruszone. Szczeliny, które tu jeszcze spotykali, były raczej rezultatem wstrząsu wywołanego eksplozją w centrum miasta niż działaniem wody. W kilku miejscach natrafiono na szczątki metalowych przewodów wentylacyjnych czy wodnych, przeważnie zżarte przez korozję.

Poza kawałkami jakichś dużych skorup ceramicznych o dziwacznie powyginanej powierzchni i wspomnianymi rurami – nie znaleziono dotychczas nic interesującego. Ściany, podłogi i sufity pomieszczeń, przez które przebijali szyb, były nagie; nie zauważono żadnych urządzeń oświetleniowych, choć do powierzchni planety było ponad 1200 metrów.

Wreszcie na ekranie podziemnego oka ukazał się charakterystyczny cień warstwy skalnej, na której spoczywały mury miasta.

Tego dnia Szu zarządził kilkunastogodzinny odpoczynek. Rankiem miano przystąpić

do wykonania głównego zadania.



**Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 13. Szlaki badań podziemnych na Urpie w okolicach Ciemnej Plamy**

Postanowiono podzielić się na trzy dwuosobowe grupy. Szu i Ast za pomocą przenośnego podziemnego oka mieli dokładnie przebadać okolice fundamentów, gdzie spodziewano się odnaleźć dobrze zachowane ślady narzędzi najstarszych budowniczych miasta. Pozwoliłoby to określić poziom techniki ówczesnego społeczeństwa. W tym czasie Dean i Wład, przy zachowaniu jak największej ostrożności, powinni byli zwiedzić dalsze pomieszczenia, dokonując zdjęć i notując położenie spostrzeżonych przedmiotów. Zadaniem Suzy i Daisy były stałe dyżury u wylotu szybu.

Już w pierwszych dniach zebrano obfity plon. Wład i Dean odkryli kilkadziesiąt niewielkich pomieszczeń podobnych do niskich piwnic. Znalaziono tam znaczną liczbę niedużych zbiorników, prawdopodobnie służących do przechowywania czy spożywania pokarmów. Wnioskując ze sprzętów, przeważnie przypominających kamienne ławy czy stoły na metalowych nogach tkwiących w podłodze, były to izby mieszkalne. Z tym prymitywem wewnątrz kontrastowały znajdowane dość często „pudełka” z masy plastycznej lub izolowane rączki od narzędzi stalowych, zżartych przez rdzę. W jednym z pomieszczeń Wład znalazł na podłodze przedmiot, w którym rozpoznał latarkę fluorescencyjną.

Szu i Ast poszczęściło się również. Odkryli kilka śladów czteropalczastych rąk Urpian, odcisniętych w miękkim niegdyś spoiwie, strzęp podartego buta czy rękawicy, gruby pręt z kulą na końcu, o wyraźnych cechach ręcznej obróbki, oraz długie zakrzywione naczynie z pokrywą.

Trzeciego dnia zmieniono skład grup. Dean i Daisy pozostali na górze. Suzy z Władem mieli badać dalsze podwodne korytarze i sale.

Minąwszy długi szereg otworów drzwiowych, prowadzących do prymitywnych pomieszczeń mieszkalnych, skręcili w wąski korytarz. Przed nimi przedzierały się przez wodę żółte snopy światła reflektorów umieszczonych na szczytach hełmów. Płynęli wolno, unikając dotykania stopami podłogi.

Każdy gwałtowniejszy ruch podnosił z pokrytego szlamem dna mętny tuman, zasnuwając na długo widoczność. Jedyłą radą było wówczas jak najspieszniejsze wypłynięcie ze zmaconej przestrzeni.

Mimo że aparaty akustyczne wbudowane w hełmy umożliwiały łączność dźwiękową na dużą odległość, Suzy i Wład płynęli tuż obok siebie. Tylko rzadko wymieniali krótkie, urywane zdania. Rozmowa nie kleiła się. Wyobraźnia kreśliła wstrząsające sceny, jakie musiały tu się rozgrywać w dniu zagłady miasta. Gdy mijali ciemne otwory, oczy ich odruchowo szukały jakichś postaci wyprężonych w przedśmiertnym skurczu mięśni. Taki widok nie był, oczywiście, możliwy. Blisko trzy tysiąclecia upłynęły od katastrofy i jeśli nawet mieszkańcy miasta nie zdążyli ująć z podziemi, zanim zalały je napływające masy wód morskich, z ich ciał i szkieletów zapewne nie pozostał żaden ślad.

Korytarz skończył się. Za niskim, owalnym wejściem czerniała jakaś salka.

–Czy popłyniemy tam? – Suzy wskazała ręką ku otworowi. – Czy też zajmiemy się najpierw bocznym pomieszczeniem?

–Warstwa szlamu jest tu dość gruba – odrzekł Wład kierując snop światła w dół. – Nie wiem, czy uda nam się przepłynąć nie zmaciwszy wody.

–Może jednak spróbujemy?

–Dobrze. Czekał na mnie.

Kalina podpłynął wolno do otworu. Światło reflektora błędziło we wnętrzu salki, gdy naraz, jakby spod ziemi, wypełził czarnobrunatny kłęb podobny do gęstego dymu i objął całą postać Włada. Snop światła reflektora, jeszcze przed chwilą jasnożółty, czerwieniał teraz niewyraźną, mętłą smugą.

Z sekundy na sekundę obłok gęstniał.

Nie było już nic widać, tylko z otworu wylewały się coraz ciemniejsze, skłębione potoki szlamu, podobne do czarnej waty.

–Wład! – krzyknęła Suzy.

Dopiero po chwili usłyszała nieco przytłumiony głos Kaliny.

**–Suzy! Nie mogę znaleźć drzwi. Dziewczyna bez namysłu rzuciła się naprzód. Ogarnęła ją ciemność. Tylko tuż nad czołem bił blask reflektora. Po omacku znalazła otwór i prześliznęła się przezeń błyskawicznie.**

**–Wład! Wład! Gdzie jesteś?**

**–Tu! Czekaj na mnie!**

**W tej samej chwili uczuła silne kopnięcie w plecy. Obróciła się, gwałtownie rozgarniając rękami wodę.**

**–Wład! Jestem obok ciebie.**

**–Suzy!**

**Niespodziewanie błysnęło jej przed oczami zamglone światło reflektora.**

**Ręce ich spotkały się.**

**–Tak się bałam o ciebie!...**

**–Zdaje się, że będziemy musieli poczekać, aż szlam znów opadnie na dno. Niedobrze, że popłynęłaś za mną. Teraz zupełnie nie wiadomo, którądy wrócić.**

**–Można znaleźć otwór po omacku.**

**–Który? – rzucił ze złością. – Jest ich tu kilka i łatwo zablądzić. Gdybyś czekała na mnie przy właściwym otworze, sprawa byłaby prosta.**

**–Przepraszam cię.**

**–To ja cię przepraszam, że się uniosłem – odrzekł szczerze. – Ale nie ma o czym mówić. Musimy się zastanowić nad sytuacją.**

**–Szukać wyjścia po omacku nie ma sensu. Nie będziemy też chyba czekać tu na dole, aż się woda ustoi, bo stale ją mącimy. Najlepiej podpłynąć pod sam sufit.**

**–Słusznie – przytaknął i sięgnawszy do pasa nacisnął guziczek. – Zdążyłem zauważyć, że salka jest dość wysoka.**

**Pływak umieszczony w pasie pęczniał szybko. Otaczające ich ciemności zaczęły powoli ustępować. Wznosili się w górę.**

**Wkrótce ustąpił również mętny tuman i w świetle reflektorów ujrzeli przesuwające się w dół ściany salki.**

**–Chyba powinniśmy spotkać warstwę powietrza nad wodą – odezwała się**

**Suzy.**

**Wład bez słowa poruszył płetwami, podpływając bliżej ściany. Teraz przed ich oczami ukazał się długi, pochyły występ i szybko zniknął**

**w dole. Nim zdolali się zorientować, co to było, już minął ich drugi podobny, potem trzeci i czwarty...**

**–To, zdaje się, nie jest żadna salka – odezwał się Wład po chwili – ale coś w rodzaju kręconych schodów.**

**–Tak. Widocznie Urpianie często stosowali takie rozwiązania architektoniczne. Pamiętasz mauzoleum?**

**–Czy wypuścić powietrze z pływaka?**

**–Chyba nie – odparła Suzy niepewnie.**

**–I ja tak myślę. Szyb jest tu zupełnie pionowy i nie ma mowy o zabłądzeniu, a warto byłoby zbadać go aż do samej góry. Potem łatwo będzie opuścić się w dół.**

**–Byle nie natrafić na jakąś warstwę żrącego płynu – Suzy przypomniała sobie przygodę Dżdżownicy.**

**Kalina podniósł głowę, kierując snop światła w górę. Roztopiał się i ginął w zielonkawej topieli.**

**Upłynęło znów kilka minut.**

**–Chyba schody te nie prowadzą na samą powierzchnię? – odezwała się Suzy.**

**W tej samej chwili zamajaczyła przed nimi jakaś biała plama. Ledwo zdążyli wyciągnąć przed siebie ręce, gdy dłonie ich uderzyły o twarde**

**spód lodowej pokrywy.**

**–No i co dalej? – spytał Wład. Nie czekając odpowiedzi sięgnął do pasa odczepiając ultradźwiękową sondę. Oparł iglicę o lód i nacisnął guzik. Krzywa na małym ekranie wygięła się.**

**–Blisko cztery metry grubości – zwrócił się do Suzy, jakby oczekując odpowiedzi.**

**Myślała o tym samym.**

**–Spróbujemy – powiedziała bez wahania. Dłoń jej spoczęła na rękojeści termopistoletu.**

**Suzy jeszcze raz spojrzała na czarny, nieforemny otwór w leżącej sto metrów pod nią okrągłej lodowatej pokrywie.**

**–Idziemy?**

**Wład skinął w milczeniu głową. Znajdowali się już przy końcu długiego szybu. Przed nimi czerniał otwór stromej sztolni.**

**–Ściany są tu wyjątkowo mocne – powiedziała Suzy jakby dla-usprawiedliwienia decyzji.**

**–Zdaje się, że znacznie później zbudowane od tych na dole.**

**–Możemy zresztą w każdej chwili zawrócić. Sztolnia biegnie zupełnie prosto.**

**–Od powierzchni planety dzieli nas najwyżej 250 metrów – dorzucił Wład.**

**–Myślisz, że jest tu jakieś wyjście?**

**–Tak wygląda.**

**–Chodźmy już. Niedługo trzeba będzie wracać – ponagliła Suzy. – Zaczną się o nas niepokoić.**

**Wędrówka nie była tu jednak łatwa. Pochylony niemal pod kątem 30 stopni korytarz, pełen nacieków lodowych i szronu, nie należał do bezpiecznych terenów wspinaczki, zwłaszcza w butach zupełnie nie przystosowanych do tego rodzaju wyczynów. W każdej chwili groziło obsunięcie się i karkołomny zjazd w dół. '**

**Wład, posuwając się pierwszy, zmuszony był topić pokrywę lodową, a to bynajmniej nie przyspieszało tempa marszu. Postanowili jednak dotrzeć do widocznego z daleka progu i dopiero wówczas zawrócić.**

**Nie zawrócili. To, co z daleka wzięli za próg lodowy, było zwałem gruzu, powstałym po istniejącej tu kiedyś ścianie czy zaporze.**

**Stosy pokruszonej masy plastycznej grubą warstwą pokrywały lód. Odłamki bloków różnej wielkości leżały porozrzucane na dużej przestrzeni. Z obdartych wskutek eksplozji ścian zwiślały niemal całkowicie zżarte korozją pręty jakiejś kraty.**

**Suzy ostrożnie wspięła się na wał lodu. Tuż przed nią wystawał z rumowiska gruby, dziwnie wygięty pręt czy dźwigar. Wyciągnęła rękę, aby oprzeć się na tym pręcie i łatwiej przedostać przez próg lodowy, ale w tej samej chwili odskoczyła z krzykiem.**

**Wład był już przy niej. To, co wzięli za powyginany kawał metalu, było na wpół zwęgloną ręką. Ręką Urpianina!**

**Ciało zabitego nie było widoczne. Pokrywała je warstwa gruzu i brudnego lodu.**

**–Chodźmy dalej – odezwał się Wład ochłonawszy nieco z wrażenia.**

**Suzy w milczeniu ruszyła przed siebie.**

**Również wyżej korytarz nosił liczne ślady wybuchów i wysokiej temperatury.**

**–Tu chyba musiała toczyć się walka – Wład oglądał z uwagą ściany.**

**–Niżej żadnych śladów nie było...**

**–Można by pomyśleć, że jakaś grupa Urpian wdzierła się z zewnątrz do tych podziemi i została tu zatrzymana...**

**–Albo odwrotnie: jakaś grupa usiłowała wydostać się z podziemi na zewnątrz i musiała stoczyć walkę z tymi, którzy chcieli ją zatrzymać.**

**Niespodziewanie sztolnia kończyła się wysoką, rozległą halą. Była to widocznie jakaś fabryka, bo spod zalegającej podłogę twardej skorupy lodu wystawały, niczym pancerze jakichś gigantycznych żółwi, ciemnordzawe kadłuby mniejszych i większych maszyn.**

**Lód przedostał się tu przez szeroką bramę, prowadzącą do drugiej, jeszcze większej sali. Suzy i Wład przesuwali się teraz pomiędzy zwałami lodu,, spiętrzonymi gdzieś niemal pod sam sufit. Wreszcie osiągnęli miejsce, skąd lodowiec wdarł się do wnętrza fabryki.**

**Były tu cztery eliptyczne otwory w suficie. Zakrzepła woda w ciągu wielu wieków zdążyła wypełznąć tu wielkimi, podobnymi do kolumn lodospadami i wypełniła wnętrze hal. Lód był miejscami tak przezroczysty, że przez jego bloki można było dostrzec szerokie, ciemne walce, niby tubusy teleskopów przygotowanych do obserwacji nieba.**

**Wład spojrział na zegarek.**

**–No, czas wracać.**

**–Wracać?**

**–Zajmie to nam co najmniej godzinę. Na pewno już się niepokoją.**

**–Wracać? – powtórzyła Suzy z obawą. – Tą samą drogą? W wyobraźni ujrzała na**

moment zwęgloną rękę, która nie była ręką człowieka...

–Od powierzchni dzieli nas chyba nie więcej niż 50 metrów lodu – powiedział Wład, jakby odpowiadając na myśli Suzy.

–Mamy termopistolety – podchwyciła żywo. – Chyba mniej czasu zajmie nam wytopienie wąskiego tunelu w lodzie niż błędzenie przez te korytarze.

–Spróbujemy – Wład skinął głową.

Odczepił od pasa pistolet i skierował jego reflektor na szczyt lodowego słupa.

Z sykiem uniósł się w górę obłok pary. Spod topionego błyskawicznie lodu spłynęła szerokim strumieniem woda, zamarzając natychmiast w długie, cienkie sople.

Suzy natychmiast skierowała w ten sam punkt reflektor swego pistoletu i szybkość topnienia wzmogła się.

Po chwili przy brzegu otworu powstała w lodzie wyrwa takiej wielkości, że mógł się tam zmieścić człowiek w skafandrze. Suzy i Wład zdjęli wodoszczelne torby, aby nie utrudniały im ruchów, i wytapiając stopień za stopniem, poczęli powoli wspinać się w górę.

Przecenili jednak swe siły. W ciągu pierwszej godziny pracy zdołali wejść zaledwie na „dach” pokrytej lodem budowli.

Temperatura spadała teraz coraz gwałtowniej, niezmiernie komplikując wytapianie sztolni. Już wkrótce ściekająca w dół woda zamknęła zwartą masą lodu tunel, którym wydostali się z fabryki.

Właściwie o budowie tunelu nie było już praktycznie mowy. Otoczeni zewsząd lodowcem, posuwali się coraz dalej w górę, jakby przesuając swą ciasną lodową grotę. Topiony „sufit” spływał z wodą w dół i krzepnąc natychmiast, nieustannie podwyższał poziom „podłogi”. Najbardziej męcząca była konieczność ciągłego poruszania całym ciałem, a zwłaszcza nogami. Pozostawanie choć przez parę sekund w pozycji nieruchomej groziło przymarzeniem skafandrow, co wobec niemożliwości skierowania promieniowania na własne ciało, stwarzało niebezpieczeństwo sytuacji bez wyjścia.

Wreszcie po kilku godzinach, zmęczeni do ostateczności, osiągnęli powierzchnię i padli wyczerpani na spękany lód. Panowała noc. Nisko nad horyzontem świeciło Słońce jako jedna z gwiazd. Tuż obok niego, w odległości dwóch kilometrów, paliła się czerwonym blaskiem lampa wieży wiertniczej.

Tam, w pawilonie, czekali na nich Daisy, Dean, Ast i Szu. A może szukają ich w tej

**chwili wśród zalanych wodą korytarzy i sal? Może myślą, że oni już nie żyją?**

**Suzy. leżała z zamkniętymi oczami.**

**–Suzy! – Wład szarpnął ją za rękę. Uśmiechnęła się.**

**–Spróbuj nawiązać z nimi łączność – wyszeptała ledwo dosłyszalnie.**

**–Pięć, dwanaście! Halo! Tu Wład! Halo! Tu Wład! Odpowiedziała mu głucha cisza.**

**–Zero dziewięć! Zero dziewięć! – powtarzał zapamiętałe. Dźwignął się z lodu i usiłował wstać, lecz był tak wyczerpany, że natychmiast osunął się z powrotem.**

**–Pięć, dwanaście! Zero dziewięć! Zero dziewięć! Naraz w jego hełmie zapłonął maleńki, zielony guziczek. Niemal jednocześnie usłyszeli głos Sokolskiego, który kończył jakieś rozpoczęte zdanie:**

**–... co potwierdza w pełni hipotezę Zoe. Zdaniem Kory...**

**–Halo! Wik! Tu Wład! Tu Wład i Suzy! – zawołał Kalina radośnie. Sokolski przerwał raptownie czytanie komunikatu:**

**–Halo! Tu centrala na Sel! Tu centrala na Sel! Co się stało, Wład? Widocznie centrala na Sel nie była jeszcze zawiadomiona o ich zaginięciu.**

**–Halo! Tu Sel! Wład! Dlaczego milczysz? – odezwał się znów Wiktor. Lecz zanim Kalina zdążył odpowiedzieć, pod jego hełmem rozległ się okrzyk Daisy:**

**–Wład! Wład! Gdzie jesteś, Wład? Co z Suzy? Szu i Ast szukają was od czterech godzin!**

**Kalina spojrzął ku czerwonej latarni nad wieżą wiertniczą. Zdawała się w tej chwili zlewać w jeden punkt z żółtawą iskrą Słońca...**

# KSIĘGA WYJŚCIA

Na początku stycznia 2539 roku, w czwartą rocznicę wylądowania Astrobolidu na księżycu planety Urpa, zjechali do centralnej bazy wszyscy uczestnicy międzygwiazdnej ekspedycji. Miano podsumować dotychczasowe wyniki prac badawczych oraz opracować plan działalności poszczególnych zespołów w ostatnim roku pobytu uczonych w układzie planetarnym Proximy.

Na długo przed rozpoczęciem obrad toczyły się namiętne dyskusje i spory. Nawet Hans, który po śmierci Mary bardzo przygasł i sponępniał, dał się porwać atmosferze podniecenia. Teraz, siedząc z Brabcem w klubie, słuchał relacji o jego ostatnich odkryciach, dokonanych wspólnie z Ziną, Suzy i Władem.

–Nie dawało mi to spokoju, ale cóż, były ważniejsze sprawy – opowiadał konstruktor. – Nym, Igor i Ast odkryli wtedy cztery nowe miasta, no i maszyn zaczynało brakować. Któż przypuszczał, że od razu wszyscy przedzierzgniemy się w archeologów. Napływały coraz to inne zapotrzebowania i wraz z Ziną byliśmy wciąż zajęci przy uniwerach. Dopiero po dwóch miesiącach, czyli tydzień temu, wybraliśmy się we czwórkę nad Morze Centralne. Zaraz po odkryciu Włada i Suzy wydrążono szyb wprost na jeden z tych eliptycznych otworów; Renę chciał jak najszybciej wydobyć zwłoki zasypanego Urpianina. Pamiętasz tę historię?

Hans skinął głową.

–Ale maszynami nikt się wtedy nie zajmował. Nawet Szu o tym zapomniał, bo miał już inne materiały z tego okresu – ciągnął dalej Jaro. – Fabryka jak fabryka. Mało ich w tych miastach podziemnych? Tak myślano. Stopień rozwoju produkcji można określić już po zanalizowaniu kawałka jakiegoś stopu czy plastyku. Szczegóły technologiczne nie są ważne. A roztapianie lodów to kłopotliwa sprawa. Mnie to jednak korciło. Ciekawy byłem, do czego te teleskopy służyły. No i w ogóle chciałem zebrać materiały do większej pracy o postępie technicznym Urpian w ciągu 1200 lat – bo tyle mniej więcej wypada, licząc od zagłady miasta nad Morzem Centralnym do ostatnich śladów ich działalności.

–Czy ostatnich?... – wtrącił Hans.

–Mówię o Urpie – konstruktor spojrzał zdziwionym wzrokiem na geofizyka.

–Ja też – skinął Hans głową. – Czy słyszałeś o najnowszych znaleziskach Willa w siedemnastym mieście?

–Tak, ale przecież jeszcze nie było całkowitej pewności co do ich wieku.

–Teraz już jest. Suń dokonał kilkunastu analiz. Byli tu czterdzieści lat temu.

**–Ciekawe...**

**–Potwierdza to przyczynę oddawania hołdu Łazikowi przez Temidów. Ale opowiadaj dalej, bo sprawa tych wyrzutni bardzo mnie interesuje.**

**–A więc zabraliśmy się z Ziną, Suzy i Władem do roboty. Blisko 'dwa dni zajęło nam topienie lodów. Można to szybciej zrobić, lecz baliśmy się, aby zbyt wysoka temperatura nie uszkodziła maszyn. I mieliśmy rację, ale nie ze względu na maszyny, lecz na zwłoki Urpian.**

**–Zwłoki? – Hans poruszył się nerwowo.**

**–Nic o tym nie słyszałeś? – zdziwił się Jaro. – Widocznie odroczone ogłoszenie tej wiadomości do dzisiejszej narady. Zresztą Kora i Renę jeszcze nie ukończyli badań.**

**–Więc znaleźliście jeszcze dalsze zwłoki?**

**–A tak. Trzech osobników. Dwóch było uzbrojonych w rodzaj ręcznych, zautomatyzowanych wyrzutni małych pocisków raketowych. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy trzej zginęli w walce. Ciała i okrywające je suknie, a właściwie pewnego rodzaju skafandry chroniące przed mrozem, były bardzo dobrze zakonserwowane w lodzie. Właśnie w tych skafandrach wyglądali jak sowy. To odkrycie było naprawdę szczególnym przypadkiem, bo, jak wiesz, Urpianie palą zwłoki...**

**Konstruktor zamyślił się.**

**–Renę zabrał te zwłoki – podjął po chwili – a my zajęliśmy się szczegółowym badaniem maszyn. Właściwie od razu wydały mi się jakieś dziwne. Zwłaszcza te „teleskopy”, jak mówi Wład. Okazało się, że są to wyrzutnie pocisków raketowych. A głowica każdego... Szkoda mówić... Przypomniały mi od razu XX wiek na Ziemi – pociski międzykontynentalne z głowicami termojądrowymi... Konstrukcja i skład chemiczny inne, ale przecież sens ten sam... Ale te wyrzutnie były zablokowane. Wszystkie. I to w ten sam, fachowy sposób... Wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Baliśmy się nawet, aby przy badaniach nie spowodować przypadkowego wybuchu. Tak to wszystko było świetnie zachowane. Dopiero przedwczoraj, po dokładnej analizie, doszliśmy z Ziną do wniosku, że wszystkie wyrzutnie były celowo przez kogoś uszkodzone...**

**–Czyżby przez tych, którzy szli z dołu?**

**–Może...**

**–Może oni nie chcieli dopuścić do tego, aby pociski jądrowe niosły śmierć ich braciom...**

**Dźwięk dzwonka wezwał wszystkich na salę obrad.**

**Hans, idąc pierwszy, zatrzymał się w progu. Oczy jego spoczęły dłuższą chwilę na dużym portrecie Mary, który uwieńczony białym bzem zawieszono nad fotelem przewodniczącego. Przez twarz geofizyka przebiegł skurcz bólu. Wierzchem dłoni przetarł powieki.**

**A jej nie ma... Właśnie dziś...**

**Dean, trochę onieśmielony, uniósł się w fotelu. – - Proxima Centauri – rozpoczął – zrodziła się ze zgęstnienia wielkiej gazowo-pyłowej chmury. Obok Proximy tworzyły się w tej mgławicy, przypominającej mgławicę w Orionie, liczne inne gwiazdy, tak jak również w tej chwili tworzą się w wielu punktach wszechświata. Jedne wcześniej poczęły skupiać materię, inne później, jedne szybciej rosły, drugie wolniej. Proxima powstała prawdopodobnie równocześnie z Tolimanem A i B, ale nie jest to całkowicie pewne. Możliwe, że nasz karzeł jest nieco młodszym „przybranym bratem” Tolimana, to znaczy, wędrując w mgławicy został wychwycony przez tę rosnącą wówczas szybko gwiazdę podwójną. Wskazywałaby na to wielka odległość Proximy od środka układu. Tak czy inaczej, odstęp czasu byłby stosunkowo niewielki i wychwyty nastąpił jeszcze w mgławicy pyłowo-gazowej. Można więc przyjąć, że cały układ potrójny Alfa Centauri narodził się jednocześnie, z tym że nieco różne warunki, a zwłaszcza nierównomierność skupienia przyciągającej się wzajemnie materii, zadecydowały o wielkości poszczególnych składników. Jeśli chodzi o Układ Proximy, z siedmiu istniejących po dziś dzień planet trzy można zaliczyć do gigantów o masie wielokrotnie większej od Ziemi i małej gęstości, cztery zaś do planet typu Ziemi czy Marsa. Giganty skupiają w sobie przeszło 99 procent masy wszystkich planet, przy czym Prima jest zaledwie 75 razy mniejsza od Proximy. Wszystko to zdaje się potwierdzać przypuszczenie, że Prima miała w okresie swych narodzin poważną szansę, by stać się gwiazdą tworzącą z Proxima ciasny układ podwójny. Po ustabilizowaniu się układu planetarnego Urpa krążyła w odległości czterdziestu paru milionów kilometrów od Proximy, Tema zaś ponad dwa razy bliżej. Wskazują na to średnie temperatury występujące w tym samym czasie na Urpie i Temie, a obliczenia te opieramy głównie na materiałach paleobotanicznych. Gdy w życiodajnych rejonach Temy panowały czterdziestopięciostopniowe upały, na Urpie – klimat nieco surowszy od ziemskiego.**

**Oczywiście w badaniach tych – ciągnął Dean – ważne było ustalenie cyklu przemian jądrowych Proximy, a więc i temperatur tej gwiazdy w poszczególnych okresach. Jest to zasługą Nyma. Otóż w okresie najdłuższego z dotychczasowych stadiów promieniowania Proximy świeciła ona niemal tysiąc razy jaśniej niż obecnie. Zrozumiałe jest, że średnica jej była większa od obecnej prawdopodobnie około dwa i pół raza, a temperatura odpowiadała 11 000 stopni. Dokładne badania są w toku. Ale powróćmy do planet: Tema zwracała się wówczas tylko jedną stroną do Proximy, co – mimo szybkiej cyrkulacji ciepła w atmosferze – powodowało duże różnice**

temperatur panujących na obszarach przysłonecznych i odsłonecznych – oczywiście nazywając Proximę słońcem. Mimo to na Temie rozwinęło się życie, o czym szczegółowo będzie mówił Allan. Następna w kolejności planeta, Urpa, była właściwie planetą podwójną. Teraz, na podstawie obrazów Urpian, można z całą stanowczością stwierdzić, że tak zwana planeta X była po prostu Urpa B czy – jak kto woli – ogromnym księżycem Urpy o masie niemal dokładnie dwa razy większej od masy Marsa.

–A Sel? – spytała Kora.

–Sel była tak jak i obecnie księżycem krążącym wokół Urpy A. Chciałbym jeszcze wspomnieć o bardzo istotnej sprawie: w tym okresie na Proximę i jej planety spadała znikoma liczba meteorytów. Brakowało większych ciał w rodzaju planetoid; ze zderzeń ich w warunkach Układu Słonecznego powstają roje meteorów i komet. Komety były tu gośćmi niezmiernie rzadkimi, gdyż zjawiały się tylko wówczas, gdy przywędrowały z innego układu planetarnego.

Dean przez dłuższą chwilę przerzucał kartki.

–Wróćmy jednak do promieniowania Proximy – rozpoczął dalsze wywody. – Masa tej gwiazdy jest 7 razy mniejsza od masy Słońca, a widmo dM5a, a więc inne od widma słonecznego. W szczególności występują tu znaczne ilości tlenu tytanu; bardzo słaba jest niebieska część widma. Inny jest przebieg cykli życiowych Słońca, a inny Proximy Centauri. Przed ośmiuset tysiącami lat Proxima weszła w nowe stadium rozwoju, charakteryzujące się dużymi wahaniami blasku w ciągu setek czy tysięcy lat. Jednocześnie następował powolny spadek ilości wysyłanego przez nią ciepła. Odbiło się to na klimacie planet. Pod koniec tego okresu, mniej więcej 18 tysięcy lat temu, średnia temperatura na Temie odpowiadała temperaturze stref umiarkowanych Ziemi, a na Urpie A i B była nieco niższa od temperatury Marsa. W warunkach urpiańskich, wobec dużej ilości wody, powodowało to występowanie poważnych zlodowaceń. Te ostatnie 18 tysięcy lat charakteryzuje nieco większa stabilizacja klimatu. Dopiero pod koniec tego okresu zaczynają się nowe, gwałtowniejsze zmiany blasku Proximy w ciągu kilkuset, a nawet kilkudziesięciu lat. Życie temiańskie przenosi się wówczas bliżej środka strony oświetlonej, czyli punktu podgwiezdneho. Na Urpie klimat jest, a raczej powinien być zbliżony do warunków pasa planetoid w Układzie Słonecznym. Istnieją jednak pewne dane przemawiające za tym, że na niektórych obszarach Urpy przed dwoma tysiącami lat panowała temperatura zbliżona do temperatury umiarkowanej strefy Ziemi. Ale o tych zmianach będą mówili Allan i Szu.

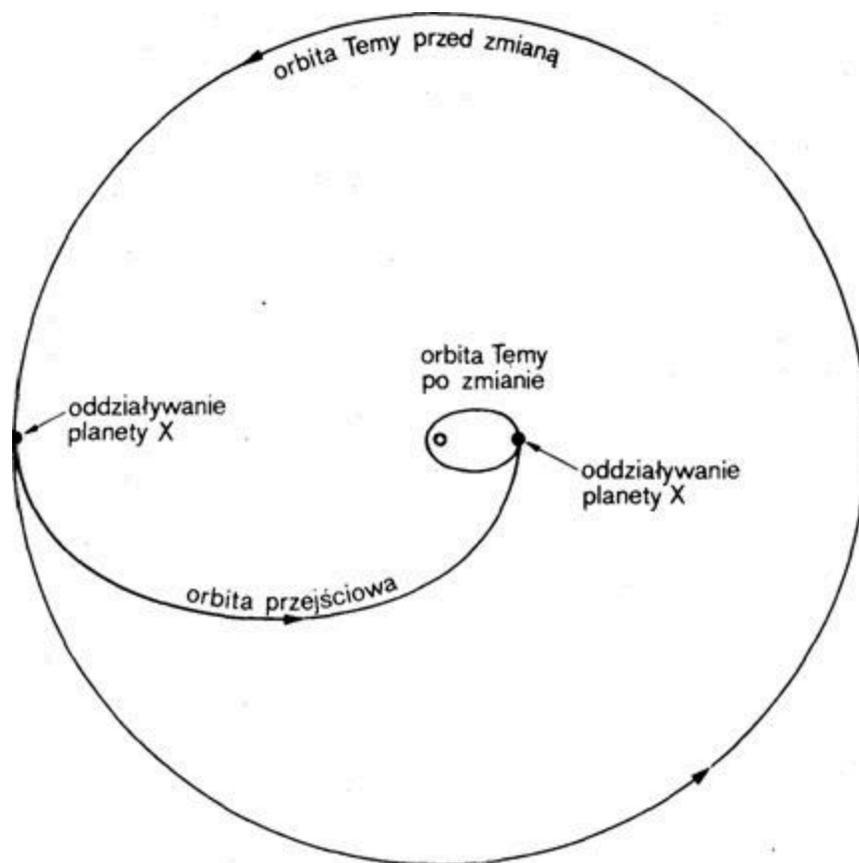
–Czy na planecie X było jeszcze wówczas życie? – spytała Ingrid.

–W stanie naturalnym – nie. Może wegetowały tam jakieś polarne porosty, ale jest to wątpliwe – odparł Allan.

–Klimat już przed dwoma tysiącami lat pogorszył się znacznie – podjął Dean. – Katastrofalny spadek promieniowania Proximy nastąpił jednak dopiero około 1980 lat temu. W ciągu zaledwie kilku tygodni przeszła ona do obecnego stanu, to jest stała się czerwonym karłem klasy dM5e. Oczywiście oznaczałoby to ostateczny kres życia w Układzie Proximy, gdyż nawet na Temie temperatura spadłaby wkrótce do temperatury Urana. Stało się jednak inaczej.

Dean zrobił pauzę.

–Życie w Układzie Proximy przetrwało! – powiedział nie ukrywając wzruszenia. – Przetrwało nie tylko w podziemiach Urpy, ale na Temie, na otwartej przestrzeni. Przetrwało na skutek dziwnych faktów, niewytłumaczalnych działaniem prostych praw przyrody. I to była największa zagadka Układu Proximy, której nie potrafiliśmy rozwiązać aż do odkrycia urpiańskich podziemi. Gdyby nie zaginięcie Igora i Suzy, może zasugerowani Temą i planetą X, ograniczylibyśmy prace na Urpie do bardzo powierzchniowych badań i zagadka pozostałaby nie rozwiązana. Wypadki potoczyły się jednak inną drogą.



Rysunek SEQ Rysunek \\* ARABIC 14. Zmiana orbity Temy

Wszyscy wpatrywali się w skupieniu w twarz astronoma. Znali przecież szczegóły ostatnich odkryć, a jednak dopiero w tej chwili w pełni uświadomili sobie ogromną wagę tego, co przed dwoma tysiącami lat rozegrało się w tym ginącym świecie.

–W ciągu owych kilku tygodni gwałtownego spadania jasności Proximy – ciągnął Dean – Tema zmieniła swą orbitę. Zmieniła tak znacznie, że dalszy rozwój

**tamtejszego życia stał się zupełnie możliwy. Robiło to wrażenie, jakby ktoś celowo przeniósł tę planetę bliżej życiodajnego źródła. I tak właśnie było! Zmiana orbity Temy nie da się wytłumaczyć żadnymi innymi czynnikami, jak tylko świadomą ingerencją istot rozumnych.**

**–Czy jednak nie można by przyjąć – odezwał się Hans – że właśnie w tym krytycznym momencie przez Układ Proximy przeszło jakieś obce ciało kosmiczne i ono spowodowało zmianę orbity Temy, Urpy i Nokty?**

**–Taki kataklizm kosmiczny jest możliwy tylko w jednym przypadku: przejścia przez układ planetarny obcego ciała o masie porównywalnej z gwiazdą. Ten domniemany obiekt znajdowałby się dziś, zaledwie po dwudziestu wiekach, na tyle blisko, że bez względu na swój charakter, nawet jako czarny karzeł, zostałby już dawno wykryty w obserwatoriach astronomicznych krążących wokół Ziemi. Ale nawet zakładając przeoczenie go – z rachunku prawdopodobieństwa wolno wykluczyć niewiarygodny przypadek, że tak niezmiernie rzadkie zdarzenie zbiegło się dokładnie w czasie z przygaśnięciem Proximy. A więc nie działały tu ślepe siły przyrody, "tylko Rozum. Andrzej i Nym szukali zresztą takiego czarnego karła. Bez wyniku. Ciała tego nie ma, bowiem w ogóle go nie było! Była za to planeta X, która w rękach Urpian stała się narzędziem przesuwania globów. Jediną siłą, zdolną zmienić moment pędu tych planet, mogła być tylko siła wytworzona kosztem przemian jądrowych. Urpianie potrafili zmienić planetę większą od Marsa w gigantyczny silnik raketowy. Oczywiście nie dosłownie, ale sens fizyczny jest ten sam. Jakby przez jakieś przepiętne wulkany wyrzucane były w przestrzeń kosmiczną strumienie materii z planety X. Można w ogólnym zarysie zrozumieć zasady zmiany orbit, ale wątpię, czy potrafimy sobie to wyobrazić w plastyczny sposób. Jakie takie pojęcie dają nam dopiero malowidła i fbtoplastyczne obrazy Urpian.**

**Na ekranie ukazał się fragment kompozycji plastycznej odkrytej przez Suzy w mauzoleum miasta pod Ciemną Plamą.**

**–Stopniowo zwiększając prędkość Urpy B – tłumaczył Dean – Urpianie doprowadzili wreszcie do rozerwania więzi łączącej ją z Urpą A. Podwójna planeta, Urpa A i B, przestała istnieć. Urpa B zaczęła wędrować przez Układ Proximy jako samodzielna planeta X, Urpa A zaś, o ośmiokrotnie większej masie, na skutek tych manewrów przeszła na inną, nieco mniejszą orbitę. Tymczasem planeta X zbliżyła się do Temy, przyciągając ją, a zarazem sama, dzięki działaniu „silnika raketowego”, nie poddawała się ciężarowi Temy i Proximy. Urpianie osiągnęli to, co przed wiekami na Ziemi uznawano za wyłączną domenę bogów – możliwość dowolnych zmian wiecznego porządku w systemie planetarnym.**

**–Trochę przesadziłeś – przerwał Andrzej wywody Deana. – Oczywiście planeta X mogła manewrować podobnie jak pojazd raketowy, ale swoboda jej ruchów była bardzo ograniczona. Przyśpieszenie, jakie powodowały wyrzuty gazów w przestrzeń**

**kosmiczną, było nieduże w porównaniu z masą planety.**

**–Przyznasz jednak, że uczeni urpiańscy potrafili bardzo precyzyjnie wybrać moment przeprowadzenia swego dzieła.**

**–Nie jest to znów aż tak niezwykle w warunkach rozwiniętej techniki obliczeniowej.**

**–Już w początkowym okresie rozwoju astronautyki ziemskiej potrafiono przeprowadzać bardzo precyzyjnie wyliczone operacje – dorzucił Jaro.**

**–Nie to miałem na myśli. Czy nie uważacie za zadziwiające osiągnięcie wyliczenie, kiedy nastąpi i jaki będzie przebieg zmiany cyklu Proximy? Przecież oni musieli to przewidzieć na wiele lat naprzód. Wykluczone, aby od razu zbudowali te ogromne ogniska jądrowe wyrzucające materię planety. I jak obliczyli ostateczną jasność gwiazdy?**

**–Ja bym jednak nieco dalej ustanowił punkt przygwiezdny Temy – odezwał się Renę. – Nie mogli stworzyć jakiejś bardziej kołowej orbity?**

**–Czego od nich chcesz? – oburzyła się Zina i wszyscy się roześmieli.**

**W drugim punkcie obrad przemawiał Igor. Poruszając problemy geologiczne i geofizyczne, zwięźle omówił przeobrażenia, jakie w ciągu ostatnich trzech miliardów lat następowały w skorupie Temy, Urpy, planety X i Nokty oraz zatrzymał się dłużej nad działaniem lodowców na Urpie. Potem zajął się omawianiem wyników- prac Mary Sheeldhorn. Dotyczyły one przede wszystkim Temy i Nokty. Wiele ze szczegółów badań, wniosków i hipotez uszło dotąd uwagi większości uczestników ekspedycji. Jeśli nawet czytali o niektórych pracach w stałych biuletynach wyprawy, nie będąc specjalistami rzadko potrafili zrozumieć istotną treść odkryć, zawartą w suchych zestawieniach faktów, wynikach analiz i wykresach. Teraz, słuchając Igora, zrozumieli, że utracili nie tylko jakże bliską wszystkim koleżankę, ale również jeden z najwybitniejszych umysłów ekspedycji...**

**Była mistrzem w ocenie i analizie ogromnych materiałów geologicznych, jakie przynosił każdy dzień. Jej wnioski zaskakiwały wnikliwością i trafnością. Przykładem tego – prace dotyczące wzrostu temperatury, jakie przeżyła Nokta tracąc atmosferę. Wnioski Mary, że kataklizm spowodowany był działaniem strumieni energii wysyłanych przez istoty rozumne zamieszkujące układ planetarny Proximy, zostały później w pełni potwierdzone przez badania Nyma i odkrycia w podziemiach Urpy.**

**Gdy Igor skończył, Hans podniósł się z fotela. Zdawało się, że chciał coś powiedzieć, ale wzruszenie odebrało mu głos.**

**Stali tak naprzeciw siebie dłuższą chwilę, bez słowa. Naraz Hans zbliżył się szybko do geologa i ująwszy go za ramiona, mocno uściskał.**

Jako następny sprawozdawca zabrał głos Allan. Nakreśliwszy w kilku zdaniach główne kierunki życia na trzech planetach Układu Proximy, przeszedł do szczegółowego omówienia zasadniczych różnic w ewolucji podstawowych pni rozwojowych roślin i zwierząt na Ziemi, Urpie i Temie. Po ekranie przesuwały się zdjęcia skamieniałości, odcisków i szkiców rekonstrukcyjnych. Mimo że w materiałach roilo się od luk i niejasności, wywody młodego biologa były tak wnikliwie, hipotezy tak przekonywające, że przed oczami słuchaczy w ciągu niewielu minut przesunął się jakby cały długi łańcuch ewolucji, w którym każde ogniwo było niezbędnym elementem całości.

Najwięcej uwagi Allan poświęcił Temie i Temidom. Poruszał pasjonujące problemy przystosowania się roślin i zwierząt do ogromnych różnic w warunkach klimatycznych, a nawet zmian w składzie atmosfery. Po raz pierwszy została udowodniona na konkretnym przykładzie możliwość rozwinięcia się życia w warunkach planety stale zwróconej jedną stroną do swego słońca.

–Nim spróbuję przedstawić dzieje Temidów – mówił biolog – pragnę spojrzeć w przeszłość najdalszą, sięgnąć do korzeni procesów, które kształtowały zmienne oblicze ich planetarnej kolebki. W porównaniu z Ziemią, historia temiańskiej biosfery jest bardziej złożona, nie mówiąc o dramatycznej zmianie orbity globu i – w konsekwencji – losów jego mieszkańców. Nasze poglądy na ewolucję temiańskiego życia przeszły różne koleje. Teraz obraz ten okrzepł i zapewne utrzyma się w zasadniczym trzonie, gdyż wspiera go obszerny materiał z różnych dziedzin, w którego gromadzeniu uczestniczyli niemal wszyscy z nas.

Biogeneza przebiegała na Temie podobnie jak na Ziemi. Życie powstało w wodzie, w otoczeniu atmosfery prawie beztlenowej, co chyba dotyczy większości biosfer białkowych. Potem dokonała się taka sama rewolucja chlorofilowa o dwóch doniosłych aspektach: powstaniu roślin samożywnych i otwarciu drogi dla rozwoju zwierząt oddychających tlenem. Poprzedzone chemiczną ewolucją związków białkowych, życie na Temie rozwija się z górą trzy miliardy lat. Osiemset milionów lat temu – więc dwukrotnie wcześniej niż na Ziemi – wyszło ono z wody, opanowując najpierw przymorskie trzęsawiska, a później inne lądowe biotopy, nie wyłączając najsuchszych.

Układ Proximy wyglądał wówczas inaczej niż teraz. Przede wszystkim zawierał o jedną planetę więcej. Z rozbitych jej szczątków 1980 lat temu powstały planetoidy, a Tema gruntownie zmieniła orbitę. Dawne jej położenie udało się ustalić, badając roczne przyrosty słoju niektórych morskich zwierząt osiadłych. Rok Temy, czyli jeden jej obieg wokół Proximy, wynosił wtedy 91 dni ziemskich. Ponieważ masa gwiazdy nie zmieniła się w związku z jej przygaśnięciem przed dwudziestoma wiekami, wyliczyć można prostym rachunkiem, że Tema krążyła w odległości 17 milionów kilometrów od swego słońca, po torze zbliżonym do koła.

**Z mikroskopowych pomiarów słojów dziennych tych samych skamielin wiemy, że miliard lat temu doba temiańska miała sto szesnaście godzin[39]. Przed sześciuset milionami lat, u progu naszego paleozoiku, wynosiła już prawie dwa miesiące. Potem wydłużała się nadal pod naporem sił przyptywowych stosunkowo bliskiej Proximy, aż sto milionów lat temu, czyli w naszej górnej kredzie, zrównał się czas obrotu Temy wokół osi z czasem okrążania Proximy. Doba i rok stały się jednym i tym samym, zniknął podział na pory roku (niegdyś takie jak na Ziemi, wskutek podobnego nachylenia osi obrotu do temiańskiej ekliptyki) i związane z tym strefy planetograficzne.**

**Wywołało to całkiem nowe stosunki klimatyczne, typowe dla planet zahamowanych, czyli zwróconych stale jedną stroną do swego słońca. Glob podzielił się na półkulę wiecznej nocy i wiecznego dnia, oddzielone linią terminatora, gdzie w teorii Proxima powinna stale znajdować się na horyzoncie. Pewne odstępstwo orbity Temy od kęła sprawiło, że jednak w pasie szerokości paruset kilometrów następowały zmiany pór roku, będącego równocześnie dobą. Proxima w jednym okresie wschodziła tam wolniutko, podnosząc się prostopadle bardzo nisko nad widnokrąg, a później tak samo opadała i następował zmierzch trwający kilka tygodni.**

**Zrazu ten model tak nas zasugerował, że tę strefę przechodzenia nocy w dzień, poszerzoną o wąski pas stałego oświetlenia, uznaliśmy bezkrytycznie za region pieniącego się życia – w przeciwieństwie do mrozów wiecznej nocy i skwarów nieustającego dnia. Obraz ten zaczął jednak tracić zwolenników. Najpierw Ast, jako geofizyczka-klimatolog, zgłosiła votum separatum, że w tym pasie przejściowym nie tylko nie powstały warunki idylliczne dla życia, lecz musiały być wręcz nieprzyjazne. Jako tereny objęte wegetacją wskazała znaczną część półkuli oświetlonej na zewnątrz zbyt gorącego koła wokół bieguna ciepła, czyli podslonecznego punktu planety, gdzie Proxima nieprzerwanie świeciła blisko zenitu.**

**Tę hipotezę najłatwiej było sprawdzić metodami paleontologii,, czy m zajął się René z Mary, a po jej śmierci z Hengiem. Sporządzona przez nich mapa zasięgu fauny i flory w poszczególnych minionych okresach potwierdziła przewidywania Ast. Kazało to zrewidować nie tylko nasze pojęcia o zasiedlonych i pustych obszarach Temy przed zmianą jej orbity, lecz również o stopniu przekształceń warunków klimatycznych, jakim uległa biosfera po tym kataklizmie. Przedtem wyobrażaliśmy sobie rozwój życia w środowisku znacznie chłodniejszym, niż to się działo rzeczywiście. Zmienił się więc nasz pogląd na rolę Pięciokątów. Wcześniej bowiem nie docenialiśmy zbawczej roli tych oaz ciepła, krytykując stworzenie w nich Temidom rzekomo szkodliwej, rozleniwiającej sielanki.**

**Geofizyczny model warunków na powierzchni Temy, podany przez Ast, pokrywał się niemal dokładnie z wynikami badań geologów. Jeszcze dwa tysiące lat temu glob ten przedstawiał obraz nader specyficzny. Półkula wiecznej nocy, prawie cała pozbawiona życia wskutek nieustających mrozów, pozostawała niemal tak statyczna**

jak głębie oceanów na Ziemi. Posuwając się od terminatora ku biegunowi zimna, czyli środkowi nocnej strony planety, gdzie Proxima znajdowała się w nadirze, w tamtym czasie uderzyłoby nas coraz mniejsze zróżnicowanie zarówno pogody jak widoków. Wprawdzie góry i niziny współistniały obok siebie, a grunt pokrywała warstwa zbitego śniegu, nigdzie jednak nie zalegała tak grubo, aby tworzyć lodowce. Choć niebo często zasnuwały chmury, przeważnie całkowicie nieprzejrzyste, śnieg bywał jeszcze rzadszym gościem niż deszcz na Saharze. Toteż tylko nieznaczna część planetarnych zasobów wody, stracona dla dalszego obiegu w przyrodzie, gromadziła się tam firnową skorupą. Wiatry wiały sporadycznie; przeważała martwa cisza.

Dopiero w okolicach terminatora krajobraz wydatnie się zmieniał. Tysiąc-kilometrowy pas wokół niego, od nocnej krawędzi zwrócony w region wiecznego dnia, był widownią frontów atmosferycznych, śniegowych nawałnic, gwałtownych burz z piorunami i huraganów niezwyklej mocy. Ta wstęga szczelnie opasująca glob stanowiła buzujący kocioł, w którym energia promienista Proximy, kumulowana na półkuli oświetlonej, rozładowywała się w potężnych żywiołach pogody, z kolei rzutujących na inne zjawiska geofizyczne.

Gdyby zwały padających tam śniegów gromadziły się i nie topniały, w krótkim czasie nieuchronnie związałyby globalny zapas wody. Tak się jednak dzieć nie mogło. Cały obszar tego pasa szczelnie pokryły wysokie góry. Nawet pośród rozległych równin wypiętrzyły się potężne masywy zbudowane wyłącznie z lodu. Zawierały one większość wód wypełniających dzisiejsze oceany. Ale ten olbrzymi pierścień lodów nie mógł być stateczny. Pękając tworzył oddzielne lodowce – nieraz o powierzchni średnich krajów europejskich – które pod wpływem siły wywieranej własnym ciśnieniem sływały na boki. Od strony nocnej, skutej tęgim mrozem, z czasem ich pochód uległ przyhamowaniu. W kierunku cieplejszych regionów natomiast, gdzie promieniowanie Proximy, choć nisko wzniesionej na niebie, obtapiało pochyłe zbocza, a ciepłe prądy powietrzne nasilały ten proces – nieustannie sływały strugi wody, gromadząc się u podnóży, wsiąkając w glebę, parując. Tam zalegała nieprzerwanym pasmem tundra tętniąca życiem wielu form roślinnych i zwierzęcych. Dopiero za nią, kręgiem zwężającym się ku środkowi półkuli oświetlonej, leżały bardziej urozmaicone strefy życia, które nie znały chłódów i śniegu. Rzeki sływające z lodowców wpadały do jezior i mórz śródlądowych zastępujących dzisiejsze oceany.

Najbujniejszymi biocenozy były puszcze, zawierające również liczne skupiska Temidów. Umieszczenie ich na mapie wraz z dość dokładnym określeniem panującego klimatu ułatwia nabranie właściwego wyobrażenia o naturalnych wymaganiach gospodarzy globu. Wtedy okazało się – a była to duża niespodzianka – że na obszarach, jakie zamieszkiwali, temperatura spadała najwyżej do 13° C, zresztą rzadko, tylko podczas zimnych burz gnanych od strony lodowców. Zazwyczaj było dwadzieścia parę stopni, przy umiarkowanej wilgotności powietrza. Prawdą jest, że Temidzi nie objęli swym zasięgiem dalej wysuniętych tropików, zasiedlonych przez

typowe gatunki ciepłolubne. Potwierdzało to wszakże ówczesne wąskie przystosowanie ich organizmów do ciepłoty otoczenia: wtedy nie znieśliby ani przymrozków, ani dokuczliwych upałów. Ku środkowi półkuli oświetlonej skwar szybko wzrastał, a siedliska życia stawały się coraz suchsze. Przeważały pustynie, w miarę zbliżania się do bieguna ciepła już zupełnie jałowe. Na tym obszarze jedynie kilka odosobnionych górskich masywów było ostoją rozmaitych reliktyw fauny i flory, ze względu na korzystny strefowy rozkład temperatur.

Proxima jest dziś gwiazdą zmienną nieregularną. Prócz niewielkich wahań blasku, czasami podlega krótkotrwałemu rozbłyskowi o znacznym natężeniu. Taką stała się niedawno w skali kosmicznej, 750 000 lat temu.

Z pewnością wywarło to jakiś wpływ na przebieg ewolucji temiańskiego życia, lecz nie przyniosło generalnych zagrożeń. Dopiero później, przed osiemnastu tysiącami lat pojawiły się bardziej wyraźne symptomy jej starzenia się, pod względem skali zmian klimatycznych Temy porównywalne z naszą epoką lodowcową.

Badania, które są w toku, pozwolą ustalić, czy było to nagłe ochłodzenie, utrzymujące się równomiernie przez dalsze sto sześćdziesiąt wieków, czy – jak na Ziemi, lecz w tempie przyspieszonym – nawroty zimna przedzielone ciepłymi interglacjami. W każdym razie wtedy pas lodowców wokół terminatora znacznie się poszerzył, a strefa życia przesunęła ku środkowi półkuli dziennej. W migracjach tych wzięli udział również Temidzi, raczej uchodząc przed chłodem niż przeciwstawiając się mu w dawnych siedliskach. Mieszkali wtedy na otwartej przestrzeni, nie wykorzystując jaskiń. Ast i Ingrid są w trakcie nanoszenia szlaków tych wędrówek na sporządzane mapy wahań klimatycznych w ubiegłych dwudziestu tysiącach lat.

Biologicznej przeszłości Temidów nie znamy w stopniu porównywalnym z antropogenezą nie tylko dlatego, że nie starczyło czasu na badania. Gospodarze globu są pod niektórymi względami na szczeblu pitekantropa, pod innym – nawet australopiteka. Badania utrudnione są również przez to, że bliscy krewni Temidów wymarli. Początkowo sądziliśmy, że zostali wytępieni przez twórców „Miast” sprzed dwudziestu siedmiu wieków. Jednak wykopaliska tego nie potwierdzają. Najmłodsze boczne gałęzie rodowodu tuziemców – odpowiednik szympansa w stosunku do nas – pochodzą sprzed dwudziestu tysięcy lat. Były to osobniki nadrzewne, znacznie lżejsze i zwinniejsze. Chyba przepadły wraz z zagładą rodzimych puszczy przy pierwszym natarciu zimna. Także populacja gospodarzy przeredziła się wtedy, ale widocznie część z nich w porę zrozumiała niebezpieczeństwo i uszła w cieplejsze regiony.

Należy przyjąć, że przez ostatnie sto milionów lat strefa życia zaczynała się mniej więcej tysiąc kilometrów od terminatora, po 'stronie półkuli wiecznego dnia, osiągając optimum gdzieś w piątej lub czwartej części trasy do punktu podświetlenia. Chyba tylko pewien obszar wokół niego był jałową, spieczoną

**skwarem pustynią – może z wyjątkiem wyniosłych gór o niższych temperaturach. Tak więc co najmniej połowa półkuli oświetlonej była siedliskiem życia. Flora przywykła więc nie tylko do nieprzerwanego, lecz także ostrego oświetlenia.**

**Jakże bardzo odbiega to od obrazu dzisiejszej Temy! Zmiana nastąpiła całkiem raptownie dwa tysiące lat temu. Z punktu widzenia ogólnych praw biologii – zapewne wszędzie jednakowych! – jest nader mało prawdopodobne, by jakikolwiek gatunek rośliny wyższej wytrzymał taką katastrofę gruntownie modyfikując swe potrzeby życiowe. Niezwykle trudno było pojąć przystosowanie się biosfery do nagłego obniżenia średnich temperatur o kilkadziesiąt stopni, kiedy glob zmienił orbitę. Między innymi wysuwałem wówczas przypuszczenie, że fauna i flora były tu niegdyś znacznie bardziej zróżnicowane od ziemskich, a my zastaliśmy już tylko żałosne ich szczątki w postaci form najbardziej zimnolubnych.**

**Może długo obracalibyśmy się w kręgu słabo albo wcale nie umotywowanych hipotez, podejmowanych bardziej z rozpaczy niż z przekonania – gdyby nagle nie wybuchła zaraza porostów, która przysporzyła nam tylu zmartwień. Niespodziewane, natychmiastowe ustąpienie jej bez żadnych starań z naszej strony było tym „cudem”, który kazał poszukiwać aktualnej ingerencji Rozumu w przyrodę Temy.**

**W tym czasie już wiedzieliśmy, iż podobne działania były dokonywane w przeszłości, przynajmniej w stosunku do flory. Na podstawie badań paleobotanicznych można było dowieść, że przed zmianą orbity Temy przeważała tu zielona barwa listowia. Poniebieszczenie w bardzo krótkim czasie, obejmujące całą roślinność, wprowadziło znakomicie pasowało do oziębienia klimatu, lecz nie dało się wytłumaczyć naturalnymi mechanizmami ewolucji.**

**Pokrótkce przypomnę tę już bardzo znaną historię. Zaraza porostów niszczyła je pośrednio. Chodziło o zainfekowanie współżyjących z nimi bakterii *Rodes decretorius*, które przywykliśmy nazywać beczułkami. Symbioza tych organizmów jest tak ścisła, że w przypadku braku „beczułek” porosty zieleniały, a następnie więdły i ginęły – w laboratorium po kilku dniach, a w przyrodzie z nastaniem nocnego chłodu. Oddziaływanie tych drobnoustrojów na wszelkie rośliny za pośrednictwem wydzielanych enzymów jest wielokierunkowe, lecz w efekcie końcowym sprowadza się do jednego: zapewnienia im mrozoodporności.**

**Zaraza porostów przerzuciła się na mchy i mogła zagrozić całej florzce. W tym ekspansywnym stadium, budzącym najgorsze obawy, ustała zupełnie nagle. Chcąc uniknąć nieporozumień, wyjaśnię, co w całym tym procesie określiliśmy mianem „cudu”. W tym celu muszę powiedzieć, co działo się normalnie, czyli zgodnie z mechanizmami komórkowych przekształceń – zarówno chorobowych, jak genetycznych. Osobno trzeba rozpatrzeć dwa niezależne procesy: najpierw wybuchu zarazy, a potem jej ustąpienia.**

Podobnie jak „beczułki” współżyją z roślinami, stałym symbiontem tych bakterii był – od chwili ich powstania – bakteriofag TE-112. W sposób, którego jeszcze nie poznaliśmy dokładnie, stymulował on znaczną część ich oddziaływań na florę, umożliwiającą jej przetrwanie w nowych warunkach środowiskowych: po zmianie orbity Temy. Pod naporem nieznanego czynnika związanego z nami bądź z naszą techniką, jakiś pojedynczy TE-112 uległ bardzo radykalnej mutacji. Tą drogą powstał nowy „p.tunek bakteriofaga, oznaczony przeze mnie jako TY-112. Choć był on rzeczywistym i jedynym sprawcą zarazy porostów, dokonywał tego w sposób szczególny: ani drogą wytwarzania toksyn, ani bezpośredniego niszczenia komórki bakteryjnej – a tylko przez wypieranie swego poprzednika. Ale, mówiąc trywialnie, bez tamtego sym-bionta „beczułki” były diabła warte, gdyż przestały zapewniać roślinom mrozoodporność.

W świetle tych wyjaśnień, „zaraza” nie jest najwłaściwszym określeniem, lecz będę go używał, bo wiemy, o co chodzi. Szerzyła się tak szybko, że los roślin, a przez to i całego życia na Temie, stanął pod znakiem zapytania. Aż nagle, w pełni rozpaczliwych moich usiłowań, by znaleźć antidotum mogące zahamować niszczycielski proces, stwierdziłem ze zdumieniem, że to już zaszło, całkiem nagle, bez mego udziału.

Ten odwrót zagrożenia wydarzył się dzięki kolejnej mutacji, jakiej tym razem uległ najmłodszy twór na planecie, TY-112. Powstałego zeń nowego bakteriofaga – także tym razem odrębny gatunek – nazwałem TS-112, potocznie zaś sanatoriumem. Oddziaływał on na „beczułki” bardziej przewrotnie niż jego poprzednik. Tu nie chodziło już o wypieranie innego bakteriofaga, lecz wprowadzenie trwałej, dziedzicznej zmiany w genomie [\[40\] „beczułek”. Stała się rzecz, której nie potrafimy zrozumieć: sanatorium nie tylko cofnął zagrożenie „beczułek” przez swego poprzednika, lecz ulepszył ich funkcjonowanie – przenosząc mrozoodporność tych bakterii z pośrednictwa bakteriofaga na ich aparat chromosomalny! Tym samym uniezależnił je od symbionta, bez którego nie mogły pełnić dobroczynnej roli wobec roślin.](#)

Bardzo istotny jest sposób rozprzestrzeniania się tego zbawczego procesu. Sprawa dotyczy tak zwanej dziedziczności infekcyjnej, odkrytej już w dwudziestym wieku. Nazwa pochodzi stąd, że jest to szczególny sposób przekazywania czynników genetycznych z jednego organizmu do drugiego, przypominający przenoszenie zarazków bądź pasożytów. Dziedziczność infekcyjna może się spełniać w jednym z kilku poznanych wariantów. Ten, który uśmierzył zarazę porostów, nazywamy transdukcją.

Przypomnę, że zasadniczą rolą sanatoriuma było wzbogacenie „beczułek” o gen mrozoodporności. A proces transdukcji polegał tu na tym, że wniknąwszy do tej bakterii i namnożywszy się wewnątrz niej, salvator porывał ten właśnie fragment jej genomu, warunkujący mrozoodporność przenoszoną na roślinę. Przytwierdzony do

DNA bakteriofaga, fragment ten wniknął w kolejną „beczułkę”, uwolniony tam i z kolei wcielony do jej genomu. Na pierwszy rzut oka wygląda, że zysk równoważy tu stratę, gdyż genom odebrany jednej bakterii zostaje użyty przez następną. Tak jednak nie jest. Nieustanną migrację sanatoriusów przez organizmy „beczułek” możemy przyrównać do przepływu wody, na tyle ciągłego, że nie starczy czasu na wyschnięcie jej.

Do tego miejsca, jedyny dziw to wzbogacenie genomu mikroorganizmu przez bakteriofaga. Ale tu można byłoby jeszcze podejrzewać, iż mamy do czynienia ze zjawiskiem naturalnym, którego dotąd nie odkryliśmy. Nie sposób natomiast tego powiedzieć o metodzie rozprzestrzeniania się sanatoriusów. Przed stwierdzeniem transdukcji wyglądało na to, że mutacji uległy wszystkie naraz TY-112, co nie znajdowało jakiegokolwiek wytłumaczenia. Myliłem się. Ale to, czego ostatecznie udało mi się dowiedzieć, jest równie szokujące: jedna i ta sama mutacja musiała dokonać się równocześnie w wielu miejscach, wśród mnóstwa poszczególnych bakteriofagów. To właśnie nazwaliśmy cudem – jako zjawisko absolutnie wykluczone na drodze naturalnej.

Uzyskawszy ten niezbity dowód rozumnej ingerencji w żywotne sprawy Temy, i to ingerencji dziejącej się na naszych oczach, chcieliśmy ustalić zakres tego patronatu w przeszłości. W tym nowym obrazie Pięciokąty spadły do roli tylko jednego, najbardziej widowiskowego rozdziału w eposie ratowania społeczności Temidów wraz z całą biosferą.

W jakim momencie zaczęła się liczyć nowa historia Temy? Kiedy dokonano tego zasadniczego kroku zapewniającego biosferze temiańskiej przetrwanie i rozwój? Słowem: kiedy położono fundamenty życia w nowej epoce? Ab urbe condita...

Sprawa wróciła do punktu wyjściowego: zmiany orbity Temy. Jest już dziś pewne, że był to skutek przemyślanych działań astroinżynierskich, choć istnieją duże różnice zdań co do tego, w jakim stopniu efekt końcowy pokrywał się z zamierzonym.

Ogromna ekscentryczność elipsy, po jakiej krąży dziś Tema, budzi wiele zastrzeżeń. Dla biosfery znacznie korzystniejszy byłby tor prawie kołowy w takiej odległości od Proximy, by na znacznych przestrzeniach promieniowanie gwiazdy ogrzewało glob podobnie jak w strefie dawnych osad Temidów. Hans wysunął hipotezę, że orbita Temy została dobrana w ten sposób, by w peria-stronie wulkany wtłaczały do atmosfery optymalne ilości dwutlenku węgla – dotychczasowe dla wzmożenia efektu cieplarnianego, a niegroźne z punktu widzenia aparatu oddechowego zwierząt. Ast zaprzecza tej koncepcji. Jej zdaniem, umieszczenie planety na najdogodniejszym torze ustaliłoby klimat nie wymagający dodatkowych korektur.

Przesuwanie globów daje kulturze planetarnej świadectwo wysokiego stopnia

rozwoju, nawet jeśli przy tej okazji popełni ona jakiś błąd w sztuce. Jednak to, co stało się potem, mówi jeszcze dobitniej o geniuszu tej cywilizacji, a nadto stawia ją na piedestale wysokiej moralności. Są to te wszystkie działania, raz pełne rozmachu, to znów niezwykle subtelnych metod – które w konkretnej sytuacji po zmianie orbity Temy pozwoliły uratować jej biosferę niemal w całości. Imponuje nam ten ich tryumf i staramy się zgłębić go w szczegółach.

Wyobraźnia zawodzi, kiedy myślimy o tym, co działo się 1980 lat temu i później. Świat, bardzo ustabilizowany pod względem klimatycznym, nagle stanął na głowie. Zniknął stały terminator, nie było już półkuli wiecznej nocy ani wiecznego dnia. Strefa życia, dotąd oparta na mocnych podstawach nieustającego światła i ciepła, rozszerzyła się prawie na całą planetę – lecz w jak tragicznie zmienionych warunkach!

Zdajemy sobie sprawę, że i to jest tylko czystym teoretyzowaniem. Mówimy, w gruncie rzeczy bezpodstawnie, o oziębieniu się klimatu Temy w związku z ekscentrycznością jej nowej orbity. Ale porównanie to odnosimy do klimatu globu z dawnych czasów, kiedy Proxima była gwiazdą znacznie gorętszą, a Tema krążyła dziesięciokrotnie dalej od niej aniżeli dziś. Spytajmy więc, w jakiej fazie przygasania gwiazdy dokonano przesunięcia orbity Temy. Jeśli Proxima świeciła jeszcze pełnym blaskiem, to na nowym torze woda musiałaby wrzeć – nawet w apastronie. Zakładając odwrotną sytuację: że gwiazda już wtedy ochłodła do stanu dziesiętysiętego – na dawnej-orbicie atmosfera Temy uległaby skropleniu. Oczywiście w obu przypadkach biosfera zginęłaby z kretezem.

Jest to wyjątkowo trudna zagadka. Najprościej przyjąć, że przygasanie Proximy trwało tylko parę miesięcy i było tak idealnie równomierne, iż na żadnym etapie drogi podróży z dawnej orbity na nową temperatura powierzchni Temy ani się nie podniosła, ani obniżyła poza krytyczną granicę zagłady życia. Ponieważ szybkości przesuwania planety nie można dowolnie regulować, byłby to nieprawdopodobny zbieg okoliczności, że gwałtowne przygasanie Proximy dokładnie zsynchronizowało się z czasem manewru przetoczenia Temy na nowy tor, zależny przecież nie od wykonawców przedsięwzięcia, lecz od praw mechaniki nieba. Natomiast precyzyjne przewidzenie tempa spadku promieniowania gwiazdy nie budzi zastrzeżeń, gdyż mieści się w możliwościach astrofizyki.

Istnieje jeszcze hipoteza wysunięta przez Jaro. Odwraca ona problem sugerując, że Temianie zamiast dostosować swoją akcję do procesów zachodzących na Proximie – sami stymulowali tempo jej przygasania! Trudno się do tego ustosunkować, gdyż nie dysponujemy żadnymi danymi na temat stopnia opanowania tej techniki przez Urpian. W każdym razie od dawna rozważa się ewentualność prac astroinżynierskich na taką skalę, dokonywanych przez kosmiczne supercywilizacje. Już w dwudziestym wieku zwracał na taką możliwość uwagę Kardaszew.

Tak czy inaczej, aby nie popaść w absurd, przyjmijmy uproszczone założenie, że Tema całkiem raptownie zmieniła dawny klimat, ciepły na półkuli wiecznego dnia – na surowy i bardzo nie zrównoważony wskutek olbrzymich amplitud temperatury. Nawet w tym najkorzystniejszym, wyimaginowanym przypadku, wszelkie znaki na ziemi i niebie musiałyby wtedy wskazywać, że dzieje tutejszego życia dobiegają kresu – jak po wojnie atomowej. Bo cóż miało szansę przetrwania? Pewne bakterie i pierwotniaki, trochę glonów, porostów, niewiele roślin wyższych, a spośród zwierząt wielokomórkowych – najłatwiej chyba mieszkańcy mórz, ale też nieliczni, bo śródlądowe morza dawnej Temy były płytkie i przypuszczalnie ciepłe aż do dna. Również przy dodatkowym założeniu, iż dobroczyńcy globu podjęli niezwłoczną akcję ratowniczą na olbrzymią skalę – należało się spodziewać, że większość gatunków zwierząt i roślin przepadnie w najwcześniejszej fazie kataklizmu; niektóre – już w pierwszej mroźną noc.

A stało się inaczej! – Allan urwał na chwilę, dla podkreślenia wagi tego stwierdzenia. – Rozpatrując zmianę klimatu Temy sprzed 1980 lat przypuszczaliśmy, że jej biosfera musiała być wówczas znacznie bardziej zróżnicowana od ziemskiej, a to, co zastaliśmy, stanowi – pod względem liczby gatunków – podzwonne minionej świetności. Ilościowa ocena problemu była w gestii paleontologii. Należało ustalić, choćby w dużym przybliżeniu, procent gatunków fauny i flory, jakie przepadły w minionych dwóch tysiącach lat, a zwłaszcza w pierwszym wieku po katastrofie. Zadania tego podjął się Renę z Hengiem. Wyr k wprowadził nas w zakłopotanie. Spodziewaliśmy się, że na wykresie wymie<sup>^</sup> •'ma gatunków zaznaczy się dwadzieścia wieków temu stromy skok. Tymczasem i te" rajwiększy wstrząs – w postaci zagłady również niektórych gałęzi drzewa ewolucji – w ogóle się tam nie ujawnił. Innymi słowy, kataklizmu biosfery nie było. Był tylko kataklizm astronomiczny.

Objąwszy natomiast tymi samymi badaniami wcześniejszą epokę, dało się wykryć wprawdzie niewielki, ale stanowczo wykraczający poza błąd statystyczny, wzrost wymieralności gatunków z początkiem „epoki lodowcowej” sprzed osiemnastu tysięcy lat. Dotyczył on przede wszystkim flory z obszarów położonych najbliżej terminatora, a ponadto tutejszych kręgowców, zwłaszcza form najmasywniejszych. Wydarzenie to można datować metodami: paleontologiczną i geologiczną – otrzymując zbliżony wynik. Znaczący to, że sto osiemdziesiąt wieków temu tutejsza przyroda rządziła się sama i żaden dobroczyńca z zewnątrz nie stawał w jej obronie.

Zaczynając od „cudu” wygaśnięcia zarazy porostów, po nitce do kłębka doszliśmy do wydarzeń sprzed dwudziestu wieków, by ustalić ponad wszelką wątpliwość, że ówczesne uratowanie temiańskiej biosfery nie dokonało się samo. Tam natrafiliśmy na „cud” pierwszy, imponujący rozmachem i zasięgiem. Wtedy właśnie rozpoczęła się historyczna misja sprawowania przez Urpian opieki nad tutejszą przyrodą. Choć skutki tych zabiegów poznajemy dość przypadkowo, odsłaniając na wrywki poszczególne ich ogniwa – wszystkie one zazębiają się i znakomicie mieszczą w spójnym obrazie całości. Dziś możemy stwierdzić z całą stanowczością, że

„beczułki”, o których tu już mówiłem, są tworem sztucznym: celem ich kreacji było zahartowanie flory do surowych warunków nowego klimatu Temy. Narzędziem pomocniczym – tak samo sztuczny, towarzyszący im bakteriofag TE-112. Kiedy uległ niebezpiecznej mutacji, ich twórcy – a może zaprogramowane przez nich urządzenia? – widocznie doszli do wniosku, że wytworzona mrozoodporność roślin nie jest najwyższej próby, skoro lada czynnik zewnętrzny może jej zagrozić. Nie powtórzyli więc metody zastosowanej poprzednio, lecz woleli tę mrozoodporność utrwalić genetycznie.

Istnieje podejrzenie – ciągnął Allan – że w podobny sposób zadbali o faunę. Jesteśmy w trakcie zbierania dowodów – genetycznych, embrionalnych, fizjologicznych, paleontologicznych. Sposób przeprowadzenia tych wszystkich zmian, subtelnych pod względem metod, a bardzo radykalnych w skutkach, świadczy o górowaniu nauki urpiańskiej nad naszą. O ich technice biokreacji nie wiemy nic. Bardzo trudno sobie wyobrazić sposoby stymulowania konkretnych usprawnień w żywych ustrojach, kiedy chodzi o nieprzeliczoną liczbę osobników – roślin i zwierząt – poddawanych tym zabiegom.

Nie tylko te sprawy pozostają niejasne. Mnóstwo pytań bez odpowiedzi nasuwa burzliwy charakter zmian zaraz po przekształceniu Temy, planety zahamowanej, w glob o pogmatwanych relacjach dnia i nocy, a więc przede wszystkim nasłonecznienia. W apastronie Proxima świeci bowiem trzydzieści sześć razy słabiej niż w periastronie. Dlaczego na przykład stopienie ogromnego pierścienia lodowców, z pewnością sztucznie przyspieszone, nie wywołało ogólnoplanetarnego potopu, zanim te masy wód utworzyły dzisiejsze oceany?

Dla wszelkiego życia na Temie był to okres najcięższej próby. Wyszło z niej zwycięsko, lecz dzięki jakim troskom i pielęgnacyjnym zabiegom technicznym ze strony Urpian! Snujemy rozmaite domniemania, jak to się odbywało, ale przeważnie błądzimy w nich po omacku, gdyż były owocem obcego geniuszu. Pięciokąty, które z początku tak nas zachwyciły, wcale nie są szczytowym osiągnięciem tego eposu. To prawda, że bez nich nie przetrwaliby ani Temidzi, ani mnóstwo gatunków zwierząt i roślin. Ale tak jest dziś. A nas najbardziej zdumiewa poradzenie sobie z tamtą epoką przejściową, kiedy rodził się nowy świat; kiedy wszystko było kruche, niestabilne, a los temiańskiego życia wisiał na włosku.

Renę przypuszcza, że plan uratowania biosfery musiał być nie tylko opracowany, lecz także zrealizowany już przed skierowaniem Temy na nową orbitę. Dotyczy to nie tylko oaz ciepła, początkowo przegrzanych, do których we właściwym momencie dało się wprowadzić uchodźców przed dokuczliwym zimnem. Pierwszym etapem mogło być jednak stworzenie ogromnych wiwariów zoobotanicznych, które pomieściły przedstawicieli prawie całej flory i fauny, a nadto oczywiście Temidów. Być może echa tych działań zawiera temidzki mit o „boskiej-nieboskiej grocie”. Takie wiwaria, przypominające biblijną arkę Noego, umożliwiałyby pełną kontrolę

hodowlano-adaptacyjną, stwarzając znakomitą szansę do przeprowadzenia wszelkich modyfikacji organizmów, przede wszystkim genetycznych. Jednak jak dotąd nie znaleźliśmy żadnych śladów takich urządzeń.

Im lepiej poznajemy Temę, tym bardziej podziwiamy geniusz Urpian, ich przenikliwość oraz skuteczność dokonywanych przedsięwzięć. Niestety, o nich samych mamy dotąd bardzo ubogie i fragmentaryczne informacje, zwłaszcza w porównaniu z tym, co wiemy już o Temidach.

Najbardziej skąpe dane dotyczą ewolucji. Zarówno podziemna wyprawa Igora i Suzy, meldunki przesyłane przez Mary z Dźdźownicy II, jak i późniejsze poszukiwania Renego – nie dostarczyły żadnych materiałów paleontologicznych, które umożliwiłyby nakreślenie drogi rozwoju tych istot, stojących niewątpliwie na szczęblu przynajmniej równym człowiekowi. Niemniej Renę wspólnie z Korą skonstruował hipotezę opartą o<sup>a</sup> anatomiczne cechy Urpian oraz dane, dotyczące warunków panujących na Urpie w okresie ostatnich dwóch milionów lat. Pewne światło zdaje się rzucać na te zagadnienia obraz znaleziony przed tygodniem w jednym z miast podziemnych. Przedstawia on krajobraz górski porośły gęstymi krzakami, przy czym na pierwszym planie widać jakby wejście do pieczary, przed którą stał nagi Urpianin, trzymający w ręku długą, zakrzywioną gałąź. Budową zewnętrzną różni się nieco od postaci z obrazów przedstawiających cywilizację urpiańską. Na wyciąganie jednak daleko idących wniosków jest za wcześnie. Artyści urpiańscy nie zawsze przestrzegali zasad realizmu w sztuce, a przede wszystkim ujawniali pewną tendencję do karykaturowania postaci „ludzkich”.

Najbardziej prawdopodobna wydaje mi się następująca hipoteza – mówił Allan. – Przodkowie Urpian byli zwierzętami zamieszkującymi zbocza górskie, gęsto porośłe karłowatymi drzewami zbliżonymi zewnętrznie do kosodrzewiny. Zwierzęta te żywiły się owocami oraz polowały na drobne zwierzątka buszujące wśród gęstwiny. Te niskopienne drzewa zabezpieczały Praurpian przed atakami dużych drapieżników, gdyż urpiańska „kosówka” była zbyt gęsta, aby mogły się w niej swobodnie poruszać większe istoty. Waga ciała zwierzo-urpian była nieduża, a kończyny ich miały wybitne zdolności chwytne. Prawdopodobnie były to pierwotnie zwierzęta leśne, zbliżone niektórymi cechami do małpiatek. Przeniosły się one w tereny górskie, wykorzystując zdolność skakania po gałęziach do poruszania się po owej kosówce. Nie załamywała się pod nimi, gdyż rozkładały ciężar ciała na kilka gałęzi. Były bardzo zwinne i ruchliwe. Łączyły się w stada, co dawało im w tych warunkach znaczną przewagę nad innymi zwierzętami. Jeśli nawet jakiś groźny drapieżnik zapędził się w ich teren, mógł paść ofiarą zwierzourpian, zaplątawszy się w gęstwinię. W zdobywaniu pokarmu zasadniczą rolę odgrywały, wobec słabości szczęk, kończyny chwytne. Spośród czterech kończyn i długiego ogona funkcję tę najlepiej spełniały kończyny znajdujące się blisko głowy. Stopniowo, w miarę mijania tysiącleci, zwierzourpianie coraz częściej posługują się tymi kończynami przy zdobywaniu pożywienia, a więc i w czasie polowania w gęstwinię. Funkcję

utrzymywania się na powierzchni kosówki przejmują dwie kończyny dolne oraz ogon, który nabiera coraz więcej cech kończyny chwytny j. Wreszcie ogon ten, zaopatrzony przy końcu w wyrostki kostne, wykształcił się tak dalece, że z powodzeniem spełniał rolę trzeciej nogi. Doprowadziło to do podziału funkcji kończyn na dolne, utrzymujące ciało, oraz swobodne kończyny górne, przysposobione teraz do spełniania bardziej złożonych funkcji.

–Można więc przyjąć, że w tym okresie Praurpianie przybierają postawę wyprostowaną? – wtrącił Igor.

–Powiedzmy, wpółwyprostowaną – zastrzegł Allan. – Przecież polując na małe zwierzątka wśród kosówki, sięgali łapami w dół. Stąd warunki sprzyjające wydłużeniu się kończyn górnych. W tym okresie zjawiają się prawdopodobnie pierwsze narzędzia w postaci, powiedzmy, patyków, które służą niejako do dalszego przedłużenia rąk. Praurpianie poczynają się orientować, że patyki te mogą być użyteczne w walce z osaczonym drapieżnikiem, zwłaszcza gdy bierze w niej udział wielu osobników. Tymczasem warunki klimatyczne na Urpie zaczynają się stopniowo pogarszać. W górach powstają lodowce. Chronienie się w grotach już nie wystarcza. Trzeba się cofać w dół, coraz dalej i dalej, ku dolinom. Ale w dolinach nie ma kosówki. Są za to drapieżniki polujące po stepach i lasach. Praurpianie potrafią już jednak polować w gromadzie. Ułatwia im to postawa wyprostowana oraz doskonałe stopniowo narzędzia ataku i obrony. W stepie nie porzucają już postawy pionowej, z wielką prędkością poruszają się po ziemi na trzech dolnych kończynach. W tym czasie zwiększa się też gwałtownie objętość mózgowcaszki. Ale klimat staje się coraz bardziej surowy. Praurpianie, których liczba stale rośnie, szukają schronienia nie tylko w grotach, lecz również w norach wygrzebywanych w ziemi wspólnymi siłami za pomocą prostych narzędzi. Jednocześnie udoskonalili się i rozszerzył system sygnałów porozumiewawczych, przekształcając w to, co nazywamy mową artykułowaną.

–Czy można mówić o artykułowanych dźwiękach? – zdziwiła się Rita.

–Nie powiedziałem bynajmniej, że myślę tu o dźwiękach – sprostował żywo Altan. – Sprawa systemu porozumiewania się u Urpian, jak i wielu innych zwierząt urpiańskich, nie jest jeszcze dostatecznie zbadana. Przypuszczalnie dźwięki, jakie one wydają, są zjawiskiem ubocznym, a główną rolę odgrywają tu fale elektromagnetyczne. Ale niewątpliwie -mowa Urpian istnieje – bez tego nie mogliby stać się istotami rozumnymi. Mimo poważnych różnic w przebiegu ewolucji ludzi i Urpian, podstawowe prawa przeobrażania się zwierzęcia w istotę rozumną działały tu podobnie.

To chyba wszystko, co miałem na razie do powiedzenia. Teraz proszę o za<sup>^</sup>branie głosu Korę, jako fizjologa i psychologa – Allan skłonił głowę przed uczoną.

Kora wstała i podeszła do stolika projekcyjnego, przy którym siedziała Daisy. Naradzały się przez chwilę szeptem, po czym na ekranie ukazało się drobne, pokryte jakby szarym puchem ciało istoty o pięciu kończynach i dużej, nieco spłaszczonej głowie.

–Zajmę się przede wszystkim Urpianami i Temidami – rozpoczęła. – Wprawdzie Urpian nie ujrzeliśmy dotąd żywych i chyba nieprędko ich ujrzymy... Wprawdzie materiały dotyczące ewolucji i historii Urpian są nie mniej skąpe niż dotyczące Temidów... A jednak są oni nam bliżsi niż niejedna istota zwierzęca zamieszkująca Ziemię, mimo że ze wszystkimi zwierzętami Ziemi jesteśmy przecież bliżej lub dalej spokrewnieni.

Dlaczego oni są nam tak bliscy? Jakie jest podobieństwo między nami a Urpianami? – wskazała na ekran. – Czaszki ich są skonstruowane i wysklepione zupełnie inaczej niż nasze. Oni poruszają się na trzech nogach, my – na dwóch. Inna jest budowa ich szkieletów. Wiele narządów wewnętrznych jest dla nas zagadką, której rozwiązanie wymaga szczegółowych badań. Kończyny, zwłaszcza górne, mają blisko dwa razy więcej stawów niż nasze. Wzrost ich przeważnie nie przekracza metra. Nie mają nosa, uszu, ust podobnych do naszych. A jednak, nawet gdybym nie wiedziała o stworzonej przez nich cywilizacji, myślę, że i tak odczuwałabym nieodparte wrażenie, że jest w nich coś z ludzi, że mają z nami wiele wspólnego. To wspólne polega na wspomnianej już przez Allana jedności praw "rozwoju. Chociaż formy ukształtowania się organizmów mogą być najróżniejsze, jednak prawa przyrody są te same. Stąd z różnych punktów wyjścia, różnymi drogami ewolucji powstają istoty rozumne o pewnym zespole podobnych cech. Czy to pięciopalczysta ręka człowieka, czy błonochwytna dłoń Temida, czy długie, parami przeciwstawne cztery palce Urpianina, czy jeszcze inna dłoń istoty rozumnej, różna od naszej kształtem i konstrukcją – zawsze będzie to „ręka”: organ umożliwiający wykonywanie złożonych funkcji, niezbędny do wytwarzania narzędzi i posługiwania się nimi. Podobnie niezbędne jest dla wszystkich istot rozumnych posiadanie zmysłu umożliwiającego szybką i dokładną orientację w przestrzeni. W zespole warunków, jakie panują na Ziemi, Urpie i Temie, takim zmysłem jest organ wykorzystujący zjawiska świetlne i opierający się na zasadzie camera obscura, czyli oko, wzrok, a ściślej: co najmniej dwoje oczu umożliwiających widzenie przestrzenne, stereoskopowe. W dziedzinie mowy może być większa różnorodność, byle tylko nadajniki i odbiorniki, jak też sam nośnik informacji, umożliwiały tworzenie grup sygnałów w stosunkowo prosty sposób. U ludzi i Temidów rolę nośnika spełniają fale dźwiękowe z tym, że skala i częstość drgań są tu różne. U Urpian rolę nośnika pełnią fale elektromagnetyczne. Mają oni organa wysyłające zespoły impulsów i zmysły, którymi te sygnały odbierają. Teraz kilka przykładów. Zobaczycie, jak organa, z wyglądu bardzo różne, mogą spełniać podobne funkcje.

Na ekranie poczęły ukazywać się prześwietlenia i rysunki. Kora w krótkich słowach zapoznała kolegów z dotychczasowymi wynikami prac zespołu, w którego skład

wchodzili oprócz niej Renć, Zoja, Will i Daisy.

Przed zamknięciem przedpołudniowych obrad zabrała jeszcze głos Zoe, wygłaszając krótkie sprawozdanie z wyników badań przeprowadzonych w ramach programu Torus. Program ten, stanowiący kontynuację podjętych przed dwoma laty poszukiwań przyczyny cyklicznych zakłóceń łączności radiowej, uległ koniecznemu ograniczeniu po odkryciu cywilizacji urpiańskiej i koncentracji sił na badaniach podziemnych miast. Tylko trójosobowy zespół – Zoe, Nym i Zina – zajmował się metodycznie i planowo rzadkimi, ale niewątpliwymi faktami manifestowania się aktywności „pyłowców” – jak od pewnego czasu zaczęto nazywać zagadkowe twory pojawiające się w pobliżu baz ekspedycji.

Sprawozdanie Zoe, ilustrowane licznymi wykresami i zdjęciami, chociaż pozostawiało znaki zapytania nad najbardziej interesującymi kwestiami, rzucało nowe światło na doniosłość sporu o instrukcję nr 4. Wnioski płynące z obserwacji i doświadczeń zawarła Zoe w sześciu punktach:

1. Zakłócenia łączności radiowej i niektórych procesów katalitycznych w żywych organizmach występujące co 27 dni w Układzie Proximy nie są wywoływane bezpośrednim oddziaływaniem promieniowania pochodzenia kosmicznego, lecz następstwem działalności tworów zwanych umownie „pyłowcami”. Są to struktury obdarzone zdolnością bardzo szybkiej samoorganizacji i przybierania różnej postaci, prawdopodobnie uwarunkowanej spełnianymi aktualnie funkcjami. Czy są to organizmy powstałe drogą naturalnej ewolucji, czy raczej twory jakiejś nie znanej nam techniki -nie zostało dotąd wyjaśnione. Obserwacje kamerami telewizyjnymi są utrudnione częstymi zakłóceniami działania urządzeń elektronicznych. Zdjęcia dokonane chemiczną techniką fotograficzną ukazują tylko niektóre fazy metamorfozy „pyłowców”.

Nie ulega wątpliwości, że „torus Karlsona” jest często występującą formą ich zorganizowania.

2. 27 dni stanowi cykl łączności „pyłowców” z ośrodkiem macierzystym. Nośnikiem informacji jest neutrino, co dowodzi wysokiego poziomu techniki detekcji. Jest to prawdopodobnie również cykl energetyczny, jednak nic bliższego na ten temat nie można powiedzieć. Po kilku dniach od transmisji aktywność „pyłowców” słabnie, lecz niektóre obserwacje zdają się świadczyć o tym, że mogą ją wzmóc drogą łączenia się i zespalania pojedynczych „osobników”. Bazą macierzystą „pyłowców” jest prawdopodobnie Układ Tolimana, przynajmniej dotyczy to rejonu układu potrójnego Alfa Centauri. Przypuszczenia, że w odległości 27 lub 13,8 dni świetlnych znajdują się jakieś inne źródła emisji, warunkujące czasokres cyklu, nie znalazły dotąd potwierdzenia.

3. „Pyłowcy” potrafią się uczyć i zachowywać inteligentnie, ale nie przejawiają chęci

nawiązania kontaktu z ludźmi. Prawdopodobnie nie chcą również nam szkodzić czy utrudniać badań. Zaproponowane przez Zoe reagowanie „kocią muzyką” na falach krótkich 'w przypadku pojawienia się głośniejszych trzasków i gwizdów, przyniosło po kilku doświadczeniach prawie całkowity zanik tego rodzaju zakłóceń. O „zmysłach” tych istot nie wiemy dotąd nic. Zina wysunęła hipotezę, że tworzone przez „pyłowców” fantomy mogą być zjawiskiem analogicznym do tworzenia modeli myślowych w ludzkim mózgu.

4. Nie ma żadnych dowodów, że „pyłowcy” są tworem cywilizacji urpiańskiej. Nie ma też dowodów, że są najeźdźcami. Nie stwierdzono związku między stosunkiem niektórych członków ekspedycji do odkrywek temiańskich i pojawieniem się „pyłowców”. Ich obecność na ważnych odcinkach badań wynika prawdopodobnie ze szczególnego zainteresowania ludźmi i ich poczynaniami. Nie zaobserwowano dotąd przejawów działalności tych istot w podziemnych miastach Urpy, co może się jednak wiązać z ich odcięciem od powierzchni przez lodowce.

5. Można przypuszczać, że wzmożona emisja neutrino przez Tolimana B dokonuje się we wszystkich kierunkach, a nie wąskim snopem. Może więc ona docierać nie tylko do Układu Proximy. Nie należy wykluczyć, że „pyłowcy” są formą życia lub penetracji technicznej rozpowszechnioną w naszej Galaktyce. Można podejrzewać, iż operują również w Układzie Słonecznym i powinny być podjęte badania w tym zakresie.

6. Nie jest zadaniem zespołu udzielać rad i pouczeń kierownictwu ekspedycji, jednak wydaje się wskazane wznowienie dyskusji dotyczącej moralnych i prawnych aspektów działalności ludzi podejmowanej na planetach Alfa Centauri. Niejasny status „pyłowców” powinien skłonić do rewizji sformułowań instrukcji nr 4, która chyba nie najlepiej odpowiada sytuacji w tym układzie. Po przybyciu do Układu Tolimana nie wolno powtórzyć popełnionych błędów.

Wbrew oczekiwaniom Zoe ten ostatni punkt nie spotkał się ze sprzeciwem ani Andrzeja, ani Zoi i Szu. Pytania dotyczyły tylko niektórych hipotez Nyma, uznanych za zbyt śmiałe.

Przerwa obiadowa nie była długa. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali sprawozdania Szu. Wiadomo było, że przygotowywał się do niego bardzo starannie. Chodziły słuchy, iż w referacie tym po raz pierwszy sformułuje podstawowe wnioski dotyczące cywilizacji urpiańskiej i jej losów.

Teraz przy pulpicie projekcyjnym zasiadła Ast. Już trzeci rok pracowała z archeologiem i obecnie miała jednocześnie z referatem Szu pokazywać na ekranie fragmenty materiałów noszących nie dla wszystkich jeszcze w tej chwili zrozumiałą nazwę „Księgi wyjścia”.

**Gdy wszyscy uczeni zebrali się znów w sali konferencyjnej, Szu stanął pod ekranem i uniósł dłoń dając znak, że chce mówić.**

**–Kora powiedziała tu przed dwiema godzinami, że Urpianie są nam bardzo bliscy – rozpoczął, raz po raz błyskając skośnymi oczami. – Jako główny argument przytoczyła inteligencję oraz zbieżność funkcji wielu organów. Spróbuję spojrzeć na ten sam problem jeszcze od jednej strony: Urpianie, ich dzieła, ich cywilizacja i kultura, cała historia ich rozwoju społecznego – są nam tak bardzo bliskie, tak bardzo w ogólnym zarysie podobne do cywilizacji i historii rozwoju społeczności ludzkich dlatego, że również warunki bio-genezy i powstania psychozoów były w naszych układach zbliżone, a prawa rozwoju materii aż po wysoko zorganizowane socjocenozy są podobne dla całego wszechświata. Oczywiście nonsensem byłoby doszukiwanie się identycznego przebiegu procesów rozwoju środków produkcji i przemian stosunków wytwórczych, jak również naiwnością byłoby sądzić, że rozwój ekonomiczny na Ziemi i Urpie dokonywał się w identycznych warunkach. Niewątpliwie jednak zwierzęce instynkty zdobywania pożywienia, utrzymania gatunku czy też stadnego współdziałania w warunkach rozwiniętej technicznie i intelektualnie społeczności ulegały podobnej transformacji jak u ludzi. Tak samo przemiany w psychice Urpian, zmiana ich stosunku do świata żywego, ich dążeń i celów działania nie przebiegały automatycznie wraz z rozwojem techniki i zmianą warunków życia. Co prawda gwałtowne wstrząsy społeczne i śmiertelne zagrożenie ekologiczne bardzo przyspieszyły zmiany w strukturze społeczeństw urpiańskich, które przez analogię można by nazwać systemowo-ustrojowymi, ale mamy podstawy podejrzewać, że pragnienie gromadzenia i obrony zagarniętych dóbr, uwiecznienia zdobytej Władzy, narzucania własnej woli współplemieńcom i kształtowania obrazu świata na swą modłę utrzymywało się bardzo długo, gdyż może być zastąpione tylko równie skutecznymi czynnikami pobudzania aktywności jednostkowej i zbiorowej. Nie znaczy to, że dowiadując się coraz więcej o historii Urpian, coraz mniej jest kwestii wątpliwych, spornych czy wręcz zaskakujących. Zwłaszcza okres poprzedzający bezpośrednio wyludnienie się miast podziemnych zdają się cechować jakieś zupełnie dla nas niezrozumiałe przemiany w sposobie życia i organizacji społeczeństwa urpiańskiego. Nie jestem jeszcze w stanie określić bliżej, na czym w istocie te zmiany polegają, a zwłaszcza, jaka może być ich treść społeczna. Nie będę więc rozwijał szerzej tego tematu, ograniczając się tylko do stwierdzenia, że prawdopodobnie chodzi tu o dalszy postęp, raczej w sferze intelektualnej niż materialnej, który zdaniem Jaro jest konsekwencją opanowania jakiejś nowej techniki informatycznej. Proszę więc traktować to, co powiedziałem, wyłącznie jako przypomnienie, że w istocie jeszcze bardzo mało wiemy o Urpianach. Nie chciałbym bowiem, aby po moim sprawozdaniu ktoś odniósł fałszywe wrażenie, że wszystko, co najważniejsze, zostało wyjaśnione i niewiele brakuje, abyśmy historię cywilizacji urpiańskiej znali tak dobrze jak, powiedzmy, Sumeru.**

**Ekran ożył. Pojawiły się obrazy ciasnych pomieszczeń, pokryte bogatą**

ornamentacją roślinną ściany, potem przedmioty odnalezione w ruinach miasta nad brzegiem Morza Centralnego.

Szu rozpoczął omawianie ważniejszych znalezisk. Mimo że systematyczne badania archeologiczne miast podziemnych prowadzone były niespełna półtora roku, dysponowano już bogatymi materiałami dotyczącymi przemian społeczno-cywilizacyjnych. Co prawda nie udało się rozszyfrować żadnego z pism Urpian, jednak w pracach zmierzających do odtworzenia dziejów tej planety w ostatnich kilku tysiącach niezwykle pomocne były bogate formy działalności artystycznej.

Odkryto ogółem 59 miast podziemnych, z których zwiedzono pobieżnie 11, zbadano zaś dokładnie tylko 3.

Szczególnie dużo uwagi poświęcił Szu rozwojowi techniki i odkryciom dokonany przez Jaro i Zinę.

–Zadziwia nas mistrzostwo Urpian w budownictwie podziemnym – mówił archeolog. – Nie zapominajmy jednak, że powstawało ono w ciągłej walce o utrzymanie się przy życiu, w warunkach nieustannego pogarszania się klimatu. Są dane świadczące o tym, iż Urpianie jeszcze w epoce odpowiadającej okresowi starożytnemu ludzkości potrafili na ogromnych obszarach tworzyć sztuczne warunki dla utrzymania roślinności. Służyła temu celowi gęsta sieć kanałów zasilanych wodą z gejzerów. Wymagało to przeniesienia się na obszary wulkaniczne, co z kolei zwiększało niebezpieczeństwo trzęsień ziemi, wylewów lawy itp. Można przypuszczać, że już z tego czasu pochodzą pierwsze próby budownictwa asejsmicznego, które później osiągnęło tak gigantyczne rozmiary, jak zbiorniki ochronne wokół miast podziemnych. Wszystkie wspaniałe osiągnięcia tamtego zamierzonego okresu, przy ówczesnym niskim poziomie techniki, okupowane były śmiercią milionów istot, których pozycja społeczna była zbliżona do pozycji niewolników.

Rzeczywiście rozwój techniki postępował nieustannie naprzód – ciągnął dalej Szu. – Zmieniały się stosunki społeczne. Mniej więcej 3000 lat temu, co odpowiada budowie płyty bazaltowej w pobliżu Ciemnej Plamy, społeczeństwo urpiańskie osiąga mniej więcej poziom rozkwitu społeczeństwa ludzkiego z początku XX wieku. Wkrótce rozpoczyna się okres wzmożonych wojen, dziesiątkujący ludność planety. Proces rozpadu dotychczasowych struktur społecznych przyspiesza opanowanie sposobów wyzwolania energii jądrowej, automatyzacji i możliwości podróży kosmicznych. Właśnie astronautyka otwiera w historii Urpian zupełnie nowy rozdział. Ładownie na innych planetach, a przede wszystkim na Temie poszerza ogromnie obszar ich ekspansji. I tu chciałbym poświęcić nieco uwagi Temidom, ich społeczności i kulturze.

Choć zaliczenie Temidów do psychozoów nie budzi zastrzeżeń, archeolog nie znający ich samych, tylko związane z nimi wykopaliska z dzisiejszego okresu, byłby

w poważnym kłopotcie. Mógłby zebrać kolekcję przedmiotów kultu, jak łańcuchy kapłanów, rytualne pięciokątne płyty z metalu lub plastyku, części broni lub narzędzi wykonane z najprzedniejszej stali, promieniotwórcze walce w oazach ciepła, tajemniczy obelisk w puszczy, jeszcze jakieś urządzenia... Odkopując obok tych znalezisk szczątki Temidów, zrazu przypuszczałyby, że są to wytwory ich techniki. Tymczasem dzieła rąk tubylców uszłyby jego uwagi. Bo czymże są? Za mieszkania mają jaskinie, za broń sporządzoną przez siebie samych – sękaty drągi, za środek transportu – tratwy z powyrywanych z korzeniami, nie ociosanych pni. Dlatego i my jesteśmy w trudnym położeniu, kiedy pragniemy sensownie odtworzyć już nie rodowodowe koleje gatunku, ale historię społeczeństwa. Nie biologię, lecz socjologię.

A b urbe condita... Tym rzymskim określeniem, przypomnianym przez Ala, nazwaliśmy początek drogi: 1980 lat temu. To kataklizm kosmiczny w Układzie Proximy, który wprowadził Temę na nową orbitę. Zrazu wydawało się, że tam tkwi naturalny początek historii Temidów – w odróżnieniu od prahistorii wyzbytej faktograficznych odniesień. Odtąd bowiem zaczęła się budowa Pięciokątów jako oaz ciepła dla Temidów, a także przekształcenia genetyczne flory i fauny na planecie. Wszystko to było dziełem zagadkowych twórców cywilizacji wyższej niż nasza, których Kora nazwała w tym pierwszym okresie badań Temianami.

Choć obraz ten nie uległ zmianie, wzbogaciliśmy go o ciąg dawniejszych wydarzeń, – co kazało cofnąć ab urbe condita o dalsze siedemset lat. Stało się to w związku z datowaniem przysypanych piaskami ruin, którymi zajęliśmy się z Jaro, z cenną pomocą Włada i Ast. Najdawniejsze z tych kompleksów budowli wzniesiono dwadzieścia siedem wieków temu.

Początkowo chcieliśmy rozdzielić historię Temidów i Temian, gdyż obu tych kultur kosmicznych nie sposób porównywać. A jednak dopiero w scenerii starych i nowych warunków przyrodniczych można było dostrzec właściwy obraz dziejów ostatnich dwudziestu siedmiu stuleci. Jest on wyjątkowo pogmatwany. Roztrząsanie wrywkowych mitów temidzkich – nie umniejszając' w niczym zasług Daisy – skomplikowało go jeszcze bardziej. Można wątpić, czy wykroczymy poza mniej lub bardziej uzasadnione domysły, jeśli nie poznamy prawdy u źródła: w relacji Urpian. Wątpliwe jest jednak, aby udało nam się spotkać ich w Układzie Proximy. Co prawda pewne ingerencje, zwłaszcza w sprawy Temy, wskazują, że nadal tu działają, lecz są to działania zdalne, możliwe do prowadzenia również przez cybernetyczny ośrodek dyspozycyjny, odpowiednio zaprogramowany nawet w odległej przeszłości.

Sprawa Temian stanowiła dla nas przez długi czas kompletną zagadkę. Wydawało się, że pod to określenie podciągamy dwie zupełnie różne kultury kosmiczne, które zwalczały się brutalnie i z determinacją, a krótkotrwałą areną ich zbrojnych rozpraw była Tema – właśnie przed dwudziestu siedmioma wiekami. „Miasta Temian” – używam tego określenia w cudzysłowie, gdyż dziś wiemy, że budowali je Urpianie –

stanowiły umocnienia typu twierdz, pomocne zarówno w natarciu, jak i w obronie. Pozostaje kwestią otwartą, czy tamci wojowniczy budowniczości z jednej strony i późniejsi twórcy Pięciokątów z drugiej, należeli do tej samej odmiany rasowej i etnicznej Urpian. Mamy zbyt mało danych, aby to rozstrzygnąć, a należy obawiać się antropo-morfizacji problemu. Wiemy z pewnością jedno: w naszej starożytności, kiedy kulturze europejskiej przewodziła Grecja i Rzym, azjatyckiej zaś – Chiny i Indie, na Temie wylądowali urpiańscy astronauty. Musiała to być duża flotyła. Mogli najechać Temę jednorazowo albo kilkoma falami. Cała operacja trwała krótko, gdyż wszystkie „miasta” powstały prawie równocześnie i były użytkowane najwyżej sto kilkadziesiąt lat. Nie mamy dowodów, aby – poza wznoszeniem tych wielkich budowli – zajęli się jakimkolwiek zagospodarowaniem terenu. Przyroda rządziła się tu nadal własnymi prawami. Chyba jedyną przemyślaną ich ingerencją w biosferę Temy było masowe, bezlitosne niszczenie Te-midów. Toczyli również wojny nuklearne, może między sobą, a może z późniejszymi twórcami oaz ciepła – bo zwalczanie Temidów pociskami jądrowymi przypominałoby wyruszenie z armatą na muchę.

W tej krwawej rozgrywce nie stosowano bomb wodorowych i anihilacyjnych. Prawdopodobnie były to pociski z materiału rozszczepialnego, przeważnie bliskiego zasięgu, o sile nie przekraczającej dwóch jednostek konwencjonalnych typu Hiroszima. W skali globu skażenie środowiska tymi barbarzyńskimi atakami nie wywarło trwałych degeneracyjnych skutków na biosferę. Musiało być natomiast groźne w rejonach walk.

Ocena tego pierwszego najazdu była przed odkryciami na Urpie bardzo trudna. Rozważaliśmy dwie przeciwstawne koncepcje. Według jednej, ci kosmici nie mieli nic wspólnego z późniejszymi twórcami Pięciokątów, czyli nie byli Temianami, których dobroczynny wgląd w sprawy tego globu niewątpliwie ciągnie się do dziś. Byli najeźdźcami, może z bardzo daleka, a ich szarogęsienie się na planecie trwało krótko. Wpadli jak niszcząca burza, zniknęli jak kamfora. Przy takim założeniu byli elementem zupełnie obcym – odwrotnie niż Temianie, czyli budowniczości oaz ciepła, którzy wprawdzie nie będąc tuziemcami, odegrali rolę jeśli nie gospodarzy, to przynajmniej opiekunów globu.

Druga hipoteza przyjmowała, że obie inwazje były działaniem tej samej cywilizacji, lecz miały rozbieżne intencje, a przez to zgoła odmienny charakter. W tym obrazie Temianie powstali w Układzie Proximy najprawdopodobniej na planecie X, później rozbitej na rój planetoid. Kiedy promieniowanie ich słońca zaczęło katastrofalnie słabnąć, poczuli się zagrożeni oziębieniem klimatu swej ojczyzny. Mogąc przewidzieć dalszy rozwój tego zgubnego zjawiska w nadchodzących wiekach, własną planetę uznali za przepadła. Wtedy zajęli się Temą jako globem cieplejszym, bo krążącym najbliżej Proximy. Będąc społecznością zaborczą, zamierzali zdobyty obszar skolonizować, a niewygodnych gospodarzy zgładzić. Może dalsze oziębienie klimatu, a przede wszystkim ogromne trudności techniczne, które musieliby pokonać, aby zwiększyć zawartość tlenu w atmosferze Temy, skłoniło ich do odwrotu. Dziś wiemy,

że byli to Urpianie, zdolni już w owym okresie przystosować warunki do swych potrzeb. Wymagałoby to jednak akcji na skalę powszechną, gdy tymczasem toczyli oni walki między sobą również na Temie. Może właśnie tym okolicznościom zawdzięczają Temidzi uniknięcie zagłady. Gdyby Urpianie zwiększyli ilość tlenu w atmosferze i rozpoczęli masową akcję osiedleńczą, oznaczałoby to koniec zarówno dla Temidów, jak też dla wielu roślin i zwierząt Temy.

Początkowo cel drugiego, tym razem pokojowego „najazdu” Urpian na Temę wydawał się zupełnie niezrozumiały. Czy była to kolejna próba osadnictwa? Zakładając, że przybysze byli potomkami okrutnych niszczycieli Temidów sprzed siedmiu wieków, trudno było przyjąć, iż kierowaliby się wyłącznie dobrem gospodarzy. Z drugiej strony – koegzystencja, z uwagi na odmienne potrzeby życiowe, była wykluczona. Próbowaliśmy jednak szukać analogii w naszej historii. Szczytowy rozwój kolonializmu przypadał na wiek dziewiętnasty. Ówczesni europejscy najeźdźcy, którzy ujarzmiali ludność podbitych krain, tak samo byliby zdolni tępić Temidów. My natomiast – właśnie siedemset lat po nich – przyjęliśmy rolę ich żarliwych, i to zupełnie bezinteresownych, obrońców. Może pomiędzy jedną a drugą falą lądowań na Temie również u Urpian nastąpiły podobne diametralne zmiany w sferze moralności społecznej i ekologicznej.

–Czy zagłada miasta na wybrzeżu Morza Centralnego – odezwał się Wład – miała jakiś związek z tymi przemianami? Chyba to był ten sam okres?

–Wiem, o czym myślisz. Ja również starałem się zbadać tę ponurą tajemnicę. Nie wiem – Szu westchnął. – Walka jaką toczyli między sobą Urpianie, była chyba walką o prawo do wolności, o sprawiedliwość, o życie w pokoju. Wyrzutnie pocisków jądrowych skierowane były, jak wynika z obliczeń, na jedno z miast urpiańskich. Pociski te przystosowano do niszczenia miast podziemnych. Pierwszy zrywał, a ściślej; zamieniał w parę 50-metrową warstwę ziemi, następne uderzały w ten sam punkt, sięgając coraz głębiej, niszcząc dziesiątki kondygnacji podziemnej budowli. Spróbujmy odtworzyć sytuację w dniu zniszczenia miasta nad Morzem Centralnym. Na wieść, że władcy przygotowują zagładę innemu miastu, dochodzi do buntu. Może zresztą był on/ przygotowany od dawna, kto wie? W każdym razie z dzielnic najgęściej zaludnionych tłum, a może tylko większa grupa śmiałków, przedziera się do hal, w których przygotowane są już do wyrzutu śmiertelne pociski. Tłum opanowuje i blokuje wyrzutnie. Rewolucja ogarnia całe miasto;

–A ta eksplozja? – zapytała Suzy.

–Badałem dokładnie lej. Nie wyrwała go seria pocisków rakietowych. Wydaje mi się, że eksplozja była spowodowana przez ginących władców miasta. W myśl zasady: „Po nas choćby potop”.

–Czy... czy... zginęli wówczas wszyscy mieszkańcy tych podziemi? – odezwała się

Zoe.

–Chyba nie. Rozmiary eksplozji były stosunkowo ograniczone. Spowodowała ona co prawda zalanie miasta przez morze, ale niewykluczone, że znacznej liczbie mieszkańców udało się uciec. Widocznie jednak odbudowa byłaby zbyt skomplikowana, zwłaszcza wobec skażenia podziemi na długie lata pyłami radioaktywnymi. Pozostawiono je więc swemu losowi.

Zapanowało długie milczenie.

–Po tym okresie walk – rozpoczął znów Szu – zaznacza się wyraźny skok w rozwoju cywilizacji urpiańskiej. Znikają kontrasty w warunkach bytowych. Mimo pogarszających się warunków klimatycznych Urpianie zwycięsko walczą z atakującą ich przyrodą. Budują nowe miasta, przebudowują stare, tworzą wielkie podziemne hale roślinności.

–A na Temie? – wtrącił Allan.

–Z Temy wycofali się Urpianie 2500 lat temu. Z pewnością uznali zniszczenie Temidów za rzecz niegodną istot rozumnych. Następuje powolne odradzanie się biologiczne szczątków tego gatunku. Urpianie tęsknią jednak do słońca, do życia na powierzchni planety. Po pięciu wiekach od ostatnich walk, około 2100 lat temu, podejmują gigantyczne zaiste zadanie: postanawiają stworzyć sobie sztuczne słońce.

Na ekranie ukazał się obraz nieba z wielką promienną planetą-lampą pośrodku.

–Na wielkim księżycu Urpy – ciągnął Szu – który Dean nazywa Urpą B, instalują oni ogromne urządzenia energetyczne. Czerpią energię z anihilacji pierwiastków, z których zbudowany był ten księżyc, i przekształcają tę energię w promieniowanie zbliżone do światła Proximy. Potężne strugi tych promieni kierują na powierzchnię Urpy, ogrzewając w ten sposób znaczne tereny, a ściślej pasy na powierzchni globu. Roztopiają lody i wyprowadzają z powrotem życie z podziemi na powierzchnię. Widzieliście, zdaje się, wszyscy plafon w mauzoleum pod Ciemną Plamą. On właśnie przedstawia widzianą oczami artysty urpiańskiej scenę oświetlenia jednej z oaz roślinności. To nie była bynajmniej fantazja malarza. Igor znalazł konkretne dowody w postaci stopienia lodowców. Taki księżyc-słońce istniał naprawdę.

Obraz planety-lampy zniknął i na ekranie pojawił się lodowy krajobraz Urpy z eksplodującym księżycem.

–Ale nadszedł okres nowej próby sił, najgroźniejszej w dziejach Urpian. Ich wiedza o wszechświecie jest zadziwiająca. Potrafili oni przepowiedzieć datę przygaśnięcia Proximy. Wyznaczyli dokładnie czas i przebieg zjawiska. Stało się dla nich jasne, że sztuczne słońce już nie wystarczy do podtrzymania życia na powierzchni planety.

Rozpoczynają wówczas budowę jakby ogromnych kloszy, którymi chcą przykryć niektóre oazy roślinności, zmieniając je w gigantyczne cieplarnie. Projekt ten nie został jednak zrealizowany do końca z nie wyjaśnionych dotąd przyczyn. Możliwe, że pewną rolę odegrała tu sprawa dalszych losów Urpy B. Wszak bez tego księżycasłońca cieplarnie na powierzchni traciły sens, przemieniając się praktycznie w takie same hale roślinności jak podziemne. Może zresztą w jakiś sposób udałoby im się zwiększyć jasność sztucznego słońca, ale w tym czasie odżywa sprawa Temy. Jednak w jakże innym aspekcie. Oczywiście, niemal wszystko to, co dotąd mówiłem i będę mówił, to tylko hipotezy, ale wydaje się, że można uważać je za bardzo prawdopodobne. Przygaśnięcie Proximy oznaczało zagładę życia przede wszystkim na Temie. Urpianie potrafił bowiem zabezpieczyć się odpowiednio przed śmiertelnym mrozem kosmosu. Świadczy o tym najlepiej utrzymanie się aż do dziś w podziemnych miastach niektórych roślin i zwierząt. Urpianie jednak tęsknili za wolną, rozkwitającą swobodnie przyrodą. Dlatego z głębokim pietyzmem, a nawet kultem odnosili się do wszystkiego, co żyje. Ta tęsknota odbija się wyraźnie w ich twórczości artystycznej, począwszy od motywów liści w płaskorzeźbach, a skończywszy na dostosowaniu do warunków naturalnych architektury hal wypełnionych roślinnością. Sądzę, że straszna była dla nich świadomość, nieuchronnej zagłady ostatniego naturalnego ogniska życia w Układzie Proximy. Archeolog przerwał na chwilę.

–Czy nieuchronnej zagłady? – zapytał podnosząc nieco głos. – Otóż nie. Urpianie posiadali już wówczas tak potężne środki techniczne, że mogli i tu zwyciężyć przyrodę. Ale na to, by zmienić orbitę planety, trzeba było dysponować dostatecznie wielką masą grawitacyjną, i to krążącą możliwie blisko Temy. Takim globem o dużej masie mogła być tylko Urpa B – największy księżyc w Układzie Proximy. Urpianie postanowili poświęcić swe sztuczne słońce, swe oazy ciepła, ażeby uratować życie na Temie. O tym, w jaki sposób to osiągnęli, mówił już Dean. Istnieje tu dla mnie pewna niejasność: dlaczego planeta X po wykonaniu swego zadania uległa zagładzie? Może ktoś z was przedstawi jakąś hipotezę w tej sprawie?

–Myślę, że nie jest to zagadka zbyt trudna – odezwał się Nym. – Są dwie, a właściwie nawet trzy możliwości. Pierwsza, mniej prawdopodobna, że Urpianie celowo zniszczyli planetę X. Po przesunięciu Temy planeta X poruszała się prawdopodobnie po bardzo wydłużonej orbicie, w płaszczyźnie układu, przecinając drogi innych planet. Groziło to zderzeniem, przy czym największe prawdopodobieństwo katastrofy dotyczyło Urpy i Temy, które mają stosunkowo krótki czas obiegu. Dlatego najstuszniej było rozbić planetę X na drobne ciała, co zresztą nie w pełni się udało. Oczywiście trzeba założyć, że dalsze pogłębianie lejów, w których przebiegły reakcje jądrowe na planecie X, było niemożliwe bez spowodowania rozpadu całej planety i Urpianie nie byli w stanie ustawić jej na dowolnej orbicie. Druga hipoteza tłumaczy katastrofę zbyt bliskim przejściem Urpy B obok Proximy, w okresie gdy skorupa planety była już poważnie nadwerężona

**„działalnością raketową”. Po przeprowadzeniu tak gigantycznego eksperymentu powstały ogromne leje sięgające setek kilometrów i właściwie trudno było mówić o stałej skorupie planety. Trzecia, najprawdopodobniejsza hipoteza zakłada, że Urpianie usiłowali po zmianie orbity Temy uczynić z planety X jej księżyc. Wobec bliskości Proximy przedsięwzięcie zakończyło się niepowodzeniem: planeta X uległa zagładzie. Kora uniosła rękę.**

**–Wszystko to jednak nie tłumaczy, dlaczego nastąpiła zmiana orbity Nokty.**

**–To zupełnie inna historia, zresztą niedostatecznie wyjaśniona – odparł Nym. – Wokół Nokty prawdopodobnie również krążył księżyc, zbliżony wielkością do Sel. Na tym księżycu Urpianie prowadzili eksperymenty związane z bezprzewodowym przekazywaniem energii z planety na planetę. Mogło to wiązać się z dalszym udoskonalaniem sztucznego słońca. Być może zamierzano nawet zmienić Noktę w takie słońce. W wyniku tych eksperymentów stopiono pokrywę lodową Nokty, zresztą bardzo cienką. Można wysnuć hipotezę, że w okresie przystosowywania planety X do roli „prze-suwacza planet” dokonano podobnych prób dla celów doświadczalnych na księżycu Nokty. Próby zakończyły się ostatecznie katastrofą satelity, może zresztą spowodowaną celowo. To właśnie jego szczątki wywołały chaos w naszych obliczeniach dotyczących warunków panujących na planecie X.**

**–Oto nasza pierwsza niespodzianka! – Szu wskazał na ekran, gdzie pojawił się nowy obraz. – Tydzień temu Suzy i Wład natrafili na galerię malowideł i zestawów fotoplastycznych przedstawiających Temę.**

**–A ta ognista kula?**

**Nad gęstą, przyprószoną śniegiem puszcza widniała ogromna tarcza z jasnoniebieskim pióropuszem podobnym do ogona komety.**

**–Planeta X przelatuje obok Temy – wyjaśniła Ast. Dopiero po dłuższej chwili, gdy umilkły głosy wyrażające podziw nad niezwykłością plastycznej wizji, archeolog podjął dalej swe sprawozdanie:**

**–Na parę lat przed zmianą orbity Temy zaczyna się nowa fala zmasowanego lądowania Urpian na tej planecie. Przypomina ona inwazję, lecz w istocie ma zupełnie inny charakter niż poprzednia, sprzed tysiąca lat. Powstałe osady to wyłącznie placówki naukowe i technologiczne. Prawdopodobnie mieściły się one w gigantycznych statkach kosmicznych, gdyż jak dotąd nie udało się odnaleźć żadnych śladów budowli tego rodzaju. Takich osad, a właściwie centrów naukowo-badawczych i wytwórczych było co najmniej cztery, a położone były gdzieś w pobliżu obecnych oaz ciepła.**

**–Skąd to wszystko wiesz, jeśli nie znalazłeś śladów – nie wytrzymał Renę.**

**–Poczekaj – uśmiechnął się Szu. – Na razie dowiedz się, że miałeś słuszność:'  
temiańskie życie ma swoją arkę Noego. Wiwaria zoobotaniczne rzeczywiście istniały.  
Zresztą pamięć o nich w postaci temidzkiej legendy o „bos-kiej-nieboskiej grocie”  
przetrwiała. Oczywiście Temidzi nie zdają sobie sprawy, że to były wnętrza statków  
kosmicznych i że „grot” było wiele, ale i tak świadczy to, że ich mitologii jako źródła  
informacji nie należy lekceważyć. Inna sprawa, że pochopna interpretacja mitów  
może prowadzić do nieporozumień i złudzeń. Można je traktować co najwyżej jako  
wskazówki w poszukiwaniach faktów, a nie dowody. Bałbym się na przykład tego, że  
temidzkie określenie „niebrat-brat” oznacza brata przyrodniego lub przybranego,  
wnioskować o pochodzeniu Proximy. A już przypuszczenie, że życie zostało  
przeniesione z planet To-limana na planety Proximy jest chyba zupełnym  
nieporozumieniem, mimo pięknej, wręcz prometejskiej legendy o dobrym „niebracie-  
bracie”, który wypędzony przez złego „brata” zabrał mu „korzonki życia” i zasadził  
na Te-mie. Mit ten, jeśli w ogóle jest prawidłowo odczytany, to raczej próba  
wyjaśnienia przez rodzącą się kastę kapłańską zarówno pochodzenia Temidów jak i  
faktu zabijania ich przez złych Urpian i chronienia przez dobrych. Nie ulega przecież  
wątpliwości, że Temidzi uważają Proximę za swego boga, bliźniacze gwiazdy  
Tolimana zaś za bogów Urpian. Być może zresztą taką wersję mitu zasugerowali  
sami Urpianie, aby w ten sposób uzasadnić walkę, jaką toczyli między sobą, a także,  
aby odzyskać zaufanie Temidów. Było to przecież bardzo ważne w okresie działania  
wiewarów i przygotowań do zmiany orbit. A jak wyglądały te boskie „groty” i  
bezpośrednie kontakty Temidów z Ur-pianami, za chwilę naocznie się przekonacie.  
Oto moja druga niespodzianka.**

**Na ekranie pojawiła się temiańska puszcza. Wśród bogatego kobierca kwiatów i ziół  
stało dwóch Temidów, zwróconych plecami do widzów. W głębi, poprzez niskie  
krzewy, a także z góry, spoza pni i koron drzew, przebijało łagodne, żółtawe światło  
nieba.**

**Nagle „niebo” rozwarło się tuż nad ziemią i wśród krzaków ukazała się błyszcząca  
kula na trzech nogach, z dwiema łapami wzniesionymi do góry. Jednocześnie obaj  
Temidzi wzniesli również ręce w dobrze znanym geście wyrażającym radość.**

**–Łazik? – przeszedł szmer po sali.**

**–Ależ to jest kinetoskopowy obraz urpiański! – sprostowała Ast. Renę zerwał się z  
miejsca i podszedł bliżej holowizyjnego ekranu.**

**–Czyżby tak, wyglądał Urpianin w skafandrze ochronnym? Rozumiem teraz  
przyczynę kultu Łazika.**

**–Przyjrzyj się twarzy -poradziła mu Ast. Zza przezroczystego tworzywa patrzyło na  
zoologa dwoje szeroko rozstawionych oczu.**

**–Ciekawe... Skąd to macie? – zapytał Renę.**

**–Miasto na płaskowyżu Sheeldhorn II. Wład przywiózł wczoraj z Urpy. Cała seria zapisów! – wyjaśnił Szu.**

**–A więc jednak wiwaria... – powiedział Renę z satysfakcją. – Więc rzeczywiście dokonali tego... Zresztą opowiadaj dalej.**

**–Dalej... – powtórzył archeolog w zamyśleniu. – Im dalej biegł czas, im bardziej poszerzała się wiedza i potęga techniki Urpian, tym silniejsza stawała się ich tęsknota za słońcem. W sztuce urpiańskiej w miarę postępu wieków ujawnia się coraz potężniej pragnienie budowy szczęśliwego świata, gdzie świeci promienna gwiazda – matka życia, gdzie cała przyroda raduje każdą myślącą istotę. Rodzi się nieprzeparta tęsknota za innym światem niż jakże ciasny teraz świat Proximy. Urpianie zdają sobie sprawę, że Tema nie może zapewnić im pełnych warunków rozwoju. I wówczas coraz częściej w sztuce Urpian pojawia się motyw dwóch gorejących słońc Tolimana...**

**Szu umilkł. Wszyscy wpatrywali się w jego twarz.**

**–Urpianie opuścili swą rodzinną planetę 1450 lat temu! Wyszli z lodowych więzień, aby na jednej z planet Tolimana zbudować nowe życie. Pamiętajcie, jak dziwiło nas, że spośród jedenastu miast podziemnych, które zwiedziliśmy dotąd, Urpianie opuścili wszystkie w tym samym czasie. To nie był kataklizm... To był zwycięski EXODUS istot, które w pełni zasłużyły na miano władców przyrody!**

**Ast! – zwrócił się do geofizyczki. – Włącz nową taśmę! Zobaczycie za chwilę ostatnie, wielkie karty tej ilustrowanej „Księgi Wyjścia”.**

***Warszawa-Bydgoszcz- Wisła-Konstancin 1955-1985***

**DALSZYM LOSOM BOHATERÓW**

**„PROKIMY” POŚWIĘCONA JEST**

**TRZECIA CZĘŚĆ**

**ASTRONAUTYCZNEJ TRYLOGII**

**KRZYSZTOFA BORUNIA I**

**ANDRZEJA TREPKI pt.**

**„KOSMICZNI BRACIA”.**

[1] – Nibelungi – wg XIII-wiecznego eposu germańskiego – ród karłów strzegący skarbu, na którym ciążyło przekleństwo. Ryszard Wagner napisał operę (tetralogię) *Pierścień Nibelunga* (1876), osnutą na tle tego podania.

[2] *Dziejom Celestii* poświęcona jest powieść K. Borunia i A. Trepki *Zagubiona przyszłość*

[3] *S a l u r n* – planeta szósta licząc od Słońca, oddalona od niego 9,5 razą bardziej niż Ziemia. Otacza ją pierścień będący rojem drobnych ciał, krążących wokół planety podobnie jak księżyce. Zaobserwowano szereg przerw w pierścieniu, z których największa nosi nazwę przerwy Cassiniego. W ten sposób pierścień dzieli się na szereg współśrodkowych pierścieni, z których najbliższy planety, oddalony od jej powierzchni o 11000 km, oznaczono literą C, środkowy – B i oddzielony od niego przerwą Cassiniego zewnętrzny pierścień – A. Grubość pierścieni nie przekracza jednego kilometra, gdy tymczasem szerokość ich wynosi łącznie 65000 km.

[4] *T e t h y s*, czyli Tetyda – jeden z księżyców Saturna. Okrąża go w średniej odległości około 236 000 km od jego powierzchni raz na 45 godzin. Glob ten jest przypuszczalnie olbrzymią kulą lodową o średnicy około 1100 km.

[5] *Aluzja* do czasu obiegu Merkurego wokół Słońca. Wynosi on 88 dni.

[6] *T o l i m a n* – gwiazda podwójna układu Alfa Centauri; złożonego z trzech gwiazd (*Toliman A*, *Toliman B* i krążąca wokół nich w wielkiej odległości *Proxima Centauri*). Układ Alfa Centaur; jest najbliższym sąsiadem Słońca, światło tych gwiazd biegnie do nas 4,3 roku. *Toliman A*, bliźniaczo podobny do Słońca, jest najjaśniejszą gwiazdą

tego układu.

[7] Proxima Centauri – najbliższa Słońca gwiazda, należąca do układu Alfa Centauri. Jest to tzw. czerwony karzeł o masie siedem razy mniejszej od masy Słońca i świecący ponad czternaście tysięcy razy słabiej niż Słońce. Układ planetarny Proximy, opisany w tej powieści, nie jest całkowicie fikcją literacką. Na podstawie obserwacji pewnych zakłóceń w ruchu Proximy wysunięto swego czasu hipotezę, że wokół tej gwiazdy krąży ciemne ciało o masie sześćset razy większej od masy Ziemi. Ta planeta, dwa razy większa od Jowisza, miałaby obiegać Proximę w ciągu 2,47 roku, w odległości średniej nieco mniejszej niż odległość Ziemi od Słońca.

[8] Dla zachowania w pełni równouprawnienia kobiety i mężczyzny w XXV wieku obowiązuje zasada dziedziczenia nazwiska osobno w linii męskiej i żeńskiej. Kobieta po ślubie zachowuje swe nazwisko, córka dziedziczy nazwisko matki, syn – ojca.

[9] Przyspieszenie  $1 G = \text{około } 10 \text{ m/sek}^2$  i odpowiada przyspieszeniu ziemskiemu. Np. przy przyspieszeniu  $9 G$  na ciało pilota działa siła dziewięć razy większa od siły ciężenia ziemskiego. (waży dziewięć razy więcej niż w spoczynku na Ziemi).

[10] Perihelium – położenie, w którym ciało kosmiczne obiegające Słońce znajduje się w najmniejszej odległości od niego

[11] Obiekt o jasności  $-5^m$  (minus piątej wielkości gwiazdowej) świeci dwa razy jaśniej niż Wenus w maksimum blasku. Już ponad 2000 lat temu uczeni podzielili wszystkie gwiazdy na sześć wielkości, z tym że najjaśniejsze były pierwszej wielkości gwiazdowej, najślabsze zaś dostrzegalne – szóstej. Podział ten zachowano dotychczas ustalając, że gwiazda każdej następnej wielkości jest 2,5 raza (dokładnie 2,512) słabsza od gwiazdy wielkości poprzedniej. Przy użyciu najsilniejszych teleskopów można obecnie fotografować gwiazdy do  $22^m$ . Skalę wielkości gwiazdowych rozciągnięto także na wartości ujemne, co pozwala jednoznacznie określać źródła światła o dowolnej sile blasku. Np. najjaśniejsza gwiazda nieba – Syriusz jest  $-1,5^m$ , Księżyc w pełni  $-12,5^m$ , Słońce  $-26,8^m$ .

[12] Antracyt – gatunek węgla kamiennego (tzn. pochodzenia roślinnego), twardy i błyszczący. Zawiera 93-98% czystego węgla (C).

[13] Proxima Centaur! należy do jednej ze specjalnych klas (UV Cet) zmiennych nieregularnych gwiazd rozblyskowych. Blask jej zmienia się niemal ustawicznie, osiągając w maksimum dwa razy większą jasność niż w minimum. W czasie niespodziewanego rozblysku jasność jej w ciągu kilkunastu sekund wzrasta, po czym następuje powolny spadek – od kilkunastu minut do kilku godzin.

[14] W 1848 r. francuski astronom E. Roche wykazał, że istnieje „strefa zakazana” wokół każdej planety. Jeśli w strefie tej znajduje się większy księżyc, zostanie on

rozerwany wskutek wydatnej nierównomierności oddziaływania sił przyptywowych. Przy jednakowych gęstościach obu ciał kosmicznych – granica Roche'a wynosi 2,45 promienia planety.

[15] Powidok – obraz następczy, powstający w wyniku oświetlenia przedmiotu silnym bodźcem świetlnym. Powidok utrzymuje się (od 1 sekundy do kilku minut), chociaż patrzący przestaje patrzeć na przedmiot, który był źródłem wrażenia wzrokowego. Przy bardzo silnym lub długotrwałym działaniu bodźca może powstać p. ujemny w postaci negatywu lub zmiany barw na dopełniające.

[16] Nowa – inaczej: gwiazda Nowa. Co pewien czas spostrzegane są na niebie jasne gwiazdy, których dawniej nie zauważano. Blask tych gwiazd szybko potęguje się, a potem słabnie, aż wreszcie nikną one dla wzroku. Trwa to krótko, przeważnie kilka tygodni lub miesięcy. Dawniej przypuszczano, że są to nowe gwiazdy (stąd nazwa: Nowe). W rzeczywistości w miejscu ich istniały przedtem słabe gwiazdki, które zwiększyły swój blask przechodząc stadium Nowej. Gwiazdy Nowe powiększają swój blask 25-400 tysięcy razy, przy czym przed wybuchem siła ich światła jest tego rzędu, co naszego Słońca. Zjawisko tłumaczy się gwałtownym pęcznieniem atmosfery gwiazdy, która zrzuca osłony, obnażając swe wnętrze. Przyjmuje się, że wszystkie gwiazdy Nowe powtarzają swe wybuchy w cyklach od kilkudziesięciu do wielu tysięcy lat (im większa energia wybuchu, tym dłuższy cykl). Stadium starzenia się gwiazd o masie tego rzędu co Słońce (w tym także Nowych) odpowiada typ białego karla.

[17] C h o n d r y l e m nazywamy saki meteoryt, który ma we wnętrzu tzw. chondry – niewielkie okrągłe ziarenka.

[18] Można określić bezwzględny wiek minerałów jak i ciał pochodzenia organicznego badając przemiany izotopów promieniotwórczych, których pewna niewielka ilość znajduje się niemal w każdym ciele. Znając czas połowicznego rozpadu danego izotopu (np. dla uranu  $^{238}\text{U}$  - 4,5.10<sup>9</sup> lat) oraz wiedząc, jakie są końcowe produkty tego rozpadu (dla uranu – ołów i hel), można drogą analizy ilościowej ocenić, jaki procent danego izotopu uległ przemianom od czasu powstania minerału – a tym samym określić jego wiek. W celu określenia wieku utworów bardzo młodych pochodzenia organicznego (np. w archeologii) stosuje się również badania stopnia zawartości w węglu tzw. węgla  $^{14}\text{C}$ , powstałego pod wpływem promieniowania kosmicznego z azotu atmosferycznego, a później przyswojonego przez żywe organizmy wraz ze zwykłym węglem. Coraz lepsza znajomość przemian jądrowych, jak i dokładność analiz chemicznych otwiera szerokie perspektywy przed zastosowaniem tych metod w geologii, paleontologii czy archeologii.

[19] Promień widnokręgu zależy od promienia planety (R) i odległości oczu obserwatora od jej powierzchni (h). Promień okręgu równa się s przybliżeniu pierwiastkowi kwadratowemu z podwojonego ich iloczynu (I) zakładając, że

powierzchnia planety jest idealną powierzchnią kuli. Widnokrąg na planetach mniejszych 'od Ziemi będzie więc mniejszy od widnokręgu ziemskiego.

[20] Autorzy zakładają tu podobną do Słońca budowę atmosfery gwiazdy Proxima Centauri. Ponad świecąca powierzchnią Słońca (fotosferą) rozciąga się ognistoczerwona warstwa gazów, zwana chromosfera. Nad chromosfera unoszą się strzępy ognistej materii, tzw. protuberancje, czyli wysoki, które przy gwałtownych wybuchach zmieniają szybko kształt, przybierając nieraz fantastyczne formy. Jeszcze wyżej rozciąga się wielka, srebrzysta aureola bardzo rozrzedzonej atmosfery noszącej nazwę korony słonecznej.

[21] Periastron – punkt orbity ciała obiegającego gwiazdę, położony najbliżej tej gwiazdy.

[22] W 79 r. n.e. gwałtowny, niespodziewany wybuch Wezywiusza zalał potokami spływającego z deszczem błota wulkanicznego kwitnące miasta rzymskie – Pompeje, Herkulanum i Stadia, grzebiąc 200 000 ludzi. Zginął wówczas Pliniusz Starszy, znakomity przyrodnik rzymski, który wbrew przestrogom otoczenia pozostał w Stabii, by przyrzeć się niezwykłemu zjawisku i móc je opisać. Chęć zgłębienia tajemnicy natury była w nim silniejsza niż strach przed śmiercią.

[23] Apastron – punkt orbity planety położony najdalej gwiazdy macierzystej.

[24] Złepieńce- skała osadowa z obtoczonych okruchów spojonych lepiszczem.

[25] Kalcyt – jeden z najbardziej rozpowszechnionych minerałów skorupy ziemskiej – szpat wapienny (węglan wapnia –  $\text{CaCO}_3$ ).

[26] G l a c j a ł – zlodowacenie.

[27] Zgodne ułożenie skał – układ skał poziomy, warstwami, jedna nad drugą, przy czym leżące głębie' warstwy są starsze. Układ taki bardzo ułatwia prace geologa.

[28] Rów tektoniczny – przerwanie i przesunięcie warstw skalnych w ten sposób, iż na pewnych, nieraz bardzo rozległych obszarach następuje obniżenie poziomu terenu. Np. w Polsce – krzeszowicki rów tektoniczny.

[29] Bazalt – jedna z odmian skał pochodzenia wulkanicznego.

[30] Stegosaurus – olbrzymi gad sprzed stu milionów lat. Na grzbiecie miał on wielkie płyty pancerne.

[31] Flisz – miękkie utwory skalne składające się z piaskowca i łupków.

[32] Intruzja – podziemne wylewy, skupienia i wtrącenia magmy (lawy), która nie

przedarłszy się na powierzchnię, zastyga w głębi ziemi.

[33] Lakkolit – masy zastygłej magmy, przeważnie w kształcie grzyba lub soczewki. Lakkolity powstają na skutek wygięcia i zaburzenia osadowych skał poziomo położonych, między które wciska się magma.

[34] Gnejsy – skata metamorficzna, tj, przeobrażona działaniem wysokiej temperatury i ciśnienia. Pod względem składu chemicznego zbliżona do granitu.

[35] Epicentrum – miejsce na powierzchni planety bezpośrednio nad ogniskiem trzęsienia ziemi.

[36] Hipocentrum – ognisko trzęsienia ziemi.

[37] Komin – w znaczeniu geologicznym wolna przestrzeń między skalami, o wydłużonym, pionowym kształcie.

[38] Archeopteryks – praptak odznaczający się uzębionym dziobem, szponiastymi palcami na końcu skrzydeł i długim, kostnym ogonem.

[39] Na Ziemi pomiarów takich dokonano badając roczne oraz dobowe słoje kopalnych koralowców. Oczywiście długość roku nie uległa zmianie, doba natomiast wynosiła: w początkach ery paleozoicznej (600 mln lat temu) niecałe 20 godzin, z nastaniem pierwszych roślin lądowych (400 mln lat temu) – 21,5 godziny, w czasie powstawania najstarszych ssaków i ptaków (200 mln lat temu) – 23 godziny,

[40] genom – pojedynczy zespół chromosomów jądra komórkowego wraz z zawartymi w nim genami

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-02

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*